http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Egz. archiwalny IBL

POWIEŚCI

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO

W PIERWSZEM ZUPEŁNEM WYDANIU

Tom IV.

WE LWOWIE
NAKŁAD I DRUK A. J. O. ROGOSZA.
1875.

http://rcin.org.pl

Fundacji im. J. I. Michalskich
Ze zbiorów

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. [illegible] Nr 72
00-[illegible] Warszawa
Tel. 26-58-53, 26-52-31 w. 42

709

http://rcin.org.pl

DLA POSAGU.

(Pierwsze wydanie 1847 r.)

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Wstęp.

Owoż zasiadam do nowej powieści. Lecz nie myślcie szanowni czytelnicy i czytelniczki, by mi trudno przychodziło o treść onej; bym, jak niejeden piszący wyznaje przez zbyteczną skromość, zasiadał przed stolikiem z mokrem tylko piórem i suchą chęcią pisania, a dopiero po białym papierze gonił za jaką myślą nową, położeniem szczególnem, intrygą niezwyczajną, zawikłaniem niesłychanem. O! nie brak mi treści do niejednej powieści, i prędzej podobno zabraknie mi lat życia, niżeli przedmiotów powieściowych. Wszak całe życie, okalające mnie i ciebie czytelniku mój, jest ciągłą powieścią o tysiącu przemianach, o barwach bez końca.

Przypadek jest prawdziwym powieściarzem, tworzącym zawikłania jakie się ledwie przyśnią pisarzowi. Takie powieści gotowe już biegają po mieście; trzeba mieć tylko wzrok bystrzejszy od oka, wzrok myśli, by je nim przeczytać. Ileż to razy przyjaciel zdybuje przyjaciela, i uścisnął go serdecznie jak przyjaciela, kilka próżnych rzucił słów: czemu tak rzadko przychodzi? zapytał; powiedział, że żona tęskni za jego przyjemnem towarzystwem. Na przyjaciela twarzy łyskał krótki półuśmiech szyderczy, i rozeszli się. Ani się Pawłowi przyśniło, że to nie był Piotr, ale powieść okropna o upiorze moralnym ssącym cnoty żon i pieniądze mężów.

Paweł roi w domu, że pani Pawłowa dobra jak anioł. Piotr roi w ogrodzie Jezuickim, zkąd właśnie wracał, że już dalej trzeba będzie odrzucić i panią Pawłowę jak wyciśniętą pomarańczę i pana Pawła jak próżny worek. Na to wpadają przyjaciele, obmowy, rozpacz kobiety lub jej zepsucie zupełne, suchoty ciała lub suchoty duszy... A zakończenie? A cóż łatwiejszego, a razem okropniejszego jak obudzenie się ze snu bezpieczeństwa, rozczarowanie, ból głowy zwyczajny przy wykłuwaniu się zębów mądrości. A przesycenie upiora salonowego, który już nic ssać nie może, lub wypoliczkowanie go z salonu na błoto?... Nie dawniej jak wczoraj podobno, ja sam zdybałem dwie powieści ciekawe.

Na jednej ulicy leciał pocztą mąż wracający z podróży, tęsknem okiem patrzał w okno domu swego, rychłoli zobaczy ukochaną małżonkę. Drugą ulicą biegła zadyszana żona z ogrodu, by powitać najmilszego. Uścisk czuły; westchnień parę, i kwita... A przecież podróż męża i spacer żony były to całe dwie powieści krzyżujące się najciekawiej. Jeszcze trwał uścisk, gdy przyszedł trzeci zakonserwowany

http://rcin.org.pl

młodzieniec pozaonegdajszy, i grzecznie, skromnie, skłonił się radującym w oknie małżonkom; po twarzy małżonków przebiegło coś nakształt czujności wzajemnej; a elegant uliczny spuścił oczy i westchnął podobno... zapewne za żoną swoją, która pisuje do niego listy z podróży pełne ognia i opisów romantycznych. Odkrycie już niedalekie będzie rozwiązaniem patetycznem, jeżeli tylko przypadek, który pisze powieści salonowe nie zbyt artystycznie, nie zechce dać spokojnego zakończenia bez pojedynku, który niepozwolony i niebezpieczny, bez gniewu i bez rozpaczy, bo to są uczucia ludu. Rozpisałem się za nadto; przepraszam za gadulstwo piórowe, które zawziętsze jest zwykle niżeli gadulstwo językowe; papier bowiem cierpliwszy od każdego słuchacza, ani ziewnie nawet...

Nie brak mi więc przedmiotów; i tę całą powieść zamyśloną, a co gorzej, sprzedaną już, mam wyrobioną doskonale w mej głowie. A jest pyszna, czarująca, pełna prawdy, która porywa, poezji, która zaślepia; nie wiem tylko czy się tak piękną wyda czytającym, bo nie wynalezli dotąd sposobu stenografowania myśli naszych, a między głową i papierem ileż zwietrzeje świeżości, ile uleci woni! kwiatek żywy pełen barw i woni pada na papier płóciennym, malowanym... Na cóż więc ta przedmowa? zapyta niejeden głodny nowej powieści, obrazów, zawikłań.. Zaraz będzie; mam już treść, mam zakończenie, brakuje mi tylko początku.

Panom i paniom, co nie piszą, przyjdzie się uśmiechnąć na to, a przecież powtarzam, najtrudniejszy jest początek. Proszę przejrzeć wszystkie romanse, wszystkie powieści dawniejsze i nowsze; wszyscy niemal autorowie sadzą się na początek, bo najprzód początek przynajmniej każdy czyta, bo początek jest jakby szyldem wywieszonym na wchodzie, czy raczej wystawą nieraz piękniejszą od sklepu samego, bo początek jest sidłem zastawionem na czytelnika, bo koniec końców początek jest początkiem. I jakże zaczynać, by się nie zdybać z jakim powieściowym poprzednikiem? Zaczynano już od środka, od końca, czasem i od początku; zaczynano na ziemi i na niebie; od chrzcin i pogrzebu; od ślubu i rozwodu; niema już miejsca, zacząwszy od kościoła a skończywszy na karczmie, od księżyca aż do sklepień podziemnych, gdzieby już jaki autor nie umieścił swojego początku. Ztąd też pochodzi to długie moje wahanie się, i dla tego zwlekając to ciężkie zadanie, o ile można nudzę niepospolicie, wodzę za sobą czytelników moich i jak się to często zdarza chcąc być nowym, staję się ciemnym; ciemnym! jest to być jenialnym, jest to być głębokim! Słońce każdy rozumie, bo widzi, a nad ciemnością choć oko wykłuł, każdy rozmyśla, zgaduje. Ztąd zapewne zamiłowanie dzisiejsze w Rebusach, które rzecby można są nietoperzami literackiemi... A więc, choć cała powieść będzie jasna jak dzień pogodny, pozwólcie Państwo, bym zaczął od zaćmienia słońca.

---

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Zaćmienie słońca.

Posępny i mglisty ranek zaświtał dnia 8. Lipca 1842 roku nad Solińcami, smutną i bezdrzewną wioską w podolskim jarze rozsypaną, pełną słomianych strzech, okopów słomą okrytych, stert i stogów; a był to dzień gorąco oczekiwany w całej okolicy. Jedni wyglądali ciekawie zaćmienia słońca, o którem różne złowrogie krążyły wieści, mocno trafiające do umysłów niewielce astronomicznych, podług których wyobrażenia, słońce tak dla nich z zbowiązku świeci, jak chłop pańszczyznę robi; drudzy mniej zaćmieniowemu strachowi podlegli, z upragnieniem próżniaczych wsi mieszkańców oczekiwali uroczyście zapowiedzianej zabawy u państwa Czułkowskich dzierżawców Soliniec. Zabawa ta tem ciekawszem i dziwniejszem była zjawiskiem, że okoliczna plotka wiele głosiła o sławnem skąpstwie państwa Czułkowskich. Pani Sypińska znana z weredycznych opowiań swoich, nieprzyjaciółka wszelkiej obmowy, jakkolwiek mowy się nie wyrzekała, opowiadała nawet swoim słodko zaprawionym głosikiem, który miodowe trutniów wyroby przypominał, że nie wiadomo, o której godzinie obiaduje rodzina Czułkowskich.

— Mąż mój na jakiś tam kompromis zaproszony do Soliniec, bawił od ósmej z rana do szóstej wieczornej, i kompromis musiał się udać oczewiście, bo użyto na sędziów polubownych sposobu jakiego używają na kardynałów w konklawe zebranych; od ósmej z rana do szóstej wieczorem nie dano obiadu; mąż mój wrócił głodniuteńki z tego posesorskiego konklawe.

Trzeba wiedzieć, że pani Sypińska bywała przed laty w stolicy i chociaż ściśle i od dawna zasklepiona w domowej skorupie, miała się zawsze za członka wyższych i lepszych towarzystw, do czego dawał jej niezawodne prawo, język rzutkości gadziny, z ostrzem puszczadła, a w przegubach francuzkich prześlizgający się po wszystkich przedmiotach.

Do dnia już przebiegała pani Czułkowska, nie tyle prędkim ile zamaszystym krokiem wszystkie domu kąty; gdzie okiem nie dostała, tam pewnie dobiegł jej głos wolno z szerokich dobywający się piersi. To też do dnia wszystko drżało, dzieci, czeladź, służba męzka i niewieścia; a nawet (wiem to od pani Sypińskiej) godny jej małżonek jakkolwiek wielki bohater kniejowy, podbniejszy w takim razie bywał do przyczajonego zająca, niżeli do zaczajonego myśliwca.

http://rcin.org.pl

Czynność pani Czułkowskiej była zadziwiająca, rozciągająca się nie tylko do kobiecych zatrudnień, ale i gospodarstwa męzkiego, na którem znała się lepiej daleko od męża. Nieraz ją widzieć można było, jak przy największej słocie, w juchtowe buty odziana, goniła po grzęskiej roli za pługiem; to znowu po północy wpadała jak grom do gorzelni i wołowni, a wtenczas biada było opieszałemu. Czego krzyk nie dokazał, dokonywały plagi. Sam podsłuchałem jak raz agronomicznym przejęta zapałem, wyrzekła do pani Sypińskiej te pamiętne słowa:

— Bo uważa pani Sypińska, u mnie wszystko musi iść dobrze, bo u mnie wszystko w gębie; u mnie pług w gębie, u mnie chłop w gębie, u mnie gnój w gębie i t. d.

Lecz wracajmy do zaćmienia słońca.

— Krowy nie podojone! pokoje nie posprzątane!... dziedziniec jak chlew od tych głupich psów; a jak trzeba czego na rożen — niema zająca!.. moje kury, kaczki, indyki, idą a idą. Spieszże się klempo! — wrzeszczy na dziewkę — idźże prędzej drabie — krzyczy na ogrodnika... — Tak to kiedy niema głowy!...

Już to, po prawdzie powiedziawszy, była to tylko retoryczna przenośnia, bo głowa była, nie przy mieczu zapewne, ale przy kądzieli. I jaka głowa!... tym razem, to jest dnia 8 Lipca 1842 r., była ona owinięta w wielką kratkowaną chustkę, gdzieś z pudła węgierskiego wydobytą; a z pod niej włosy czarne jeszcze mimo wieku, który poorał szerokie policzki, cudownie odbijały od twarzy, iskrzącej się żywym, nieco na trąd zarywającym rumieńcemi, i od nosa, który przeciągłym kształtem i energicznem zgarbieniem przypominał południowe pochodzenie; z ciemnych zaś ócz strzelał wyraz pełny ognia pożerczego, pełny wiecznego gniewu, mawiał pan Suliski blizki Soliniec sąsiad, człowiek oczytany, jak mówią sąsiedzi, miłośnik tego wszystkiego, co gdzieś za granicą; twierdzący, że ziemia ojczysta nic dobrego wydać nie potrafi.

— Spieszcie się łotry! darmozjady! próżniaki! — krzyczy pani bez ustanku, a przecie głosu nie brakuje; gdy raptem w pół słowa urwany głos zamilkł jakby dzwon serca pozbawiony; twarz pobladła, o ile pobladnąć zdołała, strzelający wyraz powrócił nazad do oczów, i przelęknieniem rozbiegł się po nich.

A posępność i mgła ranna, coraz ciemniejszych nabierają barw tak prędko i niespodzianie, iż zdaje się, że te wszystkie w górze wiszące chmury całym ogromem swoich ciemności zawaliły ziemię; nastała chwila milczenia... Zdziwieni Soliniec domownicy, przyzwyczajeni, że o tej godzinie słońce świeci a głos pani Czułkowskiej krzyczy, stanęli z rozdziawionemi gębami, padają z rąk bezwładnych: tu donica z lejącym się po podłodze strumieniem białym; tam za pajęczyną goniąca po suficie szczotka; żelazko nieruchome przez czepek tiulowy i prześcieradło i sukno podłożone wypala aż stół dębowy; z rąk ogrodnika upuszczona graca po raz pierwszy lekkim i przyjacielskim uśmiechem dotyka się nienawistnej ziemi... Pani jeszcze widzi, jeszcze słyszy, jeszcze czuje cały nieporządek, a milczy przecie. I coraz ciszej!... coraz okropniej!...

http://rcin.org.pl

— To koniec świata! — zajękła nareszcie; i żywo stanęły przed jej oczami, krzywiące się widma wszystkich w życiu rozdanych batogów, razy kuksów, szturchańców, placków i policzków; i wszystkie z charakterystycznemi swych cierpień oznakami wyszczerzają się jej okropnie!... — Mężu! dzieci chodźcie tu!

I przystąpił potulny mąż, przyszła dorastająca córka z dwojgiem mniejszego zarybku.

— Chodźcie tu! ach chodźcie tu bliżej! już was nie widzę!... o mój Boże! to pewnie koniec świata! sąd ostateczny! niech was przynajmniej pobłogosławię.

— To zaćmienie słońca, moja lubko — wtrącił mąż nieśmiało, jakby niepewny swego.

— Głupiś!... ach daruj kochany męży! darujcie dzieci!... i wy chodźcie tu urwisze!... ach! ach!... mieszam się okropnie, sama nie wiem, co mówię!... chodźcie! niech was pożegnam, pobłogosławię!...

— Ale to zaćmienie słońca, moja ciociu, o którem już dawno wszystkie pisma głoszą; pierwsze jakie mi się widzieć zdarza, śliczne zaćmienie! jakże się z niego cieszę!... jakie to dziwne sprawia uczucie, przerażające i miłe razem, to clair obscur jakby w obrazie szkoły holenderskiej, albo fantastycznej powieści Wiktora Hugo — ozwał się głosik cienki dźwięczny ze drzwi wchodowych. Głos ten miał tę giętką harmonijność, jaką zwykle nadają nauka śpiewu lub owe długie uczuciowe pogadanki pełne tych przycisków mimowolnych, na jakiemś słowie szczególnem, które mowę rytmują na miarę uczuć poezji.

I weszła do pokoju piękna szatynka z ciemno błękitnem okiem, twarzą owalną i bladą, noskiem zakrojonym kształtnie jakby na model grecki, ustami może za szerokiemi do tej twarzy, lecz rumianemi i pełnemi. I głos jej. i kibić wyniosła uginająca się lekko, i strój choć ranny, ale pełen wyszukanej i wytwornej niedbałości, były w nadzwyczajnej sprzeczności z otaczającemi ją postaciami, napiętnowanemi wiejską czerstwością i nieporządkiem wiejskiego poranku. Jakby do lepszego odbicia tej różnicy, nowo przybyła trzymała w ręku spory pęk niezapominajek. Wyglądała jakby obrazek wymanierowanej szkoły francuzkiej, tak bogatej dawniej w pasterki, obok surowego rembrantowskiego obrazu, na model do którego pani Czułkowska służyćby mogła wyśmienicie. Lecz, jeżeli można się tak wyrazić, były to kopie raczej, bez tej szczeroty twórczej jaka za zwyczaj cechuje oryginały; był fałsz naśladowania, graniczący często o karykaturę.

— Dajże pokój duszo moja! — ozwała się pani Czułkowska głosem, w którym pocieszne odbijało się to przejście ze zwykłej opryskliwości, do wystraszonej skruchy — z tymi waszymi bezbożnikami, którzy w nic nie wierzą, a których was uczą po pensjach; wolisz się pomodlić, bo ci mówię, moja Cyrylko, to koniec świata, o którym pisały te wielkie gazety francuzkie pana Suliskiego.

— Ciocia chce mówić o Constitutionnelu; tam bywają piękne powiastki, pełne duszy, peezji, ale nie o zaćmieniach.

— Zlituj się duszko, nie przyprowadzaj mnie do niecierpliwości...

http://rcin.org.pl

tam było o komecie i o końcu świata... a mnie przeczucie mówi, że to ta kometa...

— Ten kometa — odrzekła siostrzenica — już dawno...

— Ach módlcie się! i chodźcie tu bliżej — zajęczała ciotka głosem coraz żałośniejszym, im więcej ciemność się wzmagała.

Tak mocnem, szczerem i żałośnem uczuciem zwalczona natura, jakby wynagradzając strach chwilowy, zajaśniała dawnem światłem, które tak prędko się wzmagało, iż się nowem zupełnie, cudownem prawie wydało zjawiskiem. Westchnęła pani Czułkowska, westchnął i pan Czułkowski; ona do życia dawnego, on do nieżycia.

— Czegoż tu stoicie próżniacy? a do roboty gamonie!... ach mój czepek nowy!... poczekaj niecnoto! sto łóz dostaniesz!... Idźże już raz po gospodarstwie! czegoż stoisz zastraszony? to mi piękny gospodarz! Dalej! dalej! za drzwi! do roboty wszyscy! — krzyczy pani Czułkowska. I coraz widniej na dworze, coraz głośniej w domu; słońce świeci nad Solińcami, a głos pani Czułkowskiej rozlega się wolny od ogrodu do stodoły, od obory do gumna, od chlewa do dziedzińca, od piwnicy do komina.

Taki był ranek w Solińcach — jakże różny był wieczór! wieczorem nazywali to sąsiedzi, radzi, że w ich okolicy sławnie skąpej w zabawy zjawiła się jakaś przecie, którą przed wyższym światem mogą się zastawić, mówiąc: „I u nas bywają wieczory!“ ale niesprawiedliwie, bo jak na złość, słońce lipcowe, odwdzięczając chwilowe zaćmienie, sypie najrzęsistsze swe promienie na zajeżdżające w dziedziniec powozy. Powozy wiejskie, muszę tu nadmienić w przelocie, należą do rodzaju zupełnie odrębnego; jest to przejście od karet i koczów świata modnego do prostych bryczek ekonomskich i księżowskich; jest to juste milieu w rzeczypospolitej powozowej. Co najlepszego mieli w wozowniach swoich, podobywali zacni państwa Czułkowskich sąsiedzi; są forderdachy nawet ze skór domowych pozszywane, półkoczyki domowej fabryki, a osobliwie jest tam kariolka sławna z trzęsącej doskonałości, której ciekawe byłyby dzieje: jak Pitagoresowa dusza za karę wędrująca, przechodząc z karety landary kocza, zeszła nareszcie na to powozowe monstrum, wywrotne i niewygodne, ale zawsze błyszczące dawnemi bronzami, bez których byłoby wstydem pokazać się na wsi. A zaprzęgi!... ile się tylko komu udało powiązać starych koni staremi szorami. Wszystko to razem było świetne, bo oczywiście świąteczne, bo widoczna chęć błyszczenia przechodząca w różnych zmianach ze stolicy do najdalszych naszych wiejskich zakątków. Zjeżdżali się goście pomału, bo już to i na wsi wiedzą, że moda każe późno przyjeżdżać. Ciężka to na wsi walka modnej przyzwoitości z wiejskim pospiechem języków sąsiedzkich wyposzczonych nudną samotnością, a żądnych pogadanki. Lubią zapewne gadać i w mieście, ale pogadanka stołecznych towarzystw ma się do pogadanki wiejskiej, jak koń okiełznany munsztukiem do konia wolno puszczonego: tam więcej parady, tu wybryków, skoków, zwrotów na wsze boki... aż strach!... jest co słuchać!...

Powód do tego wieczoru tak niezwyczajnego w domu pani Czułkowskiej dał powrót z pensji panny Cyrylli Nieleckiej, jej rodzonej

http://rcin.org.pl

siostrzenicy, dla której jednej z całego rodzaju ludzkiego pani Czułkowska zapominała o swej zwykłej opryskliwości i skłonności do despotyzmu tak u niej przeważającej, że pan Suliski najdowcipniejszy z sąsiadów, wielki burbonista, odkąd w swym rodowodzie wynalazł jakąś koligację z Marją Leszczyńską żoną Ludwika XV., mawiał o niej: „Gdyby korona i spodnie, pani Czułkowska byłaby istnym Napoleonem.“ Czuła, uprzejma, uprzedzająca dla siostrzenicy, nie nazywała ją inaczej jak: „moja duszko,“ w domu, a w sąsiedztwie i między gośćmi, gdy przecie wypadało przemówić językiem ucywilizowanym, „ma mie!“ — Powód tego nie tyle był w sercu, ile w kieszeni.

Panna Cyrylla Nielecka była bowiem herytierą, jak ją nazywano w okolicy, dziedziczką Soliniec i innych włości; pan Darnicki wielki lubownik literatury tabularnej, szacował ją na trzydzieście tysięcy czerwonych złotych. Sierota po ojcu i matce, w wieku, w którym jeszcze potrzebowała macierzyńskiej opieki, pierwsze lata dzieciństwa swego przepędziła w domu Czułkowskich, która, jak sama twierdziła o sobie, równie dobre miała partje jak nieboszczka jej siostra, jedne tylko zrobiła głupstwo kiedy par inclinaison (tak się wyrażała) poszła za męża swego i odtądwędrujące z dzierzawy na dzierzawę pędziła życie, póki w końcu nie osiadła w Solińcach puszczonych jej przez świętej pamięci szwagra na lat piętnaście. Gdy później testamentem swoim ojciec Cyrylki zrobił pana Czułkowskiego opiekunem córki, tem więcej ciotka szanować musiała siostrzenicę, przez którą weszły do jej domu zamożność i dostatek. Od samego początku zaraz pieszczono ją i psuto, z bojaźni, by kto inny z dalszych krewnych nie odebrał z domu tej kurki niosiącej złote jaja, z czego jak łatwo przewidzieć było, Cyrylka korzystała niepomału; ciągle nowemi kaprysikami, pełnemi najrozmaitszego wdzięku, dręcząc i nudząc wszyskich koło siebie. Ileż to razy domowników i dzieci własne kuksowała i szturkała ciotunia, odwetowując na nich przymuszoną swoją dla siostrzenicy cierpliwość.

Cyrylka jak wszystkie dzieci, wykolebane pieszczotną szczęścia ręką, wcześnie zrozumiała położenie swoje i chociaż dobrem w gruncie i niedbałem sercem obdarzona, łatwo się z drugimi zapominała, zarówno prędka w gniewie jak i w przebaczeniu, z ciotką przecie miała się na ostrożności, i nieraz dała jej uczuć swoją nad nią przewagę. Lecz tymczasem czas uchodził, lata mijały, dzierżawa mogła się skończyć, pełnoletność nadciągnąć, a co gorzej, zamęście wskoczyć w drogę, trzeba więc było z coraz większą postępować ostrożnością z Cyrylką. Chętnieby ją pani Czułkowska od całego oddzieliła świata, a osobliwie od mężczyzn, w każdym bowiem z nich przeczuwała posagowego bohatera; lecz to nie tak łatwo dało się zrobić. Cyrylka bowiem lubiła towarzystwo, bawiły ją nadskakiwania młodszych i starszych, między którymi rej wodziła, i dzieckiem jeszcze będąc, tuzinami zbierała hołdy wszystkich gołych dziedziców, okolicznej szlachty; przytem lubiła stroje, z któremi trzeba się przecie popisywać pochlebną wzbudzać zazdrość, a na które pani Czułkowska prócz wielu innych, dla tej najważniejszej zezwala przyczyny, że wszystkie mnogie sukienki Cyrylki przechodziły zawsze na Marysię

http://rcin.org.pl

córkę pani Czułkowskiej, jakkolwiek pocieszne wyglądały niemiłosiernie rozpychane bujną tuszą panny Marjanny; bywały wprawdzie zatargi między ciotką i siostrzenicą o te wizyty częste, których przykrym skutkiem były rewizyty, przeciw którym wprawdzie pani Czułkowska w przeciwnym stosunku do fortec oblężonych broniła się głodem odpędzając oblegających. W końcu zaś Cyrylka miała broń ostateczną na ciotunię, której w razie gwałtownej potrzeby od niechcenia używała.

Tą bronią była pani hrabina Balińska, ciotka zmarłego pana Nieleckiego. Była to dama wielkiego świata i wielkiego tonu, bawiąca większą część roku w stolicy, nieprzyjaciółka wsi, a osobliwie dzierżawców, którzy zwykle wychodzili z jej dóbr milczkiem i piechotą, choć zajeżdżali szumno i dworno, i nigdy tego darować nie mogła pani Czułkowskiej, że jej mąż jest possessorem i opiekunem Cyrylki. Jako babka i matka chrzestna pisywała czasem do Cyrylki. pytając w każdym liście z pogardliwą grzecznością, jak się tam mają jej dzierżawcy, zapraszała przytem do miasta, w któremby przecie mogła otrząsnąć tę parafjańszczyznę, nabytą zapewne w Solińcach. Wiele tedy razy ciotunia wspominała o nieprzyzwoitości bawienia się z rówiennikami płci męzkiej w cztery kąty piec piąty, Cyrylka potakiwała z minką niewiniątka, i przepraszając za wszystkie nieprzyjemności jakie droga ciocia z jej ma powodu, wspominała w końcu, iżby chciała na czas dłuższy wyjechać do babuni. Na to zawsze Czułkowska wpadała w zapał tak mokry, iż mimowolnie Cyrylka wierzyła w przywiązanie tylu łzami poświadczone, i zostawała dalej w Solińcach swobodna i kapryśna. Babunia widząc, że nie może postawić na swojem, użyła wpływów jakie miała w stolicy, by na pana Czułkowskiego sprowadzić sądowe napomnienie, iżby się starał o lepsze wychowanie dla pupilki swojej. Był to cios niepospolity dla tego biednego męża, który nie mało się nasłuchał za siebie, i za hrabinę i za sąd; lecz daremne były fochy i gniewy, musiano przystać w końcu, by Cyrylka, którą po prawdzie Solińce wraz z sąsiedztwem nudziły niezmiernie, wyjechała w 14 roku na pensję do Lwowa.

Wprawdzie mąż najpokorniej przedstawiał, że możnaby sprowadzić do domu guwernera lub guwernantkę; za guwernera dostał kpa, za guwernantkę coś gorszego jeszcze; guwernantki bowiem bała się przez zazdrość małżeńską, a guwernera nienawidziła od czasu jak przeczytała Heloizę Russa, którą zdybała przypadkiem w bibliotece swojej siostrzenicy. Muszę tu bowiem nawiasem powiedzieć, że Cyrylka uczyła się podobno sylabizować na romansach, i na nich całe swe początkowe brała wychowanie. Ciotka nie śmiała się sprzeciwiać, rozumując przytem w głowie swojej, że lepiej romanse czytać, niżeli romanse odbywać. Corocznie też pan Czułkowski przywozi ze Lwowa stosy romansów, które księgarze znający go chowali umyślnie dla niego, przedając mu je jako najnowsze i najlepsze twory, chociaż po prawdzie były to nudne czuło sentymentalne ramoty stare jak świat, lecz zawsze przed kontraktami oprawione ładnie dla poczciwego dzierżawcy Soliniec. Wyjechała tedy Cyrylka nie bez płaczu

http://rcin.org.pl

do Lwowa, do pani Bzurskiej, mającej jedną z najlepszych pensji. Pani Czułkowska ryczała przeraźliwie, krzycząc, że umrze bez Cyrylki, uspokojona jednakże myślą, że babunia niebezpieczna w tym właśnie czasie wyjechała ze Lwowa do Karlsbadu, Badenu, Wenecji i Paryża na paroletnią podróż artystyczną.

Po latach czterech wróciła Cyrylka wyuczona już należycie, piękna dziewica jakeśmy widzieli, z dumą trzydziestotysięczną na białem czole, i modną bladością jakby mgłą na twarzy. I w samej rzeczy zajmująca była Cyrylka z tą twarzą, na której panował ten wyraz jakiegoś zadumania, które dla najgłębszego fizjonomisty bywa zagadką. Widok takiej twarzy, podobny do cichej, spokojnej, niczem nie pomarszczonej szyby wodnej, sprawia wrażenie moralne odpowiednie złudzeniu optycznemu, za pomocą którego zdaje się pod kryształową powierzchnią coś więcej postrzegać, nad to co jest i mimowolnie bierze chętką zgłębić ją; roją się muszle perłowe, koralowe krzaki, choć często błoto tylko na dnie. Trzeba więc było pochwalić się przed sąsiedztwem, sprawić oskomę okolicznej młodzieży, dogodzić Cyrylce, chociaż ta od czasu powrotu swego ze stolicy, ani wspomniała o dawnych towarzyszach i towarzyszkach, przeciwnie zdawała się szukać samotności; ztąd ten wieczór w Solińcach, przyczem miała pani Czułkowska, którą nie darmo nazywano Napoleonem w spodnicy, swój placek niezły, o którym później.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pogadanka wiejska.

Owoż tedy wracając do Soliniec, jest przy dworze Solinieckim ogród bez gustu, to się nazywa zwykle w guście angielskim; a w końcu tego ogrodu jest gaik smerekowy, a w tym gaiku zasiadło grono niewiast ustrojonych wytwornie, bo w to wszystko, co która posiada najlepszego. Dalej trochę grono dziewcząt, w którem mniej strojów, ale więcej kwiatów i wdzięków; w koło niego przesuwają się panowie i panicze sąsiedni. Choć w ogóle stroje wszystkie jak Bóg dał, nie trzeba przeto myśleć, że na wsi nie trzymają się mody, i owszem trzymają się jej, ale nadto zawzięcie, nadto długo, to też ta czarodziejka, ulotna i niewstrzymana, ledwie pojęta i ujęta przez wiejskie elegantki, już zmieniła postać i w dzisiejsze przebrana szaty, śmieje się w dalsze ulatując strony z modnisiów wczorajsze noszących suknie. Jest na wsi, powiedzieć to trzeba na pociechę całego społeczeństwa, wielkie zamiłowanie do mody, jest i ton wytworny, i przyzwoitość wielkoświatowa, i polor stołeczny, ale wszystko to razem wygląda jak pudło, w które elegantka skrzętna zsypuje wszystkie pozrzucane z siebie skarby wytworności; jest wszystko ale w dziwnym bezładzie; z niego to dobywają panowie i panie wiejskie, bez porządku, jak co pod rękę padnie, i nuż tem błyszczeć bez wyboru.

http://rcin.org.pl

Co z strojami to samo dzieje się i z naśladowaniem ułożenia modnego; onegdajszy czepek z wczorajszem kiwaniem głowy; wysoki obcas wczorajszy. z ukłonem niskim przedonegdajszym; zamarłe już mrużenie oczyma, z żyjącym jeszcze kutasowym toczkiem; przebrzmiałe dawno suwanie nóg, przy rozgłośnem zaokrągleniu połów frakowych. I cóż dziwnego? każdy i każda są modnemi, bo chcą być nimi, ale każdego i każdą różne zdarzenia w różnych czasach wodziły do stolicy po różne mody i różne zwyczaje modne. A im kto więcej przesadza, w tem co zasłyszał lub widział, tem modniejszym być się mniema, to też nierzadko zdybać można na wsi zgromadzenie, które wygląda jakby kto zrobił naumyślnie zbiór karykatur dawnych i dawnych próbek strojowych — istny quodlibet parawanowy!

Pierwsze chwile takiego zebrania się wiejskiego bywają najdramatyczniejsze choć milczące jeszcze, są bowiem poświęcone wzajemnemu oglądaniu się, nie twarzy dobrze sobie znanych, ale ubiorów, których mniejsza lub większa strojność jest często zawiązkiem późniejszych fochów, szeptów, przymówek i przedrzeźniań. Nie jedna pani wyjeżdżająca od siebie, ani pomyśli o tem, że ma na swej głowie termometr uczuciowy swoich wczorajszych przyjaciółek. Mniej więcej dzieje się to samo i w mieście, ale na wsi jest to uczucie zazdrości o częste mód wzory do większego posunięte stopnia. Czasem gdy się pojawia jaki arcymodny utwor, jakim jest naprzykład stroik na głowie nie bardzo już młodej pani Letnickiej, choć młodej jeszcze mężatki, umilkną na chwilę wszystkie zazdrości przed tem modnem arcydziełem, jak tuzinkowi pisarze przed prawdziwym jeniuszem. W takim razie zapał przejmuje wszystkie umysły, rozpromienia lica; języki na bezgraniczny tor pochwalny puszczone cwałują biegiem mazepowego rumaka; zazdrość otula się w skromniejsze uwielbienia szaty; łyszczące oczów spojrzenia wsiąkać się zdają jak w gąbkę wszystkie te arcydzieła urocze zaokrąglenia; i coraz potulniej i układniej łaszą się sąsiadki w około dumnej takim strojem głowy; a potem... O nieszczęśliwy stroiku pani Letnickiej! przez góry, lasy i doliny, po grudzie i po błocie, wśród wichrów, tumanów i deszczów nawalnych, w ciasne pudełko wciśnięty gonić będziesz bez odpoczynku, póki wszystkie okoliczne nie obiegniesz garderoby, wszystkie sąsiedzkich szaf i komód nie wytrzesz kąty, nie zemniesz się pod niezgrabnemi palcami, na próbujących nie zbruczesz się głowach; a potem, choć raz jeszcze przedwczesną skurczony starością zabłyśniesz całą swą pięknotą, będziesz musiał patrzeć na nieudolne naśladowania, które ci się z piętnastu czepców przedrzeźniać będą... jakby to dosyć było wyrwać z gęsi pióro, by nim władać jak Mickiewicz i Goszczyński, których mocno przepraszam za to porównanie.

I pan Sulicki ma się za modnie ubranego w fraku robionym ongi w Paryżu podobno, o czem wszyscy na palcach już wiedzą od lat wielu; a warto uważać jak krytycznym rzutem oka spogląda na ubiory panów Darnickich braci; a przecie jednego frak, drugiego czamarka, trzeciego bluza aksamitna obciuśięta paskiem lakierowa-

http://rcin.org.pl

nym i klamrą spięta, byle ich tylko spytać, podług żurnalu były robione we Lwowie. Są to nieszczęśliwi bracia! wszyscy trzej chorzy mocno, jeden na pana, drugi na reumatyzm, trzeci na głowę. Ten trzeci Benjaminek w bluzie, którą nie wiem z jakiego przekopiował żurnalu, dla wielkiej wytworności nosi nawet brodę rudawą, która niemało dodaje wdzięków wymokłej i bladożółtej twarzy jego. Pewny siebie, ani mu to przez głowę przejdzie, że chichoty, które od niejakiego czasu panują w wesołem gronie dziewcząt, do niego się stosują; krąży z daleka, a oczami, którym na gwałt dodaje wyrazu romantycznego a śledzi za panną Cyryllą.

— Czy uważasz Cyrylko? — rzekła wyginając się na wszystkie strony panna Michalina Sypińska — jak on dziecinnie niewinnie wygląda w tej bluzie, jakby student na wakacyach... I zaśmiała się sama z dowcipnego konceptu; trzeba zaś wiedzieć, że panna Michalina, żywa, roztrzepana często grywała w ciuciubabkę z dowcipem, który złapać udawało się jej czasami, i którym starała się zastąpić brak wdzięków a zbytek latek.

— Raczej Romea z opery Belliniego, którą słyszałem we Lwowie.

— A ciebie Juliettą chciałby mieć.

—Mnie! mnie !.. ja mniemam, że nie każdy może być Romeem, ani też każda Juliettą; i nadto mało się znamy — odpowiedziała Cyrylka, podnosząc się dumnie jak królowa, czyli raczej jak bohaterka romansu.

— Czyliż zapomniałaś wasze dawne gry i zabawy, w których zawsze wybierałaś Benjaminka? — przerwała panna Róża córka pani Parnickiej, która podwójnie zaczynała nienawidzieć Cyryllę jako uboższa heritiera i jako dotychczasowy przedmiot zabiegów Benjaminka.

— Gry dziecinne nikłe to pamiątki; w życiu wyższem, lepszem myśli tylko i uczucia stanowią.

— Czy tylko moja Róziu nie zazdrość z ciebie przemawia? — wtrąciła złośliwie Michalina.

— Zazdrość! — i skręciła noskiem Rózia — zkądże przychodzisz do tej myśli? między nami żadnej nie było miłości! — przynajmniej z mojej strony...

— Co wy wiecie, moje drogie towarzyszki, o miłości! — poważnie przemówiła Cyrylla, i wzniosła oczy ku niebu.

Towarzyszki zaś złośliwie spozierały to na siebie, to na zadumaną Cyryllę, chociaż większa część spojrzenia tego spoczęła na ślicznej sukience muślinowej, kształtnie obwiewającej piękną kibić, z której jakby z mgły występowły białe jak marmur plecy, i blada twarz romantycznej dziewczyny.

— Ciszej duszko, bo idą ku nam siostrzyczki Romea.

— A szeroko! a poważnie! znać doświadczenie! — i śmieją się coraz weselej i coraz głośniej.

Przedmiot śmiechu panny Michaliny i panny Róży zbliżał się tymczasem krokiem poważnym i zamaszystym, dzięki własnej tuszy i balonowym dadatkom. Były to panny Nikodema i Franciszka Dar-

http://rcin.org.pl

nickie, Jedna była starszą starą panną, druga młodszą starą panną. Młodsza, panna Franciszka, miała na sukni białej krochmalnej i fałdzistej rodzaj spencera czy kurtki polastej, czarnej aksamitnej, nabieranej zapewne z bratem w jednym sklepie i z jednej sztuki. Potym stroju upstrzonym u obydwóch mnóstwem szalików, wstążek i kwiatów i po całej postawie widać, że mimo wielu odczarowań, zawodów, przegranych bitew i klęsk zadanych, od niemiłosiernego wieku ustąpić nie chciała. Kiedy serce nie starzeje, mniejsza o wdzięki znikome!

— Jak się masz? Jak się masz? — wrzasły panienki, i nuż się uściskać, nuż całować, a dopytywać o zdrowie tak szczerze, tak czule, przyczem niepomału wpatrywały się w aksamitny strój. Cyrylla skłoniła się z uśmiechem grzecznym, którego jednakże większa część zdawała się niknąć w mgle zamyślenia.

— Tak dawno nie byłaś Franusiu między nami; czy dobrze się bawiłaś?

— Byłam na dwóch balach.

— Na balach! opowiadaj! czy tańczysz wiele...

— A serduszko czy wolne jeszcze? — dodała Michalina z uśmiechem złośliwym, wiedziała bowiem, że ta przymuszona wolność serca, była najdotkliwszą stroną panien Darnickich.

— Zawsze pełna dowcipu — odgadła Nikodema z wyrazem uroczystym, którym wszystkie zbywała rozmowy.

— O moje serce nikt nie pyta! — tragicznie zagadł chory na głowę, który przez ten czas niby od niechcenia, bo to modnie, zbliżył się do Cyrylki, obojętnie przed się patrzącej.

— Róziu! chodź tu! — zawołała pani Parnicka, która od dawna patrzała z niesmakiem na przeniewierstwo Benjaminka.

— Jaka ślicznie wygląda! a jak urosła!.. a jaka ładna!.. Co za płeć — krzyknęły wszystkie panie.

— Prezentuje Pani Dobrodziejce moją córkę, którą nie widziałaś jeszcze, odkąd wróciła z pensyi.

Na słowo pensja uśmiechnęły się sąsiadki, wieść bowiem chodziła, że panna Róża Parnicka przepędziła lat parę w jednym z magazynów modnych stolicy.

Zagadniona przez panią Parnickę, była to pani ledwie trzydziestoletnia co do postawy i twarzy, choć wedle metryki często wspominanej na wsi i stroju za poważnego na okalające ją ubiory, miała przeszło czterdzieście lat. Jak strojem tak i całem ułożeniem swojem pełnem słodkiej powagi i szlachetnej przyzwoitości, różniła się od całego tego zebrania, jakby obraz mistrzowski od zbioru karykatur. Twarz jej nie była piękną, ale w wyrazistych rysach przebijał się jakby profil starej rzeźby rzymskiej. Była to jedna z tych twarzy, w których niewiedzieć co przeważa, czy powaga wzbudzająca cześć, czy słodycz przywiązująca do siebie. A co najdziwniejszego, iż całe towarzystwo kłócące się z nią powierzchownością swoją jest dla niej z uszanowaniem i uprzedzeniem tem dziwniejszem, że pani Dolińska była dziedziczką bardzo małej wioski, a jej mąż prócz tytułu sekwestratora, żadnego innego nie dzierżył za-

http://rcin.org.pl

szczytu. Wszystkie jednakże chichoty, szepty i przymówki tak zwyczajne w wiejskiem towarzystwie, milkły a przynajmniej kryły się przed nią: miała ona przewagę cnoty, której mimowolnie wszyscy hołd oddawać muszą.

Każda niemal okolica ma taką jedną, czasem więcej takich osób, świadczących sobą i otaczającem ją uszanowaniem najlepiej, że na wsi jest jeszcze wiara w cnotę a więc i grunt cnotliwy być musi. Zepsucie jak gąsienica przyłazi milczkiem, ogryza listki, psuje kwiaty, czasem zkarli lub skrzywi owoc, zeszpeci całe drzewo, ale pień zostanie zdrowy i cały; niechaj jeno jedna lub druga przyjdzie burza, deszcz i wicher spłucze lub otrzęsie gąsienice, a drzewo ozdrowieje, bo ma jeszcze w sobie soki żywotne. Zepsucie zatem powierzchownie z wewnątrz pochodzące bywa cechą niektórych wiejskich towarzystw; można się roześmiać, podrwić, ale nie pogardzić. Lecz jeżeli, jak się to nieraz zdarza widzieć na wielkim świecie, zepsucie to idzie od korzenia, jeżeli nie gąsienicą na liściach ale robakiem w rdzeni zjada soki żywotne, to tam nie zdybiesz już towarzystwa skupionego w około poważnej matrony, ale salon obskakujący damę mody, damę francuzkich dowcipów, damę zalotności i intrygi: tam już nie na śmiech ci się zbierze, ale na płacz, nie na drwinki i dowcipy, ale na odrazę i pogardę.

Pani Dolińska była to kobieta więcej praktyczna niżeli idealna; życie pożyteczne przenosiła nad życie przyjemne, obowiązki nad zabawy; czytała wiele ale z wyborem, a zawsze miała na celu wychowanie Amelki jedynaczki swojej, i dobro wieśniaków, których była opatrznością. Złośliwi twierdzili, że jest zimna i obojętna, bo łzy swoje nietrwonione na tuzinkowe nieszczęścia sąsiedzkie, chowała na uczucia ważniejsze, które żywo i z zapałem odbijały się w jej sercu Polki i matki. Ona łzy swoje nie rozrzucała jak kulfony uczuciowe po targach towarzyskich. A przecież były chwile samotne, w których zamknięta u siebie gorzko płakała, gdy drugie kobiety krótkiej żałoby brzemie zrzuciwszy tańcowały już wesoło. I jej życie choć ciche i domowe na pozór, nie było bez uczuć i zdarzeń niepojętych światu, bo jej język nie był historykiem dziejów domowych. Ona była żoną nieszczęśliwą, źle zrozumianą.

Małżeństwo niedobrane, dramatyczny to żywioł, bo są w niem walki ogromne. I pyszny to dramat, jeżeli w tej walce zwycięża cnota, dusza zwalczy ciało. Taką była pani Dolińska w tej wiejskiej koterji; i przepraszam, jeżelim się tak długo rozpisał, alem ją znał, i chciałbym ją zdybać jeszcze, zdybać nie raz.

— Ładne dziewcze! — przemówiła w odpowiedzi, i pogłaskała rumieniące się policzki panny Róży. — Amelko czemu nie bawisz się z rówieniczkami swemi?

Amelka był to aniołek osiemnastoletni obłoczkiem jasnych włosów otoczony, świeża jak pączek róży przed wschodem słońca, które ją jeszcze gorącemi promieńmi swemi nie powołało do życia i do zwiędnienia; serce jej było na twarzy uśmiechającej się, było w oczach łagodnych jak niebieska ich barwa, było na ustach małych, było w jej rozmowie szczerej i wesołej. Skacząca dzień cały jak motylek, szcze-

http://rcin.org.pl

biotka wesoła jak skowronek, byłaby od dawna już nie siedziała przy matce, gdyby ją chętnie towarzystwo panien przyjęło do grona swego. Lecz te nie lubiły Amelki, mówiąc, że to dziecko jeszcze, choć nie chciały powiedzieć, że to dziecko ładne i dobre, obok którego trudno się było wydać pięknemi.

— Cyrylko! ma mie! — ozwała się gospodyni — uściśnij i zaproś do was śliczną Amelkę.

Zbliżyła się Cyrylka powolnie, i chętnie uścisnęła Amelkę z uczuciem tak spokojnem jakby uczuciem matki.

— Jakże Cyrylka podobna do matki; — zagadała pani Dolińska i jakiś dziwny wyraz zadziwienia i żalu zabłysł na jej twarzy. — Znałam ją dobrze! — dodała, i Cyrylce, która jak prawdziwa gąbka romantyczna chwytała łatwo wszystko to, co miało pozór smutku zdawało się, że dostrzegła westchnienie.

— Pani znała moją matkę!... ona była nieszczęśliwą!...

— Nieszczęśliwa? zkądże ci ta myśl; jam tyko myślała w tej chwili o jej śmierci przedwczesnej.

— O musiała być nieszczęśliwą! ja to wiem!... bo to rodzinne nasze przeznaczenie! — dodała Cyrylka ciszej z wyrazem tak tragicznym, że aż musiał się kobiecie doświadczonej wydać śmiesznym.

— Nie wierz temu dziecię moje! — odpowiedziała pani Dolińska — nie marz tylko ale żyj.

Lecz Cyrylka już się odwróciła, ciągnąc za sobą przez zapomnienie Amelkę zarumienioną po uszy. Tamte panie tymczasem około Rózi skupione nie skończyły jeszcze oględzin, osobliwie bransoletek tak ciężkich choć ładnych, że się im wydały nieprzyzwoitemi na ramieniu dziewczyny dwudziestoletniej.

— Piękne bransoletki! — ozwała się jedna.

— Zapewne bronzowe! — dodała druga.

— O nie! te bransoletki są massif, — odpowiedziała zapyrzona nieco pani Parnicka.

Zamilkły panie, na chwilę przekonane słowem massif.

— Trzeba już myśleć o wyprawie! — przerwała milczenie pani Rzepnicka, dama obdarzona wielkim nosem, większym garbem, a największym czepkiem, na którym taka była rozrzutność kwiatów i wstążek o barwach krzyczących, iż jej głowa wyglądała pół tęczą, a pół ogrodem.

— Dziecko jeszcze! — odpowiadała matka, — dosyć będzie pomyśleć o tem za lat kilka, — dodała poprawiając się i wykrzywiając wyschłe i zawiędłe swe usta do uśmiechu zalotnego, zwróconego do grona mężczyzn.

— Pani sama tak ślicznie wyglądasz! — zagadła pani Sypińska, — sama myśleć możesz o powtórnem zamęściu.

Rumieniec jaskrawy pokrył lica pani Parnickiej; powtórne zamęście, to najmilsze było jej marzenie dzienne, najpożądańsza mara nocna; ale pierwszy mąż żył jeszcze choć nie z żoną, a rozwód niepodobny prawie, o czem poczciwa przyjaciółka wiedziała dobrze. Od-

http://rcin.org.pl

wróciła się zmięszana do pani Dolińskiej, która zasłyszawszy, o co rzecz idzie, wprowadziła ją w inną rozmowę.

— A ten Bylecki, co to niby dzierżawę u niej trzyma! — szepnęła pani Sypińska do pani Letnickiej.

— Czy może być! taki prostak! był podobno leśniczym, czy jakimś prowentowym pisarzem.

— Tak, ale młody i zdrów.

— To prawdziwe gospodynie! o prowentach rozmawiają — przerwała głośno pani domu. — Jakie też urodzaje u pani? — dodała zwrócona do coraz więcej pomięszanej Parnickiej.

— Tak! tak! dosyć dobrze!

— Tylko posucha nieco zaszkodziła! — odezwał się Jegomość, który dotąd nieruchomy i nic niemówiący zdawał się służyć tylko za podporę piecowi, na którego zyzem spoglądała pani Parnicka. Był to mężczyzna wysoki, silnie zbudowany i przystojny o tyle, o ile rysy wszelkiego znaczenia i szlachetności pozbawione mogą się nazwać przystojnemi; był to jednem słowem pan Bylecki, przyjaciel, pomocnik gospodarczy i dzierżawca pani Parnickiej, przedzierzgnięty na salonowca. Strój zaś na nim wykwintny, jasnobarwny i zbiorowy przypominał nieco przebranie maskaradowe.

— Ta przeklęta posucha! — ozwał się wolniejszy w towarzystwie pan domu — żeby choć jeden deszcz, toby moja pszenica...

Spojrzała żona na męża, i mąż zamilkł nagle — Każ dawać herbatę! — rzekła i mąż znikł jak kamfora.

— Już to i deszcz niekoniecznie potrzebny! — ozwał się inny.

— Pan zapewne sianokosów nie pokończył?

I jeszcze czas jakiś ciągnęła się rozmowa o pogodzie, słocie i tym podobnych kalendarzowych przedmiotach, w których biedny Knauer był w obrotach. Przemiany atmosferyczne, to wielkie dobrodziejstwo na wsi! i nie dla gospodarzy tylko, jak może mniemają piękne czytelniczki moje; z gospodarzami nieporadna godzina; posuchę i deszcz chcieliby oni zmieniać nieustannie jak dekoracje teatralne, i toby im nie było dosyć; a to dla tego głównie, że te przejścia ze słońca do deszczu są najbogatszem źródłem pogadanki wiejskiej. Gdyby nie to słońce, co dziś tak pięknie świeci, a ten deszcz fatalny, który wczoraj tak (bo na wsi deszcz zawsze „idzie"), o czemże by mówiono? — jest to przedmiot niewyczerpany, w koło którego grupują się powiedzenia odwieczne nieruchome, jak skały przedpotopowe koło wiecznym ruchem połuszczonego strumienia.

I urwało się, bo się wszystko na świecie urywa.

A tymczasem między pannami rozmowa nieskończona jeszcze o balach.

— I dużo było oficerów na balu?

— Było ich tam dosyć, ale my mieliśmy naszą koterję.

— A jaki regiment stoi w tej okolicy? — zapytała panna Rózia, ciekawa czyli nie zdybie stołecznych znajomości.

— Huzary jacyś!

http://rcin.org.pl

— A huzary! to bardzo ładny mundur.

— Czy wy tu na wsi bawicie się z wojskowymi? — zagadła Cyrylka, nadchodząca w tej chwili z Amelką.

— A dla czego nie? — odpowiedziała Róża rezolutnie.

— Ich wychowanie, życie obozowe, ciągłe roztargnienie — mówiła poważnie Cyrylka, cieniując swoją mowę jak i twarz jakimś rodzajem czułości uczuciowej — robi ich niezdatnemi do tej rozmowy wyższej, umysłowej, głębokiej a delikatnej razem, która powinna być sferą kobiety dzisiejszej, kobiety emancypującej się.

— A potem to nie są nasi! — nieśmiało wtrąciła Amelka, a twarz jej zarumieniła się.

— Nie wiele też na nich uważano — ciągnęła dalej panna Franciszka — niema ani jednego bogacza między oficerami; lecz było wiele obywatelstwa; była hrabina Dyniecka i młodzi hrabiowie Dynieccy, to bardzo miła rodzina, ludzie z tonem i przyzwoitością.

— I śliczną mają fortunę! — dodała uroczyście panna Nikodema.

— Już to nie ładni; jeden z nich garbaty podobno.

— Ale pełen dowcipu.

— I rządny bardzo.

— Czemu się nie żenią? czy tylko panna Franciszka? — zatrzepała Michalina, i palcem grożąc dodała: — Coś bardzo w nich gustujesz?

— Przyjemni w towarzystwie, ale na mężów nie wiem...

— Biedne chłopaki chorowite! — podchwycił dowcipny Benjaminek.

— A żebyś wiedziała Cyrylko! — szepnęła Michalina — jak całą rodziną baki im świecą; najstarszy Darnicki, ten w bronzowym fraku, co tak poważnie rabinowskim przechadza się krokiem, co roku przez kilka miesięcy odbywa służbę u panów hrabiów Dynieckich; nie zły dawniej, ale teraz zupełnie zdyniecżał; a jakby to oni chcieli siostrunie wyswatać.

W tej chwili zbliżyła się herbata poprzedzona przez Jagusię, najstarsze dziecko państwa Czułkowskich, która łączyła swoich lat czternaście z kształtami tak już ukończonemi a nawet przesadzonemi, że się daleko starszą wydawała. O młodości wieku świadczyły tylko głowa małoletnia i głosik fistułowy, który zabawnie się wydawał wychodzący z grubych ust i tej twarzy okrągłej jak księżyc w pełni a rumianej jak u praczki! — twierdziła panna Michalina.

Benjaminek tymczasem okrążał bezustannie Cyrylkę, chcąc to słowem to okiem wzbudzać jej uwagę.

— Czego pani tak zamyślona? — zapytała wreszcie aksamitna bluza.

— Czyż można być kiedy bez myśli?

— Tak!... ale jest coś w oczach pani, coś takiego... co...

— Te co, jest prędzej w oczach pana, które jak uważam fałszywie widzą.

— Ach moje! moje ja wypatrzyłem! — na potwierdzenie czego wyszczerzył Benjaminek siwe oczy swoje.

http://rcin.org.pl

— Za Rózią zapewne! — roześmiała się Cyrylka i zostawiła go.

— Za Cyrylką może! — zaszydziła szeptając pałająca gniewem Rózia.

— Jak pan pobladł! — zachichotała panna Michalina...

Tymczasem gwar ogólny ucichł, wszystkie bowiem panie i panowie, jakkolwiek z własnego wiedzieli doświadczenia, że ich tylko ciepła woda oczekuje zaprawiona mnóstwem doskonałych i zdrowych ziółek prócz chińskiego, porwali się do filiżanek. Nie bez tego, żeby się jaki tu i ówdzie nie ozwał szept w czasie przestanków herbacianych, między sucharkiem a chlebem z masłem. Już to na wsi szepta się wiele, i choć nie zawsze te szepty stosują się do czego ważnego, lub do kogo przytomnego, mile to widzą szeptający, jeżeli drudzy wierzą w ilość ich tajemnic, lub do siebie biorą najniewinniejsze pogadanki: o pogodach, krowach, jajach i t d.

Jest to rodzaj wiejskiego dowcipu, wygodniejszy nad ten, którym się trzeba głośno z przytomnością i rzutkością popisywać w większym świecie.

— Powiedz mi pani? kto jest ten gruby jegomość w surducie?

— A to Doleski! — odpowiedziała Sypińska — choruje na autorstwo, na uczoność...

— Może gorzelnik! — przerwała gospodyni.

— On podobno ubogi?...

— Tak! tak! ale jeżeli się nie mylę, musiały się poprawić interesa jego, bo ma podobno nowy surdut.

— Tym razem omyliłaś się pani — przerwał pan Żytowski, wysoki i chudy poczciwego serca sąsiad, który z niesmakiem dosłyszał tej w pół głośno szeptanej rozmowy — to tylko guziki nowe!...

Pani Sypińska zajadła tę sprawę guzikową sucharkiem i zapiła herbatką.

— Przepraszam moje panie — przemówiła gospodyni, obwijając głowę wielką chustką w ogromne kraty: — nieznośnie mnie głowa boli...

— Biedna! — Proszę kogo, co to za nieszczęście! — Wody kolońskiej — chrzanu! — Nogi trzeba wymoczyć! — sypnęły się rady, jak recepty z kieszeni lekarza udanego na maskaradzie.

— Ach ten ból głowy! — szepnęła cichutko pani Sypińska z złośliwym wyrazem na twarzy.

— Jak to? co pani pod tem rozumie? — zapytała pani Letnicka.

— Ja nie wiem — i skupiły się głowy pań — ale powiadają, że pewnego poranku skarżyła się idąc do szafeczki, w której różne są dobre jadła i na-po-je... „jakoś tak ja do szafeczki, a szafeczka do mnie!“...

— Nie może być! — To lubi! — Lubi sobie pozwolić! — Ha! ha! ha! — zaśmiały się kochane sąsiadki na całe gardło, a tak szczerze, aż się herbata polała z filiżanek.

— Czego panie się śmieją? — grzeczna spytała gospodyni.

— Bo to pani!...

— Pani taka żartobliwa!

http://rcin.org.pl

— To nie ja! — i znowu śmiech z śmiechu, a najgłośniej śmiała się gospodyni, by nie mieć pozoru, że nie wie o co idzie.

I w gronie dziewcząt śmiech panuje wesoły.

— Co też pan wygaduje? czyż można grać w taką grę?...

— Ja nie chcę! — I ja nie!...

— Ależ wierzcie panie słowu memu, a jeżeli nie wierzycie spytajcie brata mego, że grał w tę grę u Jenerałostwa.

— Cóż to? — poważnie zapytał chory na pana.

— Pan Benjamin każe nam grać w męża i żonę.

— W istocie graliśmy w nią; ja choć nie lubię les petites jeux nie mogłem odmówić; księżna córka Jenerała była żoną, a ja mężem.

— A widzicie panie! ja będę mężem, a...

— Ja nie chcę być żoną. — I ja nie! — krzyknęły panienki zaczerwienione jak buraki.

— I pani nie chcesz być żoną moją? — zapytał Benjaminek Cyrylki z wyrazem tkliwym i filuternym razem.

Milcząca dotąd pogardliwie Cyrylka, zmierzyła bluzę aksamitną i rzekła po chwili: — Za poważny przedmiot na grę lub żart.

— Bogdaj to był żart! — wyjęknął chory na głowę i rzucił się w tył z wyrazem rozpaczy tak silnym, aż piękną bluzą a bodaj czy nie czem więcej uderzył w świerk.

— A propos! — zagadała w gronie pań garbata Rzepnicka, która dotąd w milczeniu zajadała — czy dawno też u pani była hrabina Galicka?

— Nie wiem... nie pamiętam.

— Przeszłej niedzieli była u nas! — przerwał pan Czułkowski.

— Nie wiedzieć co pleciesz! — wykrzyknęła gospodyni, a wzrok jaki rzuciła na męża był morderczy.

— Pani Dobrodziejka w przyjaźni podobno z hrabiną?...

— Tak, znamy się od dawna, bo uważa pani Sypińska sąsiadowaliśmy jakiś czas — zapyrzona odpowiedziała gospodyni, a dziwnie wdzięcznym ruchem palców towarzyszyła żywej mowie; mimiki tej bowiem w domowych walkach wyuczonej nie mogła się odzwyczaić — ale przyjaźni uważa pani Parnicka nie było między nami, bo jakkolwiek wiele przypuszczają w świecie, są rzeczy...

— I zawsze mieszka hrabina w domu barona...

— Czy być może?

— A to zgroza!

— Co się to dzieje w tych czasach...

— To te romanse francuzkie! — przerwała pani Parnicka — jak zaczną pisać Bóg wie co...

Zasłyszawszy wspomnienie o francuzczyźnie, poprawił halsztuka pan Saliski i zbliżył się do grona. — Już to literatura francuzka zawsze doskonała, ale wyznać trzeba, że nowsi pisarze nie wiele dodali do dawnej sławy.

— Przeciwnie ja myślę — rzekła z zapałem Cyrylka, przystępując szybko do grona pań — że nic piękniejszego być nie może nad dzisiejszą literaturę francuzką; gdzież więcej jest czucia, większe

http://rcin.org.pl

rozumienie potrzeb serca, prawdziwa anatomia uczuć. Balzak sam jeden utworzył nową szkołę uczuciową pełną wzniosłych myśli, poezji...

— Dobrze i pięknie mówisz moje dziecię! — ozwała się pani Dolińska — ale Balzak pisze o jednej części swego zgangrenowanego towarzystwa; na cóż mamy przyswajać sobie smutną jego naukę, my, którzy nie mamy jeszcze ułożonego towarzystwa, i bogdajeśmy nie mieli takiego jakie zdybiesz w pismach jego; na co nam jego pisma anatomizujące serce, byśmy jego pysznem piórem olśnieni, obznajamiali się z tem mnóstwem chorób serdecznych, uroczych stylem, ale niepożytecznych, a nawet szkodliwych. Dla nas moja Cyrylko są potrzebne dobre matki, któreby rozumiały świetne przeznaczenie swoje, ale nie bohaterki romansów, nam potrzebne są żony, gospodynie wiejskie, panie rozumiejące potrzeby biednych kmiotków, nie panie salonowe, bo życie narodu naszego i przyszłość jego nie w miejskich salonach wyrabia się, ale w wiejskiej ustroni, na naszych polach i stepach, wśród tego ludu rolniczego i pocz iwego, który oświecać, którym kierować trzeba dla nich i dla siebie.

Wszyscy milczeli, chociaż panowie sąsiedzi skrzywili się na wspomnienie o kmiotkach; lecz milczeć nie było w usposobieniu Cyrylki.

— Gdybym — rzekła ona — mogła kiedy zrozumieć powaby życia wiejskiego, życia bez rozmowy, bez wyższych uczuć, bez tych książek, które umysł i serce rozpalają, wznoszą w wyższy, w lepszy świat, pani jedna mogłabyś mnie przekonać, lecz inna jest myśl moja, inna przyszłość!...

— Moja Cyrylko! tyś młoda, wierzę, że ci płomieniste wyrazy tych pism dzisiejszych przypadły do smaku, a ponieważ zawcześnie może czytać zaczęłaś, i czytanie stało się potrzebą, czytaj jeżeli chcesz umysł zapalić dzieje twojego narodu, w nich zapalaj się do przeszłości, którą przekażesz synom swoim, jeżeli ich mieć będziesz; a cóż więcej zdoła ci serce rozegrzać, jeżeli nie nasi poeci polscy: Mickiewicz, Goszczyński, Bohdan Zaleski, Magnuszewski?

— Pięknie piszą, to prawda! lecz nie zrozumieli oni serca całego, nie pojęli potrzeb serca kobiety.

— Moja droga! oni rozumieją tylko serce Polki, a tyś nią przedewszystkiem być powinna. Przyjedź do mnie, córko mojej przyjaciółki, ja cię pogodzę z piśmiennictwem polskiem...

— Już to i Mickiewicz pisze piękne wiersze — przerwał Suliski — ale Boileau, Racine, Corneille, Voltaire to są poeci, to są wzory dla piszących! — Pana Suliskiego bowiem umysł i smak literacki był na równi z jego biblioteką, kiedyś odziedziczoną i nabytą, którą przez oszczędność niczem odtąd nie odświeżył.

— Już to uważa pan Suliski, muszę i ja się upomnąć za polską literaturą; naprzykład Rynaldo Rynaldini, co za cudowna powieść!

Pani Czułkowska ani się spodziewała, że tem powiedzeniem zabiła całą rozmowę literacką; pani Dolińska spuściła oczy, sąsiadki się uśmiechnęły, Suliski skręcił się na pięcie, a Cyrylka westchnęła pomyślawszy w głębi swej duszy: „tu mnie nikt nie rozumie!“

http://rcin.org.pl

Gospodarz, mając sobie za obowiązek przerwać to ciężące na towarzystwie milczenie, wyrzekł po długim i zapewne ciężkim namyśle miarkując po kroplistym pocie jaki mu na czoło wystąpił — Dzisiejsze zaćmienie zalterowało żonę moją, bo to muszę państwu opowiedzieć...

— Przestań duszko opowiadać! — cierpko odrzekła małżonka — i każ dać świateł do sali, bo już ciemnieć zaczyna... może wejdziemy.

Było jeszcze przy wejściu do pokojów wiele ceremonij, wiele etykiety, zanim sąsiadki i sąsiedzi po wielu dyganiach, przepraszaniach, suwaniach, przemawianiach i zaklinaniach nie wepchnęli gwałtem prawie do sali tych, których uważali za najgodniejszych. Została w ogrodzie Cyrylka, zamyślony wzrok rzuciwszy przed siebie, jak gdyby coś odległego dojrzeć chciała; zatrzymała się przy niej Amelka, którą zajęły mimowolnie zamyślenie i smutek na twarzy Cyrylki; dla dobrego jej serca było tam cierpienie, w którem pocieszać tak miło, a dla umysłu dziewiczego wskakującego już marzeniem w przyszłość była ciekawa tajemnica. To ją zatrzymało i wiązało do Cyryliki.

— Posłuchaj mamy i przyjedź do nas — nieśmiałym wyrzekła głosem — ja cię tak kochać będę.

— Kochać! — żywo i z deklamacją odpowiedziała Cyrylka, — kochać! — powtórzyła, i oczy jej, gdy spadły na ładną i miłą twarzyczkę Amelki, mimowolnie nabrały wyrazu prawdziwszego uczucia. — Ty nie wiesz, co to kochać!

Zaczerwieniło się osiemnastoletnie dziecko. — Ja kocham mamę, i...

— I — powtórzyła Cyrylka — a wzrok jej miejski zmuszał niewinną wsi wychowankę. — I ja kochałam! — dodała z westchnieniem tak silnie cieniowanem, aż się zakręciły łzy w niebieskich oczach Amelki. — Przyjadę do was, moja droga, tyś młoda, ty mnie zrozumiesz.

Tymczasem w sali rozmowa, która dotąd była jak widzieliśmy rozerwaną, skaczącą, różnolitą, zaczynała skupiać się w koło jednego przedmiotu, bo rozmowa na wsi to jak kłębek wspólny, z którego sąsiadki ciągną bez ustanku niteczkę po niteczce; wiele w nim jest końców dłuższych i krótszych, lecz niech się trafi nić dłuższa, wszystkie i wszyscy jak się wezmą do ciągnienia, tak to zręcznie i z upodobaniem robią, że możnaby ich bezpiecznie użyć do wyciągania solitera, którego jak wiadomo broń Boże urwać.

— Słyszałyście panie? — wyciągnęła garbata pani nić, której sąsiedztwo dawno pragnęło, a przy tej pani była zwykle inicjatywa najdłuższych pogadankowych nici — o nowym sąsiedzie naszym?

Nowy sąsiad na wsi, to nowość ciekawa, przedmiot obfity; zaiskrzyły się oczy sąsiadek i sąsiadów.

— A pan Wyżelski! co kupił Łopuchów! Już to właściwie, — przemówił poważnie i pomału mąż pani garbatej, wpychając potężną szczyptę tabaki do obszernego nosa — nie on kupił, ale ojciec jego, który żyje dotąd.

— I zapewne nie myśli umierać!

http://rcin.org.pl

Fundacja im. T. T. Michalskiego Ze zbiorów

— Ale paraliżem tknięty! — przerwała gospodyni nadzwyczajnie dobrotliwym głosem.

— Więc Łopuchów nie jego?

— A żyje jakby siedział najmocniej w tabuli.

— Odgrywa pana, jak mi mówiono...

— Pana! — rozśmiał się pogardliwie chory na pana; — hrabia Tadeusz Tyniecki mówił mi, że ród jego bardzo niedawny; ojciec jego dorobił się fortunki, chodząc po possessjach, handelkiem i lichewką...

— Lichewką! proszę kogo!

— A jakie fumy, cugi, ekwipaże!

— Czy był u państwa? — zazdrośna zapytała Parnicka.

— Nie był jeszcze! — odpowiedziała gospodyni z pewnym przyciskiem, który sąsiadkom zabił klina niepospolitego.

— Nikomu dotąd nie oddał wizyty, choć ostatni przybył do naszej okolicy.

— I niby to z wielkiego przyjeżdża świata, z Przemyskiego.

— Powiadali mi, że ma coś nieprzyjemnego, źle ułożony.

— A brzydki, powiadam państwu jak grzech śmiertelny — wskoczył Benjaminek, poprawiając skórzanego pasa i przeglądając się w zwierciadle.

— Chudy, słyszę, okropnie! — dodała tłusta pana Jagusia.

— W głowie ma być pstro.

— Cóż dziwnego! nic nie czyta... nawet Konstytutionela nie trzyma.

— Ani rozmaitości.

— Niechże sobie siedzi, nawetby porządnego dyskursu nie można było poprowadzić.

— Ach to prawda, jak to miło bawić się przyjemną i naturczającą rozmową.

— Ja to lubię pasjami.

— To moja słabość.

— Cóż może więcej rozrywać na wsi, jeżeli nie rozmowa?

— Listu porządnego nie umie napisać; czy uwierzycie państwo, że do każdego listu daje mu koncept żona?

— Czy być może?

— Żona dyktuje!.. ha! ha!

— Ja nie pismienny, a przecież listy — zagadł i zamilkł gospodarz trafiony strzałem żoninego wzroku.

— To on żonaty? — ozwało się kilka głosów z grona panien: — żonaty! — powtórzyły z tonem żałośnie pogardliwym, z jakim w bajce odchodził lis od winogron, i poleciały nazad grać w cztery kąty, a piec piąty.

— Czytałem jeden list jego — ciągnął poważnie pan Rzepnicki Dyzma, który lubił przybierać na się postać krasomowcy — pisany do pana Czyliskiego.

— Ach ci Czyliscy!

— Zdaje mi się, że bywają u kochanej pani.

— Chwała Bogu, przestali już bywać, bo uważa pan Rzepnicki,

http://rcin.org.pl

ta Czyliska i jej siostrunia rozgniewały się na nas, żeśmy w czasie ich wizyty gadały między sobą po francuzku.

— Jak gdyby kto był winien, — dodała nadpływająca Nikodema — że nie umieją po francuzku.

— Przeciwnie, zrozumiały one, że była mowa o ich strojach — zagadł pan Żytowski — ale nie chcą występować z językiem, którym trzeba albo mówić dobrze, albo wcale nie.

— Już to moja Jagusia doskonale mówi po francuzku, bo się uczyła od francuza z profesji.

— I jakże było z tym listem pana Wyżłowskiego — zapytała ciekawie pani Parnicka.

— Pisał, prosząc o pożyczenie dwóch tysięcy dukatów.

— Proszę też, pana udaje, a prosi o pieniądze u jakiegoś Czyliskiego.

— List był fatalnie napisany i fatalna wypadła odpowiedzieć.

— To jakiś utracjusz!...

— Może jakie przedsiębiorstwo?

— A gdzież głowa po temu...

— To nic jeszcze, ale polować zabrania w lesie Łopuchowskim.

— A pfe! i to obywatel, sąsiad, człowiek uczciwy!

— A żona jego cóż to za stworzenie!...

— Hrabianka z domu.

— Hrabianka? — powtórzyły chórem szlachcianki.

— Hrabianka, ale goła.

— Lepsze nasze szlachectwo, aniżeli takie gołe hrabstwo — rzekł z uczuciem godności pan Dyzma Rzepnicki. Na to obywatelskie powiedzenie powstał szmer ukontentowania.

— Ma być dobrym mężem — przemówiła pani Dolińska łagodzącym głosem — troskliwość jego o zdrowie żony ma być wzorową, i nigdzie nie wyjeżdża, bo biedna żona jest bardzo chora.

— Bez żadnej nadziei! — dodała gospodyni z przyciskiem i wyrazem tak oddmiennym od zwykłego, iż się powiększył jeszcze klin wbity w głowy sąsiadek, do czego i to się nie mało przyłożyło, że nad swój zwyczaj pani Czułkowska nie wdawała się w rozmowę o p. Wyżłowskim.

— I tem to hrabstwem i majątkiem ojcowskim nadyma się pan Wyżłowski!

— Śmieszny człowiek!

— Teraz osobliwie, kiedy wszędzie, w Paryżu nawet uważają więcej na talenta...

— Jakoż ja i moi bracia — dodał chory na pana, przyciskając na każdym wyrazie — postanowiliśmy nie bywać u niego, a nawet gdyby nas odwiedził, nie oddam mu rewizyty.

Kiwnęli poważnie głowami, chory na reumatyzm i chory na głowę.

— Sprawiedliwie! — powtórzyli chórem wszyscy.

— Trzeba go nauczyć rozumu.

— Le savoir vivre! — dodał pan Suliski.

Pokazuje się, że na dobrą nić trafiło towarzystwo, bo panie to głośniej, to ciszej ciągnęły dalej rozpoczętą rozmowę.

http://rcin.org.pl

— I trzyma młodą guwernantkę do dzieci.

— To on ma dzieci?

— Strasznie brzydkie; zdybałem je raz na spacerze, prawdziwe monstra.

— A ta guwernantka powiem państwu, jest... — resztę gdy ciszej dodała pani Sypińska, powstał gwar pomiędzy paniami.

— To zgroza! to okropnie! — powtarzały bez końca, aż z krzeseł powstawały, tak wielką indygnacją przejęte zostały, a najwięcej pani Parnicka, spoglądająca zawsze ukradkiem na wyprostowanego Byłeckiego.

I jeszcze dalej, coraz dalej ciągnęły niteczkę, której końca jak nie widać tak nie widać. Było tam i o pokojach dworu Łopuchowskiego, o rozłożeniu onych nieprzyzwoitem — bo to ta guwernantka! i o kucharzu, i o obiadach, i o piwnicy; zgoła jak na foluszu tłukli sąsiedzi i sąsiadki biednego Wyżłowskiego. Szczęściem, że dano kolację, zastawioną à la fourchette, jak zauważał pan Suliski. Rozjedzone towarzystwo na Wyżłowskim z tem większą zajadłością rzuciło się na kolację, która wyznać trzeba była godną tego. Trzej bracia chorzy, panna Franciszka i panna Nikodema trzymali prym; bez przesady mówiąc, tak się w tym koncercie apetytowym odznaczali, że mogliby przed jakim królem popisywać się.

— Szczęśliwy apetyt! — zauważała pani Parnicka, wskazując na gospodynię uganiającą na wyścigi z gośćmi.

— Czy nie mówiłam — szepnęła na ucho pani Sypińska — jużci to nie ból głowy...

— Ach prawda, jaka pani uważająca... a więc to szafeczka!...

— Szafeczka! szafeczka! — powtórzyła śmiejąc się.

I tak się zagadały, że nie postrzegły jak nieco skąpszy półmisek nagle pojawił się i nagle znikł, tak, iż niektórzy z towarzystwa musieli się cieszyć tylko wiadomością, jako na owym półmisku był indyk.

Po kolacji pogwarzono jeszcze nieco, lecz gdy ziewanie zaczęło brać górę, rozjechali się wszyscy do domów, uszczęśliwieni z tak zabawnie i pożytecznie przepędzonego poobiedzia.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Karnawał życia.

Gdy tak w Solicach odbywał się pierwszy występ na świat panny Cyryli, przenieśmy się do stolicy i przypatrzmy się jakim trybem odbywały się ostatki karnawałowe w życiu zapustnem młodego pana Leona Biczyńskiego. Karnawałem było istotnie życie pana Leona, pełne zabaw, wesołości, rozpusty; na nieszczęście tylko zbliżały się ostatki, lecz któż myśli o jutrze, kiedy dzisiaj tak wesołe; z upicia w upicie przechodząc, któżby rozmyślał o długim poście?

Każdy niemal człowiek młody wpadłszy w ten szalony wir sto-

http://rcin.org.pl

łeczny, ma swój karnawał dłuższy lub krótszy stosownie do zasobów majątkowych. Jeszcze dni pare, jeszcze dzień jeden pełnego użycia, choćby sto za sto dać; myśli trzeźwe, apteka i długi zostaną na post, który często ciągnie się przez resztę życia.

Na jednej z głównych ulic, której nie wymienię, by mnie o jaką osobistość nie posądzono, na pierwszem piętrze jest pomieszkanie pana Leona. Kawalerskie to prawda, bo w niem od rana do wieczora panuje gwar wrzaskliwy, zapach cygarowy dusi, razi nieporządek przez lubych przyjaciół zrobiony, ale zajrzawszy do gotowalni, przypatrzywszy się meblom kosztownym, fraszkom szklannym i bronzowym porozrzucanym wszędzie, niejedna wytwornicka miejska pozazdrościłaby tak licznego i kosztownego zbioru drobnostek. To też pan Leon uchodzi za eleganta w mieście, pierwszego lwa, bo już ta nazwa, dzięki wzorom francuzkim, upowszechnia się u nas. Jest to lwia skóra, lwia grzywa ufryzowana, lecz serca i męstwa lwiego, które niegdyś posiadaliśmy choć pod bawolim kaftanem lub zbroją żelazną, ani znaleść. Jest trzecia z południa, kończy się śniadanie u pana Leona; obłoki trunkowe rozchodzą się po głowie. Wre pogadanka, musująca, pełna piany, zwyczajnie jak po winie szampańskiem, którego trzydziestą butelkę wychylono właśnie za zdrowie Lejtona, pięknego konika gniadego, na którym pan Leon codzień harcuje po bruku.

— Czemuś go nie wziął na wyścigi Leonku? — krzyczy jeden.

— Byłbyś wygrał — woła drugi.

— Słowo honoru, byłbyś wygrał! — wrzeszczy trzeci.

— Wiwat Lejton! — huknęli wszyscy.

— Szczęśliwy Leonie! — ozwał się młodzieniec długo-włosy, długo-brody i podobno długo-uszy; — mieć Lejtona i hrabinę Konstancyą!...

— Brawo Włodziu! słowo honoru! myśl doskonała.

— Ja wolę Lejtona!

— A ja Konstancyę!. — zawołało kilku.

— Za pozwoleniem moi panowie! — ozwał się maleńki tłuściutki i bialutki jegomość, o którego wieku trudno było zawyrokować — powiedzcie mi, jakie podobieństwo jest między Lejtonem i Konstancyą? i jaka różnica?

— Daj nam Kaziu pokój z zagadkami.

— Zgadujcie! zgadujcie! — wrzeszczał młodziutki brunet, który mimo codziennych męczarni brzytwych brody dodrapać się nie mógł; — na wytrzeźwienie najlepsze zagadki.

— Podobieństwo w wieku tajonym.

— Różnica we płci.

— Nie to nie! — krzyczał tłuściutki.

— Podobieństwo w niezmordowanej wytrwałości! prawda Leonku?

— Dajcie pokój! — zaśpiewał cieniutkim chorowitym głosem pan Leon.

— Różnica w zębach!

http://rcin.org.pl

— W zębach! — wrzaśli wesoło.

— Tak! tak! w zębach! mógłbym na poparcie tego przypomnieć, co nam Justynka opowiadała, że pani hrabina przeszłego roku jeden ząbek perłowy zamieniła na słoniowy, co się dotąd Lejtenowi nie trafiło, ale czyż nie rozumiecie półgłówki, że zęby, które tyle już przegryzły wędzideł, różnią się od zębów cierpliwych na mocną trędzelkę.

— Brawo! brawo! wiwat Alfred! tym oto kieliszkiem prawdziwej Anizetki piję twoje zdrowie.

— Przestańcie już o tym przedmiocie mówić, o którym nie godzi mi się słuchać i który mnie uraża.

— Ciebie urazić! — krzyknęli, i śmieją się do rozpuku, — poczciwy Leonku! kochany Leonku! — i dwadzieścia uścisków głośnych spoczęło na bladych policzkach Leona. — Czy ty umiesz się gniewać?

— Lecz czemu ty milczysz Karolu, ty, który wszystkich zgadujesz, który zgadłeś nawet, że hrabina Konstancya porzuci huzarską kurtkę hrabiego Ksawerego dla rajtroka Leonka; powiedz nam jakie podobieństwo lub różnicę?

— A podobno sam chciałeś być następcą Ksawerego; zgaduj Karolu!

Karol był to wysoki, chudy i kościsty mężczyzna w kwiecie wieku, choć wreszcie miał zmarszczki na twarzy, nie tyle przystojnej ile wyrazistej; włos miał gęsty czarny, oczy ciemne przenikliwe, nos śpiczasty, i wyraz szyderstwa w koło ust złośliwie skrzywionych. Zagadniony rzucił drwiące spojrzenie na otaczających, pogardliwie litośne na gospodarza, i rzekł głosem ostrym i obojętnym:

— Podobieństwo jest wielkie, choć je nie widzicie. I Lejton i Konstancya wkrótce pana przemienią.

— Co ty mówisz?...

— Jakto?...

— Dla czego?... — pytali w około; Leon zafrasowany milczał.

— Lejtona ja kupię, a Konstancyę oddziedziczę po Leonie — dodał zimno Karol.

Leon chciał się znowu gniewać, ale tyle nagadali, napochlebiali, nagłaskali, że się musiał naśmiać, choć nie było szczerości w tym uśmiechu, a w oczach przebijało pomięszanie.

— Powiedz! — ozwał się po chwili inny; — kogo wolisz, Leona, Lejtona czy Konstancyą?...

Wyraz, jakim przemówiła twarz Leona na to zapytanie, najlepsze dać mogło wyobrażenie o jego usposobieniu moralnem. Wyraz jak i usta nic nie odpowiedziały. Wieczna wątpliwość i niepewność to był główny błąd jego, przeznaczenie całego żywota, ciężące nad nim; a przecież wpatrzywszy się w niego, trudno było posądzić go o taką nijakość umysłową, jakiej podlegał w rzeczy samej.

Leon był ładny młodzieniec, nie wielkiego wzrostu, ale kształtnie zbudowany, miał na twarzy rysy tak jednostajnie regularne, że zdawało się, iż je żadna gwałtowniejsza myśl wstrząsnąć nie potrafi, żadne uczucie silniejsze nie zdoła wzruszyć tej niezmiennej ró-

http://rcin.org.pl

wnowagi; oczy ciemno błękitne przyćmione długiemi rzęsami, któreby mu każda piękność niewieścia pozazdrościć mogła, i czoło gładko zaokrąglone, ciemnemi gęstych włosów pierścieniami ocienione, powlekał rodzaj zamyślenia wiecznego, które nawet odbijało się barwą jakiegoś cierpienia na twarzy więcej bladej niż białej. Dodajemy do tego usta tak pełne, jakie nigdy dosyć wycałować nie można, zęby białe i równe, brodę i wąsik lekko obrastający, a każdy przyzna, że Leon był śliczny, pełny powabów istotnych dla każdej kobiety rzeczywistej, a nawet pociągający dla kobiet z uczuciem, przez ten właśnie wyraz, którym jego istotna nijakość zasłoniona wygląda jakby tajemnica tak ciekawa zawsze do zgłębienia dla płci pięknej. Uśmiechem tym, który lica jego rozpromieniał milszym jeszcze urokiem, długo zapewne musiał Leon na świecie wojować, nim zrozumianą próżnię, którą instynktowie ukrywał pod tym urzędowym śmiechem nic nieznaczącym, ale łatwem do wytłumaczenia tak rozmaicie jak rozmaite były stosunki w jakie wchodził. Towarzystwo otaczające go w tej chwili znało go nie od dzisiaj; nie byli to wprawdzie wielcy zgłębiacze uczuć i fizjonomiki, pustogłowy wielkoświatowi, u których strój i powierzchowność tak były wszystkiem, iż cała ich wartość i dusza nawet, spoczywała na nożycach krawca i żelazku fryzjera; a przecież pomału otaczając codzień od pół roku naszego Leona, zrozumieli go nie rozumowaniem, ale doświadczeniem, które im tak odkryło Leona, jak nauczyło targować się w sklepie. Leon był nie tanim targiem; stał się on dla nich postawem różnych przyjemności towarzyskich tak miłych na świecie, gdzie śniadanie, szampan, loża w teatrze, powóz na przechadzkę, koń do popisu, pożyczka przy djabełku są koniecznością; krajali oni z postawów, póki go stało, płacąc za części dowolnie wymierzane, kilką pochlebstwy, kilką uściskami, na które żaden już lichwiarz nic im dać nie chciał; krajali bez ustanku i bez sumienia, nie dbając o koniec postawu i jego los późniejszy , pewni że od początku świata tak być zawsze musiało, i tak będzie zawsze, i owszem w rozumieniu swojem, jeżeli który z nich miał czas i chęć pomyśleć o czem, przekonani byli, że Leonowi robią przysługę wprowadzając go w to życie wielkoświatowe, konieczne dla ogółu, dając mu prawo obywatelstwa w niem, za które nie można dosyć drogo zapłacić, za które niektórzy z nich sami już należycie zapłacili.

Jeszcze kilka butelek pękło, kilka dowcipów szumowych wiecznie powracających w tym świecie pięknym, nie wyskakujących z głębi duszy sprężystej, ale przelatujących po wierzchu słów, w których więcej jest mimiki, wykrzywiania się, niżeli soli atyckiej; potem kawa, likiery, i zaczęli zbierać się do wychodu przyjaciele Leona, bez zwykłego zakończenia podobnych bankietów przy zielonym stoliku, bo był to dzień wizytowy, dzień herbaty u księżnej pani dla jednych, dzień przejażdżki za miasto dla drugich.

— Zatrzymałeś nas długo Leonie; — rzekł Władzio.

— Poczciwy Leonie, uraczyłeś nas! — rzekł Kazio.

— Czas już moi panowie! — dodał inny — piąta dochodzi.

http://rcin.org.pl

— Ale, ale, — zagadł tłuściutki Kazimierz — czy kazałeś konie zaprzęgać?

— Ja nie wyjadę zaraz.

— Tak, ale muszę jechać na Pohulankę, dałem słowo Belnerce...

— Pannie Belner? — zawołał Leon zadziwiony; — ależ moja liberja znana?

— Czyż Belnerka, która tak pięknie gra królowe, księżniczki i bohaterki, nie warta twojej Konstancyi, która odgrywa role zakulisowej bogini; ale jak chcesz, chociaż przyrzekłeś mi nawet... — i machnął ręką pogardliwie...

— Janie każ konie zaprzęgać...

— Tylko prędzej mój Janie!

— Będziesz w teatrze zapewne? — dają dziś Żydówkę.

— Znam tę operę dobrze, i nawet loży nie mam.

— Nie masz loży! — przerwał Karol — wszak ci mówiłem Leonie, że na dziś twoją lożę zamówiłem; już zapisana na imię twoje, poszlij kozaczka do teatru, bo mi jest potrzebna dzisiaj.

— Zapomniałem, ale kiedy mówisz — odpowiedział Leon i uśmiechnął się. — Iskra! idź po lożę, weź u Jana pieniądze.

— A więc do widzenia! do widzenia! — zaśpiewał Alfred — zazdroszczę wam waszych herbat, przejażdżek; ja dałem słowo być u szefa na grze.

— Jest gra u szefa?...

— A jest! i diable interesująca; mamy ochotę podskubać hrabiego Adama.

— Wszak on nie gra podobno?

— Nie gra i gra... Kart się nie dotyka nasz młody Krezus, ale rzuca zakłady znaczne za tym lub owym graczem, za tą lub ową kartą... Wiesz co Leonku, zamiast do Konstancyi, choć ze mną do szefa, będziemy grali na spółkę.

— Prawdziwie żałuję; — odrzekł Leon wstydliwie i spojrzał ukradkiem na Karola.

— Nie wypada odmówić — rzekł Karol z cicha.

— A mam szatański instynkt, że wygram, i chciałbym ciebie wziąść do spółki Leonku, bo cię kocham.

— Lecz kiedy ja sam nie...

— To nic nie szkodzi, daj 300 reńskich, i ja dam tyle, i sam grać będę, a kto wie czy nie beknie nasz młody Krezus.

— Prawdziwie w tej chwili...

— Nie chcesz dać zapewne dukatów? — przerwał Karol.

— Tak! — odmruknął i twarz jego przemówiła dobitniej niż zwykle zadziwieniem.

— Ja cię zastąpię...

Kiwnął głową biedny Leon, który o ile pamięcią zasięgał, nigdy nic nie wygrał, choć był już nieraz spólnikiem przytomnym i nieprzytomnym Karola, Kazimierza, Alfreda, Władysława, zgoła całego kalendarza mnogich przyjaciół swoich.

Karol dał trzysta reńskich; Alfred porwał i znikł. Za nim

http://rcin.org.pl

poszli drudzy, wypróżniwszy na drogę ze trzy pełnych paczek cygarów Rodszyldowskich, które Leon po cwancygierze sztuka w sztukę płacił, przekonany przez przyjaciół, że dziś już nikt innych cygarów palić nie może, jeżeli nie chce uchodzić za parafianina, za człowieka bez smaku i wychowania.

Został na pobojowisku Leon, składając pomału, wiedziony jakimś instynktem porządku, porozrzucane po stole i pod stołem cygara; przeglądał butelki, a nawet sięgnął ręką za ledwie rozpoczęty tort, chcąc go zapewne ustrzedz przed doburzającemi zwykle wystawę jego kamerdynerem, lokajem i kozaczkiem.

— Brawo Leonku! — ozwał się za nim — przypomniałeś sobie ojcowskie przykłady i nauki...

— Nie! nie! ja tylko chciałem skosztować...

— Cha! cha! — roześmiał się całem gardłem pan Karol, który wyszedłszy wraz z drugimi, w tej chwili powracał nazad.

Śmiech ten szyderczy i pomieszanie Leona, za mocne w stosunku do tego całego zdarzenia, dają nam najlepszą miarę, jakim sposobem postępuje zwyczajne wychowanie pięknego świata. W schowaniu niezjedzonego torta, niema zapewne nic śmiesznego i zdrożnego, a przecież wyśmiał go Karol, i wszyscy jego przyjaciele byliby wyśmieli; a Leon wstydził się jak student złapany na jakim szkolnym wybryku, niewyśmiany i niezawstydzony, gdy, wyrzucał pieniądze za okno na tysiące głupstw niepotrzebnych. Śmiech szyderczy z jednej strony, a wstyd fałszywy z drugiej są to dwie główne sprężyny, któremi odbywa się wychowanie młodego człowieka na pięknym świecie. Jeżeli nie trwoni majątku lekkomyślnie, wyśmieją go; jeżeli niedopitki zostawione przez przyjaciół, chce uchować przed rozbojem własnego służącego, który niemi karmi swoje próżniactwo i rozpustne przyjaciółki, wyśmieją go i wydrwią, na języki miejskie puszczą; a jak po tej drodze straci majątek, wyśmieją go przecie jeżeli nie jako dziwaka i skąpca, to przynajmniej jako głupca, który stracił majątek.

— Doskonale się wykręcasz! — ciągnął dalej Karol. — Ale kto wie, może to przeczucie przemówiło przez palce twoje, dające ten dowód oszczędności?

— Przeczucie?...

— Pewność! jeżeli wolisz.

Spojrzeli na siebie, a wyrazy na twarzach obydwóch były w tej chwili prawdziwem piętnem ich usposobienia. Na twarzy Leona było pół przestrachu, pół niepewności, połączonych uśmiechem, którym chciał zasłonić i jedno i drugie. Przeciwnie zuchwała śmiałość strzelała z oczów Karola, z czoła miedzianego, z rysów twarzy pofałdowanej w przepaściste zmarszczki, z których zwyczajnie jak z przepaści spoglądała zgroza.

Była to jedna z tych twarzy, przed których widokiem upada wzrok prawości. I nie przesada to, łaskawy mój czytelniku; czyliż nie zdybałeś nigdy w towarzystwie owych głów meduzich, na których widok stygną wszystkie łkliwsze wrażenia, które płomienistym

http://rcin.org.pl

potokiem zdają się wypływać z serca, uczucie wszelkie kamienieje; a jak często najgorętsza wiara w cnotę i prawość przemienia się w lodowatą obojętność na widok tych głów meduzich, sterczących po nad inne na podstawie majątku, znaczenia, zaszczytów i powszechnego szacunku. Jeżeli Leon swoją wątpliwością przypominał bajkę osła umierającego z głodu między dwoma wiązkami siana zarówno nęcącemi, Karol natomiast był jednym z tych skoczków moralnych, w świecie moralnym, którzy pewni swojej zręczności, nie ustraszą się żadnej choćby najcieńszej linewki, dzielącej ich od przepaści. Leon ustawał przed każdą trudnością towarzyską, jak przed skałą nieprzebytą, póki go kto nie przeprowadził; Karol przeskoczył każdą zaporę towarzyską, skoro mu ta przeszkadzała. Charaktery zarówno nieznośne w towarzystwie, bo jeżeli trwożliwy niepożyteczny jest i sobie i drugim, zuchwały za to staje się często szkodliwy towarzystwu, a i sam nieraz kark skręci. W takim składzie rzeczy, skoro się obaj zdybali, nic dziwnego, że Leon był dzieckiem, a Karol niańką. Biada potrzebującemu w świecie niańki, lecz trzykroć biada, komu się dostanie niańka taka jak Karól. Wiedziony po bezdrożach, ulegając przewadze silniejszego umysłu, cierpi stłuczony, pokryty sińcami moralnemi, wyciśnionemi mu gwałtownie przez niańczącą władzę.

— Cóż patrzysz na mnie zdziwiony! czy też nie rozumiesz położenia swego? czyliż nie wiesz, że dłużej nie możesz dawać bankietów, jeździć konno, pożyczać pieniądze wartogłowom, których nazywasz przyjaciółmi?

— Wszakże ty sam Karolu drogi wprowadziłeś mnie w to życie! —, przebąknął Leon z nieśmiałością.

— Śmieszy z ciebie człowiek! zarzucasz mnie to właśnie, czem jednem mogłeś coś znaczyć!... powiedz mi Leonie do czego zdolny jesteś?...

— Mój ojciec mówił mi, że mogę być gospodarzem.

— Zapewne, i wychował cię do tego kapitalnie; wycackał na kaszy i mamałydze... pocóż więc kazał ci jechać do miasta?...

Za każdem pytaniem swojem Karol tak uporczywie spoglądał na Leona, że ten mimowolnie odpowiadać musiał.

— Mój ojciec chciał, bym się otarł w świecie, nabrał znajomości, porobił stosunki.

— Powiedzże mi teraz, jakże zdołałeś to uskutecznić? Jak?... odpowiedz!...

— Nie wiem! — odpowiedział naiwnie.

— Miałżeś dowcip, by nim zabłysnąć?... Co?...

Uśmiechnął się biedaczek zbierając ostatnie siły swoje. — Ciotka nazywała mnie zawsze dowcipnem dzieckiem!

— Ty, dowcipnem dzieckiem!... jeżeli ci ciotka prócz tych słów fałszywych żadnej nie zostawiła spuścizny, przeklnij jej pamiątkę.

— Pfe Karolu! — odrzekł Leon czerwieniąc się i blednąc — to był anioł!

— Mniejsza o to! musi jej być dobrze w niebie... Więc dowcipu nie było, by nim w salonach panować; miałżeś rozum, by nim otu-

manić; naukę, by nią oczy zamydlić; świetne urodzenie, by niem zaimponować towarzystwu; talent jaki, za którym warjuje świat, rzucając mu głupie bukiety i mądre złoto?... grasz podobno na gitarze czy na flecie, który wypchnięto do garderób i bocznych uliczek. Darmo oczy w dół spuszczasz, to na mnie podnosisz; nie miałeś tego wszystkiego, więc twój ojciec źle zrobił, że cię wysłał do miasta, wychowawszy najokropniej, najgłupiej, najnieznośniej... Czy wiesz ty, jaka fatalność wisi nad tobą od urodzenia?...

Milczał przestraszony na prawdę Leon.

— Ta fatalność jest, żeś był jedynakiem. Jedynak u naszej głupiej szlachty, to jest zgubione stworzenie. Chuchał na ciebie, pieścił, otulał w flanele i chustki, boś jedynak.

Coś nakształt łzy błysnęło w oczach biednego Leona, bo przypomniał pożegnanie z nim, ostatni uścisk ojcowski, w którym zdawało się, że było dosyć błogosławieństwa na całe życie.

— Nie kazał cię męczyć naukami, boś był jedynak...

Leonowi przypomniały się chwile swobodne w ojcowskiej wiosce, które przeskakał po zielonych niwach, po ścieżkach ogrodowych, po borach szerokich, zrywając kwiatki, goniąc motyle, zbierając jagody.

— Ojciec nie przyuczał cię do życia czynnego; nie jeździłeś konno po nocy, słocie i mrozie; nie uganiałeś za dzikiem po borach, nie drapałeś się po górach, boś był jedynak.

Leon przypomniał sobie swobodne z ojcem przejażdżki, pełne pieszczot, głaskania; źle to było może, ale gdyby się wróciło raz jeszcze, choćby raz w życiu!...

— Ojciec nie wprawiał cię do życia praktycznego, nie kazał biegać po gospodarstwie, byś chodził koło roli, — boś był jedynak, bo sam skąpił, zbierał, pracował dla jedynak, i mniemał, że wszystko zrobił, gdy z dzierzawy do dwóch wiosek doprowadził, by niemi jedynaka obdarzyć.

Leon płakał na prawdę, bo przypomniał sobie to ostatnie pożegnanie, kiedy go ojciec i ciotka, matkę bowiem dawno stracił, wyprawiali do stolicy; wszystkie te drobne wygódki, jakie wpakowano do powozu, do tłómoków, do kieszeni i pularesu, stanęły mu tak widocznie, i tak go załaskotały koło serca, że nie umiałbym powiedzieć, co mu w tej chwili łzy wycisnęło, czy pamięć tych drobnych przyjemności, czy pamięć ojca i ciotki, którzy wkrótce po tem pożegnaniu zgaśli wraz z tem przywiązaniem całem dla Leonka, nierozumnem może ale tak lubem, tak miękko otulającem życie jego, jakby brylant kosztowny bawełną owinięty. W jego zdrobniałem wyobrażeniu uczuciowem nie było prawie różnicy, między kosztowną wyprawą, jaką mu dano, i tymi, którzy mu ją dali. Nie jest to fałsz moi panowie choć Leon miał dobre serce.

Samo dobre serce jest to własność nijaka; nie darmo mówią chirurgowie, że serce jest kawał ciała. Ciałem kocha się tylko ciało, i dla tego ludzie tkliwi, czuli, bez hartu duszy i umysłu, których takie mnóstwo u nas tak łatwo łzy ronią, nad straconym pieskiem

zarówno, jak i nad zmarłemi rodzicami, nad gradem sąsiada, jak i nad burzą niszczącą naród cały. Umysł tylko wykształcony umie znaleść różnicę w uczuciach, i wyrozumować przyczyny wrażeń swoich. Serce rozczuli się i zapomni, skoro je nowa pogłaszcze przyjemność cielesna; umysł tylko umie pamiętać. Strzeżcie się piękne panie samego serca; niech tylko bielsza ręka, większa pierś przyciśnie je do siebie, wnet się stanie niewiernem; i dla tego to może, a bodaj czy nie sprawiedliwie, kobiety niestalszemi od mężczyzn zowią, bo kobiety zwykle kochają sercem. I choćby mnie ukamienować miano, więcej powiem: wielkie i godne kochania rzeczy nie można kochać sercem, ale myślą, wiedzą. Łóżko miękkie, pokoik miły i wonny, pierś białą, kształty okrągłe kobiece kocha się sercem; przyjaciela, żonę, kraj kocha się myślą. Biada przyjacielowi, żonie, krajowi, kochanym samem sercem!

Serdeczny przyjaciel ukąsi przyjaciela; sprzeniewierzywszy się żonie, przeda kraj, skoro mu inny przyjaciel, inna kochanka, inna władza cieleśniejsze podadzą używanie. I wszakże to widzieliśmy nieraz, i widzimy codzień: wawrzynem okryty bohater, broniący kraju póki się sypią zaszczyty, bogactwa i wygódki, zdradza go, gdy mu przychodzi wybierać między głodem i niebezpiecznym biwuakiem partyzanckim, a miękkiem krzesłem senetorskiem. Taki człowiek jest człowiekiem serca, nie rozumu! I dla tego biada dziecku wychowanemu samem sercem; stanie się w życiu serdecznym kpem, takim jak nasz biedny Leon.

Wychowanie jego było w rzeczy samej takie jak go nam opowiedział Karol. Ojciec skąpy dla drugich i siebie, szlachcic który sam zawsze chodził w sieraczku, robił fortunę z gnoju i słomy, grosz zbierał do grosza, nie dojadł, nie dospał; jedną miał słabość, kochał serdecznie jedynaka, i dla niego niczego nie żałował. Pieścił go bez ustanku wraz z siostrą swoją, drugim egzemplarzem podobnej serdeczności. Wychowawszy go sercem, wyprawił w świat, przez ostatni błysk instynktowy rozumowego przywiązania, które sam Bóg wlewa czasem w najgłupszych rodziców. Zrobiwszy to ostatnie natężenie bezowocne oczywiście, bo nie oparte na poprzedniczem przygotowaniu, gryzł się stary, niknął co godzina, i skończył nareszcie zostawiwszy dwie pyszne wioski Leonkowi i list, w którym go błagał, by wracał na wieś, ożenił się i gospodarował.

Daremny był to list, bo Leon już był w ręku stu nianiek, jakie świat ma zawsze gotowe dla wszystkich niemowląt moralnych. A wszystkie te niańki drogo opłacać się każą. Niańka mody, która ma sto sklepów stołecznych pod sobą; wpadał do niej kolejno biedny Leon. Niańka przyzwoitości światowej, którą opłacać potrzeba pieniędzmi, zdrowiem i spodleniem. Niańka przyjaciół, kochanek, która rozczarnje i obedrze z reszty złudzeń młodzieńczych. Atoli, dalekobyśmy zaszli, chcąc wszystko, co tu w powieści z charakterów osób działających wypływa, obrócić na rozprawę; i za ten nawet ustęp przeprosić czytelników wypada. Lecz powieść jest tak różnolitą jak życie; czyny i myśli mięszają się między sobą, barwami to jaskrawemi to ciemnemi, malując arabeski bez końca zmienne.

— Ojciec więc dał ci jedynakowi tylko majątek; przyjechałeś do miasta, chciałeś wejść do wielkiego świata, musiałeś więc błyszczeć majątkiem, gdy innego nie miałeś lustru. Świat wielki jest zbiorem cyfr! — Tu się sam Karol uśmiechnął na śmiałość swych twierdzeń, noszących czasem piętno zuchwałości naiwnej. — Zbiór cyfr! nic więcej! każdy jego członek jest przedstawicielem pewnej summy; jej wielkość stanowi jego wartość. Ty naprzykład przedstawiałeś podobno 100000, taka bowiem, jeżeli się nie mylę, była wartość twoich dwóch wiosek. Żyłeś tak jak żyć musiałeś, bo inaczej byłbyś wypchnięty; okrągłe zera twej wartości nikły jedno po drugiem, bo taka jest kolej rzeczy. Gdybyżeś przynajmniej po utracie zer, mógł zostać jednostką, ale ty mój piękny Leonku, mój pieszczony Leonku, musisz zostać całe życie kommatem przy mnie lub przy drugim, albo wykrzyknikiem, nie wiem już którym z kolei przy Konstancyi.

— Nie rozumiem cię?

— Wierzę, bardzo wierzę; to pewna, że chcąc być czemś w stolicy, musiałeś tracić pieniądze; dziś jeszcze coś znaczysz, bo nie wiedzą, żeś wioski posprzedawał, lecz jutro, gdy resztę kapitału kredytorowie zabiorą, cóż znaczyć będziesz?

— Ależ mam jeszcze, jak sam niedawno rachowałeś, 6000 reńskich.

— Gdyby nawet 6000; jest to lichota w świecie, ledwieby ci na jedno posiedzenie djabełkowe wystarczyły.

— Ach ten djabełek! — westchnął Leon — gdybym go nigdy nie był grał.

— Zapewne, ale w świecie większym grać trzeba, jeżeli się nie chce uchodzić za dziwaka, za skąpca, lub co gorzej za hołysza; w świecie wielkim wszyscy grają; gra, mój kochany, jest to dowód wolnomyślności towarzyskiej; zielony skolik w najarystokratyczniejszym salonie łączy wszystkie stany; jedyną różnicą grających są ich pularesy. Lecz nie o tem mowa! Grałeś, zgrywałeś się, boś grać nie umiał, a drudzy umieli. Powiadasz, że masz 6000, ale zapomniałeś o rachunkach naszych, nie pamiętasz, wiele razy i na jakie kwoty kazałeś siebie zastępywać. Tyś mnie więcej nie winien!

— Winien! — jak echo odpowiedział Leon.

— Spodziewam się, że mnie nie posądzasz mój Leonie? wyznam ci, że za mały dla mnie jesteś ptaszek, bym się bawił skubaniem skąpych piórek twoich. Jam cię wprowadził w świat, jam cię postawił na tej stopie, że coś znaczysz; wszak bezemnie nie byłbyś umiał ubrać się nawet, a przecież uchodzisz dzisiaj za wzór mody. Robiłem to bez chęci własnego zysku, i owszem mimowolnym do ciebie wiedziony pociągiem, chciałem wyrobić co z ciebie, chciałem byś własnem nauczony doświadczeniem zrozumiał życie i umiał z niego korzystać; szło tylko o postument dla ciebie, bez którego znika się w tłumie, ten ci dałem, bom cię ubrał, nagiął do światowych zwyczajów i nawyczek, lecz nadaremnie.... Ty nie masz ani jeniuszu, który sam sobie nowe toruje drogi, ani talentu, który z udeptanych ścieżek umie korzystać; nie masz..

http://rcin.org.pl

— Nie mam! — jęknął Leon.

— Nie masz! — i roześmiał się Karol śmiechem, który najlepiej mógł odsłonić wnętrze tego człowieka.

Śmiech bowiem szczery, nie ograniczony przyzwoitością, nie cieniowany udaniem, jest może najszczerszym głosem człowieka. Jest to anioł czy szatan w człowieku ukryty, który się z niego odzywa w chwili niepilnowanej. Okropny był to śmiech, okropny rubasznością, która się niczego nie wstydzi, przed niczem nie ulęknie.

— Więc nic nie mam?..

— Nic prócz młodości i wdzięków, zwiędłych już nieco przez stosunek z Konstancją.

— Nic nie mam! — powtarzał Leon cisnąc rękę o rękę.

— Co się tycze długu mego, oddasz mi go później, lub nie oddasz, mniejsza o to! — tymczasem dasz mi Lejtona.

— Dobrześ powiedział przed godziną, Lejton twój! — cóż więc mam robić?

— Jeżeli nie wypalisz sobie w łeb, nie pójdziesz do wojska, nie ożenisz się bogato, ani wiem co zrobisz chyba, chyba... i roześmiał się Karol tak szczerze, aż się Leon wzdrygnął.

— Chyba! powtórzył; dokończ! ty wiesz Karolu, że ja ciebie kocham. — Kłamał biedny Leon, bo go w tej chwili zabiłby chętnie, gdyby nie bawełniana dusza. Ileż to takich morderców znaleźć można w towarzystwie! odwagi więcej i zbrodnia już gotowa.

— Czy mnie kochasz, tego nie wiem, ale to pewna, że ja mam słabość do ciebie, powiadam ci zatem, że jest dla ciebie ratunek.

— Mów! zlituj się nademną; — zrobię wszystko co zechcesz, co każesz; tyś mi oczy otworzył... ja widzę, że nie jestem zdolny do niczego; lecz zobaczysz, ja się poprawię, ratuj mnie tylko. Ja nie chcę być ubogim, ja nie mogę żyć bez tych wygód, które mi się stały potrzebą.

— Wiem ja, że zrobisz wszystko... lecz potem ci opowiem... jest to środek pewny; będziesz bogaty, będziesz poważany.

— Mów! zlituj się! — krzyknął Leon, który w tej chwili zdawał się żyć życiem innem, silniejszem. W tej chwili Leon kochał znowu Karola; już goby nie chciał zabijać...

— Później! później! — w pół zamyślony odrzekł Karol; — nie wiem tylko czy będziesz i do tego zdatny!...

— Będę! będę! — zawołał Karol, drżąc z niecierpliwości, by mu się nie wymknęła ta ostatnia nadzieja a z nią życie zbytkowne, od którego czuje, że się nie mógłby odzwyczaić!

— Zostań szulerem!...

— Szulerem! — powtórzył Leon i wypatrzył oczy na Karola, który drwiąc spoglądał na niego.

— Ależ to haniebne rzemiosło! — wybąknął z nieśmiałością Leon.

— Ależ szlachetne, bo daje pieniądze.

— Prawda — westchnął.

— Zresztą jak chcesz.

— Ależ to wstyd mój Karolu!

http://rcin.org.pl

— Zapewne lepiej żebrać.

— Palcami będą mnie pokazywać!

— A nasz szef! który bywa wszędzie, i na równi z pannami, choć nie ma grosza intraty...

— To prawda! Czy tylko? — zaczerwienił się Leon resztką cnoty, i zamilkł.

— Nie bój się — odpowiedział mu Karol, nauczysz się pomału, to nie wielka rzecz! jeżeli nogi mogą się nauczyć zgrabności w tańcu, dla czegoby ręce nie zdołały się nauczyć tasować zgrabnie. Czyliż entrechat łatwiejsze od kiepskiej wolty. Ja ci cokolwiek pomogę, a za to będę w motji z tobą; i im więcej się zastanawiam... ty z twoją minką niuńkowatą doskonały będziesz na lep!

Leon już nic nie mówił, wzdychał tylko, a myślał o pięknym zielonym ogromnym stoliku, zalanym złotem, zasypanym banknotami.

— Jak widzę, nie jesteś od tego.

— To jest... gdyby...

— Gdybyś skarb wykopał, na loterji wygrał, lub bogatemu szatanowi duszę zaprzedał, tobyś został uczciwym szlachcicem, ale że... więc... lecz potem o tem; już ja pomyślę... i ty przecie z twej strony pomyśl choć sam za siebie, bo mi żal ciebie; ta szulerka to brzydka rzecz.

— Kiedyż nikt wiedzieć nie będzie — odpowiedział Leon.

— A jak odkryją, to wybiją! — zaśmiał się Karol tak głośno, że nie wiedząc co z sobą zrobić, Leon poszedł mimowolnie za jego przykładem, i śmiał się także.

Śmiech ten trwał chwil kilka. Była to zaiste scena do śmiechu, a w gruncie tragiczna okropnie.

— Pomyśl sam za siebie! — powtórzył Karol — a może przecie wynajdziesz jeszcze jaką ciotkę, jakiego wujaszka.

Posłuszny Leon myślał, aż pot kroplisty wystąpił na gładkie czoło, a Karol patrzał mu w oczy z niewymownem szyderstwem.

— A! Konstancja! — zawołał nagle Leon, i oczy jego zaiskrzyły się.

— Konstancja? — powtórzył dwuznacznie Karol, nie spuszczając oka swego, pod którem drżał Leon jak ptaszek przed wzrokiem czarującym olbrzymiego węża. — Cóż ci Konstacja pomódz może?

— Ona mnie kocha! — tysiąc mi to razy powtórzyła — ona jest bogata, będzie moją żoną.

— Więc to pewnie!

— Dla czegoż nie? wszak jest wdową!

— Idź do niej! próbuj szczęścia! ja wątpię...

— Wątpisz?

— Wątpię, bo znam kobiety, bo znam Konstancją.

— Ależ ona mnie kocha.

— Czy ty wiesz, co to miłość dziecinny Leonie? — i Karola twarz przybrała wyraz poważniejszy. — I ja kochałem niedawno temu, i byłem kochany przez dziecko romantyczne.

— I zdradzony zostałeś?

— Broń Boże! w miłości mój drogi jak w grze trzeba umieć

http://rcin.org.pl

w sam czas przestać. W miłości trzeba porzucić, jeżeli się nie chce być porzuconym; pamiętaj to sobie!... Sliczna była jak anioł moja kochanka; kochała mnie pierwszą miłością, pierwsza zaś miłość kobiety, to nie jest miłość Konstancji, której ty nawet rozumieć nie możesz z twojemi wyobrażeniami głupio dziecinnemi. Kochałem i porzuciłem! bo nie chciałem przywiązywać się do kobiety... Kobieta szczerze kochająca jest największy ciężar w życiu człowieka, który ma sam sobie swoją przyszłość wyrobić; zabiera ci czas, robi cię niedołężnym, życie całe zmienia ci w wieczną fraszkę... Miłość... to są nieskończone popasy i noclegi na drodze, którą szybko trzeba gonić, by się nie dać uprzedzić! Ona była bogatą; mógłbym się był ożenić, ale żona należy do sprzętów tak zbytkownych, że lepiej ich nie posiadać wcale, gdy można ich używać po cudzych salonach. Porzuciłem i dobrze zrobiłem; może ją zdybię jeszcze, zamężną zapewne, a wtenczas mąż jej niech się troska... Dosyć o tem, idź do Konstancji, próbuj szczęścia, lecz pamiętaj na słowa moje; ona cię kochała miłością ciała, jak się kocha potrawę smaczną, która się przecie przejada... smak łechtany ciągłemi przysmaczkami tępieje, i coraz zaprawniejszych potrzebuje potraw. A potem ona położeniem swojem w świecie wyjątkowem zdoła zapewne wyrobić sobie przebaczenie za kochanka, za dziesięciu kochanków godnych ciebie; ty zaś skoro zniknieszz widowni świata, przestaniesz być jej godnym, będzie więc musiała koniecznie innego szukać kochanka.

— Ona będzie żoną moją, nie kochanką...

— Powtarzam ci, że wątpię;... bo nawet ma ona tyle szlachetności, czyli raczej oryginalności ducha, że nie zechce nabywać w tobie jednego służącego więcej, któryby ją przed światem śmiesznością okrywał. Ty mój Leonku, nie jesteś stworzonym na męża miejskiego. Lecz o tej różnicy, gdybym dwa dni perorował, nie zrozumiesz; idź więc do niej i próbuj szczęścia.. Jak wrócisz ztamtąd, pogadamy o tem, co ci nadmieniłem... Im się więcej zastanawiam, szulerka cię tylko wyratować może od widocznej i nieochybnej śmierci towarzyskiej... Do widzenia się...

Karol wybiegł, a Leon został przez długą chwilę zamyślony... o niczem.

Tak się skończyła ta długa rozmawa, którą zapewne znudziłem czytelników moich, a co gorzej, nie jednemu może wydała się niepodobną do prawdy, równie jak i te dwie osoby mogą się wydać przesadzonemi. Ani też przyznam, że znałem Leona i Karola, lecz pytam tych, którzy lubią się zastanawiać nad głębszemi pytaniami towarzyskiemi, czy nie tym sposobem odbywa się wychowanie większej części naszej młodzieży należącej do stanu majątkowego i towarzyskiego naszego bohatera? Świat wielki, świat piękny stołeczny, który jakby raj obiecany, jak Eldorado pełne rozkosz tysiącznych nęci póty każdego majętniejszego młokosa, póki go nie wyciągnie ze wsi, gdzieby mógł bydź na swojem miejscu; daje mu potem, jak się raz weń puści, swoje wychowanie, którego nauki brzmią mniej więcej jakby słowa naszego Karola. Niedoświadczony, zaniedbany umysłowo na wsi, żadną silną podstawą moralną nie zabezpieczony, bez steru, bez przewo-

http://rcin.org.pl

dnika, w wieku, w którym wrą siły fizyczne i siły moralne, bo jeszcze nie przyszły do równowagi męzkiej, jedzie kończyć wychowanie swoje na wielkim świecie, do którego go powołuje imie, dostatek lub duma własna czy rodzinna. Zdybuje on zawsze jednego lub co gorzej na stu rozkawałkowanego Karola, i wsiąka w siebie koniecznie zepsucie, bo za młodu nie pracowano nad nim, by umiał rozróżnić złe od dobrego, pozór od istoty, szych od złota, by zbawienne lekarstwo wyciągnął z najzjadliwszej trucizny. Zaczyna być małpą, póki nie stanie się lwem, stroi się wedle mody, papla po francuzku, zbija bruki, chodzi za kulisy, tam zbiera doświadczenie moralne a często i doświadczenie fizyczne, bo tak drudzy robią. Gra szalenie, by nie być śmiesznym, okrzyczanym i wyświstanym, szczęśliwy jeszcze jeżeli przegrawszy pieniądze, nie przegra sumienia, i jak francuzkie powiada przysłowie „après avoir été dupe, on devient fripon“, nie stanie się szulerem, prowadzi miłostki po cudzych sypialniach, by stracić wiarę w niepokalaność małżonki i cnoty niewieście. Nic nie czyta prócz romansów, bo innych książek nie zdybuje po salonach, które odwiedzać mu się godzi. Zamiłuje się w zbytku, bo mu zbytek zewsząd błyska, traci majątek, robi długi, byle dłużej utrzymać się w tem Eldorado, i tym sposobem traci niepodległość swoją, najszczęśliwszy w końcu, jeżeli się znajdzie taki, który go zechce kupić. Zepsute towarzystwo jest to prawdziwy Mefistofel, któremu nasze młode bezgłowe Fausty przedają duszę za kilka chwil użycia. Przejdzie czas umówiony, Mefistofel zaśmieje się bezlitośnie i szyderczo, a goły i obdarty Faust rusza w piekło nędzy i zgryzoty.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Wjazd do stolicy.

Aby zaokrąglić obraz jaki skreśliłem o panu Leonie i panu Karolu, wypada nam wrócić nieco nazad i przypomnieć sobie sposób w jaki się poznali. Było to na samym prawie wstępie Leona do stolicy. Znając już Leona, łatwo można sobie wyobrazić jak smutne było położenie jego, gdy się raptem znalazł wśród mnóstwa ulic, sklepów, wystaw, wśród zgiełku ludzi, z tą niepewnością jemu właściwą, która się zaraz przy wyborze domu zajezdnego pojawiła. Między Żorzem i Dreznerem wahając się, siedział w powozie otoczony zbiegającą się gawiedzią, rwany przez dwóch faktorów głównych, a podfaktorów bez liku, długo stał zadumany między dwoma szwajcarskiemi półkami, za których ruchem oczy jego biegały od jednej bramy do drugiej. Już nawet okna zaczęły otwierać, i mnogie głosy ciekawych wychylały się; już kilka śmiechów dosłyszał rumieniący się Leon; pachołek dodany mu do usług klął żydków, traktujących go szelkami i mydełkiem; mazur na koźle potrzaskiwał biczem zniecierpliwiony, a Leon jak myślał tak myślał. W tej chwili postrzegł go Karol stojący w oknie obok pięknej pani, i złośliwym uśmiechem

http://rcin.org.pl

przeszywając bohatera naszego, odgadł go od razu, lecz godzina ich poznania nie wybiła jeszcze; roześmiał się tylko dosyć głośno, by śmiech jego doszedł uszów Leona, który mimowolnie podniósł oczy w górę. Śmiech ustał bo piękna pani, która zdawała się z niesmakiem przysłuchiwać żywym słowom Karola, zrobiła czy umyślną czy szczerą uwagę, że ten młody cudzoziemiec jest bardzo przystojny. Karol przestał się śmiać, lecz już wtenczas wzrok, jaki się skrzyżował między piękną panią a Leonem, zapisał sobie do pamięci, i uczuł nienawiść serdeczną do młodego nieznajomego. Wzrok rzucony przez Loona był wielkiem dla niego szczęściem, postrzegł bowiem prócz pięknych oczów obydwa napisy na domach zajezdnych „Hôtel de Russie, i Hôtel d'Europe", i zdecydował się przecie. Nie umiałbym z pewnością powiedzieć czy go oczy piękne przekonały, dosyć że z wielką pociechą mazura, kozaczka i przytomnych zajechał do Dreznera jakby w tryumfie poprzedzony przez Szwajcara, otoczony brodatą rzeszą, która swoim instyktem przewąchała w nim łakomą i łatwą zdobycz. Nie będziemy krok w krok postępować za nim, chociaż jeżeli można wierzyć oberkelnerowi, ciekawy był pierwszy jego obiad. Speiscetel długi i obszerny stał się dla Leona, przyzwyczajonego do obiadów domowych, które mu same podawały się tak lekko, z ulubionemi przysmaczkami zgadywanemi przez ciotkę, ciężkim do zgryzienia kąskiem. Nim się namyślił i podać sobie kazał wybrane potrawy, już je dawno w jadalni zjedzono, i musiał poprzestać na tem, ce mu przyniesiono.

Miał on list od ciotki polecający go względom pani hrabiny Balińskiej, która była daleką jakąś powinowatą nieboszczyka jej męża. Dowiedziawszy się od faktora z niemałą radością, że pani hrabina Balińska tylko co wróciwszy z za granicy mieszka w tym samym hotelu wraz z córką swoją panią hrabiną Rolińską, zaczął się zaraz po obiedzie ubierać. Słuchał nasz Leon opowiadającego faktora, że pani hrabina matka i hrabina córka mieszkają tymczasem w hotelu, poki im nie przyrządzą dwa pyszne pomieszkania w głównych ulicach miasta położone; że pani hrabina młodsza poszła przed rokiem za mąż za wielkiego hrabiego, starca sześćdziesiątletniego, który w pół roku umarł, zostawiwszy jej ogromny majątek, że tylko co wróciła z dóbr swoich do stolicy, gdzie zjechała się z matką. Wątpię by Leon co zrozumiał z długiej żyda gadaniny, zajęty był bowiem wyborem kamizelki. Wspomnienie o żałobie hrabiny Rolińskiej zdecydowało za kamizelką ciemniejszą, co było dla niego prawdziwą łaską opatrzności; ciemniejsza bowiem kamizelka była więcej stosowną do reszty stroju i jego bladej zamyślonej twarzy, chociaż znowu za jaskrawą przemawiały mnogie pochwały, jakiemi ją obsypywano w wiejskich odwiedzinach.

Była to godzina bardzo niestosowna do wizyt, o czem Leonowi ani się śniło, i długie było wahanie się w salonie pani hrabiny, która nie przypominała sobie oznajmionego nazwiska, a miarkując po godzinie przeczuwała jakiegoś nieznośnego parafianina. Lecz hrabina Rolińska niezwykłą ciekawością wiedziona, kazała prosić, i wszedł nareszcie nasz Leon przez drzwi rozwarte, i zdybał na

http://rcin.org.pl

progu ciekawie czatujące spojrzenie pani Rolińskiej, spojrzenie któreby nawet zuchwalszego zmieszać mogło. Pani Rolińska była to śliczna brunetka z włosami południowej barwy i oczami żywemi, jakby dwa czarne brylanty, a płcią północną, białą aksamitną. Ze środka czarnych strojów, które jej kibić zgrabną, giętką i ulotną obwiewały nakształt chmur ciemnych, te dwie gwiazdy lśniły cudownie. Śliczną była i czarującą pani Rolińska. Nasz bohater stanął jak wryty, i oka nie mógł zdjąć z pięknej twarzy, którą poznał od razu. Była to twarż widziana w oknie w czasie ranniejszego wjazdu. Pani hrabina zadziwiona i rozgniewana nawet, czekała z wyrazem pogardy na twarzy. Dla niej, która przebiegła tylko co Paryż, Rzym i Drezno, i wszędzie prócz koniecznych styczności z gospodarzami domów zajezdnych, samem tylko salonowem żyła życiem, zjawienie się Leona, nieśmiało u drzwi stojącego, było nadzwyczajnością, zbrodnią nawet towarzyską a do sądzenia podobnego, z żalem powiedzieć musimy, dawała jej prawo niesalonowa czamarka na Leonie.

Nie tak sądziła hrabina Rolińska, która od razu zrozumiała jego pomieszanie i wytłumaczyła sobie najkorzystniej; im się Leon więcej mieszkał, im więcej czerwienił, tem się wydawał ładniejszym i interesowniejszym. Rumieniec na twarzy młodzieńca jest dla damy wielką pokusą.

— Pan się mylisz zapewne? — zapytała starsza pani grzecznie i ozięble.

Leon był w rozpaczy, i silne wziąwszy postanowienie wsadził rękę do bocznej kieszeni.

— Prosimy bliżej! pan się zapewne boi nam przeszkadzać.... i owszem.... — tak słodko, tak śpiewnie przemówiła młodsza pani, że się ten głos wydał Leonowi muzyką aniołów. Zadrżał cały, ale wierny postanowieniu, wyjął odważnie rękę z kieszeni i wyciągnął list ciotki.

— My dajemy do składek publicznych: — zagadła znowu matka zniecierpliwiona i przestraszona po trosze, bo ta czamarka, ten papier, ręka w kieszeni, zdawały się jej zwiastować jakiego patrjotę gołego, do którego miała obrzydzenie, nasłuchawszy się za granicą niemało o komunistach.

— To list do nas zapewne; bardzo panu wdzięczni jesteśmy; prosimy siadać!... — zaśpiewała córka, a wzrokiem swoim coraz grzeczniejszym, słodszym i czarowniejszym ciągnęła gwałtem prawie naszego bohatera ku sobie.

Zrozumiała piękna hrabina swoją władzę; nieśmiałość młodzieńca rozczuliła ją, zamyślony i smutny wyraz twarzy Leona oszukał mądrą panią; niedoświadczenie chętnie mu przebaczała przez wzgląd na tę naiwność młodzieńczą, którą się jej rzadko zdybać zdarzyło. Przeczuwała surowy brylant, który tak miło będzie ogładzić; domyślała się w nim myśli i uczuć bez liku.

Po przeczytaniu udobruchała się matka.

— Znałam wuja pańskiego... to nasz kuzyn Kostusiu.

— A więc, vous êtes notre cousin!. – dodała córka.

Wybąknął coś Leon, w czem Konstancya dosłyszała słowo heu-

http://rcin.org.pl

reux, bo Leon w rzeczy samej połapał nieco francuzczyzny od ciotki.

— A więc młody człowiek umie po francuzku; mówiąc, że szczęśliwy z kuzynostwa, znalazł się nie źle — pomyślała Konstancja.

— Ojciec pana wyprawił do miasta, byś poznał świat wielki.

— Gdyby pani hrabina raczyła... — wyjąknął Leon do matki, a na córkę rzucił przypadkowy wzrok osłonięty temi pięknemi długiemi rzęsami.

— Il n'est pas si bête... — myślała Konstancya. — I owszem — dodała głośno — mama i ja wprowadzimy pana.

Leon zarumienił się i westchnął... aż się Konstancji zachciało odpowiedzieć półwestchnieniem.

— Ojciec pana jak słyszałam dorobił się znacznej fortunki?...

— Wielką pracą i wytrwałością... mój ojciec jest bardzo dobry — śmielej odezwał się Leon, który kochał ojca...

— Des sentiments nobles! — myślała Konstancja.

— Gdzież pan zajechałeś?...

— Tu do tej oberży! — wyręczyła Konstancja myślącego nad odpowiedzią Leona. — Je vous ai reconnu d'abord — dodała ciszej.

Wdzięczność i rozczulenie na twarzy Leona coraz go piękniejszym robiły.

— Dobrześ pan zrobił; on y est mieux casé jak w hotelu niemieckim...

— Nazwisko hotelu niemieckiego... i... — rumieniec dokończył myśl Leona, zrozumiałą samej Konstancji, która go za to nagrodziła wzrokiem tak upajającym, że aż tchu biedakowi zabrakło.

— Vous êtes patriote un peu! — z uśmiechem rzekła matka — c'est une position comme une autre, byle tylko nie przesadzać...

— Il a du chevaleresque! — pomyślała córka.

Po kilku jeszcze podobnych pogadankach pani hrabina powiedziała do córki jakby od niechcenia: „Dziś podobno dzień księżnej..."

Zrozumiał to Leon na szczęście i zabrał się do wychodu.

— Prosimy nas odwiedzać! — rzekła córka słodziutko.

— Będziemy dla pana zawsze w domu — dodała matka grzecznie — jak się pan już urządzi.. przyczem je vous conseille mon cousin, byś zaczął od stroju... un habit habillé jest koniecznie potrzebny.

Skłonił się Leon, a hrabina Konstancja szepnęła ciszej:

— Radzę panu Kulczyckiego, tu naprzeciwko.

Wrażenie jakie sprawił Leon, było w ogóle nie złe, chociaż popsuł w końcu sprawę parafiańskiem głośnem ucałowaniem rąk obu pań... Młoda hrabina chętnie mu przebaczyła, przez wzgląd na przyciśnienie ust tak silne i gorące, jakie ją dawno nie zdybało.

Wyleciał Leon spocony, zmęczony i zakochany po uszy; trącił w biegu kogoś na schodach, nie zważając na to pogonił dalej.

Ten ktoś, był to Karol; spojrzał za nim, zauważał zkąd idzie, a wrzok jaki rzucił na niego był pełen nienawiści i szyderstwa.

Karol wszedł do pomieszkania hrabiny; Leon wrócił do siebie, i po krótkiej chwili poświęconej myślom, które po raz pierwszy

http://rcin.org.pl

tłoczyły się tak tłumnie do głowy jego, wyszedł do miasta. Ostatnie słowa Konstancji brzmiały mu w uszach; przebrać się jak najmodniej, było najgorętszem jego życzeniem. To uczucie silniejsze zakochania, które po raz pierwszy zawrzało w nim, wyrwało go choć na chwilę ze zwykłej niepewności; szedł prędkim i stanowczym krokiem, a myśli jego były pewniejsze.

— Jestem bogaty, słyszałem, że za pieniądze wszystko mieć można, będę więc miał wszystko.

Wszedł do pracowni Kulczyckiego, ani widział, że te dwa spojrzenia, które go przy wjeździe przywitały, patrzą znowu za nim; ani też dosłyszał, jak młoda hrabina rzekła do Karola:

— To nasz kuzyn! nie chciałabym, by się wydał śmieszym, lub padł ofiarą złośliwego dowcipu.

— Pani każesz, będę jego opiekunem, et vous verrez des miracles! — odpowiedział Karol.

— Je vous repète monsieur, c'est... mon cousin...

Tymczasem Leon wpadł w najokropniejszy labirynt. Zarzucony postawami sukien, stosami sztuczek kamizelkowych, w kraty, kwiaty, paski, promienie i gwiazdy, stał i słuchał rad otaczających go czeladników, których namawiania i zalecania mieszały go okropnie.

— Surducik fioletowy byłby panu do twarzy; kamizelka paliowa po niżej bioder, spodnie w płomyki popielate.

— Rajtrok brązowy z guzikami świecącemi; szkocka kamizelka.

— Zielony tużurek, kamizelka pikowa, białe pantalony...

— Frak czarny lepiejby panu przystał...

— Lub granatowy z małemi guziczkami...

— Vert de dragon! to kolor salonowy!...

A widząc, że milczy, jakby mu to wszystko się nie podobało, coraz nowe podsuwają mu przedmioty, nowemi obsypują radami.

Zamąciło mu się w głowie, zaćmiło w oczach, zaszumiało w uszach, barwy skaczą i mieszają się; ani wie co powiedzieć, co wybrać.

Podsuwają mu stosy żurnalów, wskazują tu i ówdzie znaczniejsze różnice krojów, półfrakowych, zagięć kamizelkowych, fałdów pantalonowych, w których mnóstwie natężony umysł naszego bohatera, jeżeli nie utonął zupełnie, winien to był zapewne próżni swojej.

— Dla czegoż pana nudzić! — ozwał się głos z tyłu — pan sam wie najlepiej, jaki krój najlepiej mu przystanie.

Obrócił się Leon i postrzegł wchodzącego w tej chwili Karola, który wierny przyrzeczeniu hrabinie Konstancji danemu, przyszedł za nim.

— A tak! — zajęknął się Leon, któremu twarz Karola zdawała się znajoma, choć sobie nie mógł przypomnieć, gdzie ją widział.

— Jest to śmieszna rzecz! — ciągnął dalej Karol — żeby dzisiaj chcieć naganiać kogo do tej lub owej mody; czy prawda?

— A tak! — powtarzał Leon, który zaczynał lubić Karola.

— Człowiek z gustem, człowiek wyższego towarzystwa sam najlepiej zastosuje do siebie, to co w każdej modzie wyda mu się najwięcej fashionable... nieprawdaż?...

http://rcin.org.pl

— Tak! tak!...

— Naprzykład ta czamarka! — dodał Karol nie mogąc połknąć tego szyderstwa, które mu się tak samo nadarzyło.

Leon już kochał Karola.

— Ja już przez chwilę uważałem, i widzę, że panu to najlepiej do smaku przypadło; wszak prawda?...

— A tak!...

— I to? i to?...

— A tak.

— Bo pan nie myśli jeden lub dwa tylko sprawić sobie garnitury, ale kilkanaście.

– Skłonili się nisko wszyscy czeladnicy, a Leon zdziwiony rzekł: „skądże pan wie?...“

— Jestem przyjacielem domu pani hrabiny Balińskiej, której pan jesteś kuzynem; miło mi więc pana poznać, i proszę o jego przyjaźń...

Poczciwy Leon rozczulony ucałował Karola w oba policzki potrzy kroć. Nim pół godziny przeminęło, kilkaset reńskich zapłacił Leon, ale miał też nadzieję mieć wyprawę książęcą, z którą zdołałby lat kilka żyć i ubierać się sowicie na wsi.

Wyszli z pracowni Kulczyckiego, ręka w rękę, i z sklepu do sklepu, z ulicy do cukierni, z rynku na teatr biegali do później nocy. Leon wrócił bogatszy o przyjaźń, miłość, fraszek modnych i modnych nauk bez liku, a nowych znajomości jak śmiecia, choć uboższy o parę tysięcy reńskich.

Późniejsze stosunki Leona z Karolem przeskoczymy; łatwo je bowiem zrozumieć z tego co powiedzieliśmy, i przejdziemy do pomieszkania, ku któremu nasz Leon po rozmowie z Karolem z niemałym wybiera się namysłem.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Kochanka i przyjaciel.

Pomieszkanie to pierwszopiętrowe w jednym z najpiękniejszych domów stołecznych opisywać szczegółowo nie będę, odsyłając czytelników moich do podobnych opisów, jakich jest mnóstwo w powieściach francuzkich. I to tem śmielej zrobić mogę, że w ogólności naśladownictwo tego co we Francji, co w Paryżu, jest jak dawniej, tak i teraz powszechne, u nas, a w szczególności modne panie lubią w przystrojeniach pomieszkań swoich, nie łamiąc własnej wyobraźni, kopiować opisy powieściowe lub opowiadania młodych Kolumbów wyjeżdżających w świat, by odkryć nowy krój fraka, nową pomadę do wąsów, lub inną nowość podobnej dla nas wartości. Balzakowskie buduary duszą i ciałem równie często zdybać możemy w stołecznych pomieszkaniach naszych, jak i balzakowskie krzesła, które służą niejednemu z naszych młodzików, choć w nich nic nie pisze, nic nie myśli, i nic nie umie.

http://rcin.org.pl

Były więc w pomieszkaniu hrabiny Konstancji i kozezy, i rokoko i palisandrowe stoły i wielkie lustra w ramach staroświeckich, i miękkie dywany, i fraszek rzniętych i dętych, choć ludzie jasnowidzący, przezywani u nas nudnymi pessymistami, twierdzą, że byłoby i lepiej, i przyzwoiciej, i bogaciej, przeciwnie, ludzie pstrowidzący, zwani przyjemnymi optymistami powiadają, że byłoby brzydko i nieznośnie, po polsku wprawdzie, ale nie po europejsku.

Prócz tego wszystkiego było w salonach pani hrabiny coś więcej, co nosiło na sobie cechę szczególniejszą jej osobistości. Hrabina Konstancja nie była wprawdzie żadnym pojawem nadzwyczajnym jakich namnożyły nam powieści francuzkie, ani aniołem ani szatanem salonowym, ale różniła się jednakże całem ułożeniem swojem od salonowych współtowarzyszek swoich. Lubiła być oryginalną; i to upodobanie swoje rozsypywała w pewnym nieporządkiem w koło siebie, który nie był bez wdzięku; wszystkie wiadomości, talenta, odkrycia i wymysły przyswajała sobie chwilowo, tak że nie było nic dziwnego, zdybać u niej kapelusz piórem powiewający na wielkim globusie, model machiny parowej na gotowalni obok puszki z różem, smyczek na palecie; a że silne miała przekonanie o emancypacji kobiet, szpicrut i trzelka wisiały w buduarze na wielkiej mappie pocztowej, krucica pysznej roboty, i lekki jatagan turecki obok wizerunku staroświeckiego Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym, jeżeli ją nie rozerwały ważniejsze zajęcia, sama zapalała porfirową lampę. Jeżeli trudne do pojednania z sobą łączyły się w jej pokojach przeciwieństwa, jeszcze trudniej było powiedzieć co stanowczego o jej właściwym charakterze.

Zepsute dziecko szczęścia, wykołysane wśród bogactwa i zbytku, życie jej było jakby kanwa tkana barwami chwilowych zachceń i kaprysów; było w niej wiele dobrego, niemniej złego, a to wszystko łączyło się w całość póty piękną i powabną, póki jej twarz była piękną i młodą, położenie majątkowe świetne, a świetniejsze jeszcze położenie towarzyskie, dla którego wszystko jej przebaczano. Świat okalający ją, zwykle pobłażający słabościom serdecznym, nie lubi jednakże głośniejszych intryg skandalicznych, za które niejako solidarnie odpowiadać musi, dla niej jednej miał pobłażenie bez granic, którego przyczyn złośliwi domyślali się w stosunkach jej matki u dworu. Dobroduszniejsi powiadali, że nie można było gniewać się na przyjaciółkę wszystkich pań potrzebujących pożyczki. Bądź co bądź, to pewna że w miłostkach była skłonna ku mniemaniu kochanków z dziwną łatwością. I do tego doprowadziła stopnia, że gdy drugich pań kochankowie musieli wynajdywać różne sposobności widzenia się, włazić przez okna, lub inne skryte wynajdywać kąty, kochankowie hrabiny Konstancji przychodzili do niej głośno i jawnie, w dzień i w nocy, chyba że ich sama odwiedzała, co się nieraz wydarzało. Kochanek hrabiny Konstancji, stał się dostojeństwem pewnego odznaczenia, o które dobijali się nietylko panowie, ale nawet i matki chcące synów swoich puścić w świat dobrą drogą. Jednem słowem być kochankiem hrabiny Konstancji, było to położenie towarzyskie zazdroszczone od wszystkich. Ludzie nawet, co to zwykle wszystko

dobrze wiedzą, twierdzili, że był to urząd korzystny we względzie finansowym, za prawdą czego przemawiała znana szczodrota hrabiny, i połączone najczęściej z urzędem kochanka zawiadywania ogromnym jej majątkiem. Dodać potrzeba, by uzupełnić obraz skreślony, że dobroczynna i wspaniała sypała w koło siebie liczne jałmużny, które jak to zwykle bywa, padały nie bardzo sprawiedliwie, i nieraz stara jaka panna lub zubożała jejmość dobrego rodu dostawały na kawę, bez której obejść się można, gdy prawdziwie uboga rodzina nie dostała na chleb, bez którego obejść się nie można; przytem żywa, wesoła, uprzejma, bez żółci, nic dziwnego, że przywiązała do siebie całe towarzystwo modne, którego była królową. Zgoła hrabina Konstancja byłaby zacną kobietą, gdyby mniej temperamentu jak ją tłumaczyli starzy panowie kiwając łysemi i siwemi głowami, a wzdychając czasem za temperamentem swoich latek minionych.

Dzisiaj, to jest dnia 8. lipca r. 1843, a zatem w rok od początku powieści naszej, hrabina Konstancja była przez raptowny kaprys, jaki zwykle przypływał do niej Bóg wie zkąd, gdyby obłok na niebo, była ogrodniczką; prawdziwa Flora w lekkie muszliny i kwiaty strojna biegała pomiędzy kwiaty przez całą ścianę w salonie rozstawione i własną bielutką ręką obcinała, czyściła, podlewała, to wciągając woń kwiatów, to przypatrując się pięknym barwom. Ktoby ją znał lepiej i przypatrywał codzień z uwagą, odgadłby tak z twarzy jak i z dzisiejszego zajęcia się, rodzaj znudzenia jakiegoś i niesmaku, który od kilku dni mgłą bladości osnuł jej śnieżną płeć.

Otworzyły się drzwi salonu; hrabina Konstancja skoczyła z pomiędzy wazonów rzutem lekkim i pełnym wdzięku jej właściwym; kwiaty i listki sypnęły się w koło niej, i śmiechem serdecznym przywitała Karola, który wszedł w tej chwili wyświeżony, z twarzą na którejbyś nie poznał czytelniku twarzy bankietowej, twarzy szydzącej w rozmowie z Leonem; Karol bowiem, dodajmy tu nawiasem, był mistrzem w ułożeniu fałdów twarzy swojej, doprowadził do mistrzowstwa to aktorstwo twarzy, tę broń najsilniejszą w salonie, w którym mniejsza o, szczerość, o prawdę, byle była maska i udanie doskonałe.

— Śmiej się panie Karolu; rozwesel to czoło, na którem od tak dawna widzę smutek...

— I, nie chcę go rozumieć...

— Śmiej się pan z mojej kwiatkomanji, ale chodź podziwiać tę magnolię.

— Podziwiam od roku.

— Magnolię?

— Magnolię! jeżeli chcesz i co chcesz, — odpowiedział Karol z wyrazem namiętnym.

— Romantyczny pan jesteś: na chwile romantyczne nie kwiaty, ale muzyka.

— Chwile tylko! — odrzekł z półwestchnieniem i poszedł za hrabiną do fortepianu, który w tej chwili otwarty zaśpiewał pod umiejętnemi palcami Konstancji, grającej improwizacją pełną kaprysów.

http://rcin.org.pl

— Życie swoje oddajesz pani grą cudownie... zagraj mi pani życie moje.

Spojrzała hrabina na mówiącego, i mimo wyrazu lekkomyślnego, coś nakształt strachu instynktowego przemówiło z jej twarzy.

— Tajemnica to okropna! — i głębokiemi dzikiemi tony zajęczał fortepian.

— Okropne zapewne, ale nie jest tajemnicą przynajmniej dla pani.

Nic nie odpowiedziała Konstancja, ale klawisze za to coraz ciszej, coraz roztrzepaniej dotykane zabrzmiały pieśnią pełną żałości i tęsknoty.

— Tak! to moje życie, to moja miłość.

— Mylisz się pan, to piosenka z Romea tak ulubiona przez Leona.

— Przez Leona, zawsze przez Leona, którego nazwisko i całe życie rzuciłaś pani na mnie jak obrożę na psa.

— Dzięki ci panie Karolu, za opiekę nad tym biednym chłopcem.

— Pani go kochasz!...

Muzyka odpowiedziała głosy niepewnemi mazurka Chopina.

— Pani go kochasz powtarzam; pani go kochasz! — powtórzył raz trzeci.

— A kocham — odrzekła i usta jej otworzyły się czy do westchnienia czy może do ziewnienia... — kocham to biedne niewiniątko — dodała śmiejąc się wesoło.

— Chłopiec zaczyna się starzeć, niewiniątko nabiera rozumu, doświadczenia.

— On rozumu; doświadczenia!...

— Najlepszy dowód, że stracił cały majątek.

— Stracił! — ja bogata!

— Stracił wszystko, i tylko co go nie widać, jak przyjdzie prosić o bogatą rękę twoją.

— Mnie o rękę?

— Tak to jedyny dla niego ratunek, jeżeli się z tobą ożeni.

— Ślicznaby ze mnie była żona! — skoczyła hrabina, zaśmiała się i siadła na wielkiem krześle poręczowem.

— Chciałbyś pan mieć mnie za żonę?

— Nie pytaj mnie pani; różnica między nami jest nadto jasna... bo pani wiesz, że ja kocham... ja sobą pogardzam za to, ale kocham nad życie; pani szydzisz ze mnie, dręczysz mnie, ale ja kocham głupiec, szaleniec prawdziwy... Pani przykułaś mnie do usług tego niewiniątka jak go nazywasz, a ja przecież kocham panią i wstydzę się powiedzieć, powinienbym nienawidzieć, mścić się, ale kocham nad wszelki wyraz... I nie żoną chciałbym cię mieć pani, boś pani bogata, a ja ubogi, nie żoną którąby kochać było obowiązkiem moim, ale kochanką, którą kochać byłoby najwyższem szczęściem mojem i rozkoszą...

http://rcin.org.pl

Tu, choć to może obruszyć na mnie część czytelników, muszę powiedzieć, że Karol choć nie był ładny ale miał te rysy silne, wyraziste, i tak mocno odznaczone, że doświadczona kobieta, jaką była pani Konstancja, musiała wierzyć koniecznie w siłę tego zapału miłośnego, który jej przyrzekał.

— On kocha panią zapewne — ciągnął Karol dalej — jakby kochał inną mniej kochania godną kobietę, którąby mu się na wstępie do miasta pierwsza uśmiechnęła; on kocha panią, równie jak... lecz nie będę podstępem psuł sprawy jego.

— Jak? co pan pod tem rozumiesz?

— Nie odemnie się pani o tem dowiesz... Bądź pani żoną jego; będziesz miała Konstancjo męża, którego jak dziecko oprowadzać będziesz z sobą; bo daremnie go oblewasz strumieniem ognia, który w tobie płonie, nie rozpalisz go do innego życia, jak do życia planty o skąpych sokach żywotnych. Oprowadzaj go pani z sobą, tego męża, który przepił, przegrał, przehulał majątek.

— Kto panu powiedział, że on będzie mężem moim? jest moim kochankiem, świat to wie cały.

— Świat ci zapewne przebacza tego kochanka, bo jest przystojny, majętny: żyje na dobrej stopie, ma powozy, konie, pożycza pieniądze przyjaciołom, trzyma lożę, gra grubą grę, jest nareszcie równy towarzystwu twemu; a nawet powabną nieśmiałością nazywają to, co ty pani i ja znam najlepiej czem jest i czego nie widzą dzięki promieniom twej miłości, jakie trwonisz na niego; dzięki przywiązaniu memu do ciebie, które mnie zrobiło jego cieniem, opiekunem, niewolnikiem, parawanem jego głupoty. Lecz niech się dowiedzą, a jutro dowiedzieć się muszą, że przedał wioski, a dłużnicy zabrali powozy, meble i konie, jakże on staje naprzeciw twego towarzystwa? przystojność bez wyrazu zniknie; będzie on tylko synem jakiegoś ekonoma, co nakradł kiedyś, póki się nie dochrapał majątku; porweniuszem bez majątku, gustu, talentu i rozumu: jutro niewiniątko zostanie ochrzczone głupcem. Zapewne jako kochanek pani nie będzie wytrącony za drzwi salonów, ale przebacz Konstancyo! świat równych tylko przebacza kochanków; przedpokojowych kochanków nie chce widzieć; milczy, ale w końcu pogardą mści się za długie pobłażanie.

Konstancja milczała; nie dla tego by ją uderzały tak silnie słowa Karola; ona dawno już te same miała myśli, bo my co wiemy wszystkie tajemnice naszych powieściowych bohaterów i bohaterek, możemy zaręczyć pod słowem honoru, że już ją dawno Leon znudził, i jakże inaczej być mogło przy jego nijakości, lecz czuła dla niego litość. Litość w świecie mody graniczy z pogardą. Oryginalność, i powiedzmy szczerze, większa wartość jej umysłu i serca, robiły z tego letniego uczucia, uczucie czulsze i szlachetniejsze, lecz nawet tak w gruncie dobra kobieta, jaką była Konstancja, przestaje koniecznie kochać, gdy się już litować zaczyna.

— I gdybyś pani przynajmniej mogła mu dać jaką posadę, użyć go do prowadzenia interesów, które hrabia Ksawery... przypo-

http://rcin.org.pl

minasz go sobie pani... hrabia Ksawery, jakkolwiek roztrzepany, niestały, bardzo dobrze był urządził po śmierci męża pani.

— Pan wszystko wytłumaczyć umiesz, i nie taję, że wiele w tem jest prawdy, ale przecie Leon jest dobry, szlachetny?

— Zapewne, i czy wiesz pani, nad czem myśli, jeżeli nie zostanie mężem pani?

Konstancja ciękawe wypatrzyła oczy.

— Szulerem myśli zostać! tak, nie dziw się pani, szulerem! czyż pani nie wiesz, że to stanowisko niezłe w towarzystwie; pani wiesz przecie, ile do jej tak wybrydnego salonu wchodzi panów, których całem zajęciem gra. Szulerem będzie, ja pani ręczę; szuler będzie kochankiem pani. I nie myśl pani, by temu nie podołał; dobroduszność twarzy to najlepszy lep dla graczów, a niezgrabność głowy idzie często w parze z zgrabnością palców.

— Toby było okropnie! trzeba go ratować, trzeba koniecznie! to nie jego pomysł! to namowy! — mówiła z roztargnieniem Konstancja.

Karol mimowolnie się przestraszył czy nie za daleko posunął się.

— On tak dobry! on mnie kocha!

— Kocha! — zasyczał Karol — to już nad moje siły... bądź pani dziś w teatrze... pani znasz jego lożę..

W tej chwili wszedł Leon blady, zmieniony. Konstancja chciała już skoczyć ku niemu, i wątpliwości swoje gwałtownemi wyrzucić słowami. Ledwie Karol miał czas szepnąć.

— Przekonaj się pani sama, nie zdradzaj mnie... bo inaczej... słowo honoru... pojedynek.

Lecz Konstancja już ochłonęła, i patrzała tylko na obie twarze stojących przed nią, jakby je porównać chciała. Smutne było porównanie dla Leona. Karol był brzydki nawet; ale jego twarz promieniła się życiem fizycznem i moralnem; na twarzy zaś Leona była przystojność już zpowszedniała.

Karol pożegnał się z hrabiną, uścisnął rękę przyjaciela i wyszedł.

Konstancya porwała Leona za rękę i przyciągnęła na sofę; jego ręka była zimna, twarz niema, choć się przycisnęła do niego. Jakże inaczej przed chwilą wyglądał Karol, gdy mówił do niej; ona dwudziestoczteroletnia kobieta świata, emancypowana kobieta musiała kilka razy spuścić oczy przed jego pożerczem spojrzeniem.

— Smutny jesteś Leonku!

— Nie Konstancjo!

— Czemuż więc tak blady i zimny?... już mnie nie kochasz?

— Kocham cię Konstancyo.

— I nikogo więcej! milczysz?

— Ty taka dobra dla mnie Konstancyo!

Pociągnęła Konstancya za złocistą taśmę od dzwonka; wbiegł kamerdyner.

— Powóz niech zajedzie.

http://rcin.org.pl

— Czy jedziesz gdzie Konstancjo? wszak dzisiaj to mój dzień, to nasz dzień... a ja miałem ci kochana Konstancjo wiele do powiedzenia.

— Mam migrenę.

— Kilka słów tylko; a zrozumiesz mnie — mówił prędko Leon, bo czuł, że słabnie już to przedsięwzięcie, które go tyle kosztowało, czuł jak to niezwykłe natężenie dreszczem po żyłach jego bije. Chwile jakie przepędził w samotności, nim przyszedł do Konstancji, były okropne i zrozumiałe dla tego tylko, który kiedy w chwili życia stanowczej przebył te wątpliwości jakie poprzedzają ostateczne uchwycenie jedynego środka ratunku. Dla takiego umysłu, jakim był umysł Leona, były to chwile tak ciężkie, że już kilka razy z drogi wracał, i sam później pojąć tego nie mógł, jakim sposobem, jaką siłą pchany wszedł do pomieszkania Konstancji.

— Ty wiesz Konstancjo jak ja ciebie kocham.

— Ja mam migrenę.

— Ty wiesz, że bez ciebie żyćbym nie mógł.

— Ja mam migrenę! — powtórzyła Konstancja i skoczyła pełna niecierpliwości.

Leon ani był w stanie zrozumieć tego uczucia, jakiem ta zepsuta przez wszystkich kobieta przejętą była, gdy jej cierpienia prawdziwe czy udane żadnego w nim nie wzbudziły współczucia.

— I dla tego jadę do teatru.

— Do teatru? — pomieszany rzekł Leon, który w tej chwili wiązał jeszcze jak mógł w swej głowie słowa, które był przygotował.

— I ty Leonie pojedziesz ze mną.

— Ja z tobą, ale droga Konstancjo, moja przyszłość, to jest życie moje... miłość moja...

Śmiech szczery i pusty odpowiedział mu.

— Jakaś nieznośna sztuka!... a ja chciałem... bo już dłużej... nad życie cię kocham...

— Pleciesz jak w gorączce... Żydówkę dają... pojedziemy więc, już po siódmej...

— Nie, jeszcze niema siódmej! — zapewniał coraz więcej pomieszany Leon.

— Na migrenę najlepsza muzyka...

— Zagraj więc sama Konstancjo, ty grasz tak ślicznie...

— Ale grać męczy... ja słuchać chcę muzykę... to mi rozpędzi ból głowy.

— To ja moja droga poszlę po mój flet. — Biedny Leon grał na flecie; to był jego jedyny talent.

— Nie chcę fletu! słaby z ciebie wirtuoz, ty nie masz piersi.

— I owszem ciotka twierdziła zawsze, że ja pięknie gram na flecie.

— Fałszywie dmiesz! — śmiejąc się pogardliwie odpowiedziała Konstancja. — Pojedziemy do teatru; szczęściem, że zatrzymałam lożę...

http://rcin.org.pl

— Lożę! — krzyknął Leon, i włosy mu na głowie stanęły, bo zaczął sobie przypominać.

— A tak! lożę, naprzeciw twojej..

— Zostań Konstancjo! — krzyknął Leon, którego rozpacz nie miała już granic; ostatnie zrobił wysilenie i padł na kolana przed nią. — Zostań!... ja ciebie kocham... i ty musisz być moją!...

— Twoją! wszak ja jestem twoją — naiwnie odpowiedziała i parsknęła od śmiechu patrząc na wyraz twarzy Leona.

Okropnie śmieszny był ten wyraz obłąkania prawie, a przynajmniej głupoty zupełnej.

— Wstań! może kto przyjść; czułości zostaw na później; po teatrze pomówimy... czekaj na mnie, zaraz pojedziemy; tylko szal zarzucę.

Został Leon na chwilę sam, podniósł się z ziemi; chciał pomyśleć, nie mógł; chciał coś postanowić, nie miał siły; chciał uciekać, nóg podnieść nie mógł.

Wyjechali do teatru; już było po pierwszym akcie. Wszystkie lornetki zwróciły się na lożę Konstancji, gdy ta weszła ciągnąc za sobą Leona jakby na śmierć prowadzonego. Konstancja rzuciła okiem przed siebie, i już wszystkie lornetki zwrócone nagle w przeciwną stronę okazały jej w loży Leona znaną z swej rozwiązłości aktorkę. Telegrafem poruszanych tam i nazad perspektywek, binoklów i lornetek, w mgnieniu oka wszystkie loże zostały uwiadomione o tem wydarzeniu, i była chwila, w której wszystkie spojrzenia szklanne spoczęły na hrabinie Konstancji, aby śledzić wrażenie, jakie na niej zrobiło to bawiące wszystkich zdarzenie.

W mgnieniu oka rozbiegli się balkonowi i krzesłowi salonowce po lożach, i zaczęły się pogadanki o tym tak ważnym przedmiocie, i na wołowej skórze nie spisałby, co tam było złośliwych utyskiwań, litośnych uśmiechów i komentarzów bez liku. Zrozumiała to Konstancja od razu, i możemy śmiało powiedzieć, że przeważające było w niej uczucie nienawiści i pogardy dla biednego Leona, który skulony, oniemiały, straszliwie blady skurczył się w kącie loży. Mimo całej znajomości świata i zuchwałości salonowej, jaką w wysokim stopniu posiadała Konstancja, była pomieszana jak nigdy, i ledwie tyle znaleść mogła siły wewnętrznej, by się wyrazem twarzy nie zdradziła przed śledzącemi ją przyjaciołmi, którzyby tak chętnie choć jedno skrzywienie ust, jeden zmarszczek cierpienia dostrzedz chcieli.

— Czemuż tak się usuwasz? — rzekła Konstancja rzucając wzrok zabójczy na Leona, a uśmiech swobodny i czuły ku patrzącym.

Ta sprzeczność przez Leona tylko dostrzeżona, do reszty go zniszczyła; nie wiedząc, co powiedzieć, milczał.

— Obrzydliwie wyglądasz, jak prawdziwy winowajca; wysuń się naprzód loży i mów co, przynajmniej ruszaj ustami; chceszże, żeby cały świat zrozumiał i tłumaczył dowolnie tę.... tę zniewagę haniebną.

— To nie ja!...

— Nie tłumacz się, to twoja loża...

— To Karol!...

http://rcin.org.pl

— Być może, ale loża twoja... Nie patrzże wzrokiem tak głupim, jak student, który lekcji nie umie; uśmiechaj się... bo wyglądasz nieznośnie...

— To ja wyjdę...

— Siedź! — odpowiedziała Konstancja, i zaczęła perspektywą swoją przeciągać obojętnie po lożach rozruszanych do żywego.

Najspokojniej na to wszystko patrzała aktorka z loży Leona, wystrojona, świecąca, promienista radością, że jest w środku tego towarzystwa, które nienawidziła, bo wyższe, zazdrościła, bo bogatsze, pogardzała zaś w duszy, bo równe sobie życiem rozwiązłem. Niezmieszana wychyliła swoją ukwieconą i uwstążkowaną głowę, i zuchwałemi oczyma odpłacała z lichwą wszystkie te spojrzenia ku niej zwrócone, rachując już w myśli, ile ta głośna awantura sprowadzi jej nowych gości, nowych wielbicieli i nowej intraty. Twarz swoją z wyzywającym uśmiechem obracała ruchem zalotnym ku balkonom, ruchem pogardliwym ku lożom, drwiącym zaś ku siedzącej z nią starej nieruchomej kobiecie, niby ciotce, niby matce, wiernej towarzyszce takich pań, siedzącej niezgrabnie w sutym stroju z twarzą i postawą przekupki.

Jakoż są to prawdziwe przekupki, prowadzące haniebny ten handel, jak każdy inny handel ze zwykłemi odmianami, zależącemi od ilości kupców, jakości towaru, stosownie do czasu i okoliczności. Nieznaczące na pozór stworzenie w domu aktorki, z salonu przechodzi do kuchni, z pożyczonego stroju w fartuszek domowy, z matki na kucharkę lub odźwierną. Znikła, gdy potrzeba, pojawia się w sam czas, potulna lub zuchwała dla gości, milcząca jak kamień grobowy, lub krzykliwa jak rakarka, jest ona niezbędną koniecznością życia zakulisowego, w którem nie jedną taką zdybiesz istotę skuloną w kącie, drzymiącą nad tłomoczkiem z sukniami codziennemi swojej pani.

Karola nigdzie nie było, darmo się aktorka oglądała, by tym ostatnim tryumfem plunąć w oczy światu wyższemu; darmo niejedne go szukały oczy z lóż i balkonów; znikł zupełnie, a nawet nie widziano go jeszcze w teatrze. Przed wystawą kawiarniową siedział on spokojnie zajadając lody i zostawiając czas, by przygotowana przez niego awanturka spodziewany owoc przyniosła; marzył sobie swobodnie o przyszłości, którą od początku poznania Konstancji z Leonem przygotowywał z dziwnem wyrachowaniem i przykładną cierpliwością.

Po drugim akcie zaczęły się sypać wizyty do loży hrabiny Konstancji; wojna forpocztowa zmieniła się na bój wstępny, lecz i nieprzyjaciel był przygotowany. Leon już miał na twarzy swój uśmiech obojętny, do którego wszyscy byli przyzwyczajeni; Konstancja zaś wesoła, szalona, dowcipami tak strzelała w przybywające korpusy posiłkowe; tyle żartów, tyle złośliwości wyrzuciła na nich, że nie dała im przyjść do słowa prawie, nie dopuściła żadnej najlżejszej nawet wzmianki o aktorce.

W tem szmer rozszedł się po sali wszczęty nie wiedzieć zkąd

http://rcin.org.pl

Nim się rozciekawieni widzowie obejrzeć mogli, znikła z loży Leona aktorka wraz z towarzyszką, a Karol wszedł do loży hrabiny.

— Gdzie pan byłeś?...

— Zkąd tak późno? — otoczyły go zapytania w około.

On miał jedno tylko spojrzenie ogniste dla hrabiny — i obojętny rzuciwszy wzrok na teatr i otaczających, odpowiedział: — Byłem na spacerze, a wracając zdybałem zabawne zdarzenie, na które mimowolnie wpłynąłem.

Wszyscy ciekawie spoglądali na niego.

— Przez nieporozumienie, któremu podobno roztrzepanie twoje winno kochany Leonie, loża twoja dostała się pannie Paulinie, której miejsce zapewne w teatrze, ale na deskach, lub na trzeciem piętrze.

— Ja nic nie wiedziałem — wyjąknął Leon — ty wiesz...

— O wiem doskonale, że twój kamerdyner zamiast posłać bilet wedle twego rozkazu, oddał go jednemu z roztrzepańców naszych, który go ofiarował bogini swojej... lecz skandal już skończony, podszepnąłem kilka słów komisarzowi policji, i jak| uważam improwizowane damy znikły, nie doczekawszy nawet baletu.

Mimo całej mocy jaką miała nad sobą hrabina Konstancja, nie mogła nie obdarzyć Karola wzrokiem wdzięcznym i czułym. Legje nieprzyjacielskie wynosiły się pomału; została młoda hrabina z dwoma współzawodnikami.

Karol szepnął jej kilka słów; hrabina pogroziła mu wachlarzem wprawdzie, ale uśmiech za to nie był groźny. Zgadła ona wszystko, lecz rada może z podanej sposobności, z oziębienia powolnego długo przygotowanego przeszła już w zupełny lód dla biednego Leona, który zgłupiał do reszty. Nie czuła ona żadnego silniejszego uczucia dla Karola, ale mimowolnie powtarzała sobie w duszy wszystkie pomału obudzone w niej przez Karola myśli, w końcu których odpędzenie Leona, a przyjęcie Karola stało się koniecznością, nad której dalszem rozbieraniem nie zadawała sobie pracy nawet. W takim składzie rzeczy rozmowa szła leniwo, wkrótce też wyszła Konstancja z loży wraz z obydwoma panami, a gdy powóz zajechał, rzekła jak najobojętniej do Leona:

— Jedziemy! — do Karola zaś: — Do widzenia! do jutra!...

W powozie trwało przez czas przejażdżki milczenie głębokie; Leon ani pojmował, coby tu powiedzieć wypadało; Konstancja zaś rozbierała w myśli całe położenie swoje. Pogardzała Leonem, ale się przecie nad nim litowała, rozumiejąc to doskonale, że ostatnia nadzieja Leona upadnie z jej przywiązaniem. Nie miała ona złego serca, a przytem stosunek miłośny z Leonem chociaż nudny w gruncie, mdły jak potrawa nie ożywiona ostrzejszą przyprawą, przypominał jej przecie tę bezgraniczną uległość Leona dla wszystkich jej kaprysów. Uległość ta, jakkolwiek niewyrozumowana, nieubarwiona nawet kształtną jaką formą, jest przyjemną zawsze właściwością w mężczyznie, osobliwie dla kobiety lubiącej panowanie, dla wdowy niemyślącej o stracie swej wolności. Nie mogła więc bez żalu prawie pomyśleć, że stosunki zamienić musi na inne mniej pewne, a nawet grożące niejedną walką, której po charakterze Karola, jak go prze-

http://rcin.org.pl

czuwała, spodziewać się można było; pokój miała może zamienić na wojnę. Odzywało się zatem w jej sercu coś nakształt przywiązania do pieska, do któregoby się przyzwyczaiła; lub raczej do wygodnego krzesła, w którem się już miły kącik wycisnęło.

Gdy wysiedli i weszli do buduaru, Konstancja jak zawsze zaczęła się rozbierać, i wziąwszy strój nocny tak powabny, jakby chciała ostatni raz oślepić Leona całem bogactwem wdzięków swoich, usiadła koło dumającego w kącie sofy Leona.

Konstancja nie miała tego w swojem usposobieniu, by się chwytać półśrodków, od razu więc postanowiła skończyć, tak jak jej litość i resztki przywiązania nakazywały.

— Bądź weselszy Leonie! dla czegoż mamy się rozstawać żałośnie, jakby młodzi sielankowi kochankowie.

— Więc rozstać się koniecznie? — przerwał Leon, i żal niezwykły ścisnął mu serce.

— Nie chcę ci robić wymówek, lecz spodziewam się, że rozumiesz, iż sam winien jesteś...

— Ależ ja niewinny!

— Dajmy temu pokój; ty jesteś niewinny zapewne, ale winny zawsze jesteś, i winny wiecznie będziesz przez swoje usposobienie niemęzkie.

— Konstancyo, ja zapewne jestem miękkiego charakteru, lecz jutro przekonasz się, czy nie będę miał odwagi pociągnąć Karola do krwawej odpowiedzialności.

— Nie zrobisz tego, bo ja cię o to proszę, bo ta głupia awantura narobiłaby więcej jeszcze hałasu. Nie dbam o światowe pogadanki, które rozbroję jednym podwieczorkiem, ale ty Leonie, powiedz czy możesz dłużej zostać w mieście? Milczysz!... ja wiem, że jesteś zupełnie zrujnowany.

— Myślałem, że gdy mnie kochasz zechcesz zostać...

— Żoną twoją!... ja za mąż nie pójdę; daremna o tem gadanina, a nie chciałbyś zapewne, byś żył tu z mojej jałmużny.

— Z jałmużny! — krzyknął i skoczył Leon, w którym się poruszyła wszystka szlachetność, jaką miał w sobie.

W tej chwili wszedł służący i wniósł list. Konstancja rzuciła oczy na podpis, i położywszy niedbale list na stoliku, po chwili rzekła zrywając się z kanapy:

— Słuchaj Leonie! ten list podał mi myśl nową... ty musisz się żenić... nie ze mną... ale ożenić bogato... Dla człowieka co wszystko stracił, jedyny środek jest małżeństwo bogate.

Biedny Leon po chwili zapału, który u niego gasł prędko, spuścił znowu głowę.

— Tu! — pokazując na list ciągnęła Konstancja dalej — znam dla ciebie żonę bogatą, romantyczną dziewczynę, którą łatwo ujmiesz ładną twarzyczką i tym smutkiem na twarzy, który wygląda jakby głęboka myśl jaka. Ona się w tobie szalenie rozkocha, ożenisz się z nią, a potem mój Leonku, niech cię już Bóg prowadzi przez kręte ścieżki małżeńskie. Pod pantoflem być musisz, niechże panto-

http://rcin.org.pl

fel przynajmniej będzie piękny i złoty; lepiej zawsze niżeli pantofel nędzy, albo pantofel z ostrogą Karola.

W tej chwili przyszła Leonowi na myśl rozmowa, jaką miał z ojcem w ostatnich godzinach swego na wsi pobytu.

— Leonie kochany! — mówił ojciec, — całe życie pracowałem i składałem, Bóg widzi, że dla ciebie tylko; masz piękny majątek dostateczny dla siebie i dla żony i dzieci, które niech ci będą tak dobre, jak ty byłeś dla mnie. Ale nie żeń się mój Leonie dla majątku, bo takie stadła najgorszy z szatanów, szatan namowy kojarzy, który ci codzień będzie naigrawał z ust żony, codzień przypominał najprzykrzejsze w małżeństwie powiedzenie: „to moje to twoje!“ Żeń się jak najprędzej, ale z równą sobie urodzeniem, choćby nic nie miała prócz młodości, zdrowia i serca; mąż powinien żonę bogacić, nie żona męża. A wówczas będziesz szczęśliwym jak ja byłem z nieboszczką, (świeć panie nad jej dusza) moją Teklusią, matką twoją. Był to skarb większy nad wszystkiemi posagi; z nią wszedł w dom mój porządek, gospodarstwo i całe błogosławieństwo nieba. Leonie, jak mnie kochasz, nie żeń się dla majątku, bo jabym w grobie cierpiał, widząc, że mój jedynak nieszczęśliwy.

Takie były słowa ojca, takie były nauki, z głębi serca pochodzące, serca, które już nie biło więcej. Nauki i rady ojcowskie! któż nie zna ich wartości, kto z nas w życiu ich nie słyszał, ledwie uważał wówczas, a potem po latach jakże cudownym brzmią one głosem! Kto nie miał ojca, nieszczęśliwy, niema najpiękniejszej w życiu pamiątki, jedynej pamiątki, którą pamiętać warto.

Świat co innego powiedział Leonowi; świat mu zabrał majątek, roztrwonił w rozpuście i rozskoszy chwilowej resztki jego sił fizycznych i moralnych, i powiada mu w końcu: Żeń się bogato! bo inaczej będziesz musiał żyć z jałmużny. Żeń się bogato, a choć straciłeś majątek, a zatem i znaczenie, jeżeli się nie przedasz haniebnie, będziesz pogardzony, jakbyś był zbrodzień ostatni. Przedaj się, a będą cię szanować, choćbyś był zbrodzień, a zbrodniarzem już się stajesz, gdy handel robisz sobą, oszukując żonę, którąby może bez ciebie znalazła szczęście w innem zamęzciu...

Leon nie rozumował może nad tem, w sercu go tylko zabolały słowa ojcowskie... i przekonany, że się musi żenić bogato, bo pieniądz wczorajszy był jedyną jego wartością, nędza zaś jutrzejsza jest wyrokiem hańby wygnania i pogardy. Pluć na ciebie będą, jeżeli tu zostaniesz goły, bez powozów, koni i intrat; całować ciebie będą, gdy powrócisz z żoną młodą i bogatą.

— To twój ratunek Konstancjo dla mnie, podobno równie dobry jak ratunek Karola.

— Zostać szulerem radził ci... domyśliłam się tego; zapewne dla ciebie Leonie dziś kiedy nic nie masz, niema ratunku, tylko zastrzelić się, ożenić się bogato, lub zostać szulerem... Ale czy potrafisz ty zostać szulerem zgrabnym, bo zgrabny szuler tylko mieszka w salonach; szuler niezgrabny w więzieniu lub po szynkach się wala. Mężem zaś mój kochany zawsze być potrafisz, póki jesteś dosyć młody

http://rcin.org.pl

i zdrowy... a zresztą dam ci na drogę nauczającą książkę: La physiologie du mariage, przez Balzaka.

Szulerem! niezłe to stanowisko! jest to być kasjerem wszystkich kieszeń, przełożonym banku gry.. Gra jest bowiem koniecznością życia towarzyskiego; najsilniejszem stowarzyszeniem rozciągniętem przez cały świat, jest stowarzyszenie graczów. To są dzisiejsi wolni mularze! W Ameryce jak w Paryżu znajdziesz towarzyszy bankowych, z którymi się wnet poznasz po pierwszem karty dotknięciu; znajdziesz nakoniec gotowe i kurs mające po całym świecie weksle tego banku w każdej talji kart.

W tej chwili przyszły na myśl Leonowi ostatnie słowa poczciwej ciotki.

— Nie graj Leonku! ach nie graj w karty, bo przegrasz pieniądze, dobre imię, przegrasz sumienie, Boga w końcu. Gra mój Leonku przytępi w tobie uczucia wszelkie, a z ludzi zrobi w oczach twoich zimne cyfry. Nie graj Leonku drogi! bo gra jest szatanem który kusi wszystkiemi głosami dźwięcznemi złota, wszystkiemi namiętnościami, które zaspokoić będzie ci przyrzekał, a gdy się raz temu szatanowi zaprzedasz, oszuka cię w szatański sposób, zkarli cię i skurczy, wyssie i przesyci, rzuci w końcu na łoże boleści, do szpitala lub na gnój pod płot.

Przesądna to była kobieta to poczciwa ciotka, ale dobrze mómiła, choć może należało przygotować Leona czem więcej niż słowami do tej wycieczki do stolicy. Swięte jej słowa drżały jakby echo rodzinnej kaplicy w głowie i sercu Leona; ale świat co innego mu powiadał.

— Graj póki wszystkiego nie przegrasz, bo będą kpić z ciebie, nazwą cię kutwą, dziwakiem, parwenjuszem; graj póki wszystkiego nie przegrasz, jeżeli chcesz być dobrze przyjmowanym po salonach, gdzie dwa tylko są główne stoły: stół herbaciany do zalotów i stół zielony na szulerkę — co tam nie stracisz, to tu przegrasz. A jak już wszystko przegrasz, graj znowu, ale z przegrywającego przejdź na wygrywającego, z ponitera na bankiera; graj zgrabnie, bo inaczej nie będziesz jeździł konno, nie będziesz się opierał o miękkie poduszki powozu, o miękką pierś baletniczki lub innej dogodnicy salonowej. A jeżeli nie wierzysz, patrz w koło siebie. Tam po błocie drepcze w dziurawym bucie, goniąc dniem i nocą za zarobkiem ręki czy głowy, pióra czy hebla — to porias! golec! ergo głupiec!... Tam leci faetonem z anglezami i liberją od zielonego stolika do buduaru hrabini salonowej lub księżnej kulisowej: garście złota wyrzuca po drodze, nie na ulicę, ale do lad sklepowych, na piękne fraszki i te wszystkie cuda zrobił zgrabnym ruchem małego palca — jedna czwórka na piątkę przemieniona: jedna garstka kart sprowadzona z kieszeni na wierzch garści kart w ręku... Oto wielki kapłan fortuny! plemię lepsze i świetniejsze! to potomek po Jofecie, a tamten po Chamie.

Jest sprawiedliwość! są ludzie poczciwi! sprawiedliwość nagrodzi obydwóch; tego przedwczesnemi chorobliwemi zmarszczkami, tam-

http://rcin.org.pl

tego pięknym cudownym wieńcem — męczeństwa!... Ludzie poczciwi pojmą cię jutro i pomału, po cichu, milczkiem utorują zdanie publiczne. Ale cóż po zdaniu, które dopiero po śmierci wyjdzie na wierzch jak oliwa?!

Post mortem nulla voluptas. Jest wewnętrzne zaspokojenie, duma duszy, przed którą nikną łachmany własne i cudze stroje; jest myśl, która cię unosi z błota, rzuca w przyszłość, i pokazuje w uroczej oddali jak twoje ziarnko pożytku, rzucone piórem i słowem dla ziomków, podnosi się do lepszego i silniejszego wzrostu podsycone gnojem, w który obrócili się salonowi królowie chwili.. Ale miejże siłę duszy; męzkość myśli!... w tem sęk...

Tak mówił świat Leonowi przez usta Karola, przez usta Konstancji, przez usta przyjaciół i znajomych; tak mu śpiewały głosy salonów, teatrów, tak go uczyły słowa książek lekkich, które mają w sobie pianę dla umysłu, podobną do piany szampana dla ciała.

I gdyby nie resztki szlachetności i litości w sercu Konstanji, gdyby więcej zgrabności i energji, gdyby Karol zadał był sobie więcej pracy czyli raczej więcej czuł bodźca własnego pożytku, Leon zostałby szulerem, zamiast wyjechać 9 lipca z jakimś listem Konstancji na wieś, jako starający się o posag, przepędziwszy jeszcze jedną noc ostatnią rozkoszy, tę prawdziwą przedmowę salonową do salonowych związków małżeńskich.

Długi popłacił prócz wekslu, który Karol starannie zachował w pugilaresie; znaczną prócz tego wziął sumkę pieniężną, którą Konstancja po bohaterskiej z nim walce wsadziła do kieszeni, wyjąwszy natomiast wszystkie listy, bilety i pamiątki, dane mu niegdyś w chwilach pierwszych rozczuleń.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Wieś wzorowa.

Przeskoczywszy znienacka rok cały, godzi się powrócić nazad i poszukać tę piękną Cyrylkę, której powrót z pensji obchodziliśmy na początku naszej powieści. Nie będziemy jej szukać w Solińcach, gdzie wszystko po dawnemu, ale pojedziemy tym razem o trzy mile dalej.

W pół drogi równy gościniec podolski zaczyna się garbić, piętrzyć i spadać, aż nagle zdziwione podróżnika oko postrzega, na ostatni wyjechawszy pagórek, krajobraz daleki ścisnięty z początku między dwie góry, z pomiędzy których wypływa niewielki strumyk kłócący się z kamyczkami, zastępującemi mu drogę; lecz wnet zwyciężywszy zapory w coraz bujniejszą wpada ziemię, która odwdzięczając się ożywczemu strumykowi, udzielającemu się jak dobroczyńca wszystkim, kręcącemu się w koło, coraz częstsze,

http://rcin.org.pl

wypuszcza z łona swego gaje drzew, ciągnących się raz jak długie ulice, to kołem zielonem otaczających osady wiejskie, to jak klomby ogrodowe tulących się przy samotnym młynku, futorku oddzielonym, lub pasiece odosobnionej. Droga ciągnie się wzdłuż rzeczułki; czasem nawet skąpie jednym bokiem koleje swoje w przejrzystej wodzie; i coraz szersza dolina, coraz częściejsze pomieszkania ludzkie, już nawet tu i owdzie oko znudzone stepami podolskiemi rozwesela się zielonością gajów i lasów; trawa coraz żywsza i gęstsza odzywa się rozmaitemi głosami pasącego się bydła. A z daleka błyszczy stawek w ramy rozłożystych drzew ujęty; wyżej trochę z pomiędzy ciemniejszych topoli połyskuje krzyż skromnej kaplicy wiejskiej. Im się bliżej dojeżdża, tem żywsza rozmaitość krajobrazu w koło stawku; z pomiędzy drzew rozmaicie cieniujących się na jasnem tle dalekiej przestrzeni, bieleją się chatki wdzięcznie rozrzuconej wioski. Droga się zakręca, ciągnie się szereg topoli po nad groblą, która dzieli strumień od stawku; kilka domków schludnych pomijasz, i wprost przed oczami na pagórku lekko wznoszącym się od stawku wznosi się domek wiejski z czerwonym dachem wśród rozrzuconych klombów uwieńczonych kwiatami, z po za których wyglądająca wyższa ulica lipowa jedyna pamiątka przeszłych mieszkańców tej włości, dzieli ogród spacerowy od sadu, który obciążonemi drzewami swemi dobiega aż do pierwszej chaty wieśniaczej, łącząc wymyślniejsze swe owoce z prostemi owocami wieśniaków. Jest to Rajówka wieś pani Dolińskiej, w której od dwóch tygodni bawi panna Cyrylla. Po kilkumiesięcznym pobycie w Solińcach, gdzie jej nudny i wrzaskliwy dom ciotki nie wiele nastręczał zabawy, przyjechała do Rajówki, nie tyle wiedziona chęcią odwidzenia matczynej przyjaciółki, jak raczej by przerwać tę jednostajność życia, nienawistną dla dziewczyny przyzwyczajonej do miejskiego ruchu i rozmaitości ulicznej.

Rajówka jest to, wyznać muszę, ósmy cud świata, w który wolno wierzyć, wolno nie. W całej wsi nie znajdziesz ubogiego, ani też pijanego. Przejdź się po wsi, a nie dojrzysz na twarzach wieśniaków tych zaspałych i niemych rysów, które po większej części stanowią typ chłopa podolskiego. Ogorzałe twarze dowodzą zdrowia jak gdzie indziej, ale byt dobry i starania dziedziczki uszlachetniły ich rysy, wyrazem swobody i wesołości trzeźwej, tak trudnej do zachowania między wieśniakami naszymi. Każda chata ma komin murowany i zagrodę porządną, za którą i stożek się znajduje nie skąpy, i sadek porządny, i grządek kilka i kwiatków trocha. W chacie czysto wybielono, a choć niema podłogi, ziemia ubita gliną powleczona wygląda jakby posadzka jednostajna.

Wieleby trzeba czasu i nudy dla większej części czytelników moich, gdybym chciał wszystkie te cuda szczegółowo opisywać. A cuda te bez wielkich kosztów i trudów zrobiła sama pani Dolińska za pomocą dobrych chęci, rozsądku i cierpliwości. Nie była ona przesadzoną marzycielką ani romantyczną damą, która wyczytaną lub wymarzoną Arkadję chce zastosować do własnej wioski; ale porządna i rozsądna gospodyni, zrozumiała to dobrze, że prócz obowiązku, jaki dziedzic jako oświeceńszy jest dla wieśniaków nieświeconych, własny

http://rcin.org.pl

byt jej dobry zależy od dobrego bytu poddanych. Na jej i wieśniaków szczęście mąż, jak sam wszystkim rozpowiadał, nie mógł z nią wyżyć, bo kiedy on chciał stawiać gorzelnię, ona kazała budować szkółkę. Zostawił więc ją panią w jej wiosce, a sam siebie i swoją metodę gospodarczą przeniósł o kilka mil dalej, do własnej wioski.

Gdybym potrafił, jak je mam na myśli, obydwie te wioski przedstawić czytelnikom moim, wyjaśniłaby się ta ogromna dzieląca je różnica. Pan Jędrzej Doliński dzielił swoje życie na dwie części; dniował w wołowni, nocował w gorzelni. Średniego wzrostu, krępy blondyn z łysiną na boku i krótkim wzrokiem, nosił na swej twarzy okrągłej, rumianej i wypasionej prawdziwy typ zawziętego i bezlitośnego szlachcica. Wieśniak był u niego chłopem, mudiem, „moj!“ jak na nich zwykle wołał, to jest zwierzęciem mówiącem, stworzonem tak do pańszczyzny całotygodniowej, batogów i napojów zabijających, jak kura lub kaczka stworzona do rożna. Znawca tęgi wołowych tyłów, od razu spojrzawszy na wołu, pomacawszy z miną dziwnie ważną tylną część jego zwaną szarawarami w wolarskim języku, zgadywał jego wagę i wyrachował co do grosza: ile kosztowała zimowla, ile pasza, ile będzie zysku. Zdzierca nielitościwy chłopów, uganiał niemi z transportami bez końca, za wołami na targi bliższe i dalsze, na służbę nieustanną przy stajni lub przy kotle, gdzie ich miła woń kartoflanej wódki nęciła bez ustanku. Co roku raz przynajmniej jeździł do Ołomuńca, zkąd wróciwszy bawił sąsiadów pogadanką o radaszach, rzeźniach wiedeńskich, sztrofach i sztuczkach jakie kupcom i towarzyszom jarmarkowym płatał: każdym, który tego handlu nie lubił lub nie rozumiał, pogardzał zupełnie; jeździł zaś najtyczanką i wołoskiemi końmi w szlejach ołomunieckich.

Oto cały obraz pana Jędrzeja Dolińskiego, dodać tylko do tego potrzeba, że chciwy na pieniądz, złapawszy trochę jurysteryi za młodu, wymowny, gdy gdzie grosz zwąchał, do czego miał nos wyźli, wkręcał się do wszystkich testamentów jako exekutor, do wszystkich kompromisów jako sędzia polubowny, do wszystkich małoletnich okolicznych jako opiekun, i biada obywatelowi sądzonemu lub opiekowanemu przez niego! Wykpił, przekręcił, otumanił, pokłócił braci z siostrami, potem braci między sobą, a wszystko to dla własnego zysku. Biada temu, który wlazł z nim w rochunek; prędzejby się pluskwy lub lichwiarza pozbył. I cóż z tego? wieś jak pustka wyglądała, jakby po wojnie lub ogniu; chłop obdarty, rozbity przez niego wałęsał się po mnogich jego szynkach. Chłopskiej nędzy, sąsiedzkich krzywd, cudzego grosza, łez wdów i sierot miał więcej na sumieniu niż włosów na głowie, a przecież całe życie był goły, odłużony, czyhający na gotówkę. Dla czego? bo małe parta idą do czarta, bo jest sprawiedliwość opatrzności na ziemi! Bo zdzierstwo nie bogaci, a zdzierstwo chłopka jest nawet zgubą dziedzica, bo... lecz dosyć o tem. Może przesadziłem pana Jędrzeja, tem lepiej dla ludzkości; zresztą wypadnie nam podobno w ciągu tej powieści zajrzeć jeszcze do niego.

Jakże inaczej wyglądała pani Dolińska Lecz nie chcąc nudzić

http://rcin.org.pl

czytelników moich i by przykładem stwierdzić powiedzienia moje, zapraszam z sobą.

Jest godzina szósta z rana. Cyrylka spi jeszcze, lecz gospodyni z córką już nie spią. Wyszły z domu i minąwszy ogródek ścieżką przez sadek przebywszy przełaz łączący dworskie zagrodzenie z kościołkiem, który z daleka widzieliśmy, weszły do obszerniejszej chaty, o kilka kroków od plebanji oddalonej. To była szkółka wiejska! to była tajemnica cudów robionych przez panią Dolińską, to było źródło dobrego bytu wieśniaków.

Rozczulające odbywały się sceny w szkółce pani Dolińskiej. Profesorem była Amelka, uczniami wiejskie chłopcy i dziewczęta, które ją kochały prawie więcej od samej pani Dolińskiej ubóstwianej przez wszystkich wieśniaków i nazywających ją matką. Długo pracowała pani Dolińska, nim przełamała trudności i przesądy wieśniacze.

Owoż pani Dolińska długo chodzić musiała od chaty do chaty, gadać z matkami, bo te w każdym stanie uczują prędzej prawdziwą dobroć, zrozumieją najlepiej pożytek wynikąć mogący dla dzieci; długo nosiła radę, posługę, pomoc, lekarstwo, aż w końcu uwierzyli w nią rodzice, a dzieci z początku niechętnie, potem coraz chętniej zaczęły odwiedzać szkółkę, gdzie na nich nie krzyczano, nie bito, ale mówiono do nich jak do dzieci prostych, o rzeczach prostych, a przecie tak wieczystych jak ta opatrzność, co im pola urodzajnemi robi. Słuchały dziatki z uwagą powiastek nauczających o tej ziemi, na której wzrosły; jak się ta ziemia uprawia; jak ta ziemia jest droga, bo to kości i ciała dziadów ich i babek upładniają ją dla nich; jak tę ziemię kochać trzeba, tę ziemię, która ich karmi, ziemię zlaną potem tylu pokoleń, na której jest grób rodziców i kolebka dzieci.

Słuchały dzieci z zajęciem, jakie losy ta ziemia przechodziła, jakie to krążą po niej wieści, urozmaicone okolicami, dawne podania poważne jak legenda, lub rzewne jak piosnka wieśniacza. Z ciekawością słuchały dzieci, jak bogata jest ta ziemia w płody i rośliny pożyteczne; jak rozmaity jest ich użytek, i jakim sposobem korzystać z jej darów, by rozróżnić dobre od szkodliwego, a i te rozsądnem zastosowaniem by umieć nagiąć ku zbawiennemu pożytkowi. I uczyły się kochać Boga, kochać ludzi, kochać ziemię ojczystą!

Od rana szkółka była pełna. Prócz dzieci starszych, były tam i drobne dziatki pod nadzorem kilku niewiast starszych, wybranych do tego przez samą panią Dolińską. Szkółka bowiem połączona była z domem ochrony. Pani Dolińska zrozumiała to najlepiej, że dla nas najpotrzebniejsze są domy ochrony po wsiach, i chociaż jedna i druga sąsiadka namawiały ją, by należała do tworzącego się grona, mającego na celu otworzenie domu ochrony w bliskiem miasteczku obwodowem, ona im odmówiła, mówiąc:

— My nie jesteśmy narodem fabrycznym; nam domy ochronne mniej potrzebne po miasteczkach, gdzie rzemieślnik pracuje w domu i sam dopilnować może dzieci swoich; ale na wsi, gdy ojciec i matka i starsze rodzeństwo rozbiegną się to na pańskie, to na księżowskie pole, by zapracować sobie na chleb, znaczek pańszczyźniany i kosztowne

http://rcin.org.pl

nieraz błogosławieństwo chrztu, ślubu lub pogrzebu; niemowlę zostaje w domu wystawione przez większą część dnia na tysiączne niebezpieczeństwa. Zakładajcie moje panie w dicznych i wielkich dobrach swoich domy ochrony dla dzieci waszych wieśniaków, to będzie i pożyteczniej i godziwiej.

— Ale będzie ciszej! — odpowiedziały panie w myśli.

To też dom ochrony stanął w miasteczku; nazwiska pań dobroczynnych z mnóstwem przymiotników podrukowane w pismach publicznych, a o pani Dolińskiej i jej domie ochrony w Rajówce nikt nie wspomniał. Ale za to codzienne błogosławieństwa wznosiły się ku niebu w Rajówce, gdy tymczasem w dobrach hrabiny, księżnej i baronowej, choć były ozdobą płci swojej, wspaniałomyślnemi dobrodziejkami ludzkości, przykładem cnót niewieścich, milczały usta wieśniacze, mrucząc z zaciśniętych zębów skargi i groźby złowrogie.

Skoro weszły matka z córką do szkółki, okrzyk radośny przyjął je; obskoczone i obcałowane przez dzieci, musiały przed zaczęciem nauki odgłaskać i odcałować. To była nauka serca. Matka odeszła oglądać z codzienną uwagą wszystkie tego zakładu szczegóły. Amelka usiadła; to był znak uspokojenia się; i wszystkie dzieci usiadły patrząc w swojego aniołka, kiedy usta otworzy. Aniołkiem ją nazywały dzieci.

Pacierz zaczynał naukę dzienną; pacierzem była spiewka prosta, ale wznosząca dusze dziecinne ku temu niebu pięknemu, z którego słońce świeci na ich pola, deszcz polewa rolę. Amelka na czele zaspiewała dźwięcznym głosem; dziatki naśladowały ją jak mogły, spiew ten nie byłby zapewne wart słuchania, dla tych którzy wymagają koniecznie metody włoskiej lub innej, ale do łez poruszający byłby dla tego, któryby prawdziwie kochał swój kraj, wieśniaków swej ziemi miał za braci swoich; a patrząc się na te dzieci, wczoraj tak brudne, dziś tak czyste, zastanowił się nad różnicą, jakąby zastał o pare mil dalej.

Rozpowiedziała im potem Amelka prostemi słowy, prostą do ich pojęcia zastosowaną powiastkę o pracowitym kołodzieju, o jego życiu poczciwem i bogobojnem, o nagrodzie, jaką zyskał na ziemi; o pięknej córce naszej ziemi, co tak ukochała tę rodzinną ziemię, iż wolała umrzeć, niżeli iść za cudzoziemca; o poczciwości kmiotków Wiślickich ratujących Króla w potrzebie, i o wdzięczności Królewskiej, nadającej im swobody i prawa... o tym sławnym Królu, którego najzaszczytniejsze zdybało miano, Króla chłopków...

A doskonały był profesor z Amelki. Wychowana przez matkę rozsądną, znała ona wszystkie te dziatki swojej wioski, ze wszystkiemi ich zdolnościami i potrzebami. Do każdej powieści umiała ona zastosować moralność i barwę miejscową.

Nastąpiło czytanie, w którem jedne dzieci pilnowały drugie. Aż lubo było słuchać jak dobrze i płynnie czytały powiastki wybierane przez samą panią Dolińską. A sadziły się dziatki jak mogły w czytaniu, bo wiedziały dobrze, że w koszyku ich aniołka, było dla pil-

http://rcin.org.pl

niejszych dzieci i smaczne jabłuszko i krasna wstążeczka, i nieraz dla biedniejszej sieroty ręką samej Amelki uszyta koszulka.

Nadeszły tymczasem matki ze śniadaniami, dla uboższych i sierot, lub w czasie pilnych robót około pola przynoszono je z dworu. Radość i skoki zastępywały miejsce nauki. Dzieci uściskały matki swoje, najadły się sowicie, pouczyły się rachunków prostych, wystarczających do ich potrzeb, dziewczęta poszyły trochę, pobawiły się z chłopcami po sadzie; a gdy do chatek swoich wróciły, umiały zawsze jaką nową piosenkę, która tym sposobem ze szkoły do wioski przechodząc stawała się własnością całej osady. Zdziwiłbyś się czytelniku, gdybyś zajechawszy do Rajówki usłyszał raptem na zielonej łące nad szumiącym potokiem, dziewczęta pilnujące krówek swoich, jak zanucą, głosem czystym, który się tęskno rozchodzi po wieczornej rosie: Niemnie, domowo rzeko moja. I nie śmiejcie się salonowe czytelniczki! Pojęcia chłopskich dzieci nie są gorsze od sprytu waszych dzieci; trzeba tylko je pielęgnować, rozwijać pomału, a zrozumieją one tak dobrze jakby i pańskie dzieci poezje Mickiewiczowskie. Każda osada ma swoją rzeczułkę.choćby strumyczek, który dla niej jest wodą domową, ulubioną, i myśli swoje prostsze, zapewne niewinniejsze puszczać będzie po srebrnych jej falach, równie jak i chore dziecko romantyczne bogatego dziedzica...

Dłużejbym chciał pozostać przy tym obrazku tak miłym dla mnie, bogdaj miłym dla czytelników moich, lecz skacząca muza moja powieściowa ciągnie mnie już do ogrodu. gdzie przy świetle zachodzącego słońca pod wierzbą która żałobne swe warkocze płukała w wodzie stawku, siedziały Amelka i Cyrylka, z pewnem zadumaniem patrząc na zarumienione fale i błyszczący jakby brylant olbrzymi krzyż kościoła wiejskiego.

Nie zmieniły się obydwie od czasu, jak je widzieliśmy, chyba że ten niepewny wyraz zadumania na twarzy Cyrylki przybrał pewniejszych odcieni znudzenia; twarz zaś Amelki straciła trochę z swobodnej i niewinnej wyrazistości swojej, jakby w skutek otarcia się o doświadczenie młodej towarzyszki.

— Więc ty kochasz Leona tego? — pytała Cyrylka po raz dziesiąty może.

Mimowolny rumieniec wystąpił na twarz Amelji nieprzyzwyczajonej jeszcze do tego słowa, mającego tyle znaczenia w sercu młodej dziewicy: — Już ci mówiłam, że go tylko kilka razy widziałam w czasie odwiedzin naszych u jego ciotki, ale tak dawno... wiem tylko że przystojny, grzeczny... i ujęło mnie cierpienie jakieś wyryte na twarzy.

— Cierpienie!... o bo ten młody człowiek musiał już zrozumieć głębię życia... i wzdychał zapewne?...

— Przeciwnie, on się uśmiechał do mnie.

— Ale zapewne tym uśmiechem gorżkim, który jest znaczeniem dzisiejszego wieku rozczarowanego.

— Prawda, że był ciągle smutny i małomowny...

http://rcin.org.pl

— Bo rozmawiał z sobą, rozmawiał z ideałem swoim.

— Więc on już miał ideał swój?...

— On go szuka, bo my młodzi, co umiemy czuć, szukamy go wszyscy...

— A ja myślałam — mówiła ciszej Amelka rumieniąc się coraz bardziej — że... że... ja mu się podobałam.

— Ty? ty?...

— Bo nawet westchnął, gdy mi mówił, że wkrótce wyjedzie do stolicy.

— I dla tego myślałaś, że się w tobie zakochał... jemu czego innego potrzeba; ja go nie widziałam, ale już rozumiem; jemu potrzeba duszy poetycznej, coby sympatyzowała z nim, a ty moja duszko... — i urwała Cyrylka z niewymownym wyrazem litości, która ubodła do żywego niewinną Amelkę.

Przed kilku miesiącami ledwie myślała o Leonie, jak tylko o znajomości kilkogodzinnej, która utkwiła zapewne w jej pamięci, jako ciekawsze i szczególniejsze wydarzenie jej życia dotąd tak jednostajnego. Dziś już rozmowy Cyrylki pobudziły w niej nowe myśli, nowe uczucia, rzuciły iskrę w młodą jej wyobraźnię, dziś już ona widzi Leona inaczej, inaczej własne sądzi wrażenia, i nie wiedząc o tem, jest na drodze zakochania się.

O matki, które chcecie dziewiczość uczuć zachować w córkach waszych, strzeżcie je nie tylko od rozmów z mężczyznami, ale więcej jeszcze od towarzystwa tych zromantyzowanych marzycielek, od tych niebezpieczniejszych nad romanse pisane romansów chodzących. Co mężczyzna nie powie ustami, a nawet oczami ledwie wymówić się ośmieli, to przyjaciółka doświadczona rozpowie najdokładniej, obnaży prawdę i spiące rozbudzi namiętności.

Obrażona Amelka przyciskiem słów Cyrylki nie mogła przemilczeć, i idąc za popędem nowo pobudzonych wyobrażeń, żywiej niż zwyczajnie przemówiła:

— Czyż myślisz, że ja nie umiałabym czuć równie tobie, kochać równie tobie, ja co tak kocham moją matkę drogą, ojca choć go rzadko widuję, ja, która mam takie współczucie dla tych biednych dzieci wiejskich?

— Równie mnie kochać! o ty nie rozumiesz miłości, nie rozumiesz tego pożerczego uczucia, które chłonie wszystkie inne myśli, uczucia, bo kochać nie można tylko jedną istotę; tylko raz w życiu.

— Ja nie chcę takiego uczucia wyłącznego...

W tej chwili mowę Amelki przerwał jakiś głos niewyraźny jękliwy, i zaszeleściało coś w drzewach blizkiego klombu. Zadrżała mimowolnie Amelka i obejrzała się, lecz niedostrzegłszy nikogo, pomyślała, że to zwierze przemknęło jakie. Jakoż głos usłyszany, krótki i urwany nie zdawał się być głosem człowieczym.

Tymczasem w rzeczy samej był to człowiek, który już od chwili cichym skradał się krokiem, jakby szukał kogo, a dostrzegłszy siedzące dziewczęta wśliznął się pomiędzy gałęzie akacjowe, i ztamtąd ciekawemi i błyszczącemi oczyma śledził wszystkie poruszenia Amelki,

http://rcin.org.pl

i z natężoną uwagą zdawał się przysłuchiwać jej słowom. On to wykrzyknieniem, który mu się mimowolnie wymknął, przestraszył Amelkę, a bojąc się zapewne odkrycia wcisnął się w głąb klombu, który przytykał do gaiku brzozowego, i cichemi kroki, przemykając się jak gadzina pomiędzy drzewa, śmiałym rzutem przeskoczył otwarty trawnik, i z przeciwnej strony, usadowiwszy się na starej ku wodzie pochylonej wierzbie, utkwił nieruchome oczy swoje w twarz Amelki posrebrzoną w tej chwili światłem wschodzącego księżyca.

Cyrylka tymczasem oddana rozbujałym myślom swoim, ani głosu tego nie dosłyszała, ani też dostrzegła niespokojności swojej towarzyszki, i ciągnęła dalej:

— To też tobie tylko zdaje się, że kochasz, i ten Leon ciebie nie kocha... jemu potrzeba innej istoty, istoty, któraby zrozumiała wszystkie odcienia jego duszy płomienistej, zlała się z nim razem w jedną sferę wyższą... Ja wiem co to kochać!... bo ja kocham już...

— Ty kochałaś już Cyrylko?... tak młoda!...

— Serce moje wcześnie żyć zaczęło... cierpieniem i żałobą...

— On umarł!...

— Nie wiem, i nie pytaj... nie ruszaj rany, co tu jak wulkan spi w sercu mojem, żarem pali w oczy...

Dobra Amelka przestraszyła się, słysząc te słowa, i zapomniawszy już na własny swój romans zaimprowizowany, zaczęła ściskać i pocieszać Cyrylkę.

Nastała chwilka milczenia; wieczorne rozchodziły się cienie, księżyc coraz jaśniej przyświecał, a patrzące z wierzby oczy iskrzyły się coraz żywiej.

— Poczciwe dziecko! — mówiła dalej Cyrylka — abyś nigdy tych cierpień nie doznała, a przecież jak przypomnę sobie te chwile minione... wszystkie rozkosze świata są niczem... to szczęście! to raj!..

Zaszeleściały liście przeciwległej wierzby, jakby gwałtownym ruchem rozkołysane.

Amelka zadrżała znowu, a Cyrylka, nie zważając na to, mówiła dalej mieszając do rozmowy wszystkie te używane w takim razie nastrzępione słowa, pełne słomianego dymu zamiast ognia, słowa, jakie tylko kiedy wyczytała, których nawet przytaczać nie będziemy, pewni że czytelnicy już mają dosyć tej sentymentalnej bohaterki, która ani się spodziewała, że ten Leon, którego tak sobie idealnie wystawiała, był tak do romansu, jak wół do karety.

Amelka nie słuchała nawet; od niejakiego bowiem czasu była pod wpływem jakiejś niezrozumianej niespokojności, która ją przechodziła drżeniem powiedziećby można przeczuciowem. Nie widząc tych na nią tak uparcie patrzących oczów, była pod wpływem tych spojrzeń promienistych, które ciągle na nią zwrócone były. Był to wpływ magnetyczny zupełnie, którego zaprzeczyć niepodobna, choć w niego nie wierzymy.

Nagle zakrzyknęła i skoczyła z miejsca swego; Cyrylka spojrzała na nią z zadziwieniem.

http://rcin.org.pl

— Czy widzisz tam? — zaszeptała Amelka drżącym głosem, i palcem wskazała na wierzbę.

— Co takiego?...

— Patrz jak tam coś świeci! — I w rzeczy samej ze środka zaciemnionego liśćmi wierzby świeciły wyraźnie oczy, jak dwa węgle rozżarzone, lub raczej dwa pruchna świecące.

Dostrzegła je Cyrylka, lecz snać na niej nie zrobiły tak silnego wrażenia, wyrzekła bowiem obojętnie:

— Tam musi być sowa, albo kot...

— Nie! nie! — odpowiedziała Amelka, i porywając towarzyszkę za rękę dodała — chodźmy do domu.

— Chodźmy więc! ty lękliwe dziecko moje... otóż to wychowanie wiejskie!...

Amelka zadrżała jeszcze mocniej i głośniej jeszcze krzyknęła, i Cyrylka nawet nie mogła wstrzymać lekkiego wykrzyknienia. Nieznajomy bowiem skoczywszy z drzewa, powolnym i zawsze skradającym się krokiem zaczął zbliżać się do idących.

Jakoż nie można zaprzeczyć, że cała postać nieznajomego mogła być powodem przestrachu: był to człowiek młody jeszcze, silnej i barczystej postawy, która wedle wymokłych salonowców ma być cechą niskiego pochodzenia, ubrany zwyczajnie, chociaż cały ubiór składający się z długiego surduta sieraczkowego aż do szyi zapiętego, z chustki niegdyś białej, która zmięta doskonale okalała krótką jego szyję jakby cienkim postronkiem, i z czapeczki pobrudzonej i zblakowanej o przełamanym i wiszącym daszku, którą trzymał w gołych dłoniach rękawiczką brudu pokrytych, świadczyły o ubóstwie, lub niezwykłej niedbałości. Głowę miał niezmiernie wielką, pokrytą krótko ostrzyżonym włosem czerwonej barwy, a tak rzadkim, że z pod niego błyszczała w kilku miejscach skóra zupełnie wyłysiała. Twarz była w całem tego słowa znaczeniu brzydka, nadzwyczaj szeroka, i to raczej kształtem swoim, niżeli wypasieniem, pokryta była skórą umozajkowaną jak zwykle u ludzi rudych mnóstwem piegów, których barwa rudawa wpadała w czerwoność zmieniającą swe odcienia stosownie do uczuć na nią występujących; nos guloważy w końcu, spłaszczony we środku i usta nadzwyczajnej wielkości zawsze prawie rozwarte szeroko, z wyrazem środkującym między szyderstwem i głupotą, dodawały jej wdzięku. Pod czołem zaś niskiem zawsze pomarszczonem i brwiami krwawo czerwonemi, wytrzeszczone świeciły oczy ogromne i bure, a tak ruchliwe, tak ciągle biegające po wszystkich przedmiotach, że ten ruch niespokojny dawał twarzy zresztą głupkowatej wyraz jakby obłąkania. Czasem tylko oczy te nabierały nieruchomości; promienie rozrzucone w ruchu ciągłym zdawały się zbiegać w jedno ognisko, i wówczas wzrok jego zmieniał się do niepoznania, wówczas spojrzenia jego stawały się złowrogie, twarz się czerwieniła, oczy nabiegały jakby plamami krwi; wówczas cały wyraz twarzy przypominał dzikie zwierze.

Takim być musiał wyraz teraźniejszej jego twarzy; nic więc dziwnego, że przestrach Amelki pomału udzielał się towarzyszce.

http://rcin.org.pl

Lecz obydwie ani kroku ruszyć nie mogły, nieznajomy stanął bowiem na środku ścieżki wiodącej do dworu, i obracając czapkę w grubych, krótkich i czerwonych palcach swoich milczał; oczy tylko nieruchome wlepił w Amelkę, która ciągle pod wpływem jego spojrzeń drżała, jak te biedne ptaszki pod spojrzeniem zjadliwej gadziny amerykańskiej.

Pierwsza opamiętała się Cyrylka i ruszyła naprzód; nieznajomy zbliżył się jeszcze więcej; oczy jego zaczęły biegać w około, usta rozwarły się jeszcze szerzej do uśmiechu coraz głupszego; i niezgrabnym ruchem skłonił się kilka razy przed Amelką w sposób dawnej znajomości.

— Jak się panna Amelinka ma? — zagadł wreszcie głosem grubym i chropawym. — Ja tu przyjechałem znowu... czy zdrowa panna Amelinka?...

— Dziękuję! — wyjąknęła Amelia przychodząc do siebie.

— Zdrowa! — powtórzył nieznajomy — chwała Bogu! Rudolf biedny słaby.

— Pan Rudolf słaby?...

— Słaby zawsze.

— Czy i ojciec mój przyjechał?...

— Ojciec! — krzyknął nieznajomy głosem zmienionym, i oczy jego zaiskrzyły się na nowo. — Nie! on nie ma czasu, on pieniądze zbiera; ja tu z listem do pani matki przyjechałem... dali mi tę chudą szkapę kulawą, która tak trzęsie jakby miała szatana w sobie; to też ledwie dojechałem, takie we mnie okropne kolki wytrzęsła ta niegodziwa kobyła.

— Biedny pan Rudolf! — przemówiła Amelka, na której twarzy przestrach ustąpił litośnemu wyrażeniu.

— Biedny pan Rudolf! — powtórzył biedak głosem nadzwyczaj smutnym, uśmiechnął się żałośnie, kłaniając się ciągle obydwom towarzyszkom z niezgrabnością dobroduszną, która zaczęła Cyrylkę rozśmieszać niezmiernie.

I coraz znajomiej, coraz słodziej uśmiechał się nieznajomy; wyraz srogości i głupoty nikł pomału, a na twarzy osiadł wyraz jakiegoś niby żalu i rozpaczy, tak, że mimowolnie uczucie zgrozy i śmieszności musiało ustępować uczuciom głębokiej litości nad tem zaniedbanem stworzeniem bożem.

Skłoniły się obydwie towarzyszki i zaczęły iść pomału ku domowi, który z pomiędzy topoli błyszczał oknami księżycem pośrebrzonemi.

O kilka kroków dalej postępował za niemi nieznajomy mrucząc pod nosem:

— Biedny pan Rudolf.

— Więc ty go znasz Amelko?

— Znam go! — odpowiedziała Amelka zamyślona trochę.

— Któż on jest?...

— Jest to syn zmarłego sąsiada mego ojca, który jest jego

http://rcin.org.pl

opiekunem; jest on nawet podobno krewnym naszym dalekim... biedak!...

— To widać po jego ubraniu; ja myślałam, że to jakiś ekonom albo pisarz... a jaki śmieszny!...

— Mów ciszej!...

— Dla czego?

— On idzie za nami...

— I cóż to szkodzi...

— Ale bo...

— Powiedz mi co tobie jest; ty taka zawsze spokojna, jesteś zmieszana i ciągle przestraszona.

— Chodźmy prędzej, żeby nas nie słyszał... On jest nieszczęśliwy... jemu coś brakuje...

— Brakuje?...

— Tak... w głowie!...

— Więc to warjat! — zaśmiała się Cyrylka.

— Na miłość Boga ciszej! nie uwierzysz jak jest okropny, gdy się rozgniewa. Mój ojciec jeden ośmiela się nazywać go warjatem, i za prawdę zdaje się czasem, że ma pomieszanie, ale czasem znowu tak rozsądnie mówi, a tak rozpacza nad przeznaczeniem swojem, które w rzeczy samej jest tak okropne, że aż serce z żalu pęka.

— Czegoż więc tak zadrżałaś na jego widok?...

— Ja ci tego nie umiem wytłumaczyć, ale mimowolnie na widok jego przechodzi mnie dreszcz; boję się patrząc na niego, jak gdyby mnie groziło niebezpieczeństwo jakie bliskie i nieuchronne... Ja się na przemiany lituję nad nim i boję go. Mimo sprawiedliwych uwag mamy i własnego przekonania lepszego, jakieś jakby przeczucie złego zdaje się z oczów jego na mnie spoglądać.

— Dziecinne przesądy czerpane z tych bajek, któremi nas niańki straszą.

— Prawda, ale...

— Bać się jakiegoś głupca, półwarjata?...

— Ciszej moja Cyrylko! on ma dobre ucho, a jak się rozgniewa!... Słuchaj ja byłam jeszcze dziewczęciem małem, wesołem, roztrzepanem, i nieraz bawiłam się z nim... On ze mną skakał, tańcował, robił co tylko mi przyszło na myśl rozkazać mu, bo mnie jedną w całym domie lubił. Razu jednego pieścił mnie, przymilał się, i tak mi się wydał śmieszny, tak pocieszny, że zaczęłam śmiać się. On się gniewał, wykrzywiał, ja coraz głośniej i szaleniej śmiałam się, i jak papuga powtarzając bez myśli słowa słyszane, powiedziałam kilka razy: ty warjat! ty warjat!... Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakie rzucił na mnie; wierz mi Cyrylko takiem spojrzeniem można zabić... I ty mnie nazywasz warjatem... i ojciec i córka!... krzyczał przeraźliwie głosem nie ludzkim, głosem, który mnie dzisiaj w czasie naszej rozmowy przypomniał się i przestraszył. I przyskoczył do mnie, podniósł nad głową moją obie pięście. Chciałam uciekać, lecz jak zaczarowana spojrzeniem jego kroku zrobić nie mogłam, i widziałam już tysiąc świateł w oczach, słyszałam już szum spadających na mnie pięści jego... raptem odskoczył... Nie nazywaj mnie nigdy

http://rcin.org.pl

warjatem, bo to jest kłamstwo okropne! krzyknął jeszcze a potem rozpłakał się jak dziecko i wyszedł. Odtąd już nigdy śmiać się z niego nie mogłam, i to nie przez samą bojaźń... o nie!... Dziecinny szczery śmiech mój od tej chwili zamilkł na zawsze.

— Czemuż nie poskarżyłaś się na niego... byliby go przecie raz na zawsze oddali do czubków, gdzie właściwe jest jego miejsce.

— Skarżyć nie chciałam, bo... bo... on jest bardzo nieszczęśliwy... Gdybyś wiedziała Cyrylko, jak smutne jest jego przeznaczenie, jak okropne jest życie, jakie on pędzić musi u mego ojca... lecz ja o tem mówić nie powinna...

— Otóż i twoja matka idzie! — przerwała Cyrylka — a z nią gość jakiś!... patrz Amelko! zdaje się być młody i przystojny mężczyzna. — I mimowolnym ruchem czuła i nieszczęśliwa Cyrylka zaczęła bujne swoje poprawiać loki, przeklinając w duszy ten wieczorny wietrzyk, który je tak niedyskretnie rozwiał. Za kawałek najmniejszy zwierciadła dałaby wiele w tej chwili.

W rzeczy samej pani Dolińska postępywała pomału, zajęta rozmową ze świeżo rozbudzonych myśli, roztargnione rzuciła przed się spojrzenie. Żywy rumieniec wystąpił na jej lica.

— To pan Leon! — wykrzyknęła półgłosem.

— Leon! ten Leon, o którym mówiłaś — powtórzyła Cyrylka, i zaiskrzyły się oczy znudzonej dziewczyny romantycznej, a w myśli dodała: — i trzebaż mi było brać dzisiaj przez wzgląd na te nudne wieśniaczki białą suknią, w której mi tak nie do twarzy. — Mimo całego romantyzmu wygórowanego i niewygaszonego wulkanu serdecznego, panna Cyrylla lubiła się podobać.

Przyspieszyły kroku obiedwie dziewczęta, nie zważając na spojrzenia, jakie za niemi z cienia ogrodu, z cieni wieczornych sypały się jaskrawe i krwiste z nieruchomych oczów idącego za niemi Rudolfa.

— To on! tak to on! — szepnęła Amelka.

— Tak to on! — powtórzyła Cyryla — takim wyobrażałam go sobie; widzę smutek duszy wyższej, niepojętej, pragnącej, w oczach jego. — Ładny, bardzo ładny, dodała w myśli.

Zbliżyły się do siebie oba grona.

— Pan Leon taki grzeczny, że jadąc do Soliniec, wstąpił do nas — ozwała się pani Dolińska zwrócona do córki. — Cyrylko przedstawiam ci pana Leona Biczyńskiego...

— To pani! — wyrzekł Leon, i piękną pobladłą miejskiem życiem twarz rozweselił znany nam jego uśmiech słodziutki. — To pani! — powtórzył, ciekawe smutkiem zamglone oczy wypatrzywszy na nią — jakżeż mi przyjemnie zdybać tu panią..

— Mnie! — ze zdziwienem i rumieńcem odpowiedziała Cyrylka.

— Mam list do pani od hrabiny Konstancji...

— Od Kostusi?... jak się ma kochana Kostusia?...

Amelka posmutniała, już bowiem myśl o Leonie podsycana rozmowami z Cyrylką zaczynała ją mocniej zajmywać; i ten Leon ledwie ją przywitał grzecznym i obojętnym ukłonem.

Nadszedł Rudolf, i nastąpiło oddanie obydwu listów. Weszli

http://rcin.org.pl

do domu. Cyrylka z listem Konstancji pobiegła do swego pokoju. Żywy rumieniec wystąpił na jej twarz, po przeczytaniu krótkiego biletu kuzynki, chociaż w nim Konstancja prócz ogólników i zalecenia krótkiego oddawcy jadącego w tamte strony, którego nazwała un homme comme il faut, nic nie napisała wyraźniejszego. I dalej do zwierciadła; suknia biała była fatalnie zroszona, trzeba więc było odmienić ją koniecznie; włosy były rozrzucone, trzeba je było przegładzić, a i różę nie zawadzi wcisnąć między loki.

Amelka biegała po gospodarstwie, i zajęta przygotowaniami gościnnemi, zapominała pomału i na strach wzbudzony widokiem Rudolfa, i na przykre wrażenie rozczarowania spowodowanego chłodnem Leona przywitaniem.

Pani Dolińska czytała tymczasem list mężowski i długo nad nim dumała, a głęboki smutek pokrył jej twarz.

Rudolf w ciasnym gdzieś kącie siedział nieruchomy, rzucając w koło szpiegujące spojrzenia.

A w saloniku już oświeconym zeszli się Leon i Cyrylla, i rozmawiali się milczeniem i spojrzeniem. Czasem tylko dla odmiany Cyrylka westchnęła. I Leon westchnął sobie.

Leon nic nie myślał.

Romantyczna Cyrylla myślała jak zwyczajnie o romantycznych niebieskich migdałach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Wychowanie na pensji.

Tu... z wielkiem przeproszeniem czytelników moich, którzy muszą mi przebaczyć moje kapryśne rzucania się z miejsca na miejsce, to przeskakiwanie dowolne czasu i przestrzeni, która to właściwość moja dowodzi całej niezdatności mojej do spokojnego klasycyzmu, spoczywającego na miejscu gdyby sadzawka ogrodowa, okopana, nieruchoma, wiecznie jedne odbijająca klomby, zabezpieczona od wszelkich burz, łyskająca do skończenia świata jednakowo zawsze pomarszczonemi falami mętnemi, które urozmaica tylko jeden odwieczny ród błotnych rybek o małych główkach i błotnych żołądkach... Tu tedy, zostawiwszy romantyczną Cyrylkę, starającą się pocieszać biednego Leona, w którym przewidywała całą kopalnię mglistych ideałów, i wróciwszy znowu w tył, odwidzimy po raz ostatni stolicę, i zajrzyjmy do pensji pani Bzurskiej w tej właśnie chwili, kiedy tam przybyła panna Cyrylla Nielecka, a może dowiemy się po tej drodze, jakim sposobem nabrała tego romantycznego usposobienia swego.

Pani Bzurska, do której Cyrylka przyjechała na wychowanie, posiadała pierwszy w stolicy, jak się dumnie wyrażała, zakład edukacyjny, „une institution européene,“ dodawała; ulubiony był to bowiem jej przymiotnik wyczytany w jakiejś książce francuzkiej,

http://rcin.org.pl

który na los szczęścia przyczepiała wszędzie. To też wszystko było u niej europejskie, zacząwszy od jej zakładu, a skończywszy na jedzeniu, jakiem obdarzała pensjonarki swoje, które zapewne wolałyby w tem jadle więcej polskiego masła, a mniej sławy europejskiej. Pani Bzurska był to ciekawy egzemplarz w swoim rodzaju, kobiety nic nie umiejącej, a uczącej przecie. Maleńka, chudziutka, z rysami, które niegdyś ładniutkie być musiały, i owem okiem ciemnem, którego promień niezgaszony wiekiem, nie mogąc już podbijać, pożądywać się jeszcze zdawał, pani Bzurska była typem powierzchownej przyzwoitości, która umie się kłaniać w salonie tak zgrabnie i jenialnie, że zrobiwszy dyg ogólny okolisty oddała przecie kanapie salonowej co kanapie, a stojącym co stojącym się należało: wszystkie odcienia sztuki kłaniania się tak trafnie odgadywała i zastosować umiała, że w salonie po fałdach jej sukni i spodnicy można było poznać, czy mitrę wita, czy dziewięć pereł, czyli też miecz rycerski. To była jedyna jej wielka zaleta. Drugą niemniej wielką zaletą było, że można było ją nazwać Encyklopedją czyli Dykcjonarzem wszystkich loków komuniów, którym nigdy końca nie było; powiedziawszy sto komplementów jeden po drugim, setny pierwszy wylewał się z jej ust zawsze uśmiechających się, równie gładki, okrągły, śliski, nieschwytany.

I ta to właśnie zaleta sprawiła jej europejską wziętość w stolicy i na prowincji. Czyliż bowiem można lepszym rękom powierzyć córki swoje. Elle a un savoir dire incomparable, unique... powiedziała o niej pani Rowoska, znana nam już przecie skarbnica światowej przyzwoitości. I wszystkie mieszczanki i parafianki wysyłały córki swoje do tej cudownej stopki, gdzie się czerpało le savoir dire; boć przecie te mając, można się wymówić od savoir faire, można się wyłgać od savoir penser; a sovoir sentir już się rozumie oczywiście w samem savoir dire. Bo czyliż ta nie umie czuć, która umie powiedzieć cały period pełny słów czuciowych brzmiących pięknie i głośnych jak dzwonek, choćby też i próżnych jak dzwonek. Do tego dodajmy, że pani Bzurska kaleczyła cudownym sposobem język polski francuzkim, a francuzki polskim, umiejąc obydwoma gadać tylko, a nie umiejąc mówić i czuć żadnym.

— Madame Zaire — Zairą bowiem nazywała się pani Bzurska — est une personne accomplie! — rzekła pani Rowoska.

— Madame Zaire est une personne accomplie — powtarzały wszystkie gąski.

Ciekawe też były drożyny i ścieżki, po których zaszła pani Bzurska do tego położenia swego europejskiego. Jej matka była francuzka rodem, to jest, była to wielka kwadratowa sztuka lotaryńska, która wywędrowała z pięknej swej ojczyzny, gdzie jej zaczynało już brakować na chlebie i wdziękach, by mogła nań zarabiać, i dostała się jako bona, bez której zaś na polskiej ziemi obejść się nie można, do tej paskudnej i zimnej oczyzny niedźwiedzi, jak się jej nazywać podobało ziemię, która dała jej przytułek, utrzymanie i jakie takie znaczenie. Będąc już od niejakiego czasu boną, trafił się jej przypadek, którego lotaryńska Doświadczyńska do śmierci pojąć

http://rcin.org.pl

nie mogła; miała dziecko, naszę Zairę sławną. Narobiło to trochę hałasu, bo w salonach to jakoś ujdzie, ale w garderobie to fe! Wypędzono ją, lecz że opatrzność czuwa nad nieszczęśliwemi, dostała się po niejakim czasie rozmaitej włóczęgi do pani Rowoskiej, jako bona małego Julka, którego Zaira była towarzyszką. Tam było im doskonale.

Zaira kilka lat starsza od swego towarzysza, niewiele nabrała istotnego wychowania, w które też nie obfitował dom pani Rowoskiej, ale za to doświadczenia europejskiego mnóstwo. Gdy matka umarła po długiej chorobie zpowodowanej owym niepojętym przypadkiem trzynastoletnia Zaira zastępowała miejsce poufnicy pani Rowoskiej, która miała różne rzeczy do zaufania, o których Zaira gdyby była pismienna mogłaby nie złe spisać pamiętniki. Lata mijały, pani Rowoska, która ani myślała się starzeć, miała zawsze potrzebę powiernicy, a i Julek wkrótce zapotrzebował zwierzać się przed Zairą, panną już dwudziestoletnią. Po różnych zwierzeniach, szeptach i tajemnicach, które jako ułamek kroniki skandalicznej do naszej prawdziwej powieści nie należą, po dniach, które tak swobodnie i po prostemu jakby w Arkadyi przeszły, nastała jakaś burza. Było tam w domu wiele krzyku, płaczu, jęków, narzekać, wymówek i przekleństw. Jak to tam było, nie umiem państwu powiedzieć; matka łajała syna, syn matkę, towarzyszka towarzysza i swoją panią, a ojciec, który raz przecie przemówił jak sławna żydowska oślica, łajał wszystkich skrobiąc się w głowę. Aż nareszcie wszystko się skończyło zgodnie, bo trudno było się pokłócić przy tak poplątanych stosunkach. Zaira dostała w zamian za jakiś papier dany przez Julka w chwili serdecznego zwierzenia, jakąś sumkę pieniężną nagradzającą zapewne jej cnotę europejską, i pana Bzurskiego poczciwego ekonoma z sumiemi wąsami za męża. Bzurski zgłupiał, gdy niztąd ni z owąd bez trudów przyszedł do takiego skarbu; jakoż dawszy jej nazwisko swoje w puściznie, porzucił ją wkrótce, bo jużciż pani Bzurska nie mogła z nim jechać na wieś, by sadzić kury na jajach — ona wolała wychowywać dziewczęta. Jakoż udrapowawszy się w strój nieszczęśliwej opuszczonej małżonki wdowy została się przyjaciółką pani Rowoskiej, w której tajemnice za nadto daleko zaglądnęła, by się mogły między sobą kochać albo kłócić; one się tylko cierpiały, czyż to nie wystarcza na światową przyjaźń? Pani Zaira Bzurska prócz jednego tylko zniknienia trwającego lat parę, a nigdy dobrze niewyświeconego, bawiła ciągle w stolicy, gdzie też po latach nie wiem już wielu założyła swój zakład wychowania.

Z tego cośmy powiedzieli, łatwo zrozumieć można, że się jej wychowanki bardzo mało i bardzo wiele od niej nauczyć mogły. A przecież tak uniwersalny był jej jeniusz, iż prócz języka francuzkiego, którego uczyła praktycznie, mówiąc od czasu do czasu gładkie frazesy, dawała nauki geografii ograniczającej się na głównych miastach i drogach pocztowych, nie bez pociesznej czasem plątaniny gór i rzek, które dowolnie przesadzała z jednego końca świata na drugi... i historyi... Tak jest moi państwa, uczyła dziejów świata. I spróbujcie tylko czytelniczki moje, dajcie córki swoje do pani Bzurskiej, a prze-

http://rcin.org.pl

konacie się, jak umieć będą historyi. Ucząc historyi, nie dotyka jednakże historyi polskiej, o której jak twierdziła córka lotaryńskiej dogodnicy: il n'y avait rien de certain. Cała zaś tajemnica w tem była, że pani Bzurska była namiętną amatorką romansów; i nic dziwnego! z romansu powstała, romanse ją wychowały, romanse dały jej towarzyskie położenie, romanse też czytała od rana do wieczora, jej loka komunia były z romansów, wymowa romansowa, niewyczerpanie słów romansowe, cała nawet logika z życia romansów czerpana. Żadne pytanie towarzyskie nie było jej obce; już ona coś o tem liznęła z nowszych romansów; przed żadną trudnością życia nie potknęła się nasza Bzurska, bo wszystkie swoje działania i sądzenia o rzeczach, całe zgoła doświadczenie życia wyjmywała żywcem z powieści domowych, miejskich i wiejskich, z powieści obyczajowych i nieobyczajowych; a więc z historycznych powieści nauczyła się i uczyła dziejów świata. To też jej uczennice umiały najwięcej szkockich i angielskich dziejów; szczęściem dla niejednej dziewczyny polskiej, że pani Bzurska ginęła za Wallasem. Wallas, walczący za wolność swej ziemi ojczystej broniący swoich gór szkockich, pobudził niejedną myśl, która wypadkiem jakim poruszona w domowej zagrodzie odbijała się w wychowaniu dzieci, chwalonem po całej okolicy z patryotyzmu, który z gór szkockich łatwiej się jeszcze przyswajać dawał do gór karpackich, niżeli ospa z krowy angielskiej do dziecka polskiego.

Zresztą było trzech nauczyczieli przychodzących w pewnych godzinach. Byli to przedewszystkiem ludzie młodzi; bo pani Bzurska była kobietą postępową; nie wierzyła zatem by rozum trzymał się głów łysych i siwych. Metr muzyki był brunet, metr rysunku był blondyn, a metr tańcu był szatyn. Tych wybrała z pomiędzy wielu, i że wybór był doskonały, najmocniej dowodziło, że jak twierdziła brunet miał siłę europejską, blondyn wytrwałość europejską, a szatyn niezmordowanie europejskie.

Tak ułożywszy swój zakład, w którym wtenczas tylko zmieniało się, gdy który z metrów zestarzał, a zatem przemienionym być musiał, kwitła sobie szczęśliwie, dzięki dwiestu dukatom, które każda uczennica płacić musiała, prócz znacznych dodatków na rozmaite rachunki, których pani Bzurska musiała się zapewne nauczyć od swego męża ekonoma.

Przybycie panny Cyrylli nic nie zmieniło trybu życia w domu pani Bzurskiej prócz większych naturalnie względów, jakie pani Zaira zachowywała zawsze dla bogatszych dziedziczek, a których wychowywała sobie oczywiście przyszłe opiekunki zakładu swego. Umiała ona w tej mierze korzystać ze wszystkich nałogów i nawyczek, które odkrywała za pomocą swej przenikliwości naturalnej i wyuczonej w romansach. To też uczennice wszystkie kochały ją bardzo; pani Bzurska wierna dawnej roli swojej, była więcej ich powierniczką niżeli mistrzynią. Odkrywała ona pomału kręte drogi światowe, nauczała jak zgrabnie stąpać po nich należy, by się pobawić po ukrytych chodnikach życia a nie zabłądzić nigdy. Miała po temu bogactwo niewyczerpane przykładów, które dla dziewcząt bo-

http://rcin.org.pl

jaźliwych, nie otrząśniętych jeszcze z przesądów wychowania domowego, wysypywała jak z rękawa, a czego jej nauki nie zrobiły, dokonywały romanse, które dawała czytać uczennicom swoim podług pewnego porządku systematycznego, którego jenialny wynalazek należał niezaprzeczenie do niej. Podług tego systematu, którego treść i pożyteczność jak słyszałem pani Bzurska dyktuje metrowi z wytrwałością europejską, każda powieść francuzka nowa szła do jednego z trzech oddziałów, mianowicie: dla początkujących, średnich i ukończonych uczennic. Mówią nawet, ale ja tylko relata refero, że dla początkujących, głównymi autorami byli: Ducange i Paweł de Kock, jako najzabawniejsi dla średnich — Dumas i Hugo, jako autorowie budzący myśli dla ukończonych — Balzak przed innymi, jako pisarz salonowych wydarzeń.

Nie myślcie państwo by pani Bzurska nie miała uwagi na kształcenie moralne i religijne swoich uczennic. Moralne wychowanie pobierały z romansów, bo jużci dziś nikt nie wątpi już, że romanse nadzwyczaj są moralne. Co się zaś tyczy religji, każda uczennica musiała się codzień modlić po francuzku, trochę na pamięć, trochę z ulubionych Ekarthauzena sentymentalnych modlitw. Zresztą chodzono w niedzielę i święta do kościoła na mszę paradną, la belle messe, jak ją nazywano, w strojach jak można najwięcej wykwintnych; co roku zaś przed wielką nocą odbywała się poważnie i uroczyście spowiedź całego zakładu. Pani Bzurska na czele z postawą tak bogobojną, że każdy niewierny byłby zbudowany, szła do konfessjonału; za nią uczennice w porządku tabularnym, majętniejsze naprzód, uboższe z tyłu. Potem zwykle był podwieczorek suty w domu, kosztem wychowanek pani Bzurskiej, które z szlachetnem współzawodnictwem sadziły się jedna przed drugą; przy podwieczorku pogadanka pobożna o kościele nie bez wspomnienia o widzianych tam osobach i strojach, gruntownie rozbieranych; następował czasem parogodzinny kontradans, w którym sama Zaira dosyć lekko jeszcze do pierwszej stawała pary z niezmordowanym szatynem. Tańce i stroje były to dwa główne przedmioty, nad któremi pracowały uczennice pani Bzurskiej, ta bowiem słusznie twierdziła, że niedosyć być piękną, ale trzeba głównie być zgrabną i modnie ubraną, by stać się europejską, to najwyższy szczyt doskonałości podług pani Bzurskiej.

Lecz dosyć tych opisów nudnych zaprawdę. Wejdźmy już raz do zakładu. Umieszczenie jego było przyzwoite; dom bowiem, w którym pani Bzurska zajmywała całe pierwsze piętro, był w środku samego prawie miasta, na jednej z najładniejszych miasta ulic. Pokoi było mnóstwo, a w samym środku był salon umeblowany wytwornie, który łączył po jednej stronie sypialnią i buduar pani Zairy z osobnym wychodem, a z drugiej strony pokoje uczennic, które po dwie sypiały w jednym pokoju, i miały także swój wychodzik osobny na tylny ganek, po którym przechadzały się nieraz zaglądając do okien studentów mieszkających na tyle domu, i połykających ślinkę na widok tych podrastających piękności.

W tym tedy salonie na miękkiej kanapie aksamitnej zasiadła pani Bzurska, uczennice w koło niej na elastycznych fotelach. Okna

http://rcin.org.pl

przysłonięte były jeszcze przezroczami przedstawiającemi obrazy mitologiczne; woń kwiatów rozchodzi się po salonie napełnionym modnemi drobiazgami, obwieszonym sztychami wyjętemi z różnych powieści nowoczesnych, między któremi Esmeralda w pół naga wyrywająca się z rąk zakochanego księdza niemałą odgrywała rolę. Wszystko tam było miło i wytwornie jakby w salonie najmodniejszym, przeznaczenie naukowe tego pomieszkania niczem się nie przypominało. Nawet aby ilość tylu młodych panien razem nie zdradzało pensjonu, widzimy mimo rannej godziny, dwóch mężczyzn siedzących swobodnie między wychowankami pani Bzurskiej, których jest sześć, a najmłodsza z nich Cyrylka licząca lat czternaście.

Siedzą więc wszyscy przy rannej kawie, która się odbywa wspólnie o godzinie dziewiątej z rana W zakładzie bowiem pani Bzurskiej wszystko nosi na sobie cechę arystokratyczności. Mistrzynię i uczennice budzą się o ósmej godzinie i robią zaraz tualetę staranną, która nawiasem powiedziawszy zmienia się w południe, zmienia się i po objedzie, a czasem i trzeci raz na wieczór. Jeden z nich jest to szatyn niezmordowany, którego godzina tańcu zaczyna się po kawie. Drugi, był to śliczny młodziutki jeszcze chłopaczek z twarzą rafaelowskiego aniołka, a wyrazem swawolnym najprzewrotniejszego pazia. Pani Bzurska nazywa go „mon neveu“, kocha go namiętnie i trwoni pieniądze na wszystkie jego zachcenia. Było to jej jedno prawdziwe uczucie, i razem jej kara jakby naumyślnie przez los naznaczona.

Czyli i zkąd to pokrewieństwo pochodziło, nikt dobrze nie wiedział; to tylko wiadomo było, że przed laty wielą pani Bzurska wróciwszy z paroletniej podróży, o której wspominaliśmy, przywiozła paroletniego chłopczyka, którego odtąd kochała, psuła i wychowywała jakby własnego syna. Starzy wyjadacze stołeczni, co to wszystko wiedzą, w ładnych rysach młodego Alfonsa chcieli sobie przypominać sławną dawniej piękność pani Rowoskiej, której odłamki posiadał także jej syn pan Juliusz. Coby nie było, pan Alfons mieszkał w tym samym domu na drugiem piętrze, bujał wolny po mieście, trwonił pieniądze, robił długi, a ufając w ślepe przywiązanie pani Bzurskiej, despotyczną wywierał nad nią władzą. Całe jeszcze szczęście tego zakładu było, że jego despotyzm rozciągał się tylko do jej kieszeni, bo zdaje się, że gdyby tego był żądał, przywiązana ciotka byłaby z swego zakładu zrobiła wszystko dla niego. Przychodził zawsze na ranną kawę, gdzie jego przytomność była pożądaną, a nawet konieczną do następującej lekcji tańca, przy której nieraz występował w kadrylu. Przy kawie siedział zaś zawsze między Cyryllą i Eugenją, które były największemi przyjaciółkami. Eugenja była to niewielka grubopłaska blondynka, jak się sama nazywała, chociaż jej włosy dla cudzych i bezstronnych oczów były nieznośnie rude. Była ona córką znanego w kraju bankiera, którego bogata kassa przemogła arystokratyczne prawidła zakładu pani Bzurskiej: stosując się do europejskiego zwyczaju, przypuszczającego arystokrację pieniędzy, przyjęła pannę Eugenją wyjątkowym sposobem za trzysta dukatów do swego zakładu.

http://rcin.org.pl

Rozmowa jaka najczęściej przy kawie ciągnęła się, była o dniu wczorajszym.

— La comtesse Constance była charmante wczoraj — mówiła pani Bzurska nalewając drugi raz kawę.

— Oui ma cousine est très-jolie! — dodała Cyrylka.

— Et habillée gracieusement! — odezwała się panna Klementyna, która i nie ładna i nie bogata, wierzyła tylko w strój i niezłą figurę, którym jedynie w marzeniach swoich powierzyła wszelkie nadzieje przyszłości.

— Vous avez grandement raison ma bonne Clémentine. Le savoir s' habiller mes bonnes amies, pamiętajcie dobrze o tem, jest pour ainsi dire prawdziwy typ wyższego ukształcenia. Trzeba w tem mieć takt.

— Już to tańcuje bez taktu — odezwał się z roztrzepaniem szatyn, który korzystając z zajęcia pani Bzurskiej około kawy szeptał z panną Laurą, ładniutką brunetką wesołą i roztrzepaną.

— Nie o tym takcie mowa — rzekła z powagą pani Bzurska, badawcze i surowe rzucając spojrzenie na niego i na Laurę, która ledwie miała czas szepnąć do młodego tancmistrza.

— Daj pan pokój... edsuń krzesło... elle nous regarde. — I jak najprędzej sama odsunęła krzesło, które za prawdę było bardzo bliskie sąsiada; przy której to operacji upadło coś na ziemię szeleszcząc jakby papier. Zaczerwieniła się Laura, pobladł szatyn.

— Vous avez laissé tomber quelque chose ma bonne Laure.

— C'est mon monchoir madame! — żywo odpowiedziała Laura, i zgrabnym ruchem w batystową chusteczkę zawinęła zdradziecki bilecik metra tańcu, który tym sposobem prócz lekcji tańcu, dawał jej lekcje stylu, przyuczając ją do codziennych odpowiedzi, na codzienne bileciki pełne czułego zapału. Panna laura bowiem była dosyć bogata dziedziczka, a co jeszcze lepiej bez rodziców pod opieką jakiegoś dalekiego krewnego, któremu jej los był zupełnie obojętny.

Przenikliwy wzrok rzuciła pani Bzurska na zmiennego metra tańcu, i w tej chwili wytrwałość blondyna przeważała w tej myśl niezmordowanie szatyna.

— Elle est riche! może się więc ubierać jak chce, — odezwała się panna Ernestyna, tłuściutka blondynka, która przez niedbalstwo właściwe sobie najgorzej się ubierała, i była prawie kopciuszkiem pensyi, chociaż mogła być jego ozdobą przez najpoiczciwsze serce i umysł najmniej jeszcze zepsuty.

— Pas si riche! — dodała brzydka jak noc panna Kamilla, która sama była bardzo bogata; — mój ojciec, który ma jedne dobra swoje w okolicy jej wiosek, twierdzi...

— Pardonnez-moi ma chère Camille; — żywo odpowiedziała Cyrylla: ele est très-riche.

— Riche ou non mes amies, jest ona wzorem dobrego wychowania, dobrych manierów. Dobrze być bogatą, trzeba być nią nawet pour faire figure dans le monde, vous l'êtes plus ou moins, ale prawdziwie warto byście moje panny uważały na jej maniery i ten

http://rcin.org.pl

savoir vivre, który dopiero stanowi prawdziwę doskonałość d'une dame accomplie.

— A już to savoir vivre, że ma, najlepiej uważałam na jej wczorajszym wieczorze, — ozwał się roztrzepany Alfons; — bo jużci najpiękniejszy zapewne był na tym wieczorze hrabia Ksawery, który jej assystował ciągle.. ten wybór dowodzi...

— Mon neveu! — z słodziutkim uśmiechem przerwała pani Bzurska — Il y a des choses dont on ne parle pas. Nie słuchajcie tego roztrzepańca moje panny. Vous ne le comprenez pas du reste... n'est-ce-pas?... co ten szaleniec prawi.

Panny nawiasem powiedziawszy porumieniły się z lekka, dla tego zapewne że nie zrozumiały.

— Ce sont des liaisons du grand monde, bez których się świat obejść nie może, o których tylko la malveillance plébéienne może co powiedzieć... Vous les comprendrez une fois mes enfants. Il faut que je vous donne un de ces jours do czytania: La femme de trente ans Balzaka, który par parenthése, najlepiej rozumie la morale des salons. A wracając do naszej hrabiny Constance, elle est à demi veuve, son rieux mari se meurt.

— To wszystko bardzo pięknie, ja przecie chciałbym być na miejscu hrabiego Ksawerego; — śmiejąc się złośliwie, mówił dalej Alfons zwrócony do Eugenji.

— Pan? pan! — odezwała się Eugenja, i oczy jej żółte jak dukaty ojcowskie zaiskrzyły wschodnim zapałem zdradzającym pochodzenie starozakonne. — Vous êtes un ingrat! un fourbe! — dodała ciszej.

— Ale tylko gdybyś pani była na miejscu Konstancyi; — szepnął jej Alfons do ucha, a porywając sucharek ze stołu uścisnął mimochodem rękę Eugenji błyszczącą pierścieniami bez liku.

Uśmiechnęła się Eugenja słodziej nieco.

— Vous mentez...

— Je vous adore! — szepnął z cicha.

Cyrylka spojrzała na nich z uśmiechem, i pokiwała na pana Alfonsa paluszkiem z lekka.

Pani Bzurska chociaż na pozór zajęta śniadaniem rzucała z pod oka uważne spojrzenie na mówiącą parę, w których przebijało mimowolne zadowolenie: Romansik bowiem ten cały był przez nią samą zaprowadzony, mimo niewielkiej do niego ochoty samego Alfonsa, któremuby więcej Laura lub Cyrylla przypadała do smaku; ciotka namawiała go codzień, wystawiając wielki majątek Eugenji, i większą łatwość dostania ręki córki bankiera. A gdyby nawet przyszło do wykradzenia, mniejby się bała pani Zaira złych skutków dla swego zakładu, będącego pod opieką najszczególniejszą towarzystwa arystokratycznego, dla którego przypadek zdarzony bankierównie byłby raczej zabawką, niżeli zgorszeniem.

Po lekcyi tańcu pani Bzurska weszła do swego pokoju z niezmordowanym szatynem, by mu dać bilet, przy której sposobności była długa rozmowa pełna zapewne moralnych wymówek. Tym razem, miarkując po twarzy na pół uśmiechającej się, niezmor-

dowany metr zdołał uzyskać jeszcze przebaczenie słusznie rozgniewanej mistrzyni.

Panny rozbiegły się do swych pokoi i zaczęły się zwierzenia przyjacielskie, rozmowy swawolne, więcej lekkomyślne niżeli zupsute, któremi jednakże już się przyzwyczaiły do przyszłego życia światowego, w którem przykłady i nauki pani Bzurskiej miały przynieść owoc pięknych manjerów i du savoir vivre.

— I ty go kochasz? — spytała Laury jej przyjaciółka Kamilla.

— Jakże go nie kochać? patrz jak on pisze.. on umrze, jeżeli go kochać nie będę.

— I ty go kochasz? — pytała Cyrylka Eugenji.

— Ach on mnie ubóstwia; a jaki piękny !..

— Cóż ojciec twój na to?

— Miłość wszystko zwycięży.

— Miłość i miłość !.. zawsze miłość; ja tej miłości pojąć nie mogę.

— Zrozumiesz to kiedyś Cyrylko! to najwyższa rozkosz, to szczęście !...

Cyrylka mimowolnie westchnęła ku temu nieznanemu uczuciu.

Panna Klementyna była także z przyjaciółką swoją najmilszą; stała przed zwierciadłem i próbowała nowego stroju, w którym tak jej ładnie, tak do twarzy... powtarza pochlebne zwierciadło.

Niedbała tymczasem Ernestyna wybiegła na ganek, by świeżem zapewne kamienicznego dziedzińca odetchnąć powietrzem, a od czasu do czasu wysyłać telegraficzne spojrzenie ku oknu tylnemu, z którego wyglądał młody filozof o jasnym wąsiku.

Tak przeszedł poranek w zakładzie europejskim pani Bzurskiej jeden z pomiędzy wielu innych podobnych do siebie.

Po obiedzie były lekcye rysunku i muzyki, po nich oddawanie biletów w pokoju pani Bzurskiej; przed herbatą pół godziny dziwnie nauczającej pogadanki geograficzno-historyczno-moralno-obyczajowej, nareszcie herbatka, i wieczorem dla odmiany mały kontradansik, na który kilku z miasta przychodzi młodych przyjaciół pana Alfonsa, des jeunes gens bien élevés, jak ich nazywała nasza Zaira.

Takie były mniej więcej wszystkie dni w zakładzie pani Bzurskiej; działo się zaś to w zimie.

W lecie zmieniał się nieco tryb życia; panny bowiem wstawały o siódmej, ubierały się w piękne negliże i szły z mistrzynią na czele do ogrodu Jezuickiego. Cyrylka kaszlała przez zimę, domowy lekarz także młody człowiek europejskich zdolności, który wzdychał do rozległych dóbr panny Kamilli, zadecydował, że potrzeba koniecznie by piła wodę salcerską z mlekiem. Pani Bzurska chętnie na to przystała; był to nowy rachunek do zrobienia. Cały więc zakład chodził codzień do ogrodu jezuickiego.

Dla nas, którzy ten ogród znamy, nic o nim nowego powiedzieć nie można. Jest to poczciwy staruszek, który mocno już wyłysiał, a przecież od dawnych nawyczek odzwyczaić się nie może Był to

http://rcin.org.pl

dawniej miły i wytworny lampart, skłonny do miłostek salonowych, do schadzek choć nie przyzwoitych istotą rzeczy, ale przyzwoitych wonną powierzchownością wytwornych strojów, lubił nad wszystko powozowe romanse. Salonowe piękności, królowe mody przybiegały ongi do niego na umówione schadzki. O mój Boże, ile to tam przemknęło scen ciekawie pogmatwanych, z nieskończonego nigdy dramatu światowego: dzieje słynnego księcia Lauzun byłyby dziecinną powiastką w porównaniu z tajemną kroniką naszego ogrodu.

I huczne za młodu lubił zabawy, wyprawiał bale, słynne kluby sprowadzał kontraktowe; rozmowny uprzejmy gospodarz nie jedną usłyszał ciekawość, ale miał cnotę nieoszacowaną — milczał jak grób. W najskrytszych tajnikach serca swego chował on nie jedną tajemnicę rodzinną, dziś już zapomnianą. Lecz zestarzał się z czasem i z młodego franta zrobił się starym rozpustnym lampartem miłującym nadewszystko miłostki proste, łatwe, karczemne, które w cieniach nocy ukrywał. Zchorzały uwierzył w hydropatją, i wodą traktuje gości swoich. Czasem jeszcze przez przypomnienie dawnych dziejów, ułoży przypadkową schadzkę salonową, która nieśmiało przemyka z kąta w kąt, bojąc się jego wyłysiałej głowy. Opuszczony od salonowych towarzyszy, którzy daleko od niego spoczęli już pod piaskiem cmętarzowym, daje przytułek młodym studentom, którzy mu swoje przedegzaminowe powierzają trudy, a rzadko przedmiejskie swe miłostki, uciekające pomału do innych młodszych zamiejskich ogrodów. Czasem jeszcze odżyje na chwilę dawną wrzawą, hulatyką wesołą, która wnet głuchnie pod przewagą smutku jakim stary dziad zaraża. Darmo już hulać! starzec skłania się widocznie do grobu. Jedną z ostatnich scen żywych winien był zakładowi pani Bzurskiej.

Na bocznej ławce w poważnej postawie i poważnej sukni czarnej, zasiadła pani Bzurska z książką w ręku, która ją niepospolicie zajmywała. Czytając „tajemnice Paryża“ ginie z ciekawości za rozwiązaniem, które tom po tomie ucieka przed nią; rzadko też spogląda na uczennice swoje, które swobodnie, z początku razem, potem rozchodząc się parami poufniejszych przyjaciółek, rozbiegały się coraz dalej, w coraz ciemniejsze wsuwając się ulice. Nie będziemy chodzić za wszystkiemi, boby nas to wiele czasu kosztowało, a nie dowiedzielibyśmy się nic nowego.

Były tam zdybania przypadkowe, zwyczajnie jak w ogrodzie publicznym. Czasem lekarz młody wracając z rannej kąpieli, którą spłukiwał nocne biesiady, zapatrzywszy się w szafirowe oczy panny Kamilli przypomniał o nerwowej gorączce prawdziwego pacjenta, wyglądającego z niecierpliwością ratunku.

Czasem pojawiał się i szatyn i blondyn i brunet; którzy dla nabrania niezmordowania, wytrwałości i siły, pijali wodę źródłową, trochę poszeptali z uczennicami swemi, i napaplawszy słodkich słówek co nie miara, wymykali się milczkiem, niepostrzeżeni przez surową mistrzynię.

Czasem Alfons na dzielnym przemknął koniu z nocnym szampanem i rannym likierem w głowie, westchnął, parę powietrznych

http://rcin.org.pl

puścił całusów z dymem cygarowym, spojrzał w niebo, rękę do serca przycisnął, aż zadrżała olbrzymia pierś Eugenji do góry Syonu podobna, dobywająca się gwałtem z pod batystowego płaszczyka.

Czasem i to najczęściej podobno młody student biegając po ciemnych ulicach za rozwiązaniem figury geometrycznej, która mu jakoś do głowy nie właziła, przybywał koło twarzy panny Ernestyny, którą zapalczywemi mierzył oczyma, biorąc czasem dla lepszego rozmiaru i gorące usta do pomocy.

Jedna tylko Cyrylka darmo wzdychała. Otoczona romansami pisanemi i żywemi, które jej serce rozpieściły, żarem jakby węgli po żyłach biegały, rzucała w około oczy zamglone nocnemi marzeniami. Szukała biedaczka ideału. Z wierną Eugenją goniły z ulicy ciasnej w ulicę szeroką, albo ku rotundzie: tam zdybywały same niańki i mamki z przyszłem pokoleniem pół miasta na ręku; to ku źródłu: tam je odstraszyły same wysuszone żółte i zielono twarzę wyschłych hydropatów. Od niejakiego jednakże czasu zdawały się przechadzać powolniej i poważniej, oczami tylko żywiej biegającemi śledziły jakby za zgubionym przedmiotem jakim.

Chodźmy więc za niemi i przysłuchajmy się rozmowie.

— To ci się tak zdawało tylko moja Eugenjo.

— On na ciebie tylko spoglądał; wierz memu doświadczeniu.

Doświadczenie miejskiej panienki, jest to powiedziawszy przelotem, owoc trephauzowy, który wcześnie bardzo dościga. Miejska panienka z lalką jeszcze w ręku siedzi w oknie, w którem siaduje jej matka, starsza siostra, guwernantka, i tam wzór po wzorze, rys po rysie zbiera całe doświadczenie życia. Miejska dziewczyna, co dostrzeże ciekawego w oknie, to zrozumie w rozmowie z kucharką, która nieraz przypuszcza ją do tajemnej pogadanki swojej z kanonierem, w czasie kiedy ją matka z pokoju wypędziła w rozmowie z przyjacielem domu. Ileż to razy czatując na schodach, by kochanego ojca wracającego do domu uściskać, popieścić, obcałować w około przywitać tak głośno i donośnie, że aż matki znajomy z żelaznej wody, miał czas zrejterować się przez kuchnią, gdy tymczasem ojciec z referatem ważnym w głowie prosto do swego wszedł pokoju, radując się przywiązaniem córki i nadzieja obiadu, o którym przywiązana małżonka w tej chwili tak żarliwie rozumuje w kuchni. Eugenja różne rzeczy widziała, i swojej przyjaciółce odkrywała cały skarb swoich wiadomości.

— Już on dziś nie przyjdzie! — rzekła po chwili Cyrylla.

— Nie wierz temu.

— A choć przyjdzie, to znowu przejdzie koło nas jak tyle razy.

— Patrz! — i ścisnęła zarumieniona Cyrylka przyjaciółkę swoją.

— A nie mówiłam.

W rzeczy samej wchodził w tej chwili główną ulicą młody i wysoki mężczyzna, ubrany starannie i z tym rodzajem niewysłowionego czegoś, co zdradzało jego prawo do wyższego stanu.

http://rcin.org.pl

— Już to powiem ci, że niełądny.

— Ma coś przyjemnego w twarzy, quelque chose de distingué. Widzimy przeto, że nauki pani Bzurskiej nie poszły w las.

— Ja nie lubię brunetów.

— A ja lubię brunetów.

— To zależy od gustu.

— On wprost idzie; już się nie zdybiemy.

— Dziecko jesteś jeszcze — odrzekła pogardliwie Eugenja, i nieznacznie nie przyspieszając kroku tak zgrabnie wróciła się boczną ulicą, że w sam czas weszły z niej w główną ulicę. Skrzyżowały się z wysokim brunetem. Ani go uważać się zdawały, śmiejąc się i chichocząc jak dwa niewiniątka. Spojrzały niby przypadkiem; uśmiech naiwnie swawolny osiadł na twarzy Eugenji.

— Je suis curieuse! — rzekła niby półgłosem do Cyrylki — si c'est le même monsieur, qui nous a fait place au théâtre.

Uśmiech dwunaczny przemknął krótką chwilę przez twarz bruneta.

— Oui c'est moi mademoiselle! — odpowiedział uprzejmie, i spojrzenie promieniste zatrzymał przez chwilę na Cyrylce, która zmieszana, czerwona jak wiśnia stała z oczami wlepionemi w ziemię, śliczna, zachwycająca tym wzrokiem niewinności, którego towarzystwa miejskich przyjaciółek nie starły jeszcze z twarzy.

— Byłem tak szczęśliwy — dodał, skłonił się grzecznie ku Eugenji, skłonił się ku Cyrylli, której serce zadrżało gwałtownie, tyle dostrzegła uczuć w jego ukłonie.

Panny odkłoniły się i wróciły tą samą ulicą, aby znowu po kilku manewrach strategicznych panny Eugenji wypłynąć pełnemi żaglami na samotnie przechadzającego się bruneta. Uśmiech znajomości tym razem był całem przywitaniem. I rozeszli się na nowo.

Lecz trzeba było pójść znowu do wody, bo Eugenja piła chętnie źródłową wodę. Jakoż przy źródle zdybały bruneta, który dobywszy piękną kryształową szklankę tak niezgrabnie podał ją Cyrylce, że aż ręki dotknął. Zadrżały obie ręce, woda się rozlała. Trzeba było znowu przepraszać i popatrzyć na siebie. Na tem się skończyło zdybanie tego dnia.

A pani Bzurska tymczasem rozbijała sobie głowę nad nieszczęściami pięknej bohaterki romansu, tak cnotliwej, tak lubej, choć wyszła z szynku, i jeszcze zkądś innąd. Aż się zarumieniła Zaira, tak jej do smaku przypadły te przypieprzone obrazy.

Przeskoczywszy dni kilka, w czasie których widziano bruneta przechadzającego się po pod okno, przy którem Cyrylka oddychała świeżem i wonnem powietrzem ulicznem. Biedaczka ciągle kaszlała, najczęściej w przytomności lekarza. A więc ciągle trzeba pić wodę salcerską. Codzień więc chodzi zakład cały do ogrodu. Bzurska rozmarzona czyta a czyta, rozpalając się coraz mocniej do tej powieści. I w duszy jej pozostało ważne pytanie: co jest lepszego, czy „Les mystères de Paris“ czy „Les liaisons dangereuses“ równie miła i znana jej dobrze powieść. Czytała ją bowiem nieraz w swoim dawnym dziewiczym pokoiku, u pani Rowoskiej, na współkę z młodziutkim

http://rcin.org.pl

Julkiem. A że ważne pytania rodzą drugie, rozmyślała głęboko pani Bzurska, dla której klasy uczennic swoich przeznaczyć to zajmujące dzieło ulicznych tajemnic.

We cztery tedy lub pięć dni po pierwszem poznaniu Cyrylki z brunetem, Eugenja zapomniała chustki przy ławeczce, na której mistrzyni siedziała, wróciła więc po nią. W najciemniejszym kącie została Cyrylka z brunetem.

Na twarzy bruneta, na której doświadczenie życia świeciło już barwą zżółkłych liści, bujał dawny jakiś rumieniec, oczy jego łyskały tem niebezpieczniejszem dla Cyrylki okiem, im był więcej dla niej niezrozumiałym, a ponętnym jak każda tajemnica.

— Jakże szczęśliwy jestem...

— Szczęśliwy!...

— Choć chwilkę z tobą pani sam na sam... to najwyższe szczęście.

Rumieniec ciemniejszy całą był odpowiedzią.

— I miałem tyle do powiedzenia... a teraz słów mi brakuje.

Cyrylka biedna westchnęła.

I westchnęli oboje.

— I nic mówić nie mogę, tylko patrzyć... tylko...

Wypiękniał brunet, bo od dawna po raz pierwszy serce ścisnęło się na prawdę. Ależ bo Cyrylka była tak śliczna, z tą twarzą natchniętą uczuciem. Dla mężczyzny najwięcej zepsutego, spojrzenie dziewczyny niewinnej ma coś tak świętego, że wszystkie myśli życia zgniłe ulatują, i on zostaje przed dziewicy obliczem, jakby przed pamięcią matki, przed wspomnieniem lat młodszych i niewinnych.

— I będę widzieć panią jeszcze?

— Na cóż? — nieśmiele wyjąknęła Cyrylla.

— Na co? pytasz się pani... Dla czego ciemny wzdycha do słońca, którego widok uroczy utkwił mu na wieki w pamięci... Ja jestem pani nieznany... pani zapominasz na tę krótką chwilę naszego zdybania, a ja nie zapomną nigdy... i zapomnisz pani?...

— Nie! — odrzekła Cyrylla, która już prawdy nie mogła przytłumić w sobie.

— Dzięki ci młody aniołku! ty mnie do życia przywiążesz na nowo.

— Pan jesteś nieszczęśliwy? — zapytała zarumieniona.

— Byłem nim... jak każdy człowiek żyjący bez celu... człowiek, który żył długo i wiele... Ty tego aniele niewinny nie zrozumiesz, bo myśli twoje są tak czyste, jak te spojrzenie nieba pogodnego. Ale już dziś wszystko zapomniałem, i wątpliwości moje, i myśli moje czarne; i uwierzę w szczęście, w życie nowe, tylko mi powiedz pani, czy przyjdziesz jeszcze? czy się gniewasz na mnie?

— Nie! nie!...

— I przyjdziesz?

— Ja tu codzień przychodzę — odpowiedziała naiwnie — przez całe lato...

— Jabym to lato chciał całem życiem mojem przedłużyć... Lecz już idzie towarzyszka pani; już trzeba żegnać... żegnać! Powiedz mi

pani imię swoje, do którego jak do świętej imienia modlić się będę całem sercem mojem...

— Cyrylla!... a!... — dodała i urwała.

Zaiskrzyły się oczy bruneta radością.

— O moje pani pytasz?... Edward! Cyryllo! ja ciebie kocham nad życie — wyrzekł ciszej, ale z przyciskiem tak silnym, spojrzeniem tak płomienistem, że wszystka krew młodej Cyrylki ogniem rozbiegła się po żyłach.

Skłonił się obydwom i znikł.

I nazajutrz i pojutrze przychodziła Cyrylka. Kaszel został, choć w piersiach nastała prawdziwa choroba... serca!...

I widywali się codzień; a pani Bzurska czytała spokojnie romans po romansie.

Cyrylla kochała z całą siłą pierwszej miłości. A pierwsza miłość moje panie, jeżeli sobie ją przypominacie jeszcze, to nie jest miłostka salonowa, która przechodzi równie innym zdarzeniom codziennym. Pierwsza miłość ma w sobie coś świętego. Pierwsza miłość jest to urzeczywistnienie raju na ziemi. Kto kochał raz pierwszy, a kochał prawdziwie, przeżył raj, z którego go prędzej czy później ręka przeznaczenia wypędzi na step życia rzeczywistego, i zamknie na wieki bramę wiośnianych złudzeń

Jak się to często zdarza, chwilowa rozrywka stała się rzeczywistością; igrając z niebezpieczną namiętnością, obie strony pokochały się szalenie. Cyrylka żądała kochanka, bo jej towarzyszki miały kochanków, jakby żądała zazdroszczonej sukni jakiej; chciała kochać się, bo całe życie otaczające ją, wszystkie książki czytane rozpowiadały o miłości jako o rzeczy koniecznej, a popędzała ku temu młoda krew rozogniona pobudzaną ciągle wyobraźnią. Serce jej było młode jeszcze i niezepsute, bo w pięknej wiosny porze, żaden robak nie śmie wgryść się do pierwszej zawiązki, której dopiero owoc jesienny przeżre jadem swoim. Jednem słowem Cyrylka kochała szczerze.

Pan Edward nie był to zapewne młodzik goniący za pierwszem doświadczeniem życia, znał już to życie doskonale, i od razu zrozumiał całą taktykę romansowych dziewcząt. Przejrzał je doskonale; chciał się zabawić, wyśmiać może i porzucić. Lecz ani się postrzegł, jak zarażony miłością dziewczyny ledwie z dzieciństwa wychodzącej pokochał ją szczerze.

I jakże mogło być inaczej. Cyrylla wierzyła w Edwarda z całą szczerością świętej wiary, miała dla niego wszystkie poświęcenia, stroiła się przed nim w szaty bezgranicznej miłości gotowej na wszystko, rzucając pod stopy szczęśliwego kochanka całą przyszłość swoją... Edward miał dla Cyrylli cały powab męzkiej namiętności, porywającej jak burza, otulającej siłą swoją; on mężczyzna, który już tyle przetrwał, tyle doświadczył, złożył u nóg dziecka prawie, całę swą siłę, wszystkie swe nadzieje. Ona go czarowała niewinnością swoją, które ma skarb niewyczerpany obrazów pełnych uroku wiosny, świetnych cudownemi złudzeniami wieku młodego. On silniej jeszcze czarował doświadczeniem życia, które ma całe bogactwo obrazów zachwycających rozmaitością.

http://rcin.org.pl

To też przy drugiem, czy trzeciem zdybaniu, już się ich ręce ścisnęły tem elektrycznem dotknięciem dwóch uczuć zlewających się w jedno. Cóż dziwnego, że przy piątem czy szóstem zdybaniu, już się ich dłonie przyzwyczaiły, uścisnęły się więc po raz pierwszy usta.. Płomień stał się pożarem.

Nastąpiły przyrzeczenia, zaklinania, przysięgi, o których krótko trwałości, gdybyś sto razy przeczytał, sto razy doświadczył, uwierzysz w nie przecie, bo w oczach kochanki i kochanka jest prawda, jest niebo, które kłamać nie może. I powiedzieli sobie stanowczo, że ich życie stało się odtąd wspólnem. Jest to ślub, którego świadkami wzywanymi uroczyście są Bóg i niebo. Ślub to prawdziwy bez stuły i księdza!.... I zdaje się, że go nic zniszczyć nie może, człowiek nie przełamie, żadna przeciwność nie rozerwie, los nie rozwiąże! O mój Boże! gdzież jest ten ślub wiecznie trwały. I słowo i przysięga, i ksiądz i stuła kogoż tak mocno związały, by nie przyszła chwila odczarowania, chwila rozbratu wiecznego... I gdybyż przynajmniej pożegnać się jak na przyjaciół przystało, dłoń w dłoni, oko w oku, łza przy łzie, z wspomnieniem niezatartem w sercu... „Do widzenia się tam w niebie, gdy tu na ziemi nie można!“

Ale nie! Przyjdzie chwila złowroga, i bez pożegnania odwrócą się z pogardą, z nienawiścią i obojętnością gorszą nad pogardę i nienawiść. I nic w sercach nie zostanie, żadna nie przylgnie pamiątka: „Do niewidzenia się, nawet w piekle!“

Tak to bywa; bywa i inaczej, bo różnie bywa na tym bożym świecie; lecz na cóż czarne pasmo moich myśli przejedzonych jadem doświadczenia wplątywać w różowe smugi, po których bujają myśli, chęci i całe życie dwojga kochanków...

Kochali się, i mówili to sobie bez końca. Czasem rozpowiadali sobie całą przeszłość swoją. Krótkie były i znane już nam dzieje Cyrylki. A przecież... o fałszu człowieczego języka! Cyrylka nic mu nie mówiła o swoich romantycznych myślach, które przecie były pierwszym początkiem jej miłości. Ona o niej rozpowiadała jak o natchnieniu, które powstało cudownie, z wysokości niebios spadło.

Dłuższe były dzieje Edwarda. Syn majętnych rodziców, wychowany na wielkim świecie, wśród marzeń jasnobarwnych niezaćmionych żadną plamą powątpiewań i bojaźni. Rodzice umarli, majątek ogromny pokazał się bańką mydlaną zgrabnie przez nich puszczaną; rzeczywiste zostały tylko długi. Edward dotąd swobodny i szczęśliwy, musiał uwierzyć po raz pierwszy w smutek najokropniejszy, bo żadnem nadziei światłem nie okraszony. Trzeba było pomyśleć o przyszłości. I rozpacz zaczęła szarpać jego serce i zmęczoną głową, gdy ujrzał zbiegłą z nieba na promyku czarownym kochankę, od Boga zesłaną pocieszycielkę, i... i... Któż nie pojmie, ile więcej miał Edward uroku dla młodej dziewczyny w czasie tego rozpowiadania ubarwionego całym czarem wymowy wyczytanej, nasłyszanej i natchnionej chwilowym zapałem. Ona była bogatą! cały jej majątek czyż nie jest dla niego, wszak całe jej życie jego jest własnością. On prawdę mówił; a przecież..

http://rcin.org.pl

O fałszu człowieczego języka! on jej nic nie powiedział o myślach swoich zatrutych życiem światowem, któremi wszystkie możliwości bytu świetnego na wielkim świecie póty przemyślał i rozbierał, aż utworzył sobie okropną teorję życia, w którym to jej miłość dziewicza była tylko cudownym wonnym kwiatem, napędzonym przez przypadkowy powiew losu na drogę żywota. Czy się schyli, czy podejmie, czy oceni, i ustroi się weń na zawsze? Bóg to jeden wie, i Edward sam nie wie, bo on w chwili nawet wyznań najszczerszych podwójnem żyje życiem, podwójną ma w głowie myśl. Słodycz szczerej miłości nie miesza się do goryczy zebranej w duszy jego. Bo on pamięta, jak po śmierci rodziców pochlebcy pasibrzuchy wczorajsi odstąpili go, pogardzili nim; wczorajsze kapelusze powiewające ukłonami przyjaźnemi posztywniały na głowach. Świat go znać nie chciał. A więc przymusić ten świat, użyć go za postument dla siebie, i mścić się nad nim deptając nogą!.. Czyli wieśniaczka, choć majętna, choć kochająca, a może właśnie dla tego, że kochająca będzie mu pomocą na rozpoczętej już drodze, czyli raczej zawadzać mu będzie? To jest pytanie, którego nie odkrył jej zapewne, ale nieraz odbija się w smutnem jego ócz spojrzeniu niezrozumianem i źle tłumaczonem przez nią.

A przecież kochał ją szczerze, kochał moi państwo, którzy już widzę jak drwicie z biednego powieściarza. Kochał, bo szanował przynajmniej dziewiczość ciała, kiedy dziewiczość myśli, pomknęła już dawno za żądzą serca, za myślą dzienną, za marzeniem nocnem, za temi całusami i uściskami, z których młoda dziewico darmo się łudzisz, że wyjdziesz czystą, choćbyś u drzwi swojego pokoiku kochankowi powiedziała nadludzkie robiąc natężenie: „Dobra noc!“ Już cię one palić będą zawsze, już one stały się piętnem ziemskiego życia; już cię nigdy dawnych wzruszeń niewinne nie uniosą skrzydła, bo obciążone błotem ziemi, któremiś je pokalała.

I jeżeliś całkiem nie upadła Cyrylko! (bo ja moje łaskawe czyteliczki tę odezwę do Cyrylki napisałem) nie sobie winna jesteś. Cyrylka nadto kochała Edwarda; onaby się nie wzdrygnęła przed żadnem poświęceniem: wszak wszystkie niemal znane jej bohaterki romansowe miewały podobne zaczynając romans wypadki, z których przecie wychodziły czyste, ślicznie obmyte łzami ułożonemi z pięknie brzmiących słów romansisty.

Edward wiedział to, i zepsuty życiem nie korzystał przecie, bo kochał, bo się litował nad Cyrylką, bo się wahał jeszcze. O dziwna sprzeczności natury ludzkiej! gdyby był mniej zepsuty, gdyby nie tak był daleko zaszedł na zakreślonej już drodze życia swego, a zatem był więcej niewinny, kto wie, czyby już dawno nie uwiódł Cyrylki, na te tak lube zwykle w romansach ustronie, które się nieraz w samotnych marzeniach uśmiechało do Cyrylki, z urokiem ciasnego pokoiku, ciszy wieczornej, samotności, tajemnicy... i... rannego czepeczka wsadzonego na zmęczoną główkę.

Tak przemknęły dla nich miesiące letnie, a nawet pozwalam byście wierzyły w przesadę pochodzącą z żółci mego pióra, ale

http://rcin.org.pl

pomyślcie po razy kilka, nim powierzycie córki wasze nieznajomej, dla której wasze córki nie są ich córkami, wasza przyszłość nie jest ich przyszłością, wasze nadzieje nie są ich nadziejami — tylko pieniądze wasze są ich pieniądzmi. Wszak tej ulubionej francuzczyzny waszej i w domu uczyć można, a gdyby się i nie nauczyły, czyż nie lepiejby zostały polskiemi gąskami, niż francuzkiemi dogodnicami. Po tamtych będzie przynajmniej plemię swoje, polskie, zdrowe, na którem spoczywają nadzieje nasze; po tych chyba metyce moralne, najokropniejsze plemię barw mieszanych, plemię arlekinów moralnych, dobrych do pijanej maskarady świata, ale niezdolnych do trzeźwego życia narodu, który o sobie myśleć powinien.

Pożółkły już drzewa, wiatr jesienny zaczął sypać liściem ogrodowym. Smutne były myśli naszych kochanków.

— Edwardzie już jesień; dziś może, jutro jeszcze, i nie przyjdziemy więcej do ogrodu. Ja umrę bez ciebie najdroższy.

Edward milczał; czuł, że się za daleko posunął; żal mu było ślicznej Cyrylki, ale więcej jeszcze żal mu było planów swoich, przyszłości wykarmionej długim namysłem. On i tak już wiele stracił czasu na ten romans. Dla człowieka, który żyje w świecie, i tak jak on występuje z nim w szranki, można jeszcze tracić czas w lecie, ale w jesieni, i w zimie, kiedy się wszystkie odsuwają kortyny światowe — i widownie salonowe nowemi kulisami upstrzone występują na jaw, już czasu tracić nie można, choćby na najczulszy romansik

— Ty milczysz mój drogi! ty mnie już nie kochasz.

— Kocham cię aniele, i myślę nad przyszłością naszą. — Kłamał szkaradnie; myślał bowiem w tej chwili nad przyszłością swoją, i rachował wszystkie wynikłości tego stosunku.

— Czemu nie poznasz się z panią Bzurską? toby ci łatwo przyszło przez Alfonsa.

— Przez Alfonsa! nie, nigdy! już ci mówiłem, że nie mogę się zbliżyć do człowieka, który jest...

Cyrylki rumieniec dowiódł, że go zrozumiała, i dawno już wiedziała, że pan Alfons jest... synem miłości, by się delikatnie wyrazić.

— Kocham cię nad życie, zrobię co chcesz, ale nie żądaj, bym wchodził w stosunki, którychbyś się za mnie wstydzić powinna.

O dwuznaczności języka ludzkiego! Edward kłamał i nie kłamał razem. Nie uczuciem jakiem szlachetnem wiedziony, pogardzał on bękartem, chłopcem zepsutym, lampartem sławnym w mieście; i przeciwnie gdyby to był bękart jakiego księcia, przyjmowany w salonach, uścisnąłby go jak przyjaciela. Ale w swojem nieustalonem jeszcze położeniu, na stanowisku, jakie chciał utrzymać w stosunku z człowiekiem, o którym salony nic wiedzieć nie chciały.

— Spuść się na mnie Cyrylko, ja ciebie kocham i wiem, że ty mnie równą kochasz miłością; nie chcę z niej korzystać, nie chcę z twej strony żadnego kroku, którybyś mi sama wyrzucić mogła. Wkrótce zmienią się okoliczności moje; zrozumiesz co dziś nie jest

http://rcin.org.pl

jeszcze zrozumiane... Spuść się tylko Cyrylko na mnie; wszak ja ci to już nieraz mówiłem... i tyś mi wierzyła...

— Wierzę mój Edwardzie! i gdyby wieki, czekać będę wieki mój drogi, bo miłość moja nie zna czasu ni przestrzeni. Tylko widywać ciebie chcę... bo twój widok, twarz twoja i oczy, to moje słońce... twoja rozmowa Edwardzie to powietrze, w którem tylko żyć mogę... Umrę Edwardzie, jeżeli ciebie widzieć nie będę... Umrę — i rozpłakała się tak rzewnie, tak szczeremi łzami, że litość niewstrzymana ścisnęła serce Edwarda... pogardzał za tę litość samym sobą, ale litował się przecie.

— Bądź spokojny aniele mój !...

— Czy będę ciebie widywała ?...

— Będziesz !...

— Przysięgnij !...

— Przysięgam, ty lube dziecko...

— Lecz jakim sposobem...

— Ja znajdę sposób i nad tobą czuwać nie przestanę; oczy moje, myśli moje, miłość moja otaczać ciebie będą bez końca. Niema środka, któregobym nie użył i znajdę... bo są...

Lecz o tem w przyszłym a krótkim powiemy rozdziale.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Na wszystko są sposoby.

Pójdziemy na chwilę do jednej z głównych ulic, by broń Boże nie chciano się dorozumiewać jakiej osobistości.

Była to noc smutna i zimna w mieście, noc jesienna. Deszczyk przenikliwy przechodził od czasu do czasu rozbudzając kamienie bruku i rynny domów do monotonnej muzyki, której wtórował głos wiatru wyjącego wzdłuż ulicy, piszczącego źle zamkniętemi latarniami, skrzypiącego rozkołysanemi szyldami sklepów. Miasto wprawdzie oświecone, ale lampy nieszczęśliwe skąpym olejem podsycane, skąpe tylko i migające od wiatru, dają światło przypadkowemi smugami jasności odbijającej się od błyszczącego deszczem bruku. Zwykły ruch miejski ucichł już dawno; czasem tylko przemknie szybkim biegiem postać jaka pod bezpiecznem nakryciem parasola, póki złośliwy wiatr nie zakradnie się między pręty, i z przestrachem niosącego, wygnie parasol kielichem do góry. Czasem przesunie się wzdłuż ściany postać jaka niewieścia, obmoczona, kaszląca, zchorowana. Należy zapewne do tych nieszczęśliwych istot bez sławy i jadła. Są to po całodziennem życiu, które od bruku do poddasza wrzało, przelewało się i szumiało w ulicach miejskich, pozostałe ostatnie fusy. I obejrzy się w koło postać ołachmaniona resztkami sukień i resztkami wdzięków; popędzi czasem złudzona zatrzymaniem się przypadkowem mężczyzny, aż na końcu zniknie w drzwiach w pół zamkniętych,

http://rcin.org.pl

z których późne przebija światło, a nad któremi wielka kołysząca się gałąź sosnowa, jest wiecznie zielonem godłem wiecznie szalonego życia marzeń trunkowych.

Prócz tych świateł, które do późnej godziny zabłysną ci na każdej ulicy z po za źle przystających okiennic, jasnością niepewną, jakby ukradkową, widać jeszcze na tej ulicy jaśniejszy blask bijący z okien oświeconych pierwszego piętra. Światło to zuchwale nietajone z arystokratyczną dumą rozwala się szeroko, przez wszystkie okna wybiega, drwiąc z demokratycznych latarni i żartując sobie z ulicy ciemnej, posępnej i wilgotnej. Czasem dźwięk fortepianu ozwie się dzwonkowym głosem, śpiew czarownie brzmiący czystemi tony wyleci na ulicę, z której odpowie zachrypnięty głos ulicznicy. To chrypka nędzy ulicznej przeklina salonowe piersi, zdrowe ciepłem otuleniem.

I rozszedł się turkot po ulicy.

To powozy przyjeżdżają po gości pierwszego piętra. Deszcz zimny pada a pada, godziny przechodzą; snać zabawa wieczorna przeciągnęła się nad zamiar, wypasione konie powozowe pospuszczały łby, sypiąc iskry z bruku zniecierpliwionemi nogami. Furmani skuleni na siedzeniach swoich spoglądając w okna oświecone, przeklinają panów swoich, którym tam tak ciepło i sucho. Bo oni zwyczajem ogółu, w górę zawsze patrzą; żaden z nich nie spojrzy niżej na bruk uliczny, na te postacie nieszczęśliwe, którym przecie brakuje tego ich otulenia ciepłego bramowanego galonami.

I pomału powóz po powozie zabrawszy swoich panów i panie oddalają się w różnych kierunkach; coraz większa osiada cichość; jeden powóz na boku stoi jeszcze; darmo się niecierpliwią i furman i konie. Światła nie ciemnieją na pierwszem piętrze, a więc zabawa nie skończyła się jeszcze.

I pojawiły się na rogu ulicy dwie postacie ciemnemi płaszczami owinięte. Nie zważając na deszcz i zimno, zbliżają się ku oświetlonemu domowi przeciwną stroną ulicy, skradając się pomału jakby czego śledzić chciały. Za każdym oddalającym się spoglądają powozem, a gdy prawie już ten ostatni pozostał powóz, poszeptały między sobą. Jeden z nich, wysoki mężczyzna, pozostał pod balkonem przeciwległego domu, a drugi głośno i donośnie jakby się tylko co pojawił, szedł środkiem ulicy ku stojącemu powozowi. Zanucił sobie pieśń jakąś karczemną i nogami plątał, jakby miał w głowie. Furman na koźle poklaskiwał biczem nie zważając na idącego. Nieznajomy zatrzymał się przy powozie i spojrzał do góry.

— To wy Jędrzeju? — ozwał się raptem głosem zdziwionym.

Pogardliwie spojrzał furman z góry; a po chwili wpatrywania przyjaźniejszym odpowiedział głosem:

— To ty Grzegorzu? tak ciemno jak w lochu... nie poznałem was... te przeklęte latarnie świecą gorzej od szabasówek.

— Ba... a zkądżeby latarniki brali olej na post dla siebie, ale cóż wy u djabła tak długo stoicie?

— A zeby ich wszyscy djabli wzięli! Siedzą tam na guze, ani im to przyjdzie na myśl, że człowiek jak pies marznie.

http://rcin.org.pl

— Toż wy Jędrzeju u tych samych państwa na górze służycie?

— A u nich! I nie dosyć ze musę nieraz psed cudzemi stać domami; tseba jesce odwozić gości pańskich.

— To ciężką macie służbę?

— Ot zwycajnie, jak u tych panów wielkich, co z nocy dzień a z dnia noc robią, a człowiekiem uganiają. A wyz Grzegozu?...

— Mnie się nie źle dzieje; mam dobrego paniska — odpowiewiedział Grzegorz, i drwiącą przybierając minę dodał: — Nie jest takim nocnym lunatykiem, żeby uganiał po nocy i człowieka wodził za sobą; on sobie dawno już w łóżku leży, a ja jak wszystko porobię, chodzę sobie wolny i błądzę po nocy ale z własnej chęci. Wstąpię sobie czasem do pani Janowej.. wszak znacie Janowę, co to jej mąż był stangretem...

— A! a!...

— I gdzieś tam powędrował na wołoszczyznę, a żonka założyła szynk pod trzema królikami.

— A! a!...

— A jaką ma wódkę!...

— A! a! — powtarzał Jędrzej coraz dobitniej.

— Najlepszą ma wódkę we Lwowie; prawdziwa żytniówka, a kminkiem zaprawna, aż się człowiekowi dusza raduje.

— Dobze wam Grzegozu chodzić na kminkówkę; ja musę siedzić na koźle.

— Ot tylko co byłem u niej, i wyciąłem sobie miarkę; bo Janowa nie żydówka; u niej miarka stęplowana i dno gładkie.

— I daleko mieska?...

— Ot tu dwa kroki... ale zimno coś... może jeszcze wrócę do niej.

Nastała pauza Jędrzej splunął.

— Wiesz co Jędrzeju — ozwał się znowu Grzegorz — a spokojne twoje konie.

— Jak dzieci; to stazyzna, tylko wypasione, cysto wyscotkowane, ogony poucinane i ludzie myślą ze to anglezy.

— No to chodźcie ze mną na jedną miarkę.

— A!... to trudno!...

— O! tu niedaleko.

— Gdzie?...

— Widzicie tam tę wiechę, co nią wiatr porusza, jakby nam się kłaniać chciała.

I Jędrzejowi tak się widzieć musiało, pożądliwie bowiem spojrzał na zapraszającą wiechą.

— To będzie tsecia albo cwarta kamienica.

— Golniemy sobie po miarce i wrócimy.

— A jak wyjdzie panna?

— O wa! czyż to długo potrwa?

Pomyślał Jędrzej, ale palec kolegi wyciągnięty ku szynkowi, ale wiecha kłaniająca się, ale kminkówka, deszcz i zimno, tak go nęciły, że zeskoczył z kozła, przywiązał lejce do rysora karecianego

http://rcin.org.pl

i poszedł z kolegą do pani Janowej, przypomniawszy sobie w tej chwili, że to jego kuma.

Drugi nieznajomy wcisnął się pod wystawę kamienicy, by go nie postrzegli, a gdy już towarzysze znikli na rogu, obejrzał się raz jeszcze i szybkim krokiem przebiegł przez ulicę ku oświetlonemu domowi, i...

Lecz my tymczasem wbiegnijmy choć na chwilę do domu oświetlonego, i przeszedłszy przez schody jaśniejące dogorywającemi lampami, wejdźmy do salonów górnych. Nie będziemy ich opisywać, wszak wszystkie mniej więcej podobne do siebie, wszak mamy już tych opisów bez liku. Było w nich pięknie, jasno i bogato. W salonie środkowym było jeszcze kilka osób ugrupowanych w koło kanapy, na której widzimy usadowioną późniejszą kilkochwilową znajomość naszą, hrabinę Balińską gospodynią tego salonu, z tą samą arystokratyczną obojętnością twarzy i postawy, która zdaje się nie rozumieć żadnych ludzkich uczuć, nieśmiejących z padołu dostać się do jej wysokości. Był to jeden z codziennych prawie jej wieczorów nieproszonych, ale na które zbiegali się przecie wszyscy obywatele i obywatelki wielkiego świata.

Bo salon pani Balińskiej był wzorowy, jej towarzystwo dobrane a bywać w jej salonach było odznaczeniem niepospolitem; wiadomą bowiem było rzeczą, że ona żadnych nie przyjmywała intruzów. Jej stanowisko towarzyskie, związki u dworu, majątek wielki i wychowanie, robiły ją damą pierwszego rzędu, śmietanką śmietanki towarzyskiej. Niemało też dodawało uroku jej salonom, że namiętnie lubiąca odmiany wszystkie pani Balińska wiecznie podróżowała; każdy więc chciał korzystać z krótkotrwałego otwarcia jej domu, by przecie coś posłyszeć o wyższościach zagranicznych salonów, które wszystkie znała pani Balińska, korespondowała z niemi, i posiadała zbiór nieskończony anegdot i wiadomości o dworach zagranicznych, o ministrach, i najtajniejszych zdarzeniach bądź gabinetowych, bądź buduarowych. Jej wszystkie powiedzenia najobojętniejsze miały przeto piętno niemylności. Wszyscy też słuchali jej wyroczni, tem przyjemniejszej, iż w rzeczy samej hrabina Balińska posiadała w wysokim stopniu dar rozmawiania o wszystkiem i o niczem.

A do tego nęciła jeszcze w dom piękna Konstancja, córka hrabiny Balińskiej, którą widziemy po prawej stronie kanapy siedzącą w obszernym fotelu, który ledwie pomieścić może mnóstwo florów i zasłon, z których biała jej twarz wygląda jeszcze więcej marmurowo. Hrabina Konstancja jest w żałobie po świeżo zmarłym mężu; pięknej kobiecie do twarzy jest suknia czarna, i ten cień mglisty smutku, który czy prawdziwy czy udany, zdybiesz zawsze na licu i czole wdowy. I dla tego wieczory hrabiny Balińskiej uczęszczane po części, aby biedną pocieszać wdowę, były tylko wieczorami konwersacyjnemi, des reunions, jak je nazywano; taniec był z nich zupełnie wypędzony, co niemało rospaczy sprawiało pannom i kawalerom salonowym, którzy po większej części nogami tylko błyszczyć mogli. Grano tylko przy zielonych stolikach poważnego wiska, grano na fortepianie z to-

http://rcin.org.pl

warzyszeniem amatorskich głosików, grano przy okrągłym stole bawialnego pokoju, o posag, o uścisk tajemny, o wieczorną schadzkę.

Już się wszyscy goście rozjechali; widzimy tylko mężczyznę z ułożeniem śmiałem, twarzą męzką, czarnem okiem i czarniejszym jeszcze wąsikiem do góry wymuskanym. Jest to hrabia Ksawery, porucznik od huzarów, dawny przyjaciel domu hrabiny Konstancji, która porzuciwszy własne wdowie mieszkanie, wraz z sobą do matki przywiozła przyjaciela, by ją pocieszał, by jej zapewne o 65. letnim rozpowiadał nieboszczyku.

Po drugiej stronie okrągłego stołu siedziała ustrojona, ukwiecona i śliczna nasza Cyrylka, z smutkiem na czole i w oku, który romantycznym swym odblaskiem dziwnie ją upiększał. Mimo bolu własnego, który jej dopieka, bywa codzień u babuni i u kuzynki kochanej, która bez niej żyć nie może. Lecz daremnie nowe otaczają ją hołdy; zimna i nieszczęśliwa, o tyle tylko zdaje się mieć udział jakiś w tych hołdach, że się stroi codzień inaczej, codzień piękniej: bo czyliż kochając choćby najszczerzej trzeba już ubior zaniedbywać. Konstancja nazywa ją romantycznem dzieckiem, nieraz sobie pożartuje z niej, ale przeto do późna zatrzymuje ją w salonie matki. Biedna Cyrylka kocha dotąd szczerze, z pierwszym zapałem; schadzki ogrodowe dawno już ustały, czasem Edward przemknie po pod jej okna, parą ognistemi spojrzeniami wynagrodzi jej długie oczekiwania godziny. Lecz jakże okropnie samotne wydają się jej te dni, po dniach owych rozkosznych pogadanek i uścisków miłośnych. I już dni kilka nie widziała Edwarda. Pani Balińska ledwie uważa na smutek wnuczki, żywa czy umarła jest dla niej tylko członkiem rodziny i nic więcej. Zegar pyszny bronzowy uderzył północ.

Hrabina Balińska położyła dziennik francuzki, który przewracała przed chwilą.

— To moja godzina! — rzekła, i lekkiem skinieniem głowy pożegnała gości swoich. — Nie siedźcie jednakże tak długo jak wczoraj; bezsenność zostawia ślady na twej twarzy ma bonne Constance; vos yeus sont si battus — dodała i odeszła.

Zostali we troje; i dla tej to godziny popółnocnej, Konstancya zatrzymuje kochaną kuzynkę, która dla przyzwoitości musiała być świadkiem wszystkich pociech jakie hrabia Ksawery dobywał dla Konstancji ze skarbu swych pamiątek wyczytanych i zasłyszanych.

— Vous êtes un ange! — dodał huzar, któryby chętnie podzielał skarb swych pociech między obie kuzynki; to też ile mu się razy udało rzucał spojrzenia ogniste ku Cyrylce, któreby ją dawniej były poruszyły niepomału. Lecz tym razem przyjmywała je obojętnie, a nawet przy herbacie uścisk ręki przypadkowy, jeżeli oddała mimowolnym uściskiem, to tylko przez zapomnienie albo raczej może przez wspomnienie. Powtarzam bowiem państwu, i daję na to słowo moje powieściopisarskie, że dotąd Cyrylka kochała Edwarda szalenie. Czyby to w takim stanie rzeczy długo potrwało, nie śmiem zaręczyć.

Cyrylka, zatem była na teraz poufnicą romansu kuzynki. Po wyjściu hrabiny Balińskiej brała romans do ręki dostarczanej jej zawsze przez przezorną kuzynkę, która wnet poznała jej namiętność

http://rcin.org.pl

romansową; wdowa zaś i porucznik wynosili się do drugiego pokoju. Cyrylka więc czytała i marzyła o Edwardzie; a czasem mimowolną zazdrością wiedziona ukradkowe rzucała spojrzenia ku drugiemu pokojowi, a to, co może tam kiedy postrzegła, było dokończeniem jej miejskiego wychowania, wielkie rokującego nadzieje pod wpływem nauk pani Bzurskiej, miłostek z Edwardem, romansów bez liku i porządku czytanych i salonowych pogadanek z babką.

Już się też i późno zrobiło; wszystko na świecie się kończy; skończyła się i pogadanka czuła i ognista, ale zawsze przedwstępna tylko wdowy i pocieszyciela.

— A demain ma cousine!... powóz czeka na ciebie. Vous reconduisez ma cousine!

Jużto tego odprowadzania nie lubiła Konstancya, która czasem dostrzegała niektóre ruchy młodego huzara nie koniecznie w jego roli... ale cóż robić; spuszczała się na krótką drogę i smutek romantyczny Cyrylki, który ją najwięcej zabezpieczał. I sprawiedliwie się bała. Bo przez schody szerokie i wygodne nie było zupełnie potrzeba takiej uwagi, z jaką huzar prowadzi dziewczynę ręka pod rękę, a tak blisko, tak szczelnie, jakby po nad przepaść szli, aż się Cyrylka zarumieniła wstydliwie. A na dole, gdzie już światła pogaszone, jeszcze gorzej było.

— Vous êtes un ange! — powtarzał z zapałem.

— Mais laissez donc monsieur...

— Ale ja tylko dziękuję... Mademoiselle, c'est un baiser d'ami, un baiser de frère. Wszak ja twój brat śliczna siostrzyczko!

Cóż było robić? czasem uciekła przez drzwi, ale czasem udało się huzarowi ukraść przelotny uścisk. Drzwi tymczasem już wpół otwarte; ciemno w sieni, ciemno na ulicy; Cyrylka wskoczyła do zajeżdżającego powozu... A huzar znikł jak kamfora. Gdzie się podział, ani pojąć! to są istne czary, bo na ulicę nikt nie wyszedł.

Turkot powozu zagłuszył wykrzyknienie Cyrylki nie usłyszane przez Jędrzeja, któremu trzy miarki pani Janowej przytępiły słuch.

— To ty Edwardzie?

— Ja duszo! życie moje; widzisz, że znalazłem sposób, i codzień aniele, codzień kochanko będę cię odprowadzał.

— Czy kochasz mnie Edwardzie?

— Czy cię kocham aniele luby!...

I milczenie nastało; słów im brakło; wszak po długiem niewidzeniu się musieli się kochankowie uścisnąć...

— Ależ to tak krótko trwać będzie; jeszcze dwie ulice i już będę w domu.

— Dłużej trochę jak myślisz moja Cyrylko; bo Jędrzej wasz przy kieliszku dał słowo memu Grzegorzowi, że go pierwej odwiezie na zielone, gdzie niby jego mieszkanie... Coż ty robiła bezemnie?...

— Ja?...

— Ty się bawiłaś?...

— Muszę udawać, ale kocham cię Edwardzie, a ty niedobry, czyż mogłeś tak długo żyć bezemnie?

— Nie pytaj mnie Cyrylko; ja jestem nieszczęśliwy; ja się

http://rcin.org.pl

nie mogłem pocieszyć... i nie miałem takiego domu, takiego salonu... O ty Cyrylko zapomniałabyś mnie prędko, nieprawdaż?... tybyś się wnet pocieszyła po stracie mojej...

— Nigdy! nigdy! — i rzewnie płakać zaczęła.

— Nie płacz luby aniele! — I wycałował łzy z oczów, wycałował uśmiech wesoły na usta.

A podchmielony Jędrzej tymczasem pojechał na Zielone gdzieś aż pod rogatkę i zrzuciwszy Grzegorza, który cicho sobie siedział na tyle powozu, z ulicy w ulicę wracał aż na Jezuicką ulicę do pomieszkania pani Bzurskiej.

— Do widzenia! — szepnęli sobie kochankowie twarz koło twarzy. I jakże tu nie ucałować się na pożegnanie.

Nim Jędrzej zadzwonił, nim drzwi otworzono, już Edward był daleko, a Cyrylka zarumieniona i szczęśliwa rzuciła pieniądz Jędrzejowi wedle rady kochanka, i słodkim dodała głosem:

— Dziękuję ci Jędrzeju, żeś mnie trochę przewiózł; ja tak lubię spacer.

— O to ja panieneckę wozić będę codzień po całem mieście — odpowiedział mazur przypatrując się talarkowi.

Tym sposobem widywali się codzień kochankowie. Cyrylka jakby odrodzona nową zajaśniała pięknością szczęścia, śmiała się, pustowała, niecierpliwiła wtenczas tylko, gdy się pocieszania huzara za długo w noc przeciągały, lecz tajemnicy swojej nie wyjawiała przed nikim, nawet Eugenji nie zwierzyła się, która zresztą nadto z własnym romansem miała do czynienia, aby jeszcze myśleć o zmienionym humorze przyjaciółki.

A Jędrzej wierny kminkówce pani Janowej, przyjaźni Grzegorza, danemu przyrzeczeniu i codziennym datkiem, do białego czasem dnia woził panieneczkę, śmiejąc się w duszy z tego panów wielkich wałęsania się po nocy.

I codzień była dłuższa ognista pogadanka, Cyrylka prosiła, by się Edward poznał z babką, prosiła, żeby już raz odkrył miłość swoją; prosiła nawet, żeby ją już raz wykradł.

Edward zwlekał, przysięgał i codzień stawał się smutniejszy, Edward przysięgając miłość wieczną, myślał ją porzucić; w długich z nią rozmowach, więcej jeszcze przekonywał się, że nie dla niego ten związek przedwczesny. Małżeństwo zamknęłoby jego wraz z planami obszernemi na wieki w ciasne obręby domu. Nie! on nie mógł się żenić. A przecież ten zepsuty człowiek nie znieważył myślą nawet rozkochanej dziewczyny. Bo jeszcze ostatni zarodek cnoty tlił w sercu jego. A może bał się stosunków światowych Cyrylki; bał się, by nie był przymuszony nagradzać potem ręką swoją. Bóg wie co zresztą myślał, bo serce człowiecze jest nieodgadnione. Cyrylka codzień więcej rozmarzona; łzy i gorączkę krwi tuliła do dziewiczego łoża, aż nareszcie zaczęła powątpiewać o miłości Edwarda; bo jużci w romansach inaczej to się dzieje.

I jednej nocy wskoczyła do powozu... i rękę wyciągnęła ku codziennemu uściskowi... próżno w powozie. Jędrzej smutny siedział na

koźle, bo tym razem nie było Grzegorza, nie było też i kminkówki. Zawrócił konie na zwyczajny spacer.

— Jedź do domu! — krzyknęła Cyrylka dusząc łzy w sobie.

Wysiadła i wbiegła do kamienicy. Jędrzej z wyciągniętą ręką zgłupiały stał u drzwi.

— Tfu! — splunął. — Otoz to pańskie fantazje — mruknął.

I drugiej, i trzeciej, i dziesiątej nocy nie było nikogo w powozie. Cicho na ulicy białej od śniegu zimowego, który sypał bez końca. Cyrylka płakała, schła i bladła; Edwarda nie było. Nie wiedziała nic o nim, nawet pytać się o niego nie mogła, bo nie wiedziała jego nazwiska.

Tak się skończył ten romans urwany, nie skończony. Cyrylka traciła pomału początkowy swój smutek; bo jużci trzeba było się stroić, trzeba bawić się w salonie, trzeba było dawać się odprowadzać huzarowi. I kto wie, coby się było stało, gdyby na wiosnę nie była wyjechała hrabina Balińska za granicę, a Konstancja nie wyruszyła zabrawszy z sobą pocieszyciela na wieś. Cyrylka została u pani Bzurskiej, szukając pociechy w romansach i rozmowie z towarzyszkami.

Przyszedł wreszcie ostatni dzień jej pobytu na pensji, znudzona, zrażona tym pierwszym romansem chciała sama wrócić do ciotki. Po raz ostatni pobiegła do ogrodu Jezuickiego. Z uczuciem nieopisanem przebiegła te same miejsca, ulice i ławki, którędy tylekroć przelatywała z Edwardem na skrzydłach miłośnych urojeń. I wszędzie pusto. Okropny, brudny, stary wydał się jej ogród, chociaż w najświeższe strojny barwy!

Ciężkie jest to uczucie jakie przejmuje nas na widok miejsc, w których się przeżyło owe chwile wielkie w życiu, chwile namiętne. Jest to odczarowanie, które przygniata nas całym ciężarem rzeczywistości. Tu się tyle rozsypało marzeń, tyle uczuć, tyle słów, które roztaczając zaczarowaną swą władzę, stwarzały cudowny w koło ni to ogród, ni to świątynię. I umilkły cudowne głosy, ponikły urocze barwy. Bo niema czarownicy lub czarodzieja, który samą bytnością swoją cuda te stwarzał. Zgubiony na zawsze talizman, który władał państwem bezgranicznej wyobraźni. I biegała wszędzie Cyrylka. Może tu go znajdzie, gdzie raz pierwszy przysięgał; może tam, gdzie rękę uścisnął, gdzie usta ucałował... Wszędzie pusto. I z tylu przysiąg, tylu przyrzeczeń, tylu nadziei nicże nie zostało?... Smutne myśli tłoczyły się do głowy romantycznej dziewczyny.

Ona ni sercem ni doświadczeniem z romansów nachwytanem pojąć nie mogła tego raptownego, niczem nie przygotowanego opuszczenia. Gdyby ją uwiódł i zdradził potem, prędzejby zrozumiała, bo się to trafia w romansach. Gdyby inną pokochał, zdybałaby go przecie, by mu zdradę wyrzucić i przekląć. Ale tak zniknąć bez przyczyny i bez wieści!... Więc umarł!... ach gdyby umarł, możnaby przynajmniej płakać, rozpaczać, czarną wpiąć wstążkę, chodzić na grób, sadzić nieśmiertelniki i niezapominajki.

Szuka w sercu, szuka w myśli i tego urwanego romansu pojąć nie może. A że umysł romantyczny nie może prostej i zwyczajnej

objąć myśli, więc biega Cyrylka po polach niepodobieństw najdziwaczniejszych. W tem zakończeniu przesuwa jakąś szczególną nadzwyczajność, i to ją jedno pocieszyć zdoła. Pożegnała ogród wzrokiem wdowiej żałoby, miała się za istotę palcem przeznaczenia naznaczoną.

W salonie pani Bzurskiej wszystko po dawnemu. Mistrzyni i uczennice siedzą przy kawie; brakuje tylko Eugenji i Alfonsa. Ukończyli już swój romans sposobem zwykłym wykradzenia i ucieczki. Pani Bzurska, która wszystko sama przygotowała, rozpacza najtragiczniej i najgłośniej.

— Cette ingrate! — mówi Zaira - zakrwawiła mi serce. Mes enfants! widzieliście moje przywiązanie do niej, moją ufność. Zdradziła mnie, zdradziła was!...

— Ależ to pan Alfons — ozwała się Laura, oglądając się na szatyna — to on temu winien; biedna nadto go kochała; uwiódł ją miłością swoją.

— Pauvre Alfonse! mój drogi neveu! je ne le verrai plus.

— Pobierą się zapewne i wrócą — zagadł szatyn ściskając pod stołem rękę Laury. — Pani przebaczy synowcowi, a ojciec przebaczy córce.

— Ja aż nadto skłonna do przebaczenia — odpowiedziała Zaira fałdując coraz więcej czoło swoje — mais ce père inhumain, ce tyran, ce tigre kazał jej powiedzieć, że nie chce znać córki, że ją wydziedzicza.

— Pauvre Eugénie! — ozwała się Ernestyna, której student niezdawszy ostatniego egzaminu nie wrócił z wakacji do miasta.

— Szczęśliwa Eugenja! — szepnęła Cyrylka.

— Ale ty Lauro nie masz ojca, nie masz rodziców — szeptał szatyn. — Jedno słowo, a będziemy szczęśliwi.

Zarumieniła się Laura...

— Jedno słowo powiedz!...

— Nous verrons...

— Et vous Cyrylle, vous avez perdu także une amie.

— Hélas, j'ai beaucoup perdu...

— Et vous nous quittez!...

— Il le faut... już powóz czeka.

— Chodź tu ma petite! que je vous embrasse. Ne m'oubliez pas, osobliwie n'oubliez pas les leçons que je vous ai données, a będziesz szczęśliwa... Mariez vous le plustôt possible, et établissez vous w stolicy; la vie de campagne n'est pas dla osoby de votre condition et de votre fortune... a we mnie mieć zawsze będziesz przyjaciółkę... mes conseils, mon expérience, mon savoir vivre, będą na twe rozkazy, w tej ciężkiej drodze małżeństwa.

I jakże tu nie kochać tej poczciwej Zairy, która dla uczennic swoich miała tyle pobłażania, tyle przyjaźni; a nawet w dalszem życiu przyrzekła pomagać na ciężkiej drodze małżeństwa.

Elle est à la hauteur de son siècle, cette bonne Zaire! — myślały uczennice, w całej szczerości duszy swojej, oddanej oczywiście po szczeremu, bo po francuzku.

http://rcin.org.pl

Takie było pożegnanie na pensji; scena była rozczulająca; wszyscy płakali.

I dla tego to Cyrylka przyjechała do Soliniec z tem usposobieniem romantycznem, z jakiem ją już widzieliśmy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Znowu na wsi.

Już tedy na zawsae żegnam cię brudne i błotne miasto pełne szychu i fałszu, pełne życia zwierzęcego i śmierci ludzkiej, pełne kamieni zimnych i zimniejszych ludzi; śliczne i nęcące z daleka, a zdradliwe i nudne w istocie, jak każde półstołeczne miasto niedotrzymujące żadnego z swych cudownych obietnic. Wzniosłeś się już nad miasteczko, ale nie wzrosłeś jeszcze w wielkie miasto, w którego przynajmniej burzliwie życie, jak się zanurzysz, znikniesz na czas jakiś z widowni świata, na której plotki, obmowy i pogadanki występują bez ustanku, odgrywając bez ustanku wieczną farsę życia ludzkiego. Ale ty malutka stolico małego kraju zachowałaś wszystkie narowy małomieszczańskie.

Ledwieś się pojawił na ulicy, choćbyś Farysem gonił, już cię poznano, już na wszystkich ulicach obwołano twoje przybycie. I stałeś się własnością wszystkich języków, przed któremi jak przed mitologicznemi harpiami nigdzie nie unikniesz; splugawią ci one każde użycie. Twoje najskrytsze drogi są śledzone przez stu natrętnych szpiegów, których co ulica ściskać jeszcze musisz jak przyjaciół. I przechodzący przechodzącemu, dom domowi, ulica ulicy podaje wieść o tobie rosnącą w drodze jak w Alpach zaspa śniegowa, z skromnej pchły w olbrzymiego słonia. Jest w Chinach czy w Japonji zwyczaj, że jak cesarz kichnie, krzyczą dworacy na zdrowie, ulica powtórzy, miasto całe zawtoruje i od jednego do drugiego, od wioski do wioski, od pałacu do chaty, póty nie ustają okrzyki, póki cały kraj nie wykrzyknie synowi słońca na zdrowie. Owoż takiego rodzaju pobudzaczem stajesz się małomiejskiej stolicy.

Żadne twoje powiedzenie, żaden ruch nie znika wraz z chwilą, która je urodziła; coraz dalszemi, coraz szerszemi i głębszemi rozchodzi się kręgami, aż z niemałem dowiesz się zadziwieniem na ulicy szerokiej, że twoje kichnienie rynkowe najniewinniejsze, okrzyczano jakąś szczególną nieprzyzwoitością. I nie uciekniesz do domu, bo domy małomiejskie są ze szkła, i to, powiększającego, na ulicy czy w kawiarni, w teatrze czy w salonie zawsze znajdziesz ktosia, który będzie coś i jakoś miał do powiedzenia o tobie.

A więc żegnam cię stolico mała, już się w tej powieści nie zdybiemy więcej z sobą. A przecież, gdy znudzony, obdarty, odczarowany, goły, wyjedziesz na górę z tej kotliny wiecznym baldakinem dymu pokrytej, spojrzysz przypadkowym wzrokiem po za siebie,

http://rcin.org.pl

i ujrzysz z jednej strony nieme mury miasta, z drugiej, piaskiem i krzyżami błyszczące miasto umarłych, westchniesz mimowolnie; żal ci się zrobi twych złudzeń, których i w jednem i drugiem mieście zostawiasz za sobą tak wiele.

Ileż to razy, i młodszy, i starszy, różnem okiem żądzy i przesycenia patrzałem z góry na ten krajobraz zmieniający się tylko od czasu do czasu paru kamienicami więcej, paru krzyżami więcej. I żal mi było tych godzin darmo strawionych, które wszystkie lekkiem uleciały skrzydłem, i zdają się na mnie niememi pomnikami spoglądać z miasta umarłych. I w myśli rozmarzonej ważą się oba miasta — i tu są przyjaciele, i tam są przyjaciele. Umarli dotrwali mi w uczuciach przyrzeczonych, bo umarli już. Czy żywi dotrwają na labiryntowych drogach przyszłości? I uśmiechnąłem się do miasta umarłych, skrzywiłem się do miasta żywych.

A więc dalej na wieś; na łono wiecznie pięknej, wieczne zmiennej, wiecznie nowej przyrody. Tam jest Arkadja, tam powietrze lżejsze, tam ziemia piękniejsza, niebo wyziewami miasta nie zbrudzone pogodniejsze, tam i ludzie lepsi. Lepszemi być powinniby, bo bliżsi przyrody, powinni być bliższymi prawdy.

I cóż piękniejszego, jak ta droga, która przez doliny, gaje, huczące strumienie psuje się coraz więcej. Na lewo krajobraz daleki, płaszczyzny bez końca z swemi wioskami, lasami, niwami i strumykami; na prawo coraz wyżej w niebo pomknęły pagórki, po których oko twoje jak po schodach dościga szczytu gór wyższych śniegową białością swych wierzchołków niknących w mglistym nieba błękicie. I zieloność płaszczyzny stopniuje coraz ciemniejszemi barwami; jasnozielone brzozy ustępują ciemniejszej jodle, najciemniejszej sosnie. Zimniejsze obwiało cię powietrze! to powietrze Karpatów rozdyma ci piersi do swobody góralskiej na wysokiej połoninie, na podstawie z granitu przepaściami bronionej, na posłaniu z najmiększej trawy woniejącej, pod nakryciem nieba, które mgły swoje daleko pod twoje rozściela stopy, by cię odgraniczyć od padołu płaczu i ucisku.

Jakżeż nie wierzyć w szczęście, w spokój, w życie inne na wsi, w ludzi lepszych na wsi! Lecz niestety! gdzie człowiek tylko zamieszkał, zaniósł z sobą raju utratę, co jest rzeczywistością, i raju wspomnienie, co jest marzeniem. Gdzie się człowiek z człowiekiem zbiegł, pozostała miłość i przyjaźń, a wyszła zwada i nienawiść. Zwada i nienawiść to utrata raju, to rzeczywistość!.. miłość i przyjaźń to raju wspomnienie, to marzenie krótko trwałe!...

I zniża się droga nasza, nikną widoki górskie; jeszcze czasem doleci powiew czystszy, na to tylko byś nim westchnął... i coraz niżej, coraz niżej spuszczamy się ku podolowi.

Tam bowiem na pogranicze podola i podgórza wiedzie was czytelnicy moi przeznaczenie przez powieściarza naznaczone. Jest to przeznaczenie jak każde inne. Darmo przed niem uciekasz; wpadnie ci książką nieproszoną do domu i znudzi, zgniewa, rozczuli, gdy tobie śmiech milszy; rozśmieszy, gdy myśli twoje na cmentarzu. Jak przeznaczenie, w którem tyle złożyłeś nadziei, wydrwi ciebie jak

http://rcin.org.pl

studenta; każe ci myśleć, zastanawiać się, ba nawet uczyć się, kiedy tobie chce się żyć życiem próżniaczem.

I myślicie państwo, po wstępie do tegoż rozdziału, że was do jakiego raju wiejskiego zawiozę, choćby do Rajówki już nam znanej? To były drwinki, przekonamy sie wkrótce, proszę tylko za sobą...

Jesteśmy tymczasem, jak już mówiliśmy na drodze między podolem i podgórzem. Nie jest to jeszcze podole, choć już szarawa i urodzajna ziemia przypominać zaczyna podolski czarnoziem, ale też już i nie podgórskie, to połamane w najrozmaitsze spadki położenie. Niema już owych rozkosznych gajów podgórskich, okolica robi się coraz więcej stepową: obszary w około ogromne, po których jakby ciepłem tchnieniem od Wołoszczyzny wiejącem unoszą się ogromne bodiaki, białym mchem jakby puchem sypiące. Czasem się tylko przypomni podgórze na widok tu i owdzie porozsypywanych po polu okrągło przepaścistych wklęsłości. Są to jakby wygorzałe ogniska dawnych wulkanów, a jak w nie zajrzysz, wyszczerzy ci się z nich jakby żebro jakiego kościotrupa olbrzymiego biaława opoka kamiennej podstawy, na której ta cała spoczywa okolica. Nudny to i jednostajny kraj; czasem tylko zmęczone oko spocznie na wyniosłościach tu i owdzie w pewnym porządku rozrzuconych, i myśl znudzona jednostajnością odżywi się pamiątką. To są bowiem mogiły, świadki dawnych zagonów różnej dziczy pogańskiej, których szlaki i bojowiska tędy wypadały najczęściej. I jedzie się, jedzie się bez końca prawie, i jeszcze niema wioski żadnej, a przecież tu gdzieś leży Szurków, wioska, do której kochany czytelniku dążymy teraz. Darmo wytęża się oko, nic nie widać; żadne drzewo, żaden dach wyżej sterczący nie zdradza zbliżenia się do jakiej osady, a przecie Szurków jest tuż przed nami.

Dwie tylko zasterczały ciemniejsze kupy, jakby świeżo wykopane mogiły, a między niemi wznosi się pomału trzecie jakieś podługowate wzniesienie. Pędzimy dalej; zawiał wietrzyk, i woń przykra spalenizny doszła do nas. Smutna to woń, która ci wszystkie arkadyjne o wsi rozczaruje marzenia; woń to gorzałczana, która powiedziećby można przelatuje od końca do końca cały nasz kraj, bo gdzie zdybiesz najmniejszą choćby osadę wieśniaczą, zaraz znajdziesz i gorzelnią, w której troskliwy dziedzic warzy przez osiem do dziewięciu miesięcy tę fizyczną i moralną truciznę naszego ludu biednego, to opium przeklęte, które stoi jakby widmo wieczną nienawiścią i zemstą grożące między lachem a chłopem. To dwie kupy czerniejące się, są to dwie olbrzymie kupy gnoju, a trzecie wywyższenie, to dach gorzelni. I spuszczamy się drogą w dół; Szurków jest przed nami.

Jeden rzut oka obejmie całą wieś obszerną i zrozumie wszystko od razu. Chaty odarte łatanemi bokami sterczące, ledwie pokryte okopconemi dachami słomianemi, chyląće się tu i owdzie ku ziemi jakby zwaliska jakie; skąpe gdzie niegdzie drzewa ostatkami listków dogorywające, zagrody porozrywane, podziurawione, skąpe stożki szydzące zdaje się z urodzajnej ziemi; to są pomieszkania ludzi: a dwa ogromne budynki dobrze upstrzone, dobrze pokryte po obu

http://rcin.org.pl

stronach gorzelni, to są wołownie, to są pomieszkania zwierząt. Między dwie kupy gnoju dymiącego jeszcze, który większą część i tak ciasnej drogi zajmuje, ledwieś przejechał z niebezpieczeństwem wlecenia w wielki rynsztok, którędy śmierdząca parą buchająca płynie braha do wołowni, i przez grudy, kamyki, bajury i dziurawe koleje drogi nigdy nienaprawianej wjechałeś już w środek wioski, i wnet mijasz walącą się cerkiewkę, która do ziemi przypadła szerekiemi bokami i nawet krzyż postradała, jakby się to godło wiary wstydziło sąsiedzkiej karczmy, przed którą w dzień czy w nocy, w święto czy dzień powszedni, zdybiesz zawsze parę bab i chłopów pijanych, smutnym głosem opiewających drogo okupioną wesołość chwilową. A jeżeli zdybiesz przechodzących. nie patrz na ich twarze; okropny z nich wyszczerzy ci się widok nędzy i spodlenia; na twarzach dziecięcych nawet, na których zwykle nie zatarte bywa jeszcze piętno boskiego pochodzenia niewinnym uśmiechem błyszczące, zajrzysz tylko smutne kalectwo niedościgłego zchorzałego owocu. Nie patrz na ubiory, z których nawet nie poznasz typu okolicznego, jak po łachmanach wiezionych do papierni nie poznasz ich początkowego pochodzenia.

Jednym skokiem staúmy już raz u bramy dworu. Niegdyś brama leży na ziemi. Zawracasz konie przykro na prawo, i nim się dostaniesz do domu musisz przebyć pół mostu trzęsącego się, bo druga onego połowa na to tylko wraz z resztką bramy sterczy z rowu, aby ci jeżeliś szczęśliwie nie wpadł w drugą rowu stronę przesuwającą się ciasnym przesmykiem, zahaczyć prawe koło, lub płochliwego nastraszyć konia. Dziedziniec obszerny ale zarosły źle świadczy czy o gościnności pana czy o życzliwości sąsiadów. Dwór składa się z dwóch części; ze starego budynku, który mimo mnogich podpór schyla się do upadku, i coraz więcej ucieka od przyczepionego ganeczku krytego o kilku tańcujących pod nogami schodach, i z nowego przybudowania, które nigdy ukończonem nie było, jak świadczą ściany niepotynkowane, i okna niektóre. do pół dziurawe, do pół cegłami założone.

W ważną przyjechaliśmy chwilę. Gospodarz domu stoi przed gankiem z srogiem i rozgniewanem obliczem jak Jowisz gromiciel z ogromnym cybuchem w ręku. Po prawicy stoi kilku parobków obdartych z stajni czy wołowni przywołanych, z sążnistemi kijami w rękach; po lewicy trzy postacie obdarte, nieszczęśliwe, z oczami w dół spuszczonemi. Dwóch to mężczyzn, jeden stary, drugi młody i kobieta z twarzą, na której nędza walczy jeszcze z rysami tak pięknemi, jakby je dostała w spadku po owych wygnańcach rzymskich, których tradycja osadza zwykle na Pokuciu. Biedaczka ma łzy w oczach, a rękoma tuli swoją koszulę rozdartą, do piersi, których kształty pełne i dziewicze chciałaby ukryć.

— Mój! — krzyknął groźny pan, — czego sotisz jeden i drugi; rozłożyć mi tu tę dziewkę.

I parobki powtórnie pociągnęli biedną dziewczynę, i jeszcze więcej darli koszulę na niej, aż nareszcie upadła przed nimi na ziemię.

http://rcin.org.pl

— Aj panie! aj jegomość! aj dobrodzieju! — zaczęli ojciec i narzeczony.

— Milczcie draby! mauczy chamie! — wrzasnął pan szturknąwszy młodszego chłopa cybuchem w zęby. I na was kolej przyjdzie; najprzód dziewka wezmie rózgami za to, że nie chce iść do dworu, a potem wy hultaje dostaniecie basałygi; ty stary za to, żeś mi sam córki nie przystawił, a ty młody za to, żeś odmawiał.

— Ależ panie! — ozwał się ojciec schylając kornie głowę aż do pańskich kolan; — kiedy już zaręczona od dwóch miesięcy...

— Darujcie jej jegomość! — ozwał się młody schylając kornie głowę do pańskich kolan. — To już mnie dwa razy za nią wybijcie ona biedna co przepastnicę (febrę) przebyła.

— Już ja jej wytrzęsę febrę z ciała.

— Darujcie! darujcie dobrodzieju! — błagali obydwa.

Dziewczyna milczała, łzy jej tylko mieszały się z prochem podwórza.

— Daruję, ale niech zostanie we dworze; coż to czy ja ją zjem? pobędzie ze dwa miesiące, a potem wezmiesz ją sobie drabie... bo jak nie, to ona przecie zostanie we dworze, a ty chamie pójdziesz w rekruty.

Chłopki milczeli; stary kiwał rozpaczliwie głową, jakby już przyzwalał, a młodemu oczy się zaiskrzyły, pięść się kurczowym skupiła ruchem. — Niech Marysia sama mówi! — rzekł nareszcie.

— No Maryno wstań, i zostań we dworze.

Dziewczyna nie wstawała i milczała ciągle, a łzy jak groch wielkie padały na ziemię.

— Czego milczysz łotrzyco?

— Ja nie chcę być we dworze.

— Nie chcesz! — i podniósł gruby cybuch. — Dla czego nie chcesz?

— Oj panie bijcie mnie, zabijcie, ale ja taki do dworu nie pójdę; wiem ja jak wyszła z dworu Orpyna, jak wyszła Paraska, Eudocha...

— Cóż to, czy nie powychodziły za mąż, nie dałżem im po krowie z cielęciem?

— Ja nie chcę dworu, nie chcę krowy: ta że ja wam robię co chcecie, przychodzę do praczkarni, kiedy każecie, przędę dla was w chacie po całych nocach: na cóż wam mnie do dworu, macie panie tyle innych dziewek, które chętnie pójdą do dworu.

— Przyjdziesz i ty, ale pierwej dostaniesz za swoje. ty uparta szelmo!

— Niech się dzieje wola pańska! — przerwał młody — niech zostanie we dworze... nie bijcie ją... ja się już z nią nie ożenię.

Załkała dziewczyna okropnie, aż się jej pierś pełna tłukła o ziemię. — Nie!... nie chcę!... — krzyczała z ostatniem natężeniem; — mnie nie o męża idzie, nie o was Semenie, ale... ale... ja nie chcę, by na mnie pokazywano palcami jak na drugie.

http://rcin.org.pl

— A będziesz ty milczyć bestjo!

— Zabijcie mnie! lepiej śmierć niż wstyd!

Jakkolwiek pan zepsuty psuł wszystko w koło siebie, i Szurków z tego względu nie był koniecznie siedliskiem cnót niewieścich, a przecież nie mniej to jest prawda, że w najzepsutszym świecie są wyjątki... o wierzcie mi moje panie, mimo waszego drwiącego uśmiechu, są Lukrecje i na wsi, nietylko na waszym świecie... to jest na teatrze moje panie.

I pan zaśmiał się rubasznie, i liczył cybuch po cybuchu a biedni chłopki płakali.

Zarzućmy zasłonę na tę scenę okropną. I nie jest to przesada moi państwo; o! nie jest to ubieganie się za czarnemi obrazami, jak się to lubi odzywać maleńki, czupurny, długowłosy i bezzębny krytyk. „Na co te czarne obrazki kiedy są jasne!“ O mój maleńki! każda prawda jest jasna. Nie jest to zaczerniony naumyślnie obraz, ale prawdziwszy niż twoje chińsko jasne ale nieprawdziwe obrazy, jakie z krasomowczym ferworem puszczasz głupiej szlachcie. Z żalem serca to powiadam, ale na me życzenia szczere, zaklinam się, że sam byłem nieraz świadkiem takiej lub podobnej sceny... Pióro i mowa nie są, mój maleńki, kadzielnicą, by nią machać na prawo i na lewo!... I znałem i znam dotąd pana Jędrzeja Dolińskiego, dziedzica Szurkowa; on to bowiem jakbym patrzał na niego, stoi z cybuchem, sam strona, sam sędzia, sam kat i oprawca...

Zaturkotało coś na drodze. Był to maleńki króciótki wózek umalowany przeszłorocznem błotem. Dwóch na nim ludzi siedziało; pan i furman tak blisko siebie, że nieraz nos pański z grzbietem zdybał się furmańskim. Dwa małe tłuściutkie koniki w szlejach parcianych ciągnęły tę powózkę, na której siedział pod ogromnym szerokokrysowym kapeluszem czarnym stary jakiś izraelita z poważnym brzuchem, brodą siwą na dwie strony rozdzieloną i twarzą czerwieniącą się czerstwem zdrowiem, oparty o wór krajczany, który jest zwykłym naszych żydów tłómokiem. Woźnicą był także żydek bez brody jeszcze z pejsikami rozrzuconemi, w długim sieraku buchastym, przez którego środek był pas rzemienny szeroki niegdyś czerwony. Powózka stanęła przy mostku. Żyd nim wylazł, przypatrywał się ciekawie końcowi egzekucji karnej. Jakoż skończyła się przecie.

— No teraz wy łotry won do domu, a ty łajdaczko do piekarni; zaprowadźcie ją!

— Kiedy ona nie chce — krzyknął narzeczony — nikogo przymuszać nie wolno... ja pójdę do cyrkułu...

— Co ty mówisz chamie! dam ja ci cyrkuł! — wrzasnął rozgniewany dziedzic, i uderzył go silnie pięścią w twarz.

— Jaki ty głupi! — ozwał się głos z tyłu — był to głos żyda. Pan z cyrkułem za pan brat; woni zrobią co pan każe; bo pan umie z nimi gadać...

— A to ty Wolfuniu? — ozwał się pan Jędrzej.

http://rcin.org.pl

— A ja jaśnie wielmożny panie! — ozwał się żyd zdejmując kapelusz i wytrząsając z niego czarną dobrze natłuszczoną jarmurkę.

— Witajże, witaj! No idźcie draby do djabła, i mauczy, bo baty.. już ja was nauczę chodzić do cyrkułu: no won! won! a dziewka do piekarni, i pilnować ją, by nie uciekła, bo wasze skóry odpowiedzą...

— A ładna dziewka! — przerwał żyd uśmiechając się.

— Mniejsza o jej ładność; jużbym ja kpił z tego; idzie mi tylko o przykład.

— Aj waj! co im to szkodzi; jakie to głupie te goje... Jasny pan zapłaci dobrze i koniec...

— No widzisz... lecz co tam słychać panie Wolf! chodźmy do pokoju... napijemy się gorzałki...

— Jeżeli łaska wielmożnego pana, i coś mi nawet w brzuchu boli... a pan ma podobno dobrą jansurew (wódkę), prawdziwą szabasówkę.

— Spróbujemy razem, bo spodziewam się, że ty Wolfuniu nie należysz do tej głupiej wstrzemięźliwości...

— Aj waj! to wielkie głupstwo. Iwan musi pić wódkę, a żyd szynkować...

— A dziedzic pędzić gorzelnię... to te hołysze łajdaki, co się kręcą z głupiemi projektami na cudze kieszenie wymyślili to szaleństwo.

— A wasi księża pomagają...

— A wara popom! u mnie milczą... ja się nie mieszam im do mszałów, niechże mi nie włażą do gorzelni.

Jasny pan ma wielki rozum.

I weszli w czułej zgodzie do domu. Nim rozpowiemy ich rozmowę, wypada nam opisać szanownego gospodarza. Pan Jędrzej Doliński, był to sobie szlachcic między 40 a 50 lat liczący, silny, zdrowy, średniego wzrostu, z twarzą pucułowatą, szeroką i zawsze rumianą wiecznem ogorzeniem; nos na niej nie wielki, ale za to zarosły w górze włosami ciągnącemi się od jednej brwi do drugiej. Na głowie miał włosy niegdyś jasne, dziś jaśniejsze jeszcze przebijającą się siwizną, a co najciekawsza, miał łysinę, która na przekor zwyczajowi nie od środka, ale od boku zaczynała się. Żartobliwy jeden jegomość twierdził, że ta łysina krzywa była godłem jego krzywych umiejętności prawniczych, na których wsparty pan Jędrzej, nalizawszy istotnie nieco jurysterji umiał zawsze prawo nagiąć na lewo, ku sobie.

Po wódce i przekąsce z suchego chleba złożonej, zasiedli pan i żyd do spokojnej rozmowy.

— Cóż tu u jegomości słychać?

— Nic dobrego panie Wolf! — odrzekł gospodarz, spuszczając oczy w dół przed przenikliwem spojrzeniem gościa swego.

http://rcin.org.pl

— No jakto nie najlepiej, jasny pan zdrów, i woliki...
— Jeszcze się dopasają...
— No! no!...
— Dopiero są w pół tuszy...
— No! no!...
— Jeszcze nawet szarawarów nie mają.
— No! no!...
— Muszę ich jeszcze na suchej paszy dopasać.
— No! to te co pan teraz kupił, ale ja się pytam o wolików, co jasny pan przed dwoma tygodniami w Ołomuńcu przedawał.
— Fatalnie wyszedłem...
— Aj! waj!...
— Mnóstwo radusza dać musiałem; wołów było bez liku; droga była ciężka i droga; sztrofowali mnie... O fatalnie wyszedłem panie Wolf!...
— Nu! nu! nie tak źle!... Icyk z Żurawna rozpowiadał mi, że jegomości woły dobrze poszły...
— Icyk dureń!...
— Nu, wun jest dureń, ale z przeproszeniem pana, jegomości nie sztrofowali w Ołomuńcu i radasz nie był wielki.
— Co ty wiesz?...
— Nu ja nic nie wiem, ale ja przecie jeździł z panem jako szafarz, to ja wiem, że jegomość tu w palcu ma więcej rozumu, niżeli te wszystkie Niemcy w głowie.
— To kiedyś... teraz już mnie nic nie idzie.
— Przepraszam, ale ja tego nie rozumiem; taki pan mądry i nie umie pieniędzów szanować.
— Djabłać tam nie umiem, ale długi.
— Co to długi, dla takiego pana; jedno stadko wołów przedać i nie będzie już długów.
— Ale lichwa!...
— Aj waj! jak to lichwa! co to lichwa dla takiego pana... To jegomość ma tych pieniądzów za woły... bardzo się cieszę...
— Oj dawno już nie mam; ja na tamte woły pożyczyłem pieniądze...
— Czy ja nie wiem; ja pożyczyłem 1000 ryńskich — odrzekł żywo Wolf zrywając się z krzesła.
— A jeszcze z przeszłorocznego stada jesiennego winien byłem Abramkowi Chodorowskiemu.
— Temu szachrajowi, temu gałganowi...
— Procenta, lichwa, kapitał! i poszły pieniądze...
— Jakto poszły? a mój termin...
— Twój termin panie Wolf jeszcze nie przyszedł.
— Jakto nie przyszedł?.. jutro termin.
— Co jutro to nie dziś!... jakoś to będzie panie Wolf... mam ja trochę wódki.
— Na co mnie wódka... nikt dziś nie pyta o wódkę...
— Trochę kukurydzy...
— Na co mi kukurydzy!... to nie mój towar.
— Jakoś my się ułożymy z kapitałem...

http://rcin.org.pl

— A procent?...

— Procent może się jeszcze znajdzie.

— Już to ja wiem, że jasny pan ma delikatny rozum.

— Chodźno Wolfuniu, popatrzymy tymczasem na woliki moje... przez tę głupią dziewkę nie byłem dziś przy pójle...

— Ja już oglądał woły... piękne!... ale czy jasny pan je już zapłacił?

— Chodź no, chodź Wolfuniu!... dobrze żeś przyjechał; trzosik zapewne pełny! — i przystąpiwszy do żyda uderzył go po brzuchu, na którym w rzeczy samej sterczało coś z pod czarnego kaftana. Żyd cofnął się jak oparzony.

— Daj jegomość spokój... to samych skryptów...

— No, no! już my się porozumiemy... chodźmy tylko.

I wyszli pomału dziedzińcem ku bramie.

— Cóż tam więcej słychać?...

— Ja teraz jadę z Podola.

— Byłeś tam u żony mojej?

— Jasna pani zdrowa i panienka zdrowa...

— Pisałem do niej, żeby mi pożyczyła pieniędzy...

— Nu?...

— No czyż jej nie znasz? ot woli książki, szkółki i inne głupstwa... Odpowiedziała mi, że nie ma.

— To źle... jegomość wie, że ja trzymam arędę u pana Wyżłowskiego, co to kupił majątek koło Soliniec; a ja i w Solińcach arędę trzymam.

— Aha! — odpowiedział pan Jędrzej, i skrzywił się...

— Nu i pan Wyżłowski prosił mnie, by ja wstąpił do jegomości... i pomówił... o tem... no jegomość wie... ten dług... dwa tysiąców dukatów...

— Co tobie Wolfuniu do tego?...

— Aj waj! mnie bardzo do tego, bo ja mam także rachunek z panem Wyżłowskim.

— Taże ty przecie wiesz ten projekt...

— Jaki projekt? — odpowiedział żyd i wypatrzył oczy niby zadziwione.

— Nie udawaj! wiesz przecie, że Wyżłowskiemu podobała się moja córka, jeszcze wtenczas, kiedy mu żona chorowała, a teraz owdowiał...

— Aj waj! to stary rzeczy.

— Jak to stare! dał mi wyraźnie do zrozumienia, jakeśmy się widzieli w Tarnopolu na środopoście, że jeżeli mu córkę dam..

— Stare, stare rzeczy; z przeproszeniem jegomości, słowa pana Wyżłowskiego to wiatr... tfu!... i nic z nich!...

— Żartujesz sobie!...

— Jegomość wie, że ja nie żartuję z panem nigdy; ja jegomości lubię, bo pan z przeproszeniem jak gdyby nasz; jasny pan ma rozum żydowski... ale cóż robić, kiedy panu Wyżłowskiemu już się teraz co innego zachciało; wun teraz jeździ do Soliniec.

— Cóż on tam robi?

http://rcin.org.pl

— Tam teraz jest panna Cyrylla, panna bardzo mądra co to jej i Solińce, i Niżyńce pod Brodami, i Łyżkówka, i Wulki w Czortkowskiem, i w depozycie piękna sumka, i od Czułkowskich należy się jej z jakich dwanaście tysiąców.

— Co z temi, to się będzie widzieć jak z uchem.

— To prawda, to też pani Czułkowska już dawno zwąchała się z panem Wyżłowskim jeszcze za życia jego żony, i zrobiła z nim kontrakt, że jak się ożeni z panną Cyryllą, to ich zakwituje ze wszystkich rachunków, i puści Solińców na dziewięć lat posesji.

— A to łotrostwo!... i on kocha się w tej dziewczynie?...

— Zapewne, że się kocha w Solińcach, Niżyńcach...

— A Amelkę...

— Wun ją nawet nie widzi nigdy.

— Pisałem do żony mojej, żeby wyjeżdżała teraz częściej, żeby się tam z nim widywała.

— Jasna pani ani ruszy się z Rajówki.

— A to głupia i zła baba!... ja jego przymuszę, on musi porzucić tę Cyryllę; on musi wziąść Amelkę, żeby djabła zjadł.

— A jak nie zechce?...

— W tem sęk!... cóż tu robić Wolfuniu?...

— Ja jegomości kocham, bo jegomość nasz... ja jegomości powiem do ucha, że panna Cyrylla nie chce go...

— Nie chce?...

— Nie chce... tam jest ten młody gładki Biczyński, z przeproszeniem dureń to wielki i hołysz ten pan Leon...

— Syn tego ekonoma...

— Wun i za ekonoma niezdatny... stracił wszystko...

— I Cyrylla go kocha, no to dobrze!...

— Źle! bo to dureń, nie umie sobie dać rady, a pani Czułkowska to mądra kobieta, uradziła już z Wyżłowskim... zgadnij jegomość co...

— Siadajże już raz..

— Żeby ją Wyżłowski wykradł.

— Kogo? Czułkowskę?...

— Ale nie! pannę Cyryllę!

— A to źle, bardzo źle... radź Wolfuniu.

— No albo ja wiem co radzić!...

— I zkądże ty to wiesz?...

— Nu jasny pan wie przecie, że Wulf Baczes wszystko wie, wszystko wiedzieć musi. Jegomość wie, że ja zwyczajnie mieszkając na suchej granicy, różnych ludzi znam.

— Nawet kontrabandami trudnisz się czasami.

— A niech mnie Bóg broni; do mnie przychodzą czasem paczkarze, to ja sobie z nimi pogadam.

— A cóż to ma do tego łotra Wyżłowskiego?

— Wun chce panienkę przepaczkować do Rosji, tam się z nią ożeni i zabierze majątek.

— A to djabeł! a mnie dawał słowo honoru, że się ożeni z Amelką.

http://rcin.org.pl

— Kiedy panna Amelja niema Solińców, Nižyniec...
— A to fatalnie; niema ratunku.
— Po śmierci tylko niema ratunku.
— I jakiż? mów prędko.
— I za pomoc moją do tego przyrzekł mi 100 obrączkowych.
— Jacibym dał dwieście, tylko radź!...
— A gdzie one są?...
— Nie bój się! już ja je znajdę...
— Nasze przysłowie żydowskie powiada: Ryba fisz, geld auf tisz.
— Daję ci słowo honoru.
— Honor to nie pieniądze, to jarmarczna moneta; tam to dają sobie panowie słowo honoru, a na końcu przedana kobyła choleryczna.
— Dam ci skrypt!...
— Aj waj! skrypt to także nie pieniądze.
— No to weksel!...
— I weksel nie pieniądze... Wie jegomość, ja jegomości bardzo kocham i chcę pomódz, ale niech jegomość da mi naprzód 10 par wołów.
— A czyś oszalał?...
— Jak jegomość chce.
— Ale powiedzże mi ten sposób.
— Bardzo proszę... jegomość przecie jest tak uczony aż strach, a ja głupi żyd.. owoż ja jegomości powiem, że w nocy wszystkie krowy czarne.
— No i cóż z tego, czy kpisz?...
— A żeby naprzykład podstawić zamiast panny Cyrylli, pannę Amelję... i furt przez granicę!...
— To on poznawszy ją, wróci nazad do Cyrylli.
— Aj waj! co też jegomościowi się stało, że ma taki tępy rozum z przeproszeniem. Panna Cyrylla ucieknie tymczasem z panem Leonem.
— To on ci także proponował wykradzenie?
— Aj gdzie tam; wunby sto lat nie wpadł na tę myśli; ale ja już w temże mu podszepnę: wun przyjdzie do mnie pożyczać pieniądze, a ja mu powiem, co trzeba zrobić, żeby mieć pieniądze.
— Już to przyznać potrzeba, że masz rozum żydowski, ale, a jak porzuci Amelkę?
— Aj waj! to już jegomość da sobie rady; wun wtenczas chętnie odstąpi długu, byle cicho było, a o honor panny córki to pewnie jegomości nie idzie.
Zamyślił się pan Jędrzej i po chwili rzekł: — No dam ci pięć par wołów.
— Nie mogę mniej, tylko dziesięć par.
— Wreszcie dam sześć par.
— Na co jegomość się targuje, to nie pięknie dla takiego pana.
Długo był targ jeszcze, zgodzili się wreszcie na dziewięć par wołów.

http://rcin.org.pl

— Ale trzeba jeszcze, żeby jegomość dał jakiego pewnego człowieka i koni swoich do przewiezienia.

— Zapewne żeby jak złapią, twoje nie przepadły.

— Jasny pan ma wielki rozum... Ja dam pewnego przewodnika... ślepego Arona, to pierwszy paczkarz...

— I na kiedyż to?

— Za tydzień imieniny pana Czułkowskiego; będzie w Solińcach wielkiego bala; to wtenczas ma się stać.

— A jak Amelka nie zechce?

— To już jegomościowa rzecz; w to ja się nie wdaję... jegomość znajdzie sposób otumanić ją.

— Ta głupia będzie robić sceny... ale... zobaczemy. Lecz kogo użyć do tego... żeby nikt nie wiedział... Muszę z Rudolfem pogadać...

— Czy jasny pan żartuje... z tym warjatem...

— Już on na to będzie miał dosyć rozumu; nie jest on taki warjat.

— On nie jest warjat; a przecież jegomość jest jego opiekunem sądowym.

— Ty się na tem nie rozumiesz!...

— Jasny pan ma wielki rozum.. chodźmy do moich dziesięciu par wolików.

— Do dziewięciu panie Wolf...

— No! no!... wolne żarty.

Tym sposobem rozmawiając doszli do wołowni, tej ulubionej, całodziennej i całożyciowej rozrywki pana Jędrzeja. Tam mu było najmilej, tam mu było najswobodniej, tam on był na swojem miejscu. Małomowny, roztrzepany, nie wesoły w towarzystwie ludzkiem, między wołami stawał się rozmowniejszy i weselszy; wszystko go tam zajmywało. Jak się on każdemu wołowi z osobna przypatrywał, macał z uszczęśliwioną i urzędową twarzą każdy tył woli, ręką znawcy śledził ilość tłustości na grzbiecie; niejednego pogłaskał wołu, z tryumfującą miną wskazując Wolfowi, że się ten lub ów wół aż wylenił od przybywającego sadła. I żadnego wołu nie przeminął bez uwagi. Jeżeli się które zapasłe położyło wolisko, krótką paliczką pobudzał go do wstania, by się podniósł do tego lubego przeglądu; a z jakim zapałem pokazywał żydowi, który zdawał się dzielić całą duszą to jego upodobanie, kilkanaście ulubionych wołów, o krótkich rozrosłych rogach świadczących o ich besarabskiem pochodzeniu, i drwił z głupoty sąsiadów przenoszących woły węgierskie o wysokich rogach, które nie łatwo się tuczą. Pieścił się z besarabczykami, bo to były faworyty jego; one to miały stanowić czoło stada i zadecydować cenę jarmarkową. Miał dla nich język odrębny, którego niestety nie umiem naśladować łaskawi czytelnicy. Były to wolarskie wykrzykniki, nawoływania znajome wszystkim hajdajom, alias poganiaczom wołów, zrozumiane zdaje się przez woły, podnoszące swe uszy i kiwające ogonami. Parobki od wołow z czapkami w ręku szli za panem swoim drżąc ze strachu, bo biada im, jeżeli jaki nieporządek pańskie dostrzegło oko. Za każdą kupkę gnoju choć świeżuteńkiego odpowiadać musieli nieszczęśliwą skórą swoją in solidum: w tym względzie nie było pardonu.

http://rcin.org.pl

— Gdzie jest Rudolf? — krzyknął groźnie. — Kazałem temu durniowi, żeby tu przyszedł.

— Stoi na gumnie przy młockach — ozwał się jeden parobek.

Byłby milczał, gdyby przewidział silny policzek, jaki go wynagrodził za nieproszone tłumaczenie Rudolfa.

— A to gałgan do niczego; kazełem by był przy pójle!

— Tylko co wyszedł! — mruknął drugi, i odebrał silniejszą jeszcze nadgrodę z pańskiej szerokiej i żylastej ręki.

— Draby przeklęte! — krzyknął, i zaczął przyglądać się z uwagą żołądkom wolim, po których wydęciu zdało mu się dostrzedz złe pojonie. I sypnęły się rzęsiste policzki rozdawane w koło na los szczęścia.

— Ten Rudolf do niczego! — krzyczał odsapując po ciężkiej pracy — darmo się męczę nad nim; poszlę go do kartofli, on chodzi po polu z założonemi rękami i marzy djabeł wie o czem: poszlę do wołów, on myśli o niebieskich migdałach; przy młockach zamiast ich pilnować, rozmawia z nimi. I nie zna się na niczem; szkoda chleba dla niego, bo tylko jeść umie.

— Dla czego jegomość trzyma go, niech go jegomość odprawi; wszak on sługa jegomościowy. Aj waj! jużby ja dał sobie wnet radę ze sługą.

— Cóż chcesz? trzymam go z litości.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Z litości.

Więc Rudolf trzymany z litości u pana Jędrzeja.

O godzien zapewne litości ten biedny młodzieniec, i wzbudziłby litość w najzimniejszym człowieku, któryby go widział jak od świtu do późnej nocy ugania z pańskiemi rozkazami, którym nigdy dogonić nie może I w nocy nie spocznie, bo drżąc od zimna, padając od zmęczenia, musi iść do gorzelni lub do wołowni, i ledwie powróci, ledwie w sennem marzeniu zacznie używać szczęścia, którego na jawie nie doznał nigdy, i które nigdy w życiu nie ma być jego udziałem, aliżci już dnieje, już potężny głos pana Jędrzeja trąbi tuż nad uszami. I zrywa się drżący od strachu Rudolf, bo mimo całej litości nad nim pana Jędrzeja, innego nie ma dla niego uczucia prócz strachu powiedziećby można zwierzęcego, instynktowego, strachu, którego żadną myślą dzienną, żadnem postanowieniem, żadnym nawet obrazem samym uroczej wolności wyrugować z siebie nie może. On co nocy prawie bije, zabija, morduje, katuje pana Jędrzeja, a w dzień jak pies służy, jak wół pracuje, żyje gorzej od galernego niewolnika. Bo ten ma przynajmniej niedzielę.

Niedziela to najgorszy dzień w tygodniu dla Rudolfa. Od świtu do nocy pisze biedak, przepisuje rejestra, nowe robi, myli się co chwila, bo mu sen oczy zalepia, więc na nowo przepisywać musi bez

http://rcin.org.pl

końca. Pod dyktowaniem pryncypała pisze listy długie rozwlekłe, nudne, opiatyczne, bo pan Jędrzej, co zapomnieliśmy powiedzieć w jego charakterystyce, krótki ma wzrok, i każde pismo pod nos prawie położone ledwie przeczytać może; wiecznie ma coś do pisania, jeżeli nie listy, to jakieś pliki procesowe. A procesów swoich i cudzych ma bez liku pan Jędrzej. Trochę sam się rozumie na prawnictwie, z którego połapał same kruczki, trochę radzi się jednego adwokata, z którym się bardzo kocha, i wodzi się po sądach z sprawami, których główną zaletą jest krzycząca niesprawiedliwość. Okpić jest godłem życia pana Jędrzeja, i to tak dalece, że sam się nawet okpiwa, co bowiem gdzie wykpi lub wydrze, to w trójnasób straci na koszta procesu. I od lat najmłodszych procesował się pan Jędrzej z całym powiatem pro i contra. Procesował się z matką rodzoną i okpił ją; procesował z rodzonemi siostrami i okpił je; procesował się z bratem swojej żony, i okpił go. A procesa opiekuńcze to była bezdenna niewyczerpana przepaść! Głupia szlachta długo wierzyła w jego umiejętności prawnicze i powierzała mu opieki dzieci, synowców, sióstr i braci, a gdy mu nawet nikt nie powierzył, on sam właził między dziedziców, nakłamał, naprzysięgał, naprzyrzekał póki nie wściubił palca swego i wszystkich nie okpił. A w końcu sam przecie zawsze goły, w długach po uszy! Bo jest opatrzność a maleparta idą do czarta.

Takie więc było życie Rudolfa, trzymanego przez litość; praca i trudy bez końca. I ktoby go znał dobrze, znał całe jego usposobienie, jeszcze więcej litowałby się nad nim. On był bowiem zupełnie człowiekiem marzeń. Nieśmiały, nieufając, bo nieszczęśliwy, cały swój świat miał w sobie. Onby chciał tylko marzyć swobodnie składać obrazki rozmaite w swej wyobraźni, by je znowu rozkładać i na nowo składać w coraz innych kształtach. Lecz biedak nie miał czasu na niewinne swe marzenia. Los jego możnaby porównać do losu tego, któremuby co chwilę sen przerywano. Mówią, że w więzieniach nie pomnę jakiego narodu, nastawiają oprawców posłusznych, którzy z oczami wlepionemi w więźnia przerywają mu jego myśli we dnie, i sny w nocy. Tem okiem nielitościwem, palącem nieruchomością swoją, był pan Jędrzej w życiu biednego Rudolfa. I jakżeż tu nie zwaryować!... to też z tego stanowiska był Rudolf zupełnym waryatem. I cóż mu dawał pan Jędrzej za tę niewolę? Płótniankę z łokciami przetartemi w lecie, które dla biedaka ciągnęło się aż do Listopada, a nawet i do grudnia czasem, w którym dostawał sieraczankę wiatrem podszytą, pod którą marzł przez zimę, a czasem w czerwcu pocił się jeszcze, nim nowa letnia płótnianka nastała. To były jego suknie. Jadał szkaradnie i nie wiele, bo i nie było wiele do jedzenia w domu pana Jędrzeja, i biedny zwaryowany marzyciel nie miał apetytu. Apetyt nikł mu wraz z jawnem życiem; w snach ylko biesiadował czasem nieszczęśliwiec po królewsku. Zapłaty nie brał Rudolf żadnej, bo Rudolf nie był sługą pana Jędrzeja, był tylko u niego na litościwym chlebie.

O ta litość należała mu się! Ktoby go w tej widział chwili, kiedy o nim z żydem rozmawiał pan Jędrzej w wołowni, miałby

http://rcin.org.pl

szczerą nad nim litość. On w tej chwili dowodził, że godzien litości, bo oparty o drzwi swojej izdebki, która stała w folwarku upadającym między psiarnią i piekarnią, słuchał z zajęciem skarg Maryny i Semena, i łzy szczerej litości oblały twarz biednego waryata. Lecz cóż mógł im pomódz; żadnego nie miał znaczenia, żadnej władzy, żadnego wpływu w sprężystych rządach pana Jędrzeja; może mu teraz przynajmniej kryształowym swym pryzmatem utworzą sen jaki uroczy na pierwszą spokojną godzinę snu.

I jakimże sposobem przyszedł biedny waryat do takiego służebnictwa? Aby to zrozumieć, musimy się cofnąć trochę.

Pan Franciszek Łoboda ojciec Rudolfa był niby krewnym pana Jędrzeja; było to pokrewieństwo prawdziwie polskie, bo wyprowadzone dosyć ciemno i zagmatwane po kądzieli. Był to zaś szlachcic szczególnego usposobienia, o którym sąsiedzi twierdzili po cichu, że mu jakiejś tam klepki brakuje, chociaż, by prawdę wyznać, miał więcej od nich wszystkich i rozumu i oczytania. Tak rażące przeciwieństwo zdania i prawdy nikogo zadziwiać nie powinno; jest to zwyczajem między ludźmi naśladującymi często owego lisa w bajce, pogardzać i poniżać wszystko to, co jest wyższe i nieuchwytne. Rozmaite zdarzenia przeszłego jego życia nie należące do obrębu naszej powieści, zrobiły pana Franciszka smutnym, w sobie zamkniętym, milczącym przy wielkich zdarzeniach, a często opryskliwym przy drobnych kłopotach, które go urażały niepospolicie. Był więc nieszczęśliwy nad nieszczęśliwymi, bo boleć na cudze otaczające nas głupstwa, jest to chorować na nigdy nieuleczoną chorobę. Z tej jego właściwości wypływało, że łatwiej było trafić do niego rozumem niżeli sercem; patrząc pomiędzy ludzi zdawał się śledzić raczej za głowami niżeli za sercami, i w tej to właściwości możnaby powiedzieć odzywał się brak klepki w głowie. Nieufny bowiem jak każdy człowiek zrażony przeciwnościami losu i głupstwem ludzi, ślepo zawierzał każdym razem, gdy mu się zdawało zdybywać rozum. To była cała tajemnica szczególnego wpływu, jaki wywierał na nim pan Jędrzej.

Oszukany sto razy przez ludzi z zimną i wyrachowaną głową, którzy korzystali zwykle z jego bezgranicznej ufności, uwierzył po raz setny pierwszy panu Jędrzejowi, i ślepo oddał mu zarząd swego majątku i przyszłość jedynaka. Pan Jędrzej należał w rzeczy samej do dosyć zgrabnych kuglarzy rozumowanych. Pan Franciszek utyskiwał na brak logiki u ludzi; ta logika powierzchowna, w każdej rozmowie zachowywana, ta logika tak łatwa, zastosowana zgrabnie przez pana Jędrzeja do każdej choćby najlichszej pogadanki, była tumanem, którym długo pan Jędrzej wojował w świecie, i okpił niejednego rozumniejszego od siebie. Jak mu zaczął prawić o gospodarstwie, o stanie kraju, o handlu, o prawnictwie, pan Franciszek uwierzył w jego rozum, i prosił by się zajął majątkiem, który dzięki lenistwu zobojętniałego na wszystko Łobody w najgorszym był stanie. Jak mu zaczął prawić o cnocie, o powinnościach, o wychowaniu, o kierunku umysłowym u młodzieży, i o sposobie prowadzenia onej, powierzył mu przyszłość syna. Tu będzie miejsce powiedzieć, że

http://rcin.org.pl

uczucie jego dla syna dziwnego było rodzaju. Kochał go namiętnie, i odpychał go czasem jakby nienawidził; było to wynikłością poprzedzających zdarzeń jego życia; w skutek których wątpił często ażali Rudolf jest w istocie synem jego. Wychowanie, jakie mu dał, było najdziwaczniejsze, a zatem najgorsze.

Z przyczyny tej dręczącej go wątpliwości, prowadził go więcej bojaźnią niżeli przywiązaniem; Rudolf też więcej bał się ojca, niżeli go kochał. Surowy dla syna aż do przesady, nie wchodząc ani w jego usposobienie umysłowe, ani w usposobienie uczuciowe, chciał zrobić z niego gwałtem uczonego. Rudolfa dusza była od dzieciństwa utworem chorowitym, potrzebującym pielęgnującej i ostrożnej ręki. Ojciec wpychał w niego, jakby w wór jaki, nauki bez wyboru i bez końca. nie zważając na to, czy takie zbyteczne przeładowanie przy stanie i tak chorowitym nie sprawi niebezpiecznej niestrawności moralnej. Rudolf z swoją chorowitością był raczej na poetę zdatny niżeli na uczonego. Suche nauki skrzywiały coraz więcej naturalne dążenie jego umysłowe. Chcąc z niego zrobć uczonego, zrobił go kaleką moralnym niezdatnym do życia rzeczywistego.

Czując się starym pan Franciszek, i mając jakieś przeczucie bliskiej śmierci, napisał testament, mocą którego oddał bezwarunkową opiekę nad synem panu Jędrzejowi. w którym miał ciągle ufność nieograniczoną. Pan Jędrzej tłukł się jak szara gęś po jego majątku. Dowodził mu logicznie, że handel wołami jest najkorzystniejszy i najlogiczniejszy; nuż więc kupować woły niby na spółkę z panem Łobodą; ale tylko pieniądze i wykarm wołów były pana Łobody, zysk zaś szedł do kieszeni pana Jędrzeja. Przy końcu roku dostawał pan Franciszek rachunek tak matematycznie ułożony, że logika jego, która jest zwykle siostrą przyrodnią matematyki, była zupełnie zadowolona z oczywistą stratą kieszeni.

Był to dzień zimowy w styczniu podobno, kiedy pan Jędrzej z zwykłym rachunkiem przyjechał do pana Łobody mieszkającego w mieście. Pan Łoboda siedział na kanapie: twarz jego blada zdradzała zamyślenie i smutek głęboki. Samotny starzec, syna bowiem pan Jędrzej pod różnemi pozorami logicznemi trzymał daleko od ojca, gdzieś tam na wsi; darmo uciekał do przyjaciela całego życia swego, do Horacyusza, którego w każdej życia przygodzie powtarzał na pamięć — niemą tym razem była dla niego cała praktyczna filozofia poety rzymskiego.

Otworzyły się drzwi; wszedł pan Jędrzej. Po zwykłem przywitaniu, na które ponurem milczeniem odpowiedział starzec, dobył pan Jędrzej swoich rachunków tem matematyczniej tym razem wyrachowanych, że gwałtem potrzebował pieniędzy. Rachunki przejrzał pan Łoboda i milczał; Panu Jędrzejowi było jakoś ciężko na sercu, przewidywał burzę; twarz tylko starca szczególnie zmieniona dawała mu jakąś niewyraźną jeszcze otuchę przeczuciową. Dobył starzec pakę papierów z kieszeni. Zbladł pan Jędrzej, bo jednym rzutem oka poznał jeden między niemi papier, który był mu zaginął, a który jasno dowodził rachunkiem do własnej tylko wiadomości zrobionym,

http://rcin.org.pl

że pozorne wszystkie kilkakrotne jego rachunki, chociaż matematycznie, były fałszywe.

— Ten rachunek jak i wszystkie inne kłamią okropnie; — krzyknął starzec, i w głosie jego niezwykła złowroga ozwała się chrypka.

— Acan dobrodziej żartujesz!

— Kłamią, powiadam, i ty kłamiesz niewdzięczny.

— Ale zmiłuj się acan dobrodziej, pozwól sobie wytłumaczyć — i pociągnął ręką po plik papierów zdradziecki. Starzec pociągnął ku sobie.

— Tu są dowody! — krzyczał coraz chrypliwiej.

Pan Jędrzej ciągnął coraz silniej, chcąc koniecznie zniszczyć ten dowód, któryby go mógł przed całym światem okryć zasłużoną hańbą.

Spojrzeli po sobie; starzec coraz bledszy, pan Jędrzej coraz czerwieńszy.

— Puść! — krzyczał stary.

— Ja chcę tylko pokazać... — odpowiedział pan Jędrzej.

Starzec drżącą ręką wyciągnął ku dzwonkowi stojącemu koło niego.

Pan Jędrzej porwał za dzwonek, i odsunął go dalej.

— Nam nie potrzeba świadków, porachujemy się sami, proszę o te papiery, dla przekonania Acana dobrodzieja.

— Tyś mnie okradł! — krzyczał stary chcąc dosięgnąć dzwonka, i trzymając papiery kurczowym ręki ruchem.

— Zaraz przekonam, — odpowiedział pan Jędrzej, a papiery ciągnął wściekle ku sobie.

— Oddaj mi testament! — Testament bowiem był już w ręku pana Jędrzeja.

Pan Jędrzej spojrzał na twarz starca, która coraz ciemniejsze przybierała barwy, jakby się po niej rozchodziły już cienie zmroku zwiastującego noc bliską.

— Nie oddam! — krzyknął pan Jędrzej, i zaśmiał się po raz pierwszy szczerze i okropnie, bez zwykłej logicznej wstrzemięźliwości.

— Zabić mnie chcesz!

— Chociażby nawet, ale nie dam się na dutka wystrychnąć. Testament jeżeli pożyjesz, o czem wątpię bardzo, możesz zniszczyć, a jeżeli nie, to... — i zaśmiał się powtórnie.

— Biedny Rudolf! — zajęknął stary; usta jego zadrgały konwulsyjnie, a oczy wybiegły na wierzch od nadludzkiego natężenia, z jakiem w tej chwili trzymał papiery, i chciał się biedny starzec utrzymać przy życiu, choćby chwil jeszcze kilka.

— A ten papier muszę mieć; puść niedołężny starcze!

Nastała chwila milczenia, chwila walki okropnej, i zachrapnął starzec jeszcze mocniej.

Pan Jędrzej wyrwał papier, i nieoglądając się, a może i oglądając się wybiegł do przyjaciela adwokata, by się z nim poradzić.

Pan Łoboda umarł tego samego dnia na apopleksję flegmistą.

http://rcin.org.pl

Przyjaciele znaleźli go nieżywego na kanapie; logiczne rachunki leżały przed nim. Pan Jędrzej rozpaczał, płakał i pogrzebał krewnego aż wszyscy podziwiali tyle uczuć w człowieku tak realnym. Bo nikt nie był świadkiem tej sceny ostatniej. I nim jeszcze późniejsze okoliczności rzuciły cień posądzenia na pana Jędrzeja, już Rudolf biedny przykuty do życia nędzy i pracy miał jeden z owych snów swoich, i wiedział wszystko... darmo się śmiejecie zimni niedowiarki, widział czułą tę scenę przesuwającą mu się wyraźnie cień po cieniu, rys po rysie, słowo po słowie. To był sen! śmiejecie się... to było objawienie powiadam, palcem wiecznej sprawiedliwości odwzorowane.

Testamentu na razie nie można było znaleść; rozmaite były domysły niknące w mgle tajemniczej, nieodgadnionej. Aż raptem po pewnym czasie, gdzieś niby przypadkiem, z szafy, w której były złożone papiery nieboszczyka stokroć już przezierane, wypadł papier jakiś, i pokazało się, że to testament własnoręcznie podpisany przez pana Franciszka Łobodę. Testament był dziwny. Były rozmaite zapisy, warunki, substitucye dziedzictwa, a w końcu los biednego Rudolfa i całego majątku, przez wzgląd na nieustalone jeszcze władze umysłowe Rudolfa, oddany bezwarunkowo panu Jędrzejowi, którego pompatyczna pochwała na samem była czele. Rudolf z swojem skaleczałem usposobieniem został na łasce pana Jędrzeja. Nie mając żadnego rozumu praktycznego, nie umiał dać sobie rady; pan Jędrzej tymczasem miał nad nim opieką aż do jego pełnoletności, miał więc lat kilka przed sobą. Używał majątku, układał się z legataryuszami, nabywał długi nieboszczykowskie, a Rudolfa puścił na czas jakiś w świat, otaczając go jednakże szpiegami a osobliwie trudnościami pieniężnemi, w których ten biedak upadał i brnął co chwila. Przeznaczył mu jakąś kwotę na jego utrzymanie, lecz mu ją wypłacał tak powoli, tak nieregularnie, że mu na najgwałtowniejszych brakowało potrzebach. Przed światem zaś Rudolf był utracyuszem, bo nie mógł wyżyć z dochodu, który był tylko dochodem na papierze. Rudolf robił długi u nadstawionych mu naumyślnie lichwiarzy, od których odkupywał je zaraz pan Jędrzej; aż w końcu z rachunku w rachunek przyszło do tego, że go wziął do siebie z łaski niby, wyrachowawszy mu najpiękniej nabytemi pod innem nazwiskiem długami, że on na Bóg wie jak długo wybrał dochody swoje, i że tym sposobem wielkie jest podobieństwo, że nawet nic mieć nie będzie przyszedłszy do lat. Znając usposobienie Rudolfa, stał się dla niego groźnym; postrachem wodził go po woli swojej.

Były z początku sceny okropne; długoby było, nudnie i obrzydliwie nawet, przechodzić je szczegółowo. Działał pan Jędrzej na umysł jego i groźbą i głodem, pogardą i niedostatkiem, obmową i niewolą, a nawet aż przykro powiedzieć, posuwał się do bicia. Były chwile, w których targając więzy w jakie był splątany, Rudolf do excentrycznych myśli skłonny, wpadał w szał, rzucał się, przeklinał, chciał siebie zabić, chciał pana Jędrzeja zamordować. To była woda na młyn pana Jędrzeja, szczegóły wszystkie tych scen zbierał pan Jędrzej najtroskliwiej, prawne ściągał dowody.

http://rcin.org.pl

I przyszła chwila, w której z szatańskim uśmiechem powiedział mu pan Jędrzej!

— Ty warjat!

— Ja nie warjat! — krzyczał biedny dwudziestoletni młodzieniec.

— Jesteś warjat!

— Jeszcze cztery tylko lata...

— Milcz i rób co każę... oto są dowody prawne; zaświadczenia lekarskie... Jedne słowo moje, a pójdziesz na wieczne czasy do Pijarów.

To był ostatni cios dla skołatanego umysłu młodego. Zadrżał, zawył niewyraźne słowo jakieś, może i zwarjował w tej chwili. Zamknął się w sobie, milczał i pracował jak widzieliśmy, gdyby niewolnik galerowy, gdyby wół. Co myślał, Bóg to jeden wie. Czasem tylko gdy w samotnej izdebce chwilę miał spokojną, wylatywały z ust jego słowa bezładne. Labirynt jego myśli wybiegał przez usta labiryntem słów nierozgmatwanym dla słuchającego, gdyby nawet chciał go kto słuchać, labirynt najdowodniej przekonywający o pomieszaniu jego zmysłów. Oczy jego wówczas pałały ogniem niezwykłym; brzydka twarz stawała się okropną. Postanowienie jakieś niezłomne osiadło na ustach i pomarszczonem czole. Lecz wnet mijała chwila złowroga, a sen porywał w swe objęcia zmęczone ciało. Chwila do chwili, myśl do myśli, postanowienie do postanowienie zbierając się pomału, spoglądały z oczów Rudolfa w czasie niejednej rozmowy z opiekunem ogniem tak złowrogim, że się potem okropne potwory i dzikie marzenia śniły panu Jędrzejowi. I któż zgadnąć może, jakie przyszłość przyniesie owoce tej przeszłości i teraźniejszości? Nadaremnie żona błagała pana Jędrzeja za Rudolfem; nieubłagany porzucił ją, wiodąc za sobą niewolnika swego, z którym walczył ciągle, on nieludzkością, tamten milczącem posłuszeństwem; może logiczny pan Jędrzej rozumował dosyć słusznie, że Rudolf musi w końcu zwarjować zupełnie, albo co lepiej jeszcze, umrzeć. A w razie śmierci syna, testament pana Franciszka Łobody przenosił cały majątek na pana Jędrzeja.

Jedno uczucie czulsze, jakie się w młodym niewolniku odzywało, pojawiało się na widok pani Dolińskiej i Amelki. Gdy do niego słodko przemówiły, łzy się dobywały z oczów jego. Lecz uraźliwy do najwyższego stopnia, wpadał w wściekłość wewnętrzną, pojawiającą się tylko zmianą głosu i spojrzenia, gdy jakiejkolwiek pogardy lub obojętności domyślał się osobliwie w postępowaniu Amelki. Biedna dziewczyna mimowolnie jak już mówiliśmy bała się i czuła odrazę od jego brzydkiej twarzy, do jego ułożenia dwuznacznego, i miała go w szczerości duszy swojej za warjata; wszak ojciec nazywał go warjatem, a matka przez powody łatwo zrozumiane milczała przed córką.

Owoż, jak mówiliśmy, stał jeszcze u drzwi swoich litując się nad Maryną, gdy pan Jędrzej pożegnawszy się po przyjacielsku z żydem zbliżył się do oficyny. Bez zwykłego krzyku stanął przed drżącemi.

http://rcin.org.pl

— Czego tu próżnujecie? — spokojnym ozwał się głosem — ba i płaczecie nawet?

Rudolf nic nie odpowiedział, zadziwiony zapewne niezwykłą dobrocią swego opiekuna, spojrzał tylko rozczulonym wzrokiem na stojącą parę kochanków.

— Litujesz się nad nimi; — mówił dalej opiekun.

— Biedni są, kochają się.

Rozśmiał się pan Jędrzej rubasznie.

— No, kiedy ci tak ich żal... więc niech idzie Marysia na wieś nazad, i idź głupia za mąż, kiedy wolisz robić pańszczyznę, niż spokojnie siedzieć we dworze; mam ja dosyć dziewek na wsi.

Radość niezwykła zajaśniała na twarzach wieśniaczych kochanków, bo oni kochali się szczerze, kochali z serca.

Jedną myślą wiedzeni kochankowie w siermięgach i zgrzebnych koszulach upadli do nóg Rudolfowi.

Młodzieniec przestraszony o nich lękliwym rzekł głosem:

— Panu dziękujcie!

— Nie! nie! dobrze robicie! — przerwał szyderczym głosem pan Jędrzej — paniczowi dziękujcie... ja to dla ciebie zrobiłem.

Rudolf omal co nie upadł tyranowi swemu do nóg. Pierwsze to dobrodziejstwo, którego on był twórcą, rozmiękczyło serce jego skorupą zasklepione. Biedny młodzieniec; jemu tylko słów słodkich, obejścia czułego potrzeba, a nie byłby warjatem, a byłby człowiekiem. Przystąpił szybko do opiekuna swego, i rzucił spojrzenie radośne na niego.

— Dobrze! dobrze już! chodź ze mną, a ty Mój! idź sobie precz z tą głupią dziewką.

Gdy się zostali sami, chodząc po dziedzińcu pan Jędrzej myślał czas jakiś z niezwykłem sobie natężeniem.

— Słuchaj no Rudolfie, pojedziemy na Podole.

— Na Podole, do Rajówki? — zawołał ucieszony Rudolf.

A to jakiś dzień szczęścia, pomyślał biedak.

— Będziemy może wracając i w Rajówce, ale teraz pojedziemy wprost do Soliniec na imieniny. Tu rzucił spojrzenie na płótniankę pupila swego. Dam ci nieco z sukni moich, abyś się przecie ubrał porządnie, chociaż może nie wypadnie ci być we dworze Solinieckim.

Rudolf nie mógł przyjść do siebie z radości i zadziwienia; on miał się ubrać porządnie, on który tak się wstydził ubrania swego, takby rad był choć raz w życiu wystąpić w porządnym stroju.

— Wezmiesz prócz najtyczanki mojej, którą pojedziemy, tę lekką bryczkę krytą; do najtyczanki pójdą moje cztery wołoskie konie, a do bryczki trzeba będzie wybrać z fornalskich koni. Ztąd wyjedziemy razem, ale w Solińcach... słuchaj jest to ważny interes, w którym ja się na ciebie spuszczę.

Musimy tu przelotem powiedzieć, że użycie Rudolfa do takiego przedsięwzięcia, nie jest zupełnie niepodobne do prawdy, jakby się to na oko zdawało. Pan Jędrzej dobrze wiedział, że Rudolf nie jest warjatem w używanem tego słowa znaczeniu; znał jego nieustra-

http://rcin.org.pl

szoność, i wierność w wypełnianiu powierzonego mu dzieła; a nawet po prawdzie powiedziawszy nie miał innego wyboru do zrobienia, w takiem bowiem przedsięwzięciu, w którem chciałby, by zostało ukryte jego wmieszanie się, nie mógł użyć sług swoich, którzyby go zdradzić mogli, ani też obcych którym mimo całej obojętności swojej nie chciałby córki powierzać. A co najwięcej, przekonany był, że gdy nawet Wyżłowski przed czasem odkryje przemianę osoby, Rudolf przyjąwszy raz na siebie to przedsięwzięcie, zawiezie go za granicę choćby mimo jego woli. Nareszcie w razie odkrycia nawet łatwiej zrzucić z siebie odpowiedzialność, zwalając wszystko na warjata.

Opowiedział więc mu cały plan uwiezienia córki.

— Jak to, i ja mam ją wywozić?

— Spodziewam się, że kiedy ja żądam, to zrobisz, co ja chcę.

— Ale! — wykrzyknął zacisnąwszy zęby.

— Żadnego ale... to nie może być inaczej; ja niechętnie używam tego środka, lecz cóż robić?... moja żona Bóg wie dla czego sprzeciwia się związkowi temu, który stanowi los córki mojej.... a Amelka kocha Wyżłowskiego.

— Kocha go? — krzyknął Rudolf.

— A jużci! — odpowiedział pan Jędrzej, i z zadziwieniem graniczącem przez chwilę o niespokojność spojrzał w roziskrzone oczy Rudolfa.

— Ty jej dobrze życzysz jak wiem, a zatem...

— Kocha jego... a ja myślał.

— Przysłała do mnie arendarza Wolfa, błagając mnie, bym ją ratował, bo matka chce ją wydać za jakiegoś golca...

— Za tego ładnego... Leona... widziałem go, i myślałem, że...

— Więc trzeba nam się zbierać, jutro pojedziemy... spodziewam się, że nie zawiedziesz ufności mojej.

— Nie! nie! pewnie... będziesz pan kontent ze mnie — spokojniejszym ozwał się głosem.

— Tam na miejscu dostaniesz przewodnika, o którego się żyd postara; a zresztą to nie pierwszy tobie raz przekradać się przez granicę; wszak pamiętasz, jak przebywaliśmy granicę z wołami...

— Tak! tak!

— Na odwadze ci nie zbywa, a ta tem potrzebniejsza, że Wyżłowski nie wielki zuch... mógłby stchórzyć... ale ty na to nie zważaj, tylko koniecznie ich przewieź!... koniecznie! rozumiesz Rudolfie?

— Kiedy go kocha!

— Na każdy przypadek, dam ci broń...

— Broń! — zawołał, i oczy roztworzył...

— Dam ci parę pistoletów nabitych... Zbieraj się więc, przespij dobrze, a jutro w drogę...

Odszedł Rudolf, wbiegł do komórki swojej, i znowu zaiskrzyły się oczy jego. Okropnie wyglądał; na czole osiadła ciemna jakby gradem i piorunem brzemienna chmura jakiegoś postanowienia.

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Imieniny na wsi.

Po dwóch latach wracamy znowu do Soliniec. Dwa lata, czy wśród zabaw miejskich, czy wśród nudów wiejskich, zawsze długie, póki się ciągną przez rozwlekłe dni i godziny, nikną prawie, gdy na nie spojrzymy w perspektywie pamięciowej, bo czas jest tem dla myśli, czem odległość dla oka. A czy myślą, czy okiem rzucisz za siebie, widzisz tylko kilka plam ciemniejszych, smugów jaśniejszych, po których rachujesz czas miniony, mierzysz przestrzeń przebytą, i dalej myślą w przyszłość, okiem przed siebie... To co było, niknie pomału zmierzchem przeszłości osłonięte; to co będzie, widzisz tylko oblane jasnością słońca. Nigdzie tak mocno o tej nie przekonasz się prawdzie, jak między mieszkańcami wsi, dla których przeszłość skąpa w zdarzenia jest tem, czem nagi step dla oka.

Bezczynne pogadanki dwuroczne przebrzmiały jak wiatry stepowe bez pamięci i bez wrażenia. Co kto przez dwa lata nagadał, nabajał, narozumował i nagłupkował, to po dwóch leciech tak przeszło doskonale i bez śladu, jak gdyby wiatr jesienny nakłóciwszy się do woli z burzanami z trawą stepową ucichnie nareszcie. Takie jest rok po roku życie wiejskie. Nie pytaj więc mieszkańca wsi o jego przeszłoroczne zdania, uprzedzenia i przekonania; wionęły bez pamięci z głów wszystkich sąsiadów, równie jak te wszystkie drobniutkie plotki i wynikłe z nich wyprawy językowe, mrówcze kłótnie wojny liliputów, pojedynki szpilkowe. Pokłócili się i pogodzili, by znowu pokłócić i pogodzić! to godło ledwie nie codzienne sąsiedzkiego życia na wsi. Jest to, że się tak wyrażę, ciągłe a piskliwe rypanie drzwiami karłowatej wiejskiego Janusa świątyni; i z podwójną też Janusa twarzą wszyscy sąsiedzi, to uśmiechem z przodu, to marsem z tyłu patrzą na siebie bez ustanku.

Lecz ważniejszego przedmiotu domaga się niecierpliwie pióro moje. Spieszcie się wiec czytelnicy i czytelniczki, by wraz ze mną zaglądnąć do salonu w Solińcach, jak się dziś nazywa pozaprzeszłoroczny pokój bawialny państwa Czułkowskich.

W tym salonie trzepocą się niezgrabnie osoby zaproszone, udając modne towarzystwo, jak ryby siecią z wody wyciągnięte, bo też ta wielkoświatowość, za którą gonią czasem wieśniacy, nie jest ich właściwym żywiołem. Językami i ruchami machają na oślep; kto mocniej, dobitniej i niezwyczajniej, ten lepiej i modniej. Okoliczność jest zaś po temu, bo to są imieniny pana Czułkowskiego, które przywiązana małżonka obchodzi z niezwykłą uroczystością. Jest to niespodzianka, która go nie mało kosztuje trudów i gotówki; a co się nasłuchał w czasie kilkotygodniowych przygotowań, nauk, uwag, utyskiwań i nudzeń; więcej pewnie niżeli dziś powinszowań, jakkolwiek te sypią się rzęsiście ze wszystkich stron, warjowane to ciszej to głośniej na odwieczny temat życzeń zdrowia, szczęścia i t. d.

http://rcin.org.pl

W mieście skracają to biletem, lub kilką słowy na poły wymrukniętemi, na poły połkniętemi, ale na wsi wyczerpują łaskawi sąsiedzi cudownie, a głośno i dobitnie wszystkie loca communia, ku czci solenizanta przeznaczone.

Już pan Czułkowski wyfrakowany i wyhalsztukowany jak przystoi na solenizanta, przebył z należytą powagą całą powódź mnogich lat, dostatków, pociechy z dzieci i psów, koni i owiec i wszystkich konsolacji na przyszłość, i już całe towarzystwo w jedne groño skupione obsiadło jakby rój pszczół kanapę, której wartość i znaczenie rozumieją na wsi tak doskonale, że się nieraz zdarzy zobaczyć na niej taki ścisk zacnych pań, jakby dla kary lub tortury wepchanoje razem. Już się nawet skończyła najdramatyczniejsza część takiego zbiegowiska, już się odbyły oględziny strojów; z motka rozmowy wyciągają raz po razu różne niteczki, ale się jakoś urywały wszystkie, dzięki niezwykłej niecierpliwości i oczekiwaniu, które zdają się przeważać w usposobieniu całego towarzystwa. I cóż dziwnego; wszyscy czekają przybycia pana Wyżłowskiego, który dotąd nigdzie nie bywa, tylko u państwa Czułkowskich; i o którego konkurach ognistych do Cyrylki już się nagadano sowicie przez rok cały z najrozmaitszemi dodatkami, po większej części skandalicznemi.

To co usłyszeliśmy od zacnego Wolfa, jest tylko małą cząstką plotek okolicznych. Już to powszechnie przyjętem było, ubolewać nad Cyrylką przedaną haniebnie przez ciotkę człowiekowi takiemu jak Wyżłowski, który pomału zaczął w sąsiedztwie wyglądać na ludożercę, rodzajowego potwora z bajki dziecinnej, mordującego i zjadającego żony swoje, chociaż jak wiemy dotąd jedna mu tylko umarła żona, i to z przeziębienia podobno. A że w każdej bajce musi być choć połowa prawdy, tak i w tem zdarzeniu wiadomości Wolfa nie były bezzasadne. Pani Czułkowska jako wielka i polityczna głowa, w czasie jeszcze słabości pani Wyżłowskiej, nie powiedziawszy nic o tem w sąsiedztwie, odwiedziła chorą, którą tam gdzieś znała, i nieznacznie zaczęła zbliżać się do samego pana; w skutek czego po wielu pogadankach i układach, zawarła traktat, na przypadek spodziewanej śmierci. A gdy ta nastąpiła, zaczął pan Wyżłowski bywać w Solińcach, i mimo żałoby palił koperczaki do panny Cyrylli, które zapewne byłyby mu się udały, gdyby nie pojawienie się naszego Leona, którego ładna twarzyczka przeważyła w sercu Cyrylki. Nie zważając na to pan Wyżłowski, któremu do smaku przypadł majątek Cyrylki, obowiązał się pani Czułkowskiej zapłacić pewną kwotę, dać kontrakt dziewięcioletni na dzierżawę Soliniec, i zakwitować z długu, skoro zostanie mężem Cyrylki. Lecz jak nim zostać, w tem sęk? Tu dopiero Napoleońska genialność pani Czułkowskiej wymyśliła wykradzenie, i właśnie z rana odebrała krótki bilecik od Wyżłowskiego, który ją uwiadomił, że dzień dzisiejszy przeznaczony z pewnością na to wielkie dzieło.

Jakoż jeżeli dotąd nie przybył pan Wyżłowski, powodem było wstąpienie do Wolfa. Dla zapalenia lulki niby stanął przed kaczmą, i na szczęście nie chcąc poniżyć godności swojej, kazał wywołać opasłego arendarza. Ciekawe bowiem byłoby zdarzenie, gdyby był

wszedł do środka karczmy; zastałby tam Leona z miną rezolutną słuchającego, jak mu Wolf dowodził, że tylko jak najrychlejsze wykradzenie może mu zapewnić posiadanie Cyrylki i majątku.

Długo wahał się biedny Leon, nie czujący się na siłach moralnych, by dokonał takie olbrzymie przedsięwzięcie, ale przynaglony potrzebami, nęcony wdziękami Cyrylli, którą pokochał po swojemu, przystał nareszcie, odkładając rzecz całą na później. Ledwie mu żyd wytłumaczyć zdołał, że odkładanie jest zgubą; przystał więc nasz bohater bezwarunkowo, i energicznie zaczął przechadzać się po karczmie, gdy nadjechał Wyżłowski. Wolf użył całej przebiegłości żydowskiej i biegając z karczmy na podwórze, z podwórza do karczmy, oba układy ukończył szybko i z niemałym zyskiem dla własnej kieszeni.

— A jakimże sposobem sprowadzić pannę na miejsce przeznaczone?

— Jasny hrabia niech się już na mnie spuści, już ja ją zwabię aż do samego powozu... w tem mój głów...

— Tylko bez krzyku...

— Niech jasny hrabia będzie spokojny... i czeka spokojnie w powozie... wona aż tam przyjdzie...

— No! no! — mruknął pan Wyżłowski, który całe życie jako prawdziwy szlachcic polski robiąc interesa przez faktorów, przekonany był, że niema dla nich nic niepodobnego.

Nastąpił krótki dodatkowy targ, z powodu nowych trudności, i pan Wolf Baczes niezły wziął zadatek od pana Wyżłowskiego, który drugą ręką wściubił Leonowi jako zadatek także, mający mu przynieść z czasem piękną i okrągłą sumkę.

A gdy już odjechali jeden i drugi, Wolf Baczes wsadziwszy jarmurkę na głowę, usiadł na słońcu na przyspie karczmy, ręce za czarny pas założył, i głową kiwnął kilka razy, i uśmiechnął z lekka a tak szyderczo i wymownie, jakby drwił z oszukanych, których mu tak łatwo przyszło wywieść w pole. Prócz pieniędzy jest to najmilszem naszych żydów używaniem — jest to ich zemsta za pogardę, spodlenie i pokorne ukłony.

Tymczasem towarzystwo Soliniecki ledwie ze skóry nie wyskoczy, tak mu pilno zobaczyć Wyżłowskiego i Leona razem, i Cyrylkę z nimi, i ich słowa usłyszeć, i ich spojrzenia wyszpiegować, i wytłumaczyć, i doczekać się nareszcie, jak się to wszystko skończy. Biedni sąsiedzi sposzczeni próżnią życia swego! Nie zazdrośćmy im tej nowości, którą długo paść się będą musieli, zanim co nowego dostaną na zawsze głodne języki. Przy tem niecierpliwem ich oczekiwaniu, wydaje się, jakby im czegoś brakowało... ale czego? O mój Boże trudne! trudne to zadanie zgadywać, co temu zacnemu towarzystwu niedostawać może.

— Jakie to ciągłe zmiany w powietrzu; — ozwała się pani Parnicka z wielką powagą. Nie nowe to było pytanie, wszak i pozaprzeszłego roku, jeżeli się nie mylę, podobną bawili się pogadanką.

http://rcin.org.pl

— Wczoraj tak zimno, dziś tak gorąco...
— Aha to prawda...
— Już to zwykle u nas taka jesień...
— Ależ dopiero wrzesień!...
— Ach te słoty jesienne...
— A u mnie hreczka w polu...
I urwało się...
— Jak po grudzie idzie! — rzekł Suliski do Doleskiego.
— Dla czego?
— Dla czego? pan jako nie tutejszy, nie możesz tego zrozumieć, ale poczekaj chwilę, a zobaczysz, jak tę grudę utrą kutemi i niekutemi językami.

Nawet trzej chorzy braciszkowie przechadzali się w milczeniu, a tak poważnie, jakby się losy Europy zaważyły na ich głowach. Mimochodem rzucał Benjaminek melancholiczne w koło siebie spojrzenia szukając Cyrylki, której nie było w salonie.

— Pan Benjamin kocha się w pannie Cyrylli; — zagadł znowu Doleski, którego ten salon nieskończenie bawił.

— Mylisz się pan na uczuciach naszego pacjenta na głowę: jest to romans tabularny.

Co to romans tabularny, nie potrzebuję podobno tłómaczyć miejskim czytelnikom moim, którzy tak wygodną i potrzebną tabulę mają pod nosem. Ten rodzaj romansu znany doskonale pochłonął dziś wszystkie inne. Epuzer z profesji, taki naprzykład jakim jest Benjaminek, zabawia się zwykle w czasie kontraktów przezieraniem tabuli krajowej, i miejsce, jakie w niej zajmuje ta lub owa znajoma mu panna na wydaniu. Jeśli to miejsce dobre, zaczynają się konkury, w których jest to wszystko ściśle zachowane, co za romantyczniejszych czasów stanowiło istotę prawdziwej miłości: westchnienia gorące, spojrzenia płomieniste, wyznania zapalczywe, przysięgi kwieciste; epuzer bowiem z profesji ma pamięć doskonałą, i nie zapomina nigdy, co usłyszał od drugich epuzerów, lub wyczytał w różnych romansach. Następuje potem ze strony panny lub jej rodziców odwet tabularnego przeglądu, i jeżeli przez ten czas nie pojawi się aspirant tantniejszy, kojarzy się na podstawie tabularnej ugruntowane małżeństwo, w których też póty dobrze, póki czysta tabula czyste pozwala trwonić dochody. Czystość tabuli jest przed ślubem termometrem zapału miłośnego, po ślubie zaś barometrem pogody domowej.

Trzaśnięcie z bicza na dziedzińcu przerwało milczenie chwilowe. Gospodyni podskoczyła, jakby sama tym biczem dotknięta, i poważnie usiadła nazad.

Wybiegł solenizant na ganek, wybiegli za nim trzej chorzy braciszkowie, z których najmłodszy Benjaminek, zapomniałem powiedzieć, przemienił bluzę aksamitną pozaprzeszłoroczną na zielony rajtrok z guzikami świecącemi jak gwiazdy, i gwozdzikiem pąsowym tak misternie włożonym do dziurki frakowej, iż wyglądał jakby wstążeczka legii honorowej. Jest to powiedziawszy nawiasem używane często godło legji liczniejszej od legji honorowej — godło legji pół-

http://rcin.org.pl

główków. Nowo przybyłego Wyżłowskiego wysadzili, wynieśli prawie z powozu i wprowadzili z uroczystością do salonu.

Pani Czułkowska obejrzała się z tryumfem po całem zgromadzeniu. Wszyscy obrócili twarze, uśmiechając się ku nowo przybyłemu.

Był to mężczyzna wysoki, chudy, kościsty, bez wyrazu i znaczenia na twarzy prócz hiszpańskiej bródki i bakenbartów czarnych, które były jedyną ozdobą tej twarzy tuzinkowej, jak to powiadają ni brzydkiej ni pięknej; pod wąsami tylko zakręconemi w górę wyszczerzał się uśmiech pewny siebie, drwiący z drugich, i tyle zarozumiały, iżby zdołał trzy twarze piękniejsze od tej zeszpecić tem zewnętrznem piętnem wewnętrznej mało wartości. Powitał gospodynię i całe towarzystwo lekkim i łaskawym ukłonem.

— Nasz sąsiad, pan hrabia Wyżłowski! — rzekła gospodyni.

Tytuł hrabiego był to dar samowolny gospodyni, dar, którego łatwo na wsi dostąpić przy majątku. Heraldyka na wsi siedzi w szkatule, panowie na wsi mniej świadomi tysiącznych odcieni, które rozróżniają wyższości towarzyskie na wielkim świecie, a więcej przeświadczeni o istotnej wartości monetowej, obrabiają drugich nie dla nich, ale dla własnej prozopopei.

I zaczęła się rozmowa podwójna: głośna z gościem, a szeptana między sobą. Wszyscy chcieli się podobać panu hrabiemu, którego, jeżeli przypominacie sobie łaskawi czytelnicy moi, przed dwoma latami obrabiali nielitościwie złośliwemi językami swemi. A więc każdy z każdą dobywają z najskrytszych zakamarków głów swoich co tylko znaleźć mogą dowcipu, odczytania pochlebstw, anegdotek i wiadomości rozlicznych. Cały rozum sąsiedzki na targu.

— Jak się panu podoba okolica nasza? — zapytała gospodyni, która prym wodziła na tej targowicy, nie tyle wyborem rozmowy, ile głosem przenoszącym inne o całą oktawę.

— Wcale nie brzydka, chociaż miałem wyobrażenie, że mi się równiny jednostajne podolskie nie podobają po przemyskiem.

— A zapewne po górach?

— Nie dla tego, bo przemyskie jest także płaskie.

— Jak dobrze mówi! — szepnęła Nikodema do siostry półgłosem wiejskim, który zawsze jest dosyć głośny, by był słyszany od wszystkich.

— Ma także płaszczyzny obszerne, czasem dosyć nudne, ale jest coś w przemyskiem, czego niema na podolu... już to więcej tam ogrodów, lasów, gajów i rzeki są...

— Musi być oczytany! — szepnęła znowu półgłosem Sypińska do córki.

— I my nie mało mamy wody.

— Osobliwie po deszczach — dodał solenizant, wynagrodzony za to spojrzeniem piorunującem małżonki.

Przytem sąsiedztwa daleko bliższe; więc można się zjeżdżać.

— A pan hrabia zapewne amator zabaw?

— Ja lubię towarzystwo.

http://rcin.org.pl

— Jaki miły! — ozwała się pani Letnicka zawsze półgłosem.
— I u nas bawią się doskonale, nieprawdaż p. Parnicka?
— I nie wszystkie sąsiedztwa są dalekie.
— Będzie mi przyjemnie korzystać z tego.
— Światowy człowiek!
— On jest bardzo dobrze!
— I przystojny wcale...
— Ma coś interesującego — szeptali między sobą, a zawsze w półgłośno.
— Dodać do tego należy, że żyjemy z sobą w zgodzie.
— Jakby w familji.

O tej zgodzie familijnej wieleby powiedzieć można było, osobliwie teraz; całe bowiem towarzystwo jest w położeniu wyjątkowem zupełnie. Wszystkich chęci podobania się tak blizko ścierają się o siebie, że niejedna już wyskoczyła iskra złośliwa z oczów zgodnych sąsiadek.

I ciągnie się dalej rozmowa sucha, stepowa, nieskończona, którą niepodobieństwem byłoby oddać bez znudzenia; wolę zatem na chwilę porzucić to piękne towarzystwo, i udać się do ogrodu, gdzie w znanym już nam gaiku świerkowym przechadzają się Cyrylka i Amelka.

Zmienione obydwie; Cyrylka poczerwieniała na twarzy, Amelka zaś pobladła. I nic dziwnego. Cyrylka jest jakby w swoim żywiole, w romansach po uszy. Benjaminek, Wyżłowski i Leon kochają się w niej na zabój. Amelka tłumi w swojem sercu niewinnem prawdziwe uczucie, którego wyjawić nie śmie nikomu.

— On mnie kocha! — rzekła Cyrylka z tryumfującą miną.

— Mówił ci to już? — odrzekła Amelka połykając półwestchnienia.

— Czyliż to tylko słowy robi się wyznanie miłości? Ty dziecko jeszcze moja Amelko; ty tego nie rozumiesz; miłość nie potrzebuje słów, miłość prawdziwa ma swój język tajemniczy, niezrozumiany dla ludzi zimnych, a przenikający jakby iskra elektryczna najgłębsze serca i duszy tajniki.

— Prawdziwa miłość jest milcząca! — wpółgłosem odpowiedziała Amelka z wyrazem silnego przekonania.

— O moja Amelko! jak on wzdycha; ja dotąd nie rozumiałam tego tajemniczego języka westchnień, którym on tak włada.

Westchnęły obydwie.

— Ty nie uwierzysz jak święte, jak wzniosłe jest uczucie Leona.

— Wierzę, bo on taki dobry... tak czułe ma zawsze spojrzenie.
— Spojrzenie poety!...

— Gdy był z nami w naszej szkółce wiejskiej, miał łzy w oczach, łzy rozczulenia nad biednemi dziatkami... jabym go w tej chwili uścisnąć była w stanie; a przynajmniej — dodała szybko Amelka rumieniąc się — chciało mi się zapłakać wraz z nim.

— Jest to ta czułość, która przepełnia serce jego, strumieniem gorącym wylewa się na całą ludzkość, na wszystkie przedmioty, póki nie znajdzie jednego przedmiotu...

— Ciebie Cyrylko!...

— I wtenczas wylewa się w miłość bezgraniczną, unoszącą w niebo, w raj!... O takiem uczuciu marzyłam zawsze i znalazłam przecie.

— I ty go kochasz?...

— Kocham! kocham!...

— Szczęśliwa! — szepnęła cicho Amelka.

— Kocham go i jestem kochana.

— Rozmawiasz z nim ciągle.

— O te rozmowy boskie! tybyś Amelko nic nie zrozumiała, nicbyś nie słyszała... bo nasze rozmowy biegają po bezgranicznej przestrzeni marzeń, i tam zdybują się pojęte nawzajem, nieme dla zimnego świata.

Biednej Amelce ledwie serce nie pęknie z żalu, bo i ona takim widziała Leona, i ona kochała go z zapałem pierwszej miłości. To lekkie wrażenie, jakie zrobił na niej przy pierwszem ich poznaniu byłoby przeszło bez śladu, gdyby nie towarzystwo Cyrylki i jej rozmowy, których fałszywy romantyzm padając na dziewiczo czyste serce Amelki, oczyszczał się w niem i rozrabiał w coraz większą czułość, do której zawsze była skłonną. Sztuczny romantyzm Cyrylki stał się prawdą w duszy Amelki. Wrażenie lekkie wzmagało się coraz mocniej, stawała się pomału uczuciem, miłością nakoniec silną dla pięknego, smutnie wzdychającego Leona. A przecież jej dobre serce żadnej nie czuło goryczy dla Cyrylki, która zdawała się zapominać na pierwsze jej zwierzenia. Miłość prawdziwa jest bez egoizmu.

— Obyście byli szczęśliwi! — szepnęła z głębi duszy; oczy jej zwilżyły się, i zamyśliła się przez chwilę, w czasie której oko romantycznej Cyrylki błądziło po pogodnem niebie za temi niebiesko-migdałowemi marzeniami, których miała w głowie tem więcej, im mniej ich miała w sercu i duszy.

— I będę z nim szczęśliwa, szczęśliwa miłością Leona! — rzekła po chwili Cyrylka z dumą.

— Ale twoja ciotka?...

— Moja ciotka? — odpowiedziała uśmiechając się pogardliwie.

— Sprzyja panu Wyżłowskiemu.

— Ach to nieznośny nudziarz z swojem wiecznem przemyskiem, jakby już za przemyskiem świat deskami był zabity.

— A Benjamin, który powiada, że się zabije!...

— A niechże się zabija jak najprędzej; byłaby to prawdziwa dla niego przysługa, taki półgłówek śmie starać się o moją rękę.

— Lecz cóż zrobicie? bo ciotka żadnym sposobem nie chce Leona.

— Moja ciotka żadnego nie ma prawa nademną; i ja jej tego nigdy nie zapomnę... ja mam moją wolę i mój majątek; znajdziemy sposoby, pewna jestem, że Leon coś wymyśli.

— On taki nieśmiały!...

http://rcin.org.pl

— Za to kocham go najbardziej, kochanek powinien być nieśmiałym; zresztą sama podam mu myśl... będę jego żoną, bo chcę nią być... nie będę czekać, odwlekać, spuszać się, jak... — tu zamilkła i przyszedł jej na myśl ów Edward tak czule kochany, którego, by prawdę wyznać, zupełnie już zapomniała.

— Z serca ci tego życzę! — i głośniejsze westchnienie uleciało z ściśnionej piersi.

— Ty smutna jesteś?... co ci jest? — zapytała Cyrylka z tą obojętnością egoistyczną kobiety z głową bez serca.

— Ja smutna? nie! chociaż czuję jakiś jakby ciężar na piersiach moich.

— Może słaba jesteś?...

— Słaba Cyrylko! słaba! — i rozpłakało się biedne dziewczę. — Mnie jakieś nieszczęście czeka.

— Nudna jesteś z swojemi przeczuciami śmiesznemi.

— Chciałabym wmówić w siebie, że śmieszne; bo mi żal kochanej mamy... a przecież ile razy go widzę...

— Kogo?...

— Wczoraj, gdyśmy tak późno przyjechały, byłam zmęczona, oczy mi się kleiły, rzuciłam się na łóżko, ale zasnąć nie mogłam. Świeca była zgaszona, tak było cicho i spokojnie, że własny mój słyszałam oddech, gdy nagle zdało mi się, jakby okno moje zadzwoniło. Spojrzałam ku niemu, na dworze było jasno, i tuż przy oknie, jakby przylepiona nieruchoma twarz...

— Czyja?...

— Rudolfa!...

— Więc on tu jest?...

— Nie wiem, pytałam dziś ojca o niego; z zadziwieniem odpowiedział mi: zkądże ci przyszło pytać o Rudolfa, musi zapewne być w domu.

— Więc to było przewidzenie?...

— Nie Cyrylko! widziałam go długo! twarz była bledsza i okropniejsza niż zwykle, a oczy iskrzyły się jak nigdy. I długo przed tą twarzą uciec nie mogłam; zamykałam oczy, odwracałam, przykrywałam twarz; iskrzące oczy paliły mnie wciąż... Odszedł wreszcie.

— Pokaże się w końcu, że to duch jego.

W tej chwili z głębi gaju świerkowego głośne i dobitne ozwało się westchnienie. Krzyknęły przestraszone dziewczęta, i z cienia drzew wypłynęła blada twarz Leona, który kończył właśnie potężne westchnienie.

Amelka mimowolnie uśmiechnęła się; Cyrylka zaś jakby przykładem Leona zarażona zaczęła oczami ku niebu wywracać, i piersiami robić, jakby się do westchnienia przygotowywała.

I była długa pauza; snać kochankom zawdza przytomność Amelki. Leon westchnął jeszcze i podniósł oczy do góry. Cyrylka westchnęła także i podniosła oczy do góry. Zdybały się kochanków spojrzenia w pół drogi do nieba na szczycie świrka, z którego czarna jak kruk wrona zakrakała złowrogim jesień zwiastującym głosem.

http://rcin.org.pl

— Amelko! Amelko! — głos jakiś zawołał i zbliżył się oglądając na wszystkie boki pan Jędrzej, który na tę uroczystość imieninową przywdział rzęsiście szamerowaną czamarkę.

Oddalili się ojciec z córką; rozmowa ich była krótka, niezrozumiała dla Amelki. Uścisnął ją naprzód ojciec; było to dla poczciwej dziewczyny nowość, która jej serce przejęła radością.

— Wyrosłaś moje dziecię, wyglądasz już jak panna dorosła.

Zarumieniła się z lekka dziewczyna.

— Czas już pomyśleć o mężu.

Rumieniec Amelki pociemniał.

— Czy chciałabyś pójść za mąż?...

— Ja? nie myślałam o tem... mama...

— Mówiłem już o tem z matką twoją, i ona tego samego jest zdania. Czy ci się podoba który z mężczyzn tutaj przytomnych? — Snać śledzące pana Jędrzeja spojrzenie niezadowolone wróciło nazad, zamilkł bowiem na chwilę, jakby się wahał mówić dalej.

— Spodziewam się, że nie wahałabyś się, gdyby od twego zamążpójścia zależało szczęście rodziców.

— Szczęście mamy? — zawołała dziewczyna.

— A o szczęciu ojca ani myślisz — odpowiedział pan Jędrzej z patetycznym wyrazem.

— O ja i papę kocham! — przerwała Amelka całując z czułością rękę ojcowską. Onaby w tej chwili życie oddała za ojca.

— Ktos nadchodzi! — dodał ojciec zakłopotany, chociaż w rzeczy samej nikt nie nadchodził. — Nie mam czasu powiedzieć ci wszystko; proszę cię tylko Amelko kochana, abyś dziś wieczorem o godzinie szóstej, już ja dam ci znak, przyszła tu na koniec ogrodu, i czekała na mnie koło tych dwóch brzóz.

Zadziwione oczy wypatrzyła dziewczyna.

— Tam się dowiesz... i spodziewam się, że cokolwiek nastąpi, dosyć ci będzie wiedzieć, że szczęście... los... a nawet i życie może nasze zależy od twojej powolności.

Złowrogie przeczucie zabolało ją w sercu.

— I nikomu ani słowa nie mów o rozmowie naszej.

— Nikomu? ani mamie?

— Nikomu! — zawołał zniecierpliwiony pan Jędrzej — nikomu, bo od tego zależy moje szczęście, mój los... i życie nawet.

— Ale!...

— Córka nie powinna mieć ale dla ojca — odezwał się pan Jędrzej surowiej — pamiętaj, że największe nieszczęście nastąpićby mogło, gdybyś zdradziła tajemnicę... Uważaj dobrze na mnie; o szóstej godzinie dam ci znak.

Kochankowie tymczasem zostali sami, szczęśliwi zapewne, że im niczyja obecność nie przerwie tej miłej rozmowy dwóch istot szczerze kochających się. I była znowu długa pauza, Leon wzdychał a więc i Cyrylka wzdychać musiała. Leon patrzał w niebo, i Cyrylka oczy swoje zwracała ku temu cierpliwemu niebu, które wiecznie i wiernie przyjmuje tyle różnych spojrzeń obojętnych i namiętnych, głupich i genialnych. Milczenie trwa dalej. Nie jest to dowo-

http://rcin.org.pl

dem jakiejś przemiany gwałtownej w stosunku tych dwojga kochanków. To jest ich rozmowa codzienna; na takiej zaczęła się ich miłość, wśród takich rozmów ciągnął się ich cały romans. Leon wyrwawszy się z pod władzy Karola i Konstancji, którzy jego martwe usposobienie umieli sztucznie galwanizować, coraz był nieśmielszy coraz więcej nijaki. Brakowało mu więcej jeszcze niż pierwej myśli i słów. I to było jeszcze szczęście jego, że wszystko zbywał westchnieniami i uśmiechem, inaczej bowiem Cyrylka nawet byłaby postrzegła jego smutną nijakość. Kochał on niby Cyrylkę, bo piękna, bo czule patrzy na niego, bo się nareszcie przyzwyczaił do tej myśli zdobycia pięknego dziedziczki posagu. I właśnie ta jego nijakość najwięcej mu pomogła u Cyrylki, która dzięki romantycznemu rozumowaniu, widziała w tem milczeniu, wzdychaniu, nieśmiałości i słodziutkich uśmiechach, dowody czucia głębokiego i miłości bezgranicznej, a może od dzieciństwa przyzwyczajonej do rządzenia drugimi, instynktowo pochlebiała ta uległość i potulność Leona, dobre rokująca na przyszłość losy małżeńskie. Dodajmy do tego, że Leon orzeźwiony powietrzem i spokojnem życiem wiejskiem, był bardzo ładny chłopiec i jeszcze ładniejszy teraz z tym długim włosem, który obwiewając jego piękną twarzyczkę, dodawał mu uroku romantycznego w oczach naszej romantyczki.

Ale tym razem rozmowa nie mogła się skończyć westchnieniem, trzeba było przemówić koniecznie, i przemówić stanowczo. I Cyrylka czuła potrzebę stanowczego postanowienia, wiedziała bowiem od ciotki, że się już Wyżłowski oświadczył, i że całe sąsiedztwo wie już o tem; nie można więc już odkładać. Jako więcej doświadczona i śmielsza postanowiła ona od razu skończyć z nieśmiałym Leonem, lecz mimowolnie wstrzymywała ją wstydliwość dziewicza, a więcej jeszcze wątpliwość, czy do prawdziwego romansu należy taka inicyatywa ze strony bohaterki.

A czas tymczasem ulatywał, a z nim ulatywały westchnienia i spojrzenia, którym uparta wrona na świrku zdawała się widocznie wtórować drwiącem krakaniem.

— Ach! — westchnął raz jeszcze Leon.
— Ach! — westchnęła raz jeszcze Cyrylka.
— Smutny jesteś panie Leonie!
— I pani smutna jesteś!...
— Smutna, bo okropna czeka mnie przyszłość...
— Ciebie pani?
— Ciotka chce koniecznie, bym oddała rękę Wyżłowskiemu.
— To być nigdy nie może.
— Prawda, że być nie może.
— O nie! nie! ja nie pozwolę.
— Nie pozwolisz?
— Nie pozwolę..

I znowu rozmowa zaczęła przechodzić w westchnienia, aż znudzona wrona zakrakawszy po raz ostatni uleciała do wzywających ją towarzyszek na roli.

http://rcin.org.pl

Cyrylka czekała chwilę na słowo jakie Leona. Leon ani mruknął.

— Czyż cię panie Leonie los mój obchodzi? — zapytała po chwili rzucając ogniste spojrzenie na Leona.

— Pani pytasz o to? — Ja wiem, bo...

— Bo?... — i spojrzeniem czułem dodałaby odwagi największemu tchórzowi.

— Bo cię pani kocham.

— Kochasz mnie? kochasz Leonie?

— Nad życie...

— O ja to wiedziałam, gdyż nasze serca i umysły dla siebie stworzone; jest to jakby ta cudowna powieść o dwóch połowach przeznaczonych dla siebie, i szukających się nawzajem przez czasu i przestrzeni obszary... aż się zdybią nareszcie.

— Cyrylko droga!...

— Leonie drogi!...

I porwali się po raz pierwszy za ręce, a podobno nawet uścisnęli, przyczem zaczerwieniał się Leon mocniej od Cyrylki.

— Lecz cóż robić? ja jestem pod opieką ciotki, nie mogę się jej w tym domu sprzeciwiać.

— Ależ nie chcesz być żoną pana Wyżłowskiego.?

— Nie chcę, lecz jakżeż?...

— Ach jakżeż? — powtórzył Leon.

— Ja nieszczęśliwa! i ty Leonie nie masz środka żadnego?...

— Mam... lecz nie śmiem.

— Mów! o mów! wszak my się kochamy.

Obejrzał się Leon naokoło, i wyszepnął tak nieśmiało: — Wykradzenie! że tylko takie romantyczne stworzenie, jakiem była Cyrylka, mogło się domyśleć słowa tego.

— Ach to okropny środek! — zawołała, choć jej serce pękało z radości. To przecie był romans jak się należy, romans z wykradzeniem, to nie ten głupi romans z Edwardem.

— Pani się gniewasz! ah przepraszam!...

I znowu wzdychać zaczęli. Szczęściem zasłyszeli głos donośny wołający: Cyrylle ma mie!

— Ha kiedy inaczej być nie może, kiedy niema innego środka — szepnęła szybko Cyrylka — kiedyż?...

— Dziś jeszcze.

— Dziś... — Czyliż wszystko już przygotowane?

— Wszystko gotowe moja najdroższa.

— I kiedy?

— O szóstej dam ci znak... tuż koło furtki ogrodowej czekać będzie powóz.

— Do widzenia się Leonie! ty szczęście moje!...

— Aniele drogi! moje życie dla ciebie!...

I pobiegła Cyrylka ku wołającej ciotce, a w duszy pomyślała — Jak on mnie mocno kocha, wszystko urządził do wykradzenia!

W domu tymczasem państwa Czułkowskich coraz gwarniej

http://rcin.org.pl

i tłumniej; juz jest po śniadaniu, porter rozwiązał sąsiedzkie języki, rozmowa skacze wesoła, chociaż utyka czasem na kulawą nogę.

Hrabia Wyżłowski zbliżył się do gospodyni, i nikt nie uważał, jak dzięki doskonałej ruladzie w auszpiku, nad którą sąsiadki rozbijały się na piękne, szepnął jej kilka słów.

— Wszystko gotowe.

— Ale? — zapytała tonem niespokojnym i zmarszczyła czoło.

— Złożyłem je u pana Suliskiego, z prożbą, by oddał pani w razie, gdyby podróż moja dłużej nad trzy dni trwała; a tu — dodał ściskając ją za rękę — jest jego rewers zaświadczający odebranie depozytu.

— Tego nie potrzeba między nami; — odpowiedziała zacna ciotunia, cisnąc jednakże papier do siebie; wszak ja panu wierzę.

Skończyła się tajemna rozmowa w sam czas, bo też i rulada konała właśnie uczczona sutemi mowami pogrzebowemi.

By nie nudzić łaskawych czytelników moich przeskoczemy porę przedobiedną, i powiemy po krótce, że obiad był suty. Było jak zwykle na wsi jadła tyle, że niem możnaby cały pułk nakarmić. Na wsi nie tyle uważają na jakość ile na ilość potraw, to też nigdzie łatwiej o niestrawność i przeładowanie żołądka, o czem miasteczkowi lekarze wiedzą najlepiej. Nie mało było trudu zanim gospodarstwo usadowili gości swoich wedle ich godności i różnych planów osobistych.

Hrabiego Wyżławskiego wpakowali obok Cyrylki, nikt nie uważał, jak pan Jędrzej, który się zaprzyjaźnił z Leonem, robiąc już plany na przyszłość ugruntowane na odgadnionej jego nijakości, wcisnął go na drugiego sąsiada Cyrylki. Sam zaś niby przypadkiem usiadł koło żony, dla której był ciągle z taką uprzejmością, z tak grzecznemi uprzedzeniami, a nawet taką czułością, że biedna kobieta mimo całego rozsądku swego uwierzyła w tę miłą przemianę i cieszyła się nią, a rozmawiając z mężem mniej uważała na córkę, która zresztą nikła prawie między krochmalnemi spodnicami i sukniami panny Nikodemy i jej siostry. Amelka jedna uważała ten dla niej nadzwyczajny ale tak miły stosunek rodziców, których widok zagłuszył na chwilę przynajmniej jej smutne usposobienie. Mniejsza o własne nieszczęście myślała, jeżeli niem szczęście rodziców okupić można.

Ledwie było po sztukamięsie, zaczęły się wiwaty. Kto nie zna wiwatomanji wiejskiej ten nie ma jeszcze zupełnego wyobrażenia o życiu wiejskiem. Prócz małych wyjątków picie jest ogólnem zajęciem mieszkańców wsi. Pije się naprzód wódka kilkakroć, i na niej się zwykle kończy przedśniadanie i pośniadanie, przed obiadem i poobiedzie, przed kolacją i po kolacji, jeżeli się jest samym i niema gości. Są goście, wtenczas pije się i wódka i miodek, i wino i porter, i piwo i coraz ulubieńszy czaj, który my naśladować wszystko zwykli, przyjęliśmy jako dar północnej cywilizacji. O bo my tędzy do wszystkiego cudzego! trzeba gadać po francuzku koniecznie, a pić po kozacku, czasem rozumować po niemiecku, próżnować po lazarońsku — wszystko robić djabli wiedzą po jakiemu, byle nie po

http://rcin.org.pl

polsku było nie po swojemu, byle nie po takiemu, jak na nasze przystoi położenie.

Wracając do picia przy zjeździe lub na imieninach trzeba się upić koniecznie, a upiwszy się pokłócić, burdę zrobić, w końcu czy pobić czy pokłócić, ale zawsze każdą sprawę trunkiem zalać. I nawet gospodarz, któryby nie upoił gości swoich, uchodziłby za skąpca. Lepiej nawet, że uboższy szlachcic nie mogąc łaskawych sąsiadów dobrym popoić trunkiem, truje ich mieszaniną przerabianą po miasteczkowych piwnicach, niż żeby goście trzeźwo wyjechali, upajanie gości ma być dowodem wsławionej gościnności polskiej. Są nawet ludzie niby myślący, niby piszący, niby lepiej ukształceni umysłowo, którzy krzyczą na odradzających trunki zaślepiające głowe i serce, zabijające czas, ten najdroższy życia klejnot, równające człowieka, który powinien nosić czoło ku niebu wzniesione, z bydlęciem spuszczającem głowę ku ziemi, krzyczą powiadam jak na świętokradców, którzy chcą przetwarzać starodawne zwyczaje i niszczyć cechę narodową. Pijmy i pijmy jak przodkowie nasi! wołają ci wielcy historycy życia narodowego.

Dla czegoż koniecznie naśladować same tylko przywary narodowe, jak gdyby kto kazał chodzić goło po świecie dla tego, że niegdyś Adam nago chodził. I lepiej przeczytajcie dzieje naszego narodu, które znacie tylko z podań rodzinnych, z wielkich kielichów, które wam jakiś tam dziad zostawił, a zrozumiecie, że nasi przodkowie póty bili póki nie pili, bili zaś nie gębą trunkiem dychającą, ale orężem krwią wrogów dymiącym; a jak zaczęli pić zostali pobici. Za Sasów dopiero zaczęło się to życie hulackie, pełne pijatyk sejmikowych i domowych, życie prawdziwe letargowe. Cały naród spity stał jakby ów pijak, który zbudziwszy się spostrzegł dopiero, że go sąsiedzi okradli, obdarli i zaprzedali w niewolę. Że zaś wszystko dąży ku kształceniu, więc i nasze pijatyki jak się zowią na hańbę narodu narodowe, ukształciły się z czasem i stały jednym wrzodem więcej niszczącym soki zdrowe; stały się bowiem jednym zbytkiem więcej. Z taniego miodu, piwka domowego i mniej dobrego węgrzyna przeszliśmy do francuzkich win, angielskich porterów i likierów z całego świata sprowadzonych, ba nawet do rumu niby aż z Jamajki. I tak z zamiłowania narodowości przyszliśmy do tego, że gorzko zapracowany grosz wydajemy na drogie trunki zagraniczne. Lada szlachcic na wsi wstydzi się dzisiaj podać swym gościom gładką butelkę bez jakiejś francuzkiej karteczki często gęsto przylepionej przez naszych własnych żydów, jeżeli nie przez samego gospodarza, który tym sposobem okpiwa łaskawych sąsiadów. Trzeba zaś wiedzieć, że podniebienia szlocheckie po większej części stępiałe ciągłem piciem, tyle znają się na różnicy win, ile jak powiada przysłowie ślepy na kolorach, a.... koza na pieprzu.

I dla tego nic dziwnego, że ten lekki austrjaczek przez pana Czułkowskiego podług przepisu pana Sulikowskiego, wielkiego mistrza w podobnych fabrykacjach, zaprawiony Erlauerem, któremu już dodali pierwej wywaru fernambukowego, podziwiają i smakują wszyscy jakby najdoskonalsze Bordeaux. A ów Węgrzyn cienki i cierpki pod-

http://rcin.org.pl

prawiony cukrem, wapnem i Bóg wie czem jeszcze, to szampan panie! szampan, bo musuje!

A więc wiwaty idą aż miło; gdyby tyle zdrowia było, ile zdrowiów każdy wypił, byłoby to najzdrowsze w świecie towarzystwo. Bo pan Czułkowski zrzuciwszy na chwilę jarzmo małżonki, w której było interesie popoić całe towarzystwo, wymyślał ciągle nowe zdrowia. Kielichy kolejno zmieniały się co chwilę i zwiększały co chwilę. Wymyślić zdrowie, umieć gładko podnieść kielich do góry, zawołać donośnie, przemówić dykteryjkę starą jak świat, ale zawsze dowcipną, i mile przyjmowaną przez towarzyszy kielichowych, wychylić nareszcie kielich duszkiem nie zachlisnąwszy się, to wielce popłaca na takich biesiadach wiejskich. W tej sztuce pan Czułkowski niepospolitym był mistrzem.

A więc naprzód solenizanta zdrowie wypił poważnie pan hrabia Wyżłowski, który krzywił się niepospolicie na wino podolskie, przyzwyczajony do win ziemi przemyskiej, w której najwięcej baczą na francuzkie pochodzenie trunków.

— Dam zdrowie! to wypada najgładziej wypić. — Damy skłoniły się uprzejmie.

— Zdrowie gospodarstwa! — zawołał któryś z gości. — I konsolacji! — ktoś naprawił to zdrowie koniecznie drugim kielichem.

— Stan obywatelski niech żyje! To się pije z zapałem.

— Zdrowie panieńskie! to się pije z czuciem; — a oczy kawalerów strzelają tu i owdzie z wiele znaczącym wyrazem. W tem zdrowiu mimika popłaca. Benjaminek też wytrzeszczył oczy ku Cyrylce, aż pobladł biedak, nim potężny wypróżnił kieliszek, i przewrócił go na paznokieć wielkiego palca na dowód, że ani kropli w nim nie zostało.

— Stan wojskowy niech żyje! — wrzasnął tryumfujący gospodarz, któremu udało się przypomnieć, że jeden z gości jego kiedyś tam za młodu służył przy pociągach wojskowych czy przy ogierach.

— Brawo! brawo! — odpowiedzieli drudzy, radzi z konceptu i kielicha.

Pan hrabia Wyżłowski zaczął się wywijać, zaczął przelewać wino z kielicha do szklanki i poprawiać wodą.

— To zły przykład panie hrabio! — ozwał się pan Jędrzej, który głównie pilnował Wyżłowskiego i Leona.

— To żarty tylko panie hrabio! wszak w przemyskiem lepiej piją.

Ktoś tam drugi zaczął naśladować hrabiego; jeszcze większy powstał krzyk, wiedziano bowiem o nim, że wzorowy pijak. A w każdem towarzystwie podobnem znajduje się taki, o którym zwykle powiadają „że rusin!“

— Prynuki potrzebuje! — wrzeszczał pan Jędrzej, który jadł i pił jak prawdziwy wolarz.

— Ja jestem za Prysnitzem! — odezwał się Suliski, który w rzeczy samej chciałby sąsiadów odwiedzających go, na wodnych przemienić pijaków.

http://rcin.org.pl

— A fe woda!

— Woda dobra, ale do mycia tylko — ozwał się inny konceptowicz wynagrodzony głośnym okrzykiem.

— Homines bibunt vinum, reliqua bruta aquam! — dodał drugi przypomniawszy sobie ten sens moralny z komeniusza.

Śmiechu też było i krzyku aż strach. Kobiety zarumieniły aż po uszy, przekonane, że ta łacina kryje jakiś dowcip nieprzyzwoity.

I dalej zdrowie po zdrowiu!

Z ogólnych przyszło do szczególnych. Aby nie chybić nikomu, więc pito zdrowia wszystkich sąsiadów po kolei.

— Pani hrabina! pani baronowa! pani podkomorzyna! i t. d. Ale duszkiem panowie! Takie zdrowie tylko duszkiem się pije. — I panie wstawały i dygały, a panowie plotą jak na mękach, ściskają się, przysięgają, płaczą nawet a nadewszystko piją.

A wśród tego, ciche zdrowia szeptane pięknej sąsiadce, lub okiem tylko przez stół wskazane z ręką przy sercu. Wśród wrzasku tego zdybały się i kieliszki Leona i Cyrylki. Na wieki! szepnęli sobie, i łyknęli dla dodania odwagi. Pan Jędrzej własnej żony wypił zdrowie, przysięgając w pół pijany, że ją kocha, i przyrzekając poprawę. Benjaminek ledwie dysze, tak się upił. Chory na pana sapie tylko, tak się zmordował gonitwą za konceptami, któremi tylko obdarza swoich w pół gości. Jednem słowem spiło się całe towarzystwo doskonale, nim jeszcze przyniesiono ogromny kwartowy kielich w kształcie tulipana; to też tulipanem go zwano.

— Hej panowie tego tulipana jeszcze! — wrzasnął zachrypnięty gospodarz. To z herbem naszym rodzinnym. Jakoż w istocie, było na nim coś nakształt trzech trąb, z napisem:

Niechaj trąbią trzy trąby,
A ty lej wino do gęby.

Wszyscy podziwiali i dowcip, i doskonałość wierszy.

— Wiwat kochajmy się! — zawołał jeden.

— Brawo! to zdrowie staropolskie!

— Nie, pierwej zdrowie Bogdanek! — zawołał Benjaminek głosem przerywanym czkawką

— A więc wypijmy i jedno i drugie.

— To mi zuch! to prawdziwy przyjaciel! — zachrypiał gospodarz; i nuż nalewać, i nuż pić. Te dwa zdrowia dobiły wszystkich.

Już ciemno było, gdy powstali od stołu; ciemno w głowach. I nikt nie dostrzegł, jak przez drzwi w półotwarte zaglądnęły dwie głowy — żyda i Rudolfa. Na jednej twarzy był uśmiech szyderczy; na drugiej uśmiech złośliwy. Żyd drwił ze szlachty pijanej. Rudolf przeklinał towarzystwo równe sobie, któremu musiał się z przedpokoju przypatrywać. Amelka postrzegła te twarze i ledwie krzyk przestrachu przytłumić mogła. Pan Jędrzej choć pijany postrzegł także, i wybiegł do przedpokoju; po kótkiej szeptaninie wrócił weselszy jeszcze.

http://rcin.org.pl

Po kawie szkaradnej, fajkach i pogadance wrzaskliwej a pijanej nie skończyła się jeszcze zabawa cała. Była jeszcze niespodzianka przygotowana przez czułą małżonkę. Pani Czułkowska krzątała się ciągle, kręciła jak mucha w ukropie, wybiegała i wracała; wszyscy domyślali się czegoś. Kobiety niecierpliwie ciekawe a osobliwie trzeźwe, szeptały między sobą.

— Taki śliczny wieczór, tak ciepło jak w lecie — zagadała gospodyni. Kłamała biedaczka, bo wiatr jesienny świstał na dworze, a od czasu do czasu przypadała do ziemi jesienna mgła.

— A prawda! — ozwała się jedna z pań!...

— Warto się przejść — dodała gospodyni.

— Chodźmy! chodźmy! — zawołały sąsiadki dorozumiewające się i ciekawe.

— To tak pięknie przechadzać się wieczorem.

— Wśród ciemności, to będzie zabawnie.

— Chodźmy! chodźmy!... I zaczęły się sypać wszystkie panie do ogrodu, a pan Czułkowski, jakby nic nie wiedział, wypychał wszystkich mężczyzn przez szklanne drzwi.

I ozwały się śmiechy, świadczące o zaludnieniu ogrodu, bo było tak ciemno, że jeden drugiego nie widział; jeden drugiego szturkał, przepraszał, by znowu wpaść na innego. Osobliwie pijani mężczyzni wywoływali nie jeden krzyk kobiecy, towarzyszony rubasznym śmiechem.

— Już czas! — szepnął pan Jędrzej do córki, i pobiegł za żoną, której najczulej podał rękę.

— Już czas! — szepnął Leon, w pół cięty dla większej odwagi do Cyrylki, którą romantyczna gorączka przebiegła dreszczem po ciele.

I znikli wszyscy w głębi ciemnego ogrodu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Niespodzianka.

Poszły obiedwie dziewczęta, każda w swoją drogę. ze środka zabaw i wesołości na niepewną życia poszły drogę. Otaczająca je ciemność, która równie ich kroki jak myśli niepewnemi czyni, jest to prawdziwe wyobrażenie przeznaczenia kobiety, gdy z domu rodzicielskiego, ze środka swobody diecinnej jeszcze, ze środka zabaw niewinnych, wychodzi w nieznane, tajemnicze dla niej życie rzeczywiste.

Bo i czemże nasze wychowanie kobiety przygotowuje ją do tego samoistniejszego życia? Wychowanie rzemieślnicze powtarza jej codzień, jakby pacierz codzienny: podległość. Świat otaczający ją przykładami szepce: wolność i niepodległość. Ani jedna, ani druga nauka nie tłumaczy jej prawdziwego stosunku mężczyzny i kobiety, ani też stanowiska, jakie kobieta w świecie domowym zająć powinna. I dopieroż przyjdzie jej wybierać między temi dwoma naukami. Cnotliwsza i zimniejsza staje się jednym meblem w domu

http://rcin.org.pl

męża: zepsuta i gorętsza staje się zalotnicą. I jedna i druga nieszczęśliwa, a nieszczęśliwsza jeszcze ta, która wahając się między temi dwoma ostatecznościami pędzi ciągłe życie walki. Wśród niej, jeżeli umysł ma sprężystszy, wychowuje się dopiero sama, coby już dzieci własne wychowywać miała, i ledwie w końcu zawodu swego pozna stanowisko swoje; wtenczas, kiedy już zielone nadziei listki czas postrzęsał, kwiat życia opadł, a owoce pourywane od łona macierzyńskiego gdzieś daleko już porozsypywane po świecie, pozna siebie, by żałować zmarnowanej a niepowrotnej przeszłości, kiedy już jej za późno do użycia i do pożytku. Jeżeli powszechnie mało dbamy o dobre wychowanie naszych pokoleń młodych, najmniej zwracamy uwagi na wychowanie kobiet. A przecież wychowanie kobiet w każdym narodzie głównem powinno być zadaniem. Bo tego nie można dosyć często napowtarzać: kobiety są matkami, pierwszemi piastunkami, pierwszemi nauczycielkami. Wychowanie w ogóle jest kolebką przyszłości. Wychowanie kobiet jest kolebką losu przyszłych pokoleń.

Owoż wszystkie te myśli, które mam za tak ważne, żem je, nie zważając na niebezpieczeństwa znudzenia, pominąć nie mógł, ani powstały w głowie Cyrylki, która lekkim krokiem i z lekką myślą, znaną sobie ścieżką po pod sztachety ogrodowe biegła ku furtce. Ona marzyła, powiedzmy prawdę, choć to na wstyd romantycznych panien wypadnie, ona marzyła nie o idealnem używaniu, ale po prostu o rannym czepku nazajutrz po ślubie, do którego ją od dawna żądza ciągnie niepohamowana. I żadnej w głowie nie ma wątpliwości; wszak wie doskonale, że z takim majątkiem jaki ma, będzie szczęśliwa szczęściem, jakie umie pojąć. Przejście kochanka zapalczywego w ładnego swojego już męża zajmywała ją zapewne tak żywo, że krew goręciej biła w żyły, używając pomocy jesiennego wiaterku, który jej strojną obwiewał suknię.

Smutniejsze były uczucia Amelki. Tajemniczość tej samotnej wyprawy przejmowała ją mimowolnym strachem, który jej serce wzruszona jeszcze od wczorajszego widzenia, przygniatał jakby ciężarem jakim. Zdawało się jej, że to przeczucie złego. Trzeba tu powiedzieć, że ta przesadna wiara w przeczucie była główną wadą tej z innych stron tak pięknie ukształconej dziewczyny. Była to wada jej wychowania, przed którą matka jakkolwiek rozsądna, nie umiała jej ochronić.

Pani Dolińska za młoda jeszcze wówczas chowała dziecko swoje, jak sama chowana była wśród naszych wiecznie jednakowych nianiek, które wybierane na oślep ze środka ludu nieoświeconego, przynoszą w dom pański wszystkie swoje przesądy, poetyczne nawet w opowiadaniu, ale szkodliwe, o ile wpływają na miękki umysł dziecięcy. W godzinach wieczornych, przy płonącym kominku, gdy wiatr huczał na dworze, sama pani Dolińska, mając jeszcze wówczas wiele żywiołów poetycznych, które jej później świat i doświadczenie wydarły, słuchała z zajęciem tych opowiadań, tych każdemu z nas znanych bajek o duchach, o strachach i zjawieniach, które rozmaicie zmieniając szaty swoje, tchną zawsze duchem przesądów i zabobonów wiejskich.

http://rcin.org.pl

Dziewczyna słuchała drżąc ze strachu, bladła przelękniona, oczy zamykała, a przecież uwagi swojej oderwać nie mogła od tych opowiadań, które im mniej podobne do prawdy, tem więcej trafiają do każdego umysłu człowieczego, na który długo bić muszą rozmaite pojawy rzeczywistości, zanim się otrzęsie z ogólnej skłonności naszej do kraju marzeń. Zdaje się prawdziwie, jakby dusza nasza, ta nieszczęśliwa niewolnica ciała, tym przynajmniej sposobem wyrywała się w świat nadzmysłowy, za którym jej tęskno jak za ojczyzną.

Ztąd tedy pochodziła wiara Amelki w rozmaite przesądy, między któremi niepoślednie zajmują miejsce wszystkie przeczucia. Wiara ta zdaniem mojem jest o tyle szkodliwą, że często przeczucie najniepodobniejsze stanie się rzeczywistością, przez to samo, że umysł nagięty ku marzeniom nie postrzega prostych namacalnych środków uniknienia przeczutego nieszczęścia. Jest to jakby człowiek, który bojąc się przepaści, zamiast patrzyć pod nogi, rozpaczliwą bojaźń swoją powierza obłokom. I to jej od dawna w sercu zagłębione przeczucie złego na widok Rudolfa, przeczucie powstałe z początku na widok brzydkiej jego twarzy (a owe złowrogie potwory bajeczne mają zawsze brzydką twarz) było powodem niorozsądnego jej postępowania z Rudolfem, tej lękliwości niezgrabnie mu wyjawionej, która w rzeczy samej mogłaby z czasem sprowadzić jakie niebezpieczeństwo z człowiekiem usposobienia tak drażliwego, jakie miał Rudolf.

Szła biedaczka po ciemnych i krętych ścieżkach ogrodu, zatrzymując się co chwila; każdy listek szeleszczący pod nogami, każde uderzenie przypadkowe o drzewo, każdy głośniejszy poświst wiatru odzywał się boleśnie w jej sercu, i zwiększał to niespokojne wrażenie, jakiem była przejęta. Tchu jej brakowało, chociaż szła pomału. Świerki samotne straszyły ją głuchym łoskotem swych gałęzi; wypłoszona wrona może ranniejsza omal ją do domu nazad nie popędziła. Stanęła przez chwilę i zdało się jej, że to zakrakanie złowrogie przestrzega ją. Ledwie się wyrwała z lasku świerkowego, i prosto przez murawę miejscem więcej odsłoniętem dążyła ku dwom brzozom samotnym, które się już rysowały przed jej oczami na ciemnem tle niebios. Brzozy kołyszące się od wiatru zolbrzymiały w jej oczach; ruchem gałęzi, szumem liści, zdawały się przemawiać do niej, i przestrzegać słowy wewnętrznego przeczucia. I w tej chwili zdało się jej, że postrzega cień jakiś migający pomiędzy drzewa. Lecz to może jej ojciec, który uprzedziwszy ją krótszą drogą czeka na nią; idzie więc dalej.

Cień znikł; Amelka stanęła wreszcie między dwoma brzozami. Ogląda się, nie widzi nikogo, a przecież mimowolny strach ją przejmuje; zdaje się jej, że nie jest sama. A przecież darmo na wszystkie strony strwożone rzuca oczy; doszła ją tylko nagle powiewem może wiatru z daleka przyniesiona woń jakaś przykra; woń ta jakby mieszanina zapachu wódki i przykrzejszego jeszcze zapachu bakunu, owego śmierdzącego tytuniu przez lud podolski palonego, za którym chłopek podolski z niebezpieczeństwem życia i wolności przekrada się za granicę, by ztamtąd kilka papuszy tego ziela przynieść do domu. Woń ta nie ma w sobie nic dziwnego, a przecie zalękła się

http://rcin.org.pl

jeszcze mocniej; zdaje się, że to oddech tego przeczutego blizkiego nieszczęścia.

Spojrzała ku brzozom; coś jej ztamtąd zaświeciło. Chciała krzyknąć, nie mogła. Rudolf stał przed nią, z oczami świecącemi, wlepionemi w nią z wyrazem tak dzikim, tak obłąkanym, iż biedna dziewczyna oczy zamknęła.

— Panna Amelina szuka tu kogoś — zagadł głosem, w którym się przebijał jakby śmiech szalony. I przybliżył się do niej; przykry zapach obwiał ją mocniej jeszcze.

— Warjat i pijany! — pomyślała.

Jakoż w rzeczy samej, pierwszy raz w życiu może Rudolf był pijany. Bądź to w skutek walki wewnętrznej, bądź że dla dodania odwagi, żyd dolewał mu wódki, dosyć że Rudolf pił przez cały czas swego pobytu w karczmie Wolfa. Myśli jego w zwyczajnym stanie nie zupełnie uporządkowane pogmatwały się jeszcze więcej, i na miejsce schadzki umówionej przyszedł w stanie takiego pomieszania umysłowego, że żadnej jaśnej nie mógł pochwycić myśli. Wrzało mu w głowie, wrzało w sercu, lecz z tego chaosu myśli i uczuć, nic się jeszcze dotąd wyraźniejszego nie wyrobiło. Przybycie Amelki dopiero było tą iskrą ożywczą, która chaos myśli jego do pewnego porządku naprowadzać zaczęła.

— Panna Amelina szuka kogoś! — powtórzył głosem, z którego zdawał się pomału ustępować śmiech szalony.

Spojrzała Amelka; brzydka twarz Rudolfa była tuż koło niej, wyciągnąwszy więc ręce mimowolnie odwróciła się.

— Uciekasz przedemną! — zawołał Rudolf głosem, który nabierał coraz więcej dzikości.

— Ja szukam ojca mego.

— Ojca szukasz! — krzyknął przeraźliwie; lubego ojca i jeszcze kogoś...

— Nie! nie! bądź zdrów panie Rudolfie!...

— Fałszywa! fałszywa jak twój ojciec. — Podniósł pięście do góry i zaczął mówić coraz głośniej z wzrastającym zapałem: — I niema gromu, któryby tego starego grzesznika trafił, niema Boga, któryby się pomścił za mnie.

Ostatnich sił dobywając, zwróciła się Amelka, jakby odejść chciała. Porwał ją Rudolf za rękę; uczuła ból okropny, ale nie miała siły krzyknąć.

— Zostań tu panno Amelino! Amelko! — powtórzył czulej, i wpatrzył się w nią z wyrazem słodszym, jakby czekał odpowiedzi.

Amelka milczała.

— Amelina! — powtórzył z dawniejszą dzikością, rozbudzoną na nowo przez jej milczenie.

— Fałszywa! ty kochasz!

— Ach kocham! — odrzekła biedna dziewczyna ledwie wiedząc że mówi, i westchnienie uleciało ciężkie, jakby niem żegnała to lube marzenie, wzbudzone tem słowem uroczem dla każdej dziewczyny.

— Kochasz? a wieszże Amelino, że i ja kocham.

http://rcin.org.pl

— Kochasz? — zapytała Amelka weselej i spokojniej, bo się jej zdawało, że już uratowana. Człowiek kochający, pomyślała, nie może być złym.

— Kocham, i jak kocham! ty myślisz że takie upośledzone stworzenie jak ja, nie może, nie umie kochać. O mój Boże, ty co patrzysz zimno z góry na tyloletnie męczarnie moje, na niewolę okropną jaką znoszę, niewolę ciała, niewolę duszy, która tak mnie przygniata, iż boję się bym nie zwarjował. Zwarjował! cha! cha! cha! czyż ja mogę już zwarjować... wszak ja warjat! Twój ojciec robi mnie warjatem, aby mnie mógł dręczyć, męczyć i okradać haniebnie. Waryatem być, to okropnie! Ta myśl być zamkniętym między szalonymi, słyszeć ich krzyki zwierzęce, przekleństwa szalone, i żyć codzień przez długie lata z nimi, ta myśl okropna nie odstępuje mnie ani w dzień, ani w nocy. I tę myśl piekielną rzucił twój ojciec we mnie.. Tą myślą wodzi mnie za sobą jak niewolnika, jak psa na obróży. I ja cierpiałem i cierpię, milczałem i milczę. Boże ty widziałeś, ile razy rwały mi się ręce naprzód, by zdusić ten potwór ludzki... i zdusiłbym, bo przecie warjaty silniejsi są od drugich ludzi. Nieraz w ciszy nocnej stałem nad śpiącym; jedno posunienie ręki zbrojnej, i nie żyłby już mój prześladowca... a myśl zemsty uśmiechała się do mnie z całym urokiem swoim, bo niewola rodzi zemstę, bo dla niewolnika niema milszego niema godziwszego uczucia nad zemstę... Pastwić się nad wrogiem, widzieć jak krew jego upływa kropla po kropli; tańcując deptać po trupie jego, policzkować tę twarz nienawistną, śmiać się w ucho umierającemu — zemsta, zemsta, zemsta... cha! cha! cha! to rozkosz!.. nieprawdaż córko twojego ojca?

Biedna dziewczyna ledwie już żyła; krew w niej ostygała, chwilowo tylko wzdychała, i szukała myśli ratującej... to słowa pacierza jakiegoś przebiegły przez głowę, to myśl o matce, która dziecko swoje przecie ratować powinna. I to ojciec ją tu przysłał! Nieszczęśliwa bała się oszaleć.

— A przecież odepchnąłem te wszystkie pokusy; dla czego? bom kochał, bo miłość moja była silniejsza nad zemstę. W marzeniach moich samotnych uroczy obraz kochanki unosił się duchem opiekuńczym nad krwawym obrazem zemsty. Ze snu skąpo mi wymierzonego długie wykradałem godziny, by marzyć o tej istocie, którą namiętnie kochałem... Ty się śmiejesz!

— Ach nie! jabym raczej płakała.

— Płacz twój i śmiech fałszywe, córko twego ojca! Czy ty myślisz, że ja w tej grubej płótniance, w tych butach łatanych, z tą twarzą ogorzałą przez pracę i trudy, z umysłem skołatanym przez niewolę i tyraństwo nie umiem tak kochać, jak wasi frakowi kochankowie... niechby im przyszło pracować tak jak ja, pracować jak wół w jarzmie, woleliby zasnąć jak marzyć o kochance. A ja tylko o niej marzył w dzień i w nocy. I cudowne przesuwały się przed oczami memi obrazy. Ona była bóstwem mojem, otoczona obłokiem utworzonym z najpiękniejszych urojeń samotności mojej... a jam klęczał przed nią wiecznie, i składał u jej stóp wszystkie ofiary...

http://rcin.org.pl

wszystkie!.. i serce i myśli i krew moją! Bo ja umiem kochać! nie śmiej się! nie krzyw się dziewczyno!

— Ach nie! ja się nie śmieję! — odpowiedziała Amelka, która zaczynała czuć litość dla tej biednej istoty.

— Ja mam serce, które nie siedzi w sukni i ozdobnej powierzchowności, ale tu w głębi niewidziane, niepojęte; tu! tu! — i uderzył się młodzieniec tak silnie w piersi, aż głośno zajękły. — Ja mam serce — mówił dalej, a zapał jego wzmacniał się w miarą jak mówił; oczy roziskrzone wyskakują ze środka kościstych obwódek rozpromieniając jego twarz bladą i wyschłą, robiły go w tej chwili podobnym do owych fanatyków ascetycznych, których zapał graniczył o szaleństwo. — Ja mam serce, któreby zdołało najwybrydniejszą uszczęśliwić kochankę; ja mam serce, kto umie płakać nie temi fałszywemi łzami waszemi, ale łzami poświęceń bez końca. Czy rozumiesz mnie dziewczyno? rozumiesz mnie córko twego ojca?

— Rozumiem panie Rudolfie, ale cóż ja ci pomódz mogę?

— Co ty możesz pomódz? fałszywa! a wieszże, kogo ja kocham. Włosy powstały na głowie Amelki.

— Ja ciebie kocham.

— Mnie! — zakrzyknęła, i twarz jej przestraszona zdradziła odrazę mimowolną, która jej ciało dreszczem przebiegła, jakby na widok obrzydliwości jakiej.

— Ciebie; czyliż nie widziałaś moje do ciebie przywiązanie, moje ciągłe poświęcenia? czy nie widziałaś mieszkając z nami, że żaden dzień nie przeszedł, bym ci nie przywiózł kwiatka owocu; nie widziałaś radości na mej twarzy, gdym cię zdybał, smutku, gdyś odchodziła. Powiedz, czy nie widziałaś tego?...

— Nie! na Boga!

— Nie przysięgaj fałszywa! ty taka jak i drugie. Tobie potrzeba majątku, nie serca, tobie potrzeba ciała, nie duszy, szychu, nie złota. Kłamliwe wasze uczucia wszystkie. Kochacie mężczyznę, nie człowieka, modlicie się do obrazu, nie do Boga!. I miłość moja, której poświęciłem słuszną zemstę moją, maż być bez nadgrody? Ty kochasz innego?

— Nie!

— Kłamiesz! powiedz prawdę, jeżeli nie chcesz bym się zapomniał! mów prawdę.

— A jeżelibym kochała, powiedz sam panie Rudolfie; czyliż sercu można nakazać lub zabronić miłość?

— A więc nie kochasz mnie Amelio! ty którą ubóstwiam, dla którejbym więcej jeszcze pracował, dla której chętnie znosiłbym wszystkie gorsze jeszcze, jeżeli mogą być gorsze zniewagi... nie kochasz mnie?

— Nie, nie! panie Rudolfie! ale uspokój się; ja ciebie z serca żałuję.

— Precz z zimnym żalem!... I nie będziesz mnie kochać?

Milczenie nastało długie i okropne, cichość panowała posępna; zdaleka tylko, z drugiego końca ogrodu dolatywał gwar wesoły

http://rcin.org.pl

i śmiech, który okropniejszem jeszcze robi dla Amelki to położenie tak wyjątkowe, że siły dziewicze niczem nie wypróbowane dotąd sprostać jemu nie mogły.

— I nie będziesz mnie kochać? pytam cię Amelio, ty Amelino, której obraz wypieszczony marzeniami tyloletniemi, uśmiecha się do mnie jak mój anioł dobry, jak stróż opiekuńczy moich myśli dobrych, mojego opuszczającego mnie rozsądku.. Powiedz Amelino, czy nigdy kochać mnie nie będziesz? Zastanów się, wszak większej nie zdybiesz miłości, wszak nie zdybiesz serca, któreby było tak ślepo i niewolniczo przywiązane do ciebie. — Tu głos Rudolfa stał się miększy i czulszy; łzy się w nim przebijały. — Pomyśl chwilę Amelino! bo ta chwila stanowcza dla mnie... i dla ciebie!

Nastało znowu milczenie. W tem ozwało się świśnienie długie i przeciągłe. Był to znak umówiony przez Wyżłowskiego, na który Rudolf miał mu przyprowadzić dziewczynę do powozu tuż pod okopem ogrodu stojącego. Skoczył Rudolf jakby od gadziny ukąszony. Amelka słysząc głos ludzki, któryby w innym razie ją przestraszył, uczuła pociechę w sercu swojem: twarz jego zdradziła ją.

— Słyszysz!.. Cieszysz się! jedno słowo powiedz! — mówił dalej Rudolf, a głos jego gwałtownie wstrzymywany, wydawał się jeszcze spokojny. — Nie możesz mnie kochać? powiedz! — i pięścią cisnął piersi swoje, aż mu się w ciało wpiły pistolety, które miał przy sobie. Jeszcze się wstrzymywał, ale rozmarzony trunkiem i wszystkiemi uczuciami, które ta chwila w nim rozbudziła, coraz więcej tracił świadomość siebie. Kręciło mu się wszystko w głowie gorączkowym nieładem. Szał bezmyślny porywał go w objęcia swoje.

Biedna Amelka nie umiała dać sobie rady, nie miała ani czasu, ani siły do rozumowania nad położeniem swojem. Ona w tem zdarzeniu które jej urzeczywistniało wszystkie te przeczucia przesądne, pozostałości dziecinnych lat, zdziecinniała prawie. Drżała na całem ciele, instynktowo tylko czuła potrzebę jakiej odpowiedzi, czuła konieczność znaleść słowa, któreby go nie rozgniewały. Ale jakie! czyliż je w tej chwili znaleść była w stanie. Westchnęła raz jeszcze do matki, aż łzy się potoczyły po bladych i zimnych licach, i nie mogąc dłużej wytrzymać zaślepiającego wzroku uporczywie w nią utkwionego wyrzekła nareszcie głosem tak żałośnym, iżby zdołała zdaje się najzaciętszego zmiękczyć zbrodniarza. Na nieszczęście Rudolf nie był zbrodniarzem, ale szalonym.

— Nie mogę — rzekła; — i nareszcie ojciec mój..

— Twój ojciec nie pozwoliłby! zapewne!. córkę dać słudze swemu. A więc masz być z innym szczęśliwą, a ja nazad mam iść do niewoli.. O nie, piękna panno!.. precz z miłością, zemsto do mnie!

— Zlituj się nad ojcem moim! — wykrzyknęła dziewczyna, która w tej chwili zapomniawszy o sobie drżała tylko o ojca, którego lada chwila spodziewała się.

Zaiskrzyły się mocniej jeszcze oczy Rudolfa; twarz się skrzywiła okropnie. — Ja się nad nim zlituję. Śmierć to krótka zemsta! śmierć to jedna chwila tylko. Niech więc żyje! — I prędkim ruchem ręki sięgał za zapiętą płótniankę.

http://rcin.org.pl

W tej chwili ozwały się kroki szeleszczące po liściach, które już wiatr jesienny pozwiewał na ścieżki ogrodowe.

— Idzie już, idzie kochanek po kochankę, ojciec po córkę. Ty nie chcesz być moją, ale i niczyją nie będziesz.

I łysnął przed oczami Amelki dobyty pistolet polerowną stalą.

W tej chwili śmiech wesoły i donośny doleciał z drugiego końca ogrodu, aż posłyszała i rozróżniła wszystkie głosy tak sobie znajome przyjaciółek i znajomych. Krzyk przeraźliwy okropny wyleciał z piersi biednej dziewczyny. Szeleszczące zbliżały się kroki. To Wyżłowski biegł.

A w towarzystwie tymczasem gwarno i wesoło. Długo błądzili goście Solinieccy po ciemnych ścieżkach ogrodu, utykając na drzewa, poszturkując się nawzajem, ślizgając po zmoczonej ziemi i śmiejąc się z siebie i drugich. Pani Czułkowska donośnym głosem kierowała gości swoich.

— Tędy panie moje! tylko ostrożnie, bo tu altanka.

— Zapewne że altanka! — ozwał się któryś z gości, porywając się za głowę; altanka guzem mu się pojawiła.

— I co to będzie?

— Co za myśl dziwaczna! — mówią panie podnosząc mnogie spodnice, by pięknych nie zrosić sukień.

— Szkoda że ciemno; — szeptali mężczyzni; — możnaby nie jedną zobaczyć nogę.

— Ba i co więcej! — dodał pijańszy.

Stanęli wreszcie; po długiem umyślnie podobno sprowadzonem przez gospodynię błąkaniu w miejscu otwartszem. Jakiś ozwał się turkot.

— Ktoś jedzie.

— Gdzie tam, to młyn! — odpowiedziała gospodyni.

Był to powóz, który uwoził Cyrylkę z Leonem.

— Chodźcie państwo tędy! — ozwała się znowu uradowana gospodyni — już koniec naszej wędrówki.

— Co to będzie? — I wytrzeszczyli oczy goście. Ale nic nie widzieli. Mignęło tylko jakieś biegające światełko pomiędzy przedmioty jakieś porozstawiane, których dobrze rozeznać nie można było.

I światełko biega i tu i tam; coś się niby zapali; coś przytknie, zaiskrzy się nawet jakieś światło jaśniejsze, i gaśnie znowu. I znowu ciemno, tylko dym rozszedł się smrodliwy. Po dymie dopiero poznało zacne towarzystwo, że to miał być fajerwerk, który zmoczony mgłą jesienną nie chce się zapalić.

Coraz większe powstają śmiechy; rzęsiste lecą koncepta.

A pan Czułkowski jak szalony biega z luncikiem w ręku pomiędzy koła kolumny, i inne zygzaki fajerwerkowe, które żadnym sposobem zapalić się nie chcą; sapał, dmuchał, aż mu pot biegł z czoła. O dała mu się we znaki ta niespodzianka imieninowa, za ktorej

http://rcin.org.pl

nieudanie się wie naprzód, że gorzko odpowiadać będzie po wyjeździe gości.

Na boku stali państwo Dolińscy, którzy jak już mówiłem, ciągle z sobą rozmawiają.

— Ale wierz mi moja Dosiu! — mówił czuły mąż machając rękoma i łypiąc oczyma, której to właściwości nabrał, aby być podobnym do sławnego Mrugalskiego, który między podobnemi do pana Jędrzeja był pierwszym, był głową, jakby naprzykład między cyganami król cyganów — wierz mi, że to jedyna partja dla Amelki, pominąwszy nawet i to, że gdyby mi przyszło zapłacić mu dwa tysiące dukatów, byłbym zupełnie zniszczony.

— Lecz Amelka może być z nim nieszczęśliwa.

— Przy jego majątku... przy znanym charakterze — dodał poprawiając się.

— Właśnie mówią, że był złym mężem.

— Gdzie tam, bajki!... pani wdzierała mu się w jego sprawy... zresztą chciałażbyś, by mi za ten lichy dom wieś przedał. I Amelka da sobie z nim rady; ona taka rozsądna, taka dobra, prawdziwy twój obraz.

— Poczciwe i dobre to dziecko! — odrzekła pani Dolińska z rozczuleniem, aż się jej łzy zakręciły w oczach. Lecz gdybym nawet nic nie miała przeciw temu, to jest niepodobieństwem, wszak wiemy przecie, że się o Cyrylkę, czyli raczej o jej majątek stara, i to mnie najwięcej odstrasza od niego.

— To furda panie! tylko się Dosiu nie gniewaj na mnie, nie miej mi za złe, a już ja mam sposób doskonały. — I uśmiechnął się pan Jędrzej tak dwuznacznie, że aż żona jego wpatrzyła oczy w pół przerażone.

Głośny śmiech zagłuszył i przerwał rozmowę.

— Otóż i fajerwerk przecie! — krzyczał pan Suliski.

— Cudowny, śliczny fajerwerk! — śmieli się drudzy; a kobiety mniej szczere ale grzeczniejsze, dusiły śmiech szalony chustkami, któremi broniły nosy swoje od coraz przykrzejszego dymu.

I jakżeż było się nie śmiać. Pan Czułkowski póty dmuchał i rozpalał, aż sobie przecie osmalił wąsy i włosy, a co gorzej dziwnym jakimś przypadkiem za pomocą podobno chustki, którą ciągle dobywał, by otrzeć spocone czoło, i która tleć zaczęła, udzielił ognia tylnej części swojej osoby, i właśnie gdy się zginał, aby przynajmniej nisko zakopaną zapalić racę, rozstępujące się poły frakowe okazały patrzącym koło fajerwerkowe nowego rodzaju...

— Pali się, pali! gore! — krzyczano mu, lecz on mniemając, że drwią z jego daremnych usiłowań, ostatnie zebrał siły, i zapaliwszy cudowne koło, w którem miała jaśnieć jego cyfra, dmuchał tak zawzięcie, aż posiniał cały. Jakoż z niemałą radością ogniomistrza zajął się jeden koniuszek; zakręcił szybkim ruchem, i zaczął pomału popsztykiwać, sypiąc dosyć skąpe iskry. W tej samej chwili fajerwerk podfrakowy do najwyższego doszedł stopnia, i tak się dał biednemu Czułkowskiemu we znaki, że się oburącz chwycił za część cierpiącą; a poznawszy o co rzecz idzie, jako człowiek praktyczny

http://rcin.org.pl

przysiadł do ziemi, i w tem położeniu najpocieszniej podskakiwał przyduszając ogień o zroszoną trawę.

Śmiechy wzmogły się aż do spazmów prawie.

Knot rozpalony obracał się tymczasem; kilka iskier wybuchło jeszcze.

W tej chwili ozwał się krzyk okropny, przeraźliwy; strzał jakiś wyleciał zapewne z koła fajerwerkowego, i wszystko zagasło, prócz luntu w ręku pana Czułkowskiego, i drugiego jeszcze światełka, które czasem migało się po przed oczy zgromadzonego towarzystwa za każdym skokiem rozpaczliwym biednego ogniomistrza.

— Co to jest? — ozwały się głosy.

— To tam coś krzyknęło!...

— To tam coś strzeliło.

— Krzyk ztamtąd, a strzał z fajerwerku.

— Nie, i krzyk i strzał ztamtąd.

— Amelko! — krzyknęła pani Dolińska. — Amelko! — krzyczała coraz głośniej. — O mój Boże! to był głos Amelki.

Zimny pot wystąpił na twarz pana Jędrzeja, który także poznał głos córki.

Nie mając żadnej odpowiedzi pobiegła biedna matka w stronę, zkąd się ozwał rozpaczliwy krzyk. Całe towarzystwo pobiegło za nią przez klomby i gaje ciemne, oświecone tylko luntem pana Czułkowskiego, któremu udało się przecie zgasić tylny fajerwerk, i który biegł naprzód nie zważając na pojawiające się gościom pocieszne pogorzelisko. W tej chwili z po za chmur wiatrem rozsuniętych zaświecił księżyc, który jaśniej od lunta przyświecając, kierował krokami biegnącego towarzystwa.

Prędzej od drugich dobiegła matka; oko jej śledzące naprzód dostrzegło dwa ciemniejsze cienie, schylone nad przedmiotem jakimś białym. Przyskoczyła jednym rzutem, i krzyk wydarł się z jej piersi, krzyk jakby nieludzką wydany piersią. Amelka leżała na murawie; strumień krwi lał się z jej piersi po białej sukni balowej, a nad nią stali: Rudolf z oczami wlepionemi w nią bez wszelkiego wyrazu, czyli raczej z wyrazem pomieszanym i niepewnym i pan Wyżłowski, który wpatrywał się w twarz leżącej z głupiem zadziwieniem.

— Nie żyje! — krzyknęła matka.

Całe towarzystwo więcej ciekawe niż przerażone okoliło to grono z kilku osób złożone.

Przyskoczył wreszcie i ojciec.

— Co to? zabita? — zawołał.

— Zabita! — odpowiedział mu głos Rudolfa tak zmieniony, że się aż wzdrygnął pan Jędrzej.

— Kto zabił? — wołał dalej, i rzuciwszy spojrzenie przelotne na Rudolfa, postrzegł w ręku jego dymiący jeszcze pistolet. — Ty zabiłeś?

— Ja! — odpowiedział Rudolf, i zaśmiał się przeraźliwie. — Wykradnij teraz kochanku czuły trupa! — dodał zwrócony do Wyżłowskiego.

— Ja? — zawołał zagadniony — to panna Amelja, gdzież jest panna Cyrylla?

http://rcin.org.pl

— Panny Cyrylli niema — ozwali się gości.

— To dwa wykradzenia podobno.

Matka leżała na trupie córki tuląc ją do łona; pierś jej okropnie robiła, a łzy padały z oczów na twarz straszliwie zmienioną. Słyszała wszystkie słowa mówione w koło niej, lecz je słyszeć się nie zdawała. Raptem podniosła głowę i spojrzała na męża z wyrazem trudnym do oddania.

— Więc to był twój sposób, zabójco własnej córki. Amelko! Amelko! — krzyczała głosem rozdzierającym serce, i zimne usta przyłożyła do rany sączącej jeszcze ciepłą krew.

Co się działo w sercu pana Jędrzeja, trudno odgadnąć; przez chwilę stał osłupiały, raptem przyskoczył do Rudolfa.

— Ty ją zabiłeś łotrze! — krzyknął — łapcie go, bierzcie, do kryminału z nim! — Pierwsza jego myśl nie był to żal za córką, ale zemsta tak mu miła, tak mu zwyczajna, zemsta kodeksowa. — Do kryminału z nim! — powtórzył — będziesz wisiał zabójco.

— Ja warjat! warjat! warjat! — krzyczał Rudolf i śmiał się, ale śmiał się tak szalenie, że wszyscy przytomni odskoczyli mimowolnie. — Ty wiesz opiekunie mój, że ja warjat!...

— Ty nie jesteś! — krzyknął ojciec i zamilkł raptem. Dziwna walka zaczęła się w jego duszy; czy powiesić Rudolfa z niebezpieczeństwem odkrycia intryg wszystkich, a może nawet stracenia jego majątku, czy uznać go za warjata, i korzystać przynajmniej z jego majątku; wszakże córka i tak się już nie wróci.

— Ja warjat biedny, nieszczęśliwy!... nie zazdrośćcie mi państwo! — krzyczał Rudolf, który w tej chwili nie udawał Słowa jego uległy dawno przygotowywanemu pomięszaniu. — Siedźcie cicho! to moja narzeczona! już się położyła na łożu małżeńskiem. Amelino, ja przy tobie, twój kochanek, twój mąż, nie ten tchórz, który w powozie czekał, aż mu ciebie przywiodę.

— Związać szaleńca! — krzyczał Doliński.

— Chodź ojcze, chodź opiekunie! to twoja córka zabita przez pupilla twego. Przypatrz się twemu dziełu, człowieku bez serca... oddajże teraz życie jedynaczce, oddaj mnie rozum skradziony, oddaj szczęście tej biednej matce, oddaj pozabierane pieniądze tysiącom nieszczęśliwych ofiar twoich, ty opiekunie ogólny!... oddaj życie i rozum, wszak jesteś tęgi jurysta; umiesz wszystko wykręcić, wykpić, wytumanić... wytumańże życie dla córki, rozum dla mnie, ty kuglarzu towarzyski bez czci i wiary.

Pan Jędrzej nie zdołał ani słowa przemówić; czuł choć nie widział tego, jak wszystkie oczy na niego zwrócone były, słyszał, co i jak wszyscy szeptali między sobą. Raptem myśl nowa ożywiła twarz jego.

— Ha to pan! — krzyknął i obrócił się do Wyżłowskiego, który zaczynał się już milczkiem wynosić — pan jesteś sprawcą tego nieszczęścia, pan mi odpowiesz.

— Ja? słowo honoru!...

— Moją córką chciałeś wykraść.

http://rcin.org.pl

— Ale słowo honoru, to nieporozumienie!

— Ktoby się był tej zdrady spodziewał! — mruczała pani Czułkowska widząc z rozpaczą, jak jej z przed nosa faktorne posagowe uciekło.

— Piękne nieporozumienie! piękne, słowo honoru! — mówił dalej pan Jędrzej — ale mamy prawa przecie... już ja dójdę mego, choćby mnie to ostatni grosz kosztować miało.

— Ale panie dobrodzieju! panie Jędrzeju! — mówił przestraszony Wyżłowski.

— Nie mój panie! to vis publica! to pachnie kryminałem! — mówił ojciec, który w tej chwili rachował już czy prócz długu nie dałoby się co wydrzeć od Wyżłowskiego.

Obrzydliwa była ta rozmowa interesowna obok trupa. Nikt podobno tego nie zrozumiał prócz warjata, który zakrzyczał znowu.

— Pomsty pięniężnej żądasz, ty potworo bez serca!... ty ją zabiłeś sam.

— Bierzcie go, wiążcie, zatkajcie mu gębę!

Jakoż nadbiegło kilku ludzi z dworu, którzy porwali Rudolfa i ciągnęli za sobą.

— Ty ją zabiłeś! — krzyczał z daleka, — i teraz chcesz wyprocesować pieniądze za krew córki... O ty jesteś ciągły pozew przeciw ludzkości, i umrzesz kiedyś pod płotem z ostatnim pozwem w kieszeni; a dekret tam w niebie już wypisany... dekret okropny, niecofniony! Bądź zdrów opiekunie drogi!... ja warjat! warjat! warjat!

Nikt okropności tej sceny pojąć nie był w stanie prócz biednej matki; ta leżała na trupie córki bez myśli, bez czucia, bez ruchu, a choć się na chwilę podniosła blada i zimna, nikt wyrazu tej twarzy nie rozumiał, i ja go opisywać nie będę. Bo rozpacz matki jest to uczucie niezmierzone, nieschwytane; słowem zkarlisz, pismem pokalasz. Bóg jeden tylko widział co się działo w sercu tej matki, która nic nie miała na świecie prócz tej córki; ze wszystkich uczuć niezrozumianych i zarzuconych dawno, to jedno zostało jej uczucie.

I któż miał zrozumieć? goście się rozbiegli; mąż poszedł z panem Wyżłowskim na ustroń; pani Czułkowska pobiegła dowiedzieć się, co się stało z Cyrylką; warjata odprowadzili.

Jeden Czułkowski nie zważając na swoje fajerkowe boleści pozostał przy matce, i błagał aby wstała.

— Może jeszcze jest ratunek! — powiedział. Te słowa, w które sam nie wierzył, poddała mu litość prawdziwa, która przeważa zapewne wiele wad głowy.

I jeszcze był jeden świadek. Z za okopu ogrodowego pomiędzy liście brzozowe wyglądał siwy Wolf; przysłuchiwał się ciekawie, a gdy wszyscy odeszli, kiwnął głową z uśmiechem serdecznie szyderczym.

http://rcin.org.pl

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Małżeństwo jakich wiele.

Ile to ludzi mądrych i głupich, namiętnych i zimnych, rozumowało już we wszystkich ludzkich językach o małżeństwie; zapisano tomy, z którychby już można potężną ułożyć bibliotekę, nagadano tak wiele iżby na wietrze tych słów możnaby zemleć dla całej ludzkości mąkę na dwa wieki przynajmniej; a w końcu wszystkie rozumowania za i przeciw dobroci małżeństw można zredukować do tej dykteryjki o tym matrymonialne myśli mającym, który się radził jednego przyjaciela, czy ma się żenić? Ten mu odpowiedział: żeń się a będziesz szczęśliwy. Radził się drugiego, a ten mu powiedział: nie żeń się a będziesz szczęśliwy.

A zatem to z tego wnioskować można, że szczęście małżeńskie należy do owych szczęść indywidualnych, o których więc same tylko indywidualne istnieć mogą sądy i rozumienia. Ktoby chciał naprzykład posłuchać Sokratesa, tego mędrca nad mędrcami, byłby się wolał utopić niżeli wziąść żonę. I nie dosyć na tem, ale prócz tego jeszcze by znaleźć męża lub żonę dobrą, jakże wiele zależy od szczęśliwego przypadku! jakoż w skutek mnóstwa rozumowań o małżeństwach ten w końcu znaleźliśmy pewnik, że szczęście małżeńskie, a zatem i ogólna wartość tego stanu, zależy od dobroci wyboru i dobrego w nim powodzenia. Wybór zaś ten jest tak trudny, iż w naszych osobliwie czasach graniczy poniekąd o dziewiąty cud świata. Dobra żona jest to kwinterno na loterji, powiedział mi niedawno jeden znajomy; i to samo zdanie powtórzyłaby zapewne nie jedna kobieta, o znalezieniu dobrego męża.

Helweciusz powiedział, a za nim Weiss powtórzył: „nie ma nic trudniejszego nad wybór dobrej żony, jeżeli nie wybór dobrego męża.“ I dobrze powiedzieli. Bo przynajmniej mężczyzna przyjeżdżający lub przychodzący w dom przyszłej żony, może jeżeli nie jest zupełnym hebesem, lub wściekle zakochanym, dostrzedz tu i owdzie, to i owo, co mu może odkryć najtajemniejszą jej stronę. Trudniej to w mieście, gdzie salon jest już planem bitwy pierwej opatrzonym, na który obie strony przychodzą przygotowane. Ale na wsi, ni z tego ni z owego wpadasz z nienacka, i w przemykającej brudnej oklapanej i niewyczesanej kobiecie ledwie poznasz wytworną damę myśli swoich, tak zawsze czystą, tak zawsze świeżą i wonną. Nieraz wbiegniesz do garderoby, szatan kusiciel wie najlepiej po co, i czułą sentymentalną kochankę swoją, ten wzór anielskiej dobroci, zdybujesz zaperzoną, rozdającą głośne policzki i głośniejsze słowa między fraucymer swój. Ba i inne nieraz rzeczy dostrzeżesz uczęszając do domu przyszłej żony, ale panna na wydaniu, pominąwszy jej niedoświadczenie, wychowanie płytkie, chęć gwałtowną do małżeństwa od dzieciństwa jej wraz z pacierzem wlewaną i strach staropanieństwa wrażany jej od lat najmłodszych jako ideał nieszczęścia wstydu i hańby, jakże

http://rcin.org.pl

poznać może kawalera, który wraz z szlafrokiem zostawia w domu wszystkie brudy i przywary domowe, a wdziewa jadąc lub idąc do niej frak na ciało, fałsz na duszę, uśmiech na twarz, miód na język. I każdy pilnuje się doskonale, by się nie zdradzić, lub się z czem nie wymówić. To tedy zdaje się potwierdzać zdanie rzeczonych filozofów.

Lecz w ogóle trudność jest zobopólna, bo tak panna jak i kawaler osłaniają się jak mogą przed sobą, by broń Boże nagość jaka nie odkryła przywary moralnej i fizycznej. I tak nieraz młodzi małżonkowie zdybali z niemałem zadziwieniem złość, gdzie była dobroć; krzywą łopatkę pod buchastym strojem. Niema złej panny na świecie! mawiał mój stryj, i miał słuszność podobno. Wszystkie panny żądne mężów, wszyscy kawalerowie żądni posagów są to anioły. Przed małżeństwem oboje są widzami siedzącemi przed sceną własnych przedstawień udanych; po małżeństwie wchodzą za kulisy, i następują odczarowania zakulisowe, odkrywające lampę śmierdzącą, gdzie był księżyc, szych, gdzie było zoto, szkło, gdzie były brylanty, płótno zbrukane, gdzie były urocze okolice, ruż, gdzie był rumieniec. I trudno żądać, by było inaczej.

Jeżeli się nie kochają, tylko chcą pobrać dla pewnych względów, są zapewne uważniejsi nawzajem, ale też i uważniej siebie pilnują; jeżeli się zaś kochają, to jeszcze gorzej, bo miłość jak wiemy sama ślepa zaślepia kochanków swą czarującą przepaską na oczy zarzuconą. Czy tak czy inaczej musi zawsze nastąpić rodzaj podobnego odczarowania, prócz rzadkich bardzo wyjątków szczególnej szczerości lub szczególnego szczęścia. Na odczarowanie najlepszy rozsądek, który jest zimny zapewne, ale zdrowo sądzi i zdrowo doradza.

Lecz zkądże ma się wziąść ten rozsądek u panny lub kawalera, którzy zwykle do ślubu przystępują bez wszelkiego moralnego przygotowania, bez wyrobionego stanowiska, bez myśli kierującej dobrem wychowaniem wyrobionej. U nas wychowanie idzie na los szczęścia, a więc i pożycie małżeńskie puszczamy na los szczęścia. Odczarowanie zaś każde samo w sobie mieści już przykre uczucie własnej winy, którą tak chętnie zrzucamy na drugich. Ztąd owe wieczne utyskiwania zobopólne obojga małżonków. Oszukana jestem! oszukany jestem! krzyczą oboje niepomni, że się oszukiwali nawzajem. Zwalają winę z siebie, śledzą małżonek lub małżonka wad własnych z większą jeszcze troskliwością, niż pierwej wyszukiwali własnych zalet. Tym sposobem rodzi się niesmak, nienawiść, lub jeżeli to są ludzie upolerowani w świecie, zupełna obojętność, a najczęściej najpocieszniejsze sprzeczki i kłótnie za lada głupstwo.

I tak znałem małżeństwo szczególne; oboje ludzie nieźli i nie głupi; kochali się tak zawzięcie przed ślubem, iż jedno drugiemu ustępowało na wyścigi. Panna gotowa była kochankowi ustąpić balu i stroju gotowego; kawaler ustępował kochance śniadania, kart i szampana kawalerskiego. Jedno nie chciało jeść bez drugiego; nie było dla nich przyjemności żadnej, jeżeli ta nie była wspólna; zgoła wszystkie ich myśli, chęci, uczucia i najdrobniejsze nawyknienia były wspólne. Owoż ta jedność szczególna rozbiła się nazajutrz po ślubie

http://rcin.org.pl

przy... ledwie zechcecie państwo uwierzyć... przy wątróbce. Tak jest, przy wątróbce.

W końcu obiadu podali kapłona; oboje lubili wątróbkę, i ileż to przed ślubem wątróbek odrzucili od siebie, lub się niemi podzielili. Po ślubie zdawało się żonie, że cała wątróbka do niej należy; też samą myśl miał i mąż, a że kapłon jednę tylko miał wątróbkę, pępuszka nie lubili, po raz pierwszy podąsali się fatalnie. A pierwsze nadąsanie się jest to pierwszy krok, który jeden tylko jest najtrudniejszy. Na pociechę jednakże dodam, że się znalazł mądry doradzca, i odtąd dwa kapłony przychodziły na stół młodych małżonków. Lecz nagięcie raz wzięte nie tak łatwo ustaje. Po kilku obiadach swobodnych i czułych dąsali się o obie wątróbki.

Był to zapewne błahy przedmiot; ileż to jest daleko ważniejszych, o które spokój tego pożycia wspólnego rozbija się nieraz. Ileż to takich zamiłowań wątróbkowych na większy rozmiar zdybują w sobie małżonkowie, których dawniej nie widzieli. Nie poznali się pierwej dobrze, czyli co gorzej poznali się fałszywie; a prócz tego w tem poznawaniu drobnych właściwości nigdy się nie zarabia w oczach drugiego.

Francuzkie powiada przysłowie: „niema bohatera dla kamerdynera.“ Temci mniej bohaterem w oczach wiecznej towarzyszki swojej. Ile to najpiękniejszych cudownie wymarzonych złudzeń niknie przed widokiem pierwszy raz wdzianej szlafmycy i czepka nocnego. „Jak fatalnie, jak nieznośnie wyglądasz w szlafroku,“ mówiła jedna rozsądna zresztą pani, która długo przyzwyczaić się nie mogła do myśli, aby ten tak zawsze dbały o strój mężczyzna przystępował do niej w szlafroku.

„J'aimerais le mariage s'il n'était si vilain! c'est à vomir!“ powiedziała jedna z bardzo dowcipnych Polek. Nie wiem, czy to dowcip, czy nonsens; ale zapewne dowcip, kiedy go po fancuzku wyrzekła: po polsku byłby się może wydał nonsensem.

Z tego co tak długo i rozwlekle powiedziałem, trzebaby wyciągnąć jakiś wniosek, lecz ponieważ naprzód trudne byłoby to zdanie, powiedzieć co więcej, nad to co powiedzieli po podobnych zapewne rozumowaniach nadmienieni na początku rozdziału filozofowie, a powtóre, że cały ten ustęp miał być tylko przedmową do ostatniej sceny mojej powieści, wolę bez dalszego gadulstwa przystąpić do niej.

Było to w porze jesiennej, we dwa czy trzy miesiące po okropnem zdarzeniu w Solinieckim dworze. Wiatr przeraźliwy szumiał pomiędzy wysokie sosny okalające póki oko zasięga obszerną wioskę, rzuconą jakby przez zapomnienie w środek kilkomilowego boru. Deszcz z śniegiem tłukł o okna dworu starego drewnianego, który na środku wsi wzniesiony, staroświeckim ogrodem otoczony, niknął wraz ze wsią i okolicą całą w mgle jesiennej, i tej przez kilka już dni zaciągnionej firance słotnej. Były to Niżyńce, a we dworze w pokoju, którego przystrojenie zdradzało długie zaniedbanie, siedzieli Leon i Cyrylla używający miodowych miesięcy małżeńskich. Rozparta na kanapie, otulona ciepłym strojem domowym, siedziała Cyrylka;

http://rcin.org.pl

w wielkiem zaś krześle o szerokich poręczach koło kominka siedział Leon ubrany w kożuszek domowy, który powiedziawszy nawiasem, niekoniecznie miłą wonią swoją zdradzał domowe pochodzenie.

Nie wiem, czy się zmęczyli długą rozmową, ale tym razem milczeli zupełnie. Cichość w około panującą przerywał tylko deszcz krupami śnieżnemi dzwoniący w okna dworu, i wiatr, który od czasu do czasu zawył żałośnie, zajęczał chorągiewką nad studnią. Nie słysząc rozmowy, przypatrzymy się twarzom. Niezmienione dotąd, młode, zdrowe i miłe nawet, lecz jakże zmienione są ich wyrazy. Obojętność jeszcze większa na twarzy Leona, zgryźliwa niecierpliwość po raz pierwszy zrzuciła małżeński czepek, przypomniawszy sobie, że jej włosy tak piękne, tak gęste i lustrowne, iżby szkoda było więzić je w czepku. I czyż już nie dosyć nanosiła się tego godła małżeńskiej powagi. Leon spuścił głowę na piersi, jakby był znużony.

Cyrylka krzyknęła niecierpliwie.

Leon podniósł głowę do góry, popatrzył obojętnie na żonę, jakby się patrzył na jaki sprzęt domowy, i milczeli dalej.

Było to po obiedzie; to były najcięższe godziny dla małżonków. Zrana szło to jakoś; Leon chodził po dobrze zaopatrzonej stajni; Cyrylka długie godziny przepędzała przed zwierciadłem, nie bez żalu, że niema dla kogo się stroić. Po smacznym obiedzie Cyrylka miałaby ochotę do rozmowy, do jakiej romantycznej polemiki z mężem, którego pierwszych dni przyzwyczajała do takiej poobiedniej zabawki. Leon chciał gwałtem podrzemać; to mu najlepiej pomagało do strawności.

— Ty już spisz? — ozwała się wreszcie.

— O nie! — i usta jego przeciągnęły się z lekka.

— Dla czegoż nic nie mówisz?

— O czemże chcesz mówić Cyrylko?

— O mój Boże? wszak to najlepiej wiedzieć powinieneś; wy mężczyzni umiecie najlepiej mówić, kiedy chcecie. Pamiętasz Leonie nasz romans w Solińcach?

— Nasz romans! — odrzekł Leon z rodzajem zadziwienia.

— Wtenczas wzdychałeś przynajmniej do mnie Leonku.

— I teraz! — odpowiedział Leon, i spróbował westchnąć, lecz daremnie, ziewnął tylko potężnie.

— Ty ziewasz mężu?

— Nie duszko; ja westchnąłem jak dawniej.

— Jak dawniej? — i zaświeciły się oczy Cyrylki

— Jak dawniej! — powtórzył Leon i ziewnął jeszcze mocniej. Nawzdychawszy się do woli przed ślubem, Leon ziewał bez końca po ślubie. To było jednakowego u niego znaczenia; westchnienia przedślubne były tylko mniej szczere. Jakoż wierzcie mi piękne panie, że ci kochankowie co wzdychają zapamiętale przed ślubem, zwykle ziewają zapamiętale po ślubie.

— Ale ty wyraźnie ziewasz!

— Nie wyspałem się w nocy.

— Tyś się nie wyspał — odpowiedziała Cyrylka i trąciła książkę przed nią leżącą z ruchem niecierpliwym — wszak spałeś jak zabity.

http://rcin.org.pl

— To ci się zdawało, ja... ja marzyłem.
— Marzyłeś!...
— O tobie!
— Ja byłam przy tobie... o Leonie, jakie to miłe były nasze marzenia dawne.
— Cudowne mój aniołku! — na potwierdzenie czego ziewnął znowu.
— Jak my się kochali!
Leon ziewnął.
— Pamiętasz owe imieniny?
— Dobrze, że nas nie złapali na granicy.
— Ja nie uważałam na niebezpieczeństwo, bo byłam z tobą.
Leon ziewnął.
— I pobraliśmy się przecie ciotce na złość.
— Tak! tak!...
— I kochamy się zawsze! nie prawdaż?
— A! a! prawda.
— I kochasz mnie tak jak ja ciebie, i wierzysz, że ciebie kocham?...
Ziewnął znowu biedny Leon, lecz trzeba prawdę wyznać, że i Cyrylka ziewnęła.
— A widzisz Cyrylko, że i ty senna...
— Tybyś nie wiem kogo zaraził.
— Wiesz co Cyrylko, przedrzym się także.
— Ja nie chcę drzemać.
— To czytaj.
— Cóż będę czytać te wszystkie stare szpargały, które już wszystkie umiem na pamięć.
— Czytaj jeszcze raz...
— Nudny jesteś Leonie!
— Daj mi przedrzymać się.
— Ha to okropnie!... żebyś przynajmniej dbał o nowe książki dla mnie.
— Wszak posyłałem do Brodów.
— I przysłali mi panią Genlis i panią Cottin... piękna lektura...
— A piękna! — ziewał dalej.
— Żebyś sam pojechał do Brodów.
— W Brodach niema księgarni.
— Ale przecie dostałbyś, gdybyś sam pojechał.
— W taki czas i plutę... co tobie w głowie; ja mam katar. — I dowiódł zaraz tego, bo zachrapał biedaczek.
— Dawniej byłbyś pojechał w taki i w gorszy nawet czas.
Leon chrapał.
— Leonie! — krzyknęła rozgniewana Cyrylka.
— Co duszko?
— Ja nie chcę, byś spał.
— Ja nie spię, jak cię kocham.
— Mów co do mnie; ja się nudzę.

http://rcin.org.pl

— I ja się nudzę.
— Dawniej przecie nie nudziłam się tak.
— I ja się podobno mniej nudziłem... to ten czas jesienny...
— Czas! zapewne że czas!...

I nastało znowu milczenie; Leon ziewał i drzymał, Cyrylka marzyła nad swojem położeniem; nie mogła je sobie jasno wytłumaczyć, to tylko pewna, że się jej okropnie nudzić zaczynało.

— Leonie!...
— Aha! ja słyszę...
— Chyba jedźmy do miasta.
— Co?...
— Jedźmy do miasta.
— A po co?...
— Wszak sam mówisz, że się nudzisz... tam się rozerwiemy... gdyby przynajmniej jakie sąsiedztwo; daremnie mi Adamska najpiękniejsze przysyła stroje. Gdyby już raz przynajmniej przybył ten oddział kawalerji, który ma być u nas zakwaterowany.
— Ja nie lubię wojskowych! — odrzekł w pół śpiący Leon.
— Więc kiedy pojedziemy.
— Gdzie?
— Do miasta.
— Wierz mi duszko, tam się będziemy gorzej jeszcze nudzić: nam tu tak dobrze razem z sobą...
— A widać! spisz doskonale.
— Tam się trzeba ciągle żenować.
— Tu się nie żenujesz...
— Ciągle trzeba stroić się.
— Zapewne musiałbyś porzucić ten kożuszek śmierdzący.
— Czy on śmierdzi? — zapytał małżonek naiwnie.

Cyrylka nic nie odpowiedziała; zamarzyła bowiem w tej chwili o mieście, i z myśli w myśl przypomniała sobie Edwarda. Dziwna rzecz! pomyślała sobie; życie moje jest ciągłem odczarowaniem. Tamten porzucił, a ten śpi. Zły to znak dla męża, gdy żona zaczyna porównywać; nieobecny zarabia zawsze na konto obecnego.

— Wszak ty byłeś Leonie w stolicy?...
— A byłem!...
— I dobrze bawiłeś się?...
— Ot zwyczajnie jak w mieście.
— Nie znałeś tam jakiego Edwarda?...
— Edwarda? znałem podobno kilku Edwardów.
— Powiedz mi Leonku co o nich.
— O Edwardach?...
— Tak jest!...
— Jak cię kocham aniołku, nie dobrze sobie przypominam. Jeden podobno był traktjernikiem.
— A fe!...
— Miałem fryzjera Edwarda...
— Piękne miałeś znajomości.
— A był jeszcze Edward bardzo grzeczny człowiek.

http://rcin.org.pl

— Wysoki?
— Podobno!...
— Brunet?...
— Zdaje mi się...
— Dobrze wychowany?
— Nie źle!
— Głos przyjemny, ujmujący?...
— A tak! niezły głos miała jego basetla.
— Co ty pleciesz mężu?
— A tak aniołku, on był przy orkiestrze towarzystwa muzycznego; słyszałem go raz na koncercie u Konstancji.

Zacisnęła zęby Cyrylka, i zamilkła rzucając rozgniewane spojrzenie na męża; chciałaby się z nim wykłócić, ale on zasnął znowu.

— Leonie!
— Co duszko!
— Zkąd była twoja znajomość z kuzynką Konstancją?
— Ot zwyczajnie! — odpowiedział zakłopotany nieco małżonek. — Z oberży podobno...
— Ale jakaż to była ta znajomość, bo miarkując po liście, który mi przywiozłeś, znaliście się dobrze.

Leon milczał i udawał że spi...

— Ty milczysz! nie chcesz mi odpowiedzieć!
— Jak chcesz aniołku! — zagadł Leon, chcąc przerwać tę rozmowę. — Jak śnieg upadnie, pojedziemy do miasta.
— Dla Konstancji? — rzekła zrywając się.
— Nie duszko! dla ciebie! wszak życzysz sobie tego.
— O mój Boże! jaka ja nieszczęśliwa! — zawołała Cyrylka rzucając się nazad na kanapę. — Nikt mnie nie rozumie!

Leon ziewnął tymczasem, przeciągnął się na krześle i zasnął znowu.

— Zdrajco! — krzyknęła Cyrylka.
— Fe duszko! przestraszyłaś mnie.
— Ty mnie nigdy nie kochałeś!
— Wszak cię wykradłem z niebezpieczeństwem życia.
— Ty kochałeś, i kochasz jeszcze?
— Ciebie tylko aniołku!...
— Leonie ja dla ciebie poświęciłam wszystko.
— Cyrylko! — odrzekł mąż jak mógł najczulej, między westchnieniem a ziewnieniem. — Czego niepokoisz się dzieciństwami jakiemiś... wierz mi, po obiedzie najlepsza drzemka. — I zadrzymał znowu.

Już się też i ciemno zrobiło. Cyrylka zadzwoniła, wniesiono świece. Leon spał i pochrapywał na piękne. Zniecierpliwiona Cyrylka przechadzała się po pokoju; stanęła koło niego, i wpatrywała się w tę twarz mężowską, która się jej tak ładną wydawała, tak interesującą. Śpiąc Leon był brzydki nawet. Oczy zamknięte, usta w pół otwarte, twarz snem przeciągnięta nie miały już tego wyrazu romantycznego, który dawniej w nim postrzegła. Sen nie ujmywał twarzy jego wyrazu głupoty; snać sny jego były równie nijakie jak i dusza

http://rcin.org.pl

jego. Romantyczna pani wzdrygnęła się. To dziwna rzecz! pomyślała sobie; Edward był ładniejszy.

W tem na dziedzińcu ozwał się ruch niezwyczajny. Cyrylka obejrzała się słuchając z uwagą. Czy nie goście? pomyślała, o żeby goście! I w rzeczy samej ozwało się trzaśnięcie bicza poganiającego konie, i pluskanie błota pod kołami powozu i nogami końskiemi.

— Goście jadą! — krzyknęła nad uchem Leona. Zerwał się biedak ze smacznego snu, w którym mu się marzyło, że po dobrym obiedzie smacznie zasnął.

— Goście? — powtórzył ziewając; — ej gdzie tam?

— A ty w tym brudnym śmierdzącym kożuszku.

— Doskonały kożuszek, a taki ciepły.

— Ktoś idzie!

— To Walenty zapewne idzie z kawą.

— Nie! to nie Walenty, to ktoś cudzy — serce jej zatłukło a oczy pobiegły ku drzwiom. Jakoż w rzeczy samej ozwały się jakieś kroki, towarzyszone brzękiem jakby ostrogi. Leon siedział najspokojniej; Cyrylka zaś cofnęła się ku kanapie, i usiadłszy z całą powagą pani domu, porwała książkę.

— To pewnie cyrkularny Kreisdragon.

— Raczej który z oficerów nowo przebyłego pułku; może nawet sam pułkownik...

— Ej gdzież tam; tu tylko pół szwadronu stać będzie.

Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna wysoki, w stroju kirasierskim z ogromnemi ostrogami brzęczącemi doskonale.

— Proszę mi darować! — rzekł — jeżeli nie wiedząc, gdzie mi kwaterę przeznaczono, zajechałem wprost do dworu... jestem...

— Pan Edward! — krzyknęła Cyrylka.

— Karol! — zawołał Leon.

Nowo przybyły rzucił badawcze spojrzenie na gospodarstwo, i przelotny uśmiech szyderczy wystąpił mu na twarz. — Tak jest, jestem Edward Karol Lemiński.

— Edward! Edward! — mruczał małżonek, i skrobał się w czoło.

— Jakże mi miło uściskać cię drogi Leonku, mój przyjacielu!... i powitać panią, którą miałem zaszczyt widywać czasem w stolicy.

— To znaliście się w stolicy?

— Miałem tę przyjemność: to było przed twoim do miasta przyjazdem.

— Aha! — mruknął Leon, który miał podobne uczucie jak student wracający z wakacji.

— Miła ta wróżba dla mnie, że na pierwszym wstępie w tę okolicę, zdybuję przyjaciela... i... i... — resztę dokończył ognistem spojrzeniem, na które Cyrylka odpowiedziała najpotężniejszym rumieńcem.

— Dla nas także kochany Karolu; szkoda tylko, że żona moja chce wyjeżdżać do stolicy; jakoż wkrótce...

— Pani wyjeżdżasz? — zapytał smutnym głosem i wzrokiem, który jej żywo przypomniał wiosniane sceny w ogrodzie jezuickim.

http://rcin.org.pl

— Miałam tę myśl, lecz rozsądne uwagi kochanego Leona odwiodły mnie od niej.

— Czegoż mnie straszysz, ty niedobry, ty... poczciwy Leonku! Ale jak ślicznie wyglądasz z pięknego chłopca, tego trzpiota miejskiego, z tą minką romantyczną i naiwnie zdradliwą, zrobił się obywatel, mąż!... Czy zawsze mnie kochasz? Nie uwierzysz pani! — dodał zwrócony do Cyrylki — jak my się serdecznie kochali w stolicy; byliśmy les inséparables... nazywano nas Orestem i Pyladem. Czego mi się tak przypatrujesz kochany Leonku, czyż nie wiedziałeś, że ja byłem w wojsku i że tylko dłuższy urlop trzymał mnie w stolicy?

— A wiem...

— Ostatni raz, gdy cię pani widziałem.. smutne okoliczności przymusiły mnie pójść do wojska. Tam chciałem zapomnieć całą przeszłość moją, zagrzebać próżne nadzieje... i dzięki niektórym protekcjom jestem kapitanem, a dzięki łaskawej opatrzności jestem w domu przyjacielskim.

Zapomniał zapewne dodać pan kapitan, że wyciągnąwszy niemały kapitał z stosunku swego z Konstancją, kupił za część onego swoją posadę wojskową, i z szyderczym żalem pożegnał tę roztrzepaną Konstancję, która wyjechała za granicę, by skromnem życiem załatać nadwerężony majątek, niepozwalający jej żyć na dawnej stopie w kraju.

— Leonku, zdaje mi się, że najlepszą kwaterę mieć będzie pan kapitan w naszym domu.

— A zapewne! — odpowiedział pokornie Leonek, który zaczynał już czuć władzę Karola, z pod której ledwie był uciekł wyjeżdżając z stolicy.

Wyszedł po kwaterę, mrucząc pod nosem: „Karol Edward!“ i zdawał się wiele a głęboko myśleć, chociaż w rzeczy samej nie myślał biedny Leonek.

Zostali się Cyrylka i Edward Karol... Nie będę nudził czytelników moich długą ich rozmową; wolę zostawić łaskawym, którzy dotrwali ze mną aż do końca, przyjemność domyślania się, a mniemam, że to najlepszy koniec powieści.

Dodam tylko, że od przyjazdu kapitana nowe zaczęło się życie w domu państwa Biczyńskich. Wesołość i zadowolenie na wszystkich były twarzach. Leon śmiał się ciągle i bawił kapitalnie; wszak mu pozwalano drzemać po obiedzie, a nawet wcześnie kłaść się do łóżka.

— Ty jesteś pod szczęśliwą gwiazdą urodzony; prawdziwie w czepku, jak to powiadają — mawiał Karol do niego — twoja żona jest anioł, i do tego bogata...

— Aha! — odpowiadał Leon i zacierał ręce. — Gdzie ją poznałeś? — dodawał po chwili namysłu.

— Prawdziwie ledwie pamiętam... na pensji podobno, gdzie odwidzałem jedną kuzynkę i to bardzo rzadko, bo ta pani Bzurska była bardzo surowa.

http://rcin.org.pl

— Szczególny traf! — mawiał na to Leon i głęboko zamyślał się... o smacznym obiedzie, który stawał się coraz większą koniecznością dla wzrastającej szybkim krokiem potężnej tuszy.

Leon był szczęśliwy w całem tego słowa znaczeniu; nic nie robił i nic nie myślał, bo nawet gospodarstwem doskonale prowadzonem przez kapitana nie wielce się trudnił; jakoż domownicy zwykle Cyrylkę i Karola nazywali imością i jegomością, a poczciwego Leonka panem Biczyńskim po prostu. A choć się nasz Leon poskrobał czasem w głowę: Nie głupim! mawiał do siebie, wdawać się w jakieś niepotrzebne uwagi. Jestem obywatelem, mam majątek, czyli moja żona ma majątek, co zresztą na jedno wychodzi; mam żonę piękną; przyjaciela, który jest kapitanem i dobrze wychowanym; jem doskonale, śpię wybornie; czegoż więcej trzeba na tym padole nieszczęść i płaczu. Śmieszna ta Konstancja z swojemi przepowiedniami. Cyrylka mnie kocha więcej niż kiedykolwiek, głaszcze mnie, pieści, lubym Leonkiem nazywa. Karol wyrozumniał oczywiście, nie nudzi mnie uwagami swemi, wszystko chwali co ja robię, nawet nie upomina się o dług, jaki ma u mnie. Dalipan ja jestem szczęśliwy! i sam sobie to winienem. Dobrze mi nieraz mówiła ciotka, że ja mam dowcip!

Cyrylka i Karol byli szczęśliwi także; rozmawiali tak pięknie, tak wzniośle, tak romantycznie, jakby jaką kartkę z romansu wyjętą czytali!...

— A więc koniec powieści, panie powieściarzu?

— A jużci koniec; czegoż chcecie więcej łaskawi czytelnicy?

— Co było dalej?...

Dalej i dalej, a zawsze o dalej pyta każdy, a więc były i dzieci, śliczne aniołeczki, podobniuteńkie do swego ojca, jak twierdzili sąsiedzi i sąsiadki. A zresztą kto wie, czy się kiedy jeszcze nie zdybiemy w mieście z państwem Leonostwem i panem kapitanem. Może też przecie wyjadą kiedy do miasteczka na karnawał; wtenczas ich złapiemy i wciągniemy może do nowej jakiej powieści.

— Ale inne osoby?

Może i te kiedy zdybiemy. I mniejsza zda mi się o figury mniejszej wagi; mniejsza o Czułkowskich wypędzonych z Soliniec i siedzących gdzieś na małej dzierżawce. Mniejsza o Konstancją, która znowu bryluje w stolicy; mniejsza o trzech chorych braci; niewyleczenie chorują zawsze, jeden na pana, drugi na reumatyzm, trzeci na głowę; mniejsza o pana Jędrzeja, który handluje wołami, Rudolfa osadził w domie warjatów, z Wyżłowskim zkwitował się, a przecież jak powiadają bankructwem pachnie...

— A Amelka?

Biedna Amelka! to był aniołek zabłąkany na tę brudną ziemię; czyż nie lepiej dla niej, że aniołek uleciał w niebo do ojczyzny swojej, niżby kiedy brudne życie miało ją pokalać błotem swojem?

— Więc umarła?

Umarła dla was, którzy lubicie w powieści okropne zdarzenia; dla tych, którzy lubią, by się powieść dobrze skończyła, mógłbym

http://rcin.org.pl

powiedzieć, że rana nie była śmiertelna. A jeżeli i żyje, tem samem życiem anioła na ziemi, bogdajbyśmy ją zdybać jeszcze mogli, by widokiem cnoty pocieszyć się, smugiem jasnym rozpromienić ciemne życia drożyny.

— A pani Dolińska!...

O! jedźcie państwo do Rajówki i uczcie się panie od niej cnót matki, obywatelki i pani. Żyje dotąd, żyje równie jak i jej mąż i inne postacie tej powieści żyją w mej myśli zmęczonej dwoma tomami... I jeżeli łaskawi czytelnicy moi zechcecie idąc za narowem dzisiejszym szukać koniecznie między znajomościami waszemi Czułkowskich, Karola, Jędrzeja, chorych braci i innych, poszukajcie i pani Dolińskiej. A jeżeli ją znajdziecie, czego wam z serca życzę, przestaniecie już raz może krzyczeć: „paszkwil! paszkwil!“ a powiecie natomiast: „przykład, przykład!“

---

http://rcin.org.pl

UŚMIECH SZYDERCZY.

(Wydanie pierw. 1848 r.)

I.

Różne są na świecie zdybania, bo po różnych miejscach krzyżują się drogi ludzkie, póki wszystkie nie zajdą razem na smętarz, gdzie się zwykle owi wszyscy żywi zdybujący po balach i ogrodach, miastach i teatrach, zdybują po raz ostatni trupami !... Ja zaś żywy, żywe miałem z żywym zdybanie na lichym wiejskim smętarzu, któremu to zdybaniu winien byłem kilka chwil życia umysłowego, jeżeli nie co więcej jeszcze, a łaskawi czytelnicy tę powiastkę. Tak jest, na smętarzu zdybałem się z bohaterem tej powieści. Rzecz się zaś tak miała.

Jarem podolskim ciągnęło się razem trzy wiosek nad trzema stawami połączonemi młynówkami, co było nieustającym powodem do kłótni sąsiedzkich, kłótni które nameły nieraz więcej słów niżeli trzy młynki mąki. Ściany jaru stanowiły jak zwykle na Podolu dwie góry, co wiemy ze słów pana Aleksandra Przezdzieckiego, który nawędrowawszy się po Podolu, powiedział je po francuzku z tem zastrzeżeniem, że tylko w tym języku mogą należycie myśl wytłumaczyć. Nie wdając się jednakże w to, czy lepiej powiedziano, c'est notre maniére d'avoir des montagnes, czyli po prostu, gdyby nie jary, nie byłoby gór na Podolu, powiem tylko, że te dwie góry, o których mówię, patrzące na siebie, były w równej między sobą kłótni jak i mieszkańce podgórscy; nie kłóciły się wprawdzie o młyny, ale były za to całą swoją powierzchownością w największem z sobą przeciwieństwie. Jedna góra jaru była cała naga, połamana, sterczącą jakby szkielet olbrzymi pożebrowanemi skałami, z których tu i owdzie wyglądały rzeczywiste kości ludzkie, resztki zapewne czasów tatarskich; druga strona jaru, miękko zaokrąglona zasłoniła kamienne swe kości najzieleńszą murawą, nad którą powiewały gdyby klomby, rozrzucone gaje brzozowe i olchowe, z leszczyną niknące w załomach jarowych. Nie dosyć na tem, ale jakby na przekorę większą, gdy po zielonych gajach kręciły się ścieżki do różnych futorów i sadów wiodące, na górze nagiej i pustej, na najwyższem skały urwisku stał zawieszony las krzyżów smętarnych, otoczonych jakby gruzami murem złożonym z kamieni granitowych. To też z żadnego miejsca

http://rcin.org.pl

nie było tak pysznego widoku, jak z smętarza o którym mówię; szczęście, że umarli spokojnie leżeli, bo brała by ich pokusa wrócić do życia tak ponętnego!...

Od niejakiego czasu należałem do mieszkańców tego jaru, i jakkolwiek łaskawa panna Eulalia, jedna z najpiękniejszych nimf jego, twierdziła, że dopiero parę tygodni przeminęło, a ja dzięki kłótniom i swarom o wodę i młyny panów sąsiadów, myślałem, że nie parę tygodni przeminęło, ale parę lat już przeszło. A przecież nie odjeżdżałem, bo... Trudno mi dziś spamiętać wszystkie powody, to tylko przypominam sobie, że panna Eulalia miała oczy czarne jak... jak dereń!... które to porównanie przypomina czasem, drugi wiersz tej ruskiej piosenki „Kołysz my się poberem!“ Byłato sobie hoża i rumiana Padolanka, pełna wiejskich zalotów... a ja miałem wówczas ośmnaście lat!...

— I wczoraj go pan nie widziałeś — przerwał długie pośniadaniowe milczenie mój gospodarz.

— Nie widziałem.

— Ależ pan Ignacy, łaskawy mój sąsiad, który mi zawsze podtapia młynek, twierdził, że znowu siedział między mogiłami od północy do rana.

— Patrzałem przez moją perspektywę...

— Musiał być ukryty za krzyżem, trzebaby pójść na miejsce...

— A broń Boże! niech papa nie radzi takich rzeczy — przerwała piękna Eulalia, z wyrazem przestrachu o moją godną osobę — któżby znowu chodził po północy, kiedy żywi spią a umarli chodzą.

— Ależ on żywy!...

— Kto wie, może to duch, albo upior, co to o nim tak pięknie napisał ten angielski autor, którego pan czytałeś nam... ten...

— Byron! — podpowiedziałem

— Wie pan, że długo po przeczytaniu Wampyra, za każdem pchły ukąszeniem, bałam się czy to nie usta upiorowe...

— Pleciesz Eulalio! to są skutki czytania romansów!... gdzieżby duch kupował wioski, a przecież to pewna, że przed miesiącem kupił Liżyńce, tę wioseczkę na drugim końcu jaru naszego.

— Dobrze papo, ale odkąd kupił, czy go kto widział lub słyszał kiedy?

— To prawda!.

— Czyliż się papa nie pogodził umyślnie z panem Ignacym i za pomocą pana Sotera, który ojcu do wszystkiego pomaga, zatopiliście mu jego młynek, a on milczał, i pewnego poranku znikł młyn bez wieści.

— Co do kropli prawda!...

— Czy być może, i nie rozgniewał się?...

— Ale co więcej, kochany przyjacielu, posłaliśmy delegację z przeproszeniem; owoż posłaniec widział tylko jakiegoś służącego starego, który powiedział, że pan żadnych nie potrzebuje poselstw, nikogo widzieć nie chce, i na nikogo się nie gniewa.

http://rcin.org.pl

— Czemuż nikt nie chodzi na smętarz, by go tam zobaczyć, jeżeli to on tam po nocy chodzi?

— Ba! — odpowiedział ojciec.

— Ba! — odpowiedziała córka.

I nie wiem nawet, dla czego się pytałem, bom się już dawno mógł przekonać, że odwaga wraz z oświatą, zostały się za jarem. Nic więcej nie pytałem, choć zadziwione rzucała na mnie spojrzenia panna Eulalia, którąby rada była mi odpowiadać... Trzeba wiedzieć, by zrozumieć położenie moje, podobne do pączka w maśle, że jeden mój przyjaciel puścił w okolicy wiadomość o ogromnem dziedzictwie, które spadło na mnie.

O północy byłem na smętarzu. Któż nie wie, co to jest smętarz wiejski; wnet go obiegłem w około nie postrzegłszy nikogo, gdy raz jeszcze wracając środkiem, stanąłem koło jednego wspaniałego pomnika, wystawionego jednemu z ojców tej kłótliwej szlachty na dole. Byłto krzyż kamienny, ściśnięty między dwie figury schylone nad nim w postawach takich, jakby dla igraszki dziecinnej chciały się walić w głowy swoje. Teraz dopiero postrzegłem, że z pomiędzy nich, jakby z pod baldachimu tych dwóch twarzy kamiennych wystawała trzecia; mimo odwagi, którą z po za jaru przywiozłem, stanąłem osłupiały; rysy tej twarzy zdawały się być żywe, ale bladość była duchowa, a nieruchomość nagrobkowa. Długo trwało zanim przyzwyczaiłem umysł i oko, i dopiero dostrzegłem mężczyznę w długiej czarnej sukni, prawie zakonnej, z kapturem na głowie, ujmującym w ciemne ramy bladą, przeciągniętą i zmarszczkami pooraną twarz. Nie mogłem zmiarkować, czy patrzy na mnie, jakkolwiek spostrzegłem czasem blask migotny oczów jakby od świecącego próchna pochodzący, albo od robaczka świętojańskiego. Zbliżałem się i odchodziłem, ale nadaremnie; postać siedziała nieruchoma; przystąpiłem tak blisko, żem usłyszał oddech nierówny. Snać mnie postrzegł, podniósł się bowiem, ale tak powoli i niezgrabnie, że prawdziwie zdawały się członki jego ciała wstawać jeden po drugim, i łączyć w całość tej wysokiej, chudej i kościstej postaci na długich nogach, z rękami długo wiszącemi, i twarzą dłuższą od zwykłych.

Zbliżył się do mnie i obejrzał, prawdziwie obejrzał, bo mnie z góry oblał jakby strumieniem spojrzeń zimnych i lodowatych, aż mnie w kościach ziębiło. Widmowa ta postać stała nieruchomo nademną i tak uporczywie smutno patrzała na mnie, aż mi się żal zrobiło za ciepłem łóżkiem, które porzuciłem tak nierozważnie; byłbym nawet uciekł może, gdyby nie nogi przykute do ziemi. Mruknął coś niezrozumiałego i skłonił głowę nad twarzą moją, jakby na niej szukał czego; wyraz oczów zmieniał się pomału z poważnego i smutnego do tęsknego i płaczliwego prawie.

— Co tu robisz o tej godzinie na smętarzu? — zapytał mnie łamaną polszczyzną. Po chwili milczenia spowodowanego moją odwagą, która zaczynała być na równi z odwagą mieszkańców tego jaru, powtórzył pytanie.

Trzeba było odpowiedzieć koniecznie; wolałem zatem być szczerym. — Do ciebie przyszedłem.

http://rcin.org.pl

— Do mnie? — krzyknął. Był to głos okropny; do śmierci go nie zapomnę. Gdyby rozpacz uosobić i dać jej głos, byłby podobny do głosu nieznajomego. — Do mnie? — powtórzył głosem tak przeciągłym jakby w puszczę krzyczał — śmiać się!... śmiać nad grobami. — Te słowa wymówił z tak głęboko czułym żalem, że mnie rozrzewnił.

— Nie śmiać się, ale płakać z tobą panie, bo musisz być bardzo nieszczęśliwy!...

— Płakać? — zawołał i porwał mnie za rękę; przebiegł kilka kroków, i stanął nagle na samym kraju spadzistego jaru. Tu było jaśniej, niżeli w cieniu krzyżów i nagrobków, przypatrywaliśmy się sobie nawzajem. Mimo strasznej chudości i bladości, bielszej od nagich kości i kamieni sterczących pod nogami naszemi, twarz jego i oczy miały tyle wyrazu rzewnego, że najtkliwszą uczułem litość nad nieznajomym, domniemywając się wielkich nieszczęść, a może pomięszania. Jakoż twarz moja musiała wiernie oddać wewnętrzne wrażenie, ścisnął mnie bowiem za rękę i słodszym choć smutnym zawsze przemówił głosem. — Ty musiałeś być nieszczęśliwy; ty cierpiałeś już; tu koło ust twoich widzę rys smutku... nie uśmiech... tamten jest rysem prawdy, a uśmiech, to maska... okropna maska! — krzyknął przeraźliwie — widzisz tam! — i palcem skinął na przeciwległą górę, której cały labirynt gajowy woniał i nęcił oczy świeżą zielonością swoją...

— Tam błyszczy! na tym pięknym świecie!...

Patrzałem, a mimowolnie drżały nogi podemną, włosy stawały do góry, ja myślałem, że muszę widzieć koniecznie okropne jakieś zjawienie. I nic nie było prócz brzóz białych, jakby śnieżne dziewczęta obwiane warkoczami spadających włosów liściowych; nic nie było prócz drzew sadowych rozkwitniętych, na których kwiaty powiewem nocnego wiatru poruszane, kołysały się jak białe koszulki; nic nie było, tylko tam na ścieżce coś się mignęło.

— Tam! — krzyczał nieznajomy — na tej powabnej świata twarzy, uśmiech szyderczy!...

Patrzałem z natężeniem. Na ścieżce wiodącej w ciemny gaik, który otaczał pasiekę pana Ignacego, migało się dwoje cieni ludzkich. Te dwie postacie zajęły mnie mocno, lecz darmo oczy wybiegały na wierzch, za ciemno było, by rozpoznać ubiór i twarze. Odwróciłem się do nieznajomego; już go nie było; darmo go szukałem po całym smętarzu; znikł zupełnie. Dziwnemi uczuciami miotany, wróciłem do pokoju mego, zajrzawszy do lasku, gdzie nikogo już nie zdybałem a nim sen nadszedł, marzyłem na jawie.

Ciekawość moja była pobudzona jak nigdy; chodziłem więc codzień na smętarz, i pomału poznałem bliżej nieznajomego, którego codzień zdybywałem, zacząłem go jaśniej rozumieć, i mocniej przestraszały mnie umysłowe widma, jakie się z słów jego wyszczerzały niżeli pierwszej nocy widmowata postać jego. Długo trwało, zanim co więcej wyrozumieć z niego mogłem nad to, że był Francuzem, od lat przeszło dwudziestu zamieszkały w Polsce, gdzie przybył wygnany nieszczęściami własnej ojczyzny; jak długo już w Polsce będąc,

http://rcin.org.pl

tułał się z kąta w kąt, uciekając przed ludzką ciekawością, która go jak zwierza goniła z myśliwskim nielitośnym zapałem. Litowałem się szczerze nad nim, bo miałem wtenczas lat ośmnaście, i tej litości winien byłem, że pomału zaczął mi scenę po scenie rozpowiadać dzieje swoje dawniejsze. By zachować wrażenie, spisywałem je ułamkami, jakiemi opowiadał; teraz gdy je przeczytuję, przypominam sobie cały ten przeciąg czasu jakby się to ledwie wczoraj stało; widzę, że wszystko wiernie spisane, prócz tego głosu, tego wyrazu i tego spojrzenia, które ciągle wtórowały opowiadaniu nieznajomego, i nieraz żywiej tłumaczyły mi myśl jego, niżeli słowa. To była jego najsilniejsza wymowa, porywająca tak potężnie, że gdym go słuchał, nie wierzyłem w obłąkanie, które jednakże było widoczne; ja żyłem z nim i w nim; uczucia jego mojemi były uczuciami.

II.

— Nikt uciec nie może przed swojem przeznaczeniem — zaczął razu jednego mówić do mnie nieznajomy — darmo nam tłumaczą i zgłębiają wszystko filozofowie, dna się nie dokopią; kamienną opokę niejedną przebiją, i wodę, i glinę i piasek przebodą... nie błyśnie im niebo ztamtąd... Im więcej rozbieram całą przeszłość moją, przeglądam wszystkie obrazy jeden po drugim, rozważam przyczyny i skutki, tem więcej przekonuję się, że jest przeznaczenie, z którego szponów, jak cię raz w nie porwie, już nic wydrzeć nie potrafi... Tak się stać wszystko musiało, jak się stało, póki nie zaszedłem tutaj, by zestarzeć w cudzym zimnym kraju, by złożyć zwłoki moje między temi krzyżami... tu będzie spokojnie, bo trupy się nie śmieją... Co to jest przeznaczenie?... co jest życie? czyż wiemy lepiej?... Przeznaczenie to anioł czasem w białej szacie; przeznaczenie, to szatan czasem w czarnej jak grzech szacie!...

Darmo się mu wywijałem, młodością, czuciem i wiarą; porwał mnie, i rozpalone pazury wepchnął w serce moje, i znamie w nim wycisnął niezatarte... Rozpacz i smutek bez końca!...

O ja byłem wesoły, szalony, młody; myślą bujałem jak łódką swobodną po gładkiej perłowej kroplami, a srebrzystą falą toczącej się wodzie życia; a czucia moje! orły między niebem i ziemią krążące, śmiało spoglądały w słoneczny blask prawdy... Czy wierzysz temu, że ja byłem przystojny!... Pełną piersią oddychałem, póki w nią przeznaczenie nie wcisnęło tyle żalu, bolu i rozpaczy, że miejsca na oddech zabrakło! I nie w jaką smutną godzinę, która nagle przypełznie jak karłowate widmo, przestraszy i zaboli; nie w taką godzinę schwytało mnie przeznaczenie; ale wśród śmiechu i rozkoszy, o godzinie, która strojna jak bakchantka grecka przetańcowała do mnie w szalonym wirze wesołości!... Grono młodych rówieśników, towarzyszów zabaw i nauki otaczało mnie. Ty młody zrozumiesz ten czas, w którym żyjesz jeszcze, lub jeżeliś je porzucił już, on żywy drga w tobie wszystkiemi pryzmatycznemi barwami swemi!... Naj-

http://rcin.org.pl

weselszy to w życiu czas w szkołach przepędzony!... Jest to życie wspólne, w którem wszystkie koleżańskie serca jednem biją tchnieniem! Przyjaźń szkolna!... śmieją się z ciebie zimne niedowiarki, a przecież jedna to prawdziwa przyjaźń na świecie; bo tam niema jeszcze ziębiącego rachunku! Wspólna jest kasa pieniężna, wspólna kasa myśli i uczuć!... z niej czerpaliśmy wszyscy pełną garścią, a żyli jak bogowie, choć chmurą tytuniową tylko otoczeni, choć ambrozją było skromne jadło szkolne!... Późny był wieczór; myśmy siedzieli razem, gwarząc wesoło o dniu jutrzejszym, który miał być pierwszym wakacji. Rozdział krótki nie smucił nas, bo każdy cieszył się swoim i towarzyszów szczęściem rojonem, na wsi, w domu rodziców, wśród grona kuzynek pięknych, witających przybyszów z uśmiechem, przyrzekającym rozkosz nowych myśli i uczuć nowych. Pamiętam jakby to dzisiaj było; słyszę ich śmiechy i krzyki; szczególne nawet słowa brzmią w uszach moich; dla czegoż nie raduję się niemi dzisiaj jak wtenczas radowałem; dla czegoż te głosy brzmią dziś bez znaczenia, jakby głosy głuche ust umarłych?...

— Ja mam winnice; w nich cały dzień brodzić będę po uszy — powiadał jeden.

— U mojego ojca płaszczyzny jak świat szerokie, a zwierzyny w nich jak piasku w morzu; cały dzień przebiegać je będę z fuzją w ręku — krzyczał drugi.

— Ja mam kuzynkę, której oczy jak zwierciadło czarodziejskie pokazywać mi będą wszystkie cuda jakich tylko zapragnę — mówił trzeci.

— Ja mam poczciwą babkę starą z kabałą, która najcudowniejsze zgaduje rzeczy; a dziadka, co lepsze od wschodnich jak zacznie rozpowiadać powieści, znika granica między snem i życiem; życie jak sen przechodzi, sny ulatują jaskrawe jak życia obrazy — wykrzykiwał inny.

Tak gwarzyliśmy, a toast po toaście coraz głośniejsze, coraz weselsze wyzywały losy szranki. Pamiętam, że ja go wyzywałem najzuchwalej, i najwięcej skarany zostałem, bom wierzył w to życie jak w prawdę niezmienną. Godziny ulatywały, północ wybiła na zegarze miejskim, który nam tyle rozmaitych odegrał godzin.

— Godzina duchów wybiła! — zawołał jeden.

I prawda! wystąpiły duchy nasze własne na jaw; każdy kielich niszczył ciało, a dusze bujały wysoko i daleko, szeroko i głęboko.

— Co nam duchy! — krzyknąłem; ja nie wierzę w nic okropnego.

— Ciszej! ciszej! — śmieli się drudzy.

— Nie wierzę w okropności grobowe — krzyczałem półpijany, i podniosłem nowy kielich — one nas przemódz nie mogą, póki trwa u nas wiara w naszą przyjaźń!...

— Brawo! przyjaźń niech żyje! — krzyknęli.

— Przyjaźń niech żyje! — powtórzyłem. Jeden drugiemu podawali pełne kielichy. Stało się tak, że ja nie zaraz wypiłem, bom zamarzył w tej chwili, a gdy podniosłem oczy, już wszyscy wypili.

http://rcin.org.pl

Wypiłem, i szukając oczyma komuby oddać kielich, wyciągnąłem rękę. — Do ciebie! — krzyknąłem pewny, że znajdę zawsze chętnego...

— Do ciebie! — powtórzyć chciałem, i głos mi ustał, krew się ścięła w żyłach, włosy podniosły się do góry. Nikt kielicha nie odebrał mego; a ztamtąd, z kąta, dokąd rękę wyciągnąłem, ujrzałem uśmiech szyderczy, uśmiech tak zjadliwy, jak żony podającej truciznę mężowi, tak okropny jak przyjaciela, gdy zdradza, kochanki, gdy się przedaje. Darmo oczy natężam; tam z kąta wyszczerza się uśmiech niezmiennie szyderczy, uśmiech szatana. Rozumiesz teraz? to był uśmiech przeznaczenia mego!...

— Któryś zapewne z towarzyszów uśmiechnął się pijanym skrzywieniem — przerwałem nieznajomemu.

— I ja tak tłumaczyłem sobie, bo ludzie wyszystko chcą wytłumaczyć, a czego nie potrafią, to przerobią jak suknie olbrzyma na karli swój rozmiar. Ja się porwałem do jednego z towarzyszów moich, który był z stron moich rodzinnych, i którego ponurość odstraszała nas. Okrzyczeli mnie pijanym. Ja byłem trzeźwy; oni byli pijani, i choć rzucony na łóżko przez towarzyszy, gdy oni pili, ja myślałem, marzyłem, i pojąłem... To był uśmiech przeznaczenia mego, którym zaszydziło ze mnie, i szyderczym pozostał na zawsze! To był uśmiech doświadczenia o lodowatem dotknięciu warzącem wszystkie uczuć kwiaty! I poznałem szczątki i odcienia przeszłości, które się zlały w ten uśmiech, mający być godłem przyszłości mojej! Był w nim pamiętny mi uśmiech ojca mego, gdy go matka moja porzuciła z młodym oficerem... Był tam uśmiech starszego brata mego, który odjeżdżającemu bratu radził, by został księdzem!... Był tam uśmiech starszej siostry mojej, gdy mnie w zimno i wiatr kazała pilnować przy drzwiach, za któremi schadzała się z sąsiedniego domu młodym dziedzicem. Darmo mi tłumaczyli; może i ten się zaśmiał, ale on by w swojej twarzy nie zdołał pomieścić tyle odcieni; byłaby się twarz jego rozskoczyła od nadludzkich natężeń, rozleciałaby się na drgające członki gadziny zjadliwej. Inny to był uśmiech, i ten pozostał w życiu mojem na zawsze...

— Na zawsze? — szepnąłem.

— Przez całe życie moje zdybywałem wszędzie ten uśmiech szyderczy.

— Więc wszystkie twarze miały dla ciebie ten uśmiech — przerwałem znowu, patrząc z uwagą i politowaniem na nieznajomego, którego obłąkanie widocznem mi się zdawało.

— O mędrkowie o półgłowach!... uśmiech przeznaczenia musi mieć dla was ciało!... a w duchy nie wierzysz także?... a to była przecie mara uśmiechu, i dla tego tak straszna!... I towarzysze moi, włożyli mnie do łóżka, otoczyli lekarzami i pijawkami, okrzyczeli obłąkanym; leżałem spokojny i marzyłem o przyszłości mojej: oni ten stan zdrowszy od ich głupoty nazwali gorączką mózgową!... Czemuż, ach czemuż, obudziłem się z tego stanu!...

http://rcin.org.pl

III.

— Darmo starałem się uspokoić — mówił nieznajomy dalej — w spokojnem zakonnem prawie życiu domu ojcowskiego. Były tam jeszcze chwile złote, jak spokojnego jeziora powierzchnia ozłocona pogodnemi promieńmi słońca, choć w głębi na dnie drzymał polip o stu ramionach. Straciłem do reszty dawną wesołość w pośród smutnego otoczenia. Mój ojciec był to zimny i zamknięty człowiek; rzadko kiedy przemawiał słowy prawdy wewnętrznej, którą chował na samotną rozmowę z sobą samym; dla ludzi i świata miał maskę nieprzebitą, a na niej czasem konwulsyjnem drżeniem zadrgało coś koło ust... to był uśmiech!... ile razy go ujrzałem ból nieznośny ściskał me serce!... Mój ojciec kochał matkę moją namiętnie; dla niej poświęcił wszystko, bo się z całą rozdwoił rodziną, która dla potomka świetnego rodu, nie chciała córki kupców; a przecież porzuciła go, i troje dzieci zostawiwszy w domu, poszła z uwodzicielem swoim w cudzy świat: od tej chwili zmienił się mój ojciec do niepoznania!...

Im więcej się zastanawiam, tem wyraźniejszą wydaje mi się ta tkanina przeznaczenia, która nieznacznie węzełek po węzełku tworzy sieć, by w nią złapać na zawsze ofiary swoje. Przeznaczenie moje było, i musiało być skutkiem usposobień i win ojca i matki!

Z dzieciństwa mego pamiętam tę okropną scenę; w nocy wśród burzy, która wściekle tłukła o stare mury naszego zamku, stał mój ojciec z listem w ręku; był to list matki mojej żegnającej go; okropniejsza burza nad burzę natury, zawrzała na twarzy jego; i roześmiał się, ale śmiechem, który zagłuszył straszny ryk wichru. Zbudzone dziecko przestraszyłem się, i zabolało mnie... taki sam ból uczułem w dzień bankietu szkolnego.

Była jeszcze w domu ojca mego dziewczyna młoda!... O! mój Boże, lata minęły, i serce skurczył mrozem wieku, a przecież drżę cały, gdy sobie przypomnę tę postać anielską, białą o jasnych włosach, kibici giętkiej i ulotnej, oczach niebieskich, jak nasze niebo południowe. Wyglądała jak dziewica pieśni ossianowych; była nawet w koło niej, na twarzy i w oczach ta mgła tajemnicza, rodząca smutek i marzenie. Nikt nie wiedział jej rodu, prócz ojca mojego; czy sama wiedziała, wątpię. Bo przed laty, było to także w nocy równie burzliwej, jesiennej; huk wiatru, szum morza blizkiego, przerywał ciszę zamkową, gdy mój ojciec powrócił z dalekiej podróży. Okropnie blado wyglądał; konwulsyjne drżenie oświecało ponurą twarz. Zrzucił płaszcz, a pod nim było piękne jak aniołek dziecko; zbudzona ze snu uśmiechała się tak lubo, aż się rozjaśniły ciemne smutnego zamku komnaty. Brat mój i siostra złośliwie zawistne rzucili na nią spojrzenia; ja pobiegłem z radością ku lepszej od rodzeństwa siostrze, które przeczuwałem w tem białem uroczem dziecięciu. Mój ojciec spojrzał na nas i osądził; wzrok jaki zwrócił na rodzeństwo moje, a potem na mnie rzucił nasienie pierwsze rodzinnej w domu niezgody. Sam nieczuły na wszystko skamieniał zupełnie!...

Były chwile złote, powtarzam, kiedy sami, ja i Malwina siedzie-

http://rcin.org.pl

liśmy na skale, zkąd się rozciągał widok czarujący na morze okolone cudownie rysowanemi nadbrzeżami. Sami już byliśmy w zamku; brat mój, który mnie chciał widzieć księdzem, zginął w pojedynku, a siostra uciekła z młodym sąsiadem, i zginęła bez wieści. Ja kochałem Malwinę, choć jej tego słowy powiedzieć nie śmiałem, z całą namiętnością młodości i rozpaczy; bo z rozpaczą chwytałem się tego anioła, by mnie ratował od ciemnego przeznaczenia, które zdawało się czyhać na mnie z każdego kąta zamkowego przeczuciem, jak orężem Damoklesa wisiało nademną. W niebie jej oczów szukałem ratunku i współczucia!... Ona była tak czułą, tak dobrą i przyjaźną dla mnie, że choć zapału kochanki dopatrzyć nie mogłem, choć mi tylko siostrą była, były to przecie godziny raju godne. Czasem smutek jakiś głębszy osłaniał jej twarz; były to dla mnie chwile boleśnej niepewności i bojaźni; a przecież gdyby jedna taka chwila, jedna z najgorszych z najpośledniejszych, jakich przeszło wtenczas tyle... taka jedna zdołałaby osłodzić całą, tyloletniem cierpieniem zebraną we mnie cierpkość. W spojrzeniu Malwiny była taka słodka rzewność, że przed niem rozpacz i bojaźń moja jak chmury złowrogie rozpływały deszczem łez. A szczęście to jeszcze kiedy płakać można; ostatnia łza, to ostatnia perła ze skarbca młodości i uczucia!...

Nie wracałem już do towarzyszów moich szkolnych, bo ojciec mój codzień był słabszy, codzień bledszy; twarz jego ocieniały już skrzydła śmierci!... I przyszła, jak wszystko złe do domu naszego w noc jesienną i burzliwą... Cicho było w pokoju; lampa samotna ledwie zdołała oświecić ciemnie wielkiej i sklepionej komnaty, w której spoczywał mój ojciec na łożu boleści rozłożony; staliśmy oboje z Malwiną słuchając rzadkiego i przerywanego oddechu, który tak ciężko dobywał się z piersi słabego, iż mi się wydał jakby ostatnie konające wysilenie burzy, która go zwalczyła. Zawył wiatr, zajęczał chorągiewką na dachu, zapiszczał po wązkich kurytarzach zamkowych; głośniejszem westchnieniem powrócił mój ojciec do chwilowej przytomności. Padliśmy oboje na kolana. Wśród najokropniejszego huku wiatru łamiącego odwieczne drzewa ogrodowe, szumu morza ryczącego jakby głosem ludu wzburzonego, podniósł chude ręce i błogosławił nas.

— To błogosławieństwo niech spadnie przekleństwem na głowy wasze, jeżeli się nie pobierzecie! — mówił ojciec z ostatniem sił wytężeniem.

Wyciągnąłem ręce ku Malwinie; przestraszona burzą i groźnemi słowy ojca, oparła się o mnie zamykając oczy.

— Arturze! — mówił słaby dalej — to twoja żona i pamiętaj, że ja przysiągłem tym związkiem okupić zabójstwo!... Tak Arturze, twój ojciec jest zabójcą!... ja zabiłem uwodziciela matki twojej, a to jest córka jego pierwszej i prawej żony, którą tak porzucił, jak mnie żona moja!... papiery znajdziesz w szkatułce mojej... jest tam list także twojego ojca, zaklinającego cię pod ojcowskiem błogosławieństwem, byś uszczęśliwiając jedno z dzieci moich, zmazała jego okropne przewinienie względem mnie!... Przysięgnijcie!...

— Przysięgam! — zawołałem, cisnąć Malwinę do serca.

http://rcin.org.pl

— Przysięgam! — szepnęła Malwina, ledwie dosłyszanym głosem.

— Dziękuję wam! — Chciał się jeszcze uśmiechnąć, ale był to już tylko ostatni ruch konwulsyjny łamiących się sił żywotnych.

Huk do pioruna podobny rozległ się po zamku; stara wieża narożna zawaliła się... Mój ojciec już nie żył, a na twarzy jego ostatnia próba uśmiechu wyszczerzała się do mnie uśmiechem szyderczym przeznaczenia mego.

Po długiem milczeniu ciągnął nieznajomy dalej; oczy coraz więce okazywały obłąkania, a głos stawał się ostrzejszy.

— Wiosna była; wiośniane uczucia nowym zaczęły mnie ożywiać życiem. Malwina powiedziała, że będzie moją. Wszystkiemi siłami odpychałem od siebie ciemne myśli i uczucia, mniemając, że szatan przeznaczenia mego, ubłagany śmiercią ojca mego i anielską czystością Malwiny, odstąpił na zawsze. Nagliłem, błagałem, drżałem z niecierpliwości i mimowolnej bojaźni, aż przyszedł nareszcie dzień ślubu mego. Malwina rzekła do mnie:

— Oddaję się tobie, bo takie jest przeznaczenie moje!

W nocy bez świadków prawie prócz domowników w kaplicy zamkowej klęczeliśmy oboje przed ołtarzem. W tej chwili zwiastującej inne życie, myślałem tylko o szczęściu, tylko o Malwinie, której twarz tuż koło mojej wonnym oddechem mnie czarowała. Już ksiądz zamienił obrączki, powiązał ręce stułą; spojrzenie pełne rozkoszy niewymownej odwróciłem, uczucie pełne, które mi piersi rozeprzeć groziło, chciałem wylać z siebie modlitwą; zwróciłem się do bocznego ołtarza, pod którym spoczywały zwłoki ojca mojego, i ujrzałem, tam z ciemnego kąta, uśmiech mi znajomy, okropny... uśmiech szyderczy!...

— Tam ktoś stał! — krzyknąłem..

— O zimny niedowiarku odpowiedział nieznajomy głosem zmienionym — nikt nie stał!... nikt!... tylko uśmiech szyderski wyszczerzył się do mnie!... Krzyknąłem przeraźliwie; uśmiech znikł; a moja żona leżała blada jak posąg bez zmysłów u stóp moich. Tak się odbył ślub nasz; szatan przeznaczenia mego porwał swoją ofiarę, i już jej nie puścił na chwilę...

Przerwał nieznajomy, i drżał okropnie, a oczy zamykał krzycząc przeraźliwie.

— Teraz ja stary boję się jeszcze tego uśmiechu okropnego, i czuję tu w duszy, że go jeszcze raz zobaczę; raz ostatni zaśmieje mi się śmiercią. Ty nie pojmujesz tego uśmiechu, w którym wszystkie mieszczą się najokropniejsze szyderstwa szatańskie.

Nie miałem słów do odpowiedzenia, tak bowiem okropnie prawdziwy był wyraz twarzy nieznajomego, że mimo całego rozumowego przekonania mojego o jego obłąkanym stanie, bałem się by mnie ten uśmiech duchowy nie przywidział się.

I długie nastało milczenie.

http://rcin.org.pl

IV.

— Na co pytaniami rozraniasz serce moje — mówił nieznajomy dalej, gdym zapytaniem o dalszym losie jego przerwał długie milczenie; — pytasz mnie jakie było dalsze życie moje?... W pierwszych dniach po ślubie żyłem podwójnie; i to było szczęście moje, że z początku mogłem całe życie moje gorączkowe pełne przeczuć i przewidzeń zostawiać za sobą, gdym wchodził do pokoju żony mojej. Nie zdybywałem ja i tam wesołości wiele, bo jej twarz dziwnie była smutna, tą bladością światła, które się przebija przez lampy alabastrowej przezroczystą powłokę drżące, niepewne i rzucające rozmaite cienie w koło siebie. A przecież tak mi było swobodnie koło niej, bo była dobra i słodka jak anioł dla mnie, i dla tego może właśnie najwięcej się do niej przywiązałem; że nigdy nie było na jej twarzy uśmiechu, któryby mi wnet przekręcił mój szatan prześladowca. W samotności nie mogłem się modlić; w jej zaś przytomności, choć się nie modliłem słowy, czułem, że się modlę duszą; ona sama, schylona nieraz nademną, gdy oczy ku niebu podniosła, wyglądała jak pobożna modlitwa za spokój mojej duszy.

Lecz nie długo to trwało!... czas leciał jak szalony, a był to czas, który chyżej biegł, niżeli wasz parowym wozem toczący się naprzód. Zawyła rowolucyjna burza!... zaczęli się buntować nasi poddani, uciekaliśmy z zamków do miasta stołecznego naszej prowincji; tam było bezpieczniej, chociaż i tam szlachetne nazwiska, uświetnione przodków krwią i sławą w szeregach ojczystych zdobytą, były znienawidzone; po ulicach wyśmiewano stare imiona, stare zwyczaje i starą wiarę. Był to czas, który olbrzym siłą pędził naprzód burzy pędem, z szyderczym uśmiechem na potwornej twarzy. Uśmiech szyderczy był wtenczas w powietrzu, zewsząd mnie dolatywał, wszędzie się wyszczerzał; łyskawicą był tej burzy!... Mieliśmy częste schadzki nasze w domie jednego starca, który ostatni z sławnego rodu pozostał; u niego obmyślaliśmy środki ratowania się w razie gwałtownej potrzeby. Mój umysł zaczynał się uspakajać; niebezpieczeństwa grożące ciału, wypędzały pomału tego szatana, który duszę dręczył. Ale krótkie dla mnie były zawsze chwile odpoczynku!...

Późno raz w nocy wracałem z miejsca schadzek naszych; płaszczem owinięty goniłem do domu na skrzydłach zwykłej tęsknoty, która mnie zawsze ciągnęła do Malwiny. Puste były ulice, skąpe świeciły lampy; kroki tylko moje własne odbijały się po bruku tak głucho, że się zdawały odbijać aż w głębi duszy mojej. Było li to przeczucie?... nie wiem, ale przyspieszyłem kroku. Drzwi domu mego stały otworem, skoczyłem na ciemne schody... Zajaśniało, łysnęło tuż przedemną!.. Słuchaj i lituj się, jeżeli masz litość!... To uśmiech szyderczy łysnął przedemną!... Jak szalony rzuciłem rękami w koło siebie; nie było nikogo ... uśmiech łysnął i znikł!... Nie wiem jakim sposobem dobiegłem do pokoju żony mojej; leżała bez przytomności na środku pokoju, blada jak trup; myślałem, że już nie żyje. Chcia-

http://rcin.org.pl

łem krzyczeć, głosu nie było, chciałem się ruszyć, nogi mi wrosły w ziemię.

W tem z ulicy w ulicę rozchodzi się szmer, szeptający z początku, coraz głośniejszy, jakby zamruczały fale morza rozkołysane, coraz krzykliwszy, jak wicher, jak burza; gromy głosów szczególnych huczą, łyskają światła pochodni, pioruny strzałów wylatują. I przez okno naprzeciw którego stałem, zaczęło się rozwijać całe życie pogmatwane, jakby w śnie gorączkowem; chaos postaci, ruchów, świateł, krzyków i strzałów. Widziałem wszystko, lecz ciągle byłem nieruchomy. Krzyki się zbliżają, ze wszystkich ulic ku domowi memu, coraz donośniejsze i wyraźniejsze; z tysiącznych ułamków łączą się w jeden okrzyk szalony!... To był śmiech szyderczy!... To było pospólstwo, które naśladując stolicę, podniosło bunt; to był owego czasu burzliwego śmiech szyderczy ze wszystkiego co było, śmiejący się na gruzach dawnego porządku, opluwający śliną urągania wszystko, co wieki uświęciły. Była to dla mnie chwila okropna odwróciłem się od okna, Malwina leżała bez duszy u stóp moich...

Nie wiem jak długo to trwało; obudziłem się w więzieniu. Zapewne przez długie wieki okropności naszych więzień podzamkowych składały się na więzienia w jakie wpychano wówczas arystokratów, jak nas nazywano; ale przecie trudno mieć wybrażenie nieludzkości, z jaką się obchodzono z nami. Pamiętam tylko, że było okropnie: szczegóły już zapomniałem, wszystkie bowiem udręczenia moje pełzły przed jednem nieustającem cierpieniem, a tem była niepewność o stanie żony mojej; kochałem ją zawsze, chociaż były chwile, w których dzięki zapewne temu uśmiechowi szyderczemu rozczarującemu wszystko w koło mnie, wątpiłem o jej wzajemności.. Byłem w stanie obłąkania, celem urągania dozorców, którzy mnie warjatem okrzyczeli!... Ja warjat! ja który silniejszy od nich miałem umysł, bo wiedziałem, czego oni nie wiedzieli; widziałem całą ich przyszłość i moją w tym uśmiechu szyderczym, który przez dziwne losu zrządzenie był razem przeznaczeniem mojem tej burzy towarzyskiej, w którą pomimowoli wplątany byłem. Stanąłem przed sędziami, jeżeli sędziami można nazwać ludzi, co tam siedzieli owinięci w jakieś płaszcze naśladujące Rzymian, którym przekrzywiały się ich twarze rozbójnicze krwi i złota chciwe.

— Kto jesteś? — zapytał mnie głos groźny prezydującego, który siedział w cieniu ubrany w togę czarną, jak ich sumienie sędziowskie.

Zadrżałem na ten głos, bo mi się zdawał znajomy; wytężyłem oczy napród, i... i... ujrzałem z głębi sali wyszczerzający się znajomy mi uśmiech szyderczy. Drżałem na całem ciele, oni zaśmiali się w głos, i zawołali na mnie: tchórz!...

— Tchórz! — powtórzył głos znajomy. — Jeszcze raz spojrzałem, znikł uśmiech okropny i dostrzegłem rysy prezydującego; zdawały mi się znajome, przypominały mi sceny rozmaite z dzieciństwa młodości, sceny niepowrotne czasów wesołych.

— Śmierć! — wrzasnęło koło mnie.

http://rcin.org.pl

— Na gilotynę! — powtórzył głos znajomy.

I byłem znowu w więzieniu. Rachubę dni straciłem, bo marzyłem ciągle; obrazy przeżyte w dziwacznym bezładzie krzyżowały się po głowie mojej. Światło łysnęło nademną; to była jasna i blada twarz żony mojej; jak najpiękniejsze marzenie pływała w powietrzu; ja myślałem, że pryśnie jak bańka, jak złudzenie!... nie! to była żona moja!...

— Jesteś wolny! — zagadła do mnie.

Porwałem się do niej, by ucałować; zimna była jak lód; przycisnąłem do serca, by wlać w nią choć część tego ognia, co mnie trawił, i wyszliśmy. Cicho było i ciemno w około, powóz już stał gotowy; wychodząc przez otwarte drzwi więzienia, rzuciłem wzrok ostatni po za siebie, i... o przeklęte przeznaczenie, które mi zazdrościło każdej chwili swobodniejszej, ujrzałem uśmiech szyderczy!... Jęknąłem boleśnie siadając do powozu, i w szalonym pędzie koni, w szalonej myśli gonitwie ledwie dosłyszałem, co mówiła do mnie żona moja.

Nazwisko Germaniego uderzyło mnie. Germani był wybawcą moim; Germani był tym towowarzyszem szkolnym, którego posądziłem o pierwszy uśmiech szyderczy przeznaczenia mego. Germani by to drugi syn owego kupca z sąsiedztwa mojego ojca, ktorego sy, starszy uciekł z siostrą moją. Znałem Germaniego w dzieciństwie znałem go w szkołach, lecz go nie lubiłem dla przyczyn zupełnie mi nieznanych, choć się do mnie jednego zawsze zbliżał najwięcej, choć ja w owym czasie miałem jeszcze serce i uczucia otwarte dla każdego: i ten sam Germani wyratował mnie. W tem zajaśniało w głowie mojej; Germani był prezydującym sądu!... Czy to on się śmiał wtenczas? pytałem sam siebie; a chciałbym wierzyć temu, bo radbym był złapać ciało tego uśmiechu, by się na nim zemścić za katusze jakie znosiłem. Ale nie! ten uśmiech nie był człowieka; to był uśmiech złego ducha, w którego moc wpadłem bez ratunku!... bo żona moja pozostała zimna i blada, pół żywa ruchem i mową powolną, a pół umarła nieruchomością twarzy i posępnym smutkiem, który jej anielską twarz przeciągnął okropnie jakby twarz trupa...

V.

Opowiadanie nieznajomego, coraz mnie więcej zajmywało, widziałem bowiem w tem jego szaleństwie, jakąś myśl jedną przewodniczącą, która dla mnie miała urok na poły znajomy. Żądałem rozwiązania, jak się żąda odkrycia tajemnicy, a przeczuwałem koniec jakby znajomy, jakby już dawniej myśl podobna rozrabiała się we mnie. Patrzałem na niego oczami pytającemi, by go zbudzić do dalszego opowiadania, lecz tą razą milczał uporczywie i dłużej jak zwykle, a oczy łyszczące z tak dziwnem wypatrzył natężeniem, jakby niemi chciał sięgać po za widzialne nam obręby. Popatrzyłem za ich kierunkiem, i nic nie widziałem, prócz znajomych mi wiosek w dole;

http://rcin.org.pl

dwór ojca panny Eulalji bielała w półgóry przeciwniej czerniał sadem, który klinem ciemniejszych drzew lipowych wpadał w jaśniejsze klomby brzozowe. I znowu na ścieżce, co po za sadem prowadziły do leszczyny labiryntem zdeptanej przez chłopców wiejskich pokazało się dwie postaci, lecz darmo śledziłem ich oczami; noc była ciemna, niebo chmurami osłonione, a księżyc nad samym rankiem wschodził dopiero. Zamarzyłem, i niemogąc sobie wytłumaczyć powodu, łamałem głowę nad tem, kto mogły być te dwie postacie, co nocy przechadzające się po gaju. Wieśniacy za mało byli romantyczni, aby pomiędzy nimi szukać tych nocnych wędrowców; nie byli to... ale nie!... to nie złodzieje; nadto swobodne są ich ruchy, około jednego krążące miejsca, a nawet zdało mi się postrzedz jak się do siebie zbliżyły. Przeklęta noc! nie mogłem nic rozeznać, ale coś mi tak mignęło jak parę rąk jednej postaci zarzuconych na szyję drugiej.

— Zbudziłem się znowu — przerwał milczenie nieznajomy — zbudziłem się w obozie; byłem w Wandei między swoimi. To był fatalizm tego uśmiechu szyderskiego, który zawisł między mną i światem całym, że nic mi się nie wydawało w własnej postaci, ale w przedrzeźnionej przez szyderczego szatana mojego. Chciałem się zagłuszyć i rzuciłem się jak szalony w środek tej wojny pełnej epizodów okropnych. Okrzyczany zostałem za walecznego między walecznymi, i mianowany wkrótce jednym z naczelników tej krwawej wojny; chciałem zabić rospacz, która mnie trawiła, a więc zabijałem ludzi, goniąc bez ustanku za tą marą uśmiechu, która mi z nieprzyjacielskich szeregów tu i owdzie mrugała, nie z jednych ust konających przeklinała okropnie, wykrzywiała się tysiącznemi konwulsjami śmierci. Daremna gonitwa! tak mara, jak i nieprzyjaciele moi byli potworem stugłównym; rosły roje wojowników na każdem trupami zasłanem bojowisku, roje mar szkaradnych skakało w koło mnie jak duchy piekielne, szydzące z próżnej walki mojej.

Moja żona była ciągle ze mną, ciałem swojem zawsze cudownem, zawsze pięknem, choć zdało mi się nieraz, że jej dusza była daleko, i tylko sztuczne jakieś ożywiało ją życie. Była cicha i spokojna jak dawniej, ni jęku nie dobywała z siebie, ni śmiechu; ale spojrzenia nie tak słodkie jak pierwej, nie mogły już mnie uspakajać; zimno i boleśnie padały na mnie jak promienie bez ciepła. I nic ją ożywić nie zdołało, nawet ta nadzieja tak święta dla kobiet, tyle uczuć mieszcząca w sobie; nadzieja zostania wkrótce matką, nie potrafiła zciągnąć z niej tej zasłony mglistej, która coraz fantastyczniej osnuta, wydawała mi się czasem jedną marą więcej, dręczącą mnie.

Było to w nocy, która nastąpiła po dniu walki okropnej; co się nam rzadko trafiało, zwyciężyliśmy, ale to zwycięstwo kosztowało nas tyle drogiej krwi, że spokój znużenia jaki po bitwie nastąpił, był podobniejszy do otrętwienia rospaczy, niżeli do odpoczyku zwycięskiego. W pustej chałupie, która cudem prawie pozostała cała wśród wioski dymiącej się jeszcze, leżałem na ziemi rozciągnięty, w pół senny, w pół obudzony. Swobodniej mi było niż kiedy, bo zmęczenie ciała przemogło niepokój duszy; obrazy wszystkie jakie się przesuwały przedemną straciły barwy jaskrawe; szarawa i niepewna kryła

http://rcin.org.pl

je pomroka. Cicho było w koło mnie, czasem tylko dolatywały głosy żołnierzy stojących na straży, ale i te głosy, czy tak było w istocie, czy tak mnie się zdawało wówczas, były drżące i głuche, jakby dalekie tylko echo, głosów dawnych silnych i męzkich. Moja żona w drugiej izdebce chaty leżała cicho, snem zapewne spokojnym ujęta... Pamiętam tylko, że jakaś siła budząca ciągnęła mnie, bym do niej poszedł i popatrzył na twarz anielską tej kobiety, którą z równą jak dawniej kochałem namiętnością, powiększoną jeszcze przez jakąś bojaźń przeczuciową i przesądną, by ta mgła w koło niej zebrana, nie zakryła mi jej na zawsze.

Krzyk głośniejszy ozwał się koło chaty. Zbudziłem się; weszli żołnierze i przyprowadzili człowieka, który korzystając z nocnych cieniów i znużenia żołnierzy wkradł się był do naszego obozu.

— To szpieg! — rzekł oficer dowodzący strażą — którego przyprowadziliśmy do ciebie naczelniku!...

Zerwałem się pełen gniewu i poskoczyłem ku stojącemu we drzwiach... odskoczyłem przestraszony... łysnął uśmiech szyderczy!...

— Na twarzy szpiega? — zawołałem.

— Uśmiech szyderczy postrzegłem! powiadam ci ty zimny anatomisto, który uczucia moje jak członki trupa krajesz ciekawością swoją, by się dokrajać prawdy. Uśmiech dobrze mi znany stanął widomie przedemną...

Zbliżyłem się z rodzajem radości do więźnia, bo i mnie się zdało w tej chwili, że ten uśmiech złowrogi na jego był twarzy; cieszyłem się, że raz przecie mogę dotykalnie schwytać tę marę. Mimo więc przestrachu, który jeżył mi włosy, krzyknąłem... Kto jesteś?...

— Germani! — odpowiedział mi zimno.

Stanąłem jak wryty. Zostawcie nas samych! zawołałem; starszych oficerów zawołać na sąd wojenny, który się za pół godziny odbędzie.

Zostaliśmy sami. Śledziłem na jego twarzy młodej, pięknej i pełnej jakiegoś niezrozumianego dla mnie wyrazu, tego uśmiechu, który tylko co łysnął między nim a mną, lecz nadaremnie; twarz jego była poważna i smutna prawie. Więc to ty jesteś Germani?...

— Czyliż nie poznałeś mnie?...

— Co robisz w obozie, po coś tu przyszedł, jakie twe cele? — pytałem raz po raz.

Germani milczał uporczywie.

— Szpiegować przyszedłeś!...

Uśmiechnął się pogardliwie; ten uśmiech wprowadził mnie w wściekłość.

— Tak to ty Germani, który całe me życie trujesz; ty odpowiesz mi za ten uśmiech jadowity, którym mnie zabijasz pomału.

— Znowu chory jesteś Arturze! — odpowiedział tak zimno, jakby kawałkami lodu posypał.

— Kłamiesz szpiegu!... ja zdrów jestem, i poznałem, że ty Germani...

http://rcin.org.pl

— Uratowałem twoje życie, na którego zniszczenie podpisać się musiałem jako naczelnik powstania w mieście...

— Uratowałeś mi życie, by się dłużej pastwić nademną; krzyczałem niepomny na wszystko; zacząłem biegać po pokoju, a dziwna odbywała się we mnie walka, chciałem, by zginął Germani, a z nim ten uśmiech szatański; i chciałem, by żył i przyznaniem swojem uwolnił mnie od tej mimowolnej wiary w widomego szatana mego przeznaczenia. I zacząłem podle przyrzekać mu życie, byle mi się przyznał, choć w duszy wyrok śmierci był już podpisany.

— Ty się uśmiechałeś tak szyderczo na owym bankiecie szkolnym; powiedz, a życie jest twoje.

— Ja się nie śmiałem z ciebie.

— Zaklinam cię Germani, klękam tu przed tobą i błagam, powiedz, że to ty uśmiechałeś się w kościele...

— Ja się z ciebie nie śmiałem! — była ciągła odpowiedź.

— Powiedz, bo cię każę męczyć, ćwiertować; pastwić się nad tobą będę, póki w tysiącznych twarzy twej skrzywieniach nie poznam tego szatańskiego rysu.

Umilkłem bo mi się zdało słyszeć jęk urwany, przytłumiony, bliski. Odwróciłem się ku pokojowi żony mojej. Cicho było, cicho jak w grobie.

— Jestem w twojej mocy, rób co chcesz!...

— Oddam ci cały mój majątek, tylko powiedz!...

— Ty już nie masz majątku!...

Nie było szyderstwa w mowie, ale słowa zdawały mi się urągać, choć prawdę powiadały, cały bowiem mój majątek był skonfiskowany. Wstrzymałem się jednakże, mimo złości i nienawiści jaka kipiała we mnie.

— To co mam w klejnotach, w gotowiźnie jest wiele, więcej, niż miałeś kiedykolwiek, oddam ci wszystko!...

— Ja niczego nie potrzebuję...

— Oddam ci wszystko, co tylko posiadam, co mam najdroższego, wszystko...

— Wszystko? — krzyknął głosem tak dzikim i nienaturalnym, aż się opamiętałem... Wzdrygnąłem się... ja w tej chwili byłbym mu oddał żonę... tego bladego anioła... Zacząłem zbierać rozpierzchnięte myśli moje, i zbliżyłem się do niego, i zawołałem porywając go za rękę.

— Germani, zlituj się nademnę, widzisz mój stan nieszczęśliwy, powiedz, odkryj, uspokój mnie.

— Ja nie mam nic do powiedzenia! — a po chwili milczenia dodał: — ja ciebie Arturze z serca żałuję... i ja nie jestem szczęśliwy!... o nic mnie więcej nie pytaj! — i zamilkł...

I na twarzy jego nie było uśmiechu, ale palił mnie okropnie w duszy.

— Więc zginiesz!...

— Zginę!...

— Już się zbliżają, jeszcze masz jedną chwilę Germani!...

http://rcin.org.pl

— Czy myślisz Arturze, że będziesz spokojniejszy po mej śmierci... są nieszczęścia nie do wynagrodzenia!...

Spojrzeliśmy raz jeszcze sobie oko w oko. Jego spokojność rozżarzyła jeszcze więcej moje uczucia, które wszystkie zlały się w chęć przyspieszenia jego śmierci.. A jeżeli to nie on?... choć zagadało serce; to będzie jedna omyłka więcej, odpowiadał mój umysł pomieszany.

Zeszedł się sąd wojenny, srogi i bezlitośny...

— Kto jesteś? — zapytano.

— Szpieg! — odpowiedział obojętnie.

— Śmierć szpiegowi! — zawołano jednogłośnie.

Twarz Germaniego nie zmieniła się zupełnie; wyszli na mój rozkaz, by przygotować wszystko do rozstrzelania, a gdyśmy się znowu zostali sami, jeszcze raz prosiłem, zaklinałem i błagałem. Nadaremnie; Germani milczał, a gdy już przyszli po niego, zawołał z wyrazem tak rozrzewniającym, aż mi żal ścisnął serce.

— Ja ciebie Arturze z serca żałuję... oby ci śmierć moja pomódz mogła!

Okropnie tajemniczy musiał to być człowiek, jeżeli na jednej twarzy mogły się pomieścić, ten dawniejszy uśmiech szyderczy, i ten wzrok wyższego politowania jakim mnie pożegnał. Zdawał się być mocno poruszony, porwał się za piersi, wyciągnął rękę i rzucił od siebie zwiędły spłowiały pączek róży; bądź zdrów Arturze! wyrzekł jeszcze i wybiegł z pokoju. W tej chwili nie uważałem na wszystkie te ruchy, jedną zajęty myślą; chciałem być przytomny jego śmierci i śledzić twarz do ostatka.

— Bądź zdrów! — powtórzył, gdy już stanął na miejscu z oczami niezawiązanemi, bo sam o to prosił usilnie. Piękna była twarz jego, spokojna i pełna zapału wyższego. Dym osłonił go przedemną; sześć strzałów wyleciało z hukiem, ale głośniej nad nie ozwał się jęk okropny z chaty. Zapomniałem o wszystkiem i wskoczyłem do chaty naszej. Stary mój wierny sługa wyszedł naprzeciwko z dzieckiem nowo narodzonem na ręku... Malwina już nie żyła; w pół umarły przyskoczyłem do trupa... Uśmiech szyderczy łysnął przez twarz umarłą!... do piersi przyciskała rękę trzymającą zwiędły, spłowiały pączek róży, który Germani był rzucił od siebie...

— Ha to okropnie! — krzyknąłem poruszony do głębi; nastało długie i ponure milczenie...

VI.

— Widzisz zimny człowieku! — krzyknął znowu nieznajomy — że szyderczy uśmiech przeznaczenia mego nie zgasł wraz z Germanim.

— Przeciwnie, mi się zdaje...

— Tobie bryło lodu północnego zdaje się to, co ci wygodniej jest pomyśleć... Mara uśmiechu została na wieki!... jeżeli nie wie-

http://rcin.org.pl

rzysz jeszcze, powiem ci dalej, wszystko ci powiem!... drżyj jeżeli masz krew i żyły, drzyj, i słuchaj najokropniejszej sceny życia mojego.

Uciekłem z synem moim małym precz od trupa żony, od trupa Germaniego, od trupów współbraci, od tej Wandei, która była także trupem ogromnym, potwornym. Miałem krewnych pomiędzy emigrantami, którzy się po ziemi waszej tułali. Do nich dostałem się. Za resztę wyratowanych pieniędzy kupiłem małą wioskę na szerokich stepach ukraińskich, gdzie pierwiej mieszkałem, nim się tu dostałem. I tam odosobniony od wszystkich poświęciłem się dziecku memu, a ciągłą pracą umysłową, za pomocą której przysposabiałem się do wychowania mego syna, którego sam chciałem być nauczycielem, zabijałem pomału te wszystkie myśli ciemne, których byłem ofiarą. I myślałem, żem już ozdrowiał patrząc na to dziecko moje, rosnące w oczach moich...

Lecz nie!... najstraszniejsze czekało na mnie!... Zamilkł na chwilę, a oczy jego coraz więcej obłąkania nabierające latały w koło; w tej chwili wzniósł się księżyc po nad gaje zielone i oblał jego twarz bladością fantastyczną. Stałem zdumiony i wierzyłem słowom jego.

— Słuchaj! syn mój, ostatnia moja nadzieja i jedyna pociecha... zaczął mówić; zdzieciniałem z nim razem, cuda roiłem; słowa jego pieszczone, któremi nasycić sie nie mogłem, padały na umysł mój jak krople gojącego balsamu. To dziecko niewinne kiedy mnie swemi otulało rączkami małemi, gdyby skrzydłami anioła, wnet pierzchały mary okropne jak sny gorączkowe; zapomniałem o przeszłości, która z daleka pojawiała mi się czasami jakby grobowa kaplica rodzicielska, osłoniona drzewami w koło niej posadzonemi. Doszedł już do wieku pojęcia!... Tak! on był pojętny!... Ach!... tchu mnie brakuje, dokończyć boję się... I kiedy postrzegłem, że już pojął pierwsze nauki jakie mu dawałem, spojrzałem radośny w twarz dziecka mego, by na niej wyczytać odbicie własnych myśli moich!... i postrzegłem okropnie, jasno, uśmiech ten szyderczy, wyszczerzający się z twarzy dziecinnej... ten sam uśmiech tak dobrze mi znany!

— Uśmiech Germaniego? — przerwałem nierozważnie.

— Co?... co mówisz? — krzyknął przeraźliwie, zębami zgrzytnął, przyskoczył do mnie i obłąkane oczy swoje wcisnął z uwagą w twarz moją. — I ty się śmiejesz, wyłudziwszy kłamliwemi słowy tajemnicę życia mego. Ha! i na tej twarzy, ten sam uśmiech przeznaczenia mego! uśmiech szyderczy! precz maro! precz!... — Zaśmiał się przeraźliwie i umilkł...

Stałem przykuty do miejsca różnemi miotany uczuciami; i być może, że nieznajomy postrzegł na mej twarzy uśmiech jaki złośliwy, bo właśnie gdy skończył opowiadanie swoje, ja spojrzałem mimowolnie na ścieżkę, po której dwa cienia przechadzały się ciągle... Księżyc wzniósł się wyżej i najczystsze swe na nich rzucił promienie.... Patrzę... wytężam oczy!... To Eulalja przycisnęła najczulej do łona pana Sotera, pana Psotera, jak go niby przedrwiwając nazywała przedemną. Więc dla tego tak mnie odwracała od nocnych przecha-

http://rcin.org.pl

dzek!... Jasno mi się w głowie zrobiło i podziękowałem przypadkowi, który mi zupełnie odsłonił pannę Eulalię, codzień niebezpieczniejszą dla mnie... ja byłem na męża dobry, więc kochanie i umizgi w dzień; pan Soter zaś na kochanka, więc nocne gaikowe miłostki. Wstyd mi się zrobiło, wstyd uczucia mego, wstyd że myśl o rumianej, spasionej nimfie jarowej mogła mnie na chwilę oderwać od dramatu tak okropnego, który się żywo przesuwał przedemną słowami biednego obłąkanego wskrzeszony. Odwróciłem się ku nieznajomemu, już go nie było... Żal uczułem szczery, żem się mimowolnie do jego cierpień przyłożył; byłbym go chętnie przeprosił.

Wróciłem do domu, resztę nocy przemarzyłem... nie o Eulalii, ale o tym biednym starcu dręczonym marą wyobraźni, której, urojone obrazy, tak się pogmatwały z obrazami jego życia, iż trudno było rozpoznać od złudzenia prawdę, która jak słońce przez mgły gęste przebijała się cieniami fantastycznemi.

Niespokojnością wiedziony, nieodpowiadając ani słowa na czułe panny Eulalii zalecanki, pobiegłem wcześniej niż zwykle drogą na smętarz wiodącą. Cicho było i spokojnie w koło mnie; obudził mnie nagle z marzeń smutny głos dzwonka kościelnego, odzywający się powoli i żałobnie... Przeczucie zabolało mnie w piersi... Wbiegłem na smętarz... jeszcze nie było nieznajomego..; we trzy dni dopiero przyniesiono trumnę z jego zwłokami, nad któremi płakał staruszek jakiś... to był zapewne jego wierny sługa. Długo stałem nad trumną, w której umilkły na zawsze wszystkie dzikie głosy namiętności, odegrawszy okropną fantazję szaleńca!... Od starego sługi nic się więcej dowiedzieć nie mogłem... nieszczęśliwy! stan zmarłego pana, chował święcie jak tajemnicę...

Pożegnałem jar podolski co prędzej; a pannę Eulalję, która chciała koniecznie odegrać rolę heroiczną, pożegnałem uśmiechem szyderczym. Ależbo mnie ledwie djabli nie brali, że śmiała przenieść brzydkiego i głupiego Sotera, nademnie oczywiście pięknego i mądrego...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

BALE NA WSI.

(Pierwsze wyd. 1844 r.)

I.

Śniegi okryły ziemię; szerokie i rozległe podolskie błonia bieleją się póki okiem zajrzeć; ciemniejszym nieco smugiem ciągnie się wązka droga, sterczącą tu i ówdzie wałami śniegu: wiatr styczniowy samowładny pan tej męczącej oko rozległej przestrzeni coraz nowsze, coraz większe tworzy zaspy. Taką drogą na okiem nieprzejrzanej równinie, tęga czwórka koni ciężkim pługa ruchem ciągnie za sobą niekryte sani; szerokie skrzydła sypią w koło siebie śnieżnym piaskiem, a kute sanice nieprzyjemnem skrzypieniem przerywają powszechną ciszę zimową wzdłuż drogi i wzdłuż błonia rozciągniętą. Czasem koń który parsknie, z pod zmrożonych furmana wąsów wpółgłośne zdrów się odezwie, a w saniach siedzi trzech mężczyzn okutanych w futra i różnobarwne chustki; pogrążeni w milczeniu znudzenia czy zadumania, trudno odgadnąć z ich twarz osłoniętych i osypanych śniegiem; dwie już mile ujechali; rozmowne przy śniadaniu nabyte usposobienie dawno już wraz z fajkami wypalonemi zagasło; było to samo południe, ale słońce zimowe nie przyświeca, bo śnieżnemi chmurami zasunięte. Jadą dalej; posępna cisza całego przyrodzenia wzmaga się, częściej ją tylko przerywa smutne wycie wiatru; śnieg z rana rzadki coraz grubszemi padać zaczyna płatkami, i droga coraz cięższa, bo z głównej zjechali na drożynę poboczną, której skąpe ślady chłopskiemi sankami wyciśnięte wiatr zawiewa, a wzmagająca się zawierucha olbrzymiemi przerywa zaspami. Przenikliwe wiatru i mrozu zimno snać dopiekło furmanowi, bo po kilku mruknieniach niewyraźnych zaczął silnie uderzać pięścią o pięść.

— Nie lepiej to w domu siedzieć, niżeli puszczać się w drogę w taką zamieć, zaczepił nareszcie furman siedzących panów. Milczenie jakie mu odpowiedziało zwiększyło jeszcze niesłodkie jego usposobienie. —Mamy jeszcze cztery mile tym przeklętym manowcem... djabeł trafi, kiedy wiatr ślady zasypuje — i gniewną ręką trzasnął z bicza... Kasztanek licowy nie parsknął ani razu.

— Przestałbyś mruczeć — ozwał się głos z sani.

http://rcin.org.pl

— Katby nie mruczał, kiedy na dobre rady nie słuchają... sanie zaczepiły przy wyjeździe o bramę, mówiłem, że to zły znak... na wierzbie za groblą wrona zakrakała, mówiłem, że to biedę zwiastuje... tfu!... ale to dzisiaj filozofja głowy przewróciła... — Śmiech w saniach przerwał dalszą mowę.

— Dobrze Franek mówi, nie do drogi to dzień dzisiejszy.

— A osobliwie panu w tym płaszczyku bez futra...

— Już cię nieraz prosiłem Gustawie, byś się oduczył tego śmiesznego potakiwania moim ludziom – Lekkim płaszczem owinięty, nic nie odpowiedział; lekkie tylko ledwie dosłyszane wymknęło się westchnienie, a głos pierwszy groźniej dodał. Milczałbyś stary głupcze!..

— Tak co stary, to głupi... a młodsi?... krocstotysięcy!... wio het maleńki!... — Ni przedmowa, ni batog nie pomogły, bo konie przechodząc pomału z wyciągniętego kłusa w lekkiego truchcika, już teraz ledwie ciężkim stępem iść mogą, tak droga ociężała; ledwie już tylko po wypukłości nawianego śniegu poznać drogę, a choć środek dnia, nic nie widać przez śnieżną firankę.

— Byleśmy nie zbłądzili, odezwał się głos trzeci; czy twój furman dobrze zna drogę?,.. — Zje diabła, kto pozna teraz drogę...

— Trudno zbłądzić, już nie daleko być musi Zielonej karczmy, zaraz będzie krzyż przy drodze rozstajnej.

— Nie daleko! zapewnie nie daleko! — mruczał Franek.

Jadą i jadą, cicho i cicho, ale ani karczmy Zielonej, ni krzyża przy drodze; głucho, smutno i zimno!

— Trzeba prawdę wyznać, mój Sewerynie, ozwał się po niejakim czasie głos trzeci, że przeklęte jest nasze klima polskie; pół roku zimy!... Mogli byli nasi przodkowie w swoich wędrówkach posunąć się dalej ku południowi, ku cieplu!...

— Zimno u nas mój Eugeniuszu — odrzekł Gustaw — to prawda, ale wolę przecie nasze zimno zdrowe, niżeli południowe skwary... bo to nasze, bośmy się wychowali w tem zimnie, które nas hartuje do tak potrzebnej dla nas wytrwałości.

Na to zagadniony Eugeniusz spróbował świsnąć nutę z jakiejś barkaroli dziwnie brzmiącej wśród mroźnego północy powietrza, a pan Seweryn mocnem ziewnieniem wypuścił całą mgłę z szerokich piersi...

Jadą i jadą, cicho i cicho; nic nie widać, tylko śnieg za nimi i przed nimi; nic nie słychać, tylko ponure i przeraźliwe wiatru głosy.

— Zjechaliśmy z naszej drogi! — krzyknął Franek.

— To lubię!... Otóż macie!... Nie mówiłem? ozwały się głosy panów.

— Oto jołop! nam pilno, a on błądzi; coż teraz będzie?... Za wiatrem jedź!...

Te i tym podobne słowa odzywały się i coraz więcej gniewały Franka, który na pomęczonych mścił się koniach. Po długich przekleństwach, kręceniach się po śniegu, zaczęły się konie drapać na-

http://rcin.org.pl

reszcie na ogromną zaspę, Franek trzasnął potężnie z batoga, wypuścił groźne przekleństwo, zwrócił konie w bok, i jakkolwiek sanie rossyjskie mają być niewywrotne, całe towarzystwo runęło w śnieg, a konie zapadły po uszy: wyłażą z śniegu panowie jak mogą; Franek dobywa coraz nowe wyrazy z bogatego dykcjonarza przekleństw furmańskich, w tem z po za zasłony śnieżnej zaczerniało coś, idą do tego — to płot! pokazuje się, że to wiejski kołowrot; kołowroty bowiem w polskich wioskach gościnnie rozwarte przez całą zimę sławne są ze śnieżnych zaspów.

— Coż to za wieś?..... To musi być Zielona!..... Zamiast drogą do karczmy, pojechaliśmy drogą do wsi. Chwała Bogu! ztąd już tylko dwie mile.

Dwie mile zapewne, ale noc za pasem. Wydobyli się jak mogli i pojechali. Ale gdzie pojechali? — na bal!... Na bal?... a przecież! wykrzyknie nie jeden z czytelników łaskawych, przyrzekł pisać o balu, a każe nam tarzać się po śniegu. Tylko cierpliwości nieco, bo to bale wszystkie, a osobliwie wiejskie dzielą się na trzy części; czas przed balem, bal sam i czas po balu. Nie chcę ja tu rozprawy pisać o balach, bo do tego trzebaby szperać po starych szpargałach, choć przeszedłszy wszystkie festyny od greckich sympoziów, od rycerskich tańców i maskarad aż do naszych balów, o których powiedzieć można z jakiemś przysłowiem: baliczek na mały stoliczek, mógłbym wprawdzie państwu nie mało czasu zabrać; powiem tylko, żeby bal na wsi opisać, trzeba zacząć od początku, a zatem od czasu przedbalowego. W mieście, w tem życiu kolei żelaznych, mniej są odznaczone te trzy epoki; w mieście każdy, prędko ubrany przeleciał po bruku, i już jest na balu; bal się skończył, goście i gospodarstwo usnęli: nazajutz drugi bal lub pogrzeb, opera lub szubienica; na wsi zaś nic państwu nie pomoże, musimy jechać naprzód na bal, tak jak tylko co wyjechali pan Seweryn bogaty obywatel z okolicy, z ubogim domowym gościem i dalekim krewnym panem Gustawem, któremu daje u siebie pomieszkanie i protekcję i jaśnie wielmożnym hrabią Eugenjuszem, gościem z miasta przybyłym. Wyruszyli więc dalej po krótkiej naradzie przy karczmie z wielkiem Franka zadowoleniem odbytej, czyliby nie wstąpić do znajomoj sobie pani marszałkowej, lecz Eugenjusz nie był za tem; jadą więc i milczą, rzecz dziwna, że jadąc przez wieś, pan Eugenjusz czkawki nie dostał, bo tam na pagórku w półpałacyku marszałkowej jest pokój wielki oświetlony, a w tym pokoju porozrzucane stroje niewieście świadczą, iż odbywa się tam przygotowanie najważniejsze do balu, a w tym pokoju cztery pań po części ubranych, po części ubierających się rozmawiają o panu Eugenjuszu.

Marszałkowa ma dobra, ma dom drewniany przyczepiony do kolumn pałacowych, ma długi i dwie córek, które już dawno doścignie, nie poszły dotąd za mąż, bo zrobiły jak twierdzą same, wotum niewchodzenia w niebezpieczny stan małżeński — oczywiście dopóki się kto nie trafi. Pan Eugenjusz jest to bogaty młodzieniec ze stolicy, a chociaż przybył z gotowym już projektem ożenienia się jak powia-

http://rcin.org.pl

dają, bo trzeba wiedzieć, że na wsi to powiadają jest zupełnie inne jak w mieście; w mieście powierzchownie tylko rozpowiadają o rzeczy. na wsi do dna zgłębiają każdą wiadomość, niezatrudnionemi językami dokopują się aż do calcu prawdy, która na końcu jak bajka wygląda.

— Ja wątpię, żeby ten światowy pan Eugenjusz, — rzekła starsza córka Elżbieta po chrzcie, w świecie Iza, dla tego, że w okolicy sławna pięknością księżniczka Izą się zwała — mógł zrobić tak zły wybor jak mu przypisują...

— Panna Aniela jest to ładne zapewne stworzenie, ale szlachcianeczka straszna.

— I owszem, ojciec jej był podsędkiem latyczowskim — przerwała mowę czwarta w towarzystwie niewiasta, która nie zdawała się być do balu przeznaczona, ani wiekiem, ani twarzą, ani ubiorem.

— Fi! jak też ciocia bredzi, to aż brzydko słuchać; podsędek jakiś!... hrabia z podsędkowną; nie powiem — dodała i urwała, a oczy w dół spuszczone przebiegły fałdy białej sukni, z której twarz więcej jak śniada panny Izy wyglądała jak mucha z mleka.

— Zapewne ma fille! i projekta równie są daremne jenerałowej, której bal dzisiejszy nie bez politycznej tendencji. — Marszałkowa trzeba wiedzieć namiętnie lubiła czytać gazety, a w nich najwięcej przypadały jej do smaku parlamentowe dyskusie...

— Co! długa jenerałówna dla pana Eugenjusza — wrzasnęła piskliwym dyszkantem druga córka marszałkowej szeroka, niska i rumiana panna Olga, wpatrując się z upodobaniem w zwierciadło.

— To bardzo do rzeczy osoba i doskonale ułożona, podobniusieńka do babki swojej wojewodzianki bełzkiej, przy której miałam zaszczyt być przez lat cztery jako panna respektowa.

— Niech też siostra przestanie raz gadać takie niedorzeczności i te swoje dawne czasy zostawi w spokoju; my w dzisiejszym żyjemy.

— Lepiej przecie było dawniej za świętej pamięci wojewody ruskiego.

— O! widać to — krzyknęła panna Olga — widać to po cioci — i śmiejąc się naciągała z ciężką biedą rękawiczki na tłuste i czerwone ręce, które dziwnie wdzięcznie z pod krótkich dobywały się rękawów.

— Ani podsędkówna, ani jenerałówna! — zadumana wyrzekła marszałkowa — jedźmy na bal, mes filles; ja w tem! zostawcie to mojemu doświadczeniu et à mon savoir faire: czyliż nie będzie miał do wyboru? — dodała z dowcipnym uśmiechem — wdzięki brunetki czy blondynki. Panna Olga była ruda, ale rudziuteńka. Uśmiechnęły się córki; allons maman!... I wlazły do powozu na saniach, podobnego do arki Noego, i powlekły się, trzęsąc się od dwudziestostopniowego zimna o dwie mile na bal. A ciotunia kiwnęła głową za niemi — oj ta francuzczyzna! i majątek polski poszedł, i mężów nie ma, a ja głupia u nich — Ciotka siedziała u nich na łasce, jak Gustaw u pana Seweryna; gorzka łaska i gorzki chleb; ta stara, a tamten młody, oboje bez majątku znosić muszą cudze widzimisię; tu pamiątki stare, tam marzenia młodzieńcze,

http://rcin.org.pl

w poniewierce u płaskiej głupoty; bo świat teraźniejszością stoi; na co mu pamiątki, te do kronik należą; na co mu marzeń poetycznych w przyszłość wskazujących, te do kalendarza dobre: dzisiaj potrzeba złota i kwita!...

Jadą sanie kryte i niekryte, karety, budy i kocze na bal do jenerałostwa; a na przedzie dobijają się jak mogą sanie, któremi kieruje mądry Franek; ciemno już choć oko wykol, zawierzucha miecie śniegiem w same oczy; nie znać drogi, konie już ustają, a mróz się wyiskrzył, a wiatr ziębi aż do kości; jadą z niebezpieczeństwem nosów, uszów, bród, rąk i nóg obojej płci goście na bal do jenerałostwa. Błądzą po wertepach, przeklinają, wrzeszczą, piszczą nieludzkiemi głosy, wtórują dzwonieniem zębów, ale jadą zawzięci goście na bal do jenerałostwa. Gdyby można wznieść się balonem, sztucznem światłem oświecić całą okolicę i przy wygodnym piecyku z góry spojrzeć na błonia okalające wioskę jeneralską, cóżby to był za pocieszny widok! tego ludzkiego mrówiska, ciągnącego wszelakiemi powozami do średniego punktu na bal, w strojach żartujących z tej zimy naszej, w strojach godnych południa, jak się krzyżują po polach, mijają jedni drugich, jakby grali w ciuciubabkę, posinieli od zimna myślą o tańcach, a z dala z jarów zasypanych śniegiem głodne wilki wietrzą balowych gości, oczekując, czyli przypadek jaki nie obdarzy ich przysmaczkiem, a groźnem wyciem wtórują stepowemu wiatrowi, który głosem ponurym to piskliwym zdaje się grozić i szydzić razem z tego ludzkiego szaleństwa! Ciemna noc dawno nastała, dawno już pogasły światła po wioskach okolicznych, a balowi goście suną jeszcze na bal do jenerałostwa!...

- W imię ojca i syna i ducha świętego!... — rzekł nareszcie Franek pobożnie — otóż przecież Grabińce.

— Widzę już światła — rzekł pan Seweryn.

— Do dworu zajedziemy? — dodał półgłosem, którego wszytkie już najognistsze marzenia pomarzły pod lekkim płaszczem, datkiem wspaniałego kuzynka.

— Ale gdzież tam! muszą być przygotowane jakie stancje gościnne; przeszłego roku stałem w izdebce pisarza gorzelnianego.

— Czy co roku daje jenerał bale? — zabytał hrabia Eugenjusz.

— Co roku prawie!

— Na nieszczęście — odezwał się Gustaw — jenerał jest Hilary, i w styczniu musimy tę mroźną odbywać zabawę: dziwna pasja dawania balów na wsi w zimie!...

— Nie do rzeczy gadasz — odrzekł cierpko pan Seweryn, miłośnik wielki wsi, pola, gnoju i cudzych festynów.

— Zgadzam się z Gustawem, bale dobre w mieście i gdybym nie był przyrzekł... — Tu wydrapały się konie jakby na szczyt wieży na okop śniegu panujący nad kołowrotem, którego gościnny jenerał przekopać nie kazał.

Doświadczeniem nauczony Franek przejechał bez szwanku, ale następujące po nim sanie przewracały się z krzykiem, piskiem i płaczem po miękkim śniegu aż miło. Wjechał Franek do wsi, tu dwie drogi, gdzie jechać nikt nie wie; rada między panami; Franek pocią-

http://rcin.org.pl

gnął ku karczmie: podpity podstarości, mając zkozaczonego parobka od wołów do pomocy, rozsyłał ztąd gości do przygotowanych pomieszkań:

— Niech panowie jadą na prawo aż do cerkwi, potem w dół na lewo, koło cmentarza na górę uliczką w prawo, tam koło chałupy wójta na lewo i znowu od siebie prosto do dworku gajowego.

— A żeby ciebie wszyscy djabli! — mruknął Franek, i jedzie dalej w prawo i lewo i prawo znowu, stanął wreszcie przed dworkiem. Pusto i ciemno na dziedzińcu; wyleźli panowie, trzęsą się od zimna zgłodniali i źli; pierwszy Eugenjusz wpadłszy parę razy po pas w śnieg, dobiegł do lepianki walącej się, otwiera drzwi od sieni do izby prowadzące, zatrzymuje go rodzaj kotary, z dywanu zrobiony, podnosi ją i....

— Dawaj mi prędzej trzewiki! — odzywa się głosik pieszczotliwy niewieści... i o! dziwne losu zrządzenie, postrzega nóżkę zgrabną na stołeczku postawioną, w ażurowej pończoszce oczekującą na trzewik, który miał uzupełnić balowe przystrojenie, a nad nią uśmiecha się twarzyczką śliczna siedemnastoletniej dziewczyny.. — Anielo!.. Eugenjuszu! — krzyknęli oboje wpółgłosem, a rumieniec, który łyskawicą wyskoczył na młodą twarz, paluszek do ust szybkością myśli przyłożony, spojrzenie oka do alkowy zwrócone, gdzie ciotunia Anieli, pani sędzina, stare swoje trefiła wdzięki; ściśnienie rąk przelotne ale dobitne, pocałunek na śnieżnej ręce złożony, spojrzeń parę czułych, westchnień kilka na poły tęsknych, na poły radośnych, — wszystko to przemknęło tak prędko bez słów próżnych, chociaż oboje umieli zmieścić w przestrzeń tych chwil kilku ulotnych i przeszłość, i przyszłość, i marzenia i nadzieje, a czucia tyle, żeby go starczyło na cały tom romansów — że pan Seweryn doszedł do drzwi sieni, a panu Gustawowi jak zjawisko jakieś mignął przed oczyma trzewik jedwabny przez biegnącą służącę niesiony, i już wyskoczył pan Eugenjusz do sieni o kilka stopni Reaumura ocieplony. W tem dobiegł na bronowłoce w wierzchowego konia wolą wszechwładnego jenerała przedzierżgniętej, zkozaczony Fedko i składając winę bałamucącej wódki Icka na rozległe zatrudnienia, powiódł naszych błędnych rycerzy do przygotowanej dla nich istotnie kwatery. Nie pomogły jak grad sypiące się djabły z ust Franka, trzeba było jechać i w dół i w górę, i w prawo i w lewo wiejskiemi uliczkami, powyżej niskich okien zawianemi; stanęli wreszcie przed obszernem domostwem, ciemnem, obdartem i okopconem. — To moja przeszłoroczna kwatera.

— Cóż to za szkaradna rudera!

— To gorzelnia! — odpowiedział Gustaw — ale powiedz mi proszę, co to za zjawisko trzewikowe?... czy to duch balu!...

— Nie nudź nas Gustawie swojemi marzeniami jakiemiś — z niesmakiem zagadał pan Seweryn — lubię twoje wybryki poetyczne, ale w swoim czasie; teraz chodźmy się ubierać. — Przebywszy nie bez trudności koryta, węże, trubniki i kadki weszli nareszcie; izdebka pięć łokci długości mająca, oświecona łojówką w kulawy lichtarz wsadzoną, dwoma zydlami i ułomnym stolikiem drewnianym ubrana, zimna sowicie, ale za to zadymiona dymem od pieca, i dymem od

gorzelni; to była kwatera przeznaczona dla gości balowych, którzy o sześć mil przeciągnęli; koni niema gdzie postawić, a więc Franek przeklina na dworze, tłumoków nie ma gdzie roztasować, a więc zrzędzi służący dobywając fraki, kamizelki... panowie balowi z nosami gdyby gile, głodni jak wilki, trzęsąc się jak w zimnicy zabierają się do ubierania; Jacenty nie może wydołać, żelazka do włosów niema gdzie zagrzać, bo w piecu był ogień, a w ognisku gorzelnianem ma być dopiero. Pan Seweryn milczy, Gustaw rozmyśla, Eugenjusz do zegarka. — Dziewiąta godzina! — krzyknął — i w mieście nie zaczynają się później bale... od dziewiątej z rana, a to cała podróż!

— Prolog do balu nie bardzo obiecujący — dodał śmiejąc się Gustaw.

— Lubisz krytykować mój kuzynku; w twojej pozycii to nie na swojem miejscu.

— I owszem, prolog niezły — rozweselony przerwał Eugenjusz, i zamarzył o Anieli.

Otoż i pierwsza część balu wiejskiego; już się goście pozjeżdżali, roztasowani po dworkach i chałupach, trzęsą się po zimnych izdebkach, a dymem obdarzeni rzęsistym kichają zawzięcie, bo katar jest pierwszą wiejskich balów przyjemnością.

II.

Zaczyna się bal u jenerałostwa. Jenerał jest jenerałem i na tem koniec; jakich wojsk, jakiego kraju, nie powiem państwu, bo sam nie wiem i drudzy nie wiedzą; ciocia nawet marszałkówien, panna Agnieszka, milczy, gdy o tem mowa; raz tylko przebąknęła coś o konfederacji targowieckiej, ale będąc wielką estymatorką samej jenerałowej, poczciwej Mazurki, nie dokończyła zaczętej tradycji. Bądź jak bądź, jenerał ma usposobienie zupełnie jeneralskie, głos rozkazujący, mowę dobitną, postawę wyprostowaną, nos w niebo lub sufit wzniesiony, wszystkie ruchy krótkie, urwane, pełne powagi i znaczenia; przytem popularny, z wyciągniętą ręką czeka u gościnnych drzwi, by silnem, wojskowem ściśnieniem ręki witać, a wstrzymywać razem poufałość szlachty, cisnącej się do czerwonych policzków jenerała, poważnie wystających z pod ciemno-rudej, wysoko ufryzowanej peruki. Ruch wielki panuje w domu od świtu, ruch różnorodny, ale dążący do jednego celu. By jednym rzutem oka obejrzeć wszystkie działania w domu jeneralskim, za pomocą djabła kulawego zerwiemy dach z pomieszkania jeneralskiego, który rzeczywiście dawno już zerwać wypadało, i skórkami owczemi na poddaszu rozwieszonemi otuleni przyglądajmy się cudom balu jeneralskiego: mniejsza o powierzchowność domu zlepionego z różnoczasowych zabudowań połączonych kolumnadą, arcydziełem gustu właściciela, wnętrze jego więcej nas obchodzić powinno.

W sypialni siedzi gospodyni już na bal ustrojona w barwy zgodne z jej wiekiem i rozsądnem usposobieniem, zadumana, a co

http://rcin.org.pl

gorzej, smutne oczy wlepiła w pęk papierów przed nią leżących; jenerał niecierpliwy wbiegł do pokoju na zawołanie żony, i krótkiemi słowy odpowiada na jej przemowę. Cóż mu tam do tego, że jakiś szlachcic źle wychowany, któremu zrobił jenerał zaszczyt pożyczenia pieniędzy, wyrobił sobie egzekucję do mobiliów, a termin jutrzejszy wypisany na leżącym przed jenerałową papierze zdaje się podrzyźniać z dzisiejszych godów; są to pociski losu, które jenerał zwykł znosić z godną siebie mężnością; boleśniej dotknęła go wieść, że Szulim z pobliskiego miasteczka odmówił kredytu na kilkanaście butelek wina starego; coż robić! szlachta będzie musiała pić bez skrzywienia się lekkiego austryjaka, którego właśnie kredencerz na marszałka dworu przekształcony oblepia kartkami z świętej pamięci wypitego przed kilku laty wina reńskiego; wybiegł jenerał, który jak duch ożywczy we wszystkich jest razem kątach, by z niczego stworzyć wystawę godną dnia tego — tu kilkunastą świecami woskowemi zamaskował zgrabnie oświecenie pałacu łojowe, tam zasapanemu Ickowi za przywiezione bakalia i porter, podpisał kontrakt na gorzałkę, będącą dotąd w krainie marzeń; chudemu furmanowi w liberję z tłustych czasów przebranemu naznaczył miarę i gatunek gościnnego obroku, i znowu przemknął chyżej od wiatru, który się tam na polu uwija, koło gabinetu córki, by przyspieszenie stroju zalecić. Próżne zalecenie, jenerałówna nie może dzisiaj wynaleźć sukni, któraby jej wysoką, chudą i kościstą postawę zdołała obwinąć dosyć okrągłemi zarysami: panna Karolina, którą jedna przyjaciółka od serca nieszczęśliwą omyłką na podpisie listu karabinem na wieki przezwała, po raz nie wiem który wychodzi na te zimowe gody z nieugiętą wolą zdobycia męża; jeneralskim bowiem ojca duchem obwiana, żądna jest walk, ale zawsze schodzić musi z placu bitwy bez jeńców, dla braku chętnych do walki; nie mogąc w życiu realnem działać wedle podbójczej woli swojej, goni na polu marzeń z czytania romansów utworzone ideały. Przybycie hrabiego Eugenjusza w osieroconą z kawalerów stronę, nowem życiem wionęło w bujną wyobraźnię jenerałówny; nie mało się też musiała naubierać i natrudzić biedna Zuzia, nim ujrzała w oczach swej pani spojrzenie ku zwierciadlu zwrócone, nadzieją tryumfu roziskrzone. Ale jakież to głosy odzywają się niesforne w tyle domu? — jest to w gabinecie jeneralskim próba siurpryzy muzykalnej, którą mu przyspasabiają wierni oficjaliści pod przewodnictwem samego jenerała: by wydobyć zgodność harmonijną ze skrzypców pisarza gorzelnianego, klarnetu ekonoma, trąbki leśniczego, basetli diaka i bębna pastuszkowego. Jeszcze raz przebiegł wszystkie pokoje, okiem rzucił wszędzie, i już stoi w sali balowej u drzwi z uśmiechem pańskim i grzecznym razem; matka i córka usiadły na kanapie naprzeciw wchodu postawionej, matka z uśmiechem mocą jej duszy wyciśniętym ze zbolałego usposobienia, córka zaś promienniejsza od olbrzymiego bukietu, który całym krzakiem rozpięty zakrywa chude, daremną żądzą wysuszone piersi. Sala balowa, salą nazwana, w salę zmieniona przez wszechwładną wolę jenerała nic nie ma w sobie salowego i wielkiego, prócz pieca, który ciekawie aż do pół pokoju wysunięty szerokiemi bokami

http://rcin.org.pl

swemi, zdaje się dzielić całą salę na dwie małe izdebki. Wchodzą goście obojej płci; wszystkie postacie przemarznięte, znudzone, z nosami czerwonemi, wietrząc z upragnieniem ciepłego napitku i jadła, kupią się po większej części w okolicy pieca, który delikatnym swędem pobudza ciągłe ruchy chustek do nosa.

Dyplomatyczna marszałkowa zasiadła przy jenerałowej na kanapie, i zgrabnemi słowy stara się wybadać czyli są jakie i jak daleko zaszły projekta z panem Eugenjuszem. Wyuczone przez matkę marszałkówny nie odstępują ani na krok jenerałówny, a pochlebnemi słowy głaskają na wyścigi. — Jak ci Karolciu do twarzy ta żółta suknia!

— Kochana Karolka ma szczególny talent ubierania się.

— Coś idealnego masz w sobie, de la poésie.

— Romantyczny Gustaw gotów się w tobie zakochać.

— Fi! Gustaw!

— Dla czegoż? on bardzo przystojny.

— Et comme il est bien!

— Majątek nareszcie szczęścia nie stanowi; on jest zdolny wypracować sobie świetne położenie, byle chciał tylko; brakuje mu tylko uczucia, któreby go pobudziło, brakuje mu osoby... i spuściwszy oczy z niewinnem pomięszaniem przerwała, jakby mówić dalej nie śmiała.

— A czy nie spodziewasz się nią być Olgo? — rzekła z przekąsem udanym Iza — Gustaw nie lubi blondynek... i odkądże nabrałaś takiego umiarkowania?

— Ja byłam zawsze za miernością; nieprawdaż Karolko!

Jenerałówna uśmiechnęła się, namawiając żartobliwie siostry do zgody, i chociaż nie mogła pojąć tych nowych usposobień, zadowoloną była w duszy, że jakiś wiatr romantyczny powiał po marszałkównach, których wściekłej pogoni za bogatym mężem obawiała się pomału.

— Zapewne des fruits et du lait, to nadto mało; ale wolę przecie spokój i szczęście domowe... nie tak jak ta Aniela, której się zachciewa męża bogatego, męża z tytułem...

— Kogo? — z niegodnem siebie roztrzepaniem zapytała żywo jenerałówna, otumaniona przez przyjaciółki.

— A kogoż jeżeli nie hrabiego Eugenjusza — odpowiedziała Olga, radując się z przelęknienia Karoliny.

— Aniela za hrabiego Eugenjusza; a to śmieszne! — w pół obojętnie rzekła Karolina, która już nieco ochłonęła. — Któż to wam powiedział?

— Sam twierdzi, że ją kocha, że ją tam gdzieś poznał, jak jeździła z ciotką, i w skutek przyrzeczenia przyjechał w te strony.

— O! nawet już tryumfuje podsędkówna — dodała z iskrzącemi od złośliwości oczyma panna Olga; powiada, że daremne zabiegi wszystkich dziewcząt okolicznych, śmie nawet cytować ciebie, żartując z tej pomyłki na podpisie... wiesz której?...

— Onaby śmiała!...

http://rcin.org.pl

— Na śmiałości jej nie zbywa; powiada, że i tą razą karabin źle celuje.

Zaczerwieniała po uszy ze złości Karolina. — Nie! nie! ja wam ręczę, że ona nie będzie żoną Eugenjusza.

— A jeżeli ją kocha, twierdzą bowiem, że Eugenjusz jest romantyczny.

— Romantyczny zapewne; ale ja znam jego słabą stronę; ja wam powtarzam, Aniela nie będzie żoną Eugenjusza. — Zaintrygowane marszałkówny słabą stroną hrabiego Eugenjusza, poszły z jenerałówną do drugiego pokoju, by knuć spisek przeciw niewinnej Anieli, a oszukując siebie nawzajem, każda myślała, jakimby sposobem przywabić do siebie bogatego hrabiego.

Coraz nowe zajeżdżają powozy; wysypują się z nich roje sąsiadek z córkami, siostrzenicami i kuzynkami, sprowadzonemi z różnych dalekich nawet okolic na ten bazar wiejskich balów, który tem tylko różni się od bazarów wschodnich, że tu towar sam się przedaje, a kupcy mniej towarowi przypatrzyć się mogą. Weszła i Aniela z ciotką, grubopłaską sędziną, która trąci parafiańszczyzną na trzy kroki, jak twierdzi marszałkowa miana za parafiankę przez jenerałowę, a ta znowu przez księżnę; bo i po wsiach wiedzą, co to jest ton wielki, znalezienie się światowe. Proszę tylko patrzyć ze mną, a ucha nadstawiać: jakie ukłony ceremonialne jakby u dworu, aż szeleszczą fałdziste suknie po podłodze woskiem zalepionej, jaka wściekła galomania porusza niewieściemi i męzkiemi językami, a przytem jakie spojrzenia ukośne rzucane na sąsiadek berety i czepce: jakoż warte podziwu te arcydzieła modniarek tamtejszych; jaka rozrzutność piór, błyskotek i bukietów; a jak na nieszczęście lwowski dziennik mód poobcinał rękawy, by nam ukazać całą galerję rąk, na których widok Fidias dłutoby swoje w morze rzucił, a Apelles pędzel spalił. Dotąd ogólny jeden wyraz zgłodniałego i zmrożonego znudzenia przeważa w towarzystwie całem, twarz tylko Anieli różni się od innych wyrazem więcej znaczącym; jeżeli jest która z nich parafianką, to pewnie Aniela nią być musi, bo naturalna, bo bez najmniejszej przesady: krótkie widzenie się z Eugenjuszem jakkolwiek przelotne, rozpromieniło dorodną jej twarz odbiciem wewnętrznej rozkoszy, która igra uśmiechem na ustach, ożywia oczy spojrzeniami ciekawemi, latającemi z niewinną prostotą po całej sali, piersi nawet dziewiczo utoczone, zaokrąglone życiem niewinności, wznosi czasem do westchnienia, bo tam w głębi tej piersi jest już tęskne uczucie, które marzy i przeczuwa, boi się i spodziewa; a jej ręce jakby z marmuru, pełne, pulchne i białe pogodziły mnie nieco z modą rękawów krótkich, a postać nie wielka ale zgrabna, twarz pełna wdzięku niezepsutego życia, płeć mchem czystych myśli posypana jeszcze, wydają się jak światło dobroczynne na nadto zaciemniony obraz rzucone. Znajomość i miłość Anieli i Eugenjusza przyszły zwyczajnym trybem bez żadnych nadzwyczajności, których od niejakiego czasu namnożyło się tyle w powieściach naszych. Aniela na wsi wychowana przy niezamożnych rodzicach, winna była wdzięki przyrodzeniu, dobroć i czułość poczciwym rodzicom, którzy choć w posesorskim domku chowali

http://rcin.org.pl

skarb cnót domowych, cnót naszych dawnych, których dotąd jeszcze małpiarstwo cudzych wad z pod słomianych przynajmniej strzech wypędzić zupełnie nie zdołało; wychowanie jej nie świetne zapewne, utworzyło z niej dziewczynę dobrą, niewinną a bogobojną, z której czas miał wyrobić żonę i matkę jakich nam potrzeba, bo zmniejsza się coraz więcej liczba żon i matek polskich — kobiet, dam bez liku, ale owych niewiast z duszą Chrzanowskiej, głową Drużbackiej nie zdybać już!... Paplanina cudzoziemska, niedowarzona muzykalność, oczytanie w romansach zajęły miejsce zajęć pożytecznych, domowych, gospodarskich; matka dziś z córką na woskowanej posadzce stają w szranki, tańcem a zalotnością walczą między sobą; przez takie matki wychowani synowie dzisiejsi wyśmieliby nawet te, które jak nasza Aniela rozumiały się na domowem gospodarstwie w najdrobniejszych jego szczegółach, a nie umiały posuwać nogą w takt francuzkich tańców: jednem słowem Aniela była prawdziwym aniołem. Ojciec i matka poumierali; biedna sierota w piętnastu leciech musiała zrozumieć, co to jest sieroctwo, co to jest zależność od cudzej woli; nauczyła się w domu nudnej i głupiej ciotki cierpieć i znosić, dwie te konieczności i cnoty razem niewieściego rodu; w podróży, którą odbywała z ciotką do Lwowa, odwiedziła znajomę swoją, która ją do chrztu trzymała; zaproszona przez nią, przepędziła jak trzy dni, trzy miesiące letnie w jej domu; tam poznała hrabiego Eugenjusza.

Eugenjusz był to młodzieniec dobry i szlachetnej sercem, ale zepsuty światem i wychowaniem; był w stanie piersi nadstawić za prawdę i cnotę, a drżał jak ostatni tchórz przed śmiesznością towarzyską; cnotę wyżej cenił jak majątek, ale przyzwoitość wyżej jak cnotę; olbrzym w uczuciach, karzeł w towarzyskich stosunkach rzuciłby się chętnie w wodę, by ratować człowieka, a nie uścisnąłby tego człowieka w salonie, nie przejrzawszy pierwej herbarza i nie rzuciwszy poprzednio oczu na jego ubior; sercem Polak, językiem Francuz wstydził się przed światem polskich książek, któremi się cieszył w samotności; hermafrodyt nowego kształtu z orlą myślą w niebo, żółwią stopą po ziemi. Przesycony sztuką, która go w stolicy od lat tylu otaczała, wiedziony lepszym duszy własnej instynktem zbliżył się do Anieli, i chociaż w mieście, ale w czasie letnim, w czasie kiedy miasto obleka się, bym tak rzekł w szaty teatralnego pasterswa, przeżył z nią trzy miesące pełne nowego dlań uroku: w wyludnionem mieście w domu swojej krewnej poczciwej staruszki; bo i w mieście pojawiają się poczciwi ludzie jak niegdyś prorocy w Babilonie, przeżył Eugenjusz z Anielą trzymiesięczną sielankę, pełną marzeń i poezji. Aniela kochała po raz pierwszy tą miłością, o której marzyć lubo, a czuć tak trudno; Eugenjusz kochał nie po raz pierwszy, ale zdało mu się, że po raz ostatni; Eugenjusz filar salonów lwowskich, wzór młodzieży salonowej, on, który tyle koncertów w kraju i za granicą się nasłuchał, teraz w ciszy wieczornej przy otwartem oknie siedząc, słuchał jakby czarem przykuty piosnki prostej polskiej, którą nuciło to niewinne dziewczę głosem dźwięcznym choć nieuczonym; zimny przy chorze szatańskim Roberta, przy marszu Hugenotów, drżał przy tęsknej nucie Alkara, przy żałośnym szmerze dwoch brzoz

http://rcin.org.pl

zielonych. Nie wiele mówili, ale w niebo patrząc pogodne żadną chmurką nie zaciemnione, w promienie zachodzącego słońca, tam koniec uczuć swoich zakładali, tu widzieli obraz wieczoru życia swego!... Wszystko niknie na tym świecie, a najprędzej to najpiękniejsze złudzenie życia, które zowiemy szczęściem; Aniela odjechała do ciotki; Eugenjusz marzył po przedmieściowych ogrodach pomiędzy szeleszczącemi jesienią liśćmi: dał słowo Anieli, że będzie na tym corocznym balu u jenerała, po którym przeskoczywszy nudne przygotowania i formalności miał na wieki połączyć się z Anielą i w wiecznie pogodnem niebie...

Ale już na tem niebie wznosi się chmura, ciemnieje burza w groźnych oczach jenerałówny i marszełkówien, łyskawicą złośliwości strzela ze spojrzeń roziskronych żądzą hrabiowskiego majątku: kawaler czy panna, goniący za bogatem ożenieniem, skoro zdybią współzawodników, są zawziętsi od najzaciętszego zbrodniarza; jeżeli bojaźń kodeksu i zniewieściałość dzisieszych wychowań wstrzymują ich od czynu, gdyby tylko do wnętrza zajrzyć można było, rodzina Borgia zadrżałaby przed ich myślami. Wszedł Eugenjusz; niepojętem ogółowi przeczuciem zwrócone ku drzwiom duże oczy zdybał przy wchodzie; spojrzeniem zapału przywitał te dwie gwiazdy wymarzonego nieba swego!

Towarzystwo się ożywiło, bądź że członkowie ogrzeli się już po przejazdce zimowej ciepłą wodą, herbaty nazwiskiem ochrzczoną, bądź, że przybycie Eugenjusza poruszyło większą i wedle zwyczajni mówienia piękniejszą jego część. Tymczasem wchodzą a wchodzą do sali coraz inni goście, którzy po przebytej śnieżnej kąpieli wduszeni w tę parową ścisku kąpiel, odbywają mimowolnie prysznicowską kurację; na ciasne grona podzieleni czekają, co jeneralska wola dalej z nimi zrobić rozkaże, a tymczasem skracają sobie jak mogą czas rozmową nie nader interesowną.

— Kochana Jenerałowa wie dobrze, jak mnie los całego jej domu obchodzi, i najszczęśliwsza byłabym, gdyby się nasza myśl udała... Patrz pani, jakaby to była para z panny Karoliny i pana Eugenjusza.

— Nie spodziewałam się, — odrzekła jenerałowa — takiej zarozumiałości po Anieli...

— O czem panie tak żywo mówicie, — spytała ciekawa chorążyna: bo na wsi do niepospolitych przyjemności należy i ta inkwizycja, która cię pytaniami jak pijawkami poobsadza póty, póki cię nie wyssączy do ostatniej kropelki. Darmo jeżeliś mieszczanin wywijasz się zgrabnością jakby sztuką fechtunkową; ciekawość wiejska krzyżową sztuką póty cię napastować będzie, póki się nie przyznasz, gdyby nawet szło o noszenie rogów, do czego nikt jednakże przyznać się nie lubi.

Marszałkowa rozpowiada; wszystkie panie w krzyk. A któżby się spodziewał po tej skromnej mince. Cicha woda brzegi rwie i tuzin przysłowiów podobnych, bo wieś jest krajem przysłowiów. O mój Boże, ileż to obiadów na wsi zjadłem, których przyprawą jedyną

http://rcin.org.pl

były przysłowia stosowane do rzeczy jak rożen do Newtona, a w takiej ilości, żeby się nawet i Wojcicki przestraszył... Wszystkie panie bij zabij na Anielę; jedna z grzeczności dla gospodyni, druga z pamięci na własną córkę lub powinowatę. Powinowatomanja bowiem jest to choroba wiejska; ledwieś wlazł w gościnne progi i wyjąknął nazwisko swoje, już ci gwałtem trzy lub cztery domy okoliczne na krewnych dają; darmo się zżymasz; twoja matka była cioteczną siostrzenicą bratanka pierwszego męża podstoliny, a twego ojca wujeczny brat ożenił się z pasierbicą pana Wojskiego.

Gdy się z jednej strony wzmaga burza pomiędzy poważnemi paniami, z drugiej strony znana nam już trójka roztrzepuje pomiędzy panny tak niemiłą wieść dla panieńskiego rodu, że podsędkówna zamyśla z przed samego im nosa schwytać bogatego hrabiego: usposobienie złośliwe ztąd wynikłe zdybuje wszędzie biedną Anielę, to nieprzyjaźnem spojrzeniem, to cierpkiem słówkiem, to przytykiem do organtynowej sukienki, którą biedna przez kilka nocy sama uszyła. Takie przyjęcie odjęło Anieli, która i tak nie bardzo upodobała sobie liczne towarzystwa, całą odwagę; zaczerwieniona nieśmiałemi, a zatem niezgrabnemi krokami przesuwała się z kąta w kąt, szukając spokoju: Eugenjusz po przywitaniu i przyciśnieniu nawet do serca jeneralskiego chciał zaraz zbliżyć się do Anieli, ale mu to nie tak łatwo przyszło. Szeroką chorążynę, która z piecem najwięcej zajmowała miejca, wysłano naprzód; chorążyna gadatliwa wprowadziła go w cały genealogiczny wywód pełnego splendoru jeneralskiego domu, a tymczasem za nią jak za parawanem uszykowane marszałkowa z panną kasztelanką, tamtowiekową edycją jakiegoś znakomitego rodu, rozmawiały poufnie między sobą tym głosem towarzystw wiejskich, który środkuje między wołaniem na gwałt a łajaniem.

— Nie uwierzysz pani, co to za obłudne stworzenie.

— Moja dobrodziejko, jabłko niedaleko pada od jabłoni; nieboszczyk podsędek był istny pustelnik, a podsędkowa, Boże świeć nad jej duszą, z rodu faryzeuszów; otoż moja dobrodziejko, i ta Aniela jak ją zowią...

Zaczerwieniał się Eugenjusz i chciał pójść naprzód, ale przyzwoitość kazała mu stać przed chorążyną, która dopiero z antenatem jenerała z pól Grünwaldskich schodziła, i słuchać zjadliwej mowy.

— Wiadomo pani zapewne, że ta biedna podsędkowa umarła z rozpaczy; było to po owym sławnym romansie córeczki z panem Sewerynem; powiadają nawet... — tu zaszeptała coś tak wpółgłosem, że aż włosy stanęły na głowie Eugenjusza.

— Moja dobrodziejko, szkoda tej dziewczyny; cóż z tego że ładna, kiedy jej reputacja zniszczona na zawsze.

— Ładna? dosyć! ale proszę uważać jaka niezgrabna turniura; patrz pani, jakto poznać parafiankę; wyobrażam sobie jakby wyglądała w mieście, w tem wytwornem, stołecznem towarzystwie, z tą miną kurczęcią, główką na dół schyloną...

— Moja dobrodziejko jak wróbel na nitce. — I obydwie w śmiech.

Jak mrówki po ciele uczuł dreszcz na sobie Eugenjusz, bo gdy spojrzał ku Anieli, idącej i wracającej, wróbel kasztelanki nie wydał

http://rcin.org.pl

mu się obmową; zrobił ruch gwałtowny w bok, ominął wał strzegący dalszej drogi i jak bomba wpadł w kąt pieca, na którego drugiej stronie panowały chichoty niepospolite między zebranemi tam pannami: głośne chichoty jest to na wsi rodzaj zalecanek panieńskich, dziwnie dobre dających wyobrażenie o nich...

— Ona kontradansa, cha! cha! cha!...

— Dałabym chętnie cztery pnie pasieki, które mi papa darował, żebym widziała ją w tym tańcu.

— Zobaczemy może; Karolcia mi mówiła, że będzie kontradans.

— Nic sprawiedliwszego, wszędzie go tańcują — dodała panna Iza — u pani szambelanowej we Lwowie tańczyłam go z rotmistrzem...

— Nie wiem tylko, czy ją kto angażować będzie, po tem co mi twoja siostra mówiła, że się stało z panem Gustawem.

— Niech mi pan wierzy, że tak jest; mama się ujęła za panem i powiedziała ciotce Anieli, aby ją przestrzegła, że się tak nie godzi mówić w jej wieku, że nareszcie pan możesz być bez majątku, ale przez to hołyszem i pieczeniarzem nazywać się nie godzi.

— Gustawie! czy znasz tę dziewczynę — krzyknął mu do ucha tylko co nadeszły Eugenjusz wskazując na Anielę. — To niegodziwa dziewczyna! — chciał dalej pytać Eugenjusz, ale panna Olga porwała Gustawa i pomknęła z nim po przed oczy jenerałównej, która swobodna z przyczyny ubycia strasznych współzawodniczek zbliżyła się tymczasem do fortepianu i oczy w powałę rzuciwszy, kilka akordów dobyła z rozbitych klawiszów

Nie słyszał tego Eugenjusz, nie zobaczył nawet jej spojrzeń romantycznych zamglonych spuszczającemi się raptem rzęsami, i pogonił z postanowieniem zdybania Anieli, lecz spotkawszy po drodze pana Seweryna nie wiele podchlebnego i od niego się dowiedział; bo pan Seweryn należy do tych ludzi, którzy tak są pewni swojego szczęścia w miłości, iż o tem coby dopiero stać się mogło tak rozpowiadają, jak gdyby się rzeczywiście już stało. W przelotnej z nim rozmowie dowiedział się tylko Eugenjusz o niezmiernie długim szeregu kobiet, które mu uległy i mężczyzn, którym suknie sprawił; zgrabne o Anieli wspomnienie przyjął pan Seweryn z uśmiechem, który trzeba widzieć, by zrozumieć ten jedyny, milczący dowcip pana Seweryna — w uśmiechu!...

W tem ruch niepospolity po obu pieca stronach, wszyscy cisną się ku drzwiom, jakiś bowiem chrapliwy głos trąby dał się słyszeć; zgłodniali goście myśleli, że to znak do stołu dają, gdy raptem jenerał wyszedłszy na środek pokoju zadziwionym zapytał głosem. — Co to takiego?

— To! — zaczęła jenerałowa; otworzyły się drzwi do jadalnej sali, a z niej wychodzi dźwięk warjacji na bajorku i rozpaczliwe acz daremne dmuchanie w klarnet... — to twoi ludzie chcieli ci zrobić siurpryzę.

Odurzeni goście zamiast jadła muszą słuchać godzinnych warjacij dawno zapomnianego Gelineka kociemi tony; a jenerał, ociera-

http://rcin.org.pl

jąc niby zwilżone oczy — poczciwi ludzie! — wykrzyknął — jaka miła dla serca mego siurpryza! — Z niemałą trudnością przecisnąwszy się pomiędzy stłoczonych razem gości, znalazł się przez chwilę Eugenjusz sam na sam z Anielą, która w samotnym kąciku siedziała zamyślona; bo tylko co jenerałówna powiedziała jej pod sekretem niewyraźnemi słowy o znanej wszędzie niestałości jego, a panna Olga przebąknęła jej urywkowo, z pełnym znaczenia uśmiechem, o mającym wkrótce nastąpić festynie większej wagi w domu jeneralskim. Niedoświadczona i tylko rozumem serca obdarzona, Aniela, nie wiedziała czemu wierzyć, czy słowom słyszanym, których fałszu jej dusza zrozumieć nie mogła, czy przysięgom kochanka, które brzmią jeszcze w jej uszach; ale dla czegoż Eugenjusz nie zbliża się do niej, czemu spojrzenia jego na nią rzucane, gdy rozmawiał z chorążyną, były tak zimne, tak przykre, tyle różne od spojrzeń, które jeszcze świecą w jej oczach: biednej dziewczynie na płacz się zbierało; ona tak samą czuła się w tej chwili: aż rodzicom pozazdrościła tego lubego spokoju w wonnym kwiatów gaju dziecinną pobożnością pielęgnowanym.

— Czy wolno zapytać o czem pani myśli? — ostro zagadł w tej chwili Eugenjusz.

Ton mowy kochanka zmieszał ją do reszty; słów nie zrozumiała, jedno słowo pani zabolało ją okropnie: coż mogła odpowiedzieć młoda, mową rozumu niewładnąca dziewczyna: westchnęła tylko westchnieniem żegnającem szczęście, a witającem cierpienie.

— O niczem nie myślę — wyjękła po chwili.. — zupełnie o niczem.

— I czy zawsze bawisz się pani tak pięknie? — szydersko pytał dalej Eugenjusz.

— O nie zawsze! — odpowiedziała bez namysłu.. — był czas!.. — zarumieniła się i urwała, bo to uczucie dziewicze powiadało jej, że jej milczenie nie wymówki przystoją; ale w tej chwili była tak piękna, wyraz twarzy tak czysty i niewinny, że Eugenjusz zapomniawszy o wszystkiem co słyszał porwał ją za rękę i głosem czulszym już nieco, chociaż nie bez wyrzutu, krzyknął.

— Anielo! czy mnie tylko jednego kochasz? — i patrzał na nią jak dawniej prawie i zapomniawszy na miejsce, w którem się znajdują, ciągnął do siebie.

— Panie Eugenjuszu, proszę mi dać pokój! — wyrzekła nakoniec wyrywając ręce, bo w tej chwili ujrzała złośliwe oczy Izy z drugiego pokoju na nich zwrócone. Chwilowe Eugenjusza usposobienie rozwiało się niezgrabne wyrywanie się wiejskiej dziewczyny, bo nadto szczere, obudziło w nim salonowca.

— Spodziewam się, że pan hrabia zechce należeć do kontradansa, od którego zaczniemy bal: właśnie zbieramy się. — Zbudziły słowa jenerałówny Eugenjusza do reszty.

— Do kontradansa? — powtórzył; myśl jakaś przemknęła mu przez głowę, i nie odpowiedziawszy nic Karolinie, która już odeszła, dodał zwrócony do Anieli. — Mogę służyć pani?..

— Ledwie usłyszała biedna dziewczyna; — dobrze! — odpowiedziała myśląc może, że do ochoczego ma stawać z nim mazurka.

http://rcin.org.pl

— Czyliż i w tańcu nie porzucisz pani tej smutnej postawy! będąc tak piękną, uwielbianą od tylu... — Łzy się zakręciły w oczach Anieli. W tem ozwała się muzyka waląc jakieś odwieczne kontradanse.

— Służę zatem pani!...

— Jakto? — przestraszona krzyknęła słysząc głos muzyki — ja nie... ja.. to ja.. — Zbrzydła Aniela; o jak zbrzydła piękna Aniela w oczach salonowca.

— Spodziewam się, że przyrzekłszy...

— Ale; bo... to jest... ja... — ani słowa więcej wyrzec nie mogła.

A Iza zbliżywszy się szepce jej do ucha.

— Nie bój się duszko, wszak my wszystkie nie umiemy; jakoś to będzie; musiałaś nie raz widzieć jak tańcują, uważaj na nas i na takt — a obrócona do jenerałówny dodała: — mamy ją nad spodziewanie nasze.

Muzyka już zaczęła, ona się wstrzymuje, pary stają do tańca; Aniela nie miała ani tyle przytomności umysłu, ani tyle wzwyczajenia światowego, by zdołała się w takim razie dobrze znaleść; szła naprzód, cofała się, jednem słowem musiała się śmieszną wydać... i zaczął się ten nieszczęsny kontradans!... Uciekajmy moi panowie, bo się słabo robi patrząc na te skoki niesforne, łamane wygięcia, któremi te panie odbywają ten taniec konieczny teraz na wsi, dla tego, że go w mieście tańcują: całe szczęście, że niema w towarzystwie Francuza, bo zapytałby ten zapewne, jakiegoto narodu taniec? A Aniela!... dosyć powiedzieć, że z pomiędzy źle tańczących najgorzej tańczyła; aż włosy na głowie pełnego przyzwoitości Eugenjusza powstawały, na widok niezgrabnych posuwań nóg tej, którą on o mało co nie zawiózł jako żonę do stolicy. A w koło głośne rubaszne wiejskie śmiechy za każdym ruchem biednej dziewczyny, która już bliska zemdlenia...

— Dobrodziejko moja, nie mogę wierzyć tej baśni, taka para...

— Ja nie wierzyłam także; on taki zgrabny, światowy, pełen tej układności wielkiego świata, przyzwyczajeń arystokratycznych, z tą prostaczką, prawdziwym szturmakiem.

— Dobrodziejko moja — każda dziewka na wsi tańczy lepiej... a toby dopiero była para; musiałby co kroku rumienić się za nią...

Eugenjusz już się rumienił, bo sam w duszy myślał to samo prawie, co te panie z ciągle nowemi dodatkami powtarzały.

Rzućmy zasłonę na resztę i uciekajmy, bo przykro patrzyć na te susy, bicia zawzięte nóg o nogi, suwania za głośne po podłodze, niezgrabne kiwanie się na wsze boki, które ochrzcili kontradansem. Uciekajmy z balu, z którego po nieszczęsnym kontradansie Aniela nie odprowadzona przez nikogo, nawet jednem spojrzeniem litośnem Eugenjusza nie towarzyszona, wyjechała z ciocią widocznie rozgniewaną na chybiających jej gospodarstwa. Eugenjusz został na balu zajęty rozmową o tegoczesnej literaturze z jenerałówną, która jedna przebywszy kilka lat w mieście, mimo karabinowej postawy, tańczyła znośnie kontradansa; i jedna z pomiędzy całej zgrai niewieściej

http://rcin.org.pl

ułożeniem swojem mogła się podobać salonowcowi. Co się działo z czarną i rudą marszałkówną w czasie tej rozmowy, łatwiej zrozumieć niżeli opisać.

III.

Tydzień przeminął już od balu jeneralskiego, ale jeżeli państwo myślicie, że już całkiem zapomniany, że już jako przebyły do przeszłości należy, mylicie się niepospolicie; część najlepszą każdego balu, część najdramatyczniejszą stanowią poufne sąsiedzkie pogadanki, które odbywają się najprzód częściowo po dworach i dworkach, potem przy zdarzonej sposobności zjazdu jakiego łączą się w całość cudnych barw i cudnej tkaniny. W każdym balu wiejskim jak w dobrem winie, jest bym się tak wyraził przedsmak, smak i posmak; a że podniebienia ludzkie różnią się między sobą, więc i ten posmak tokaja czy balu różne przybiera odcienie, i ta właśnie różnorodność posmaków jest najpiękniejszą częścią smaku balowego; każdy bowiem gdy doda swoje uwagi, te przechodząc przez różne usta tworzą jak w kalejdoskopie coraz inne, coraz ciekawsze obrazy. Złość ludzka zowie to plotkami, bajkami, ale w bajce jest połowa prawdy, ale bajki bywają cudowne, ale bajka jest poezją prawdziwą — a prawda nudną prozą. Posmak więc balu jest rzeczywiście poezją balu.

Proszę jeno posłuchać epopeję balu jeneralskiego, improwizowaną przez towarzystwo zebrane w tydzień po balu u jaśnie wielmożnej marszałkowej; nie jest to towarzystwo liczne ale dobrane, sami przyjaciele i przyjaciółki domu zjechali się, by powinszować imienin pannie Agnieszce starościance, ciotuni marszałkówien, które z zakwaszonemi twarzami spoglądają ku drzwiom i oknom, ażali nie zejdzie do nich słońce hrabiowskiego oblicza; jakoż na balu wabiły Eugenjusza w dom marszałkowski córy onego zgrabnem napomknieniem o imieninach poczciwej i ukochanej ciotuni. Tu byłoby miejsce wspomnieć kilka słów o wizytomanji panującej na wsi; wiatr huczy, śnieg sypie jak z wora, drogi zawiane nieprzebyte, psaby z domu nie wygonił, a przecie wlecze się łaskawe sąsiedztwo ze wszech stron, byle się nadarzył jaki niebądź powód, jak teraz naprzykład imieniny osoby ledwie uważanej przez własnych krewnych, a w całej okolicy nudną pannicą przezwanej. Dosyć powiedzieć, że przyjechała nawet kasztelanka, jakkolwiek nie cierpiała nielitościwej pamięci panny starościanki, od której młodszą chciała się koniecznie wydawać, ale uczuła wewnętrzne natchnienie, iż bez niej epopeja balu udać się zupełnie nie może. Zwykłe przywitania niby czułe, uściski niby serdeczne, życzenia niby szczere, próby rozmów niby interesownych, zapytań niby przyjaźnych o zdrowie, były wstępem do głównego przedmiotu dzisiejszych odwiedzin. Marszałkowa zawsze dyplomatyczna nie przystępywała nigdy pierwsza do takiego przedmiotu; bo chociaż puściwszy raz wodze językowi obmawiała na piękne, twierdziła jednakże o sobie, że się brzydzi obmową; u niej kuły się najlepsze plotki na familijnym warsztacie; ale raz wypuściwszy je, z udaną

http://rcin.org.pl

niewiadomością i zgrozą jako nowych zupełnie gości przyjmowała w dom swój.

Pan Seweryn, który jako stary kawaler największym był lubownikiem nowinek złośliwych, pierwszy zaczął; z tytułu kawalerskiego wychodząc najchętniej rozmawiał z p nnami, i tą razą przemówił do siedzących koło siebie marszałkówien, których kilkunastoletnie zabiegi około bogatej jego ręki bawiły go nie pomału. — Czy już panie odpoczęły po pięknym baliku — pan Seweryn bowiem balem nazywał tylko zabawę, którą sam wyprawiał przed laty piętnastu na przyjęcie księcia krewniaka swego po kądzieli.

— Ja nie wiele tańczyłam — odpowiedziała panna Iza — nie lubię zawziętego skakania, jak gdyby bal był maneżem.

— Mając tyle danserów, nie mogłaś pani przecie wszystkim odmawiać.

— Odsyłałam ich do jenerałówny, która zdaje mi się zawsze, że tańcuje tak niezmordowanie z przepisu lekarza.

— Przeciwnie ja się boję — dodała panna Olga — by Karolcia suchot nie dostała ze zbytniego tańczenia.

— O! dobrodziejko moja, suchszą już ona być nie może.

— Za naszych czasów lubiono także tańcować — zagadła starościanka — pamiętasz aśćka festyn u pani wojewodziny bełzkiej?

— Dobrodziejko moja — słyszałam od świętej pamięci matki mojej o świetności tych zabaw, ale przyznać trzeba, że bal udał się jenerałowi.

— Zasięgał moich rad do tego baliku.

— Ślicznie był urządzony — dodała marszałkowa.

— Oświetlenie było rzęsiste — ciągnęła dalej chorążyna — szkoda tylko, że było tyle świec łojowych.

— No proszę, jak ja nic nie uważam, — przerwała marszałkowa — myślałam, że były same woskowe.

— Czyż nie czuła mama tego zabijającego zapachu?

— Jerałówna całą suknię pokapała łojem.

— Ja mam doskonałą receptę na łojowe plamy; pamiętam raz u księdza kanonika....

— Kochana siostra każe podać herbaty.

Otworzyły się w tej chwili drzwi i wszedł nowy gość, pan Ksawery; był to gość bardzo rzadki, stary wdowiec, lubił gospodarstwo, lubił książki i rzecz dziwna znajdywał, że towarzystwo umarłych autorów dzieł znakomitych lepiej go zabawić może, niżeli towarzystwo żywych; rzadko odwiedzał sąsiedztwo swoje, a z jenerałem nie żył dla przyczyn nikomu niewiadomych, z których się wprawdzie przed nikim nie spowiadał, ale też nic nigdy nie gadał przeciw jenerałowi. U marszałkowej bywał raz na rok na imieniny panny starościanki, której trzydziestoletnia znajomość przypominała mu młodsze lata; głucha nawet wieść niosła, że był dawniej czuły jakiś stosunek między niemi rozerwany przez nieprzyjazne okoliczności: bądź co bądź została przyjaźń i szacunek, ugruntowane na ich usposobieniach podobnych. Był to człowiek prawy w całem tego słowa znaczeniu, poczciwy pan, uczynny sąsiad, gościnny w domu dla wszystkich;

http://rcin.org.pl

jakkolwiek sam z dawnego i sławnego w ojczyźnie rodu nie robił różnicy między herbem a majątkiem; zarówno przyjmował zasługi kieszeni jak i głowy; chociaż sam siwy jak gołąb, wierzył przecie na przekor zwyczajowi, że nietylko pod łysiną rozum się mieści; lubił zapewne pamiątki, ale z nowych nie szydził wynalazków, których istotną użyteczność był w stanie ocenić. Nie był lubiony w okolicy, chociaż nie jeden z sąsiadów doznał od niego pomocy, ale bano się jego otwartości gotowej zawsze do powiedzenia prawdy raczej w oczy niż po za oczy; starym zwyczajem przywiózł starościance pudło konfitur kijowskich na wiązanie; po przywitaniu usiadł koło marszałkowej, a widząc milczenie i rodzaj pomięszania w zgromadzonem towarzystwie, zapytał głosem, w którym dobroć przeważała szyderstwo.

— Założę się, że mowa była o balu pana K... — nie nazywał go nigdy jenerałem, co nie bardzo mówiło za jego prawami do tego tytułu — no i jakże się udał?

— Dobrodzieju mój chwaliliśmy go jednogłośnie.

— I nie było żadnego ale...

— Prócz ścisku nie mam nic do zarzucenia temu balowi — zagadł pan Gustaw ulubieniec pana Ksawerego.

— Vous avez raison; ścisk był nieznośny, une cohue!...

— Ja nie rozumiem, jak można dawać bale, mając taki domek...

— Dobrodziejko moja powiedz chałupę.

— Pan K. nie ma zapewne domu wielkiego, ale dobre chęci...

— Już to wyznać muszę, że nie rozumiem tej pasji dawania balów, nie mając po temu ani urządzenia domowego, ani wygodnych pomieszkań dla gości.

— Dobrodziejko moja chęć brylowania...

— Bo zapewne miło jest zabawić się z kochanem sąsiedztwem — ciągnęła dalej marszałkowa — mając do tego...

— Na przykład u asindzki? nie prawdaż? — przerwał pan Ksawery — pokoje są większe... by prawdę powiedzieć, wszystkie nasze domy okoliczne nie wyjąwszy nawet domu naszej marszałkowej nie są zdatne do dawania balów.

— Jednakże pamiętam, że mój kuzyn książe porównywał salę moją z łańcuckiemi i nawet...

— A to przez oczywistą grzeczność!... o ile przypominam sobie jeden tylko na Wołyniu dom senatora urządzony w sposób...

— Niezawodnie pałac jest pyszny, sale śliczne, ale bale nieznośne właśnie dla tego, że sale są wielkie; senator nie mogąc zapełnić je gośćmi pałacu godnemi, zaprasza całe rodziny swoich oficjalistów i posesorów, jakoż te panie postrojone jak cudowne obrazy, siedzą pomiędzy filarami tak nieruchome, iż możnaby mniemać, że to posągi, gdyby na nieszczęście kapela ich nie rozruszała do tańca w sposób nader zabawny.

— Otóż macie asaństwo wszędzie jakieś ale...

— Tego nie uważałem — przerwał Gustaw — ale w rzeczy samej sale senatora za nadto mi się wielkie wydają; wzbudzają we mnie uczucie mojej własnej małości: nic to jest wydawać się małym

http://rcin.org.pl

w świątyni, na przykład olbrzymiej ś. Piotra, małym, w pomieszkaniu Boga; ale małym w sali balowej, niknąć przed kolumnami pokoju do zabawy przeznaczonego, to należy do tych uczuć, które urażają, by się tak wyrazić, estetyczność duszy naszej.

— Nie zła zapewne uwaga, nieco za romantyczna, ale przynajmniej nie złośliwa.

— Ogólnie powiedziawszy dobrodzieju mój, ta balomanja u nas jest zabawna; lada wioska z kilkunastu chłopów złożona, domek o czterech izdebkach, a jużci dają bale... Pamiętasz dobrodziejko moja bal u naszego barona węgierskiego?

— A któżby nie pamiętał; był to istotnie bal węgierski.

— Dawano kapustę z kiełbasą do stołu.

— A baron chodził z krótkim cybuszkiem i gamerką haftowaną na głowie.

— Mnie kazano wybierać do tańca młodego barona; szukam go wszędzie między huzarskiemi kurtkami, których tam było bez liku, aż nareszcie nadybuję go o drzwi sali opartego z długim cybuchem, i imaginez vous, odpowiedział mi, że nie może tańczyć, bo... bo... tylko co zaczął lulkę kurzyć.

— Albo majorostwo jakim nas obdarzyli balem przeszłego roku w listopadzie? Kazano nam tańczyć w stodole, a nocować w jakiejś altance na brzozowych ławeczkach.

— Jednem słowem godzicie się asaństwo, że balów na wsi dawać nie można, a przecież ręczę, że w zapustną niedzielę pani marszałkowa nie odstąpi od dawnego zwyczaju swego.

— A to co innego!... Tu się najlepiej bawimy!... Kochana marszałkowa jedna umie to urządzić! — okrzyk powstał na około.

— Zobaczymy, zobaczymy, co asaństwo będziecie mówić w popielec!...

— Wszyscy mnie znają z tej strony, że nie lubię obmawiać, i nie dla tego ganię bal u jenerała, abym moje wychwalać chciała, ale powiedz mnie pan sam, czy godzi się dawać bale przy interesach najokropniejszych, mając córkę, którą bez posagu wydać za mąż nie podobna?

— I powiedz dobrodziejko moja, będąc w niebezpieczeństwie.

— W jakiem?

— A to nie wiecie, że pan Szczypkiewicz wyrobił egzekucję do mobiliów, i że się jenerał ledwie wyprosił na ten dzień balowy?

— To szczęście, że z pod nas kanap i krzeseł nie pozabierano.

— Mniejsza, gdyby był zabrał kolację, którą nas jenerał przedednem obdarzył.

— Dobrze mu tak, niech mu się nie zachciewa dawać balików.

— Nie lepiej to siedzieć cicho w domu za piecem.

— Co za bezwstydność w wigilję takiego dnia kazać tańczyć u siebie.

— Biedna jenerałowa! — odezwała się starościanka.

— Biedny pan K., i czy nie wiesz aśćka co się stało?

— O i jakże dobrodzieju mój nie wiem: na szczęście jenerała nocował pan Eugenjusz, z rana jak powiadają komornik z woźnym

http://rcin.org.pl

przyszli ciągnąć z pod niego łóżko i materac; alè pan to musisz najlepiej wiedzieć — dodała zwrócona do pana Seweryna.

— Tak! tak! coś tam było, ale ja pojechałam do dnia.

— Więc Eugenjusz został w Garbińcach? — zapytała blednieająca panna Iza.

— Nie darmo go tak widocznie haczyła Karolcia — dodała czerwieniąc się panna Olga.

— Co wam do tego; przestańcie asaństwo od rzeczy gadać, i powiedzcie mi, co się dalej stało; czy odłożono egzekucję, możeby co pomódz można było jeszcze?

— Nie chciał żadnym sposobem wracać z nami — odpowiedział pan Seweryn, którego zmieszanie marszałkówien bawiło nie pomału.

— Dobrodzieju mój, pan Eugenjusz widząc, że to nie przelewki, ratując resztę noclegu choć niewygodnego, bo jak powiadają w chlewie jakimś, przyjął dług na siebie.

— Lubię go... kocham go... to mi walny chłopiec... znałem jego ojca, godny to był człowiek... pamiętasz asindzka pana Stanisława?

— Pamiętam!... kiedyś to asindziej sekundował mu przeciw kasztelanowi; o jakby to dzisiaj było; powiadano, że i sekundant z sekundantem rąbać się będzie; przebyłam godzin kilka Bóg widzi w jakiej niespokojności.

— Asindzki serce było zawsze jak złoto! — i szczere złożył pan Ksawery pocałowanie na pomarszczonym ręku starościanki.

— Więc jenerałówna idzie za Eugenjusza?

— Dobrodziejko moja, nie umiem tego powiedzieć; ale gdyby się to stało, poszaleliby już do reszty jenerałostwo.

— Panie Gustawie i przyjaciel pański zostaje dotąd w Garbińcach?

— Ależ głośno gadali, że się ma żenić z podsędkówną — ciekawa zagadła chorążyna.

— Z podsędkówną?... a to ma i rozum jak widzę, bo to dziewczyna z przeproszeniem asaństwa jakich mało dzisiaj.

— Miał rozum... ale... — przerwał Gustaw.

— Zawsze to ale przeklęte.

— Zmienił się Eugenjusz... i...

— I żeni się z Karolcią?... jak nas oszukała minką swoją.

— Karabin trafił raz przecie.

— Nie żeni się z panną Karoliną.

— Spodziewałam się tego, uważałam bowiem na balu, że daremne były zabiegi jenerałówny.

— Zapewne dziś do nas przyjedzie, bo nam przyrzekł.

— Pokazuje się, że nie bardzo lubi dotrzymywać słowa danego, bo nie żeni się z panną Anielą, nie żeni się z jenerałówną, ale... i tu nie przyjedzie — dodał Gustaw z szyderczym uśmiechem — bo już wyjechał do Lwowa, a ztamtąd na dwa lata za granicę.

— Jakaż przyczyna, że zerwał z tą śliczną Anielą?...

— Co i dla czego?... wieleby było mówić. Panie może to lepiej wiedzą odemnie.

— My?... my zaś?... my nic nie wiemy.

http://rcin.org.pl

— Nie rozumiem, zkąd panu Gustawowi przyszło to na myśl... cóż mnie do tego...

— I mnie nic do tego, a przecież pokazało się, gdym pomówił z hrabią Eugenjuszem, że mimowolnie grałem i ja w tej komedji dla niektórych, a może tragedji dla biednego serca opuszczonej.

Marszałkówny pospuszczały oczy, jak gdyby dwoch zrachować nie umiały.

— Nic was nie rozumiem; gadajcie jaśniej.

— Jednem słowem kontradans zabił miłość Eugenjusza.

— Kontradans? cóż ty pleciesz Gustawie!...

— Nie inaczej... biedna Aniela Bóg widzi jakim sposobem wlazła w ten nieszczęśliwy kontradans na balu, którego nie umie zapewne i tańczyła szkaradnie; Eugenjusz przy najlepszych serca zaletach boi się śmieszności, a dziś w świecie trzeba umieć tańczyć kontradansa koniecznie; dziś zgrabność powierzchowna przedewszystkiem...

— Gdym się o całej rzeczy dowiedział, starałem się o ile mocy mojej przerobić Eugenjusza, ale... znalazły się przyjaciółki, które wytłumaczyły Anieli, że on umyślnie wystawił ją na śmieszność dla dogodzenia jenerałównej, i właśnie gdym rozmawiał o tem z Eugenjuszem, nadszedł bilecik od Anieli... i jednem słowem związek, z którego można było rokować szczęście obojgu, zerwany na zawsze.

— No proszę... a to pięknie... Aniela pisywała do niego.

— Cóż w tem złego moje panny; pisać wolno... ale fałsze rozsiewać dla własnych widoków... o! to nie jest droga dostania mężów.

Umilkli wszyscy na chwilę, bo się bali, by pan Ksawery, który był nielitościwy czasem, nie wyciął większej jeszcze bury.

— Najwięcej stracił na tem ten głupi Eugenjusz — ciągnął dalej pan Ksawery — bo Aniela złoto nie dziewczyna, prawdziwy anioł, a jakiegoż można się spodziewać szczęścia z człowiekiem, ktory stawianie nóg takie lub owakie przenosi nad serce. Niechże sobie tańczy kontradansa za granicą; na starość jeżeli mu dobrze dogryzie jaka salonowa baletniczka, z którą będzie musiał wybijać takt małżeński, westchnie on nie raz za Anielą która zapewne nie znajdzie się w towarzystwie jak panie moje, ale za to ręczę, że z niej żona i matka będzie... a oto moje panie przedewszystkiem idzi... i lepiej się stało! Wiesz co Gustawie, to dla ciebie żona!

Zarumienił się Gustaw, a pan Seweryn przycupnął bojąc się, by ta myśl pana Ksawerego nie trafiła do jego dobrze zapiętej kieszeni.

— Dosyć już było o tem mowy dobrodziejko moja; ja mam dla was coś nowego... proszono mnie bym rozdała bilety na piknik.

— Na piknik! — wszyscy krzyknęli głośno i wesoło.

— Tak jest, na ostatni wtorek! bilet dobrodziejko moja po dwa dukaty...

— I owszem i owszem! — okrzyk się powtórzył.

A tymczasem z boku koło okna musiało coś zajść czułego między Gustawem a panem Ksawerym, bo go Gustaw ze łzami prawie

http://rcin.org.pl

w oczach, z wyrazem uszanowania na twarzy pocałował przy wszystkich w rękę. Nikt na to nie uważał, tylko starościanka musiała zrozumieć przeczuciem dobrego serca o co idzie, i zwilżone oczy odwróciła od wesołej zgrai, a długo niemi spoczęła na twarzy rozpromienionej wyższem uczuciem pana Ksawerego, który w tej chwili przywołał do siebie pana Seweryna.

— A to doskonale ma chère amie! w niedzielę u nas, w poniedziałek u starościny, a we wtorek piknik.

— C'est charmant, kochana mamo! będziemy się bawić doskonale.

— Jak to będzie przyjemnie!

— Dawno nie było tak wesoło jak tego roku.

— Dobrodziejko moja bierzmy się do składki... po dwa dukaciki.

— Dawajmy! dawajmy!... To wcale nie wiele.

— Dwa dukaciki! proszę asindzki; to zapewne nie wiele, ale i ja mam dla was ładna składkę. Mówiliście tylko co, że wasze bale nudne na wsi, obmawialiście się należycie; tam był ścisk, swąd, tam kapusta, tu fajka, tam zimno, tu niedobrze, a teraz chce się wam znowu balów. Ja nie przymawiając nikomu, sam jestem waszego zdania, że takie bale proszone i wystawne na wsi nic nie warte; jechać o mil kilka, marznąć cały dzień, przyjechać do zimnej i dymnej kwatery, ubierać się na bal, kiedy człowiekowi głowa do poduszki się skłania czekać na obiad, który oczywiście szlachecki kucharz nie tak prędko zwarzyć może — to nie wesoło! a potem za chwilę zabawy pokutować długami, egzekucjami — to nie miło! a potem za dobrej chęci być obmówionym, szarpanym plotkami — to nie pięknie!... Dajcie tego roku pokój balom wszelkim, a natomiast złóżcie się tu ze mną na tych nieszczęśliwych, którzy się u nas w kraju popalili. Mielibyście serce tańczyć kiedy tam płaczą; hulać, kiedy współbracia marzną może w nędzy i głodzie!... Wy macie dobre serca! polskie serca! czasem was jaki szatan gdyby wąż Adamowy ukąsi, ale wnet wracacie do dawnych z krwią wyssanych uczuć. Dajcie pokój balom, a zamiast pikniku sprawcie za wasze dwa dukaty ciepłą odzież biednym, za to ja po wielkiej nocy da pan Bóg doczekać, tu przycisnął Gustawa do serca — może was na wiosenną zabawę innego rodzaju zaproszę do siebie...

Milczenie nastało ogólne!... ale co dalej się stało, nie wiem! Jeżeli się dowiem, nie omieszkam donieść jak najprędzej

---

http://rcin.org.pl

Romantyczne oświetlenie typu

Nieżyjące zdarzenia [illegible]

Leśniczy Grzegorz wraz z dawnym swojem kapot – podkreślenie organicznego związku z przyrodą – człowiek [illegible], gości ze szlacheckiego dworu to potraktowane sympatycznie przez przedstawiciele [illegible] – jeden "stary puszczanin" godny starego leśniczego".

Przytyki leśniczego, pan starosta, [illegible] i myśliwy, towarzysz [illegible] Pana [illegible].

Z tym wszystkim sylwetka traktowana humorystycznie i z sentymentem, jednak bez wnętrznej idealizacji historii

LEŚNICZY.

(Wydanie pierw. 1844 r.)

Stan leśniczego dzieli się zwyczajnie na trzy klasy: arystokrację stanowi nadleśniczy, demokrację zaś pobereżnik i gajowy, a stan najliczniejszy składają leśniczowie w ścisłem tego słowa znaczeniu. Oświata, która gładząc wszystko pomału, i naszą ojczyznę ogładza codzień więcej z owych wiekowych borów, któremi zarośnięta była, wyrwała powoli nadleśniczego od zatrudnień kniejowych, usadowiła w wygodnem pomieszkaniu i dała mu książkę w rękę, z której czerpie naukę lasową w systemat ułożoną; ledwie czasem zajrzy do lasu w stroju, któregoby się i miasto nie powstydziło; wyda rozkazy, okiem zimnem przebiegnie nieme dla siebie młodych gajów pokolenia i czemprędzej ucieka na wieczornego wiska do pana rządcy. W tej klasie nie szukać typów; nadleśniczy podobieństwem rodzinnem, łączącem dzisiaj wszystkich, zbliża się do innych władz wiejskich; między pobereżnikami są typy zapewne, ale ich fizjognomja zlewa się w ogólną fizionomję chłopów, z których pochodzą. W średnim więc tylko stanie leśniczych można zdybać czasem, owego starego leśniczego, którego przedrzeźniają nam w komedjach, ale go oddać w zupełnej całości nie potrafią; bo nie dosyć wpakować nań lisią kurtę, czapkę futrzaną wsadzić na głowę, torbę z borsuczej skóry i rusznicę długą niezgrabną, przewiesić przez plecy. To nie jest jeszcze leśniczy!

Stary leśniczy urodził się z ojca leśnego, ojczyzną jego jest las, wzrósł i wychował się między drzewami braćmi, jakoż wzrostem wyższym nad mierny, barkami szerokiemi a piersią wypukłą, w której grają organy, echem rozchodzące się po borach i kniejach na wyścigi z wiatrem huczącym, z grzmiącą trąbą myśliwską, leśniczy jest bez wątpienia pokrewny owych drzew starych, które kolebkę jego otaczają. Nieugięty jak one, pokrył się tylko mchem siwizny, lecz ciało jędrne jeszcze, zdrowym borów powietrzem karmione, policzki rumiane, nogi niezmordowane, któremi codzień przebiega najskrytsze państwa swego zakątki, żartuje z lat, zna wypadki rozmaite, zdarzenia ciekawe, doświadczenie okwite, a i zdrowia nie potyrał. Takiego człowieka ubierz czy w kurtę lisami podbitą, czy w spencer zielony, czy w wilczurę, czyli też w krótki surducik z grubej bai, który dzisiejszym leśniczym więcej do smaku przypadł, od razu poznasz po

http://rcin.org.pl

ruchu, postawie i głosie, że to leśniczy prawdziwego leśniczowskiego kroju, który przepadł już wraz z krojem dawnych kapot. Na nim pokaże ci się prawdziwem przysłowie: że człowieka suknia nie zdobi.

Dla leśniczego rok ma dwie tylko pory; pierwsza zaczyna się w jesieni a kończy na wiosnę: jest to pora polowania; w drugiej letniej leśniczy nie żyje, ale wegetuje tylko. Na przekor naturze odartej z zieloności, niemej, zima dla leśniczego jest porą najpożądańszą; dla niego najmilszym śpiewem trąba myśliwska i huk strzału, a mróz przyjemniejszy dla jego ruchawości nad palące słońca promienie; dzień choć krótki, ale zapełniony przygodami rozmaitemi, a wieczór, jeżeli się nie czatuje przy wilczej jamie, jak błogo mu przechodzi przy opowiadaniu, którego ciekawiej jakby świat modny Balzaka słuchają koło płonącego komina żona, dzieci i wtórujące mu pobereżniki. A ponowa! ponowa! to rozkosz niezrozumiana dla większej połowy świata skupionej w ciasnych miejskich ulicach; ponowa! to roskosz najwyższa dla leśniczego. Gdyby który z młodzi miejskiej chciał w jakiej chwili odczarowania porzucić cygaro, operę i piękne kawiarki lub aktorki oblicze, proszę z sobą; jedziemy w las; mijamy rzadziej porozrzucane gaje brzozowe i olchowe, jakby klomby ogrodowe, dalej las coraz ciemniejszy, dęby coraz grubsze, buki coraz rozłożystsze; w gruby las wjeżdżamy. Kręta droga ciągnie się długim wąwozem, to się spuszcza jakby w otchłań w głębi ciemnej kniei, to się znowu wznosi w górę między rzadsze sosny i smereki, które samotnie stojąc, wydają się jakby kolumny utrzymujące ciemne i zachmurzone niebios sklepienie; bo to koniec listopada lub początek grudnia· wiatr jesienny zdziera resztę uschłych liści i niesie je przed sobą, niesie jak powiada wiersz tyle ulubiony przez sławnego ziomka naszego: „tam gdzie idzie listek róży i listek wawrzynu“. Już się las przerzedza, już się pewnie kończy, o nie! to polanka! a na jej końcu, o ścianę jeszcze gęstszego i ciemniejszego boru oparte, stoi samotne jakby chata pustelnicza mieszkanie leśniczego; skromne obejście nierównym z dębowych kołów ułożonym płotem otoczone, wrota na oścież otwarte, bo jedna połowa drzwi leży na ziemię powalona, a druga na jednym już tylko trzymając się haku jęczy pod przemocą wiatru jak dusza w czyscu; na prawo chlewek tak przezroczysty jakby chrustu w lesie brakowało; szopy rodzaj nie wyśmienity, a w niej skład różnych materjałów lasowych, i stożków parę, w których więcej siana i owsiku niżeli zboża; na lewo zaś pomieszkanie samego leśniczego niepozorne, więcej tam gliny niż tarcic, więcej dziur przypadkowych niżeli okien; lecz na cóż opisywać, wszędzie się u nas potwierdza przysłowie o szewcu w dziurawych butach chodzącym, i dom leśniczego lepionemi bokami przedrzeźnia się zdrowym dębom, które go otaczają. Chwała Bogu żeśmy zajechali, bo też śnieżek, który z początku lekkiemi płatkami jakby pierzem rozsypany ulatywał po powietrzu, coraz większemi i gęściejszemi padać zaczyna; radość w domu niepospolita, bo to pierwszy śnieg: pan leśniczy, który tylko co z najdalszej i najlepszej powrócił kniei, tłumaczy żonie długo a szeroko, że od rana czuł już śnieg w powietrzu, albowiem w czarnym borze wierzchołki buków w mgle tonęły

http://rcin.org.pl

od świtu; leśniczyna potakuje i chwali faworyta koguta z pstrym czubem, który od wschodu słońca piał na przemianę. W tem wpada Semen niski, krępy, barczysty, do starego pniaka podobny poberežnik, i zwiastuje przybycie samego pana z gośćmi na polowanie.

— O świcie przybędą, — zachrypniętym rzekł głosem.

— Czy oni wiedzą, co to świt — odpowiedział leśniczy i ziewnął, bo już słońce zaszło; wkrótce się położył, ale czy spał? bardzo wątpię: pierwsza w roku ponowa dla leśniczego, to pierwszy bal dla piętnastoletniej dziewczyny. Piękne czytelniczki! spałyżeście przed takim balem?

Dobrze było ciemno, kiedy wyszedł leśniczy w nocnym jeszcze stroju na podwórze, stanął, a wielkim, garbatym, zaczerwienionym nieco na końcu nosem długo wietrzył na około: śniegu napadało na łokieć, a tak cicho w ciemnym borze, jakby drzewa usnęły; wesół wrócił do izby, u drzwi trzykroć kichnął: dobra mruknął i łyknął w końcu spory kieliszek kontuszówki. Panowie lubiący dobrą gorzałkę, jedźcie do starego leśniczego; tam piołunkówka zielona jak pierwszy listek w maju, tam nalewka jeżynowa czerwieni się rumieńcem dziewczyny przy pierwszym pocałunku, tam brzozówka co to dobra i wśrodek nalać i zwierzchu posmarować, a prócz tego spirytus mrówczany na gościec wyśmienity, tłustość z borsuka która tak dobroczynnie działa z dobrą wódką zmieszana, kwasek z soku brzozowego tak miły i wonny. Już nasz leśniczy ranne pacierze głośno pozmawiał, rusznicę dwa razy dłuższą od zwyczajnej przeczyścił, ładunki porobił, o kłaki, których mu żona poskąpiła, pokłócił się i pogniewał, poberežników i gajowych na różne porozsyłał stanowiska, a nawet już raporta o różnych tropach w lesie od nich poodbierał, a nie było jeszcze ani dnia ani panów myśliwych.

Przybyli nareszcie pan kapitan z dawnym kolegą pułkownikiem, panem hrabią sąsiadem najbliższym i młodym dandysem ze stolicy, który się nudził na wsi, ale dobijał się o piękne lica i piękny posag kapitańskiej córki. Leśniczy przyjął panów z należytą submisją, a miał na sobie kurtę futrzaną, pokrytą suknem, jakiego już dziś nie zdybać: sieraczkowem w płomyki, kartusz z psiej skóry na brzuchu, torbę borsukową z rożkiem od prochu, podwójnym workiem na śrót, trąbką myśliwską, rękawice z futrem na wierzch i rajtuzy zawiesiste; powysadzał gości z bryczek i obejrzał okiem znawcy naprzód psy a potem oblicza gości przybyłych: na psy uśmiechnął się, a na myśliwych zmarszczył brwi najeżone, jakby dwa krzaki szronem pokryte, a nawet Walenty faworyt i strzelec kapitana twierdził, że splunął po za siebie, co było u niego dowodem pogardy niepospolitej. Ależbo co za stroje! Hrabia w długim surducie, młodzik w rajtroku; no! pułkownik w barankach, a kapitan w bajowym paletocie — to jeszcze ujdzie. Długo spoglądał na nich z pod oka, a stary leśniczy jest to zwykle stary wyjadacz, jakto powiadają humański dureń; niby czterech nie zliczy, a przez skórę zwietrzy myśliwego, zwącha tchórzem podszytego.

Było tam wiele gadania jak weszli do izby. Kapitan zapytał leśniczego czy też wie, gdzie najwięcej zwierza.

http://rcin.org.pl

— Mam trzy dziki — wyrzekł i uśmiechnął się; czy się z dzików radował, czy szydził z myśliwych. — Mam trzy dziki — powtórzył — ogromne bestje! a kły panie!.,

Jeden pułkownik spojrzał przed się wesoło; hrabia który dotąd z pogardliwym patrzał uśmiechem na Bogarodzicę pobożnie w kącie chaty zawieszoną, z lampą w piątki gorejącą, palmową rózgą i gromnicą, spuścił oczy w dół, jakby się chciał naśmiać jeszcze z kilimka, którym był pokryty wielki zielono polakierowany kufer. A dandys stał w oknie i przewracał niby bibljoteczkę leśniczego tamże złożoną, składającą się z trzech albo czterech książek nabożnych, a pod niemi prócz kart marjaszowych należycie zbrudzonych znajdowały się poobdzierane i widać że oczytane dwa dzieła, które już dziś chyba u leśniczego zdybać można: Henryk ósmy na łowach, komedja dziwnie interesująca i żywot Rynaldyniego wielkiego bandyty włoskiego, powieść nad powieści: rzucił je z pogardą brukselskiej literatury zwolennik; tego mu leśniczy darować nie mógł, wszakże on je rokrocznie przez całe lato czyta.

— Pana hrabiego postawisz w dobrem miejscu!

— Dobrze, dzik jeden dla hrabiego.

— A drugi dla kapitana — odrzekł hrabia i spojrzeli po sobie sąsiedzi; nie lubili się, ale się znali doskonale.

— Dla mnie trzeci! — zagadł żywo pułkownik. Odetchnął młody Juliusz, którego cienkie nóżki z zimna zapewne drzeć zaczynały. I poszli w las.

— Mnie z boku gdzie postawisz — powiedział kapitan, który ponieważ porucznikował za lat młodszych, chodził dla przyzwoitości na polowanie. Owoż leśniczy rozstawiał gości i strzelców, jednego po drugim zostawiał za sobą; w samym dole jakby w kotle, na około gęsto i krzaczysto głęboka ciągnęła się knieja, na maleńkiej polance trzy ścieżki się schodziły.

— Tu pan dobrodziej zostanie — rzekł do pana Juljusza — tu dzik niezawodny.

— Jakto! czwarty? to może hrabia...

— Asan dobrodziej młodsze i wprawniejsze masz oko, a wreszcie będzie to dodatek do wczorajszej powieści o polowaniu na niedźwiedzia, która tak zainteresowała pannę Albinę.

— Tu niech pan stanie; tędy widzi pan tę ścieżkę, dzik wyjdzie na sztych.

Gdy już odeszli, opuszczony Juliusz zaczął się krzątać, szukać i szperać schronienia; i wynalazł już między krzakami z utratą poły od pięknego rajtroka kłodę ogromną, za którą wpychał się powoli, aż tu raptem wracający nazad leśniczy krzyknął potężnym głosem. — Nie tam panie! bo to właśnie dzika legowisko. — Skoczył młodzieniec, a blady był, bledszy od mankietków na rajtroku.

Nie będę opowiadał całego polowania; dosyć na tem, że psy wytropiły dzika: rozległ się w kniei głos echem roznoszony, aż dusza leśniczego zadrżała z radości, bo sam stanął na najlepszym przesmyku o kilkanaście kroków od hrabiego; na dwoje zwierza on tam polował:

http://rcin.org.pl

na dzika i na tchórza. Gonią psy coraz zajadlej; Juliusz drży, przysięga w duszy, że i Albiny i posagu i dzika się wyrzeka; hrabia słucha nie bez drżenia, ale doświadczeńszy, bo jużciż bywał na polowaniach, stoi nieruchomy, a leśniczy zgięty nad rurą rusznicy oko i ucho wytężył, dech w piersi zatrzymał, a przecie mimowolnie zerknie czasem ku hrabiemu. Ucichły psy przez chwilę, by z większą jeszcze ozwać sie zajadłością, snać postrzegły już dzika. Już... już tylko co Juljusz nie zdezerterował, bo prosto ku niemu zbliżają się głosy, lecz dzik zwrócił w bok i wyleciał zajuszony, zjajany wprost między hrabiego i leśniczego. Wypadł strzał podwójny jakby jeden, a odyniec w łeb trafiony po kilku wściekłych skokach zarył kłami w ziemię. Przyskoczył tryumfujący hrabia. — Co tu waspan robisz? — krzyknął do zbliżającego się leśniczego.

— Strzeliłem sobie do tego buka.

— To waspan strzeliłeś?

— Tak, ale pan hrabia lepiej, bo dzik już nie żyje — odpowiedział stary dworak.

— Dziękuję waspanu, żeś mnie tak dobrze postawił; przyjedź kiedy do mnie, dam ci parę korcy zboża.

Rozśmiał się leśnicy i przemknął jak strzała poprzed pana Juljusza. — Dzik tu! dzik! — krzyczał. — Gdzie? gdzie? — jęczał dandys.

Wnet się skończyło polowanie, dwa dziki padły, drugiego zabił pułkownik na serio i kilkanaście zajęcy i lisów. A na waletę zagrał stary leśniczy na swojej trąbce długiej, krętej i wązkiej; zagrał tak pełno, czysto donośnie i potężnie, jakby mu Wojski swojej trąby i piersi pożyczył.

Dobra to była zima, było wprawdzie pracy nie mało, bo transporta z drzewem po sannej drodze szły bez ustanku; ale były polowania, bo pułkownik polubił starego leśniczego i dobrze zachowane knieje jego; to też jak sen przemknęła mu długa zima.

W letniej porze stary leśniczy inną przybiera postać, wraz z kurtką myśliwską zrzuca swobodne i wesołe zimowe usposobienie; darmo czarny bór jakby szpaler olbrzymiego ogrodu zieloną zajaśniał barwą, zaśpiewał muzyką ptaków strumieni i szumu liści, darmo ziemia cieniem drzew od skwarnych słońca promieni osłoniona najpiękniejsze motylemi barwami tkane rozesłała kobierce; sposępniał stary leśniczy, przeciągał jak długo mógł minioną porę wiosennem polowaniem na słomki; jeszcze tu i owdzie pojedyńcze padły strzały — i cicho w lesie, głucho, a smutno w duszy starego leśniczego. Dla leśniczego jest to pora rozpamiętywań samotnych i próżnowania; w samotnem rozpamiętywaniu człowieka, przyzwyczajonego do ruchawego życia kupią się zwykle same smutne myśli i przykre pamiątki; któż jest bez nich! i leśniczy je ma, choć żyje na ustroniu, bo rozmaite życia stosunki i w las idą za człowiekiem. W dreliszkowej katance lub kurtce, słomianym kapeluszu lub skórzanym kaszkiecie, z fuzją na plecach dla zwyczaju i powagi, błąka się po samotnych ścieżkach, bo jak pijaka korci do karczmy, tak stary leśniczy codzień przebiegnąć musi najdalsze lasu zakątki; leniwym idzie krokiem jakby mu lat

http://rcin.org.pl

przybyło a ubyło zdrowia; idzie gniewny a zatem najsroższy w lecie na pokątne chłopskie kradzieże, śledzi po rosie rannej stóp ludzkich lub końskich, niezmordowany idzie za zdybanym śladem: biada wówczas chłopkowi z sąsiedniej wioski, który przy niedzieli z pękiem pręcia na ogrodzenie zmyka tajnemi ścieżkami, bo leśniczy dawnych czasów i dawnej sprawiedliwości świadek z tęgim kańczukiem na takowe wychodzi wyprawy.

Leśniczy w lecie najwięcej ziewa, najdłużej się modli, najgłośniej zrzędzi w domu, a często gęsto w sąsiedniem upija się miasteczku; a w miasteczku na jarmarku stary leśniczy niech się przejdzie jeno pomiędzy fury chłopskie, a zdybie furkę drzewa, wnet odgadnie z czyjego lasu, a kradzione drzewo zwietrzy niezrozumianym dla nas instynktem; jednem słowem leśniczy nudzi się w lecie, bo próżnuje. I nie darmo mówią, że próżnowanie jest matką złego; najłatwiej w lecie pokusa przemawia do czystej duszy starego leśniczego: patrzmy jeno! W piękny dzień letni wybiegł z rana nakrzyczawszy się w domu do woli; idzie zasumowany, wzrok i wąsy w dół opuścił; był na zrębie, rachował i przerachował stosy, których regestr na kiju zakarbowany w domu stoi, potem ścieżką wiodącą do krąglaka żywszym pomknął krokiem; mimowolnie zatrzymał się koło kniei na zarwie, wzrokiem przyjaźni przywitał ulubionego buka, który stał sam jeden opodal od drugich jak żołnierz na warcie: ależ bo to buk nad buki, najgrubszy w lesie i najwyższy, dawny to jego przyjaciel; tu najlepsze stanowisko, tu zawsze zając goniony obraca ku większemu lasowi, tędy przezorny lis wymyka najczęściej; ile on tam ich trupem położył! Stary leśniczy jakkolwiek nieczuły z natury ze łzami prawie w oczach błagał kapitana, któremu się raz tego buka zachciało, i wyprosił; był to dzień wielki w życiu leśniczego! wielki cierpieniem! wielki radością! Stanął na samym wierzchołku góry, spojrzał w dół i huknął: ho hop! ho hop! rozległ się głos pełny dalej i dalej po rosie, aż gdzieś daleko na granicy czarnego boru przepadł bez echa. Na znajome to zawołanie, po krótkiej chwili odezwały się odpowiednie hukania, a gdy je trzykroć powtórzył, zbiegli się poberežnicy. Krótkiemi słowy i surowym głosem kazał im pójść wszystkim na granicę od zaścianka szlacheckiego, gdzie największe trafiają się kradzieże; a gdy odeszli, słuchał przez chwilę ich stąpania, łamania się krzaków, pomiędzy które przechodzili, i zbiegłszy w dół, znikł w tajniach zarwy. Słychać tam było różne głosy, nawet huki rąbiących siekier, ku wieczorowi ucichło wszystko; jedną stroną wracał ku domowi smutniejszy niż zwykle stary leśniczy, a drugą stroną kilka furek różnego drzewa wymknęło się na trakt wiodący do wioski sąsiedzkiego państwa. Fukał na żonę w domu, ale rzucił jej garść srebrnej monety na kapelusz, o który od pół roku leśniczyna dobijała się sposoby słodkiemi i gorzkiemi. Bo djabeł pali w starym piecu, sam mówił o sobie; umarła mu nieboszczka pierwsza żona, poczciwe kobiecisko, w domu miała głowę chustką obwiązaną, a za domem czepiec perkalowy z szeroką wstęgą zieloną: leśniczy choć stary ale jary, ożenił się powtórnie, a zbytek który się milczkiem jak lis do kurnika wkrada i do lasu nawet, nasunął

http://rcin.org.pl

leśniczynie myśl o kapeluszu, w jakim widziała ekonomowę w cerkwi. Cóż robić i słońce ma plamy!

Leśniczy wydaje się na pozór małomowny, bo i do kogoż ma gadać w lesie? ni dąb ni sosna mowy ludzkiej nie zrozumieją; w domu już mowniejszy, bo rozpowiadać a kłamać to rozkosz starego leśniczego, byle tylko nie sprzeciwiano mu się; sam bowiem święcie wierzy we wszelkie dykteryjki, których jest najczęściej improwizatorem. Miła mu pogadanka taka przy kominie, milsza na jarmarku, ale najmilsza na prażniku, i to sam prażnik nic nie wart, to jakby bal u dworu, zgiełk, wrzawa, ceregiele; ale najlepsze poprażnicze. Na nim to stary leśniczy rej wiedzie u parocha i dziekana, który jest wujaszkiem drugiej żony jego; bywa tam gracjalista niegdyś ekonom hrabiowskiego ojca, doskonały bo milczący słuchacz dykteryjek leśniczego; tu miejsce powiedzieć, że stary leśniczy, choć całe życie w lesie przepędził prócz jednej podróży ze spławami do Gdańska, rozprawia o wszystkiem, jak z książki, powiadają sąsiedzi i kumowie, a słuchają jak wyroczni. Bywa tam także pan Doręba szlachcic z zaścianka, dawny wiarus i kum leśniczego. Siedzą przyjaciele i kumowie, a maderkę dziekana ciągną powoli i ze smakiem, stary bowiem leśniczy po nalewkach najlepiej lubi miodek; wino to nowy wymysł, a co nowe to djabła warte, powtarzał zawsze. Nie pierwsza to już była butelka; leśniczy peroruje aż miło słuchać; inny człowiek: aby choć cokolwiek modzie dogodzić i pokazać, że się grosza nie żałuje, ustroił się w surdut długi, obwisły, zielony, z małemi guziczkami świecącemi, kamizelę w szerokie pasy po biodra, rajtuzy tylko zostawił ze zwykłego stroju, a na palec gruby i czerwony wpakował sygnet z olbrzymim krwawnikiem, bo stary leśniczy jest szlachcicem herbu prus podobno.

— Hej! hej! dobrodzieju — mówił zwrócony do dziekana — gdzieto te dawne czasy! pamiętasz dobrodzieju dawnego pana mego, to mi był człowiek prawdziwego szczepu pańskiego, prawdziwy starosta! a myśliwy, a szanował lasy aż miło!

— Dobre panisko i bogobojne.

— A rębacz od stu djabłów! oddaj się Bogu jak dobył karabeli.

— I cóż z tego, kiedy stracił majątek i umarł w długach.

— Hej! hej! umarł! a jak go już pochowali, pomyślałem sobie, któż mnie będzie nazywał jak on bywało żartem mówi — buczku! buczku! kochał bo też mnie starosta i miał rację; pamiętam jakby to dziś było, polowaliśmy na niedźwiedzia, hej! hej! i starosty niema i niedźwiedzi nie stało. A miał starosta turecką rusznicę od baszy z Chocima, staliśmy tedy tak: starosta we środku, po jednej stronie ja, a po drugiej faworyt starosty kozak Szumyło; w tem...

— No! no! już to nam pan opowiadałeś; starosta chybił, niedźwiedź powalił go o ziemię, Szumyło strzelił i chybił, a...

— Mówiłem, ale co dobre to się godzi powtórzyć. Westchnąłem do mojego patrona ś. Michała, a tłukło mi w piersi jak w zegarku, i wycelowałem z mojej rusznicy, co to się z niej śmiał ten waspanujący pan hrabia, jak wytnę w sam łeb niedźwiedzia, o trzy cale ponad głową starosty; a było, bo rachowaliśmy wszyscy, sto siedm-

http://rcin.org.pl

dziesiąt i pięć kroków; a teraz panie hej! hej! dobra poszły na licytację, kupił je jakiś adwokat. Boże odpuść! co on mi krwi napsuł. O polowaniu ani bel-mes, a las!... poszedł z dymem! Jak bóbr płakałem, kiedy postawił potażarnię; krąglak, mój ulubiony krąglak, to był djament w całym lesie, jak oka w głowie szanował go starosta, tam były sosny jak świeca proste, a wysokie jak wieże; za te sosny dawali nam flisy po pięćdziesiąt dukatów na maszty; porąbali ich w pień, obdarli ze skóry na ten głupi potaż! nie spodziewałem się was przeżyć ja stary śmiertelny człowiek.

— Zapewne lepszy był starosta, bo ten zawsze rozpowiadał jakieś baje o polowaniach Radziwiłła.

— Co baje? baje! hej! hej! człowiek już się śmiał jak nieboszczyk pan zaczynał mówić: panie kochanku, bo takie było przysłowie księcia. Co wy rozumiecie dzisiejsi ludzie o księciu Radziwille! panie kochanku był król myśliwych, jemu żubra pięścią ubić, dzika udusić, niedźwiedzia...

— Ot napijmy się kumie! szkoda gęby!

— Otoż gdzieto stanąłem? aha! teraz zmykam jak najprędzej ze dworu i nie patrzę za siebie, by nie widzieć czarnych kłębów dymu, które wychodzą z burakowej cukrowni, tam palą moich najdawniejszych przyjaciół; cukier jadło się i dawniej, a z buraków barszcz, hej! hej! co się to dzieje! ot umrzeć lepiej, bo dalej w całym lesie nie znajdzie deski na trumnę dla starego leśniczego. — I spuścił głowę a zadumał stary leśniczy.

Smutny humor leśniczego zdawał się rozchodzić po całem towarzystwie, gdy się drzwi otworzyły i weszła dobrodziejka z tacą w ręku, a na niej ze sporych szklanic ulatywał dym wonnej herbaty i wonniejszego araku.

— Albo to! widziana to rzecz! pan Bóg dał herbatę na lekarstwo, nie na trunek zwyczajny; oj ten czaj; wypędził nasze polskie nalewki; bodajby przepadł wraz z cukrowniami burakowemi!

— Zapewne, zapewne, ale napijmy się!

— Chyba dobrodziej każe! — I pili dalej szklanka po szklance wrzącego napoju.

Z dykteryjki do dykteryjki przyszło w końcu do śpiewu. Różni różnie śpiewali, ale jak zaczął stary leśniczy borowym, do echów dalekich przywykłym głosem, zbiegły się kobiety, zbiegła czeladź dziekana; a stary leśniczy pokręciwszy swego wąsa ciągnął:

Wezmę ja kontusz, wezmę ja żupan, szablę przypaszę,
I do mojej dziewczyny, do mojej jedynej pospieszę.

http://rcin.org.pl

STARY KOMORNIK.

(pierw. wyd. 18:4.)

Helwecyusz utrzymuje, że wszyscy ludzie rodzą się jednakowi, co się tycze zdolności i usposobień, które to dopiero wychowanie późniejsze tworzy i wykształca. Jest to sens moralny niby prawdopodobny, i może zresztą służyć za prawidło ogólne, albo nakoniec może da się zastosować do ojczyzny i czasów Helwecyusza. To pewna, że w naszem społeczeństwie mianowicie tem, którego już tylko resztki dogorywają i które po większej części przez same tylko tradycye znamy, ta ogólna reguła znajduje przynajmniej mnóstwo wyjątków. Są ludzie, którzy zdaje się rodzą z pewnem już przeznaczeniem, spoczywającem zdaje się w ich układzie organicznym, by tem lub owem koniecznie byli. Mimo najprzeciwniejszych przeznaczeniu temu warunków, jakie zdybują w pierwszych wrażeniach, w pierwszem otoczeniu i pierwszem wychowaniu, zostają tem, do czego ich pociąga to jakieś ich wewnętrzne usposobienie. Do takich ludzi można zastosować nasze dawne przysłowie, że natura ciągnie wilka do lasu, i w rzeczy samej rodzą się wilki, lisy, osły i niedźwiedzie moralne, których żadne nie przeistoczy wychowanie, i którzy prędzej czy później ruszają do lasu swoich właściwości.

Najdzielniejszy tego co rzekłem, miałem dowód w całem życiu pana Piotra, który urodził się komornikiem. I to nie facecja, co powiadam. Naturalnie nie urodził się Komornikus natus, ani też pióra za uchem nie przyniósł na świat, ale ledwie zaczął chodzić, mówić i jakkolwiekbądź działać na tym świecie, objawiał się istnym komornikiem, w tem oczywiście znaczeniu, w jakiem się zwykle odznaczał za czasów pana Piotra urząd komorniczy u nas. Pan Piotr był tedy podwójnym typem w swoim rodzaju; bo i typem ludzi rodzących się z pewnemi przeznaczeniami, i typem najrzeczywistszym komornika u nas. Wart jest zatem szczegółowej biografii, którą tu czytelnikom moim podać tem więcej mam za obowiązek, że w społeczeństwie naszem było wiele podobnych figur, które nikną już zupełnie, a które piórem odszkicować należy, dla przyszłych obrabiaczy stanu społecznego za czasów naszych. A potem w ogóle nikną już wszelkie odznaczające się szczególnościami typy. Odkąd ludzie wymyślili te wszystkie machiny co ludzi zastępują, zdaje się, że i ludzkość

http://rcin.org.pl

cała poszła za duchem czasu, i zaczęła wydawać ludzi-machiny, a przynajmniej ludzi, mniej więcej jakby za pomocą jednej machiny sporządzonych. Snać Helwecyusz, gdy to cośmy wyżej przytoczyli pisał, był w stanie jasnowidzenia magnetycznego, i pisał duchem proroczym natchniony. I niezawodnie do czasów dzisiejszych da się najlepiej zastósować reguła Helwecyusza, że ludzie rodzą się na jeden wszyscy zakrój. Dawniej lubowano się w ogrodach na sposób włoski i staro-francuzki strzyżonych, wedle pewnych jednostajnych szpalerowych rozmiarów; dziś kochamy się w angielskich parkach naśladujących przyrodę. ale natomiast typ strzyżonych ogrodów przeszedł w ludzi. Co by nie było, wszystkie takie dawniejsze typy zachować się w pamięci pisanej godzi; a więc przystępuję do pana Piotra.

Że pan Piotr, który był później, żył i umarł komornikiem — urodził się komornikiem, najlepiej dowodzi, że całe jego rodzinne i sąsiednie otoczenie, wszelkie pierwotne dziecka i chłopca wrażenia były zupełnie przeciwne i antypatyczne nawet duchowi komorniczemu, jaki się w panu Piotrze od dziecka objawił i później tak się rzęsiście rozkrzewił, że jest on zaiste godzien, by przeszedł do potomności jako typ komorników galicyjskich, jakich społeczeństwo nasze przez pierwszą połowę wieku naszego posiadało.

Ojciec pana Piotra, pan Jan Warwicz generose natus, był szlachcicem całą gębą i mieszkał w okolicy, gdzie najmniej miano pociągu do kruczków prawniczych; bo przeciwnie panowała w niej harmonia niepospolita i koleżeństwo czyli raczej braterstwo, które zdybywać można było często bardzo w życiu szlacheckiem u nas, a nawet można-by je było nazwać cechą prawdziwego życia szlacheckiego po wsiach, życia które także należy już u nas do przeszłości, ledwie tradycyjnie znanej młodemu pokoleniu. Było to życie miłe i wesołe, trochę hulaszcze zaprawdę, pełne szałów dobrych i złych, podległe nieco głupstwom i ciemnocie, ale za to życie poczciwe, serdeczne, wylane dzbankiem, sakwą i orężem dla bliźnich, braci sąsiadów i kraju. To życie prawdziwie szlacheckie, gdyby go kto chciał oddać należycie, musiałby był przebiedz sam lub znać z doskonałych tradycyj same najuboższe dworki szlacheckie, nie zaś wielkie dwory i zamki, w których panowały tylko pozorne cechy cnót szlacheckich, jakby owe naśladowania drogich kruszczów, i z których niestety wychodziło to zepsucie, co nam później i nasze zalety szlacheckie wydarło. W ostatnich mianowicie czasach bytu naszego w pałacach i zamkach rozpostarła się szeroko, każdemu narodowi najszkodliwsza cudzoziemczyzna, a polskość prawdziwa gnieździła się jeno po małych i ubogich dworkach szlacheckich. Lecz cudzoziemczyzna to istna zaraza!... a zaraza rozejdzie się koniecznie, żadnem usiłowaniem nie wstrzymana.

W końcu roku minionego mieszkał tedy pan Jan Wyrwicz w Fedorówce, wiosce niewielkiej na Pokuciu, którą trzymał od ojca i dziada przez zastaw z majątku oczywiście Potockich, posiadających na Czerwonej Rusi ogromne włości.

Kto zna Pokucie, wie co to za cudowny kraj, z ziemią urodzajną i uroczem położeniem, i bliskością śniegiem pokrytych gór,

http://rcin.org.pl

i biegiem nareszcie Prutu, tej rzeki zajmującej zarówno historycznością swoich pamiątek, któremi zda się mruczeć w swym szybkim pędzie, jako też i malowniczością wiosek i osad mnóstwa, które po obu jego bokach osiadły i nierozerwanym zdaje się łańcuchem jakby klomby ogrodowe ciągną się przez przestrzeń kilkunasto milową. Pokucie jest to ona okolica cała nadprucka, granicząca o Bukowinę, którego nazwa wywołała różne historyczno-literackie sprzeczki. Gdy bowiem jedni utrymywali po prostu, że nazwisko swoje wyprowadza od miasteczka Krtów, drudzy romantyczniejsi etymologowie nowohistoryczni wywodzili nazwę Pokucia od kraju przeznaczonego ongi za czasów wszechwładztwa jeszcze rzymskiego na wygnanie ludzi, mających tam odpokutować swoje przewinienia. Lecz kto zna dziś Pokucie, może znać tylko jego śliczną powierzchowność; duszy dawnego Pokucia znać nie może, bo ta stała się handlową, możnaby powiedzieć wolarską, a nawet wedle nowej statystyki możnaby Pokucie przezwać nową Armenią, bo ledwie zdybiesz już tam dworek polski, otoczony zewsząd dworami zamożnej szlachty szczepu ormiańskiego. Duszą dawnego Pokucia była polskość szlachecka, ze wszystkiemi swemi właściwościami.

Za czasów pana Jana Wyrwicza, leżała wieś koło wsi, a wszystkie stykały się zagrodami i sercami sąsiedniemi, same były dworki liche słomą pokryte braci szlachty drobniejszej. Mało tam było dziedziców nawet; po większej części mieszkali tylko dzierżawcy lub zastawnicy dóbr Potockich i Kossakowskich. A wszystkie te dworki na mil kilka w około łączył węzeł sąsiedzkiej harmonii spotęgowanej to związkami rodzinnemi, to ciągłem i wzajemnem pokumaniem się, które w życiu naszem dawniejszem należało także do związków wiele znaczących, równało się bowiem pokrewieństwu niejako. W okolicy pana Jana Wyrwicza życie było nad wszelki wyraz wesołe i swobodne. Sąsiedzi wszyscy, to sami krewni, przyjaciele a kumowie. Majątki były niewielkie, a więc nie było zazdrości; a że ziemia na Pokuciu urodzajna, wymagania zaś szlachty nie wielkie, starczyło jakoś im wszystkim na życie pełne swobody, wesołości i gościnnej wszystkich komitywy. Latem czy zimą kulik nie wychodził z obyczajów tamtejszej szlachty, która swój kalendarz na dwoje dzieliła, kalendarz gospodarski mający na względzie cztery pory roku, z przypadającemi na nie robotami gospodarskiemi i z zapiskami krów i cieląt, i na kalendarz sąsiedzki, w którym zapisane były wszystkie imieniny i urodziny, zawsze wspólnie ochoczo i hucznie obchodzone. Dodajmy do tego chrzciny, małżeństwa, pogrzeby i obżynki, a wyznać trzeba, że kalendarz ten drugi doskonale był zapełniony. Do wesołości tego życia niemało się i to przykładało, że równie była swoboda po chatach wiejskich jak i po dworkach. Nie wiedziano tam co to zatargi z chłopkami, którym działo się dobrze, a więc żyli w świętej z sobą i z panami swymi zgodzie. Mimo wielu przeciwnych w tej mierze zdań, by prawdę wyznać, trzeba powiedzieć, że prawdziwa szlachta dobrze się obchodziła z wieśniakami swymi, mianowicie póki tej szlachcie samej dobrze się działo. Wy[illegible]ki uciemiężeń rzadsze wszakże u nas niżeli u ościennych narodów, o których tyle nakrzyczano, trafiały się

http://rcin.org.pl

najczęściej w dobrach wielkich panów, czy to z powodu ich własnej butności niczem nieograniczonej, czy z powodu oficyalistów pańskich gubernatorów i podstarościch, popełniających srogie niesprawiedliwości w imieniu panów, mieszkających czy w stolicy czy za granicą i żądnych zawsze świeżego grosza, dobywanego z pracy chłopków, a który musiał być tyle znaczny, by i pan miał co trwonić i oficjalista mógł się bogacić. Prawa polskie były w tej mierze nadzwyczaj sprawiedliwie; możniejsi jak to zwykle bywa umieli one omijać, ale szlachta nasza a przynajmniej części onej większa była wielką praw czcicielką, i do chłopka swego miała nawet wiele przywiązania rzec by można patryarchalnego. Sumienny badacz naszej przeszłości musi to wyznać. Po jakiej drodze stosunek ten patryarchalny pana i chłopa zmieniał się i przechodził w te wszystkie onego epoki, które przeżyliśmy, jest to przedmiot nadto poważny i obszerny, byśmy go tu w ramki lekkiego szkicu powieściowego pomieścić mogli.

Pan Jan Wyrwicz chociaż najuboższy może w sąsiedztwie, był przecie najwięcej niemal szanowany w sąsiedztwie. Zasługiwał on na to przez istotne swoje zalety, które wszakże nie tyle się do tego przykładały, ile inne jego właściwości. Pan Jan był rubacha niepospolity, obdarzony przytem zdrowym rozsądkiem, dowcipem sowicie pieprznym i taktem prawdziwie szlacheckim, które nadawało wówczas nasze życie publiczne, wymagające koniecznie pewnej dyplomatyki. Gdzie zajechał, przywiózł z sobą śmiech i wesołość, które umiał pobudzać opowiadaniami bez końca. Opowiadania jego powtarzały się co do formy, ale co do szczegółów, pan Jan jako prawdziwy myśliwy, wojak i bywalec, miał niewyczerpane źródło konceptów, któremi przerabiał anegdotki swoje. A że za młodu i dworował i wędrował, sejmikował i wojował niemało, łatwo mu przychodziło niestworzone puszczać bąki domatorskiej szlachcie. A że za kołnierz nigdy nie wylał i nigdy się przecie nie upił, świętej zaś zgody w sąsiedztwie przestrzegał jak oka w głowie, jakże nie miał być powszechnie kochany! To też był on wszędzie kumem, wszędzie starostą, wszędzie swatem i serdecznie kochanym bratem. Nakoniec silny, barczysty, dorodny i wysoki, z twarzą na której panował pąs i wąs, oba znamienite, ubrany zawsze w żupan, kontusz i pas lity, i zawsze przy potężnej karabeli, musiał mieć wielką komitywę i powagę w łaskawem sąsiedztwie.

I takiemu ojcu urodził się syn komornik, a do tego w takiej okolicy, w której póki pamięć ludzka sięgała nie było za czasów pana Jana ani kłotni żadnej, ani procesu, ani najmniejszej kondescensji, ani nawet sądu polubownego, chyba przy kieliszku, gdy się dwóch antagonistów pokłóciło na to tylko, by uczcić zgodę szczerym a sutym łez i wina wylewem. Że się tak stało to pewna, i należałoby to do cudów policzyć, gdyby nie uwierzyć temu chyba, że kobiety mogą się zapatrzyć moralnie i fizycznie. Chyba więc pani Anna z de Godziemba Kozlickich Wyrwiczowa, siostrzenica cioteczno-stryjeczna po krwi a córka po chrzcie pana Bonawentury de Godziemba Kozlickiego, sławnego niegdyś palestranta lubelskiego, ogromnego kauzyperdy i procesowicza, o którym mówiono, że przeprocesowawszy

http://rcin.org.pl

wszystkie swych klientów majątki, swój własny tą samą drogą przepuścił i gołym już będąc, wszystkie w świecie trybunały oprymował urojonemi pretensjami swemi; — chyba więc powiadam pani Anna zapatrzyła się na jego wiszący w jej sypialni portret, i przez jaki tajemniczy stosunek rysów twarzy i usposobień przedstawionego palestranta, wraz z niejakiem do niego podobieństwem, przekazała synowi upodobanie w kruczkach prawniczych. Bo że sama nie miała w sobi ani jednej kropelki krwi po panu Bonawenturze, jakkolwiek jej wuju cioteczno stryjecznym, o tem nie wątpiła cała okolica, której była kumą, siostrą, przyjaciółką, swachą, a oprócz tego zawołaną aż w Zabłotowie i Kołomyi lekarką. Cicha, potulna i pokorna, w domu zgodna, wesoła i przyjacielska w gościnie, smażyła sławne konfekta, robiła nalewki cudnego smaku i preparowała leki na wszystkie choroby możliwe.

Pan Piotr Wyrwicz tem imieniem ochrzczony, dla tego że pan Jan miał od najmłodszych lat swoich wielkie nabożeństwo do Sgo Piotra w Okowach, urodził się w późnej jesieni roku pańskiego 1779. Dwa wielkie rzadkie i ciekawe zdarzenia odznaczyły dzień jego urodzin. Pierwsze bowiem kwilenie dziecka zdybało się z grzmotem i łyskawicą, niezwykłemi tej pory pojawami. I tegoż samego dnia chłopak ze wsi Fedorówki pluskając się po Prucie za miętusami, złapał szczupaka olbrzymiej i niesłychanej wielkości i przyniósł zaraz do dworu. Łatwo pojąć, jakie to nieskończone wyprowadzano z tych zdarzeń wróżby, mianowicie gdy się wszystkie zjechały z sąsiedztwa kumoszki i zaczęły przewlekać cały różaniec domysłów, pamiątek i zdarzeń, bądź doznanych, bądź też zasłyszanych lub zgrabnie zmyślonych.

— Dodajcie państwo do tego! — zakończyła pani Zagrzebina, wielce światowa kobieta, która była panną respektową u pani Kossakowskiej — dodajcie państwo, że jakem żywa, nie słyszałam o szczupakach w Prucie.

Coby nie było, to zostało pewniakiem, że grzmot, łyskawica i wielki szczupak w Prucie, zwiastują nowo narodzonemu Piotrusiowi ogromną jakąś i pełną dziwnych a znakomitych zdarzeń przyszłość. Niemniej przeto zamarynowano wielkiego szczupaka, i mimo ogromu jego, zjedzono z kretesem przy chrzcinach Piotrusia, nad którego układnością, cichem nadzwyczaj obejściem się i rozpatrywaniem się nadzwyczaj rozsądnem, wszyscy nie mogli się dosyć nadziwić.

Piotruś był trzeciem z kolei dzieckiem pana Jana. Miał przed sobą dwie starsze siostry, a po nim było jeszcze dwóch chłopców i jedna najmłodsza dziewczyna. Nie mówiąc więc o nieboszczykach bądź synach bądź córkach, których także było kilkoro, pan Jan Wyrwicz posiadał sześcioro dzieci. A że te żyjące jakoś prawie rok po roku następowały, więc co do lat i wzrostu nie zbyt wielka była między niemi różnica, i wszystkie zwykle razem bawiły się dzieci między sobą.

Piotruś zawsze rej między niemi wodził. Było to dziecko z dziwnie stanowczem i jak u starego wyrobionem usposobieniem. Co chciał, to się stać musiało, a zachciewało mu się ciągle. I to nie

http://rcin.org.pl

jak inne dzieci dochodził swego krzykiem i chimerami, ale przeciwnie cichuteńko, za pomocą obleśnej wytrwałości, którą wszystko wynudził co tylko zażądał. Póty się kręcił koło pożądanego przedmiotu, póty go podziwiał, wzdychał i rozrzewniał nad nim, póty się pochlebiał i pieścił, póki mu go nie dano. I tego systemu używał względem wszystkich, czy to rodziców, czy braci i sióstr, czyli też względem innych domowników. W tej mierze chciwość jego była bez granic; nie było dość lichego przedmiotu byle był cudzy, żeby go Piotruś nie zapragnął. Pojęcie własności, ale tylko własnej własności, było w nim wygórowane. To też w wieku w którym zwykle inne dzieci nic jeszcze swego nie posiadają, Piotruś miał już mnóstwo rzeczy własnych, które najporządniej składał, chował przed wszystkiemi, nikomu nie udzielał, a w chwilach wolnych cieszył się niemi niepospolicie. Rodzice, jak z ich szkicu łatwo pojąć, niezbyt przezorni i rozmyślni, brali to za dowód wrodzonego w nim zamiłowania do porządku, i cieszyli się nim tem więcej, a nawet podziwiali, im mniej oboje byli do wielkiego porządku usposobieni. Jakoż miasto karcić tę szczególną w takiem dziecku wadę, chwalili i pieścili Piotrusia na wyścigi, obdarowując go ciągle nowemi pożądanemi przez niego przedmiotami.

Nie tak rodzeństwo. Bracia i siostry Piotrusia najwięcej cierpieli z powodu tej brata chciwości, bo żadno, żadnej zabawki pokazać i utrzymać nie mogło, zaraz bowiem podobała się Piotrusiowi, który nie spoczął, póki jej nie dostał. W tej mierze był co do rodzeństwa swego tyranem, ale nie tyranem w znaczeniu tego słowa gwałtownym; był tyranem za pomocą wymowy, którą wszystko wmówił, a mianowicie, za pomocą słodyczy nudnej jak lukrecja. I nie był on w tym względzie bez dowcipu. Koncepta jego stosownie do potrzeby zmieniały się. Jak tylko doszedł do lepszego pojęcia, rzadziej już używał dawniejszych napierania się wytrwałego sposobów, ale natomiast używał sposobu facjendy, którego Bóg wie zkąd się nauczył. I ten sposób doprowadził do wysokiej doskonałości. Tak umiał doskonale swoje zabawki najgorsze, najwięcej już zepsute, swoje śniadania i podwieczorki, w pół już nadjedzone, wychwalać, a ganić pożądane przez się przedmioty, że w końcu otumanił zawsze drugie rodzeństwo i schwycił co mu się podobało. To swoje faciendarstwo rozprzestrzeniał on stopniowo, z mniejszych do większych przedmiotów, z własnego domu, po za dom, po wsi, a nawet po dworach okolicznych, gdzie były równowiekowe dzieci. I oczywiście kształcąc się sam pomału w tej sztuce, zawsze i coraz więcej zarabiał.

Było to wszystko niewiele znaczące jeszcze i ograniczało się na przedmiotach niewielkiej wagi, a przecież powinno było zwrócić uwagę rodziców i przestraszyć ich zaprawdę. Mianowicie przerażającem było w nim objawienie tej pożądliwości, i okropna ta zimna krew, z jaką odbywał te wszystkie tumanerje. Gdy mu się podobał jaki przedmiot, patrzał na niego okiem tak chciwie wytężonem jakby go chciał połknąć, przyciągnąć do siebie czarującym bazyliszka wzrokiem. Aby go dostać postępował z najzimniejszą obojętnością, której nic poruszyć nie zdołało.

http://rcin.org.pl

Z całego rodzeństwa lubił on niby najwięcej najmłodszą siostrzyczkę Rózię, lube i ładniutkie a poczciwe z kościami dziecko. Brał ją nawet nieraz pod opiekę swoją naprzeciw starszych braci, dobrych ale rozpustnych nieco chłopców; prawda, że po danej opiece zawsze coś wytumanił od wdzięcznego dziewczęcia, bogdajby szpilkę prostą. A przecież nie wahał się i od niej wyfacjendować, co mu się u niej podobało. Biedna Rózia dostała raz w darze śliczną figurkę z piernika z cudnem obarwieniem i cudniejszą pozłotką. Łatwo pojąć jak się nią cieszyła. Piotruś póty koło niej chodził, prawił i wmawiał, póki tej figurki nie zafacjendował za starą wytartą lalkę drewnianą bez jednej nogi i pół ręki. Rózia gdy się wnet opamiętała, zalewała się rzewnemi łzami i zawodziła za cudną figurką, aż się wszystkim serce krajało. Piotruś choć ją kochał, niewzruszony schował figurkę do drewnianego kuferka, w którym wszystkie swoje najróżnorodniejsze składał łupy, i który od starego pisarza prowentowego wytumanił, czyli raczej wyfacjendował za jakieś tam przyrzeczenie, którego nigdy nie dotrzymał.

Bywał w domu pana Jana ksiądz Idzi, bonifrater aż z pod Krakowa, który perjodycznie objeżdżał cały kraj i sławnym był lekarzem, a mianowicie dentystą niepospolitym. Przyjazdu tego najczęściej wyglądała pani Janowa, która zawsze coś z jego bytności skorzystała, czy to sekret jaki lekarski, czy nareszcie i przepis jaki do pieczenia ciast lub smażenia konfektów, w czem ksiądz Idzi celował także. Wyglądały go i dzieci niepospolicie, bo przywoził z sobą mnóstwo obrazków, któremi je obdarzał. Ten pierwszy zastanowił się nad szczególną chciwością Piotrusia, któremu gdy ksiądz Idzi rozłożywszy wszystkie obrazki, dał do wyboru, który z nich wziąć dla siebie, zawołał najnaiwniej z okiem łyszczącem:

— Ja chcę wszystkie.

Lecz ksiądz Idzi choć był człowiek z sercem, ale nie koniecznie z głową. Podumawszy więc trochę, wziął tabaczki razy kilka i zwrócony do rodziców Piotrusia, ozwał się po chwili z wyrazem pełnym znaczenia:

— On będzie zakonnikiem!... będzie z niego kiedyś sławny w kraju kwestarz.

A on tymczasem miał zostać komornikiem, i że niczem innem zostać nie mógł i nawet nie chciał, wkrótce dowiódł ojcu w sposób, który zwrócił przecie jego uwagę.

Najbliższym sąsiadem pana Jana, był pan Samuel Cielkiewicz. Dzielił ich tylko Prut, po którego obu brzegach stały patrzące na się oba sąsiedztwem i przyjaźnią złączone dwory... Lat trzydzieście z górą znali się obaj panowie, bo nawet za młodu w jednej służyli chorągwi i obaj byli dworzanami dwóch pokrewnych sobie pańskich dworów. Przypadek zrobił ich sąsiadami, z czego łatwo pojąć, jaka im urosła pociecha i jaka radość, gdy w długie wieczory zimowe przy płonącym kominie a pałającym krupniku sobie przypominali, a sąsiadom rozpowiadali przeżyte dzieje i pamiątki. Zgoda panowała wzorowa między obu dworami, zgoda niczem nie przerywana, bo nawet obie panie żony przyjaciół i sąsiadów, które nieraz bywają najnie-

http://rcin.org.pl

bezpieczniejszym szkopułem przyjaźni i zażyłości sąsiedzkich mężów, poprzyjaźniły się niepospolicie, do czego najwięcej im pomogło, że się w gustach i nawyczkach nie zdybywały, przez co uniknęły tej niebezpiecznej współzawiści. Pani Janowa smażyła konfitury, które pani Samuelowa chętnie jadła, a jedząc chwaliła, bo podobnych smażyć nie umiała. Pani Samuelowa lubiła znowu pasjami gospodarstwo, celowała w urządzeniu lnu, którego białość wzbudzała podziw okolicy i mnogie zabiegi żydków, przybywających do niej z Kołomyi a nawet ze Stanisławowa; pani Janowa nie znała się na tem, a więc szczerze podziwiała mistrzowski w tej mierze talent pani Samuelowej.

I zgoda ta trwała już lat tyle, iż zdawało się, że nic już w świecie nadwerężyć jej nie jest w stanie. Lecz któż jest w stanie wyrachować naprzód wszystkie zdarzenia, mianowicie jeżeli się w ich urządzenie wmiesza zazdroszczący spokoju i szczęścia ludzkiego szatan niezgody, który nie wiem za jakie grzechy praojców naszych najwięcej lubił mieszać się do naszych spraw publicznych i prywatnych.

Pierwszem zarzewiem niezgody stał się Piotruś, który znienawidził Józia, synka pana Cielkiewicza. Józio był w zupełnem przeciwieństwie z Piotrusiem. O ile ten był cichy, skryty i oblesny, o tyle tamten był żywy, prędki, raptusowaty, istny syn konfederata, barskiego, którym stary Cielkiewicz był czas niejaki. Owoż Piotrusiowi zachciało się jakiegoś biczyka, którym Józio wywijał i wytrzaskiwał po mistrzowsku. By go dostać, użył Piotruś wszystkich swoich sposobów, wymowy, namowy, nudzenia, pochlebstwa i faciendy nareszcie. I dostał nakoniec, ale nie biczyk, dostał jeno tym samym biczykiem potężnie po plecach i twarzy od zniecierpliwionego Józia. Gdy się podobne zdarzenia powtarzały i zawsze kończyły sińcami na skórze Piotrusia, musieli się wdawać rodzice i nieraz przymówili sobie; lecz wnet te małe pierzchały chmurki, dawno zgoda wracała, okupiona najczęściej skórą obu chłopców należycie rózgami obitą. Ale zawsze ponawiał się rodzaj kwasu, który pôty kisł, póki przy zdarzonej okazji nie wyrósł w ogromny pasztet.

Obaj sąsiedzi mieli lasy swoje po tej stronie Prutu, gdzie był dwór Cielkiewicza. Lasy te graniczyły z sobą i dzieliła je tylko niewielka łączka, środkiem której płynął niewielki strumyczek. Nie było na niej nigdy kopców granicznych, bo od niepamiętnych czasów strumyczek ten stanowił granicę. Tymczasem jednego roku w skwarne lato znikł nie tylko strumyczek, ale sczezł bez wieści; czyli źródło wyschło, czy inne sobie obrał koryto, nikt nie wiedział i nikt się nad tem nie zastanawiał, bo po prawdzie nikt nie uważał. I trwało to może lat kilka; małe strumyka koryto zarosło bujną trawą i różnobarwnem kwieciem, mały tylko i ledwie dojrzany zostawiwszy po sobie ślad jakby małego parowku. Pierwszy spostrzegł to Piotruś. Pan Jan miał tam w lasku pasiekę i często do niej wyjeżdżał wraz z dziećmi, które biegały i bawiły się tymczasem po zielonej łące. Piotruś miał już wówczas 9 czy 10 lat i pojęcie nad wiek swój. Zaraz więc to ojcu doniósł i zwrócił jogo uwagę na to, mówiąc:

http://rcin.org.pl

— Ale gdzież teraz granica?

Zrazu ojciec nie zważał na to, ale razu jednego, gdy obaj sąsiedzi wracali z polowania, oba w nienajlepszym humorze, bo się polowanie nie udało i jakoś się popstrzykali na nowo o swoich chłopców, a co najgorzej, że trzymając się dawnego prawidła: na frasunek dobry trunek, i żeby obwarować się naprzeciw przenikliwemu zimnu jesiennemu, zajrzeli razy kilka do drewnianych swych z gorzałką manierek. Dosyć, że przechodząc przez łąkę, przeszła rozmowa na granicę, i pan Jan złym tej chwili duchem wiedziony, zwrócił uwagę sąsiada na to, że niema żadnych znaków granicznych, przyczem przebąknął coś o dawnej miejscowej tradycji, jakby cała łączka wraz z małym brzozowym krąglakiem, który stał na jej końcu, należała dawniej do Fedorówki.

Pan Samuel nie zniósł tego cierpliwie i słówko po słówku przyszło do tego, że się sąsiedzi na prawdę pokłócili i przysięgli nawzajem, że jednego noga u drugiego nie postoi. Smutna to była zima dla obydwóch sąsiadów, bo wierni przysiędze nie przyjeżdżali do siebie, chociaż nie raz i nie dwa jeden i drugi patrząc z okien swoich na dwór sąsiedzki, ledwie nie wściekał się ze złości i gniewu na siebie samego. Ucięli sobie tylko po parę listów, w których jak to zwyle bywa rozjątrzali się nawzajem tą głupią graniczną kwestją, funta kłaków nie wartą.

Przyszła wiosna. Pan Jan postanowił coś stanowczego zrobić w tej kwestji granicznej; zabrawszy zatem wójta starego i innego jeszcze zgrzybiałego ze wsi staruszka a zarazem i dzieci, by się zabawili, wyjechał za Prut na ową łączkę. Staruszkowie wiejscy naskrobali się niemało w głowy swe, nazdejmowali czapek co niemiara, nagwarzyli siła i o tem i o owem, ale kwestji granicznej w niczem nie wyświecili. Przez ten czas Piotruś, oddzieliwszy się od drugich dzieci, sam jeden to tam to sam uwijał się po całej łące. Aż nareszcie z iskrzącemi oczyma przybiegł do ojca i pociągnął go za sobą.

— Chodź tatku! mamy granicę! — wołał radośnie podskakując.

I zaprowadził go po za koryto dawnego strumyka, aż na drugi koniec łączki, gdzie, jak to mówiliśmy, stał ów krąglak ze trzydziestu może brzóz złożony, oddzielony trochę od reszty lasu. Po za tym krąglakiem ciągnął się także smug jakiś wklęsły do małego parowku, albo łożyska dawno wyschniętego strumyka podobny.

— To jest granica nasza! — zawołał chłopiec tryumfującym głosem. — To jest ślad granicznego strumienia!

Ojciec wypatrzył się na niego z pewną ciekawością, przestraszoną nieco, a chłopiec trzepał dalej:

— Trzeba sprowadzić komornika!

— A ty zkąd wiesz, co to komornik?

— A to doskonały stan! — wykrzykuął chłopiec z pewnym zapałem i ciągnął dalej swoją rzecz: — Jak zjedzie komornik, tatko zwoła gromadę, przyjmie ich wódką i wszyscy zeznają.

To już było za nadto dla pana Jana Wyrwicza. Odskoczył parę kroków, splunął przed siebie z wyrazem odrazy, synka krzyżem

http://rcin.org.pl

świętym naznaczył, jakby chciał szatana od niego odpędzić i grzmiącym krzyknął głosem:

— A czy cię djabeł opętał, żebyś ty przeklęty chłopcze, mnie staremu takie dawał rady. Patrzcie co to za nic dobrego! Tobie to być komornikiem chyba.

Chłopiec przestraszony nic nie odpowiedział, jeno w duszy pomyślał:

— Żebyto!

A ojciec spojrzał w niebo, coś mruknął, może paciorek dziękczynny, że mu pan Bóg w sam czas jeszcze oczy otworzył i co tchu ruszył do dworu pana Samuela. Wpadł jak bomba do izby, porwał starego sąsiada w ramiona i jął go całować i przepraszać, aż się wszyscy w domu i starzy i młodzi serdecznie popłakali. Oczywiście po wylewie łez nastąpił wylew trunkowy. Starzy popili się, szczęśliwi oba, jakby ich kto na sto koni posadził. I była znowu zgoda jak dawniej, a wnet na miejscu dawnego strumyka stanęły dwa kopce graniczne, oblane rzęsiście na szczęście.

Najfatalniej wyszedł Piotruś na tej sprawie, bo gdy już kopce stanęły, pan Jan siadł na bryczkę i wziął Piotrusia z sobą. A gdy przyjechali do onych świeżych kopców, wyjął z bryczki kilimek, rozesłał na kopcu, kazał się na nim synowi położyć i wlepił mu własną ręką 10 odlewanych cięgów boćkowską dyscypliną. Poczem mu powiedział na pół ze śmiechem, na pół poważnie:

— A to abyś pamiętał, gdzie twoja granica, mój ty komorniku!

Piotruś się spłakał, ale się nie gniewał przecie, gdy go odtąd na drwiny nazywano nieraz komornikiem.

Tymczasem lata ubiegały zwykłym trybem, niczem niewstrzymane, złą i dobrą przynosząc z sobą dolę, i wiele zmieniło się w dworku Fedorowieckim. Nie będziemy szczegółowo opisywać ni lat minionych, ni owych zmian zawsze smutnych, które w każdej rzeczy ludzkiej przychodzą powoli, gdyby zmarszczki na twarz, i dla tego właśnie są podobno najsmutniejsze.

Na początku jakoś to było wieku nowego, co tyle rozmaitych a miłych przyniósł z sobą nadziei, z których że się tak niewiele ziściło, Bóg to zrządził, a tyle milionów ludzi rozmaitemi przepłakało łzami, — i było to jakoś w jesieni, smutny odbywał się obrzęd w dworku Federowieckim. Był to pogrzeb pana Jana. Liczny zjazd sąsiadów zasmuconych szczerze, dowodził, że wszyscy w okolicy serdecznie żałowali poczciwego Wyrwicza, który nie tyle w skutek lat i słabości jako raczej w skutek doznanych zgryzot prawego dokończył żywota. Ostatniemi laty bowiem różne spadły na niego nieszczęścia, cierpliwie znoszone jako dopust boży. Przyszły gradobicia, pomorek na bydło, a że i czasy się jakoś w skutek wojen europejskich pogorszyły, pan Jan Wyrwicz przymuszony był pozaciągać długi, co poczciwego szlachcica zgryzło niepospolicie, bo się zawsze długów bał jak ognia, i przykro mu było, zostawiać rodzinie mająteczek uszczuplony i zadłużony. A mimo to pan Jan jako prawdziwy polak i szlachcic żył po dawnemu, i z dawną gościnnością przyjmował sąsiadów, stan

http://rcin.org.pl

jego majątkowy pogorszał się co roku, i przyszła wreszcie chwila, w której zrozumiał, że cały byt jego rodziny zagrożony. Nie mógł już tego przenieść stary szlachcic, zaniemógł jakoś na wiosnę, przechyrlał przez lato, a w jesieni jak się położył, nie wstał już więcej.

No pogrzeb więc zjechali się sąsiedzi, pocieszając o ile możności niczem niepocieszoną wdowę. Przyjechały obie starsze córki, które wyszły jakoś przed parą laty za mąż oczywiściz za szlachciców równie podupadłych jakim był pan Jan Wyrwicz. Synów młodszych nie było, bo oba chłopcy półdzieci jeszcze wymknęli się z domu rodzicielskiego, by pociągnąć do Włoch. W domu przy rodzicach została tylko Rózia, młode i śliczne dziewcze, ślicznieisze jeszcze w swej sierocej żałobie. Przyjechał nareszcie i pan Piotr, który także od lat już kilku porzucił dom rodzicielski.

Pan Piotr odbył szkoły w Stanisławowie i Lwowie, liznął czego wówczas w szkołach liznąć można było: nieco łaciny, nieco niemieczyzny i innych nauk i wiadomości po troszeczku. Wystarczało to jakoś wówczas, bo wymagania nie były tak wielkie jak dzisiaj, i Piotruś który uczył się pilnie, wyszedł na pana Piotra, jeżeli nie nader uczonego, to przynajmniej wielce poważnego, pewnego siebie, obdarzonego silnem postanowieniem przepchania się w świecie, i zdobycia sobie zawodu miłego i korzystnego dla siebie. Miał do tego jak już w latach jego dziecinnych widzieć mogliśmy, wszelkie usposobienie, i mimo że mu rodzice nie wiele przysyłać mogli i to go regularnie nie dochodziło, umiał dać sobie rady , zdobywając utrzymanie swoje per fas et nefas. Od studentów nie bardzo lubiony, umiał przecie stać się im potrzebnym i korzystać z nich za pomocą rozmaitych spekulacyj, które tem mu się stały potrzebniejsze, że w końcu i te skąpe zasiłki jakie z domu przychodziły, ustały zupełnie.

Prócz zwykłych korepetycyj, które godzinami udzielał bogatszym, wymyślił on inny jeszcze koncept spekulacyjny, który mu niezłą przynosił intratę. Pisząc prędko dosyć i czytelnie, spisywał zawsze wszystkie profesorów prelekcje, te potem w domu porządkował i przepisywał na rąk kilka. Takie potem scripta, jak to językiem studenckim nazywano, gdy przychodziło do egzaminów, przedawał leniwszym i majętniejszym kolegom za różne ceny, stósownie do możności i potrzeby kupujących. Niemało też przynosiła mu sztuka faciendy, którą w szkołach udoskonalił i która mu ogromnie pomagała, mianowicie co do sukień, które rozmaitemi sposobami umiał od kolegów za lada co wytumanić. Skończywszy tym sposobem szkoły, obejrzał się pan Piotr za zawodem, jakiby mu obrać należało, lecz nie długo myślał. Zawód prawniczy uśmiechał się mu najmocniej, a w nim posada komornika wydała mu się najpożądańszą. Ku niej więc dążyć silne wziął postanowienie. Robili mu w tej mierze różne przedstawienia, i rodzice i koledzy niektórzy. Rodzicom odpowiadał:

— Straciliście majątek, a ja go nazad zdobędę i powiększę.

A gdy który z kolegów zrobił uwagę, że jeżeli już iść do urzędu, to lepiej wybrać płatny jaki, a komornicy przecie żadnej stałej nie pobierają pensji.

http://rcin.org.pl

— Głupiś ty mój kochany! — odpowiedział pan Piotr. — To jest właśnie najlepsze w posadzie komornika; nie bierze od jednego, ale bierze od wszystkich, bo nikt za życia i po śmierci nie może się obejść bez komornika; nie bierze od jednego, a zatem ma prawo żądać i brać od wszystkich.

Gdyby nie co innego, te same już słowa dowodzą, że pan Piotr nielada głową był obdarzony. Temi bowiem słowami trafił jak to mówią w sedno i najlepiej zdefiniował stronę korzystną i moralną posady komornika. Odkrył dla czego się tak ludzie chętnie do tej garnęli posady i odsłonił całą onej moralną szkaradę lepiej, niż-by to najrozwleklejsza zrobić zdołała rozprawa.

Jakoż dziś, kiedy dzięki nowym ustawom posada ta zniknąć ma zupełnie, możemy sobie powiedzieć po szczeremu, że w dawniejszem urządzeniu społeczeństwa naszego komornik był jednym z wrzodów onego moralnych. Był zaiste wrzodem podwójnym; bo nie dosyć, że taki komornik rozmaitemi środkami wysysał, gdzie mógł i jak mógł wszelkie soki najżywotniejsze z majątków szlacheckich, ale co gorzej jeszcze, sama konieczność jego posady psuła go i psuć musiała moralnie. Tak że śmiało myrzec można, najpoczciwszy człowiek zostawszy komornikiem, po latach kilku swego urzędowania, jeżeli nie koniecznie został łotrem, to przynajmniej wyciągając wszędzie ręce za datkiem, i na prawo i na lewo, mając po temu tysiączne sposobności, musiał się wyzuć koniecznie w sprawach pieniężnych z tej wyższej delikatności i prawości, które znamionują człowieka uczciwego. Komornik był pomiędzy laikami tem prawie, czem kwestarz w zakonie. Jeno że ten kwestuje dla zakonu, i jego natręctwo pokryte jest szatą pobożności i pożytku wyrastającego z kwesty dla pewnej liczby ludzi; ale i ta kwesta każdy przyzna, ile razy poniżając charakter kwestarza, przechodziła w mniej szlachetne darcie oczów i pożądliwość niepohamowaną! Komornik zaś był widomym kwestarzem dla własnego egoizmu, dla własnej chciwości i wszystkich najkapryśniejszych, rodzących się co chwila jak gdyby po deszczu zachceń własnych.

Nasz więc pan Piotr, wówczas gdy przyjechał na pogrzeb ojca, praktykował u jakiegoś starego komornika, którego spodziewał się zostać zastępcą. Rodziców to wszystko nic nie kosztowało, bo pan Piotr wstępując w dom komornika, miał już z czasów studenckich, cudwnie możnaby powiedzieć oszczędzoną kwotę pieniężną, która dozwalała mu oczekiwać spokojnie przy stancji tylko i wikcie, u komornika mianemi, na dalszy rozwój losu swego. I nie bez tego było, że mnogiem już doświadczeniem w sztuce tumanienia nauczony pan Piotr umiał sobie wyrobić u komornika nie jeden boczny zarobeczek, o którym się komornikowi ani śniło.

Odbywszy pogrzeb ojca, którego był zimnym świadkiem, bez jednej łzy żalu mimo tylu łez, które wraz z grudkami ziemi padły do grobu z oczów poczciwego sąsiedztwa, pan Piotr nie długo gościł w domu rodzicielskim. Dniem wprzódy nim miał wyjechać, przeszedł wszystkie domu kąty i obejrzał wszystkie jakie w nim były

http://rcin.org.pl

sprzęty, a okiem, wprawnem już, wnet je oszacował. Skrzywił się; snać to oszacowanie nie zbyt świetnie wypadło. Objechał potem pola wszystkie i wszystkie granice, a z kolei stanął przy owym tyle pamiętnym dla siebie kopcu na zielonej łące. Zamyślił się nad nim chwilę i pogardliwym ruchem uderzył weń nogą. Może przypomniał sobie smutny ojcowski basarunek? Gdzie tam! on przemyśliwał plany przyszłe; jakby tu zostać panem Fedorówki dziedzicznym, a zostawszy nim, uśmiechała się doń myśl, przyprowadzić do skutku ów swój dziecinny koncept graniczny na złość panu Samuelowi, który żył jeszcze ale życiem lampy dogorywającéj, i na złość Józiowi, który także wyruszył do Francji, by walczyć pod znakami Napoleona.

Przyszły komornik miał już w swej przed czasem łysiejącej głowie rozmaite myśli i planiki, do których wszakże trzeba było czasu i rozmaitych przygotowań.

— Zrobi się to, zrobie wszystko! — mruknął sam do siebi i wrócił do domu. Wstąpił jeszcze do stajni i maszarni ojcowskiej i co najlepsze konie i bryczkę wybrawszy, rozkazał, by na jutro do dnia były gotowe dla niego. Wieczorem pożegnał się z matką i siostrą czulej, niż to było w jego usposobieniu. Snać było mu to potrzebne.

— Mama dobrodziejka! — wyrzekł głosem słodziutkim, ucierając nosa, co mogło ujść także za utarcie łez, — nie weźmie mnie za złe, że ja biorę z sobą oba kasztanki i zieloną bryczkę.

Biedna matka spuściła oczy w dół, a Rózia zaczerwieniła się po uszy. Pan Piotr ciągnął dalej:

— Mam bowiem w interesach mego pryncypała mnóstwo przejazdek, które mnie przez najem koni i powozu okropnie kosztują. — Oczywiście, wszystko to od A do Z skłamał.

— Jeżeli ci potrzebne! — odrzekła matka z pół westchnieniem. — Do kościoła możemy i broniakami pojechać.

— A żółta bryczka lepiej nawet nosi! — ozwała się Rózia z całą szlachetnością poczciwej i siostry i córki, aby bratu wstydu a matce żalu umniejszyć.

— I nareszcie nie długo zapewne zabawimy w Fedorówce. Dłużnicy lada chwila mogą nas wyrzucić.

— Niech mama siedzi póki może; a jak będzie kręto, trzeba wyjechać do Stanisławowa. Już my tam coś obmyślili. Mam ja, mam różne sposoby! Ale niech mama nie zapomni wszystkie sprzęty pozabierać z sobą. Pan Samuel da zapewne fury swoje.

— I do kogóż mamy się udać, jeżeli nie do ciebie mój synu? Michał i Franciszek nie prędko wrócą, i sami biedaki.

— Jeżeli wrócą! — przerwał pan Piotr — słyszałem, że to mordercza tam wojna.

— Wrócą! wrócą pewnie! — zawołała Rózia jak szkarłat czerwona — wrócą i pan Józef wróci — dodała ciszej, rumieniąc się jeszcze więcej.

Pan Piotr nic nie odpowiedział, uściskał tylko chłodnym uściskiem matkę i siostrę, i poszedł spać najspokojniej. Nazajutrz wyjechał.

http://rcin.org.pl

W lat parę pan Piotr był rzeczywistym komornikiem, co w owym o którym piszę czasie, z niewielką przychodziło trudnością. Był więc już pan Piotr na szczycie szczęścia dawno wymarzonego, i usposobienie swoje komornicze mógł już w całej objawić okazałości. Jakoż wkrótce został typem prawdziwego komornika.

Nie będę ja tu szedł krok w krok za wszelkiemi czynnościami i zdarzeniami życia pana Piotra, jakkolwiek nie byłoby to może bez pożytku, przebiedz wszystkie takiego komornika działania, jego zawodu dotyczące się; podnieść powody onych i okazać ile pociągnęły za sobą smutnych następstw dla całych rodzin, o które się otarł taki komornik w działaniach swoich. Lecz tony przeciągnęło nadto obręby szkicu zamierzonego i wpadłoby wreszcie w konieczną monotonność. Wolę więc tylko podnieść niektóre chwile z życia pana Piotra jako człowieka i jako komornika.

Widzieliśmy już poprzednio, że pan Piotr wspomniał coś o jakimś planie na przyszłość, do którego mu wszakże potrzeba było czasu i rozmaitych przygotowań. W rzeczy samej miał on planik bardzo korzystny dla siebie i godny jego chciwej duszy. Czyli on ten plan sam wymyślił, czy mu go może poddał jego pryncypał, nie wiem; ale tak rzecz się miała.

Stary jego pryncypał miał przyjaciela, z którym przeżył lat trzydzieści z górą w najlepszej komitywie, od którego doznał niejednej przyjacielskiej usługi i który umierając zrobił go opiekunem małoletnich dzieci swoich. Zostawił on dwie niezłych wiosek i troje dzieci, dwie córek starszych i najmłodszego syna; testamentem zaś tak rozporządził, że wioski miały się dostać najstarszej córce i najstarszemu synowi, średnia zaś córka miała być spłaconą przez rodzeństwo. W czasie gdy pan Piotr przyszedł do pryncypała swego, dziewczęta dorastały już na panny, a chłopiec chodził do szkół. Pan Piotr wnet się obznajomił ze wszystkiemi interesami swego pryncypała, i matematyczną a sprytną obdarzony głową, wnet ocenił ich majątek i wyrachował, jakąby mógł z niego wyciągnąć korzyść dla siebie. Oczywiście pierwsza myśl przyszła mu do głowy, ożenić się z jedną z tych sierot, kiedy nie można ożenić się z obiema.

Ale z którą? — z tą co ma wieś! — odpowiedziałby każdy. Nie tak rzecz tę zrozumiał pan Piotr, który już u swego pryncypała liznął tyle rozumu prawniczego, iż pojął od razu, że najlepiej ze spłatem swoim wleść w obie wioski i ewinkować z obydwóch pretensje swoje. Mianowicie gdy się rozpatrzył, że obie wioski jakkolwiek rzetelnie czyste i żadnemi długami osobistemi nieboszczyka nie obciążone, zawalone są rozmaitemi tak zwanemi ekstenzyjami sum urojonych ale miljonowych. Co są ekstenzje, jeżeli kto nie wie, niech się spyta adwokatów naszych, z których każdy prawie w dawniejszych mianowicie czasach szukał w tabuli takiego majątku zamazanego ekstenzjami, i jakkolwiek kwoty te były urojone, jak się wziął do nich, jak zaczął ekstabulować te ekstenzje, czasem puszczać one na licytacją i przez trzecią i dziesiątą osobę nabywać milionowe kwoty za paręset reńskich, a potem znowu godzić się a straszyć procesem, tak w końcu wyciągnął zawsze z tej całej wielce spra-

http://rcin.org.pl

wiedliwej bo prawnej manipulacji parę, jeżeli i nie więcej wiosek. — Ja tyle wiem o ekstenzjach, że po większej części są to kwoty intabulowane na różnych majątkach, pochodzące z bankructw wielkich panów; w rzeczywistości są one już gdzieindziej umorzone, ale niemniej przeto obciążają wszystkie majątki, należące ongi do owego wielkiego pana.

A że komornik niedaleko odstrzelił się od adwokata, o niego się nieraz ociera, tysiączne ma z nim styczności i oba nieraz są sobie nawzajem potrzebni, nasz pan Piotr wymyślił sobie planik, niewyraźny jeszcze w szczegółach, ale wyraźny jak słońce w ogólnym onego zarysie, aby za pomocą opłat i pretensji swoich mieć wpływ na obie wsie, a korzystając z onych ekstenzji i koniecznej potrzeby oczyszczenia majątku, wycisnąć na korzyść swoją co najlepszego wycisnąć się da z obu wiosek! To był zarys ogólny. Lecz pan Piotr nie był takim prostym i nieudolnym taktykiem, by wszystkich nie rozebrał szczegółów choćby najdrobniejszych.

— Dobrze to mieć wpływ do obu wiosek — pomyślał pan Piotr — ale starsza siostra pójdzie za mąż, młodszy braciszek ożeni się, a więc będzie szwagier i bratowa, którzy także zechcą się mięszać w interesa, mieć wpływ do nich i będą mieli głos stanowczy.

Inny uległby tej trudności, bo jużciż zabronić siostrze, by nie szła za mąż, a bratu by się nie żenił, istne niepodobieństwo. Pan Piotr nie uległ. Pana Piotra twarz zajaśniała łyskawicą myśli jenialnej.

— Trzeba sobie wybrać i szwagra i bratowę!

Te były myśli, z któremi nosił się, gdy przyjechał na pogrzeb ojca; to były myśli nareszcie, któremi się naprzód zajmował, gdy już raz został komornikiem. A trzeba było myśleć i znaleść rozwiązanie jak najprędzej, bo obie panny mianowicie, były już w wieku, w którym myśl o mężu staje się chroniczną i w którym zaczynają się skradać łowcy posagowi. Z chłopcem mniej było kłopotu, bo jakkolwiek pracował i męczył się brzytwą, by z mchu wąs pod nosem wyrobić, siedział jeszcze na szkolnych ławkach, i choć może już nieraz myślał o miłości, to pewnie nie o małżeńskiej.

— Periculum in mora! — mówił do siebie pan komornik, i przygotowując sobie pole, umizgał się do obydwóch sióstr, z lekka i dyplomatycznie.

Tymczasem nowy kłopot spadł na pana Piotra; kłopotem on nazywał przyjazd matki i siostry do Stanisławowa, gdzie sam rezydował. Biedna wdowa pracowała jak mogła około gospodarstwa, w czem i wielka część sąsiedztwa serdecznie jej pomagała i opłacała procenta dłużnikom wedle możności. Ale jak się nie wiedzie, to nie wiedzie, i bieda nigdy sama jedna w dom nie przychodzi; przyszło parę lat z kolei nieurodzajnych, pani Wyrwiczowa nie mogła dalej ani utrzymać się, ani opłacać podatków i długów. Widząc tedy, że ze wszystkich stron grozi jej niebezpieczeństwo, napisała do syna pytając o radę. Pan Piotr, który już był wówczas komornikiem, odpisał z wielką powagą i niemałą czułością: że prosi by matka i siostra

http://rcin.org.pl

przyjechały do Stanisławowa, a że on co do Fedorówki będzie się starał ratować, jak będzie można, jakkolwiek nie wiele ma nadziei.

Matka się rozczuliła, przypisując to dobremu sercu syna, i nawet zarzucała sobie w głębi sumienia swego, że mu krzywdę wyrządzała, posądzając go o zimne i obojętne serce. Rózia cieszyła się, że jedzie do miasteczka; a może w głębi duszy myślała sobie, że łatwiej przyjdzie jej mieć jakieś wiadomości w miasteczku, o tem co się tam dzieje na tym świecie i wojennym i politycznym. Wyznać trzeba, że w tym świecie i wojennym i politycznym, nie wiedziała ona wiele więcej prócz braci i pana Józefa, którego jakoś zapomnieć nie mogła.

Pan Piotr przyjął matkę i siostrę zimno, ale z wyrachowaną grzecznością i ulokował je w przygotowanym już dla nich należycie odartym i ubogim dworku przedmiejskim. Co do interesów Fedorowieckich, bardzo był małomowny; tyle tylko powiedział, że go ten interes już wiele kosztuje i jeszcze więcej kosztować będzie, co oczywiście rozważywszy obie, zapewne starać się będą jak najtańszym żyć kosztem w Stanisławowie.

— Ja umiem szyć i haftować! — ozwała się siostra.

— Ja chyba prać i cerować bym mogła; — dodała matka.

Pan Piotr chrząknął, mruknął, lecz nic nie odpowiedział. Nie wyszedł wszakże wprzódy, póki nie wziął i od matki i od siostry pełnomocnictwa interesów Fedorowieckich.

— Czy nie masz jakich wiadomości o Michale i o Franciszku? — zapytała matka.

— I o.... — chciała zapytać Rózia słowem, ale zapytała tylko szkarłatnym rumieńcem.

— Żadnej nie mam! — odpowiedział pan Piotr, spuściwszy oczy w dół niby z żalu wielkiego.

I żal i odpowiedź były skłamane, bo już przed kilku miesiącami postarał się o wiadomości szczegółowe o braciach, i nie żałując wydatków wyrobił sobie od obydwóch pełnomocnictwo najzupełniejsze.

— Fedorówka będzie moja! — pomyślał wychodząc od matki.

Kto kiedy miał styczności z komornikami, przypomni sobie i przyzna, że główną każdego komornika myślą i głównem dążeniem jest posiadanie wsi. Ta żądza do ziemskiej posiadłości jest ona im wspólna z adwokatami, i daje się poniekąd u komornikow tem tłumaczyć, że po większej części komornicy wszyscy pochodzą z podupadłej szlachty, a więc jak wilka do lasu ciągnie ich do onego bytu szlacheckiego na własnej wiosce.

Gdy mówił pan Piotr, że się już Fedorówką zajmował, nie kłamał zupełnie. Dawno on już o zachowaniu Fedorówki przemyśliwał, i jakkolwiek długi przychodziły prawie wartość kwoty zastawnej, nie tracił nadziei, że ją dla siebie wyratuje. Przedewszystkiem więc, mając rozmaite styczność z drugimi komornikami, umiał te rzeczy tak ułożyć, że chociaż dawno już detaksacya Fedorówki była nakazana, komornicy mający się nią trudnić, odwlekali, zdawali drugim, chorowali i nie przyjeżdżali, jednem słowem odbywali wszystkie te sztuczki komornicze, dobrze nam w kraju znane. Z drugiej zaś strony, by chwilowo się ratować, poduszczał w cyrkule, by za podatki

http://rcin.org.pl

wioska została puszczoną w dzierżawę. I właśnie miał nastąpić ostatni termin licytacyi dzierżawnej. Naturalnie dzierżawcą rzeczywistym będzie on sam, lecz dla pozoru a nareszcie i dla ciągnienia lepszych korzyści i dla rachunku z matką, trzeba kogo innego podstawić.

— Lecz kogo? by być z niego pewnym i mieć potulny instrument. Pomyślał chwilę, przebiegając szereg swoich znajomych. — Ignacy Junacki! — zawołał — będzie najlepszy! olbrzymi dureń! — Ledwie wymówił to nazwisko, uderzył się nagle w czoło, twarz jego rozjaśniła się spojrzeniem tryumfującem i zawołał: — I na szwagra doskonały! A ja go szukałem! a ja myślałem, mając go tu pod nosem!

Ignacy Junacki był kolegą szkolnym pana Piotra i rzeczywiście był on stworzony na to, by służył za sprężynę cudzych działań. Był bowiem, jak się dobrze wyraził pan Piotr, olbrzymio głupim i charakteru nodzwyczaj słabego, co tem więcej zadziwiało, że powierzchowność jego zdawała się znamionować niepospolitą tęgość. Silny, barczysty, przystojny, obdarzony wąsami wzorowemi, wyglądał jak zawadyjaka. Jakoż w życiu potocznem był on rzeczywiście amatorem burd karczemnych, do których nie brakowało mu odwagi i z których wychodził zwykle zwycięzko, dzięki niepospolitej sile. W życiu wszakże umysłowem czuł on swoją niższość, i dziecko każde zdołałoby go oszukać. Zresztą był to niezły człowiek, szlachcic z rodu ubogi, a więc choć należycie goły, oddany próżniactwu i wiecznej za kurzącym kominem wędrówce. Znawca koni, podpora jarmarków i imieninowych zjazdów, gracz jak na owe czasy zawołany, bo nietylko i ćwika i maryasza i straszaka ekspedyte grywał, ale już nawet i wiska coraz więcej w modę wchodzącego nie źle umiał. To też, choć go wszyscy znali jak zły szeląg i drwili z niego nieraz, lubili go, używając do tysiąca posług.

— Ignaś poczciwy chłopak! tęgi chłopak! — powtarzała okoliczna szlachta.

Główną kwaterą pana Junackiego był Stanisławów, w którym zwykle umizgał się do trzech czy czterech ormianek razem. Na ulicy ormiańskiej był on wielce szanowany i pojawienie się jego każde na niej, wzbudzało całą burzę westchnień.

O czem wiedząc, pogonił pan Piotr na ulicę ormiańską, pewien że go tam zdybie chodzącego z miną rzęsistą, wąsem naczypurzonym i wzrokiem czule wywróconym. A że był to już dzień dla pana Piotra szczęśliwy, po drodze przyszła mu druga myśl arcyjenialna.

— A Jasia! — tak się nazywał najmłodszy z sierót, do których majątku palił się pan Piotr. — A Jasia! — zawołał — ożenię z Rózią! Z rodzonej siostry będzie najlepsza bratowa! — Jak rzekł tak się stało bo najczęściej wytrwałość, choćby człowieka najgorszego, wystarczy by zgubić, rozbić i zabić choćby najlepszych ludzi.

Pan Ignacy Junacki został dzierżawcą tytularnym Fedorówki, której dochodami pan Piotr dzielił się z cyrkułem za pomocą rachunków umiejętnie prowadzonych. Matka i siostra pana Piotra żyły w nędzy, rzadko kiedy i to skąpo spomagane przez młodego komor-

http://rcin.org.pl

nika, który stękał i narzekał na czasy, a nędzą przygotowywał i miękczył matkę i siostrę, by po jego postępowały woli.

I starsza z sierót, panna Zofia została żoną pana Ignacego, z niemałą rozpaczą całej ulicy ormiańskiej, w której nastąpił potop łez. Młodsza, Frania, została panią Piotrową. Poczciwa i głupia pokochała go na prawdę i słuchała go we wszystkiem jak pana Boga.

Ciężej mu przyszło skojarzyć małżeństwo Jasia i Rózi. Jasiowi smakował stan kawalerski, i jakkolwiek Rózia przypadała mu do smaku, bał się żony o lat kilka starszej od niego. A Rózia oczy wypatrzyła i wypłakała patrząc przez okno, czy ten najmilszy Józio nie wróci już raz z wojennych wypraw. Lecz Józio gonił po całej Europie z napoleońskiemi zastępami, za sławą, czyliż mógł wracać do ojczystej zagrody inaczej, jeżeli nie zwycięzcą, jeżeli nie wybawcą? Marzenie to było powszechne w owym czasie, wspólne tysiącom ziomków Józia, którzy wyszli z domu rodzinnego młodzieńcami pełnymi życia i nadziei, a wrócili kalekami i starcami, jeżeli nie co do lat ran, to przynajmniej co do tysiąca smutnych doświadczeń i odczarowań, jakie przebyli przez lat kilkanaście ciągłej wojaczki. Jaś kręcił się jak piskorz, ale musiał uledz woli szwagra, który go w końcu zdobył jak fortecę głodem, zmniejszając pensję młodzieńca, którą mu wypłacał jego szwagier. Rózia biedaczka co się napłakała, Bóg tylko i matka jej wiedziała, ale cóż było robić? Od Józia żadnej nie było wiadomości, a tu nędza coraz okropniejsza otaczała obydwie niewiasty, opuszczone zupełnie w obcem mieście.

Stało się więc wszystko po woli pana Piotra. Ani pan Ignacy ani pan Jan nic się nie rozumieli na interesach, tem ci mniej kobiety, i pan Piotr zaczął się po obu wioskach rządzić jak szara gęś, a pomału za pomocą prawniczych kruczków i adwokackich talentów przygotowywał tę dla komornika tak miłą przyszłość, że zostanie kiedyś dziedzicem kilku nawet wiosek.

Co do Fedorówki rzeczy tak stały nieskończone, ale tak umiejętnie zagmatwane, że co się u nas często trafia, rozum ludzki nie był zdolny przewidzieć końca, lecz to tylko pewnikiem było, że jeżeli kto kiedy co liźnie z Fedorówki, to pewnie nie biedni kredytorowie. Były tam i sekwestracje i detaksacje i licytacje, i te u nas tak sławne, kilka pokoleń trwające nieraz ekstrykacje kredytorów, ale solucyja monetowa jakoś nastąpić nie mogła. Pan Piotr dyrygował to wszystko z daleka, nie zapomniawszy przytem o dawnym graniczym koncepcie. Przemyślał nad tem, jakby w dzieciństwie powziętą myśl dokonać. Razu jednego pojechał do pana Samuela, staruszka już 80letniego i nuż mu opowiadać o śnie, jaki miał. Mówił, iż ojciec nieboszczyk stanął przed nim i zaklinał go na wszystko, aby w miejscu, o które dawniej toczył się spór graniczny, na gruncie pana Samuela pod owym laskiem, postawił kaplicę z obrazem N. P. Marji. Pobożny pan Samuel starowina począł namawiać go więc, aby woli ojca, choć we śnie objawionej, uczynił zadość, mówiąc, iż najchętniej pozwala mu tam postawić kaplicę. Pan Piotr z początku się wymawiał brakiem czasu, pieniędzy i t. p., lecz starowina tak go napierał, sam mu wapno i cegłę ofiarował, aż w końcu pan Piotr przystać niby

http://rcin.org.pl

musiał. Zaczął więc zwozić na grunt pana Samuela materjały. Wlekło się to powoli, z roku na rok, aż w końcu pan Piotr wyprowadził jednej wiosny pługi na ową łąkę i orać kazał. Pan Samuel dowiedziawszy się o tem, zaczął mu przedstawienia czynić, a gdy te nie skutkowały, wezwał opieki sądu. Zjechał komornik i rozstrzygnął, iż gdy pan Piotr mając na tej łączce swe materjały, od lat trzech używał tej łąki i lasku, więc prowizorycznie on ma pozostać w jej posiadaniu aż do rozstrzygnięcia sporu w drodze prawnej. Staruszek poczciwy tak się tem zgryzł, iż wkrótce umarł. Swoją drogą szedł proces graniczny z nieobecnym sukcesorem śp. pana Samuela, co także nie mało przykładało się do labiryntu Fedorowieckiego.

Taki to był początek żywota komorczniczego pana Piotra. Tak to on za młodu przygotowywał sobie przyszłość szczęśliwą, i tak sam siebie kształcił na doskonałego wzorowego i typowego rzecby można komornika, jakim ja go znałem w jego starszym wieku.

Był to już wówczas człowiek stary, łysy, nieco nawet pochylony, ale wyglądał czerstwo i rumiano, zdrowie miał silne, apetyt niezwalczony, żywy w ruchach, mianowicie oczy były pełne życia; oczy miał prawdziwie komornicze, bystre i przenikliwe, latające w koło ciekawe, jakby koniecznie chciały co wyszperać, odkryć i wyszukać. Pierwszy raz gdy przyszedłem do niego, było to niestety w smutnej dla mnie chwili. Straciłem był przyjaciela, jakich się ma mało w świecie, a straciłem go w wieku, w którym się jest jeszcze dosyć młodym, by uczuć taką stratę, a za starym na to, by mieć nadzieję zdybania na drodze dalszego życia podobnej przyjaźni w wiośnie życia i uczuć zawiązanej. Papiery tego przyjaciela mego były u komornika, a ja szukałem manuskryptu, który mu powierzyłem, jakiejś powiastki napisanej w chwili zapału, a szukanej teraz w chwili smutnej potrzeby pieniężnej, co każe zapał zamienić na chleb powszedni, na targ puszczać własne myśli i uczucia z głębi duszy dobyte.

Pan Piotr mieszkał zawsze w Stanisławowie, we własnym dworku, który urządził po swojemu, to jest szerokim, wysokim i kolczastym otoczył parkanem, gdyby fortecę jaką, do której z mnogich swych wypraw wracał zawsze zwycięzcą, bo nowym obciążon łupem. Była w parkanie brama, a w bramie była furtka; lecz i brama i furtka były szczelnie zamknięte i zaopatrzone dzwonkiem, który za pomocą drutu telegrafował komornikowi przybywających gości. I nie każdy wszedł do fortecy kiedy chciał, jak to sam doznałem.

Długo dzwoniłem to silniej, to powolniej, długo zaglądałem przez szczeliny parkanowe, zanim się zjawił jakiś posługacz komornika, w starym, wytartym a długim surducie, przypominający nieco z postawy i twarzy, lisio a pokornie ułożonej, owych diaków miasteczkowych. Jakoż jak się dowiedziałem, był on rzeczywiście rodzajem diaka, bo famulusem nieodstępnym pana komornika, posługującym mu przy wszystkich jego komorniczych wyprawach. Każdy komornik posiada takiego poufnego posługacza, jak każdy ksiądz ma swego diaka. A jakże często gdy ksiądz odchodzi z diakiem z domu, wchodzi doń komornik z owym famulusem!

http://rcin.org.pl

Na zapytanie moje, czy pan komornik jest w domu, famulus odpowiedział mi nie odpowiedzią, ale zapytaniem — kto jestem? czego chcę? i po co przychodzę? Jest to przezorność nader pożyteczna w życiu komornika, który nie dla każdego jest w domu, i musi mieć czas, by każdego którego przyjmuje, przyjął tak jak mu wypada. Komornik bowiem dla jednych zdrów i żwawy, przywdziewa nagle dla drugich szlafrok i twarz zchorowaną, a są nawet i tacy, przed którymi zmyka nawet do łóżka.

Wiedziałem ja o tem, niezrażony więc pytaniami, odpowiedziałem najobszerniej, bijąc najwięcej w to, że jestem zupełnie nową dla komornika figurą, niemającą żadnej styczności z jego rozpoczętemi już sprawami, a więc zdolną do bezpośredniego i nieprzygotowanego przyjęcia.

Zostałem wreszcie wpuszczony i przywitany wściekłem szczekaniem dwóch ogromnych brytanów, których budki i łańcuchy tak były zbliżone do siebie, że mały tylko dla przechodnia zostawał przesmyk pomiędzy temi istnemi Scyllą i Charybdą. Za parkanem był niby ogród, ale ogromnie zaniedbany, trawą zarosły, ni dla potrzeby, ni dla ozdoby. I na cóż wreszcie ogród dla komornika, który jest gościem w domu i dla którego stoją otworem cudze ogrody, udzielające mu skarbów swoich?

W domu było wszystko schludnie, zamożnie nawet, ale jakoś smutno i martwo. Uczucie jakieś zimne, powiedziałbym — nawet grobowe, przeszło mnie, a nawet woń całego domu wydała mi się grobową; był to zapach bijący z kancelarji komornika, zawalonej staremi szpargałami, butwiejącemi swobodnie. Żal rodzicielski ścisnął mi serce, gdym pomyślał w tej chwili o mojej powiastce, w takie towarzystwo wepchniętej.

Salon bawialny, przez który przeszedłem, w którym mi nawet chwilkę czekać kazano, był ubrany wytwornie i bogato, z pewną nawet przesadą sprzętów i widoczną pretensją do pańskości. Ale jakież to dziwaczne było przystrojenie! Sprzęty ładne i wykwintne, ale najróżnorodniejsze, kłóciły się między sobą widoczną różnicą swoich pochodzeń i swojego wieku. Choć uszykowana w pewnym ładzie ta zbierana drużyna, wyglądała na zbiór sprzętów zniesionych do kupy, i razem w jeden inwentarz komorniczy wpisanych. Jakoż po większej części sprzęty te miały inwentarskie pochodzenie. Był to połów z rozmaitych pośmiertnych inwentarzy, które przez ciąg życia swojego pospisywał pan komornik. Ruchomości te od sasa i od lasa sprowadzone, po części za bezcen na pośmiertnej licytacji nabyte, po części przymusowo ofiarowane przez dziedziców skarbiących sobie łaskę pana komornika, najsmutniejszą dla zastanawiającej się myśli przedstawiały całość. Wyrwane nagle i gwałtownie ze sta rozmaitych domów, gdzie im było swojsko i dobrze, gdzie były rodzinnemi pamiątkami, niejako członkami tych rodzin, których dzieliły smutne i wesołe chwile, zdało mi się, że nieprzyjaźnie spoglądają na się. Przykre uczucie zabolało mnie w sercu na te myśli, i choć stało się przykrzejszem, gdy oglądając się w koło, poznałem kilka sprzętów, które w innej chwili w innem znałem otoczeniu, i których widok

http://rcin.org.pl

rozbudził ten cały szereg smutnych myśli, jakie rodzi rozpamiętywanie niepowrotnej już przeszłości. Ileż razy patrząc na ten staroświecki zegar mojej ciotki, chciałem przyspieszyć bieg jego, by się raz drzwi otworzyły i wyszła ta najukochańsza ciotka, z dwoma więcej jeszcze podobno ukochanemi kuzynkami! Ileż mi ten zegar wybił godzin swobodnych i miłych w poczciwym domu, w takiem rodzinnem gronie przepędzonych! A teraz tu u komornika, który go zdobył po śmierci mojej ciotki, jakże smutno i jękliwie zdaje się klekoce swym przez wiek ochromionym biegiem... jakby piersi umierającego suchotnika. A toż krzesło staroświeckiego kształtu, wypłowiałym aksamitem obite, z swemi szerokiemi i miękkiemi ramionami! O mój Boże! wszakże na tem samem krześle siadywał stryj mój! A jam klęczał przed nim, pierwsze pacierza bełkotał wyrazy, lub pierwsze spamiętane wygłaszał rymy, patrząc z rzewnem prawie uszanowaniem na poważnego stryja jak i na poważne krzesło. I ty tu w ręku komornika, który tę smutną dla mnie a pamiętną odbył obsygilację! A miasto poważnej stryja mego figury, leży na twojem siedzeniu jakaś poduszka haftowana z ogromnej papugi wizerunkiem. A kto wie!... może ta poduszka wyszła także z obcego domu, wyrabiana niegdyś żywemi i białemi palcami, które dawno już w proch się pod ziemią rozsypały, wraz z twarzą schyloną nad robotą, której oczy niejedną może łzę uroniły, myśląc o tym oddalonym, dla którego palce haftują, a serce bije... I przyszła śmierć, porwała biedną robotnicę... i przyszedł komornik, a twoja robota nie dostała się w lubego ręce, a w długie, żądzą wyciągnięte, atramentem gdyby krwią zczerniałą powalane palce komornika!

Smutne moje rozmyślanie w bawialni przerwały głosy jakieś, które mnie dochodziły z przytykającej o salon kancelarji pana komornika. Już od famulusa dowiedziałem się, że pan komornik ma gościa u siebie, po którego dopiero odejściu będę mógł być przypuszczony do niego. Głosy mówiących z początku cichsze, coraz więcej wzmagały się. Rozmowa przybierała coraz więcej ferworu i zmieniła się w rodzaj kłótni.

— Ależ panie komorniku, to się nie godzi tak odwlekać — mówił głos jeden.

— Nie moja wina! nie moja wina! — odpowiedział głos drugi słodko-nudny i mdły.

— Pan komornik już przed rokiem odebrał dekret sądowy, aby przedsięwziąć detaksacją Podbrzeża pana Hnilickiego.

— Prawda mój mości dobrodzieju!... i zdetaksujemy... zdetaksujemy...

— Ależ rok cały!...

— Cóż ja winien, że mnie sąd obsypuje robotami... a musiałem przez trzy miesiące dwie sekcje objeżdżać, bom zastępował miejsce mego kolegi Żydziewicza, który zachorował.

— Lecz wczoraj jeszcze dałeś mi pan słowo honoru, że już dziś wyjedziesz do Podbrzeza.

— Dałem mój mości dobrodzieju; lecz cóż ja temu winien, żem nagle zasłabł. Wszak widzisz pan, że ledwie w ten szlafrok wlazłem,

http://rcin.org.pl

by acana dobrodzieja przyjąć... Widzisz gardło moje obwiązane... boję się, by to nie był wrzód...

— Tak nagła słabość... wczoraj jeszcze miałem przyjemność pić z panem komornikiem wino u Pasternaczki.

— Doskonałe winko, za które bardzo wdzięczny jestem acanu dobrodziejowi, ale boję się, czy nie to winko mi zaszkodziło.

— I to już jeżeli się nie mylę czwarty czy piąty raz.

— Ja bardzo podlegam gwałtownym napadom gardłowego zapalenia.

— Wierzę... ale cóż ja nieszczęśliwy mam robić... Cały mój kapitalik w ręku tego łotra Hnilickiego. Ja już drugi rok siedzę na bruku w mieście z żoną i pięciorgiem dzieci. Wierz mi panie komorniku, że mnie rozpacz porywa, patrząc na żonę i dzieci, które wkrótce będą chyba musiały pójść po żebrach!

Komornik westchnął głęboko i serdecznie i ozwał się głosem niby rozczulonym:

— Oj takie to teraz czasy!... ja sam jestem tak goły... że daję panu słowo moje, dziś posyłałem pożyczyć kilkanaście reńskich... i co pan powiesz na to... nie dostałem.. a na uczciwość gwałtownie potrzebuję... bardzo gwałtownie...

Nastała pauza, w czasie której zdało mi się słyszeć coś na kształt skrobania głowy.

— Jeżeli pan komornik tak gwałtownie potrzebuje... chociaż ja sam w potrzebie... i już złożyłem... koszta na drogę... i...

— A odebrałem! odebrałem... acan dobrodziej jesteś akuratny.

— Mógłbym jeszcze ze dwadzieścia reńskich ofiarować.

— O mój panie Ciężycki!...

— Ale żeby też pan komornik skoro wyzdrowieje, co może wkrótce nastąpić...

— Za dni parę spodziewam się...

— I zaraz pan komornik wyjedzie?

— Zaraz! najniezawodniej!...

— Ale pewnie!

— No kiedy daję panu słowo! jakem człek uczciwy!... powiadam panu.

Usłyszałem jeszcze przysięgi, wykrzykniki i uściski i pożegnania i zrobiło się cicho...

Aż mnie dreszcz przeszedł, bo ja przypadkiem znałem całą tę sprawę i wiedziałem, że ten Ciężycki, prawy i poczciwy człowiek, powierzył cały swój kapitalik Hnilickiemu, który bawił się narowem dość częstym u nas w pana i teraz jest w samej rzeczy wystawiony na nędzę prawie. Wiedziałem także, że dziś z rana był Hnilicki u komornika i publicznie żartował sobie z biednego Ciężyckigo, mówiąc, że darmo poił wczoraj komornika u Pasternaczki, albowiem będąc u niego z rana zaniósł mu kubana i pewien jest, że się detaksacja przeciągnie jeszcze po raz dziesiąty. A więc i od tego i od tego bierze, i zamożny ma słuszność, a biedny cierpieć musi. Gdy

http://rcin.org.pl

wyszedł do mnie komornik, musiał zapewne z twarzy mojej odgadnąć myśli moje, bo po pierwszych przywitaniach zagadał do mnie przybrawszy głos poufny, dobroduszny i rabuszny niby:

— Słyszałeś pan zapewne, jak mnie męczył ten szlachcic! taka to bieda być komornikiem; nikomu nie dogodzisz! Każdy chciałby być pierwszy, a tu się człowiek nie zdoła rozedrzeć. Ten Ciężycki to hulaka! przetrwonił majątek... niech będzie między nami, Bóg wie na co. To szczęście, że pan Hlinicki ratując mu resztki, wziął jego kapitał do siebie. I ten przez wdzięczność chce mu teraz wieś zlicytować! Nie moja to wprawdzie rzecz, i ja naturalnie z obowiązku mego smutnego muszę mu wieś detaksować. Ale przecież należy się ratować zacnych ludzi... tego mi sumienie moje zarzucać nie będzie. A uważa pan ten biedak Hnilicki ma inne jeszcze długi wekslowe podobno... jakby mu wieś zlicytowano, zabraliby mu wszystko... a tymczasem może przecie pogodzić się jakoś z żydami. Nie mogłem się oprzeć prośbom obywatela, ojca rodziny... no i przeciągnąłem jakoś... Ciężyckiemu to nie zaszkodzi, jeżeli poczeka jeszcze... Oduczy go to od hulanek niepotrzebnych. Naprzykład proszę pana, wczoraj na gwałt zaprowadził mnie na wino do Pasternaczki... Czy znasz pan szynk winny Pasternaczki?

— Znam ze sławy! — odrzekłem.

— Panie! jakie ona ma wina! — wyrzekł z zapałem, i mlasnął językiem z przyciskiem prawdziwego smakosza, a twarz jego przybrała wyraz najcieleśniejszego epikureizmu.

Już to ze zwykłej kolei rzeczy wypływa, że komornik staje się z czasem ogromnym pasibrzuchem i smakoszem niepospolitym, a mianowicie jeżeli mu zdrowie służy, lubownikiem szlachetnych trunków. Darmo wszędzie je, darmo pije, występują nawet dla niego i z kuchnią i z piwnicą; spiżarmię mu napełniają najwytworniejszemi specjałami, nie jeden antałek wytrawnego winka zawita mu w dom, a jak jest w miasteczku, rozrywają go sobie gościnni klienci jego i ciągną na wyścigi to do winiarni, to do sklepów korzennych; jakże w takiem życiu nie ma się komornik przyzwyczaić do smakoszostwa? W tym względzie jak w wielu innych, nasz pan Piotr mógł służyć za typ żołądka i głowy komorniczej. Apetyt jego należał do faktów przysłowiowych w okolicy, w której nieraz, gdy ją po komorniczych objeżdżał sprawach, trafialo mu się zjeść po dwa i trzy obiady, nie czyniąc uszczerbku ani śniadaniom, ani podwieczorkom, ani kolacjom. Obdarzony silnem zdrowiem, właściwą sobie chciwość mógł aż do żołądka bezkarnie rozprzestrzenić, i stał się też żarłokiem słynnym. Co do tęgości głowy za ludzkiej pamięci nikt nie widział pijanego pana komornika, chociaż wszyscy i wszędzie widzieli go doskonale pijącego. Gdyby nie lekkie ukameryzowanie nosa, niktby go nie posądził nawet o to. A przecież było to w okolicy i po za okolicą rzeczą znaną i sławną; pijąc przy obsygillacji jednego bogatego wujaszka, z żalu za nieboszczykiem, we czwórkę z dwoma wdzięcznymi dziedzicami i księdzem proboszczem, wysuszyli przez dobę całą beczkę wytrawnego zieleniaku. Napitek mianowicie bywał najczęściej słabą

http://rcin.org.pl

stroną komorników, których, chociaż zdaje się to niepodobnem, udawało się to czasem przy kufelku wywieść w pole. Nasz pan Piotr tem się ratował, że skoro pić zaczął, stawał się czuły, miękki, serdeczny, a hojny w przyrzeczenia aż miło; prawda że nigdy nie pamiętał nazajutrz, co się działo wczoraj, i że ślepo wierząc w to przysłowie, iż verba volant a scripta manent, zawsze przy pijatyce twierdził, że odzywa mu się w palcach ręki dawny gościec, tak silny, że nawet pióra nie jest w stanie utrzymać.

— Warto prawdziwie, abyś pan wstąpił kiedy do Pasternaczki! — zagadł jeszcze komornik, wprowadzając mnie do swojej kancelarji. — Mianowicie ma ona maślacz jeden ze smakiem, wonią i obrączką.. powiadam panu ut sic... Niech pan siądzie... a ja poszukam pańskiej powieści... chociaż to nie mam czasu. A co za kolor maślacza! powiadam panu... topione złoto! Warto byś pan kiedy skosztował! Gdzie też to może być pańska powiastka?... ja mam tyle papierów.

Choć młody ale już doświadczony, zrozumiałem o co rzecz idzie i zaprosiłem komornika na butelczynę maślaczu.

— Zrobię to dla pana — odrzekł komornik — chociaż muszę się spieszyć, bo dziś jeszcze wyjeżdżam.

— A gardło pańskie? — zapytałem w pół naiwnie a w pół serdecznie.

— A bo! — zawałał komornik z wyrazem żartobliwym i rozweselonym, — nadzieja maślacza.

I dla lepszego wytłumaczenia swego wykrzyknika, jął się pospiesznie ubierać, odrzuciwszy na bok szlafrok i owiązanie szyi z kilku chustek złożone. Po czem zaczął szperać po wszystkich fascykułach, szukając mojej powiastki w tej powodzi starych szpargałów. Fascykuły przerzucał jeden za drugim z największą obojętnością, pomrukując od czasu do czasu:

— To nie ten!... to nieboszczki szambelanowej... to nieboszczyka księcia — i tak dalej rzucał fascykułami nieboszczyków, jakby grabarz odrzucający stare trupy, by zrobić miejsce dla nowego. I żaden z tych nieboszczyków nie zmienił mu wyrazu, ni głosu, chociaż te wszystkie nieboszczyki przynieśli mu pewną korzyść. I cóż dziwnego! Któżby żądał sentymentalności od komornika! wszak i lekarz bierze z najzimniejszą krwią honorarium za nieboszczyka, do którego nawet nieboszczykostwa przyłożył się nieraz. Czyliż i ksiądz się nie rozczula, gdy ostatnich kilka kropli wody święconej rzuci na trumnę bogacza! Tak się to już dzieje na świecie; i dobrze się dzieje, jak twierdzi doktor Pangloss Woltera w najlepszym ze światów. A cóżby się stało ze światem, gdyby łzy rozczulenia weszły w obyczaj? rozpadłby się wilgocią zbutwiały przed czasem.

Podczas gdy komornik przerzucał nieboszczyków swoich, ja się rozglądałem po kancelarji pana komornika. Taż sama w niej pstrokacizna sprzętowa, jak i w salonie. Zauważałem tylko w dodatku, że pan komornik jest amatorem różnych zbiorów, których rozmaite próbki zajrzałem w tej jego kancelarji. Były bowiem w niej i szafki

http://rcin.org.pl

z księgami i to dosyć staremi, miarkując po pargaminowych oprawkach. Na szafach były ptaki wypchane i minerały rozmaite. Na miejscu zaś najwydatniejszem stała szafa wewnątrz zwierciadlana, a zewnątrz szklanna, w której porostawiane stały rozmaite naczynia staroświeckiego kształtu a wszystkie naturalnie z droższych kruszców, i kilka pudełek z rozmaitemi monetami i medalami, w których także przemagał droższy kruszec i kształt większy. Pomiędzy sprzętami tam złożonemi poznałem także dawnych znajomych, mianowicie srebrną cukiernicę i krzyż brylantowy. Do obu tych przedmiotów wieść powszechna łączyła dwa dowody arcyciekawe przemyślności i sprytu pana Piotra. Cukiernica była własnością biednej staruszki, wdowy nie zbyt nawet zamożnej. Owoż komornik zjechawszy do niej, gdy po skończeniu swojego urzędowania zabrał już z sobą, co tylko mu się zabrać udało, na samem wyjezdnem zajrzał i upodobał sobie oną cukiernicę.

Siadłszy zatem już do powozu, posłał prosić, by mu wynieśli cukru nieco, mówiąc, iż coś mu słabo. Gdy mu zaś wyniesiono cukier w srebrnej cukiernicy, znalazł za najlepsze wziąć cukier i cukiernicę... wio! dalej krzyknął na furmana. Co do krzyża brylantowego, ten także należał do wdowy; a po jej śmierci komornik nasz wraz z innemi kosztownościami wsadził go do pudełka i opieczętowawszy wziął z sobą, by odwieść wedle przepisów do sądowego depozytu. Lecz zanim zawiózł, zajrzał do jakiegoś złotnika poczciwego, zapewne hebrajczyka, który mu zrobił taki sam krzyż, ale z fałszywemi kamieniami. Fałszywy miał pójść do depozytu i dostać się później do niemało zdziwionych dziedziców, a prawdziwy spoczął w szafie pana komornika. Małe changer-passer, którego nikt oczywiście dowieść nie mógł.

Pan Piotr był bowiem jak to już zasłyszałem, antykwarzem całą gębą, lubownikiem zbiorów różnego rodzaju, bibliografem niepospolitym, znawcą starych ksiąg, starych rzadkości a mianowicie starych monet. Mania zbierania przyczepia się najłatwiej do komorników, i nie ma, nie było przynajmniej komornika, któryby nie miał u siebie jakiegoś zbiorku, czy to ksiąg rzadkich czy to monet, czy sprzętów czy rycin, a choćby i ptaków wypchanych lub minerałów ojczystych. Mania ta jest bardzo naturalna u komornika; przychodzi sama przez się, powodowana przez łatwość jaką ma dostania darmo tych wszystkich ciekawości, po tylu przez siebie opieczętowanych nieboszczykach. Dodawszy do tej łatwości chciwość, która gdy się rozpasa, staje się namiętnością nienasyconą, cóż dziwnego, że pan Piotr przy każdej sposobności i w każdym domie — a tych sposobności i tych domów, ileż mu się przez życie nadarzyło! — brał i tu i tam, brał wszędzie, co mu wziąć darmo się udało. Nic więc dziwnego, że nasz stary komornik, który zawód swój przez pół wieku odbywał, znalazł mnóstwo sposobności, z każdej chciał korzystać, i tym sposobem przyszedł do najrozmaitszych kolekcyj.

Wynalazł wreszcie powiastkę moją, w której brakowało kilku tylko arkuszy, co wszakże jak mi pochlebnie powiedział, nic mi nie szkodzi przy znanej łatwości mojej w pisaniu. Oddając mi ten skro-

http://rcin.org.pl

mny zwitek papieru, dla wytłumaczenia zapewne niedbałości swojej opowiadał mi z wielkiem upodobaniem per extensum, cały akt obsygilacji ze wszystkiemi szczczegółami i rozmaitemi wydarzeniami, po zmarłym przyjacielu moim. Łatwo pojąć jaką mi tem zrobił przyjemność, którą jak pigułkę przyjąć bez skrzywienia musiałem.

A widząc że się rozglądam po szafach, raczył mi wszystkie swe zbiory pokazać, z notatami historycznemi ich pochodzenia. Opowiadać dzieje obsygilacyjne i chwalić się zdobyczami żywota swego, należy zwykle do pasyj komorniczych. Dziwić się temu nie należy; wszak każdy lubi się tem chwalić, co w życiu zdziałać potrafił. Niema tak skromnego człowieka, któryby w starszym mianowicie wieku nie lubił rachować liść po liściu wszystkich przez życie zebranych wawrzynów. Spieszył się wszakże z opowiadaniami swemi, tłumacząc mi, że ma jeszcze dziś odbyć kilka komorniczych komisyj, przyczem pokazał mi na papierku zrobiony spis kilku wiosek w sąsiedztwie, które wszystkie dziś jeszcze radby odwidzieć i pokończyć swoje jakie miał w nich zajęcia. Jakoś gdyśmy wyszli na ganek dworu, stał już koczyk staroświecki, w którym także zdawało mi się poznać dawnego znajomego, zaprzężony czterma końmi, doskonale utuczonemi.

— Pan komornik po pańsku jeździ; czterma końmi! — ozwałem się.

Nic mi na to nie odpowiedział, ale uśmiechnął się uśmiechem wielce znaczącym. Było to z mej strony pytanie złośliwe, bo nie byłem już tak naiwny wówczas, bym nie wiedział, że cztery konie należą do zwyczajów komorniczych. Wszakże gdzie zajedzie komornik, nietylko jego i famulusa, ale i konie muszą karmić, i to karmić doskonale i dać jeszcze owsa na drogę. Cóż to więc szkodzi komornikowi, że biedny szlachcic, do którego zjedzie, karmi mu cztery zamiast dwóch koni. Jest to jeden z kaprysów komorniczych, czyli raczej wybryk kapryśny, właściwej mu chciwości. Stanęliśmy chwilę na ganku. Famulus zapakował cały przybór komorniczy, z fascykułów kilku i z starego a wielkiego pularesu z papierem, kałamarzem i piórami złożony; poczem komornik dał mu dyspozycję, by na jednej z przedmiejskich dalszych ulic czekał na niego.

Wyszliśmy nareszcie na wino. Choć się spieszył, niemniej przeto wypił sam na siebie trzy butelki owego maślaczu doskonałego i doskonale drogiego. Zaprawdę tak był drogi, że mi przychodziło mimowolnie na myśl czy komornik nie jest w pewnej współce z Pasternaczką, suchą, żywą i wymowną żydówką. Wszakże nie należało to do niemożliwości, że pani Pasternaczka musiała komornikowi płacić pewny haracz od każdej butelki, która pęka dzięki amfitronom komornika. W czasie wina, rozpowiadał mi jeszcze nie mało o swoich komorniczych dziełach. Było to opowiadanie suche, smutne, martwe, trupem pachnące. Pożegnaliśmy się wreszcie.

Dziwiłem się nie pomału, że w czasie całego tego opowiadania nie wspomniał ani razu o rodzinie swojej. Milczenie to z jego strony było naturalne i wiele znaczące. Czyny komornicze rozpowiadał, bo, jakkolwiek z ścisłą moralnością niezgodne, uważał je za czyny wielce

http://rcin.org.pl

naturalne i godziwe, bo przecież urzędowe. Czynów ekstraurzędowych, w cichości rodzinnej popełnionych, nie chciał opowiadać; może się ich wstydził; wszak i pan Piotr mógł mieć przecie rodzaj sumienia? Jakoż nie miał się czem chwalić zaprawdę; zdarzenia jego rodzinne nader były smutne, a rola jego w nich szkaradna.

Wtenczas gdy go poznałem, był on już wdowcem, i to od dawna. Biedna Frania za nadto go kochała i za nadto była poczciwa, by nie pękło jej serce z żalu na widok obojętności mężowskiej i jego tak domowych jako i komorniczych postępowań. Umarła biedaczka na suchoty... biedaczka powiedziałem, ale za życia!... szczęśliwa że umarła! Dzieci nie miał nigdy pan komornik. Wszystkie dostatki lały mu się w dom oknami i drzwiami; tego błogosławieństwa opatrzność mu odmówiła. Bo jest opatrzność, którą darmo przeczymy i ta opatrzność nie chciała zapewne, by w dzieci nie przeszła choćby jedna kropelka jego krwi, a z nią jego własności moralne. Ze starszemi siostrami nigdy nie żył... i ledwie wiedział, gdzie żyły wraz z matką, która się do nich przeniosła; ledwie wiedział, gdzie wszystkie pomarły, naznosiwszy się za życia nędzy nie mało. Szwagrowie darmo się upominali u niego o resztki ojcowizny: nic nie dał, oparty na formalnościach, któremi obmotał majątek rodzinny.

Owe dwie wioski szwagrów, z których miała być spłacona jego żona, zawikłał umyślnie w taką massę tabularnych procesów, że w końcu wszyscy przystali na ich sprzedanie. Głupi szwagier nie wiele dostał, bo jak już wiemy o nim, co do rachunków znał się tylko na mierze końskiej. Wyniósł się gdzieś aż w krakowskie i w r. 1830. puścił się w podróż i przepadł gdzieś bez wieści. Z młodym szwagrem inny, tragiczniejszy był koniec. Biedna Rózia nie kochała męża, ale była dlań dobrą i poczciwą żoną. Młody mąż nie długo wytrzymał nudy życia domowego i zaczął robić rozmaite wycieczki. Tymczasem ów młody przyjaciel Rózi, ów znany nam Józio, do którego już serce pierwszem zadrżało uczuciem, wrócił do kraju. Łatwo pojąć jakie było ich zdybanie. Biedna Rózia znosiła podwojny krzyż! a do tego dokuczały jej nie mało ludzkie języki. Czy prawdę czy nieprawdę głosiły, nikt z pewnością nie wiedział, że pan komornik, któremu dla znanych granicznych sporów bytność pana Józefa zawadzała, póty judził męża rodzonej swej siostry, póki raz po pijanemu nie przyszło między nim i Józefem do awantury. Mąż Rózi zginął w pojedynku, a Józef porzucił ojczyznę na zawsze. Po długich tułactwach głucha wieść doniosła, że zginął w Algierze.

Rózi rozpacz była okropna i szczera. Bóg tylko wiedział, co się w jej sercu działo i jak jej życie obmierzło... ale nie umarła, bo zostało jej dwie sierot małych i kwilących, tym dla matki najwymowniejszym dziecka językiem. Jej się najwiecej jakoś zostało z rozbitego majątku, i osiadła z dziećmi w Stanisławowie.

Z starszych braci pana komornika jeden tylko wrócił do ojczyzny. Michał zginął pod Waterloo, a Franciszek straciwszy nogę pod Berezyną, dostał się do niewoli. Po długich cierpieniach, więzieniach

http://rcin.org.pl

i pieszej wędrówce, wrócił do ojczyzny na kuli, w nędzy, bez nadziei, bez zdrowia i sposobu do życia. Komornik pokazał mu najdowodniej z rachunków i papierów procesowych, że z Fedorówki ani grosza się nie zostało i nie dał mu ani grosza pomocy. Biedny kaleka mieszkał u siostry i dzieciom jej rozpowiadał dzieje tych wojen ogromnych, rozpowiadał te marzenia i nadzieje jakie przedumał po tych wszystkich biwuakach europejskich.

Majątek komornika rósł oczywiście coraz więcej. Fedorówka z ową granicą po za krąglak brzozowy, stała się jego własnością, a gdy pan Józef wyniósł się z kraju, komornik, najlepszą część z rozbitku dwóch wiosek szwagrowych wyniosłszy, dokupił wioskę pana Józefa i prócz tego liczne zbijał kapitały.

Taki był żywot pana komornika, a żywot był długi, bo późnego bardzo doczekał się wieku. A jakaż była jego śmierć?

Śmierć jego uprzedziło zdarzenie dość pocieszne samo przez się, które przyłożyło się nie mało do tej jego śmierci. Starozakonny jakiś Icek, który komornika w rozmaitych sprawach zapewne pieniężnych potrzebował, miał śliczne dwie krowy; komornik patrząc na nie, uczuł pożądliwość do doskonałej zapewne ich śmietanki. Jakoż wmówił i wymusił u żyda, że mu ten obowiązał się dawać jeden półkwaterek śmietanki i to darmo. Przyjaciele i koledzy pana komornika dowiedziawszy się o tem, zrobili sobie facecję, i w potocznej przy komorniku wiedzionej rozmowie, puścili tego bąka, że owe krowy zostały pokąsane przez psa wściekłego.

— I wyobraźcie sobie, że ten niepoczciwiec mimo to przedaje mleko tych krów, może zatem wściekliznę mnóstwo potruć ludzi.

Łatwo pojąć jak skoczył stary komornik z miejsca i za brzuch się porwał, przekonany, że już czuje skutki zatrutego mleka. Może więc i ten przestrach nadwątlił siły starca, ale nie długo już potem żył nasz komornik.

Umarł wkrótce dość nagle i to na jeden ze swych licznych grzechów, właśnie na najmniejszy. Umarł na obżarstwo. Rózię mieszkającą w Stanisławowie odwiedzał dosyć często i zawsze jej dowodził, że ona jemu los swój winna, a nareszcie przebąkiwał o bogatem dziedzictwie jakie po jego zrobi śmierci. Z tych powodów zawsze coś wytumanił od siostry, chociaż tyle od niego uboższej. Mianowicie kazał sobie gotować rozmaite u niej przysmaczki i wymówił sobie jako podatek regularny, co tydzień parę bochenków chleba świeżego, który namiętnie lubił. Owoż w jakiś dzień nieszczęśliwy objadł się świeżego chleba i w godzin kilka umarł. Dziwne przeznaczenie, by komornik co tyle przez życie swe połknął i strawił, umarł na niestrawność?! Jestli to Nemezys... jestli to szyderstwo losu?

On co tyle poobsygilował ludzi, został nawzajem obsygilowany przez młodego kolegę swego, który w jego może wyuczony szkole, mnóstwo kosztowności powynosił z domu nieboszczyka, które, jak to się dzieje zawsze, przepadły na wieki. Słuszny i szczególny odwet, do którego dobrze jakiś żartowniś okoliczny zastosował stare przysłowie: przyszła kryska na Matyska!... Pomiędzy różnemi zbiorami

http://rcin.org.pl

jakie znaleziono po śmierci jego, najszczególniejszym był zbiór świec woskowych, w ogromnej pace złożonych, do których nieboszczyk przychodził bardzo dowcipnie i prowadził niemi rodzaj handelku. Gdzie tylko przyjechał na urzędowanie, żądał zawsze dwóch świec woskowych, a dwóch łojowych dla famulusa. Łojowemi palił w swym pokoju, a woskowe chował. I jeżeli się komisja dni kilkanaście przeciągnęła, rzecz ta ze świecami powtarzała się codzień, co oczywiście tworzyło dosyć niemały, a niewinny zupełnie zarobeczek.

Ogromny majątek oddziedziczyli po nim synowie Rózi; są dziś paniczami, na drodze do tytułów i znaczenia. Oczywiście ani przyznają się do wuja komornika!...

Kończę ten szkic, choć po części na prawdziwych zdarzeniach oparty, jednakowo nikogo osobiście nie tyczący. Nie powiem, żeby wszyscy komornicy byli tacy, przeciwnie, znałem wielu uczciwych i powszechnie poważanych. I właśnie od takich to zebrałem moje data do tego szkicu. Że zgrozą mi o swych kolegach niektórych opowiadali...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WIELKIE NADZIEJE.

(pierw. wyd. 1855.)

W małej wioseczce nad Sanem gospodarował od dziada pradziada wielce poczciwy, a zatem wielce goły podstarości. A był to podstarości vulgo ekonom, jakich już nie ma u nas, a jakich dawniej posiadała każda niemal wioska polska, których gniazda od niepamiętnych czasów jak one gniazda bocianie wywodziły się tuż przy dworze pańskim, pod skromną strzechą ekonomskiego dworu. Darmo ich szukać z ich twarzami rubasznemi, policzkami czerwonemi, cybulastemi oczyma, sumiastemi wąsami, a kapotami kroju niesłychanego: cały ich ród wyginął u nas. I mniejsza o zatracony typ ich powierzchowności, ale szkoda, wielka szkoda tych serc poczciwych, przywiązanych do swego dworu, do swej wioski, do swych chłopków, a mianowicie do swych panów, którym służyli z ojca i dziada poczciwie, o ile człowiek może być poczciwy; trzeźwo, o ile pozwalały na to funkcje ekonomskie na zmiany powietrza wystawione i mnogie okazyjki kiermaszowe i jarmarczne, a wiernie, o ile się zgadzało z dobrem własnych koników, własnego obornika i własnych świnek. Ale z tem wszystkiem pilnowali oni i pomnażali w pocie czoła dobro pańskie. Niestety!... i dawni panowie i dawni ekonomowie w grobie!... gospodarstwo przemądre!... chłopek goły!... a wioski zadłużone. Lecz nie o tem mowa.

Ów tedy o którym mówię podstarości, miał błogosławieństwo Boże w domu, które mu przybywało co roku mnogiemi dziećmi. Co rok, panie, to prorok, i to niestety, same dziewki!... Aż nareszcie narodził mu się syn. A że w tym samym roku i paniczowi, który świeżo odziedziczył po rodzicach urodził się synek, którego nazwano Szczęsnym przez wzgląd wielce polski, że sama pani była w kuzynostwie z Potockimi, więc i naszego bohatera kazał ojciec podstarości ochrzcić Szczęsnym.

I był on szczęsny, gdy na niezamieconym ojcowskim dziedzińcu przewracał się ze starym Zagrajem psem, Murcią kotką i mnogiemi stadami kwaczących kaczek i wrzeszczących gęsi. Szczęsnym był póki brał placki matczyne i szturkańce ojcowskie, wygłaskane sowicie pieszczotami rodziców i starszych sióstr, które wszystkie Szczęśniunia

http://rcin.org.pl

kochali całem sercem, a podziwiali biednemi swemi a nieuczonemi głowami.

— To szatan nie bęben! — mówił ojciec, wyciągając go z kałuży zawalanego po uszy.

— To mi frant — mówiła matka, obcierając pyski synka zawalane śmietanką, którą gdzieś wyszperał i sprzątnął.

— Jaki on zabawny! jaki dowcipny! — krzyczały siostry, bite wszystkie przez niego mimo starszego wieku i przeważającej liczby.

Szczęsnym był, póki był dzieckiem, póki był chłopięciem! I któż z nas nie był Szczęsnym w owym wieku, który niestety przemija tak szybko, jak ów kwiat wiośniany a śnieżny na drzewie, pierwszą burzą majową porwany i poniesiony gdzieś tam w przepaść, tam gdzie idzie jak mówi wiersz ulubiony: „i kwiat róży i kwiat wawrzynu!“ Szczęsnym go okrzyczeli, gdy młody panicz, któremu we dworze wszyscy ustępywali, zapragnął i ekonomskiej do swej paniczowskiej zabawy.

Biedny Szczęsny! pierwsze on we dworze gorzkie przelał łzy, gdy dostał odlewane plagi od pana dyrektora, za stłuczony jakiś wazonik z mirtem panny garderobiany, stłuczony na prawdę przez samego panicza. Poczciwy podstarości, gdy się mu syn poskarzył, poskrobał się w głowę, poradził się Małgosi, w kieliszeczku ulubionej piołunkówki poszukał natchnienia i w końcu głaszcząc synka czerwone pyski, wyrzekł z serdeczną szczerotą:

— Słusznie mój Szczęsny!... ot i lepiej, żeś ty dostał niż panicz!... To to my od dziada u nich żyjemy, ich chlebem żywimy się i za nich pracujemy...

— A potem i w katechizmie stoi! — dodała matka, mając łzy w oczach — że rószczka popędza rozum do głowy.

— A na ludzi wyjdziesz! — mówiły starsze siostry.

— No! no! nie płacz Szczęśniuniu — mówiły młodsze siostrzyczki. I wszyscy na wyścigi obcałowali chłopca, a obkarmili tak sowicie świeżemi podpłomykami z masłem, aż chłopak z żalu się uspokoił.

— Ucz się tylko chłopcze! — dodał ojciec, poważnie pokręcając wąsa — masz zdolności, będziesz uczonym człowiekiem.

Szczęsny westchnął za czasami mienionemi w kałuży z Zagrajem i Murcią, na ojcowskiej gruszy z chłopcem gumiennego.

Te marzenia o świetnej przyszłości Szczęsnego były słabą stroną poczciwego podstarościego. Widać, że już ród podstarościch był na schyłku, kiedy im pan Bóg odebrał dawny ekonomski rozum, którego trzymając się całemi pokoleniami z ekonomów na ekonomów przechodziły. Biedny Szczęsny zaczął się uczyć, a co najgorzej, że istotne miał zdolności, musiał się uczyć i za siebie i za panicza, który jak przystało na karmazynowego panicza, był wielkim nieukiem.

Zapomniałem bowiem powiedzieć, że ojciec panicza miał pomiędzy antenatami jednego czy dwóch kasztelanów drążkowych, a nawet coś nakształt starosty grodzkiego, co oczywiście wystarczyło mu do starania się o grafostwo.

http://rcin.org.pl

Szczęsny przeklinał swoją dolę, ale wszyscy nie mogli się nadziwić jego szczęściu, które go postawiło w tak zacnym domie, gdzie darmo pobiera edukację. O tem wielkiem szczęściu mówił wielce a szeroko i graf ze swemi grafami, i panicz, i guwerner, i panna garderobiana, i kamerdyner i lokai zgraja. A wszyscy mówili z przycinkiem pogardy, stosującej się do jego pochodzenia ekonomskiego. I wszystkim musiał Szczęsny odsłużyć to szczęście i rozmaitemi, i najniższemi usługami, i mnogiemi szturkańcami i najrzęsistszem łajaniem. Szczęsny to wszystko znosił, bo musiał. Ze żwawego chłopaka zeszedł na potulnego nieśmiałka. Aż nakoniec nauczywszy się mnóstwo tego to owego, tak zgłupiał mocno, że sam uwierzył, że jest Szczęsny, a przynajmniej na drodze do samego szczęścia, którego się spodziewał dochrapać za pomocą nauk.

Było wiele płaczu w chacie ekonomskiej, gdy Szczęsny wyjeżdżał z paniczem i panem guwernerem do Przemyśla do szkół. A co tam gorących pocałunków, a łez gorętszych a najgorętszych modłów i życzeń spadło na białe i otwarte czoło Szczęsnego!... Gdyby się uiściły, byłby zapewne Szczęsnym całe życie pozostał. I wszystko się tuliło koło Szczęsnego, i domownicy i zwierzęta domowe! wszystko i wszyscy żegnali Szczęsnego... Przykro biednemu, przykro było, ale zarazem i miło. Bo czuł się kochanym, ale tak kochanym, jak się raz tylko jest kochanym w domu rodzinnym, którego wszystkie kąty i ściany nawet mają zdaje się, jakiś swój język tajemniczy, pieszczotliwy!

To była dla Szczęsnego ostatnia szczęsna chwila. Ilekroć mu później stawała pamiątka przed wzrokiem duszy, biedny Szczęsny wyciągał ramiona, by raz jeszcze te wszystkie sny rodzinne uściskać!... Nadaremnie!... jego ręce ściskały zimną próżnię rzeczywistości.

I wszyscy po pożegnaniu owem pocieszali się nadzieją, że Szczęsny już jest na drodze do szczęścia przyszłego, znaczenia i wziętości! O głupie nadzieje ludzkie! wyście skrzydłami Ikara przyprawionemi! Unosicie w błękit, w przestrzeń! w niebo! póki nie wtrącicie w przepaść! I Szczęsny sam zaczął już marzyć, a stawiać budynki nadpowietrzne cudnej architektury! prawdziwe zamki na lodzie, bo pod niemi jest lód rzeczywistości najzimniejszy i najzdradliwszy, lód ludzkiego egoizmu! Budujże! a buduj co na nim! w pierwszą lepszą porniesz plonkę. A uczył się okrutnie nasz Szczęsny. Zdolności miał istotne, ale na nieszczęście nie były one w miarę jego położenia jako syna ekonomskiego, któremu nie wolno mieć wielkich zdolności. I słusznie, bo czyliż to nie przewrotny byłby świat, żeby taki ekonomczuk śmiał mieć więcej rozumu od grafowskiego paniątka?!

Szkolne czasy Szczęsnego w Przemyślu przeplatały i inne zajęcia, które mu co chwila zawadzały i w urojeniach i w rzeczywistości. Co mu pomagały eminencje szkolne, kiedy trzeba było czyścić buty i panicza i guwernera, i biegać za sprawunkami po mieście i drugim paniczom usługiwać, gdy przyszli w gościnę. Kto wyliczy te wewnętrzne męki chłopca biednego, na które składa się oburzenie i wstyd, własne i cudze pogardliwe a serdeczne uwagi i śmiechy! Jakiego to trzeba hartu, by z takiej szkoły wyjść z samoistnym

http://rcin.org.pl

i dzielnym charakterem; z takiego wychowania muszą się wyrodzić owe smutne kalectwa moralne, które się później odzywają w takich, jak ich tam potem nazywają perwenjuszach, którzy za pomocą pracy i wytrwałości, gdy wyjdą na urzędników, nie mogą zapomnieć owych mąk, i gdy się zdarzy sposobność, sowicie odpłacają się tym, którzy im dopiekali za lat młodych.

Obejrzyjmy się każdy z osobna na nasze całe życie, a zdybiemy nie jedno zastosowanie do tego, o którym mówimy przykładu. I możnasz pierwszy na nich rzucić kamień? a jeżeli rzucić już! na kogoby po słuszności rzucić wypadało?

Nim skończył gimnazjalne szkoły w Przemyślu, miał Szczęsny kilka jeszcze chwil niepowrotnych. Nie mówię już o wakacjach, o tych złotych, cudnych, uroczych wakacjach, o których się marzy naprzód, i marzy potem tak cudownie, a używa tak rozkosznie. Ale owe przesyłki rodzicielskie z domu; te szynki woniejące, te placki jakby złotem lśniące, owe pierogi pulchne a pełne, i w tem wszystkiem woń dawna, znana, woń domu rodzicielskiego, tak dalece, że zda się widzieć w tych przesłanych darach ślady palców matczynych i rączek lubych siostrzyczek.

I w samem mieście miewał on przyjemniejsze epizody! Pan Szczęsny był ładny chłopiec, ale ładny całą gębą, biały, rumiany, z czarnemi włosy, a okiem ciemnem, lśniącem, z czołem wyniosłem i otwartem, na którem godnaby spocząć myśl wyższa, myśl jak niektórzy jego koledzy powtarzali — myśl arystokratyczna! Głupcy! gdyby ich kto spytał, co pod tem rozumieją! Było mu z tem dobrze i niedobrze! W mieście znali go i lubili niektórzy a mianowicie niektóre, zowiąc go ładnym chłopcem. Dwie nawet stare panny, córki zmarłego inżyniera, lubowniczki niepospolite mitologji, w której niestety mimo najlepszej chęci żadnej już roli odegrać nie mogły, przezwały go Antynousem!

Było mu także nie dobrze z tem, bo najprzód chłopiec nabierał próżności i dumy, i w chwilach samotnych marzeń wierzył na prawdę, że jest przeznaczony na coś wielkiego, kiedy go już przyroda sama swym palcem jako ulubieńca swego naznaczyła. A co najgorzej! że ta jego powierzchowność gniewała ogromnie panicza, który był bardzo brzydki! Wprawdzie grafowie, guwerner i inne duchy pochlebne mówili i powtarzali, że panicz ma piękność arystokratyczną, to jakieś coś, co wygląda na niby jakieś tam piętno, czy pieczątkę wyższego arystokratycznego pochodzenia. To piętno czy pieczątka spoczywała głównie w chudości, karłowatości, zapadłości, przeciągnieniu i długości policzków i ust. Wprawdzie matka, która wojażowała po różnych kątach, twierdziła, że synalek miał wielkie podobieństwo do jakiejś ogromnej znakomitości europejskiej, którą poznała u wód jakichsić, i o której tak tylko z pewnym tajemniczym przyciskiem rozpowiadała, i inaczej rozpowiadać nie mogła, bo taż znakomitość raczyła się z nią poznać i żyć inkognito w pewnym dyplomatycznym zmierzchowym półcieniu. Ale mimo to wszystko kusa była rada i próżne naciąganie. Młody panicz był solennie brzydki! Łatwo pojąć, jak go irytował ładny ekonomczuk, który zdawał mu

http://rcin.org.pl

się przedrzyźniać swą twarzą na wyścigi z zwierciadłem. To też mścił się na nim, i drwinkami i przemówkami, a jak się udało i kuksami. Tymczasem gimnazjum pokończyli obaj Szczęśni. Trzeba było jechać do Lwowa na uniwersytet.

Któż zdoła opisać to drugie jeszcze boleśniejsze pożegnanie! pożegnanie miasteczka blizkiego, wioski rodzinnej! W Przemyślu jakoś mu było milej, bo przynajmniej bliżej domu, przynajmniej nad Sanem, nad tą swoją rzeką rodzinną, po której dorastający młodzieniec wysyłał ku chatce rodzinnej swe serdeczne myśli i westchnienia! Pożegnanie bolesne, które otwiera pierwsze pole do tych pożegnań bez końca, z jakich się składa życie całe człowieka. Tu już zaczyna tę podróż w świat, w życie prawdziwe! żegnajcie marzenia najmilsze, bo najpierwsze.

Biedny Szczęsny! żebyż przynajmniej był mógł pożegnać wszystkich, jak się z nimi raz pierwszy żegnał. Niestety! przez lat kilka wiele się zmieniło. Stara matka spoczywała na wiejskim cmentarzu pod zieloną darnią mogiły. Siostry rozbiegły się po świecie: te za mąż, te po służbach. Stary podstarości posmutniał, posiwiał i milczał, patrząc na ciche i puste starej chaty kąty. I czy ich kiedy zobaczy jeszcze! czy zdybie w życiu! Pożegnać dość łatwo, a witać jakże trudno! A gdy zdybie, gdzież ono dawne uczucie wiośniane? Jak mech z owocu lub kwiatu zwiały je i porwały burze rozmaite. Chciałbyś wyczarować z siebie świeżość tych uczuć dawnych? Nadaremnie! Wymęczysz jeno smutne i przykre skrzywienie, karykaturę chwil minionych!

Bądź zdrów Przemyślu stary grodzie, bądź zdrów Sanie rzeko moja! bądźcie zdrowe fale wartkie i srebrzyste! wołał Szczęsny rymem i nierymem. Bo Szczęsny, kierując się na coś wielkiego, uderzył nieraz i w lutnię wieszczów, próbując rozmaitych przygrywek! Przyszłość bowiem zasłoniana, kto wie? może wypadnie zostać dla ojczyzny poetą, wieszczem... prorokiem latać przed ziomkami na pegazie, nucąc im pieśni bohaterskie!

W stolicy zaszła wielka zmiana w życiu Szczęsnego!... Że korzystna, oczywiście wszyscy krzyczeli, powtarzając na wyścigi:

— Jaki szczęśliwy ten Szczęsny!

Młody graf znienawidził naszego Szczęsnego; nie mogąc wszystkich zwierciadeł wypędzić z domu, chciał przynajmniej wygonić Szczęsnego. Lecz że graf i podobny do dyplomaty, więc nie zrobił tego po prostu, lecz z pewnemi formami czysto pańskiemi. Zarekomendował go łaskawie za pomocą starego grafa do pana barona, z którym żyli z całą rodziną w wielkiej przyjaźni w oczy, a obmowie zjadliwej po za oczy. Pan baron, zapewniony przez grafa, że dosyć będzie Szczęsnego ubrać i dać mu strawę, bez płacenia gotówki, wziął go za korepetytora do trzech młodych baronów, pełnych nadziei paniczów!... Jakże go tu nie mieli nazywać szczęśliwym koledzy, którzy z Przemyśla piechotą przydryptali do Lwowa i nie wiedzieli gdzie się zaczepić, aby codzienny wygrzebać chleb!...

Szczęsny inaczej sądził o szczęściu swojem. Już to podumniał trochę, gdy wszedł do pałacu baronowskiego, gdzie było wszystko

http://rcin.org.pl

po baronowsku, a więc świeciło, łyskało i brzmiało mile po wierzchu. A wszędzie herbów co niemiar, a fantazja i dmuchanie pańskie, a liberje służby, a dywany na wschodach!... Jakże nie miał podumieć biedny ekonomczuk? A była też i chwila prawdziwego użycia, gdy z rozkazu barona pojawił się jakiś stołeczny mistrz sztuki krawieckiej, by całkiem nowe sporządzić szaty dla Szczęsnego, stosowne do domu baronowskiego i do towarzystwa trzech młodych baronów, z którymi przecie korepetytor nowy w swych starych przemyskich szatach nie mógłby obcować.

Jakkolwiek filozofowie i moraliści, i my wszyscy za nimi powtarzamy, że ubiór człowieka nie stanowi, każdy z nas w duszy jest dobrze przekonany o tem, że każdego sądzą powierzchownie po jego powierzchowności, i idąc za przysłowiem: Jak go widzą tak go piszą. Strój to próżność zapewne, a przecież z jednej strony niemiło jakoś rozmawiać na ulicy z człowiekiem źle ubranym, chociażby pod tym zaniedbanym futerałem krył się jakikolwiek sławny i uczony mąż. A z drugiej strony, każdy przyzna z własnego doświadczenia, że jemu samemu z nową suknią przybyło i rozumu, i wiadomości, i nawet istotnej wartości wewnętrznej. Pewność podobania się tworzy i urozmaica w każdym człowieku sposoby podobania się.

Nasz więc Szczęsny miał chwilę pełnego szczęścia, gdy w nowe i modne przybrany suknie, w całej swej naturalnej urodzie przeszedł się po stolicy i wszędzie zdybywał uprzejme i czułe nawet spojrzenia przechodniów, którzy nieraz stawali na ulicy mrucząc półgłosem o ładnym chłopcu. A ten chłopiec miał lat już siedmnaście, i podrzędną w życiu odgrywając rolę, za nadto często musiał żyć życiem przedpokojowem, by z niego nie był zaczerpnął niejedną naukę stosowną do wieku jego. To też myśli jego tak mu się piętrzyły w głowie, jak owe góry przez olbrzymów układane, by niebo zdobyć, aż czołem zdawał się już trącać o niebieską powałę. Wnet wszakże wrócić musiał do chłodnej rzeczywistości.

Młodzi baroniki byli daleko bogatsi od młodego grafa, a więc mniej jeszcze uczyć się chcieli. Woleli drwić z korepetytora, płatać mu ciągle psikusy, wykrzywiać się mu, języki wystawiać i w końcu skarżyć przed rodzicami, że nic ich nie uczy, że się źle obchodzi, że jest straszny gbur i t. d.

A przytem chociaż w domu baronowskim wszystko było świetne, było to tylko złudzeniem optycznem. Szczęsny mieszkał na poddaszu, w lecie podobnym do owych więzień ołowianych w Wenecji, skwarnych jakby niebo tropikowe, w zimie zaś przypominającem powietrze syberyjskie. Jeżeli gości nie było, jadał przy pięknym stole srebrami zastawionym, ale wstawał głodniuteńki, bo stary baron z tradycji rodzinnej zaczerpnął tę wielką prawdę, że można się żywić lada czem, i że nic tak nie kosztuje jak dogodzenie żołądkowi. W dzień wystawy, gdy byli goście, ekonomczuk jadał z fagasami strawę przedpokojową, która się w stolicy stała sławną przez ogadujących lokai, co tydzień z baronowskiej służby uciekających. Przytem fumy pańskie i państwa paniczów stawały się biednemu Szczęsnemu codzień nieznośniejsze. Jednem słowem, nasz bohater nic nie

http://rcin.org.pl

dostawał u baronostwa, prócz stancji i protekcji, objawionej pogardą i poniżeniem.

Mimo to uczył się zawzięcie, brnął po uszy w chaosie filozoficznym, i czuł się tak mocnym w tej mądrej nauce, iż poczuł wreszcie w sobie widoczne powołanie zostać luminarzem europejskim w tej ciemnicy filozoficznej, po której ludzie brodzą od wieków na prawo i na lewo, grając w ciuciubabkę z wszystkiemi prawdami, pewnikami, teorjami i utopiami, jakie tylko dają się wyprowadzić za pomocą rogatych i innych sylogizmów. Nie był tylko w zgodzie z sobą, czy zostanie po prostu uczonym, piszącym dzieła sławne na świat cały, czyli też jako profesor otworzy katedrę europejską, do której jak ongi do Aten zbiegać się będą uczniowie całego świata. To pewna, że zostanie wielkim człowiekiem. A więc dłużej nie mógł wytrzymać u barona. Porzucił go i puścił się w życie stołeczne o własnych siłach.

Przyszły wielki człowiek musiał szukać lekcji i uczyć abecadła małych przedmiejskich lampartów za kawałek suchego chleba. Ta pedagogika w małym formacie jest jedną z najokropniejszych męczarni, które opisywać nie trzeba, bo ci co jej doznali, znają ją aż nadto dobrze, a ci co jej nie potrzebowali, patrząc z góry na biedaków goniących po lekcjach, nie chcą ich biedy rozumieć, jak zwykle syci głodnych nie rozumieją. Jest to zajęcie najniewdzięczniejsze, bo ledwie chroni od głodu, buty rozdziera niemiłosiernie, wyciera łokcie u rękawów, kieszeni nie napełnia, a głowę piskliwem i monotonnem skandowaniem abecadła zahołomszoną, wysusza nakoniec: jednem słowem — biednemu nauczycielowi nie daje ani fizycznej ani moralnej żywności.

Ale Szczęsny, zawsze Szczęsny! krzyczeli koledzy, bo po długich kwerendach udało mu się dwie lepsze złapać lekcje. Jedną u krupiarza pod rogatką brodzką, a drugą u kominiarza pod rogatką janowską. U krupiarza dawali mu wikt naturalnie postny po większej części, bo rozmaitemi kaszami sztukowany. U kominiarza opierano go, dawano mu kawę wieczorną z najlepszej cykorji i co miesiąc dostawał ośm reńskich w walucie.

Biegajże tu codzień od jednej rogatki do drugiej, ucz przez kilka godzin niesforne bębny, którym w głowie piłka i inne uliczne gry; a prócz tego chodź na kolegia, i aby wyżyć przez cały miesiąc, korepetuj jeszcze po nocach z majętniejszymi nieco studentami za kilka groszy! Ale za to jak wrócił do swojej stancji! Ta stancja chociaż na tyle i na poddaszu między kominem i dachem, była mu rajem, rajem prawdziwym. Ale o tym raju później. Znosił to wszystko nasz Szczęsny ze stoicką odwagą, i nie żałował baronowskich świetności. Bo był wolny! Wolny! to wielkie, to piękne słowo, wznoszące ducha i serce do myśli i uczuć tysiąca. A był w wieku i żył w czasie, kiedy to słowo miało rozgłos pełen echa i cudnej harmonji. Te myśli uczucia rozbudziły w nim nazad dawny popęd poetyczny i już się zaczął wahać, czy ma zostać wielkim filozofem, czy wielkim poetą. Niemało do weny poetycznej przykładał się sam jego wiek młody, którego wszystkie myśli i marzenia, chęci i uczucia

http://rcin.org.pl

są już same przez się poezją, jak w wiośnie wszystko jest kwiatem. A ten raj jeszcze w jego pomieszkaniu! Tym rajem oczywiście był przedmiot jego pierwszej miłości, który mieszkał na tem samem poddaszu na drugiej stronie komina. A więc idąc za przykładem wszystkich rymotworców młodzieńczych, zaczął przemawiać do tego ze wszystkich tworów boskich najcierpliwszego księżyca, który od tylu wieków znosi wszelkie wybryki poetyczne, zwracane do jego bladych srebrzystych, melancholijnych, rozmarzających i Bóg wie jakich tam jeszcze promieni.

Od pierwszej ody do księżyca zacząwszy, której początek brzmiał dziwnie romantycznie:

Księżycu czego świecisz? nie masz świecić komu,
Sam jeden bez kochanki powracam do domu.

którą skomponował między krupiarzem i kominiarzem, przyszedł Szczęsny do pieni elegijnych, poświęconych

Piękniejszej od róż i fiołków Anulce,
Godnej nosić z gwiazd samych tkane kolce.

Miłość jego do Anulki choć przesadzista, urojeniami jakby płaszczem arlekińskim posztukowana, niemniej przeto była szczera i poczciwa.

Takie bywają miłostki studenckie, młode, które najczęściej długo nie trwają, bo je rozrywa rzeczywistość odczarowująca wszystkie młodociane złudzenia. Lecz są ludzie innego usposobienia i takim był Szczęsny przeznaczony, by był zawsze młodym, wiecznym studentem, któremu zwykle śmierć przedwczesna i marna daje absolutorium z tej szkoły życia, w której niczego się nie nauczył, coby mu się mogło przydać z tej strony grobu. Tacy ludzie noszą na czole piętno swego przeznaczenia. Takim był Szczęsny, którego słuszniej powinien był ksiądz ochrzcić Nieszczęsnym.

Kochać wiernie aż do śmierci postanowił Anulkę swoją, bo jużciż ona go kochała, kochała z całym zapałem młodzieńczej, czystej, a dziewiczej duszy! Biedny głupcze! ale poczciwy głupcze! Szkoda tylko, że świat poczciwości nie szanuje, a z głupstwa się śmieje.

Miłość swoją do Anulki nosił przy sobie jak dawniej mnichy kolącą włosiennicę, by mu obowiązkiem ciężyła na sumieniu. I wszystkie swe myśli, wszystkie plany przyszłości ku niej stale skierował.

Jakże jej nie miał kochać, kiedy ją poznał jeszcze w Przemyślu małem dziewczęciem, i już wtenczas, gdy przychodził do sklepiku, w którym ojciec jej przedawał patyczki, drzewo, bułki i postronki dla podróżnych, wtenczas już niebiesko-okie dziecko patrzało na czarno-okiego chłopca, jak na bóstwo jakie, jak w tęczę. Jakże jej nie miał kochać, kiedy bywało jak wbiegnie do sklepiku, aby kupić bułek dla swego panicza, poczciwe dziewczę siedząc w kąciku, zaraz mu z oczów pozna, że wybiegł na czczo jeszcze, i póty się kręci koło niego, póty łasi, nadskakuje i uśmiecha, póki nie odda parę bułek i jabłuszek danych jej na śniadanie. Tym sposobem zawiązał

się serdeczny stosunek między Szczęsnym i Anulką. Ona mu była w Przemyślu całą pociechą, gdy go młody graf wymęczył kaprysami swemi; z nią jedną umiał rozmawiać tak prosto od serca, bo ona jedna najcierpliwiej słuchała, gdy jej kilkakroć powtarzał dzieje swego dzieciństwa i opisywał rodzinną wioskę, rodzinny dom i rodzinnych przyjaciół.

Gdy jechał do stolicy, pożegnania z Anulką należało do najboleśniejszych chwil w życiu Szczęsnego. A dziewczę zpłakało się okropnie. Łzy i uśmiech stosownie do okoliczności, to była jej cała wymowa, bo nie wiele lubiła rozmawiać, i poprawdzie nie wiele umiała rozmawiać. A ta wymowa najdzielniej trafia do serca młodego. Po smutnem rozłączeniu byłby się ten stosunek rozerwał zapewne, jak się zrywają podobne stosunki za pomocą zapomnienia — gdyby nie przypadek; ten przypadek, który jest zwykle najpłodniejszym powieściarzem, tworzącym zawikłania, na jakie się nie zdobędzie najdzielniejszy pisarz.

Po wyjeździe Szczęsnego, stary i chorowity ojciec Anulki umarł, a z jego śmiercią i biedny ich handelek upadł. Wdowa w głowę zachodziła, co tu robić? aż jej nagle na myśl przyszło, że ma we Lwowie jakąś cioteczną siostrę, która jest zawołaną szwaczką. Przedawszy tę odrobinę sprzętów jakie posiadały, dostały się matka z córką do Lwowa. Anulka poszła do ciotki na naukę; szyła pracowicie i cicho, a zawsze przy okienku, i z bijącem serduszkiem wyglądała na ulicę, czy nie ujrzy ulubionego Szczęsnego. Długo wyglądała, aż przecie w szczęśliwy jakiś poranek, gdy wybiegła do sklepiku za mlekiem, zdybała go na ulicy. Co to była za radość, a z jakim krzykiem porwała go za rękę i zawołała po imieniu!

I Szczęsny się ucieszył niepospolicie, a uciecha ta była mu w tej chwili tem potrzebniejszą, że właśnie dowiedział się przed kilką dniami o śmierci ojca, który syt lat i pracy spoczął koło ścieżki pod zieloną mogiłą. Ze śmiercią ojca ostatni urwał się węzeł z lubą dziecinną przeszłością, ale natomiast z przybyciem Anulki nowa mu w przyszłości zakwitła nadzieja. Obojga sieroctwo smutne stało się dla nich nowym węzłem. Odtąd Szczęsny przybiegał często, by odwiedzić Anulkę, aż gdy po roku czy dwóch umarła stara jej ciotka, przeniosła się z matką na to same poddasze, na którem mieszkał Szczęsny.

Matka prała a Anulka, wyuczona przy ciotce, stała się szwaczką. Wszyscy troje zarabiali jak mogli, nie żałując pracy, a choć nieraz nędzę znosili, ta była im znośniejszą, bo znosili ją wspólnie. Mimo szczupłych dochodów swoich, Szczęsny zawsze przecie przyniósł coś Anulce w niedzielę, bodajby skromny jaki kwiateczek za ostatni grosz kupiony. Kochali się oboje serdecznie, choć o tem nie wiele mówili między sobą, i nic nie mówiąc o planach przyszłości, wierzyli oboje, że się muszą kiedyś pobrać, bo bez siebie życia nie rozumieli. Szczęsny uważał to za konieczność, że Anulka będzie kiedyś jego żoną; a Anulka ani-by nawet pojąć zdołała, że kto inny nie Szczęsny miał być jej mężem. Cieszyła się tą przyszłością jak najwyższem

http://rcin.org.pl

szczęściem, bo wedle jej zdania świat cały nie posiadał nic piękniejszego i rozumniejszego nad Szczęsnego. Szczęsny ani się cieszył ani gryzł tą nadzieją; Anulki nie podziwiał, bo nawet nie przychodziło mu na myśl zastanawiać się nad jej urodą lub zdolnościami.

Co do urody, Anulka miała jedną z tych twarzy ani pięknych ani brzydkich. Nie było u niej ani w oczach, ani na twarzy, ani na ustach tego wyrazu, który kobietom nadaje tyle wdzięku. Na jej twarzy był wieczny spokój a oczy jej patrzały na świat, ot tak sobie po prostu. Szczęsny lubił ją nawet za to, bo jak dawniej ona go najcierpliwiej słuchała, a w jej oczach przeglądał siebie i swoje myśli i uczucia, jakby w zwierciedle. Biedak taki jak on, nie łatwo znaleść mógł słuchających, a z drugiej stony milczące uwielbienie Anulki pochlebiało jego miłości własnej.

Zaczął więc Szczęsny na prawdę myśleć o jakimś dla się zawodzie, któryby dał jemu i Anulce potrzebne utrzymanie. Nie zdawało mu się to trudnem, bo przecież czuł w sobie to przeznaczenie swoje do czegoś znakomitego. Odtąd uczył się jeszcze pracowiciej, i o tyle się odmienił, że kończąc prawo, przestał marzyć o filozofji i poezji, ale widział się już zato w duchu prawnikiem, urzędnikiem a nawet wielkim prawodawcą. Co do innych życia stosunków, lubiony był dosyć przez szkolnych kolegów za swoje poczciwe serce. Gdy mówię o kolegach, rozumiem pod tem uczniów podobnego jak on pochodzenia. Panicze uczący się znali go także i witali, ale od niechcenia, dla zachowania tylko onej panom przyzwoitej popularności. Niemiał nawet czasu szukać towarzystw, oddany jak mówiliśmy ciągłej pracy i nauce. Tę pracę i naukę biednego studenta, który pracuje razem na terazniejszość i przyszłość, trzeba widzieć z bliska, ażeby ją zrozumieć. Jest to praca jakby więźnia galernika, bez ustanku, bez odpoczynku i bez rozrywki. Koło takiego studenta biednego wszystkie stołeczne przyjemności tak mocno nęcące, przemykają gorąco pożądane, a nigdy nie użyte. Niemniej przeto wszyscy koledzy Szczęsnego, widząc że egzamina dobrze mu się udają i że zawsze dzięki nadzwyczajnej oszczędności swojej i sztuce Anulki, która jego bieliznę i garderobę cudownym utrzymywała sposobem, porządnie był ubrany, krzyczeli na wyścigi:

— Ten Szczęsny ma prawdziwe we wszystkiem szczęście!

Lata tymczasem mijały i przyszła nareszcie chwila, w której musiała się objawić w rzeczywistości prawdziwość jego szczęścia. Skończył prawo nasz Szczęsny, i wówczas dopiero po raz pierwszy zaczął się na serjo zastanawiać nad przyszłością swoją i zrobił rozrachunek sumienia z nadziejami i zdolnościami swemi.

Uczył się wiele i umiał wiele; ale co z tego wszystkiego, co przez lat tyle pchał sobie do głowy, czy da mu w życiu chleb powszedni, w tem sęk? Ogląda się na około i widzi kolegów setki prawie, równie obdarzonych jak on pakunkiem nauki szkolnej, i wszyscy chętni i żądni przepchać się w świecie. Coś nakształt bolesnego przeczucia przemknęło przez serce naszego Szczęsnego, lecz wnet smutne odrzuciwszy myśli na bok, rzekł sobie jak najgłośniej:

— Jakoś to będzie!...

http://rcin.org.pl

I poszedł praktykować przy magistracie stołecznym. Przychodziło mu na myśl udać się do grafowicza i baronowiczów po protekcję, ale z jednej strony tyle przecie nabrał doświadczenia, że wiedział, jakby daremne a upokarzające dla niego były podobne zabiegi. Wszakże zdybywał ich czasem i zawsze witał jako znajomych i zawsze zdybywał go ukłon zdziwiony, obojętny, lub urażający pogardliwem lekceważeniem.

— To syn ekonoma naszego! — przemówił młody graf do idących z nim towarzyszy, jakby się chciał tłumaczyć przed nimi z takiej znajomości.

— To syn ekonoma z przemyskiego! — mówili baroniki w tymże samym celu.

Zaczął więc praktykę. Koledzy zawsze powtarzali wykrzykniki dawne o jego szczęściu, a biedny Szczęsny pracował olbrzymio, bo i godziny urzędowe trzeba było przebyć i starać się jeszcze o chleb codzienny, zdobywany to lekcjami, to przepisywaniem po całych nocach. Gdzież jego marzenia dawne, że będzie wielkim mędrcem, wielkim poetą, wielkim sędzią lub prawodawcą?

Tam gdzie wszystkie idą marzenia ludzkie! Na wiatr puszczane, wiatr też je porwał. Kończyły się na bezpłatnej a żmudnej praktyce przy magistracie.

Jeszcze jedno zaszło ważne dla Szczęsnego pytanie. Co zrobić z Anulką, której właśnie matka podtenczas po długiej a kosztownej umarła chorobie? Co się ta biedna dziewczyna przez czas tej choroby napracowała! Szczęśliwi i bogaci nie rozumieją tego i nie chcą rozumieć, trwonią pieniądze na udane dramata, kiedy tam po ubogich poddaszach odbywają się żywe dramata, którymby pomoc i ulgę przyniosła część tych przetrwonionych dostatków. Że się z nią będzie żenił, o tem nie było pytania, ale czy ma się z nią zaraz żenić? Radziby biedacy oboje, ale obojga nędza nie dozwalała na to.

— A więc czekajmy!...

I czekali jeszcze rok, i dwa i trzy. Lekko wymówić, ciężko przeżyć w pracy i nędzy! Szczęsny pracował pilnie, a żadnej nie opuścił sposobności, by się o jakie starać choćby najskromniejsze miejsce. Dawno już, dawno puścił w niepamięć błogie młodszych lat marzenia i nadzieje. I po latach kilku Szczęsny dostał miejsce. Został prowizorycznym asesorem przy prowizoryćznym magistracie w małej i lichej mieścinie na Podolu, z pensją 400 złr. mon. konw.

Co to było krzyku, a co zazdrości, a nawet nienawiści i gniewu pomiędzy kancelaryjnymi kolegami Szczęsnego!

— Ten człowiek ma obrzydliwe szczęście! — krzyknęli głosem i wrzaskiem za nim.

Szczęsny już sam nie wiedział, co ma mówić i myśleć. Jak muł wdrożony do noszenia ciężarów, przyzwyczaił się do tej pracy bez wytchnienia. Już nie marzył, nie roił nadziei! wzdychał jeno! Westchnieniami puszczał w świat dawnych marzeń roje.

Anulka przez tych lat parę postarzała się i pochudła niezmiernie. Pobrali się wreszcie szczęśliwi asesorstwo i pojechali do onej mieściny.

http://rcin.org.pl

— Teraz przecie będę już spokojny! teraz będę używał — mówił Szczęsny sam do siebie.

Jedno to było marzenie więcej. Pracy nie było wprawdzie wiele, ale i życia nie było. Pensja ledwie starczyła na życie nader skromne, w mieścinie skąpe były rozrywki, a koledzy Szczęsnego patrzyli na niego krzywo jako na intruza. A co gorzej, po większej części byli to ludzie, w których towarzystwie trudno się rozerwać, mianowicie jeżeli się ma choć cokolwiek więcej myśli i wyższych uczuć i wyższych od życia społeczeńskiego wymagań!

— Żyć będę życiem domowem! rodzinnem! zawsze przy mojej drogiej Anulce. W jej sercu i w jej towarzystwie całe szczęście życia mego i wielkie szczęście! — mówił Szczęsny dobywając ostatnich okruszyn młodzieńczej poezji swojej.

Cofnął się więc w życie domowe, i dopiero pokazało się, że mimo lat kilkunastu razem przebytych, dotąd nie znał Anulki.

Była to kobieta jakich jest mnóstwo w takim stanie. Dobre to, poczciwe, ale nędzą i pracą zagłuszone, nie ma tam żadnej wyższości, ni myśli, ni uczuć, które się nabiera tylko za pomocą wychowania lepszego, lepszych towarzystw i czytania lepszych książek. Póki Szczęsny był młodszy, znał poezję i miłość, widział wszystko w Anulce, co widzieć chciał, i wystarczało mu widzieć ją cierpliwą, gdy do niej mówi, widzieć w niej wierne choć smutne odbicie własnych słów i myśli. Będąc kochankiem kontentował się monologiem, zostawszy mężem zapragnął djalogu. A tu z Anulką ani rusz o djalogu!... Ona go słuchała jak dawniej, i jak dawniej gołębim swym wzrokiem patrzała na niego. Lecz to mu już nie starczyło. Nie przyznał się do tego, czyli raczej nie chciał się nad tem zastanowić; westchnął tylko i w pamięci swej szukał lubych dzieciństwa obrazów. Smutna to pociecha, marzyć o tem, co już wrócić nie może...

Znowu szukał rozrywki po za domem. Niestety! w miasteczku lichem, w towarzystwie niższych urzędników, zbieranej zwykle drużynie z fusów towarzyskich, nie ma innej rozrywki, chyba u Icka albo Herszka w szynku. Biedny Szczęsny marzył znowu, marzył cudnie, rozgrzany mocnym a tanim trunkiem. Lecz wracał jeszcze co prędzej do domu.

Nowe w dom weszło błogosławieństwo i nowy kłopot. Urodziła mu się biedna, chorowita dziecina. Weszła w dom choroba i już z niej nie wyszła. Anulka straciła zdrowie. I w domu Szczęsnego był co dzień i co nocy jęk, płacz i stękanie dwóch istot, których utrzymanie było jego obowiązkiem. A lekarz! a apteka. Żyj że tu z lichej pensji, i bądź szczęśliwy!...

Szczęsny zaczął częściej wychodzić z domu i rzadziej do niego wracać. Bo mu te jęki serce krajały, a pomódz im nie był w stanie. A skoro wrócił, znajdywał wymówki Anulki, słodkie, ale wymówki zawsze. Anulka nic się nie zmieniła; zawsze dobra sobie i poczciwa, ale znajdywała to rzeczą słuszną, dopominać się u męża o utrzymanie i wygody. Biedny Szczęsny coraz częściej zaglądał do Icka i Herszka, szukając sztucznych marzeń. A że pierwszy tylko krok trudny, przy-

http://rcin.org.pl

zwyczaił się wnet do kieliszka, a za nim poszło zaniedbanie, i stroju i wszelkiej powierzchowności.

Smutny to upadek moralny! ale konieczny! następujący nieznacznie. Szczęsny upadał coraz niżej. Obdarty, zawalany, nieumyty nocował nieraz na ławie żydowskiej. Ci których towarzystwem on dawniej pogardzał, ci teraz unikali jego. Łzy żony i dziecka padały mu kamieniem na serce. Szczęsny był prawdziwie nieszczęsnym!... Cierpiał, chudł, nędzniał, aż się postarzał przed czasem, skulił i ku ziemi pochylił.

Raz w późnej jesieni wychodząc od Icka zatoczył się, upadł w rynsztok, zakrztusił się, krew wyrzucił z siebie i już nie żył. Ów szczęśliwy człowiek pod fortunną gwiazdą urodzony, którego miały czekać świetne losy, któremu zazdroszczono urzędu tak prędko zdobytego, umarł w największej nędzy. Nie byłoby było go w czem pochować, gdyby nie koledzy, którzy się złożyli na prostych cztery desek i na skromne pokropienie.

I nikt Szczęsnego nie żałował, prócz Anulki, która rzewne wylewała łzy nad stratą męża, a może też i nad stratą urojonych nadziei i rzeczywistej choć małej pensyjki.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Z ŻYCIA AKTORA POLSKIEGO.

(Wydanie pierw. 1855 r.)

Przypadek, ten twórca najciekawszych zawikłań i najdramatyczniejszych rozwiązań, którym każdy z powieściopisarzy zazdrościć może, zrządził, że poznałem się razu jednego i to zupełnie niespodzianie z głównym tych obrazków bohaterem, który mi opowiedział niektóre z życia swego ustępy. Jakoż są to urwane tylko ustępy, prawdziwe szkice, niezdolne utworzyć całości, ale mogące dać niejakie wyobrażenie o stanie smutnym sztuki i aktorów w naszym kraju. Może się przydadzą komuś, który zechce zebrać w całość dzieje życia teatralnego u nas, dzieje tem ciekawsze, że się ściśle łączą z dziejami sztuki i zawierają w sobie najważniejsze przyczyny smutnego jej stanu.

Był cudownie piękny wieczór czerwcowy, gdy dojeżdżałem do Żytomierza, stolicy Wołynia. Śliczny był to wieczór i śliczna okolica! Do dziś dnia jeszcze panuje ten u nas narów, że to tylko piękne, co tam gdzieś daleko za granicami kraju naszego. Czyśmy sami widzieli, czy słyszeli tylko, podziwiamy sławne z opisów okolice cudne, a kraj własny znamy tak mało, że nieraz zdarzyło mi się widzieć najnaiwniejsze zadziwienie na twarzach słuchaczy moich, gdym opowiadał o podróżach po własnym kraju i opisywał piękność przyrody ojczystej. Ledwie że na piękność Tatrów pozwalamy, i to dla tego tylko, że cudzoziemcy przystali na nie; o reszcie kraju jakie takie mamy wyobrażenie, i jeżeli kiedy przystajemy na chłodną pochwałę tej lub owej mniej znanej okolicy, to dla tego chyba, że ją podniósł pięknem piórem który z poetów naszych. I cóż dziwnego! Jest to już u nas dawny i niewykorzeniony dotąd obyczaj, wędrować i tracić pieniądze za granicą. Czy kto odziedziczył po przodkach czy innym sposobem zebrał jaki zasób pieniężny, puszcza się w podróż, wlecze się bezmyślnie z kąta w kąt, rozdziawia gębę nad Renem, na widok Alpów dostaje entuzyastycznej drżączki, w pamięć swoją jak do pudła podróżnego pakuje bezładny spis widzianych arcydzieł, i wróciwszy do kraju z pogardą i politowaniem patrzy na wszystkie swojskie obrazy, jako niegodne uwagi człowieka wykształconego. Wszakże nie tak to dawno zdybałem jednego z takich podróżników w Krakowie.

http://rcin.org.pl

— Pojdźmy do katedry! — ozwałem się do niego.

Na nieszczęście mój podróżny wracał prosto z Włoch, dokąd wyjechał z pustą głową i więcej jak skąpym zasobem wiadomości.

— Kto widział Karola Boromeusza, ten nic już nie zobaczy ciekawego w katedrze krakowskiej! — odrzekł mi dumnie. — Ja przecie, — dodał po chwili oglądając się tryumfalnie w około, — jadłem obiad z lordem Talbridge w nosie Karola Boromeusza; siedziało nas sześć osób przy stole.

Było nas kilku; śmiech homeryczny przyjął to ozwanie się podróżnika. Miłosiernie spojrzał na nas, litując się nad nami, że nie widzieliśmy tego olbrzymiego posągu św. Karola Boromeusza, w którego głowie istotnie spleenowaty jakiś anglik wyprawił obiad na kilka osób. Dopiero dowiedziawszy się, że w katedrze krakowskiej jest posąg roboty Thorwaldsena, zdecydował się nasz podróżnik odwidzić tę świątynię naszej przeszłości, naszej sławy, naszych pamiątek dawnych. Otóż po większej części każdy u nas ma w swej głowie taki nos Karola Boromeusza, do którego miary nie przychodzą mu ojczyste czy obrazy, czy widoki czy pamiątki.

Te albo temu podobne myśli krążyły po głowie mojej, kiedym owego wieczora wyjeżdżał pomału drogą od Cudnowa wiodącą z ogromnego kilkumilowego lasu, i nagle z wysokiej dosyć góry, ujrzał to stare miasto grodowe, dziś stolicę gubernii wołyńskiej Żytomierz nie regularnie zbudowany, rozrzucony na wzgórkach, wznosił się przed oczami memi, ocieniony zewsząd przedmiejskiemi ogrodami i sadami; a tuż u stóp jego po skałach i kamieniach pomiędzy drzewa i chaty szumiała rzeczka niewielka ale bystra. Krętym biegiem w dziwnie wdzięcznych przegubach, gdyby wąż o różnobarwnej łusce, pomykała Kamionka (takie jest tej rzeczki miano) coraz dalej a dalej pomiędzy lasem umajone pagórki, pomiędzy skały o dziwnych kształtach, pomiędzy zielone futory, dalej i dalej, aż póki z szumem nie wpadła do Teterowa, drugiej rzeki, która to miasto z innej okala strony. Kto zna położenie Żytomierza, przyzna, że mało jest okolic, które by zdołały tak silnie ująć wyobraźnię rozlicznością cudnych a prawdziwie swojskich widoków. Tam lasy, i to te nasze, prawdziwie polskie lasy, jakich już dziś nigdzie nie zdybać za granicą, ciemne, przepaściste, niebotyczne, miodem i żywicą pachnące, pełne gwaru sobie właściwego, leśnych ptaków, hukających bąków, których echo stokroć odbite tworzy harmonię cudownej piękności. Tam skały najdziwaczniej pokrajane, na pół nagie zielonością umajone. Tu rzeka po kamieniach, skałach i młynach szumiąca i warcząca. Tam sady, tu domy z swemi ogrodami nad wodą wiszące; a tam dalej płaszczyzna z całem bogactwem swych niw urodzajnych i mnóstwa ziół jakby kłąby jakie tu i owdzie rozrzuconych. Cudowny widok, godny pióra naszego Adama, który te wszystkie uroki naszej ziemi wywiózł w obczyznę w sercu swojem, i dla tego je wyśpiewał piersią serdeczną, piersią nieśmiertelną.

Jadąc pomału, zachwycałem się urokiem tego krajobrazu. Prawda, że wieczór był uroczy, wieczór wiośniany; i ja byłem w wiośnie życia, w wiośnie uczuć, nadziei i marzeń tysiąca. Widzia-

http://rcin.org.pl

łem i później tę samą okolicę, piękną była jak zawsze! Lecz gdzież były wiośniane uczucia, nadzieje, gdzie marzenia! Przepadły bez wieści! Łza dawniejszego zachwytu zmieniła się w łzę, pamiątkom przeszłości poświęconą. Lecz wówczas byłem młody i niecierpliwie dążyłem do miasta; bo w mieście czekała na mnie matka, czekały siostry i jeszcze coś więcej czekało, co się odzywały w młodem sercu przeczuciem, tęsknotą!

Na skręcie drogi, kiedy już z góry mój lekki powozik ku rzece spuszczać się zaczął, przy świetle zachodzącgo słońca ujrzałem obrazek, który mnie tak mocno uderzył, że do dzisiaj żywo pozostał w pamięci.

Na środku drogi stał wóz ogromny, długi, cały okryty płótnem, podobny do wozów, jakiemi u nas przewożą towary. Mnóstwo głów wyglądało z tego powozu, a tuż koło niego stała grupa ludzi, z czterech osób złożona. Mnie odrazu uderzyła jedna z nich. Była to oczywiście kobieta młoda i piękna. Dziś stary wiekiem i doświadczeniem, ledwie zdołałbym odmalować tę twarzyczkę białą, rumianą, figlarną, owinioną jasnemi włosami, które w świetle zachodzącego słońca złotem się promieniły. Nie było może na tej twarzy świeżości, nie było nawet rysów regularnych, ale było coś w oczach tak wyzywającego i pociągającego razem, co sprawiło niepospolite wrażenie na mnie młodym. W ubraniu jej panowała jakaś różnorodność, tak dla mnie nowa i ciekawa, taka sprzeczność zarówno o zaniedbanie i wykwintność graniczącą, że to wszystko razem miało dla mnie powab jakiś niepojęty, bo dotąd nieznany. Jednem słowem podobała mi się. I nim się zastanowić mogłem, jużem był wyskoczył z bryczki, i idąc ku stojącym przy wozie, przypomniałem sobie dopiero, że w samej rzeczy wysiąść należało; bo góra była dosyć stroma, a więc bezpieczeństwo nakazywało iść piechotą i powóz zahamować.

Zajmowała mnie też niemało postawa tych wszystkich czterech osób. Cała ich powierzchowność i rozmowa bardzo głośna, miała w sobie coś szczególnie ciekawego. Wyrazy, śmiechy i słowa mówiących nosiły na sobie dziwną cechę, trącającą o tragiczność i komiczność razem.

Obok młodej kobiety stało dwie drugich kobiet, jedna znacznie starsza druga w średnim wieku. Za najmłodszą oparty o wóz stał mężczyzna w sile wieku, piękny nie w całem słowa tego znaczeniu, ale pełen powabów, jakie daje młodość i humor wesoły. Z twarzy okrągłej, jasnej, otwartej i zuchwałej nieco, wyglądała widocznie mazurska dusza. Ubiór jego był arcy zabawny. Na głowie bowiem miał pokrycie jakieś pstre, trochę do czapki, trochę do tureckiego turbanu podobne; wierzchniej nie miał sukni, ale za to na koszuli udrapował sobie hiszpański płaszczyk, z mieniącej materyi, widocznie kobiecy, a pyszne niegdyś haftowane pantofle miał na nogach miasto butów. Kobieta w średnim wieku, co do stroju nadzwyczaj pstrokatego i pretensionalnego razem, podobna była do młodszej, ale jakże różna od niej co do twarzy i jej wyrazu! Były i w jej twarzy ślady piękności niedawnej nawet, ale sponiewieranej na licach wychudłych, przeciągniętych, wielką bladością pokrytych; natomiast z oczów strzelała żywa,

http://rcin.org.pl

gorączkowa prawie, widocznie stracona młodość. Na ustach było przykre jakieś skrzywienie, niby zalotne niby szydercze, ale za to postawa była dziwnie wyuczona, wpadająca w wysoką tragiczność. Powierzchowność kobiety najstarszej była najsmutniejsza. Twarz okropnie chuda, zmarszczkami poorana, żółta, pargaminowa, a przytem pokryta jakimś dzikim i nienaturalnym rumieńcem, czy rużu czy upicia się. W oczach, których ciemna barwa i kształt do najpiękniejszej twarzy się stosowały, była chorowita jakaś i rozpaczliwa ruchliwość. Na chudem, szkieletowatem ciele wisiały resztki jakichś wykwintnych ubiorów, zbierana drużyna, ale widocznie z pałaców; same tam bowiem były aksamity, same jedwabie, same koronki, ale to wszystko pobrudzone, popełzłe, w frędzle rozlatujące się. I w ruchach tej kobiety były jakby resztki pałacowych obyczajów, salonowego zaokrąglenia.

Cóż więc dziwnego, że mnie to grono uderzyło nadzwyczajnie, grono tak odbijające od okolicy, od zwyczajów dobrze mi znanych, któremu nie mało ciekawości dodawał w oczach wóz ten prosty, rzadko na Wołyniu widziany, który widocznie należał do grona tego wraz z głowami wystającemi, z których każda miała jakiś typ szczególnie zabawny, nienaturalny i które zdawały się ciekawie i szyderczo przypatrywać i przysłuchiwać odgrywanej przed niemi scenie...

— Nie! nie! ja tego nie przeżyję! — zawołała najstarsza kobieta patetycznym głosem, który głucho jakby z jaskini, dobywał się z jej suchych i zapadłych piersi i ręce załamane wzniosła do góry z wyrazem niemal prawdziwym.

— Ależ pani hrabina raczy się zastanowić! — ozwała się kobieta w średnim wieku, głosem deklamacyjnym.

— Dajże mama pokój! — ozwała się najmłodsza na pół serjo, na pół z uśmiechem, głosikiem czystym i dźwięcznym jak dzwonek. W tym głosie było pełno życia, była spiewność lat młodych, było coś miłego i pociągającego. Był to głos syreni; takim się przynajmniej wydał mnie, który uczułem w sercu jakąś szczególną tęsknotę. Jabym w tej chwili powędrował w świat za tym głósikiem, za tem oczkiem figlarnem.

Młody człowiek nic się nie odezwał, jeno musnął ręką po jasnym wąsiku i uśmiechnął się z lekka i szyderczo. Zdawał się drwić z tej sceny na poły patetycznej.

— Moja córka ma jechać w tym wozie okropnym! O Boże! jaż się mam na to patrzeć!... ja!... nie!... ja tego nie przeżyję, ja na to zezwolić nie mogę. — I znowu ręce załamała i wyciągnęła je naprzód, dodając ze łzami w oczach — Zoniu! biedna Zoniu! —

— Moja mamo! kiedyż ja nie biedna zupełnie, ja się nie skarżę.

W tej chwili zdało mi się, że najognistsze jej oka błękitnego promień padł na twarz młodego człowieka; jakoż twarz ta rozjaśniła się nagle uśmiechem szczerym, serdecznym, poczciwym...

http://rcin.org.pl

— Pani hrabina raczy mi wierzyć — mówiła znowu kobieta w średnim wieku, przybierając coraz nowe postawy i głos swój ostry naginając do jakiejś sprzecznej i nudnej jak lukrecja słodyczy — pani hrabina niech będzie przekonana, że Zosi będzie dobrze między nami. My ją wszyscy kochamy.

Znowu zdybały się dwa młode wzroki, spojrzeniem jednem, ale tak wymownem, żem odrazu je zrozumiał, i zabolało mnie coś w sercu, ale zarazem uczułem pociąg sympatyczny do tych dwojga młodych ludzi.

— Ja dla niej jestem i będę kochającą siostrą — ciągnęła dalej starsza kobieta głosem mierzonym, jakby do oddania wierszów długich i poważnych. — Gdyby nie mój wiek i bytność pani hrabiny, powiedziałabym, że mam dla niej serce matki.

— Ale ten wóz! ten wóz! — krzyknęła najstarsza z najwyższem uniesieniem.

— Owa! to wóz kapitalny! — zawołał głos z samego wozu, głos męski i chrapliwy. Wyszedł on z ust należących do głowy rozczochranej, do twarzy trądem pokrytej, do oczów piwnych i małych, wynagrodzonych za to ustami przeciągniętemi na prawdę od ucha do ucha. — Śpi się w nim doskonale — dodał i na dowód czego, wyjąwszy z gęby krótką, bakunem napchaną fyjkę, ziewnął potężnie.

— Ten wóz mnie zabija! — wołała hrabina dalej. — Wyście mnie oszukali; jabym nie pozwoliła, żeby Zosia takim okropnym jeździła wozem.

— Ależ mamo moja, mnie w tym wozie daleko wygodniej, niżeli w najlekszym powozie.

— Nie uwierzy pani hrabina jak lekko nosi, wszakże dawne Rzymian i Greków powozy nie były czem innem!

— Ja mamo daleko teraz szczęśliwsza, niżeli gdyśmy się obie włóczyły po Europie z jednej stolicy do drugiej.

— Szczęśliwsza? Zosiu ty bluźnisz.

— Stokroć szczęśliwsza! — odrzekła Zosia, i za wzrokiem pobiegła ręka, serdecznie uściskana przez młodzieńca. — Szczęśliwsza, bo wolna, niezwiązana tysiącem waszych konwencjonalnych więzów.

— A nasze bale, nasze zabawy pełne świateł, woni, djamentów! — zawołała matka.

— A nasze długi i ciągłe ucieczki przed niemi z miasta do miasta — odrzekła córka.

— Dla czegóż oszukaliście mnie, wy ludzie niepoczciwi! — deklamowała dalej hrabina, obracając się tragicznie w koło — i wymknęliście się z miasta pokryjomu, abym nie widziała tego przebrzydłego furgonu. Lecz moje serce przeczuło i wybiegłam za wami i dopędziłam was.

— Właśnie też znając czułe serce pani hrabiny, nie chcieliśmy je wystawiać na rospacz rozstania się matki z córką. Słowa te wymówione zostały z wyrazem przesadnym uczucia, i mówiąca przyło-

http://rcin.org.pl

do oczów chustkę, by zetrzeć z nich łzy rozczulenia, o których mimo młodego niedoświadczenia mego zaczynałem wątpić niepomału.

— I ja byłam córką! — dodała z ciężkiem westchnieniem.

— I matką także! — ozwał się głos z woza owego jegomości trędowatego, który w tej chwili z gestem dziwnie komicznym poprawił na głowie kapelusz biały, długi i tak okropnie połamany, że wydawał się podobnym do zwiędniętego tulipanu.

Śmiech, ledwie przez przyzwoitość przytłumiony, ozwał się z pod płótna. Wszystkie twarze wystające z woza zaśmiały się szyderczo.

— Nie! to nad siły moje! — wołała coraz tragiczniej matka.

— Pani hrabino! chciej się opamiętać i zaufać mnie, która nigdy jeszcze nie zdradziłam.

— Nigdy! — powtórzyło echo trędowate i kapelusz na znak radości wyleciał do góry.

— Nie, ja na to nie pozwolę, wolę umrzeć. Zosiu uciekaj na moje łono... ja cię nie opuszczę...

— Chciałbym to widzieć! — zawołał młodzieniec, i twarz jego pokryła się rumieńcem, a czoło groźnie namarszczył.

Zazdrościłem mu w tej chwili jego twarzy, była na niej piękność energji.

— Panowie i panie! uszanowanie dla łona macierzyńskiego! — ozwał się znowu trędowaty jegomość, puszczając kłęby śmierdzącego dymu.

— Pani hrabino! czyliż mamy być dwie matki rywalki?

— Niechże już mama da pokój tym komedjom!

— Komedjom! komedjom! córko moja!...

— Chcesz więc mama, abym znowu głód cierpiała, nędzę najokropniejszą; a co gorzej chodziła z domu do domu i żebraczą rękę wyciągała krzycząc każdemu lamentującym głosem: ja jestem córka hrabiny Odorskiej, niegdyś pani milionowej...

— Córko ty mnie zabijasz!...

Usłyszawszy nazwisko dobrze znane hrabiny Odorskiej, zdumiałem. Mnie naiwnemu młodzikowi zdało się, że śnię to wszystko.

— Chcesz, żebym się jak towar jaki przedawała...

— Moja Zoniu! — szepnął półgłosem młodzieniec w turbanie, z przyciskiem wyrzutu.

— Nie! to już zanadto! ja umieram... mdleję! — zawołała przeraźliwie matka.

— Wody panowie i panie, wody! biegnijcie do rzeki! — woła głos z pod płótna.

Tymczasem hrabina zaczęła się na prawdę słaniać do upadku. Wydało mi się obowiązkiem biedz na ratunek, jakoż przyskoczyłem w sam czas, by na rękach podtrzymać upadającą. Lecz omdlenie było nadzwyczaj krótkie. Ledwie spoczęła na moich rękach, podniesła oczy na mnie i przenikliwym wzrokiem oglądnęła mnie całego.

— Deus ex machina! — zawołał głos szyderczy z wozu.

— Ktokolwiek jesteś cudzoziemcze! — zawołała hrabina podno-

http://rcin.org.pl

sząc się: posłuchaj mnie. Te aktory wydzierają mi córkę, córkę najdroższą.

— Pani hrabino! myśmy przedstawicielami sztuki, najstarożytniejszej i najdzielniejszej, bo oddającej wszystkie ludzkie namiętności i wszystkie najważniejsze wydarzenia dziejowe.

— Zosiu! idźmy ztąd precz! — ozwał się młodzieniec.

I porwali się oboje młodzi za ręce.

— Aktory! no proszę kogo! a czemże jejmość byłaś całe życie jeżeli nie aktorką, tylko żeś licho skończyła, i świat cały cię wyświstał — zagadł sentencjonalnie komiczny jegomość z wozu.

Te słowa z komiczną powagą wymówione zrobiły na mnie wielkie wrażenie i nadały całej tej scenie nowe i ciekawe znaczenie. Więc byłem między aktorami, których nigdy z tak bliska nie widziałem, a do których jako młody człowiek wielki miałem pociąg, domyślając się Bóg wie jakich ciekawych i uroczych tajemnic za zasłoną kurtyny. I na przeciw tych ledwie ubranych aktorów prawdziwych, stała, jak dobrze powiedział trędowaty jegomość, ta tyloletnia aktorka salonowa, hrabina Odorska, która tyle w życiu swojem ról odegrała, kochanki bohatera, pani miljonowej, damy wielkoświatowej, kobiety utrzymywanej i na końcu odarta z szat teatralnych, młodości, wdzięków i złota, wygoniona ze sceny salonowej, na gościńcu przed istotnemi aktorami, odgrywa licho naśladowaną rolę czułej matki, ona u której uczucie matki ważyło się zawsze na wagę złota, ona która dzieci swoje kochała w miarę bogactw ojca.

— Kochana mamo! — ozwała się Zosia znowu głosem tak lubym i szczerym, że nikt mu, jak mi się zdało, oprzeć się nie był w stanie. — Nie męczmy się wyrzutami niepotrzebnemi; wszak widziałaś sama, że ja zostałam aktorką... i nie miałaś nic przeciw temu.

— Ale wóz ten!...

— Może to wóz, pani hrabino, który naszą Zosię zawiezie do nieśmiertelności.

— A przynajmniej do wygodnego bytu, kiedy kareta zawiozła mnie do głodu i nędzy.

— Jabym chciał, by nas zawiózł do tej karczmy! — ozwał się niepoprawiony żartowniś, i tęskne westchnie z potężnym kłębem dymu wysłał ku porządnej choć drewnianej karczmie, która stała tuż przed nami z otwartą bramą, jakby z otwartemi do uścisku ramionami, i z której wyglądały ku nam bure oczy starozakonnego gospodarza, pożądliwym i magnetycznym na nas patrzące wzrokiem.

Uwaga trędowatego jegomości wydała mi się praktyczną bardzo, mianowicie, że mi jakoś przykro się robiło na myśl rozstania się tak nagle z tym wielce zajmującym epizodem życia mego. A do tego w tej chwili właśnie przypomniałem sobie, co mi woźnica pierwej mówił, że jeden koń zakulał, zgubiwszy podkowę.

— Już jest nawet późno — ozwałem się — a do najbliższej karczmy w lesie, dobra mila.

http://rcin.org.pl

— Przenocujcież przynajmniej tu, choć tę noc z tobą przepędzę, — zawołała matka z tonem komicznej rezygnacyi, odwracając się od woza, tej przyczyny całego lamentu — Szkoda, że pan dobrodziej jedzie do miasta, — dodała zwrócona do mnie — odwiózłbyś mnie pan jutro.

— Nie mam nic pilnego! — wyjąknąłem. Oczywiście kłamałem i poczerwieniałem po uszy, mianowicie, gdym ujrzał szyderczo-komiczny wyraz na twarzy trędowatej.

Stanęliśmy wkrótce wszyscy w karczmie; wóz i bryczka zajechały, z niemałem zadziwieniem mojego Michała. Z naiwnem zadziwieniem patrzałem jak się z woza wysypało kilku mężczyzn i parę kobiet; wszyscy poubierani byli dosyć ekscentrycznie. Ekscentryczność ta wszakże pochodziła oczywiście z konieczności. Szczegółowym opisem strojów i twarz nudzić nie będę; wszak z rzeczywistości i z opisów, każdemu prawie znajome są wędrowcze trupy aktorów, te brudne, wszystkiego najczęściej pozbawione karawany, wiozące przecie z sobą tę najwznioślejszą przedstawicielkę naszej wyższości, wiozące sztukę, a z nią od miasteczka do miasteczka, wiozące dla głodnych tego użycia mieszkańców, szlachetniejsze wyobrażenia, naukę dziejową, i co najwięcej, czystszy język swojski. Biedne karawany, wędrujące często o głodzie i chłodzie, wam przecie zawdzięcza wiele oświata, do której rozprzestrzenienia jesteście jedną z najgłówniejszych sprężyn! Gdy się już wszyscy i wszystkie z wozu wydobyli, wyjmując rozmaite nie zbyt wielkie zawiniątka, oboje młodzi wstąpili do niego z pewną skwapliwością.

— Chodź prędzej Jasiu! — zawołała Zosia i uśmiechnęła się trochę, patrząc z pod oka na moją zagapioną minę.

I okazał się naprzód pudel dosyć spory, wyskakujący z woza.

— Sznaps! Sznaps! — zawołali młodzi, głaszcząc go.

A za nim pokazała się jeszcze twarz kobieca. Była to staruszka, z dziwnie miłą i poczciwą twarzą. Oboje młodzi wynieśli ją raczej, niżeli wysadzili. Staruszka pocałowała młodzieńca w głowę, a Sznaps lizał wszystkich na wyścigi.

— To moja matka! — ozwał się młody człowiek do mnie, widząc, że się patrzę na tę scenę z zajęciem. — A to mój przyjaciel! — dodał wskazując pudla.

— Niedobry! — rzekła Zosia, uderzając go z lekka.

— A to moje wszystko! — dodał jeszcze wyjmując maleńkie zawiniątko, którego znaczną część stanowił bochenek chleba, i uśmiechnął się figlarnie, dzieląc wzrok swój między dziewczynę i zawiniątko.

Mniemam, że nader niezgrabnie musiałem wyglądać przy tem wszystkiem. Zosia bowiem głośnym parsknęła śmiechem, wyszczerzając białe ząbki i porwała mnie za rękę, ze śmiałą poufałością, która mnie jeszcze żywszym oblała rumieńcem.

— Chodź pan teraz z nami; należysz przecie do naszego towarzystwa, — przemówiła do mnie.

— Nie przestraszaj się pan, — przerwał Jaś wesoło podając rękę matce, — to tylko na kilka godzin noclegu.

— Pan zapewne z Krakowa! — przemówiłem uderzony jego czysto krakowskim akcentem, tyle dla serc naszych miłym.

— A z Krakowa panie! — odpowiedział.

Mimowolnie uczułem do niego sympatyę, która w młodym wieku tak łatwo przychodzi.

Gdyśmy weszli do wielkiej izby gościnnej, zastaliśmy całe grono aktorów i aktorek zgromadzone i zajęte oczyszczaniem sukień z prochu; kobiety mianowicie pchały się wszystkie do maleńkiego na ścianie zawieszonego lusterka. Trędowaty jegomość, który oczywiście był komikiem towarzystwa, rozprawiał żywo z starozakonnym gospodarzem. Ujrzawszy nas, zawołał:

— Chodźcie państwo! chodźcie wszyscy. Dzisiaj dane będzie nowe mimoczno-artystyczne przedstawienie, pod tytułem: Jajecznica, czyli nocleg pod lasem. Wzywają się do pomocy wszelkie talenta, by godnie uczcić to arcydzieło, którego autorką jest sławna Sura, małżonka zacnego Moszka, córka Srula, z pokolenia Lewi.

— Spodziewam się, że może i co lepszego dostaniemy; — ozwałem się porwany powszechną wesołością.

— Miasto bardzo blisko! — zauważała hrabina.

— No zacny protektorze sztuk pięknych! nie zapomnij o hipokrenie.

— Jakże nam miło i jak wdzięczni jesteśmy, że nas zaszczycasz swojem towarzystwem! - dodała afektowana panna Eulalia, którą pierwej słyszałam rozmawiającą z hrabiną i dygnęła mi, zalotnym mierząc mię wzrokiem.

Jakoż postarałem się w rzeczy samej o lepszą nieco wieczerzę, co mnie zaraz postawiło na bardzo dobrem stanowisku. Wieczerza odbyło się wesoło i gwarnie, mimo tonów jakie dawała sobie pani hrabina i afektacyi, z którą panna Eulalia ze względu na mnie występowała. Przy kieliszku poznaliśmy się wszyscy lepiej. Ja mianowicie czułem pociąg niejaki do krakowiaka, ktory przez cały czas z serdecznem uczuciem posługiwał matce, nie zapominając przytem o Zosi i o pudlu. Sznaps był ulubieńcem całego towarzystwa, któremu odwdzięczał się pokazywaniem wszystkich sztuk swoich. Prócz sympatyi, jaką uczułem dla krakowiaka, trapiła mnie także ciekawość. Zapewne już wówczas musiałem mieć żyłkę do powieściarstwa, i rad byłem dowiedzieć się od niego o całym jego stosunku do tej młodej dziewczyny, która będąc córką hrabiny, została aktorką. Krakowiaka cieszyło poznanie ze mną, poczciwy i żywy jak każdy krakowiak, rad rozmawiał o rodzinnem mieście, które ja znałem. Snać zmiarkował ciekawość moją, po kolacyi bowiem ozwał się do mnie: Szkoda przespać tak pięknej nocy, chodźmy się przejść.

I prawda, że noc była cudownie piękna, noc prawdziwie czerwcowa, z jasnym księżycem i gwiazdami na pogodnem niebie, z wonią wiosnianą, która zewsząd, z lasów i łąk wznosiła się ożywczo w powietrze, i z tym harmonijnym ciszę nocną przerywającym szmerem, który nigdy nie ustaje, w okolicach mianowicie leśnych. O kilkadziesiąt kroków od karczmy usiedliśmy na starej powalonej sosnie. Pod stopami naszemi szumiała w łotok ściśnięta rzeka i jak gwiazdy

na niebie błyskały światła po chatach przedmiejskich; a z dołu jaśniejszą łuną odbijało się oświetlenie miejskie.

Nie potrzebowałem długo wypytywać się, bo sam zaczął opowiadać o sobie z tą szczerotą, jaka charakteryzuje krakowiaków. U nich zachował się najlepiej ten typ czysto polskiej serdeczności, otwartej, udzielającej się łatwo, gwałtownej nawet czasem, nie lubiącej nic w bawełnę obwijać. Krakowianie są żywą, tak jak Kraków jest kamienną tradycyą naszej przeszłości. Zaczął przedewszystkiem mówić o Zosi. Historja jej życia nie była długą. Zosia była córką hrabiny Odorskiej, przynajmniej ta ją jako taką przywiozła raz z sobą z zagranicy, po której się wiecznie włóczyła. Hrabina Odorska pochodziła w rzeczy samej z szlachetnej rodziny i była za młodu jedną ze sławnych piękności; piękność ta się stała powodem jej wyniesienia się i jej upadku. Wychowana w pańskim domu, pod wpływem tej edukacyi jaką u nas dawano dawniej i dają dotąd jeszcze, edukacyi powierzchownej i cudzoziemskiej, a mianowicie pod wpływem owoczesnych obyczajów, zepsutych dworem Stanisława Augusta, małpującego Ludwików XIV. i XV. naśladowaniem wad zagranicznych i brakiem wszelkiej wiary, czy to w Boga, czy w cnotę — nic dziwnego że wyszedłszy na scenę świata, zapełniła go awanturami miłosnemi, których skandaliczność była właśnie jej największą w świecie ponętą. Kochanków mieniała często i gęsto. Od wyższych, z których jeden przez czas jakiś okrywał jej niejako postępowanie sławą swego imienia, przechodziła, zwykłą w tej mierze koleją, do niższych, wybierając wszakże bogatych. Bo jak wszystkie tego rodzaju kobiety, kochała się tylko w zbytkach; to też miliony przeszły przez jej ręce, i stajały w nich jakby grudka śniegu. Dzieje jej życia w tym względzie byłyby ciekawe nadzwyczaj, lecz nie tu należą. Znikły miliony, znikła pomału i piękność, a ludzie którzy jej przebaczali, dopóki pobłażanie kupować mogła trwonieniem złota i wdzięków, stawali się tem surowsi, im mniej miała już do trwonienia. Na starość przyszła do najokropniejszej nędzy. Od wszystkich, co jej niegdyś pochlebiali odepchnięta, żebranym żyła chlebem. Jej upadek moralny i fizyczny był tak straszny, iż prawdziwie wierzyć trzeba było, że to był dopust opatrzności, na przykład ludziom dany.

Zosia w zbytkach wychowana przez taką matkę, nie wiele mogła mieć w sobie moralnych zasobów. Jeżeli nie zupełnie poszła w ślady matki, przypisać to trzeba było brakowi okoliczności i tych nadzwyczajnych wdzięków, jakie posiadała matka. A może też obroniło ją od zupełnego zepsucia coraz gorsze majątkowe położenie. Zbytek w jakim żyły obie z matką, stawał się coraz więcej sztukowany i łatany powierzchownie robieniem długów. Za niemi ślad w ślad szły upokorzenia różnego rodzaju, z dodatkiem prześladowań tych wszystkich, które robią dłużnika prawdziwą zwierzyną, przez wierzycieli gonioną bez odetchnienia. Życie to znudziło Zosię; trafił się jej mąż, za którego, nie kochając go, uciekła po prawdzie przed matką, wożącą ją po świecie jak towar na handel przeznaczony. Na małżeństwie tem oszukali się oboje. On nie dostał majątku jakiego się spodziewał, ona znalazła w nim człowieka bez uczuć i wycho-

http://rcin.org.pl

wania. Bez najmniejszego skrupułu porzuciła go, a bojąc się wrócić do matki, nie mając żadnego innego utrzymania, została aktorką, do czego pociągało zamiłowanie dawne w teatrze i żądza zupełnej wolności. Nie mając w tym zawodzie talentów odznaczających się, i idąc za kaprysem chwili, przechodziła z jednego towarzystwa do drugiego, aż nareszcie przywiązawszy się do krakowiaka przyłączyła się wraz z nim do tej wędrownej trupy, puszczającej się właśnie w świat.

— Musisz ją kochać... kochać nad wszystko! — spytałem najnaiwniej.

— Kocham szczerze — odrzekł mi, i wesoła twarz jego przybrała więcej nieco powagi. — Ale, nadewszystko, to za wielkie słowo.. ja kocham moją biedną matkę, która mnie jednego ma na całym świecie i którą nikt prócz mnie już nie kocha, chyba Sznaps poczciwy.

— To co innego... ale Zosię? — badałem dalej ciekawie.

— Pan jesteś jeszcze młody, i bardzo młody! — odrzekł mi — dla ciebie miłość jest jeszcze obrazem na pół obsłonionym mgłą wszystkich złudzeń młodzieńczych, pan jeszcze po niebie błądzisz. Ja mam lat trzydzieści, choć młodo wyglądam, i chodzę już dawno niestety po ziemi, ja mam panie doświadczenie, i to doświadczenie podwójne, sceny życia i sceny na deskach teatralnych. Za obie kulisy zaglądając, trudno zachować marzenia lat młodych. — Gdy to mówił, malował się rodzaj smutku na wesołej zwykle twarzy.

— Ależ miłość przecie?

— Miłość jak wszystko inne na świecie jest znikoma. Ja kocham Zosię szczerze, bo ma poczciwe serce; mimo wychowania i nauk matki, dobre i w gruncie szlachetne z niej dziecko. Ostatnim groszem gotowa się podzielić z biednym. Kocham ją — dodał wzdychając — i to wiem, że ją pierwszy nie porzucę.

— Ale musisz być od niej kochany, kochany całem sercem?... a to szczęście największe.

— Kochany! — odrzekł pół smutno, a pół z uśmiechem. — Któż zajrzeć zdoła do serca, kto odgadnie tajemnice życia ludzkiego, a cóż dopiero serca kobiecego? To wiem z pewnością — dodał i wesoły uśmiech rozjaśnił zasępioną twarz — to tylko wiem, że Sznaps mnie kocha niezawodnie, mnie jednego, i nigdy kochać nie przestanie.

Poczciwy Sznaps leżał u nóg swego pana, i jak gdyby rozumiał, że o nim mowa, podniósł ku temu pojętne oczy swoje i kiwnął ogonem na znak zadowolenia swego.

— Patrz pan, jak mnie zrozumiał, i jak leży wierne i poczciwe psisko u stóp moich.

— I ja jestem u stóp twoich, mój Jasiu! — ozwał się dźwięczny głos Zosi, która niepostrzeżona nadeszła i w rzeczy samej uklękła po drugiej stronie przy kochanku swoim.

— Szczęśliwi! — pomyślałem w najlepszej wierze, i z rozczuleniem więcej jak naiwnem patrzałem na tę grupę, która w te cichej nocy, przy oświetleniu księżyca, wydała mi się cudnie piękna i była nią w istocie.

Nie zważając na przytomność moją, uścisnęli się kochankowie,

http://rcin.org.pl

aż mnie zazdrość porwała. Po kilku jeszcze słowach, wesoło powiedzianych, powiedziała nam dobra noc!

— Dobra noc panu! — zawołała z pustotą. — Nie wierz panu temu wszystkiemu, co będzie mówił o mnie. Ja go przecie kocham... kocham... kocham! — I powtarzając to tyle dla młodego człowieka powabu mające słowo razy kilka, aż się echo odezwało w niedalekim borze, znikła w bramie zajezdnej.

Myśmy zostali sami. Jan opowiadał mi swoje dzieje. Nie wiele było w nich nadzwyczajnego, a mniej jeszcze wesołego. Rodzice Jana byli ubodzy; ojciec jego był rzemieślnikiem, ciężko na chleb zarabiającym. Jan był najmłodszym z całego dosyć licznego rodzeństwa, i jako taki, był ulubieńcem matki, która go pieściła, i naprzeciw surowszemu broniła ojcu. W tym samym domu mieszkał stary kawaler, zamożny dosyć ale tetryk, siedział zawsze prawie samotny w swoim pokoju, zajęty ciągle czytaniem, do czego mu służyła spora dosyć biblioteczka. Stary ten kawaler trzymał przypadkiem w braku innego kuma naszego Jasia do chrztu, co go postawiło w moralnym niejako obowiązku mieć jakieś o nim staranie. Jakoż przypuszczał go do siebie, uczył go nawet czytać, za co mu się chłopiec rozmaitemi odwdzięczał usługami. Gdy już był starszy, dawał mu ojciec chrzestny książki do czytania; do książek a mianowicie do wierszów i sztuk dramatycznych aż trząsł się chłopiec, i o niczem prawie nie marzył jeno o teatrze. O kilka kroków od skromnego ich pomieszkania był budynek teatralny, któremu chłopiec nieraz po całych godzinach przypatrywał się z tajemniczem drżeniem, i Bóg wie jakie cuda marzył o tem, co się w nim dzieje. Ojciec chrzestny poznawszy to, dawał mu nieraz bilety na galerją, a słysząc zapalone opowiadania jego, gdy wrócił z teatru, powtarzał zawsze:

— Ty będziesz aktorem!

I dobrze przepowiedział. Przy takiem wychowaniu i pieszczotach matki, nie wiele się nauczył ojcowskiego rzemiosła, do którego ojciec go początkowo przeznaczał. Gdy więc po śmierci ojca cały zarobek a z nim utrzymanie biednego domu ustało, Jan, kochający matkę nadewszystko, postanowił pracować dla niej, i za pomocą ojca chrzestnego wszedł do teatru. Smutne to i przykre początki w zawodzie teatralnym; długo musiał darmo i ciężko pracować, usługiwać wszystkim, być prawdziwie sługą wszystkich sług, nim mimo talentu, jaki w rzeczy samej posiadał, przyszedł do tego, że mu przecie najniższe udzielać zaczęto role. Postanowił więc puścić się w świat i wykształcić się po teatrach prowincjonalnych, gdzie zwykle niema zbytku artystów, aby mógł później w stołecznych ważniejsze objąć role.

— Lecz przecie w teatrze stołecznym łatwiej zdaje mi się jest wykształcić się — przerwałem mu.

— Tak się to wydaje pozornie; lecz wykształcenie aktora choćby ten miał największe talenta wrodzone, zależy głównie od dyrektora teatru, rozumiejącego sztukę i dbałego o nią. U nas na nieszczęście takich dyrektorów bardzo mało; po większej części dbają oni nie o sztukę, ale o własną szkatułę. Idźcie szukać takich dyrektorów jakim był Bogusławski, jakim nareszcie jest tam u was J. N.

http://rcin.org.pl

Kamiński, który choć twierdzą o nim, że jego żona więcej rządzi niż on, wykształcił takich mistrzów, na cały kraj już sławnych, jak Nowakowski, Benza, Smochowski, takie talenta znakomite, jak Rudkiewicz, Starzewski, Rejmers i tylu innych.

Aby się wykształcić, trzeba mieć czas wolny, a zatem mieć utrzymanie zabezpieczone. Jan zaś w Krakowie ledwie przy pomocy ojca chrzestnego mógł wyżyć wraz z matką. Zasłyszawszy zatem o jakiejś trupie aktorów, robiącej niezłe interesa w Lublinie, postanowił tam się udać. Zostawiwszy matce, co tylko mógł zebrać, o kilku złotych puścił się piechotą w podróż, a że opatrzność nigdy nie opuszcza, doszedł jakoś szczęśliwie bez głodu i chłodu. Był to mglisty ranek jesienny, gdy Jan przywędrował do Lublina i żadnych dalszych nie mając adresów, zaczął się kręcić nieborak po nieznanem mieście. Oglądał się właśnie po twarzach przechodzących, kogoby się zapytać, gdy nagle na rogu ulicy postrzegł postać dziwną, która go niepospolicie zaintrygowała. Był to oczywiście człowiek, bo stąpał na dwóch bosych wprawdzie, ale zawsze ludzkich nogach, i miał dwie ręce przystrojone w koszulowe tylko rękawy, wzniesione do góry; miał nawet głowę miasto czapki w chustkę zawiniętą, a na grzbiecie, w braku płaszcza, zawieszona była rzecz, którą także ludzie, choć nie do ubrania wymyślili, była to rogóżka słomiana, w całej swej prostocie. Co go więcej jeszcze zaintrygowało, postrzegł, że te dwie do góry wzniesione ręce przylepiały afisz ogromny, czerwonemi literami zwiastujący zbierającym się ulicznikom: „Syrenę z Dniestru.“ Uradował się Jan niepospolicie, lecz o ileż więcej się ucieszył, gdy w twarzy z pod chustki wystającej, zdało mu się poznać znajomego.

— Franiu! to ty?...

— Jasiu! to ty? — zawołali obydwa i uściskali się serdecznie.

Franciszek kolegował z Janem czas jakiś w Krakowie i był już do tej doszedł doskonałości, że grywał gadających duchów i do zakulisowych pomagał grzmotów. Nie mogło się tedy Janowi pomieścić w głowie, jakim sposobem mógł dawny jego kolega tak nisko spaść, aby teraz w rogóżkowym płaszczu i z bosemi nogami afisze przylepiał. Zaczął się naturalnie bać o swoją własną karjerę.

— Cóż to się stało Franiu? ty już nie jesteś aktorem?...

— Jestem, i najlepszy dowód, bo gram dzisiaj Terefercia w Syrenie.

— Ależ rogóżka?... bose nogi?... chustka na głowie?...

— W wolnych chwilach zastępuję z woli dyrektora afiszera. To mój Jasiu cała historja. — I po drodze rozpowiedział mu tę historję.

Dyrektorem wędrującego towarzystwa, które do Lublina przybyło, był niejaki pan Makary, który w towarzystwie sobie podwładnem, nowy i niewidziany zaprowadził porządek. Wychodząc z tej zasady, że aktor nie publiczności, nie sztuce, ale dyrektorowi służy, utrzymywał członków swego towarzystwa w najdespotyczniejszej podległości. Żaden z aktorów nic nie mógł mieć swego, bo wszystko było własnością ogółu; a ogółem towarzystwa, idąc za przykładem

http://rcin.org.pl

Ludwika XIV, który mawiał: „L'Etat c'est moi!“ mianował pan Makary siebie samego.

— Im więcej ma aktor do stracenia, tem mniej pracuje dla dobra ogółu, to jest dla mnie! — mawiał pan Makary. — Wdaje się w zabawy, które go odrywają od zajęć mniej pożytecznych.

A że trudno się bawić bez butów i surduta, aktorowie pana Makarego chodzili po całych dniach w stanie nie zbyt od natury dalekim. Dopiero wieczorem dostawali pożyczanym sposobem buty i inne potrzebne odzienie, które po skończonem widowisku sam własną odbierał ręką i do własnego chował pomieszkania. Aktorki musiały także mniej więcej być w stanie natury, choć niekoniecznie co do sposobu, jakim z nich dla dobra ogółu, to jest swego i swojej szkatuły korzystał.

— Talenta aktorów są oczywiście moją własnością, bo ja je produkuję światu — mawiał dalej tonem przekonania. — A że znaczna część talentu aktorki jest w jej wdziękach, więc i jej wdzięki należą do przedmiotów, które mam prawo obrócić na korzyść moją. Muszą to robić co ja chcę, bo ja dyrektor; ja wiem najlepiej, co mi korzyść przynosi. Publiczność, to rola urodzajna, którą Bóg przeznaczył na pożytek dyrektorów teatru; aktorowie zaś i aktorki są to moje narzędzia rolnicze, które ja, dyrektor, wiem najlepiej jak użyć, abym miał plon sowity.

— Jakże się żywią? — pytał zakłopotany Jan.

— Wikt daje nam dyrektor — odrzekł Franciszek.

— Jakiż wikt? — pytał dalej Jan, obdarzony apetytem prawdziwego krakowiaka.

Franciszek wskazał rogóżkę swoją z gestem wiele znaczącym i odrzekł:

— Odpowiedni strojowi, nie wykwintny! ale jak twierdzi dyrektor, prawdziwie narodowy i zdrowy. Jakoż nie przypominam sobie, bym miał kiedy niestrawność. Słoma na plecy idzie, a mąka i krupy do żołądka.

— A gażę płaci wam? i jaką?

— Płaci najregularniej ostatniego każdego miesiąca, i gaża nie zła. Ale zobaczysz!

Stali już przed pomieszkaniem dyrektora, który przytykał o muz przybytek. Za chwilę stał już Jan przed panem dyrektorem, którego pokój był wcale ładnie umeblowany i we wszelkie wygódki zaopatrzony. Wyprawiał właśnie pierwszą aktorkę, wcale ładną brunetkę, wytwornie ubraną, do rotmistrza od huzarów, wielkiego protektora sceny dramatycznej, i ojcowskie dawał jej nauki i napomnienia.

Pan Makary zrobił wielkie na naszym Janie wrażenie, mianowicie swoim szlafrokiem perskim i długim cybuchem o sporym bursztynie. Bo zresztą powierzchowność pana Makarego nie miała w sobie nic szczególnego. Niewielkiego wzrostu, gruby, miał twarz tłustą, pucułowatą, żadnym wyrazem nieodznaczoną, chyba tą okrągłością i czerwonością, świadczącą o dogadzaniu żołądkowi. Oczy miał niewielkie, ale za to żywo biegające w koło, z wyrazem niepewnym, badającym, ciekawym i chciwym. W ładnem pomieszkaniu i pysznym

http://rcin.org.pl

szlafroku, wyglądał nieco pan Makary na lokaja, ubranego w strój swego pana, a ruchy przypominały wczorajszego ulicznika, któremu loterja posłużyła. Pan Makary przyjął naszego Jana bardzo łaskawie, i zaczął go wypytywać o role, w jakich występywał. Za każdą odpowiedzią krząkał i puszczał dymy rzęsiste, dla dodania sobie powagi, której mu natura odmówiła.

— Ale cóż więcej umiesz? — pytał dalej.

— Jakto, co więcej? — zawołał Jan zdziwiony.

— No! naturalnie!... jużciż nie urodziłeś się aktorem, więc przecie musisz coś więcej umieć z rzeczy, które prócz aktorstwa mogą ci się na co przydać w życiu.

— Piszę nie źle, i nieraz przepisywałem w Krakowie.

— No! no! to wiele — i spojrzał na parę pułek, zapełnionych dobrze obdartemi manuskryptami grywanych sztuk.

— Lecz co więcej umiesz przecie?

— Mój ojciec był szewcem; to ja tam trochę się od niego nauczył...

— Łatać buty!... i to pożyteczne dosyć... Ale jak w gospodarskim, w domowym zawodzie, czy nie umiesz się czem zająć... naprzykład przy kuchni!

— Ta zapewne! po śmierci ojca nieraz pomagałem matce przy kuchni... i matka chwaliła mnie dosyć.

— No! no! dobrze moje dziecko! zaraz przekonamy się o talentach twoich, właśnie uciekł wczoraj ten łotr, co grywał starych ojców.

— Ja tylko nie wiem czy starych ojców potrafię?...

— Głupiś mój synu!... On był także kucharzem towarzystwa... Ale ja pomyślę i o rolach dla ciebie... a tymczasem moje dziecko idź do kuchni. Panna Józefa jak wróci od rotmistrza, da ci instrukcją, co masz gotować...

Zgłupiał biedny Jan, bo cóż miał robić. Taki to już był obyczaj u pana Makarego; każdy aktor musiał się czemś jeszcze zajmować, byli nawet tacy, którzy w braku innych talentów domowych drwa rąbali. Biedny Jan musiał kuchcikować pod nadzorem panny Józefy, która zajmowała się wewnętrznem gospodarstwem pana dyrektora. Ciężkie przebył życie biedny Jan, bo pracował dzień i noc. Na brak ról skarzyć się nie mógł, bo pan Makary dawał mu role najrozmaitsze, nie pytając zupełnie o jego zdolności. Zacny dyrektor tego był zdania, że człowiek wszystko zrobić z siebie może i że aktor wszystko odegrać może i musi, co mu dyrektor odegrać każe. O sposób odegrania nie szło mu zupełnie.

— Mają afisz ładny — mawiał w takim razie — mają sztukę nową o rozbójnikach, prawdziwy dramat ludowy, trzy dni napociłem się, aby cztery akta autora podzielić na 10 pór, i wymyśleć dla każdej pory ciekawy napis, wszystkie role są zajęte; czegóż więcej mogą sobie życzyć?...

Biedny Jan schudł, zmizerniał i czekał tylko na koniec miesiąca, aby gażę odebrać i uciec co rychlej z pod patryarchalnej opieki pana Makarego. Przyszedł nareszcie ten gorąco oczekiwany

http://rcin.org.pl

ostatni. Po wieczornem widowisku zeszli się wszyscy aktorowie i aktorki do pomieszkania pana dyrektora, który przyjął ich czulej niż zwykle, nader popularnie, po ojcowsku prawie.

— Moje dzieci przystąpimy do rachunku, bo u mnie akuratność i uczciwość idzie nad wszystko. Ale pierwej napijmy się ponczyku.

Aktorowie i aktorki ze spuszczonemi nosami przystąpili do ponczyku; ale ponczyk był niezły, robiony i podawany przez pannę Józefę, której oczy piękne świecące w około, nowej dodawały przyjemności temu wieczorkowi, i niejednego upoiły mocniej od ponczu.

— Nie taki przecie djabeł straszny jak go malują! — mówił Jan sam do siebie, nie mogąc pojąć tych wszystkich twarzy przeciągniętych.

Szklaneczka następowała po szklaneczce, humor się poprawiał, stawał się nawet pustym i wesołym; wszystkie twarze rozjaśniały się mimowolnie.

— Bawcie się i pijcie moje dzieci — powtarzał pan Makary zacierając ręce i uśmiechał się a oczkami strzelał po wszystkich, z wyrazem który przypominał nieco wzrok bazyliszka magnetycznie pociągający.

Gdy już wszyscy byli pod dobrą datą, panna Józefa przystawiła stolik i podała karty.

— Ot chyba zagramy sobie dla przepędzenia czasu.

— Ależ ja nie umiem! — ozwali się niektórzy dawniejsi, których widok kart trzeźwić zaczynał.

— Halbecwölwe! to bardzo pojedyncza i łatwa gra!

— Ja nie umiem grać, ja nie będę grać! — zawołał Jan, ja nie mam pieniędzy.

— To nic nie szkodzi! — odrzekł pan dyrektor — Ale dajże no moja Józiu ponczyku panu Janowi. Na co pieniędzy! — mówił dalej — mamy marki.

Ponczyk podany w tej chwili był jeszcze lepszy i jeszcze mocniejszy, a oczy panny Józefy jeszcze żywiej świeciły; humor był wesoły, halbecwölwe nie trudne, a dyrektor tak luby i czuły, że nie godziło się jakoś odmawiać mu. A więc zasiedli wszyscy do gry, dopijając ponczyk coraz mocniejszy, i upajając się urokiem czarnych oczów coraz ognistszych. Pan Makary trzymał bank, mieszał karty z zadziwiającą szybkością, i ciągle uśmiechał się słodziutko, a patrzał magnetycznym i coraz więcej iskrzącym się wzrokiem na swoich podwładnych i leżące przed nimi marki. I marki przesuwały się z fatalną szybkością do miseczki pana dyrektora. Zgrani żądali więcej marków; podano im je do pewnej ilości, której pan Makary przekroczyć nie dawał...

— Nie trzeba się zapalać w grze — mówił po ojcowsku do zgranych.

Czasem tylko wyższy pozwalał kredyt aktorkom i to naturalnie mając wzgląd na tę część talentu, którą w aktorce cenił najwięcej.

Panna Józefa krupierowała tak zgrabnie, jak zgrabnie pan Makary mieszał i karty wyciągał; za godzinę wszystkie marki prze-

http://rcin.org.pl

szły do pana dyrektora, całe grono artystów było zgrane i spite należycie.

— Czas już spocząć, moje dzieci — ozwał się pan Makary — ale naprzód przystąpmy do wypłaty gaży, odtrąciwszy różnicę gry.

Rachunek był jasny i czysty. Nikomu się nic nie należało; wszyscy odeszli jak zmyci, by przespać przyjemność tego wieczora. Tym sposobem członkowie trupy pana Makarego nie mogli się zepsuć rozrywkami tyle podług niego aktorowi szkodliwemi.

Biedny Jan zbudziwszy się, zaczął przeklinać i dyrektora i siebie. On się cieszył, że będzie mógł posłać co matce. Co tu robić? kusa rada! Szczęściem przypomniał sobie, że mu ojciec chrzestny darował parę staroświeckich sprzączek z kamykami. Przedał więc je, większą połowę ceny posłał matce, a sam puścił się z maleńką resztą w dalszą podróż.

— Wszystkie prawie miasteczka polskie odwiedziłem z rozmaitemi towarzystwami — kończył Jan opowiadanie swoje — różnych doznałem kolei, i przekonałem się, że powodzenie i teatru samego i członków, zależy głównie od dyrekcji teatralnych. Ciekawe w tej mierze mógłbym opowiedzieć szczegóły, lecz już późno i nie wiele panu z tego przyjdzie. Dostałem się wreszcie do Żytomierza. Tu mnie się nie źle powodziło, nabrałem przez ten czas więcej rutyny, i chociaż nie przypisuję sobie znakomitych talentów, publiczność lubiła mnie dosyć. Sprowadziłem biedną matkę, która tęskniła za mną, poznałem się z Zosią... i teraz puszczam się na nową wędrówkę.

— Dla czegóż porzucasz Żytomierz, w którym jak sam twierdzisz dobrze ci się powodziło?

— Nie wiem czy pan wierzy w przeznaczenie; ja wierzę w nie i przekonany jestem, że ów pan Makary, którego poznałem w Lublinie, jest moją na tym świecie fatalnością. W czasie wędrówek moich zdybywałem go razy kilka, i zawsze zdybało mnie wówczas jakieś nieszczęście. Owoż przed kilku miesiącami nastała w Żytomierzu zmiana dyrekcji, i pan Makary został naszym dyrektorem. Uciekam więc dalej.

— A drudzy?

— Jednych wygoniło także Makarego postępowanie, a drudzy przyłączyli się przez zwykłą naszemu stanowi niespokojność, która nie pozwala nam długo zagrzać jednego miejsca, do Krzemieńca, gdzie się nowe zbiera towarzystwo.

Księżyc już zaszedł, i pierwszy zaświecił brzask jutrzenki, gdyśmy weszli do karczmy. Za godzin parę pożegnaliśmy się wszyscy, nie bez scen tragicznych ze strony pani hrabiny, którą odwiozłem do miasta.

Długi czas tkwił mi w pamięci ten epizod z życia mego, lecz jak wszystkie myśli i uczucia ludzkie, zacierał się pomału, tak, że gdy w lat kilkanaści później tą samą drogą wjeżdżałem do Żytomierza, jako chłodną ledwie pamiątkę przywitałem ową karczmę, w której przepędziłem noc całą z Janem, Zosią i całem aktorów gronem. Miałem

http://rcin.org.pl

zimować w Żytomierzu, oglądnąłem się zatem za wszelkiemi zabawami, jakie mi przez zimę to niewielkie miasto nastręczyć może. Jedno z pierwszych moich pytań do żydowskiego Miszuresa było:

— Czy jest teatr polski?

— Aj waj! duże śliczny teatr. Same nowe i kapitalne aktory grają, a jakie aktorki. Achesmir. Nowy dyrektorz stara się o same przystojne aktorki, i wun ma w tem wielki i delikatny rozum.

Wyszedłem na miasto i przekonałem się, że nie oszukał mnie żydek. Na pierwszym bowiem rogu przylepiony był olbrzymi afisz, czerwonemi jak palec długiemi drukowany literami. Myślę sobie, pewnie nowa sztuka! Czytam tytuł starej jak świat sztuki, z dodatkiem przymiotnika wznowiona.

— Szarlatanerja! — pomyślałem sobie, i westchnąłem na myśl, że bez pewnej porcji tej szarlatanerji nie można się obejść w świecie.

Lecz przekonałem się, że i zbytek onej staje się na końcu nieznośnym, jak to nam dowodziła codzień dyrekcja teatru żytomierskiego. Codzień afisze były ogromne, codzień innej barwy, codzień byczemi drukowane literami, i codzień prawie stare dramata i komedje oklepane należycie, z tym dodatkiem: wznowiona, mającym niby wzbudzać ciekawość i ściągać widzów. Dobór sztuk odpowiadał zupełnie tej szarlatanerji. Nie dosyć, że grywano same stare sztuki, ale z pomiędzy starych wybierano najgorsze, mianowicie dostrzegłem wielkie dyrekcji upodobanie w sztukach rozbójniczych. Co niedziela walono jakichś sławnych i niesławnych rozbójników ze wszystkich stron świata; zdawało się prawdziwie, że dyrekcja robi taki wybór, dla jakiej kalabryjskiej publiczności, w epizodach rozbójniczych zamiłowanej. Oczywiście w takich sztukach sensu mało, jeno wiele huku, puku i strzelania; a co do sensu moralnego, któryby wpływał na publiczność, co właściwie jest głównem sztuki dramatycznej zadaniem, tego wcale nie było, lub był najgorszy. Bywając w teatrze, nieraz przekonałem się, że dyrekcji zupełnie nie szło o sztukę, która haniebnie była poniewieraną. Dyrekcja widocznie uważała publiczność za dojną krówkę, i biedna publiczność dawała się doić, nie przez głupotę, ale przez poczciwe zamiłowanie w języku ojczystym, który chciano słyszeć choć przez parę godzin wieczornych. I na jakąż nazwę zasługuje w takim razie dyrekcja teatru, która z tak szlachetnych pobudek korzysta dla własnych brudnych zysków i poczciwej publiczności odpłaca się każeniem sztuki i zabijaniem sceny?

— Któż jest dyrektorem teatru? — zapytałem raz sąsiada mego w teatrze.

— Niejaki pan Makary.

Zrazu nie uderzyło mnie to nazwisko, lecz gdy wyszedłem z teatru, zacząłem sobie przypominać i przypomniałem rzeczywiście cały ów epizod i opowiadanie Jana.

— Może i on tu jest! — pomyślałem, lecz nie wiedziałem jak się dowiedzieć, bo nie znałem tylko imię jego.

Zamyślony wszedłem do cukierni, by niesmak z teatru wyniesiony zabić trunkiem dobrym. Pusto było w cukierni; sam tylko

http://rcin.org.pl

jegomość jakiś siedział w kącie i czytał gazetę. Twarz miał poczciwą, ale były na niej ślady nie tyle wieku ile rozmaitych przykrych zapewne przejść życia, które niestartym wyciskają się śladem na twarzy ludzkiej. Mimowolnie patrzałem na niego z pewnem zajęciem, choć go widocznie nie znałem. Lecz i on spoglądał ku mnie razy kilka z pewną ciekowością. I gdy się tak skrzyżowały spojrzenia nasze, krzyknęliśmy na raz obydwa. Poznałem owego Jasia młodego jeszcze przed laty kilkunastu, kochanka Zosi, któremu tak szczerze wówczas zazdrościłem, a co najwięcej, przypomniałem sobie owe lata młode, z całym skarbem swych najpiękniejszych złudzeń. Przywitaliśmy się oba westchnieniem, puszczonem zapewne za tem, co minęło i czego żadna już siła wrócić nie może.

— Więc znowu w Żytomierzu? — spytałem go.

— Znowu? — odrzekł — i znowu pod dyrekcją pana Makarego, który stał się dla mnie wyraźnem prześladowaniem losu.

— A matka twoja żyje? — zapytałem.

— Żyje biedna staruszka. Odwiedź mnie pan jutro.

Nazajutrz odwiedziłem go. Mieszkał w lichej chacie przedmiejskiej. Przyjął mnie serdecznie i zaprowadził do drugiej izby. W kącie siedziała siedmdziesięcioletnia staruszka, ślepa zupełnie, aż przykro było patrzyć na nią. Słysząc szmer, jakiś, podniosła się, i zrobiła kilka kroków oparta na szczudłach. Ślepa i kulawa!

— Patrz pan, to moje przecie jedyne szczęście na tej ziemi. Oślepła biedaczka ze starości i z płaczu, bo nie miałem nigdy wielkiego powodzenia. Nie dosyć na tem, przed kilką miesiącami, wieszając coś na ścianie, upadła z krzesła i nogę złamała. I wyobraź pan sobie, sama jedna bez pomocy, leżała na ziemi półtrupem; to był wieczór, ja grałem w teatrze: szczęściem Sznaps był przy niej.

— Sznaps żyje?

— Patrz pan!

Za krzesłem staruszki na starym sienniczku, leżało biedne chude psisko; ślepy i głuchy już, instynktem tylko czuł bytność swego pana, i omdlałym ruchem ogona radość swą okazywał.

— Póty wył biedak przy bezprzytomnej matce mojej, póki nie nadeszli sąsiedzi; podnieśli ją i posłali po mnie. Ja właśnie występowałem w tej chwili na scenę i musiałem grać rolę komiczną, musiałem śmiać się, a łzy, piekące łzy, padały mi na serce. To była okropna chwila; reszta włosów posiwiała mi na zmęczonej głowie. Pobiegłem do domu i cztery miesiące musiałem pielęgnować biedną staruszkę, i niemniej przeto co wieczór, z bólem i rozpaczą w sercu występować w teatrze. Tak można oszaleć!

— Drogi Jasiu! — ozwała się staruszka słabym głosem, i ślepe oczy zabłysły dwoma łzami.

— Otóż to dla niej! — mówił Jan dalej — znoszę wszystko, bo gdybym stracił moją posadę, cóż ta biedna staruszka zrobi bezemnie. Póki byłem młody, ufałem we własne siły i rzucałem się w świat odważnie. Dziś stary nie wierzę już moim siłom, własnemu

http://rcin.org.pl

nie ufam talentowi. A nagroda! kij żebraczy może! Taki to los artystów u nas!

Przykro, serdecznie przykro mi się zrobiło; i chcąc myśl odciągnąć od tego smutnego obrazu, zacząłem się oglądać, jakbym szukał czego. Nie śmiałem go zapytać, lecz on odgadł myśli moje.

— Gdzie ona? gdzie Zosia? chcesz pan pytać — przemówił z gorzkim uśmiechem. — Ja jej nie porzuciłem.

— A więc ona?

— Aż do Krzemieńca była mi wierną. Pamiętasz pan ową noc, jak odchodząc mówiła: kocham, kocham, kocham!

— Pamiętam jakby dzisiaj!

— Mało co dłużej trwała jej miłość od ostatniego echa tego słowa.

— I cóż się z nią stało?

— Co się z wszystkiem dzieje na świecie, co z kwiatem, co z człowiekiem! Patrz pan na moją siwą głowę, patrz pan na siebie samego! czyliż nie pojmiesz i nie wyobrazisz sobie, co się dziś dziać może z tą śliczną, świeżą Zosią?

— I nie zdybałeś jej odtąd nigdy?

— Raz tylko!... jechała powozem i uśmiechnęła się do mnie bardzo uprzejmie.

Smutny wyszedłem z ubogiej chatki. W kilka dni wypadło mi niespodzianie wyjechać z Żytomierza i udać się w zupełnie inne strony, na Litwę. Jadąc raz w zimie, zdybuję w drodze jakiegoś podróżnego, w lekkim surduciku i w podartem obuwiu, idącego ku Wilnu. Litość mię wzięła nad biedakiem, mróz był kilkunasto stopniowy.

— A dokąd to idziecie? — zapytałem, zamyślając podróżnego wziąć do sanek i otulić od zimna.

— Do Wilna, panie!

— A z daleka?

— Z Żytomierza.

Nazwisko tego miasta i dźwięk głosu, gdzieś mi znajomego, spowodowały mię, iż bliżej wpatrzyłem się w podróżnego. Na Boga! to mój dawny znajomy, to Jan! Otuliwszy go jak mogłem w sankach, wstąpiłem z nim do najbliższej karczmy, bo biedny Jan był głodny i skostniały od zimna. Tu mi opowiedział, iż pan Makary oddalił go z teatru Żytomirskiego, w chwili gdy był bez grosza, a oddalił za jakieś uchybienie na próbie gospodyni jego domu. Jan ślepą staruszkę matkę musiał umieścić w szpitalu tymczasowo, a sam z wiernym pieskiem wśród tęgiej zimy wędrować, o żebranym prawie chlebie, do Wilna i szukać tam nowego utrzymania.

Oto jest los aktorów polskich! —

http://rcin.org.pl

BAŁAGUŁY

Wjazd do Berdyczowa.

(Pierw. wyd. 1842.)

Zbiór domów, domków i chałup drewnianych, przystrojonych tu i owdzie wystawami żydowskiej fabryki, a co gorsza, żydowskiego smaku; brud na ulicach wielki, jeszcze większy w domach, a największy w duszach zwyczajnych mieszkańców, po większej części żydów; bruk z kamieni w taki sposób ułożony, jakby te kamienie lutnią Orfeusza pobudzone, do wesołego wzięły się tańca, a za raptownym muzyki przestankiem, w różnych postawach do spoczynku stanęły; bruk który wygląda jak morze bałwanami kamiennemi sterczące; bruk straszny dla pieszych, zabójczy dla jadących, morderczy dla panów — to Berdyczów, miasto sławne na ziemi polskiej; nie drukarnią, chociaż się i ta tam znajduje, nie historycznemi pamiątkami, chociaż dawny klasztor karmelitów wysokiemi murami i basztami silnemi wygląda jak wiekowa forteca, świadek mnogich pamiątek; ale jarmarkami, na które liczne stada koni, bydła i ludzi dwa razy do roku w letnią ściąga się porę. A jarmark berdyczowski, to król jarmarków; to wrzask złożony z tysiąca krzyków różnorodnych, przechodzących przez gamę nieznaną w żadnej muzyce; to tumany pyłu i kurzu; to ruch niesforny, ścisk i gmatwanina ludzi i bydląt; jarmark berdyczowski to istny chaos!...

Owoż jedziemy na jarmark. Z różnych stron ściągają się wszelakie edycje powozowe, gdzieś z borów poleskich, ze stepów ukraińskich, z rozdołów podolskich jadące. A słońce z góry pali nielitościwie, słońce czerwcowe... W taki dzień parny, w samo południe dnia 14 czerwca 1840 r. na drodze, która od Lubaru, pominąwszy januszpolskie lasy, stepem się ciągnie, niedaleko już miasteczka, między nową osadą żydowską, a samem miastem, dwa tumany kurzu postępowały ku sobie; jeden leniwo, rozwlekle roztaczał się w szerz drogi w regularnych i jednostajnych zarysach od Lubaru; drugi ciemniejszy, przeciąglejszy, zmianami kształtów i barw jak bałwanami buchający, szybkością burzy wzdłuż drogi leciał od miasta. Tam od Lubaru trzy konie wypasione i wysłużone, zadyszane i okurzone

http://rcin.org.pl

ciągną powoli długą brykę na żółto pomalowaną. Turkocze po drodze sędziwa dryndulka, dobrze wypchanemi robiąc bokami i trzęsąc za każdym kół poruszeniem głowę szerokiej i niezgrabnej budy; a w niej opasły szlachcic rozparł się w olbrzymim, parasolowym kapeluszu słomianym, z pod którego spokojnie przed siebie spoglądają wydane na wierzch oczy i twarz księżyca w pełni zarumieniona, posypana warstwami pyłu i oblana strumieniami potu, które z pod słomianego sączyły się kapelusza. Szeroki, systematycznie wypasiony brzuch wydobywał się przemocą z popielatego, obszernego chałata *). Tumanem od miasta leciało dziewięciu konnych; kto oni byli? nie rozpoznasz, ani po maleńkich chudych długogrzywnych koniach, ani po twarzach ogorzałych, ocienionych różnobarwnemi włosami wąsów rzęsistych i bakenbartów zawiesistych, ani po sukniach dziwacznych kształtem i doborem barw; były to same kurtki w paski, w kwiatki, w palmy; same szarawary skórą obszyte; same kańczuki długie i długo zawieszone; a fajki drewniane, szerokie, we wszech ustach; a na rozczochranych głowach najdziwaczniejszych kształtów czapki, z kiepska po turecku długiemi kutasami przystrojone. I zbliżają się te dwie chmury ku sobie. Z marzeń jarmarkowych zbudzony szlachcic spojrzał przed siebie i splunął. — Tfu! to jakieś komedjanty, mruknął pod nosem. — W gronie jeźdźców środkiem jadący, na szpakowatym koniu, który się rączością i wyrzutem nóg od drugich różnił, wysmukły, jasnowłosy młodzieniec, z którego dosyć zwyczajnych rysów strzelał czasem wyraz dowcipny, spojrzawszy na spokojną i bezbronną opasłość szlachcica, wykrzyknął do obok jadącego karczystego, barczystego i zamaszystego jeźdca:

— Patrz Władziu, to wolarz jakiś jedzie!

— I do woła podobny — basem gardłowym zabrzmiała odpowiedź.

— Medytuje jakimby sposobem okpić szlachtę na jarmarku chudemi wołami swemi — ozwał się trzeci niemniej barczysty jeździec, którego twarz szeroką i poczciwą hojne przyrodzenie orlim nosem jakby na kpiny obdarzyło.

— Tak jak ty Bolesławie nam swego jasnokościstego stępaka za rasowego chcesz przedać konia — odezwał się czwarty, cienkim, szepleniącym głosem, którego przystojną twarz szpeciły okulary.

— No! no! Stasiu, bez przytyktów — przerwał pierwszy.

— Ty go zawsze protegujesz mój Antoni!

— Cóż za chamska facjata! — krzyknął inny.

— A przepraszam, to bernardyńska fizys! — ozwał się chrapliwy głos, wychodzący z długiego, chudego bruneta, którego twarz była najmniejsza i bodaj czy nie najgłupsza.

— Z Felicjanem trzymam; to Bernach!

— Zapewne! gnojem śmierdzi o sto kroków.

— Ale wolarz, kapitalny wolarz!

— A wiecie co? — krzyknął dojeżdżający na kasztanowatym

*) Chałat jest to szlafrok letni, używany w Rosji do podróży pod tem nazwiskiem.

http://rcin.org.pl

bez piersi, bez tyłu i bez nóg koniku, młodziutki chłopak, którego twarz najwięcej miała powabu, bo była na niej piękność młodości niestartej jeszcze zupełnie hulanką i rozpustą — zróbmy mu jakiego figla.

— Brawo Adasiu! dobra myśl! — wyrzekł panAnt oni przyzwalającym głosem pana dyrektora.

— Brawo! figla, figla temu bajtale!

— Patrz jak nie ustępuje z drogi!

— I kurzy nam pod nos!

— Nawet uśmiecha się patrząc na nas!

— To jakiś totumfacki bogatej jakiej wdowy.

— Czy nie z Zasławia?

— O! przy tej nie utyłby tak doskonale!

— Ale mniejsza o to; cóż mu zrobić? No! Antoni zakomenderuj! — I już są o kilkanaście kroków od wlekącej się bryki. Zwolnili biegu; a pan Antoni przyzwyczajonym do przewagi głosem, podkręciwszy wąsa, wyrzekł: — za mną chłopcy! uważajcie na mnie! — Hurra! na wraha!

— Hurra! — wrzasnęli wszyscy, i przeganiając nowym popędem wzniecony tuman kurzu, który jak ogon mglisty ciągnął się za nimi, stanęli, jak szeroka droga, przed zdumionemi końmi, woźnicą, szlachcicem i małym kozaczkiem, który dotąd drzymał z tyłu na tłumoku.

— Popędzajże konie Wojtku! — ozwał się gruby głos szlachcica.

— Ależ panie! kiedy drogę zastąpili, — odpowiedział Wojtek, który z głupiuteńką miną w jednej ręce trzymał bicz wzniesiony, a drugą sięgał po wełnianią czapkę, spoglądając na groźne jeźdców postawy.

— Hau! hau! — wrzeszczał szlachcic głosem na rozległych łanach przyzwyczajonym, a czerwone jego policzki karmazynem się okryły.

Milczenie zupełne między nieruchomymi jeźdcami; jakby w ziemię wrośli.

— Do stu kop djabłów! z drogi! — wrzeszczał siny już szlachcic; a głos jego godny był organisty jeżeli nie organów.

Grobowe milczenie, jakby dziewięć posągów stało na drodze.

— Tam do krocset beczek, ruszaj ty psi synu! — krzyknął głosem, któremuby nie jeden pułkownik pozazdrościł, a myśliwy gdyby posiadał, nie dźwigałby trąby po kniejach.

Milczenie i nieruchomość twarzy, postaw i koni odpowiedziało na nowo.

To milczenie zadziwiło nieco szlachcica i coś nakształt wiaterku uczuł wzdłuż pacierzowej kości.

— Proszę się ustąpić! — zwyczajniejszym, domowym odezwał się głosem.

Milczenie zupełne odpowiedziało na nowo. I pomału raptownym zwrotem koni rozsunęli się jeźdcy półkolem otaczając bryczkę; cugle puszczone opadły na końskie szyje. I wyciągnął pan Antoni lewą rękę od ucha, skurczył palcami prawej ręki i uroczystym ruchem jakby smyczkiem przeciągał niemi po tamtej ręce. A pan Władysław wydął szerokie policzki i w skupione pięście obydwoch rąk dmie cichym

http://rcin.org.pl

ruchem ust jak w trąbę. A młody Adaś małemi palcami przebiera po powietrzu jak po dziurkach urojonego fleciku. A pan Bolesław wali palcami przed siebie jakby w bęben; a pan Felician dziwnie misternie przebiera palcami jak po arfie, istny Ossian jarmarkowy; a pan Stanisław uciął w żele; a ten w dzwóneczki; tamten w teorban; a ów coś kiwa palcem koło ust jak na drumli. I zaczyna się ruch po ruchu, takt po takcie, dziwaczna muzyka bez głosu, cicha, prawdziwa muzyka duchów. Coraz żywsze ruchy, coraz szaleńsze ruchy, grają instrumenta zawzięcie bezdźwięczną symfonię. Są przestanki, pauzy, widoczne przejścia z czarującego adagio w szumne, wściekłe allegro! Są nawet kunsztowne sola, są duety, tercety, kwartety wyśmienite, i znowu upadnienie całej muzyki. Jest jednem słowem cała serenada cicha jak grób, a nieustanna, a szalona jak życie. I taka cichość panuje, jakby czarem jakim zaniemiały potrętwiałe języki. Wojtek obie oczy wraz z szeroką gębą rozwarł szeroko; kozaczek nieruchomy z za budy wygląda, i w zastraszonych oczach drżą powieści wieczornic wiejskich. Szlachcic opasły lśni się od potu, który coraz kropliściej zcieka. Ogląda się w koło siebie; patrzy na te ruchy muzyczne, wpatruje się w tę całę orkiestrę, mruga oczami jakby się chciał przekonać czy nie spi, by się lepiej zapewnić, patrzy na każdy instrument z osobna, jaky chciał po ruchach poznać głos, którego słyszyć nie może. Na ostatnim instrumencie spocząwszy okiem, rozjaśnił rumiane policzki, weselsze spojrzenie strzeliło z oka, uśmiech otworzył usta obdarzone wzorowemi zębami. — Iskra! krzyknął, Iskra chodź tu! — Zeskoczył kozaczek Iskra z tłumoka. — A dajno mi nahajkę moją.— I wziął podaną sobie nahajkę, nahajkę historyczną zapewne w jego wiosce, a odrzuciwszy poły chałata, by wyraźniej pojawił się brzuch jakich mało, zgrabnie i w takt do ruchów orkiestry, przesuwa po nim nahajką jakby smyczkiem godnym takiej basetli. I gra nowy instrument, którego brakowało dotąd wybornie, przecudownie, po mistrzowsku. Huknął śmiech głośny, rubaszny, szczery w koło; szalonym, niewstrzymanym śmiechem zagrała cała orkiestra.

— Brawo! brawo! tęgiś! Lach! — To brat szlachcic! — Godny nas! — krzyknęli w około.

— Dobrześ się znalazł kolego! — rzekł pan Antoni z uśmiechem, który byłby przyjemniejszy, gdyby mógł być szczerszy. — Dobrześ się znalazł; to twoje szczęście! — Wiwat basetla! — I mój smyczek wiwat,— krzyknął szlachcic wstawszy na bryczce, i żylastą ręką machnął dziwnie dobitnym ruchem nahajką za odjeżdżającymi.

Bo już konie zwróciły ku miastu, i jak sen, jak mara znikli z przed oczu zgłupiałego do reszty Wojtka; znikli szerokim płaszczem kurzu osłonięci, po którym złotemi nićmi lśniły słoneczne promienie.

— No ruszajże ty durny gamuniu! — rzekł szlachcic, ocierając pot kolorową, bawełnianą chustką, i znowu zapadł w gnuśną dawną spokojność swoją. — Już też koła zaczęły szalonemi ruchami podskakiwać po bruku berdyczowskim, a za niemi brzuch i trzy podbródki jegomościne, gdy na niskim, szeroko, piersistym, grubonogim, brudnokasztanowatym stępaku z konopiastą grzywą podjechał do bryczki z miasta jadący, niski, krępy, podsadkowaty jegomość, w płótnianym

http://rcin.org.pl

niby surducie, niby czamarze, z nahajką dwułokciową u szerokiego pasa skórzanego. A zbliżywszy się zdjął z uszanowaniem słomiany kapelusz z zieloną wstążką, i uchylił łysą głową mocno zaczerwienioną, czy od słońca, czy od śniadania? nie wiem.

— A witam mości Sagasiewicz!

— Ściskam nóżęta jaśnie pana.

— Jakże się waćpan masz?

— Z respektem powiedziawszy, jak to na jarmarku; wyjechałem na przeciw jaśnie pana, którego się już od godziny spodziewałem.

— Ba zapewne!.. ależ powiedz mi waćpan, czy zdybałeś dziewięciu jeźdców na koniach, notandum dosyć kiepskich.

— A zdybałem jaśnie panie! i prawda że za te konie wszystkie nie dałbym mojego grzywacza, chociaż to powiadają, że te ich konie jakieś czerkieskie, a mój, jak jaśnie pan pamiętasz po białej kobyle...

— No powiedzże mi, czy nie wiesz kto oni są?

— A to są, z respektem powiedziawszy, Bałaguły.

— Jakto Bałaguły! — A Bałaguły jaśnie panie. — Co też waćpan pleciesz, i cóż to za licho te bałaguły? — Bałaguły jaśnie panie to nazywają się furmany po żydowsku. — I cóż ztąd? wszakże to nie żydy, raczej do tatarów podobni.

— Oni są chrześcijanie jaśnie panie, ale jak już powiedziałem nazywają się, z respektem powiedziawszy, Bałaguły, i jest ich tu więcej jeszcze w mieście. — Widzę waćpan zawsze głupi jesteś! — Ja to jaśnemu panu sam przyznaję. — Ale mniejsza o to! jakże doszły moje woliki, bez przypadku? — I znikła odpowiedź w jarmarkowej wrzawie, bo już wjechali w same miasto Berdyczów.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SUKNIA BALOWA.

(Wyd. pierw. 1842.)

— Którego mamy dzisiaj? — zapytała z półziewnieniem piękna księżna S* obok której nie tylko dnie, miesiące lecz i lata mogłyby upłynąć niepostrzeżenie.

Podobne musiało być zdanie i zapytanego; po krótkiej bowiem przerwie zapełnionej spojrzeniem przeciągłem i smutnem prawie, odpowiedział: Ja sam rachubę dni straciłem; inaczej z panią się dzieje.

— Mon cousin! masz talent tragiczny, wierzaj mi: łzy a przynajmniej westchnienie żałośne zdołasz wycisnąć z najobojętniejszej rzeczy. Inaczej być powinno w twoim wieku panie... — i przerywa chwilową powagę głośnym i pustym śmiechem. — Nie! ja nie mogę tego imienia wymówić po polsku; niech co chce prawi nasz poczciwy Konarski o potrzebie języka własnego, czyż podobna powiedzieć bez śmiechu panie Jędrzeju!... panie Andrzeju; ależ to imię i w francuskiem nieszczególne, przecież monsieur André lepiej się wydaje, i jakoś gładziej i składniej idzie rozmowa w tym prawdziwie zaokrąglonym języku.

— Lepiej zapewne wydałoby się Auguście.

— A nawet — z roztrzepaniem dodała, — Stanisławie! — i zdybały się dwa spojrzenia wyraziste przez krótką chwilę. Zarumienioną twarz zakryła księżna pysznym wachlarzem z perłowej złotem nasadzanej macicy; młoda zaś twarz młodego Andrzeja nieruchomie w nią wlepiona pobladła od wewnętrznego pomieszania, łez nawet pare zazabłysło na jego pełnych życia oczach. Z łoskotem zsunęła wachlarz, znikła pusta wesołość, powaga udana i pomieszanie niegodne takiej damy, a z oczów dobyło się spojrzenie dawno zapomniane, bo niegodne tych oczów podbijających, które miały, jak twierdzili mnodzy jej wielbiciele, kolor szafiru, a połysk diamentu; było to spojrzenie godne lat młodszych, czułe prawie, bo oczy jej wówczas długiemi ciemnemi rzęsami osłonięte do skromnych fiołków podobne były. — Za-

http://rcin.org.pl

pewne — rzekła — korona ozdobi każde imię, chociażby najbrzydsze, przed światem; ale przedemną ozdobić go więcej zdoła serce takie, jakiem jest twoje. — A widząc poruszenie na twarzy milczącego, dodała z powracającym już dawnym uśmiechem: — dziecko jesteś kuzynku! — i oparłszy rękę bielszą od białej atłasowej sukni, którą miała na sobie, na złożonych jego rękach, jakby sobie do wstania pomódz chciała, lekko skoczyła z wygodnej sofy, pokrytej złocistym w szerokie pasy węzgłowiem i stanęła przed nim w całej okazałości swej postawy wyniosłej, kształtnej i giętkiej, którą cała Warszawa podziwiała. Mimowolnym ruchem zatrzymał piękną rękę hrabia Andrzej i złożył na niej pocałowanie za ogniste jak na kuzyna. Przemknęła rączym biegiem krótka ta chwila dla księżnej S*; spojrzenie rzucone na wielkie zwierciadło oprawione w złote, dziwacznemi rzeźbami upstrzone ramy, było zbudzeniem światowej damy. — Ale sam będąc tak wielkim zwolennikiem własnego języka i zwyczajów, wybierasz się w podróż za granicę; czegoż chcesz szukać we Włoszech lub w Paryżu?

— Zapewne, ja jadę; było to dawniej jedno z najmilszych marzeń moich, dziś....

— Masz już nawet mon cousin paszport, jak mi mówiono.

— Mam — odpowiedział z westchnieniem śmiesznem w tym salonie, a ruchem ku piersi zwróconym, czy chciał wskazać paszport, który miał istotnie przy sobie, czy przycisnąć serce bijące niezepsutem jeszcze życiem.

Roztargnienie widoczne przez cały ciąg tej rozmowy ciągnącej się już od godziny nie dało księżnie S* dostrzedz tego ruchu pełnego wyrazu, jakoż wracając do pierwszej myśli, rzekła z rodzajem niesmaku wewnętrznego.

— Ależ na moje pytanie nie raczyłeś odpowiedzieć piękny kuzynku! a jest to przecie pytanie ważniejsze dla mnie niż mniemasz.

— Ważniejsze! — z przestrachem prawie przerwał hrabia Andrzej.

— Au nom de Dieu! oddasz się tej sentymentalności, z którą jest ci zapewne do twarzy, ale w świecie wielkim ma ona postać niezgrabną.

— Ja też ją nie dla świata mam, ja ją mam tu w sercu, a przemawiam jej językiem, patrzę jej wzrokiem wtenczas tylko, gdy jestem sam z tobą kuzynko! bo więcej cenię ciebie, niż sama chcesz tego.

— Wierzę, wierzę mój kuzynku! — rąk uściśnienie krótkie ale wyraziste dokończyło reszty. — Dziś jestem roztargniona, źle usposobiona, bo widzisz, ten bal księżny wojewndziny, i dla tego pytam o dzień dzisiejszy, bo prawdziwie nie pamiętam, kiedy bal ten wypada.

— Bal księżny wojewodziny dla króla, dla czego panią tyle obchodzi?

http://rcin.org.pl

— O mój panie! nie lubię pytań, a osobliwie w tym tonie robionych. Bal dla króla, czy nie dla króla, ale bal ma być świetny; wszystko co należy do wyższego towarzystwa, będzie na nim, czyliż nie dosyć by myśleć o nim? Przyjechałeś z prowincji, gdzie zakopany w wiejskiej ustroni przy nudnym, podagrą zmęczonym stryju, nie rozumiesz jeszcze życia miejskiego Mój drogi! bal taki jest dla nas, które już na wielkim świecie żyć musimy, dnieme wielkim, stanowczym, to są nasze dnie bitew, zwycięztwa lub przegranej; czy mniemasz, że my młode i ładne kobiety żądne jesteśmy nowych hołdów? mamy ich dosyć, aż do obrzydzenia! nie te zwycięstwa łechcą nas na balach. O nie te, tam będzie pani krajczyna, tam będzie hetmanowa, tam będą wszystkie piękne, wszystkie młode kobiety.

— Czyż ty kuzynko możesz się bać jakiegokolwiek porównania?

Zbrzydła w tej chwili księżna S*, tak przykry uśmiech pogardy skrzywił usta koralowe. — Zapewne, gdybyś ty był Parysem a my boginie, strojne tylko w przyrodzoną piękność. Tualeta, mój drogi! to jest zbrojownia niewyczerpana. — Czarowne rysy księżny S* pociemniały; myślałbyś, że na czole osiadła myśl głęboka, myśl wnikająca w najskrytsze życia tajniki. — Już podobno kilka tylko dni dzieli nas od tego balu, a dotąd nie wiem jak będzie ubrana krajczyna; i sama dotąd... a ta przeklęta krajczyna przyznać trzeba, umie się ubierać, coż dopiero na bal kostiumowy. Może będzie amazonką?...

— To chyba strojem tylko!...

— Winszuję monsieur André! zdowcipniałeś w Warszawie!...

Drogo ten dowcip kosztował biednego młodzieńca, który słuchając lekkomyślnej rozmowy kuzynki swojej, widział opadające listek po listku najpiękniejsze złudzeń kwiaty. Złudzeniem bowiem była wiara jego młoda w serce tej pięknej czarodziejki złożona, która go na samym wstępie w świat nowy przykuła do zwycięzkiego wozu swego. I zwycięzca nieubłagany postępował z nim jak z niewolnikiem. Były to dwie istoty tak różne od siebie, iż nie wiedzieć; co więcej podziwiać należało, czy cześć bezgraniczną, jaką jej oddawał młody przybysz z krain marzeń, czyli mimowolny pociąg jaki czuła do niego kilkoletnia już obywatelka krainy rzeczywistości; oboje podobno zarówno się na sobie oszukiwali. Hrabia Andrzej C* dwudziestoletni młodzieniec świeżo przybyły do Warszawy z wiejskiej ustroni, gdzie w wolnych, swobodnych chwilach dumania, wymarzył sobie świat szczytny, idealny, urojony, myślał, iż zdybał w psutej, pięknej i uwielbianej od wszystkich kuzynce, dziewietnastoletniej wdowie po starym książęciu S* ten ideał wymarzony, który się nieraz uśmiechał do niego z pomiędzy krzaków ojczystego ogrodu, kołysał na czystych falach rodzinnego stawu, po srebrnych księżyca promieniach złatywał ku niemu. Uczucie, jakie go przejęło na widok tej piękności pierwszej prawie w Warszawie, tak bogatej wówczas w piękne twarze, była to miłość pierwsza, miłość święta, która barwami niezepsutej wyobraźni stroi przedmiot ukochany, która by ubóstwiać kobietę, do godności bóstwa podnosi. Łagodnie i uprzejmie przyjęty od niej,

http://rcin.org.pl

czytał w jej czarujących, wyuczonych w szkole świata spojrzeniach, co tylko sam czytać chciał; jakoż w rzeczy samej, pominąwszy chwilowe roztargnienia i przemijające kaprysy, miała ona dla niego uśmiech najszczerszy, spojrzenia najprawdziwsze. Wrażenie jakie sprawić musiał na przesyconej czcią i jednostajną strawą dworskich pochlebstw młody i niezepsuty wieśniak, urok pociągający jaki jest zawsze w naturze czystej i niewinnej, wzięła księżna S* za uczucie czulsze; poczęści wdzięczną była nawet młodemu kuzynowi swemu, iż zdołał wzbudzić w niej wzruszenia dawno już zapomniane, wzruszenia, które gdzieś daleko za nią pozostały w latach napoły dziecinnych, napoły dziewiczych; wdzięczną mu była za zazdrość jaką wzbudzały jego widoczne hołdy we wszystkich jej współzawodniczkach: hrabia C* bowiem, jakkolwiek go panie światowe na żarty pasterzem arkadijskim, Amadisem, rycerzem smutnej postawy przezywały, był to kąsek smaczny dla wszystkich wiekiem swoim i naturalnością, urodzeniem i majątkiem już posiadanym, a większym jeszcze spodziewanym po starym stryju wojewodzie C*. Podobało się księżnie to bezwarunkowe poświęcanie się młodego człowieka najdrobniejszym jej kaprysom, ta jego bezgraniczna zależność od jej woli i jej widzimisię; pochlebiało jej być samowładną czarodziejką, od której skinienia najmniejszego, twarz jego uśmiechem wesela lub łzą smutku na przemiany poruszana, jaśniała pięknością szczęścia albo większą jeszcze pięknością cierpienia. Chociaż dotąd nie przyszło między nimi do żadnej stanowczej rozmowy, on w niej widział cel najwyższy życia; ona w nim kres konieczny tego krótkiego bytu na wielkim świecie, z którego rozumiała dobrze, iż najlepiej w czas zejść, chroniąc się w dobre małżeństwo; potulność pierwszej miłości brała za słabość charakteru, rokowała sobie zatem, tusząc dobrze o własnej sztuce życia, iż zostawszy żoną zakochanego hrabiego, nie straci wdowiej wolności, tego ideału szczęśliwości kobiet światowych. Myśli te nie były tak dobrze ustalone i wyrozumowane w pięknej ale roztrzepanej głowie wdowy, jak je tu podaję, bo przedewszystkiem wiedzieć trzeba, iż myśli ciągle były zupełnie niezgodne nie tylko z życiem księżny S*, ale nawet z życiem owoczesnem wszystkich kobiet. Życie kobiet w Warszawie, tej tak świetnej wówczas stolicy, różniło się o wiele od życia kobiet dzisiejszych; nie było jeszcze tylu powieściarzów, którzyby nauczyli brać serca cudze i własne pod nóż anatomiczny, uczucia zaś wielkie, rzadkie były na tem świecie, lubiącym używać; tragedje znano tylko, a te są mniej liczne od dramatów, których zupełnie jeszcze nie znano. Życie kobiet przechodziło swobodne bez myśli i uczuć głębokich, bo myśli przerzadzają włosy, których ilość, sztuką perukarza w dziwne kształty spiętrzona, stanowiła wielką część piękności podług owoczesnego rozumienia, uczucia zaś starszemi czynią, a wówczas młodość i wdzięki stanowiły wszystko. Wszyscy żyli w teraźniejszości; ktożby chciał zaglądać okiem błyszczącem młodzieńczym ogniem w przyszłość, by broń Boże ogień ten zwycięski łzami nie spłynął; ktożby chciał czyste jak marmur czoło poorać smutnem przewidywaniem: wszyscy wpatrywali się w to słońce owoczesne Warszawy, w tego zawsze pięknego, zawsze grzecznego, zawsze miłego Stanisława Augusta,

http://rcin.org.pl

którego oblicze spokojne i pogodne ciągle jednostajnym uśmiechem rozpromieniało wszystkie okoliczne planety. Świetny był to czas! my myśleć nauczeni, nie rozumiemy szczęścia, obojętności i lekkomyślności, a przecież dawniej dobrze umiano śmiać się, wesołą nutą przeskakiwać życie, jak Pompeji czarownych i roskosznych muzyk dźwiękiem zagłuszać groźne ryki nad głową wiszącego wulkanu.

Czas jakiś ciągnęła się rozmowa obojga krewniaków, leniwiej niż zwykle; roztargnienie coraz widoczniejsze, niecierpliwości napady, a nawet niezwykłe zamyślenie odbijało się w słowach księżnej i odbierało młodemu hrabiemu odwagę, z jaką przyszedł tą razą po stanowczą odpowiedź. Lecz nawet zapytania zrobić nie śmiał, i coraz smutniejsze, coraz czarniejsze snuły mu się po głowie myśli, na widok tego niezwyczajnego stanu pięknej kuzynki; tysiączne uczucia a wszystkie bolesne krzyżowały się w duszy jego. Zazdrościł biedny nie mając ani prawa do tego, ani wiedząc kogo obwiniać; zazdrość taka bez celu jest najokropniejsza, bo sama w sobie zebrana, nie rozchodzi się ani na gniew, ani na wymówki, ani na słodką zemstę. Darmo rozumem swoim młodym chciał zbadać niezbadaną; czarodziejka równie w światowej rozmowie jak w wejrzeniach wymykała się z przed jego uwag i postrzeżeń, to czułem słowem, to słowem urazy, to głosem drżącym od wewnętrznego wzruszenia, to wyrazem gniewu; jednem słowem natura uległa sztuce; rozpaczą przejęty hrabia Andrzej przeczuwał i przewidywał tajemnicę jakąś, ale odgadnąć jej nie potrafił.

W tem otwarły się podwoje pysznego salonu, w którym tak długo sam na sam w przedwieczornych siedzieli godzinach i rzęsiste następowały wizyty. Pierwsza wbiegła raczej niżeli weszła piękna krajczyna, bo wówczas kobiety piękne i młode nie wchodziły jak dzisiaj poważną stopą; wlatywały, lekkie sylfidy, na skrzydłach szerokich, fałdzistych spodnic, które zastępowały pomału niezgrabne rogówki: kiedy nie było poezji uczuć, poezji wnętrza duszy, była natomiast wielka poezja powierzchowności, poezja życia rzeczywistego, poezja ubiorów, poezja trefionych włosów, poezja pudru różnobarwnego, poezja mowy, tonu, poezja przywitań i uścisków. Jedno z najpoetyczniejszych, a przynajmniej pewnie zmyślonych było przywitanie gospodyni domu z nienawistną krajczyną; jak zaczęły się witać, ściskać, uśmiechem miłym, miodopłynnemi słowy, spojrzeniem przyjaźnem przemawiać, niedoświadczony pan Andrzej uwierzył prawie w ich szczerość, a przynajmniej w dobroć serca swojej bogini, która przebacza tak łatwo urazy swoje do tej głównej nieprzyjaciółki miane; urazy te, wstydząc się może niezepsutej natury młodego człowieka, osłaniała ona tysiącznemi poprawami obmów szkaradnych, chęci szkodzenia, chociaż prawdziwą i główną przyczyną nienawiści było, że krajczyna była piękna i młoda. Wówczas kiedy życie całe było na powierzchni, piękność wszystkiem; wówczas kiedy trzeba było być piękną, albo nie być zupełnie, łatwo wyobrazić sobie można jaka nieprzyjaźń musiała różnić ładne kobiety. A do tego kiedy Parysem

http://rcin.org.pl

był sam król, kiedy dotknięcie czarodziejskiego berła było jabłkiem złotem; kiedy każde jego spojrzenie w salonie, spojrzenie częstokroć obojętnie podzielone między krzesło a kobietę w nim siedzącą, wszystkie piękne kobiety darły między siebie, jak własność swoją ciągnęły do siebie; ile tam nieprzyjaźni wyrość musiało, ile zazdrości! słowo jedno z góry powiedziane, dowolnie tłumaczone przez wszystkie piękności, ile wzbudzało ruchu między niemi! do jakich dziwnych gniewu i udania skrzywień przyprowadzało te wszystkie piękne Pitonissy, które wszystkie chciałyby same jedne być natchnięte tym boskim duchem, same jedne siedzieć na trójnogu łaski i faworów pańskich. Ile tam natrzepały te panie! ile słów dwuznacznych, zgrabnych sztyleciков puściły w siebie! i ani jedno bolu skrzywienie na marmurowych licach nie okazywało się!... Stracona była cała ich rozmowa dla młodego Amadisa; on jeden nie rozumiał, że w tej chwili równoważy się łaska koronowanego Parysa, między te dwie językiem szermierzące zapaśniczki. Zwalczyć siebie, zwyciężyć lub zginąć, było ich hasłem, a polem bitwy, polem tej bitwy ostatniej, stanowczej, miał być bal kostiumowy u księżnej wojewodziny; i że obiedwie kobiety radeby w tej chwili przeniknąć siebie, by się dowiedzieć o zamyślonych przebraniach swoich, te bowiem właśnie stroje miały może rozstrzygnąć los bitwy. On marzył o przyszłem szczęściu, tego który posiędzie cudowne wdzięki pięknej kuzynki; on siebie mniemał tym szczęśliwym, dwudziestoletnią wyobraźnią bujał po nad kwiatami rozkoszy zasłanej przyszłości; dziwnieby się był wydał, gdyby był przemówił językiem swoich myśli, w słowa przerobił marzenia swoje, i wskoczył niemi w środek tej rozmowy.

— Vous dites donc ma très bonne, że najjaśniejszy będzie ubrany jak Apollo!

— Au contraire, ma très chère! c'est vous, która powiada to; ja słyszałam od pana koniuszego, że ma mieć ubiór Ludwika XIV; on dit, że to z rady pana Trembeckiego.

— Je ne crois pas, to Węgierski rozpowiada.

— Mais c'est toujours charmant!... — C'est sublime! — rozległ się okrzyk w około.

— Savez vous ma très aimable, że to myśl przewyborna! — I zapewne jeżeli tak poradził Trembecki, nie chybił obowiązkowi dworaka, pokazał że nim być umie; Stanisław August bowiem miał się poniekąd za Ludwika XIV kraju swego; jeżeli myśl ta wyszła z głowy Węgierskiego, niemniej odpowiadała znanej jego satyryczności; w myśli tej zaiste łączą się najmocniejsze pochlebstwo i szyderstwo najstraszniejsze. Te słów kilka zbudziło młodego hrabiego z rozkosznych marzeń, i mimowolnie pomyślał o stroju własnym; wahał się między orężem rycerza z okrągłego stołu Artiura, a lutnią prowanckiego trubadura: szczęśliwy! on marzył o walce dla pięknych oczu kobiety, on dumał o śpiewce swobodnej... Powtarzam, był to czas ciekawy, czas zdrowia pozornego; a rumieniec rużu i go-

http://rcin.org.pl

rączki z rumieńcem zdrowia, jakże są podobne do siebie, któż nie wie?...

Świetny był to karnawał; obiad po obiedzie, bal po balu następowały bez ustanku; próżne chwile zupełniały wizyty, zaloty, plotki, których wówczas było w Warszawie. Szybko zatem uleciały dnie, które jeszcze dzieliły świat piękny od oczekiwanego balu; szybko dla wszystkich, szybko nawet dla młodego hrabiego, który jakkolwiek oddany jeszcze czasami marzeniom ulubionym, zaczął pomału smakować w tem życiu, które lekko, spokojnie, fala po fali upływając, zdołałoby zakołysać duszę najognistszą w gnuśny spokój. Życie światowe, bezczynne na pozór, a ciągłym ruchem zajęte, złożone jest z samych drobnych, różnobarwnych niteczek, które w ciągle nowe zwijając się węzełki, tworzy nareszcie sieć nieprzebytą dla nieostrożnego, który się z początku przypatruje tylko tej różnobarwnej tkaninie. Młody hrabia mimowolnie porwany w odmęt zabaw i szalonej prawie wesołości, które go zewsząd otaczały, nie miał nawet tyle, by go poświęcić tym ulubionym urojeniom, które niegdyś gonił jak motyle barw cudownych; miłość tylko, którą czuł do pięknej kuzynki, miłość, która się tak często odzywała cierpieniem w łonie jego, budziła go z coraz milszego letargu. Żyć już zaczął, zamieniał zatem marzenie na rzeczywistość; co tracił ze złudzeń młodzieńczych, to zastępował rozumowaniem, tym wiatrem duszącym pomału wszystkie uczuć kwiaty. Codzień prawie widywał kuzynkę swoją, codzień szedł z postanowieniem, by silnem słowem skończyć ten nieznośny stan; codzień wracał więcej zakochany, codzień między rospaczą a nadzieją; ale pomału promień po promieniu nikła wiara w ukochany przedmiot złożona, cień po cieniu rosło w jego duszy powątpiwanie; gotowało się już dla niego to drugie rzeczywistości zjawienie: smutne odczarowanie. Nie mało przykładał się do tego przyjaciel jego hrabia Kazimierz R*, starszy od niego o lata, doświadczenie, i dłuższy w stolicy pobyt; obdarzony od natury więcej rzeczywistem usposobieniem, poznał wkrótce świat, który go otaczał; znał kobiety te wszystkie, a między niemi najlepiej może księżnę S*, i w poufnych z przyjacielem rozmowach udzielał mu nieraz ogólnemi słowy tej smutnej nauki. Dotąd młodość i niezepsute usposobienie pana Andrzeja przemagało, ale czyż to długo trwać mogło?... Hrabia Kazimierz więcej nawet był ostrożny w powiedzeniach swoich o księżnie; widząc bowiem mniej więcej stosowną w niej partję dla przyjaciela, nie chciał tak dalece mięszać się, ani by przeszkadzać, ani by przyspieszyć związek od wszystkich przewidywany. Jakoż zapytywany od niego, czyli nie wie co zajmuje temi dniami tak żywo księżnę, iż zupełnie zmienioną się być wydaje, skąpemi słowy odpowiadał, i potwierdzał nawet hrabiego Andrzeja w jego mniemaniu, iż musi być to tajemnica jakaś, ważniejsza nawet. Księżna w rzeczy samej codzień była smutniejszą; to czoło wyniosłe, czyste jak karta pargaminu, niezwyczajne pokrywały zmarszczki, te hieroglify myśli wewnętrznych; oczy, zwyczajne pozbawione blasku, niepewne rzucały spojrzenia, lica pobladłe, ruchy nierówne, słowa nawet urywane, wszystko

http://rcin.org.pl

to świadczyło o jakiejś głównej przemianie, odbywającej się w duszy czy w głowie. Westchnienie! tak jest, westchnienie usłyszał raz hrabia Andrzej; westchnienie księżny S*, było to zjawisko, które nawet przemądrego pana Kazimierza bałamuciło. Ostatniego osobliwie wieczora, który poprzedzał bal kostiumowy, księżna wydała się panu Andrzejowi najwięcej niezrozumianą; na jego pytania najczulsze, przysięgi najognistsze, wyrazy prosto z serca wyjęte, odpowiadała milczeniem; albo znowu jakby znudzona, namiętne wyrzucała wyrażenia bez związku jak z gorączki; w szaloną wpadając wesołość, przemawiała dowcipem i szyderstwem tak przenikliwem, aż włosy młodzieńca wznosiły się ze strachu.

— Czegoż chcesz odemnie? — wołała jakby w rospaczy; — ja nie jestem do szczęścia stworzoną, wszystkie zamysły moje los zawodzi nieubłagany... ty pojedziesz i zapomnisz... boś młody mój dobry kuzynku!...

— Wszak wiesz, że to od ciebie zależy, — odpowiedział rozczulony; — słowo jedno powiedz, o jedno słowo błagam ciebie, słowo, od którego zależy cała przyszłość moja — i zapłakał dziecinnemi łzami.

— Słowo! słowo! — krzyknęła, — ty słów pragniesz? jutro usłyszysz słów nie mało, tysiące, krocie; ale daj mi pokój do jutra; zlituj się nie męcz mnię więcej — do jutra!... Ach! jutro!... jutro?... — i z niecierpliwością potrąciła ulubionego szpica, który nielitościwym piskiem zakończył scenę tylą namiętności odcieniowaną, iżby była godna naszych czasów i naszych powieściarzów.

Po długiej i bezsennej nocy, przyszło i jutro dla naszego bohatera; całonocnem myśleniem osłabiony, wszystkie jednakże zebrawszy siły, wziął nareszcie postanowienie męzkie, wyrozumowane, konieczne: czuł iż rzeczy w tym samym stanie zostać nie mogą, chciał przemiany, gdyby nawet na najgorsze, a może nie mało do tego postanowienia przyłożyła się myśl dawna, nowem uczuciem zaćmiona, ale nie wypędzona. Dzieckiem jeszcze hrabia Andrzej marzył o podróżach; najulubieńsze książki jego były opisy cudzych krajów, dalekich miast i narodów! nie raz chodząc po szerokich, wiekowemi lipami zasadzonych ulicach ogrodu ojcowskiego, na skrzydłach żywej wyobraźni przenosił się w dalekie kraje, i z tą myślą w głowie, odwiedzał, napoły dziecko jeszcze, najdalsze zakątki ogrodu, które małym będąc chłopcem nazwiskami miast i krajów różnych ochrzcił. Pierwsze chwile swobody młodzieńczej użył na to, by się puścić w świat; podróż swoją zaczął od stolicy, częścią aby naprzód poznać ojczystą stolicę, częścią by przyspieszyć paszport żądany za granicę; widok księżny nadał myślom jego inny kierunek; nie chcąc jednakże cofać zrobionych kroków paszport zatrzymał, i codzień prawie między rozebraniem a snem wzrok jego dzielił się między miniaturą kochanki i paszport; co dzień prawie zasypiał z westchnieniem napoły miłośnem, napoły podróżnem; co nocy marzył na przemiany o uroczej księżnie i o uroczych krajach nieznanych. Dziś albo nigdy! myślał

http://rcin.org.pl

sam o sobie, ubierając się; albo tu przy niej zostanę na wieki najszczęśliwszy, albo na zawsze wyjadę, by szukać zgubionego spokoju. Z takiem postanowieniem wszedł do księżny S*; w półubrana wybiegła naprzeciw niemu z uśmiechem tak radosnym, czułym i czarującym, że aż zadrżało serce młodzieńca roskoszą nadludzką.

Porwała go za rękę. — Szczęśliwa jestem! szczęśliwa!... ach szczęśliwa — dodała cisnąc rękę o piersi własne — szczęśliwa — rzekła po chwili jakby się poprawić chciała — że ciebie widzę kochany kuzynku dzisiaj i mogę przeprosić... ale nie mam czasu, nie mam, na Boga się zaklinam, ani chwili jednej!... Idź! idź! kochany kuzynku... jeszcze jedno uściśnienie ręki przyjacielskie! czy darowałeś mi?... bo widzisz ja jestem biedna, zmęczona kobieta; ty nie wiesz, co to jest ten świat tak wesoły, tak śmiejący się, roskoszą na pozór oddychający!... Ach, ja spokoju pragnę... spokoju kuzynku! ale idź! idź! czas tracę drogi przy tobie. — A widząc zapytanie jakieś w półotwartych ustach kuzynka, dodała jeszcze uciekając z pospiechem do gabinetu swego; — wieczorem bądź na dole przed domem księżny wojewodziny, czekaj tam na mnie koniecznie, tam ci powiem... — i z zamykających się drzwi łysnął tylko promień jeden ostatni, ogniem padł na duszę naszego hrabiego.

Ruch w mieście zwiększał się ku wieczorowi: ruch odpowiedni godności osoby wydającej bal, i balowi miesiącem przódy zapowiedzianemu. Na najodleglejszych Warszawy ulicach poznać było można, że jakieś zdarzenie odznaczające się odbywa się w mieście, bo chociaż festynów, bankietów i balów było bez liku w Warszawie w czasie karnawałowym, każda przecie nowa zabawa u wielkiego pana dawana głośno się odbijała po całem mieście. Inaczej to dzisiaj; dzisiaj np. przechodząc przez ulicę, ledwie poznasz, czy się na niej w tym lub owym domu bal odbywa; po oświeconych patrząc oknach, myślałbyś, że tam może umarły ostatnią swoją paradę odbywa na światłem otoczonym katafalku, gdyby cię przytłumiona nuta, więcej tęskna niż wesoła, Straussa lub Lannera nie nauczyła, że tam żywi się bawią; wyobrażenia nasze zdrobniały dzisiaj rożbiegając się po wszystkich stanach, życie panów spowszedniało przechodząc na dolne piętra, wszystko koło nas i w nas zmalało; ktoż dzisiaj balów nie daje! Inaczej się działo owego wieczora w Warszawie; na ulicach mniej oświeconych jak dzisiaj wrzało życie pełne, tłumy ludu ciekawego przesuwały sie niesfornie napoły niknące w cieniach nocnych, napoły oświecone światłem buchającem od pochodni kometą lecących przed pańskiemi powozami. Powozy następowały jeden po drugim nie skromną parką koni ciągnione; ale poszóstnym zaprzęgiem strojne w świecące ubrania koni, sklniące od grubej pozłoty, otoczone mnogą zgrają pieszej i konnej służby w pysznych strojach, przemykały się szybko przed zdumionym ludem jak widziadła jakie, coraz nowych kształtów, coraz żywszych barw. Wesoło było w Warszawie w ostatnich dniach karnawału; nikt nie myślał o pokutnym poście tak nie dalekim.

http://rcin.org.pl

Późno już było, coraz rzadsze przelatywały powozy, bo nawet najjaśniejszego znikły w oświeconych podwojach pałacu wojewodziny, który zewnątrz i wewnątrz błyszczał na około jak zamek djamentowy czarownicy. Mimo dosyć mocnego zimna płaszczem owinięty stał hrabia Andrzej o kroków kilka od głównego wjazdu; biciem serca rachował wszystkie zajeżdżające powozy, i nie jedną już uwagę zwrócił na siebie, aż nareszcie żywszym ruchem uderzyła krew w zmrożoną twarz młodego trubadura, skoczył, aż żałośnym jękiem zadrżała gitara pod płaszczem ukryta, i z pysznego powozu wysiadającej księżnie S* podał rękę drżącą od zimna czy od wzruszenia. Widok ulubionej nagrodził długie oczekiwania chwile; a potem myślał, że tak późno przybyła umyślnie, aby tem swobodniej przy zmniejszonej liczbie zajeżdżających powiedzieć tych słów kilka, których się on spodziewał, bal i żądał razem; nie domyślał się zapewne, iż ona najpóźniej przybyła, aby wejść ostatnia między zgromadzone spółzawodniczki; myśl o wrażeniu jakie sprawi przy wejściu na bal, wypędziła może nawet z myśli ranniejsze zamówienie hrabiego. A z cienia powozowego występując, światłem pochodni, jak wieńcem ognistym otoczona, z uśmiechem, ale uśmiechem malującym radość niezwykłą, zapytała go głosem dźwięczniejszym niż zwykle, bo drżącym od wewnętrznego zadowolenia. — Czy piękna jestem w tym stroju?

Strój jej był rzeczywiście zachwycający, bo doskonale zrozumiany; nie był to strój ślepo i niewolniczo naśladujący wiek jaki lub kraj — o nie! był to kostium zapewne, ale zupełnie własny, nowym pomysłem szczęśliwie utworzony. Suknię miała z materii lekkiej, białej jak śnieg, przejrzystej jak mgła, to też jak mgłą kapryśną rozbiegły się fałdy szerokie spadające śniegiem ogona, tej konieczności balowej. Na spodzie suknia wykrojona w kształcie starożytnej tuniki, obszyta była szeroką taśmą złotą, wyobrażającą potok złoty; stanik na przodzie grubo ufałdowany, spięty był na ramionach dwoma złotemi głowami lwiemi, emaliowanemi na czarno; przepaska również złotem przesypana spinała się na przodzie napiertsnikiem i podobnież lwami. Rękawy krótkie, greckim niby krojem rozdwojone zciągnięte były dwoma guziczkami podobnemi do napiersnika; ręce były gołe, a miała je księżna jak z alabastru utoczone. Ubranie głowy było niemniej piękne i zupełnie odpowiednie całości; było takie jak na Antykach, włosy zebrane na wierzchu głowy utrzymywała siatka, złożona z łańcuszków złotych, której każde ogniwo odznaczone było emalią czarną: siatka ta, jak na dawnych posągach widzieć można, spięta była na przodzie głowy rodzajem złotego antyka, również z czarną emalią, ze środka której błyszczał brylant czazny cudnej wody, mniej jednak świecący niż jej oczy w tej chwili pełne nadziei. Na szyi łabędziej był wąż złoty, którego łuskę naśladowała czarna emalia; podobnież były naramienniki i kolce. Cudowną była w istocie księżna, jak gwiazda w mglistej chmurze zawieszona; osobliwie dobrze był wyrachowany do jej rysów regularnych, liniami greckiemi zaokrąglonych, przy kibici giętkiej, uginającej, ten

http://rcin.org.pl

strój napoły fantastyczny, napoły posągowy; wyglądała jak bóstwo Homera z mgły Ossianowej wypływające!

Okrzyk zachwycenia odpowiedział jej. W tej chwili wydała się hrabiemu piękniejsza niż najpiękniejsze jego marzenia młodzieńcze. Wstrzymując znakiem ręki idącą za nią służbę, oparłszy się na ramieniu hrabiego postępowała pomału po szerokich, miękkiemi dywanami wysłanych schodach.

— I wiesz! — mówiła drżącym głosem, podnosząc mglisty ogon — wiesz co to jest?.. to jest muslin indyjski, ten muslin, o którym na balu u hetmanowej krajczyna rozpowiadała nam jak o bajce jakiej, jak o Feniskie, twierdząc, że go niepodobna dostać... Ja go dostałam przecie... już powątpiewałam... i dziś dopiero z rana, dziś!.. możesz sobie wyobrazić!... pierwszy muslin taki w Warszawie... O! krajczyna zachoruje.

— Więc po to kazałaś mi tu przyjść, by mi powiedzieć...

— Daruj Andrzeju! ale ty nie rozumiesz tego... król będzie ubrany po grecku jak Alcybiades, à l'antique; dziś się z rana dowiedziałam o tem od pana pisarza; czy pojmujesz teraz? a ta biedna krajczyna przysięgnie, że będzie w stroju Ludwika XIV, i wyobraź sobie jak będzie wyglądać w stroju ciężkim, robronowym pani Maintenon, cha! cha! cha!... — Aż się musiała zatrzymać na każdym schodzie, tak ją dusiła radość, dławiło poruszenie wewnętrzne; tchu jej brakowało, a z oczu łyskał już ten tryumf przeczuty. Mimo całej sztuki życia, serce jej biło tak gwałtownie pod tym cudownym muslinem, jak kiedy dzieckiem niewinnem szła po raz pierwszy do spowiedzi.

Lecz któż opisać zdoła, co się działo z hrabią Andrzejem; dreszcz ziębił go aż do kości; te słowa lekkomyślne ukochanej, padały lodem na duszę jego: odczarowanie odzywało się w nim w swojej ostatniej i najokropniejszej przemianie. — Więc po to kazałaś czekać na siebie, bym słuchał o królu? o pewności i chęci jaką masz podobania mu się! — rzekł z takim wyrazem, że się aż opamiętała księżna, i zwróciwszy na niego promieniste oczy, dobyła z nich spojrzenie najczulsze: była w niem prośba najtkliwsza, błaganie anioła; spojrzenie to było arcydziełem sztuki, czy natury. Była tak szczęśliwą w tej chwili, iż chciałaby widzieć same szczęśliwe twarze w koło siebie, twarze zapewne męzkie tylko; upojenie radością brała za uczuciowe wzruszenie: jakoż w tej chwili zapału wierzyła sama w słowa, któremi pomału z czarującym wyrazem przemawiała do hrabiego Andrzeja. — Źle mię rozumiesz; chciałam, abyś pierwszy widział mnie w tym stroju; mój pierwszy i najmilszy tryumf, w twoich chciałam czytać oczach! chciałam ciebie błagać o ten jeden wieczor, daruj mi go mój Andrzeju; ten jeden wieczor, niech użyję pełną piersią zemsty nad tą nienawistną. Niech im zostawię na pożegnanie mój tryumf, bo ja to czuję, iż dziś zwyciężyć muszę; niech zwycięzcą zejdą z pola tylu walk... tak, na pożegnanie mój drogi!...

http://rcin.org.pl

jutro, jutro już twoje; mojem niech będzie dzisiaj!... I coraz słodszym głosem, wzrokiem coraz potulniejszym błagała.

Oniemiał hrabia Andrzej.

— Nie wierzysz! — mówiła coraz prędzej, czy zapałem nadzwyczajnym wiedziona, czy by prędzej zakończyć tę przedwstępną scenę, a w miękkich dłoniach cisnęła rękę hrabiego! — na twem ręku oparta wejdę między nich, i po godzinie tak długo żądanej zemsty, sama przedstawię cię królowi, jako tego, którego wkrótce nazwisko...

W tej chwili na ostatnim już znajdując się schodzie wyprostowała się; mglisty ogon zsunął się z trzymającej dłoni i śniegiem potoczył po schodach. Hrabia Andrzej zadziwiony, omamiony tym wzrokiem tak tkliwym, słowy tak czułemi, uściskiem ręki tak szczerym, nie wiedząc prawie co robi, chciał przyklęknąć, i zbliżył się ruchem prędszym od myśli, by ucałować tę uszczęśliwiającą go rękę. Księżna podniosła już nogę, by prędzej stąpać ku zwycięztwu; niezgrabną stopą zakochanego i zabałamuconego trubadurą zatrzymany ogon ledwie dosłyszanem pryśnieniem oddarł się od sukni i śnieżną chmurą na niższe opadł schody. Była to jedna chwila, chwila krótka ale zapełniona uczuciami trudnemi do oddania; chwila szczytna i śmieszna razem. Księżna i hrabia spojrzeli w jednem oka mgnieniu na tę nie do poprawienia szkodę; wzrok jaki rzuciła księżna na suknię a potem na niego, był tak wyrazisty, że aż się przestraszył hrabia Andrzej; zbrzydła, zestarzała prawie w tej chwili. Ruchem szybkim jak myśl odepchnęła hrabiego, który oniemiały, słowa wyrzec nie był w stanie.

— Precz! precz! — przytłumionym wykrzyknęła głosem, głosem tak różnym od poprzedniej słodkiej mowy — precz! — powtórzyła, niezważając na wyraz twarzy hrabiego i wzrok jego, w którym się mieściło przecie ostatnie błaganie i pierwsza groźba — precz niezgrabny! — a usta skrzywione drżały.

Prędkim ruchem skoczył hrabia i znikł biegnąc po schodach, jakby sie bał pogoni; chyba pogoni własnego żalu, bo księżna ledwie dostrzegła jego odejścia. Jak Niobe skamieniała, podobniejsza niż kiedy do posągu patrzała przed siebie na tę oddartą chmurę muslinu przed nogami leżącą. Co przecierpiała, ten pojmie tylko, kto zdoła wyobrazić sobie wszystkie te marzenia, z jakiemi wyglądała miesiąc cały tej sukni, z jakiemi ją witała, i z jakiemi stroiła się na ten bal, już teraz dla niej zamknięty. W tej chwili nie myślała zapewne o całej przyszłości zniszczonej na zawsze, przyszłości która mogła być tak szczęśliwą...

Hrabia Andrzej tej nocy jeszcze wyjechał za granicę. Po długich latach, które zasmakowawszy w życiu podróżnym całą siłą wyobraźni i uczuć spaczonych, przywiązawszy się do człowieka, który wówczas sławą swoją zapełniał świat cały, przepędził za granicą w środku owych towarzystw wielkiego świata, których ogniskiem był Paryż, powrócił mąż średniego wieku przetrawiony życiem. Odwiedził stolicę ojczystą ledwie pamiętając na chwile tak dawno minione

http://rcin.org.pl

odległe o tyle zdarzeń późniejszych; na jednej z wieczornych zabaw stołecznych zdybał księżnę S* wdowę dotąd jeszcze, lecz ledwie ją poznał. Zmieniły się ich role; obojętnym wzrokiem, który tyle rzeczy widział, powlokł po twarzy tak sobie znajomej, i serce jego nic nie przemówiło. Księżna S* zadrżała na widok jego. Cóż dziwnego! on stał w środku tego życia światowej obojętności, z którego ona schodząc, już nadaremnic zwracała się do marzeń niepowrotnych w jej wieku. Naprożno!... Westchnienie niesłychane i nieuważane znikło w odgłosie pierwszych taktów muzyki balowej, gdy hrabia Andrzej przystąpił z grzecznym ukłonem, i prosił kuzynkę o rękę — do poważnego tańca polskiego!...

http://rcin.org.pl

Przełom roku – ulubiony motyw romantycznego pesymizmu
doskonała sytuacja dla zdemaskowania aktorów
demaskacja gramnika, doktora, poety, bogacza,
różnych kulaków

Historia poety rządzcy który stając się bogaczem
traci honor, sumienie, zdrowie, życie

Hulanka noworoczna i męka rządzcy

Elementy fantastyki służą dramatyzacji
(jasnowidztwo wariatki itp.).

http://rcin.org.pl

NOWY ROK.

(Wydanie pierw. 1843 r.)

— Skonał rok stary, z jego popiołów...

— Daj Pokój Albercie tym poezjom — przerwał pan Ignacy...

— Śliczna to poezja, ale zawczesna; nie skonał jeszcze rok stary — dodał pan Franciszek — dzięki gospodarzowi naszemu mamy jeszcze czem zalewać żal po konającym.

— Poezja to pianka panie, a tu mamy du solide — ciągnął dalej pan Juljusz z dowcipnym uśmiechem, wskazując na olbrzymią wazę ponczu wniesioną do obszernego fantastycznym zbytkiem przepełnionego pokoju. Bo w tej sali jakby w gabinecie rzadkości porozrzucane były przedmioty różnych kształtów i różnych wyrobów; była tam na starych zbrojach rdza, ten zabytek starożytności, połysk złota nieszczędzonego na stołach, szafach i olbrzymim kominie; białe lica marmurowe, obok twarzy ożywionych mistrzowskim pędzla kolorytem; a na wielkim mozajkowym stole w bratniej zgodzie stały porozrzucane fraszki dzisiejsze, obok puharów, któremi przepito saskie czasy, obok sprzętów, które przemawiały domowem zygmuntowskiego wieku życiem; wonny różaniec i oręż krzyżacki połyskujący całym kalendarzem nań wyrytym obok amuletu jakiejś arabskiej piękności i lampy, której dziwny kształt wygląda jakby ułamek nieodgadnionego hieroglifu.

— Pijcie! pijcie przyjaciele moi! — ozwał się głos z głębi pokoju, głos który zdawał się być istotnie głosem tej sali: bo w tym głosie jak w tej sali były odcienia młodości, która krzyczy życiem dzisiejszem i wieku, który stęka lat przebyłych zmęczeniem. Głos ten raźnie zaczęty, pełno rozległ się po sali, jęknieniem głuchem znikł nareszcie; snać ostatnie powietrza brzmienie dotknęło jakiego przedmiotu dźwięcznego. — Pijcie zapomnienie, pijcie przywitanie! — ciągnął dalej pan Wacław, gospodarz tego pomieszkania.

— Dobrze mówisz, ta waza ponczu niech będzie naszym zdrojem Lethe!... zapomnienie boleści minionych! do was bracia!...

— Nie Albercie! ja się trzymam toastu przywitania!... a mojaż sprawa, ta sprawa miliona dziedzictwa, ta sprawa z której spodziewam się w tym nowym roku parę czystych wyciągnąć wiosek, w cóżby

http://rcin.org.pl

się obróciła, gdybym zapomniał przypadkiem owego dokumentu?... bo to moi panowie dokument nie lada... ja go wynalazłem... ja twórca!...

— Przestańże! byś się z czem nie wygadał... czyliż i głowa adwokata podlegać musi mocy wyziewów trunkowych?... Ja łaskawco piję, bo pić lubię bez zdrowiów, chyba własne, bo mi to najpotrzebniejsze, bym mógł używać majątku, którym mnie mądrość najwyższego obdarzyła; co mi tam rok stary, czy nowy; to wymysł tych, którzy kalendarze przedają; ja chętnie płacę za nowy kalendarz, nową książkę, nową beczkę, nowy pasztet, bo mam pieniądze... Niema roku nowego, ale ponieważ chcecie gwałtownie zdrowiów, dobrze więc, niech żyje teraźniejszość!... — I brzękły szklanice; poczerwieniały dobrze już zarumienione twarze; bo pan Wacław wystąpił w ostatni dzień roku z kolacją, na której były przysmaki wszystkich pór roku minionego, a wina wszystkich krajów i smaków: była to kolacja Lukulla czasów godna, jak twierdził pan Franciszek, który lubił pić i jeść dobrze, bo miał czem zapłacić i bażanta i szampana.

— Teraźniejszość! mdłe to zdrowie; ja piję ten puhar do pamiątek, a ten do nadziei!...

— Brawo! do nadziei wygranego procesu — mruknął pan Ignacy — a potem precz z pamiątką, dokumentu!...

— Mniejsza o to! wiwat pamiątki! to raz! wiwat nadzieja! to dwa! — wrzeszczał pan Franciszek. I brzękły szklanice, pąsem oblały się twarze, twarz tylko gospodarza blada i coraz bledsza; rozłożony bowiem na miękkiej sofie, nic nie pije, oczami tylko niespokojnemi łyska w koło siebie, a ten połysk jest tak jasny i tak przenikliwy, że jak po cichu powiedział pan Albert, zaciemnia oświecenie gazowe jakby cudem rozlane po całej sali.

— Ja jestem za nowym rokiem — odezwał się pan Juljusz, cienki i chudy ułamek pięknego świata stołecznego, który już od dawna przy ponczowem światełku przewracał po ciasnych zakamarkach szczupłej główki, ażali się gdzie nie zatrząsł czytany lub słyszany jaki koncept, na którymby mógł wskoczyć w rozmowę — cóżby się bowiem stało z pięknemi biletami, któremi są przepełnione sklepy nasze, co z życzeniami pour souhaiter une bonne année?...

— Łaskawco! zdrowiów wam potrzeba?... francuzczyzna salonowa pana Juljusza przypomniała mi, iż możemy dziś jak Francuzi dawniejsi po śmierci króla wykrzyknąć: rok umarł! niech żyje rok!... I dzwonią szklanki, wre poncz w głowie, a Wacławowi musi być zimno, bo drży blady, oczy zaś latają jak jaskółki przed burzą.

— Niech żyje! — drżącym powtórzył głosem — lecz czyliż się już zaczął?... która godzina? — i rzucił niespokojnym w koło siebie wzrokiem, a wszystkie zegary porozstawiane w koło ścian niememi odpowiedziały mu skazówkami: spuścił zasępione oczy, rzucił się nazad na sofę i smutnym dodał głosem — o nie jeszcze! jeszcze cała godzina starego roku!...

— Ej! zapij łaskawco tę głupią niemoc, co cię tam trzyma do sofy przykutego.

— Pij poncz, a wygrasz proces z chorobą!...

http://rcin.org.pl

— Pij! to cudowny poncz! to szylerowski poncz! wszystkie przedmioty rozpromienia, w szaty poezji obleka.

— Pij Wacławie póki niema twojego lekarza!...

— Jestem! jestem moi panowie — ozwał się głos młody, roztrzepany i wesoły...

— Witaj lekarzu! pij poncz, kiedyś nie pił szampana.

— Zkąd przybywasz?...

— Z wesołego miejsca!...

— Z zabawy jakiej?...

— Może od pięknej jakiej spazmatyczki?

— Lub od tajnego jakiego testamentu?...

— Nie zgadniecie! nie!... ja wracam z domu warjatów!...

— Co? z domu warjatów? — krzyknął Wacław i porwawszy się konwulsyjnym ruchem z sofy pociągnął za sznurek od dzwonka tak gwałtownie, że się aż zbiegła cała służba pańska... — Światła więcej! mnie ciemno... ponczu więcej, będę pił... mnie zimno!...

Przestraszeni goście spojrzeli po sobie; lekarz tylko przystąpił parę kroków bliżej, porwał chorego za puls, potrzymał rękę przez chwil kilka, twarz wesołą skrzywił w końcu wyrazem pogardy i spokojnym wyrzekł głosem:

— Napij się, napij! nie zaszkodzi! o nie!... Owoż panowie piję, piję raz drugi i trzeci, bo widzę żeście wypili nie mało... piję jeszcze, by zapić ten dom warjatów; zostałem tam powołany, bo mi jeden warjat konał, a druga warjatka uciekła sposobem nadzwyczajnym.

Wacław bledszy coraz, choć pije bez ustanku, zdaje się słuchać z uwagą słów lekarza; czasem tylko jakby od gadziny ukąszony skoczy raptownie i wykrzyknie: która godzina?... Lecz goście ledwie słyszą, bo w koło lekarza żywo się dzieje; nikną waza po wazie, a wesołość wre szalona.

— Zbliżający się rok nowy niech żyje!...

Roześmiał się głośno lekarz. — Niech żyje! bo stary rok już umarł!...

— Co? umarł już! — wrzeszczał dalej Wacław.

— Wyobraźcie sobie moi panowie, że ten warjat, który umarł właśnie przy mnie uroił sobie, że jest rokiem starym; miał on się przeszłego roku żenić w pierwszy dzień nowego roku; kochanka umarła w wigilją dnia ślubu, a on zwarjował i nazywał się odtąd starym rokiem; jakoż dziś właśnie skończył.

— A to zabawne!...

— Jaka szczególna styczność szaleństwa i zdarzenia!...

— Ot głupstwo łaskawco!... pijmy!...

— I umarł powiadacie! — krzyknął Wacław tak przeraźliwie, że się musieli mimowolnie goście obejrzeć i zadrżeli wszyscy, tak straszna była bladość na twarzy jego; chociaż pił szklankę po szklance wrzącego trunku, nic tej nienaturalnej bladości zdjąć mu z twarzy nie mogło; czasem tylko czy to myśli, czy trunku skutek przez skórę twarzy, jak przez alabastrową powłokę przebijać się zdawało niepewne i drżące światło lampy gasnącej. Siadł na sofie, ręką przeciągnął po wyniosłym czole, skąpe już rozrzucił włosy, a okiem

http://rcin.org.pl

powlokłszy niecierpliwem po ściennych zegarach, przenikliwym zaczął mówić głosem: ogień ponczu nie mogąc twarzy ożywić, wlał się w głos i słowa. — O! nie skonał jeszcze, ja wam to mówię; jeszcze się rok nowy nie pojawił!... jeszczeście go nie ujrzeli, lecz poczekajcie jeno... dopiero pół do dwunastej, jeszcze pół godziny, a ujrzycie to widziadło!...

— On z gorączki gada!...

— To marzenia ponczowe! hofmańskie fantazje!...

— Lekarzu! puść mu krew!...

— On pijany po prostu!...

— Dajcie mu pokój, to fenomen jego choroby — i nowy uśmiech pogardy pojawił się na twarzy lekarza.

— A nim nadejdzie! światła! ponczu! pijmy przyjaciele! ja wam opowiem zdarzenie prawdziwie!..

— Powieść przy ponczu, o tej godzinie dzielącej przeszłość i przyszłość, a to wyśmienicie; ja chcę powieści! pijmy bracia i słuchajmy!...

— Mniejsza o to łaskawco! słuchajmy lub nie, ale pijmy sowicie!...

— Słucham, byle powieść nie była długa, gdyż mnie wypada już kończyć tę miłą zabawę; jutro rano muszę do prezesów i niektórych konsyljarzów jechać z powinszowaniem.

— Ce sera un conte bleu, ou un conte verd! — z nieśmiałością wtrącił pan Juljusz okruszynę wynalezioną w pustych owych zakamarkach.

— To nie bajka będzie — rzekł lekarz — ja się spodziewam prawdy teraz od niego!... bo... to godzina prawdy, godzina przed tym nowym nieznanym rokiem!

— Słuchajmy i pijmy!...

— Wiwat bajki, powieści, zdarzenia i romanse...

— Niech ich djabli wezmą; ja za nie płacę gotówką; wolałbym jednakże kupować jabłka tyrolskie: a jak ukąszę w które z tych pism waszych, przychodzą mi na myśl owoce z nad martwego morza...

— Wam się zdaje, że cały świat tak kończy rok stary, jak wy, że w ciepłym pokoju wre dla wszystkich nieskończona waza ognistego napoju, że wszyscy jedzą sutą kolację... o nie!... nie dla wszystkich kompoty z pomarańcz i ananasów, nie dla wszystkich stary tokaj i wonny Johanisberger: słuchajcie jeno, ja wam odmaluję obraz inny, obraz istotny!... Był to jak dziś dzień grudniowy; wiatr huczał i miótł śniegiem, ale nie rozbijał się bezsilny o kamienne miasta i ściany; ale huczał pan samowładny po polu obszernem i z przeraźliwym świstem stukał o ciasne szyby małej chałupy, która stała na górze sama jedna, opodal od lichego miasteczka!... Był to dzień ostatni roku, ale roku okropnego dla mieszkańców tej chaty, roku nędzy najstraszliwszej, która setnemi rózgami swemi chłostała ich dzień po dniu przez cały długi rok; w tej chacie zamieszkało dwoje ludzi... kochanek i kochanka... nie kochankowie z welinowej powieści, z gaju wonnego, z miasta wygodnego, ale kochankowie, którzy w złowrogiej chwili swoje dwie nędze złączyli w jedną olbrzymią nędzę!...

http://rcin.org.pl

Czy panowie to rozumicie, co to jest nędza?... panie Franciszku czy miałeś kiedy przy stole twoim nędzę?... czy była nędza między klientami twemi szanowny prawniku? poeto zmyślonych zdarzeń, znaszli nędzę istotną?... a ty cudzych miodów światowy szerszeniu, cóż wiedzieć o niej możesz?... jeden lekarz mógłby znać zapewne nędzę, ale woli zbytek, który dobrze płaci... On był młody; on był poetą, tak mu się przynajmniej zdawało, bo miewał natchnienia cudzych barw; związek nawet z kobietą był chwilowem natchnieniem... litości może!... bo kobieta była realna, kobieta była z pierwiastków błota ulicznego złożona!... I natchnione to uczucie wionąć musiało... zostało cierpienie okropne, potępione przez ogół, bo niezrozumiane; ale wiernie ciągnął za sobą młody człowiek ten łańcuch ciężki, do którego nędza i pogarda ludzi przyczepiały jedną wagę ołowianą po drugiej. W tej chacie, w owym dniu było zimno, bo nie było czem palić, a drzewa, ani słomy nie było od kogo dostać!... Czy dałeś kiedy drzewa ubogiemu panie Franciszku?...

— Cóż mnie tam do ubogich; wszak muszą być ubodzy na świecie; ja zawsze daję żebrakom, byle się pozbyć ich piskliwych próźb!...

— A potem, il-y-a des instituts dla nich; nareszcie nasze wielkanocne kwesty...

— O! ja mam szacunek dla ubóstwa! napisałem właśnie odę dla pogorzelców!...

— I wiersz i kwesta i grosz jałmużny, to nic naprzeciw recept, których ja tyle codzień darmo pisać muszę!...

— Zimno było owej nocy, zimno w nieopalanej już dawno chałupie!... natchnienie poety i mróz!... staczali walkę zawziętą, okropną; a wiatr nielitościwy wdzierał się przez szczeliny źle opatrzonej chałupy!... Panowie to ładna myśl do obrobienia, ta walka mrozu i natchnienia zmarznąć zdoła?...

— Jako lekarz sądzić tylko mogę o rzeczach istotnych... natchnienie zaś poety!...

— Nie zmarzło przecie, ale jak ciepło ożywcze, uciekając pomału ze skostniałych członków tliło w jednym punkcie mózgu zebrane, tliło myślą szaleństwa!... W kącie tej izby na ziemi rozciągnięta leżała długą chorobą zmęczona kobieta! kochanka niegdyś, dziś ciężar poety!... Od dawna już życie ich było nieznośne! a choroba kobiety okropna; natchnieniem poety uszlachetniona kochała po raz pierwszy może, kochała już bez wzajemności!... mocą tego uczucia zrozumiała całe położenie swoje i cierpiała ból zimnemu ogółowi niepojęty!... ona stała się jasnowidzącą!... Oczy jej były zamknięte, ciężki tylko oddech świadczył o życiu, bo twarz była martwa i nieruchoma; czasem tylko cień od wiatrem poruszanego kaganka, gdy przeleciał przez blade lica, zdawał się zmieniać nieruchomy ich wyraz!... W drugim kącie skulony siedział młodzieniec i drżąc na całem ciele marzył tą jedną iskierką myśli... wiecie panowie o czem marzył?...

— Ba! to posępna powieść! co nam do marzeń żebraka! pijmy łaskawco! dwunasta już się zbliża! — i dzwonią szklanice, czerwienią

http://rcin.org.pl

się twarze, oczy iskrzą, a poncz jak czarownik samowładny, tworzy cuda po rozkołysanych mózgu nerwach...

— On marzył... że jest stróżem przy wiecznie palącym się piecu...

Śmiech powstał ogólny, wtórowany dzwonieniem szklanek...

Wiatr zawył przeraźliwy i aż do chałupy przyniósł dźwięk ponury zegara miejskiego... powoli, uroczyście zatętniło dwanaście uderzeń... westchnienie głośniejsze ozwało się z kąta chaty i raptem wśród ogólnej cichości głosem nie swoim zawołała chora:

— Kochanku! aniele! czy widzisz to widziadło, jak wchodzi małe... już większe... olbrzymieje... powała pękła od dotknięcia głowy... rośnie w niebo, patrz!...

I spojrzał zbudzony z marzeń poeta i widział tuż u drzwi chaty jak rosło widziadło w olbrzyma!...

— Bredzisz Wacławie! — Pijany jesteś! — Masz gorączkę!...

— Ty bredzisz pijana tłuszczo! — krzyknął dalej Wacław, a ręką wyciągniętą wskazywał ku drzwiom... U drzwi chaty stało widziadło nieruchome i rosło coraz wyżej i coraz szerszemi boki rozpierało trzeszczące od wiatru ściany lepione...

— Patrz kochanku! — wołała dalej chora — te widziadło, to nowy rok; to twój nowy rok!...

Drżąc od zimna i przestrachu patrzał przed siebie młodzieniec, i widział czego słowy opowiedzieć niepodobna; widział jak tysiączne karłowate różnych kształtów i różnych barw, ciemne i jasne twory zbiegały się, skupiały, i w nieustannym krążąc ruchu składały członki tego potworu! tam... wyżej... ku głowie potworu! krzyczała niewiasta, a oczy obłąkane wybiegły na wierzch!... Młodzieniec patrzał wyżej ku głowie potworu, w niebo! między gwiazdy! i ujrzał łyskawice oczów jak arabeski płomieniste i ujrzał hieroglify na niebios sklepieniu olbrzymiemi palcami pisane... i gonił za niemi, chciał wyczytać... i długo nie mógł!...

A chora głosem coraz słabszym wołała: — To twój rok nowy! pamiętaj o tej godzinie przy skonie roku starego, ujrzysz widziadło zwiastujące ci przyszłość!...

A młodzieniec goni niezmordowany za migającemi literami... i wyczytał!...

— Co wyczytał!... a to pocieszne! Il bat la campagne!...

— Wyczytał numer!...

— Numer loteryjny!.. — Śmiech pijany i szalony powstał w wesołem towarzystwie.

— Nie wiedziałem dotąd, że warjacia jest zaraźliwa — rzekł lekarz — a tu widocznie zmarzły poeta zaraził się od tej warjatki, bredzącej w szaleństwie... I śmieją się dalej, a piją bez ustanku...

— I wygrał, wiele wygrał!.. ale przegrał spokój... bo co roku o godzinie dzielącej rok stary od nowego, widzi zgryzotą nie wiekiem zestarzały młodzieniec, to ciągle zmieniające się widziadło swe przyszłości...

— Chciałbym jednakże widzieć takie widziadło; opisałbym je białym wierszem...

http://rcin.org.pl

— Byle nie kazało mi wiecznie czytać, niektóre wyrazy mojego dokumentu!..

— Po jakiego mnie djabła takie widziadło, chybaby się pojawiło w postaci pasztetu strasburskiego, którym mnie Brühl tumani już od miesiąca.

— C'est comme la statue dans Zampa!..

— I cóż się stało z tą warjatką? zapytał lekarz zwrócony z wyrazem uwagi do chorego.

— Warjatkę? ona była chora! jasnowidząca!..

— Ale cóż się z nią stało?..

— I cóż się z nią stać mogło!.. umarła!..

— Żyje! odezwał się głos ponury od drzwi wchodowych...

— Ha! patrzcie! wrzasnął Wacław z ostatniem wysileniem piersi!.. Widziadło moje!.. nowy rok!.. trup!.. ha to śmierć!..

Milczenie przerażenia nastało między pijanemi, a w pośród cichości ozwał się głos uroczysty zegara wieżowego: wybiła dwunasta!..

— Żyje jeszcze! — odezwał się powtórnie głos od drzwi; głos pełny, ale wszelkiego pozbawiony wyrazu. I zwróconym ku drzwiom, okazała się w samej rzeczy postać kobiety; łachmany różnego kroju i różnych barw obwiewały wysoką i wychudzoną postać; ze środka tego dziwnego stroju wystaje twarz blada, zimna i niema jak marmur niby żyłkami nakrapiany, z oczów strzelającemi czasem łyskawicami dawnej piękności i dawnych myśli; a z wierzchu tej głowy sypiące się bezładnie czarnych włosów pierścienie posępniejszym jeszcze wyrazem cieniują całą tę postać nieruchomie u drzwi wchodowych stojącą.

— Kto jesteś? — odezwał się głos najodważniejszego pana Franciszka, drudzy bowiem zastraszeni zgłupiałym od trunku patrzali przed siebie wzrokiem. — Kto jesteś? i czego tu chcesz? — surowym dodał głosem.

— Postać zdała się być przelękniona i postąpiła z nieśmiałością kilka kroków dalej. — Jestem żebraczka z ulicy, weszłam tu na widok światła i dostałam się aż do pokoju przechodząc pomiędzy spiące w przedpokoju służbę.

— Nie idź! nie idź! precz odemnie! - krzyczał Wacław; — ja chcę żyć jeszcze.

Na ten głos zadrżała postać kobieca; oczy łysły przez chwilę, i zgasły znowu. — Żebraczką jestem moi panowie!...

Mimowolnie siągnęli goście Wacława do kieszeń. Na ten ruch żebraczka skoczyła w bok i prędkiemi zaczęła mówić słowy, chociaż twarz jej została nieruchoma. — Ja nie żebrzę pieniędzy... mnie nie potrzeba pieniędzy; ja jestem bogata i bardzo bogata; ja przyszłość widzę przed sobą całą... jak rzucę przed siebie tem okiem mojem czarnem, którego łez strumienie zmyć nie mogły, widzę tak jasno jakby w poranek letni... widzę, czego panowie widzić nie potraficie...

— Ktoż jesteś? — ozwał się zadziwiony Albert.

— Jestem żebraczka z ulicy.

http://rcin.org.pl

— Weź więc od nas datek i idź swoją drogą, bo wiesz, jak są srogie przepisy przeciw włóczęgom.

— Przepisów się nie boję i nie chcę waszych pieniędzy, bo ja widzę przyszłość!... ja wam dać mogę pieniądze!... Dawno temu, ale już nie pamiętam wiele lat minęło, przepowiedziałam jednemu, a był to śliczny dobry młodzieniec, jaki numer wyjdzie na loterji, i wygrał wielkie dobra... wygrał... i zepsuł się...

Wacław porwał nową ponczu szklankę i niespokojnie rzucając się po sofie mruczał. — Precz odemnie! szatanie mojego żywota!...

— Czegoż więc chcesz od nas? zniecierpliwiony zawołał pan Franciszek, a lekarz zamyślony spoglądał kolejno na Wacława i na żebraczkę.

— Ja chcę jałmużny! ale nie waszego grajcara... o nie!... oddajcie mi lata moje, młodość moją!... i spokojne myśli moje!.. Patrzcie nielitościwi ludzie, co się zemną stało? a przecie ja nie stara! dawniej swobodna żyłam z dnia na dzień jak ptaszek, latałam z jednej gałązki na drugą; jak motyl cudny barwami przeskakiwałam z kwiatka na kwiatek, a wybierałam kwiatki najpiękniejsze!... dzisiaj jak duch chodzę po świecie!...

— Precz widziadło! — krzyczał Wacław głosem przeraźliwym; a oczy gorączką i ponczem rozpalone wybiegły na wierzch.

— Ten biedny pan jest chory! a tu jest lekarz: czemu pan nie idziesz go ratować! dla czego tak pogardliwie spoglądasz na biednego chorego? I ja chora!... o jak ja dawniej byłam zdrowa; nie wiedziałam, że są choroby, które trawią serce... byłam wesoła! nic nie umiałam, tylko skakać i śpiewać, tylko śmiać się i w wiecznie pogodnę twarz przyjaciółki mojej spoglądać... w wierne zwierciadło... Ale był na świecie człowiek ubogi: nic nie miał tylko bogactwo słów, które w niebo wznosiły; bogactwo spojrzeń, które raj otwierały!... Po cóż ciebie poznałam aniele!

— Szatanie precz odemnie! — krzyczał Wacław, a goście przerażeni i pijani w milczeniu spoglądali na tę scenę coraz okropniejszą.

— Pijmy poncz! — zawołał nareszcie p. Franciszek — bo mi się w głowie mąci; przeklęta ta żebraczka! wypędźcie ją!...

— Zamilkł mój spiew, bo cóż był wart ten spiew nieuczony, naprzeciw słów, które mu z ust boskim płynęły dźwiękiem; nogi moje przestały skakać, bo mnie zaczarował nieruchomą do spojrzeń swoich; zwierciadłem mojem stały się oczy jego... przedałam moją przyjaciółkę!... musiałam przedać, bo on nie miał co jeść... a jak było zimno!.. trzęsłam się jak w febrze!... i on marzł... marzł... co dzień kwiat po kwiecie padały zmrożone uczucia jego... ja go nadto kochałam; on kochał i przestał; a ludzie co mnie dawniej znali, już mnie poznać nie chcieli, bom zbrzydła, bom już nie spiewała, nie skakała jak dawniej.

— Przestań już żebraczko! i powiedz czego chcesz od nas?

— Ja żebraczka biedna! litości żebrzę! lat moich żebrzę, swobody dawnej!.. dajcie mi ją, ach dajcie nielitościwi ludzie!... I wyssał

http://rcin.org.pl

roskosz życia z ust moich... został bogaty!... pan!... a mnie, mnie zrobił warjatką!... tak panowie, wszak widzicie, że jestem przy zmysłach; a on przecie oddał mnie bez litości tam za miasto, do wielkiego zimnego kamiennego domu... znacie panowie ten dom... z którego codzień patrzałam na cmentarz?

— Domysł mój zatem sprawiedliwy! — zawołał lekarz — to ta warjatka, która dziś wieczór uciekła.

— Warjatka! — krzyknęła żebraczka i skoczyła w środek przestraszonych gości — warjatka ja?... i on mnie tak nazwał, bo się mnie wstydził w nagrodę za te lata... ach oddajcie mi je, oddajcie! a przecie ja więcej wiem niż wy wszyscy; ja jemu odkryłam przyszłość... o tak!... pamiętam jakby to dzisiaj było... był to ostatni dzień roku.

— O przeklęty roku! roku! któryś mnie pozbawił spokoju i szczęścia na wieki! — krzyczał Wacław wijąc się po sofie jakby w boleściach najokropniejszych.

— Nie narzekaj na ten rok! już on nie żyje... skonał!... skonał, widziałam jak dogorywał w przekleństwach... tam w wielkim domu kamiennym za miastem.

— Co! umarł już!... a ty widziadło nowego roku, cóż mi zwiastujesz?.. Boże! czyliż niema nadziei dla mnie w tym nowym roku?

Żebraczka zbliżyła się do sofy i długo, długo patrzała z natężoną uwagą na Wacława, który wcisnął oczy swoje w kąt poduszki, lecz oko jej żywszym nie zatlało blaskiem. — Nowy rok! — rzekła po chwili namysłu a słowa jej jedno po drugiem wychodziły z zsiniałych ust powolne i uroczyste — smutny dla ciebie chory młodzieńcze... bo rok stary jest rokiem zasługi, a rok nowy rokiem nagrody!... a za rok rozpusty czy wiesz jaka nagroda?

— Milcz szatanie! — ozwał się głos Wacława tak donośny, jakby miał być ostatni — czyliż nie dosyć ci z całego mojego życia skrzywionego przez ciebie? — i utkwił w nią oczy swoje na pół gniewem pałające, na pół obłąkaniem ostygłe.

— Ach oczy te! oczy!... — wykrzyknęła żebraczka; wzrok się jej zaiskrzył przez chwilę i wrócił nazad do dawnej nieruchomości: umysł jej za nadto był już pomieszany; ułamki bez związku wracały jej tylko pamięć dawnego życia. — Gdzie są te oczy?... które mnie spaliły na węgiel!... zwierciadło moje dajcie! niech się przypatrzę! — skoczyła nazad do pijących, którzy tymczasem w ponczu topoli wrażenie tej sceny odbywającej się przed ich oczyma, i porwała adwokata za rękę. — Daj mi zwierciadło moje, a ja ci za to przepowiem przyszłość twoją!

— Przyszłość mojego procesu! w tym nowym roku! — wyjąknął pan Ignacy.

— Tak w nowym roku!... ja przepowiadam doskonale w nocy, która poprzedza rok nowy; ty panie wygrasz pieniędzy nie mało, ale

http://rcin.org.pl

stracisz na wieki spokój i sumienie... bo rok stary jest rokiem zasługi, a rok nowy rokiem nagrody.

Wszyscy w śmiech! Doskonała przepowiednia dla prawnika w wigilją krzywego procesu.

— A mnie Sybillo! — krzyknął Julek odważny, bo pijany.

Wpatrzyła się weń z uwagą żebraczka i rzekła z uśmiechem szyderczym. — W roku starym próżna głowa i kieszeń; w roku nowym próżna kieszeń i głowa.

Śmiech coraz weselszy, szaleńszy, piją dalej, krzyczą, jedna tylko szalona żebraczka trzeźwa między nimi dziwnie odbija się swą twarzą, bladą, nieruchomą, od tych twarz ogniem trunku rozpalonych...

— Co tam słuchacie głupstw tej baby — zawołał Albert — już po północy; rok nowy się zaczął, nalejmy po nowej szklanicy tego szylerowskiego nektaru... ja wam powiem wiersz!... ustąp się żebraczko...

— Wiersz... ty piszesz wiersze!... tobie muszę przepowiedzieć przyszłość, bo rok stary jest zawsze rokiem zasługi, a rok nowy rokiem nagrody... Jeżeliś dobre pisał wiersze; żal mi ciebie młody poeto!... nagroda w niebie... a na ziemi wieniec cierniowy i kij wędrowczy!... Jeżeliś rymy bazgrał w roku, który minął, rok co przyjdzie przyniesie ci zapomnienie i zwrócony nazad od księgarza manuskrypt.

— Idź precz warjatko! — krzyczą jedni, drudzy nalewają nowe szklanki.

— Ja warjatka, a wy mądrzy!... przyszłość waszą wiem... twoja ty gruby panie jest... podagra!... a twoja ty lekarzu, któryś uśmiechem pogardy patrzał na tego biednego chorego, dla tego iż czułeś, że się twoja z niego intrata kończy!... tobie rok nowy przyniesie pogardę pierwszych piąter... do poddaszów lekarzu!...

— Chodźcie za mną, wszyscy ze szklankami pełnemi do Wacława; jeszcze jeden toast na pożegnanie!... I ruszyli pijani goście w hucznym bezładzie do sofy prosto... Stancie tu koło mnie... teraz czas, podnieście szklanki!... słuchajcie!..

— Skonał rok stary, z jego.....

Lecz nie dokończył, szklanka mu z rąk wyleciała. Skonał! krzyknął z wyrazem przestrachu: patrzcie Wacław już nie żyje!...

— Wacław nie żyje! — odpowiedziało przeraźliwie echo z kąta pokoju... — Jam go zabiła!...

I cichość nastała ponura, mgła ponczu rozstąpiła się przed piorunem zdarzenia; a gdy się obejrzeli w pół otrzeźwieni, prócz nich nie było nikogo już w sali tylko trup Wacława!...

— Tfu! — krzyknął gruby pan Franciszek ocierając pot z czoła, czy to sen, czy mara!... gdzież ta baba? czy była tu jaka?... mnie się zdaje, że to poncz nas otumanił... ten Wacław musi spać!..

— Nie sen to!... ale zdarzenie dość ciekawe!... Wacław musiał zawsze umrzeć na gangrenę, która mu się już formowała w żołądku

http://rcin.org.pl

z przyczyny zatwardzenia wątroby, zkąd pochodziły jego wszystkie widziadła urojone... ale tą razą umarł na apopleksję nerwową; widok tej jego dawnej kochanki zabił go!

— Jakto? więc ta cała powieść?...

— Była prawdziwa!... trzeba za nią posłać w pogoń i odprowadzić do Pijarów... ale zdałoby się posłać za komornikiem; tyle tu jest tych drobnych sprzętów...

— Proszę kogo! bez testamentu!..

— Przy ponczu! to mu się udało!...

— Elegia mu się należy odemnie!...

— Ma foi! je n'y comprends rien!...

I poszli goście pana Wacława do domów swoich!

---

http://rcin.org.pl

Walka z koncepcją realistycznej krytyki jako karykatury
Prawo do obrażania „szatańskiej nogi" człowieka – to jest motto długiego dzieła Dwóch Ciosów

Koncepcja powieści – „pisarze współcześni anatomicznym piórem moralne opisują wnody"

Znów utyskiwanie na zanik "karykatur", na niwelującą rozmiar przyczynę i obyczajową rolę cywilizacji

"A to pióro dzisiejsze, pióro anatomiczne, jak zacznie w głąb się wkopywać, niejeden obraz, który miał być na gorzów komicznym stanie się w głębi tragicznym!

"Najprzód rysunek powierzchowny"... obraz pokoju i osób potraktowany jak opis obrazu, pisarz rzeźbie się wszelkiej wiedzy o przedmiocie opisuje postacie i wyciąga wnioski tylko na podstawie danych uwidocznionych na obrazie – scena wygląda komicznie...
Teraz artysta "sięga głębiej" scenę „odrysowawszy, szczegółowo opisać zamyślam" –
historia dwóch rozstań – szlachetność garbatego Janka przeciwstawia miałkość i płaskość uczuć pretensjonalnego Antoniego, ale jego ludzka dobroć dorównuje Jankowi, Jaranicie, darem zegarka staje na wysokości swego dyplomu żołnierskiego

Niema jednak idealizacji wojen napoleońskich (Hiszpanie)

Pan Wincenty chciwiec i tyran – jeden z galerii

http://rcin.org.pl

HOGARTOWSKIE OBRAZY.

(Pierw. wyd. 1843.)

Niedawno temu w uczonej rozmowie słyszałem od sąsiada mego, że Hogart malował same karykatury, a karykatury podług niego są malowanemi paszkwilami. Napróżno było się wdawać w polemikę, bo mój sąsiad to uparty szlachcic; umilkłem zatem, jakkolwiek innego jestem zdania. Hogart podług mnie, a zdanie to nie jest nawet nowe, malował obrazy z życia wzięte; nie jego wina jeżeli towarzystwa i szczególne osoby, które w koło siebie zdybywał, były śmieszne; a malując pędzlem śmieszności, te narości moralne, nie mógł je inaczej oddawać, tylko rzucając na papier tu i owdzie narości zbytkowe nosów, bród i garbów, które, bym się tak wyraził, były tylko szyldami!.. Każdy człowiek ma, jak się Niemcy wyrażają, szatańską jedną nogę, która gdzieś koniecznie wystawać musi; Hogart szatańskie te nogi widzialnemi rysami malował — i to mają być karykatury?.. Sąż więc karykaturami powieści, w których pisarze nowocześni anatomicznem piórem moralne opisują wrzody?.. i czyliż Hogart, gdy wydał naprzód usta dumnego, nos skąpca w wytrych przedłużył, twarz pijaka całą kopalnią rubinów i z safirów obsypał, oczy głupca na wierzch wysadził, czyliż wówczas malował karykatury?.. Czasy Hogarta bogate były w śmieszności, bo życie było mniej wyrozumowane, więcej zewnętrzne, a zatem rozmaitsze; i naród z którego łona czerpał Hogart natchnienia swoje, splinowem usposobieniem, więcej mu poddawał rysów płaskorzeźbowych. Dziś trudniej już o karykatury; niema ich zkąd czerpać, i niema dla kogo malować, bo i śmiesznych, i śmiejących się ubyło; dziś Hogart gdyby z Moskwy do Lizbony całą olbrzymią przestrzeń ucywilizowanego świata przeleciał wiatronogą kibitką, orlopiórym wozem parowym, nie zdybałby może jednego obrazka dla siebie; a wkrótce przyszłe Hogarty, lecące balonem po nad starym światem, chyba pomiędzy ptakami, lub herszlowskim szperając teleskopem, między gwiazd mieszkańcami szukać będą przedmiotów do rozśmieszających obrazów!.. Są i dziś zapewne karykatury; ale w życiu dzisiejszem więcej wewnętrznem trudno je wynaleść, a jeszcze trudniej ołówkiem lub pędzlem oddać; bo rysy ogólne zlały

http://rcin.org.pl

się pomału w rodzaj podobieństwa familijnego, a rysy szczególne rozprysły się na tak rozmaite odcienie, iż je ledwie piórem opisać można. A to pióro dzisiejsze, pióro anatomiczne, jak zacznie w głąb się wkopywać, niejeden obraz, który miał być na pozór komicznym, stanie się w głębi tragicznym!.. Dla czego tak jest? trzeba się pytać życia dzisiejszego; ja zamiast długich i nudnych definicij odpowiem kilką przypomnionemi sobie obrazami, które nazwę hogartowskiemi. Czyli i jaki ztąd może wyniknąć pożytek? by szczerze wyznać, nie umiem powiedzieć; ale może zabawię, może przez jedną chwilkę oderwę od nudniejszych zatrudnień.. a i to czyż nie jest pożytkiem?..

I.

Dwa zegarki.

Najprzód rysunek powierzchowny... Izba niska i obszerna stanowi oczywiście część dworku szlacheckiego, bo podłoga z niebardzo równych desek ułożona, a powała sterczy poprzecznemi belkami, skąpo i ongi pobielonemi; piec kaflowy z pręgami gliną zalepionemi, mnogich swędów świadkami i komin, sadzy przybytek, zapełniają całą jedną ścianę; za to trzy inne płótnianem pobielaniem strojne: czas i szczury, tu i owdzie wyglądające, podziurawiły je wprawdzie, zawsze jednakże dosyć świeże się wydają, a niemało strojności dodają im obrazki nie nader symetrycznie rozwieszone. Na jednej ścianie cztery pory roku, różne swojemi kolorowanemi godłami, choć je muchy dosyć jednostajnie popstrzyły; na drugiej dzieje marnotrawnego, od hucznych bankietów zacząwszy, aż do skromnego świnek pasienia; a na trzeciej dziwnie interesujący żywot Genowefy brabanckiej, w pałacu i na puszczy, z dzieckiem i łanią... Krzesła w koło ścian dębowe podobno, lecz i politurę i barwę obić ząb czasu zdrapał, a porządek który wszystko naprawia, nowemi ubrał łatami; na środku stół dębowy umozaikowany dziurami wypalonemi i wydrapanemi, brudem, kredką i piórem nawet, zdaje się świadczyć, że pokój ten, łącząc kilka przeznaczeń, jest jadalnym, bawialnym i ekonomicznym razem pokojem. Bym nie zapomniał, w przeciwległym kominowi kącie stoi długa drewniana rura z głową zegara i głosem kukułki, a między nią i obrazem kwiecistej wiosny, wiszą trzy nahajki różnej długości, grubości i tęgości; dobrze zużywane, ale zawsze pełne jeszcze życia. Trzy tylko osoby stanowią grupę obrazu, bo wprawdzie przez drzwi wpółotwarte widać w sieni kilku chłopków z nieśmiałą miną drapiących się w głowy, ale w samej izbie widzimy tylko w samym środku stoła stojącą postać mężczyzny, którego metrykę z twarzy trudno poznać, bo jeżeli ją czas licznemi poorał zmarszczkami, natomiast zdrowie, wiatry, upały i niepogody znamię czerstwości na niej wyryły; czoło niskie i ciasne, grubą, kasztanowatą, najeżoną i brudną włosów szczotką nadsztukowane, nie rachując w to słomy i pierza, resztę z rozlicznych noclegów; oczy bure, wielkie, na wierzchu

http://rcin.org.pl

osadzone, były obie jednakowe zapewne, póki jednego niezgrabna ręka jakaś sińcem i gulą czerwoną nie naznaczyła; nos musiał być zadarty, lecz tabaka go w szerz rozepchała, a gorzałeczka ustroiła w barwę sińcowi odpowiednią; usta szerekie, grubowargie, rodzajem szyderczego uśmiechu ku uszom rozciągnięte i nieco skrzywione: wszystko to wraz z brodą dwa razy dłuższą od twarzy, napół włosem zarosłą i centkami czerwonemi na twarzy hojnie rozrzuconemi, tworzyło ogólną charakterystykę tej twarzy. Szyja krótka, ale za to garb z tyłu sowicie wzniesiony i powiększony jeszcze mantelzakiem dosyć podartym, z którego boków wystawały sukień i bielizny ułamki; a na wierzchu położone buty dziurawe, zdawały się łączyć głowę z garbem. Surdut, kamizelka i spodnie tworzyły całość harmonijną brudem, łatami i wynoszeniem, ale oczywiście się kłócą pochodzeniem swojem z tandety, która surdut, z niegdyś aksamitnym kołnierzem, zdjęła z wysokiego suchotnika, kamizelką z otyłego pasibrzucha, a spodnie z małego gimnazjalisty, by naszego ubrać garbusa... Otoż i on cały, prócz krawaty niegdyś włosiennej i czapki której pochodzenia i kształtu nieodgadnąć, tak ją używanie rozepchało a stoły licznych szynkowni i deszczu nawały, z prochem dróg zmięszane, pobrukały; ten człowiek wydaje się ubogim, a przecież jest zbytek widzialny na nim, zbytek drugiej pary butów na krótkich nogach, zbytek dwóch pierścieni na palcach, srebrnego i tombakowego, zbytek chustki kratkowanej, którą w chwili na obrazie schwytanej, pot ociera z czoła.

Druga na obrazie osoba wpół oparta na dębowym stole, jest to chudy, wysoki, ospowaty jegomość z zapadłemi policzkami, nosem śpiczastym, sympatycznie ku równie śpiczastej brodzie schylonym; pod tym kabłąkiem usta w głąb ściśnięte, bezzębną zamykają gębę, nieco w górę rozciągnięte złośliwym uśmiechem rozpromieniają żółte, pargaminowe policzki, nad któremi błyszczą małe, piwne, zyzowate oczy pełne ciekawej niespokojności, a wznosi się czoło ściśnięte w skroni, zapisane całe najkapryśniejszemi zmarszczkami jakie tylko wymyśleć można. Włosy niegdyś ciemne, czas przerzedził i posrebrzył, a grzebień i ręka ku czołu zaczesała i zagładziła; ubior cały kusy, stary, z ojczystego dreliszku, i widocznie przez starozakonnego krawczyka sporządzony, odznaczał się nie tyle porządkiem, ile szanowaną oczywiście starożytnością. Bez czapki, bo domowy; bez halsztuka, bo widać przez okno otwarte zielone sadu konary; drugą rękę miał napół wyciągniętą ku garbusowi, a długiemi palcami jakby szponami zdawał się mocno cisnąć przedmiot jakiś, z którego wisiał tylko ułamek sznurka czarnego.

Trzecia osoba na obrazie stoi o parę kroków od stołu, jakby tylko co przyszła ze środka pokojów, napół obrócona ku chudemu jegomościowi, ą napół ku garbusowi, trzyma rękę wyciągniętą, a w niej złoty zegarek cebulowego kształtu z różnobarwnym łańcuszkiem paciorkowym. Jestto niski, pękaty, niemłody już i nawet łysawy blondyn, chociaż się do tych własności przyznawać nie zdaje; bo i głową zadartą w górę i obcasem wysokim sztukuje się jak może; faworytami gęstemi od uszów do ust ciągnącemi się i wąsem rzęsi-

http://rcin.org.pl

stym, miotłowym, a hiszpanką wymuskaną nagradza brak włosów, pilnie na czoło wypukłe naciągniętych i zmarszczki twarzy, jakkolwiek się ta pełnością i rumieńcem kłóci jak może z nielitościwym wiekiem; ubiorem obcisłym brzuch wyrastający ściąga o ile sił starczy, a świeżością barw na tym całym stroju chce widocznie letnich kwiatów przypominać parę. Bo proszę patrzyć tylko: na kamizelce białej pikowej, nakrapianej niebieskiemi i pomarańczowemi gwiazdkami, która dziwnie dobrze odbija od różowych spodni i walterskotskiego surducika, jest naprzód na cal szeroka wstęga, jakby orderowa, jasnobłękitna, która niknie w lewej kieszonce od kamizelki z wystającem piórkiem od zębów; jest czerwona, morowa wstążeczka, która ku prawej dąży kieszonce z zegarkiem zapewne, a zieloną przedłużona wstęgą, kończy się bogactwem krwawnikowych pieczątek; na paliowej wisi u szyi lornetka, ku ozdobie raczej niż ku potrzebie zawieszona; czarna znowu z jakąś pamiątką czy świętością z po za kamizelki wygląda i bladoróżowa wstążeczka wstydliwie się chowa pomiędzy guziczki świecące z niewidomym przedmiotem. Oczy jasno niebieskie chociaż pozbawione wyrazu i jak dwie olbrzymie cebule na wierzchu osadzone, zdają się także spojrzeniami pewnemi, zuchwale na wsze boki rzucanemi, świadczyć o żywotnym ogniu, którego pełno jeszcze w tej okrągłej, kulistej figurze; tą razą zdaje się z nich strzelać inny jakiś wyraz, który gdzieś z głębi dobyty, mniej zwyczajnym promieniem uszlachetnia twarz całą.

Nie wiem czy piórem zdołałem oddać ten wyraz śmieszności rozlany w tej grupie, tak jakby się on wydał, gdybym mógł obraz ten odmalować pędzlem, tak nareszcie jak się wydał oczom moim, bo obraz ten jest istotny! osoby odrysowane żyły i odbyły razem scenę, której z drugiego pokoju byłem świadkiem, a którą odrysowawszy ogółowo opisać zamyślam.

Garbaty Janek, był to sierota losu, stworzenie koczownicze, które odbyło wędrówkę życia bez popasów wygodnych i noclegów orzeźwiających. Życie jego całe tak rozmaite stanami, których próbował, miejscami, które niezmordowaną przebiegł nogą, a tak jednostajne nędzą, nieodstępną towarzyszką swoją, nic mu nie dało po czterdziestu leciech, prócz tych łachmanów, w których go widzimy, prócz tego filozoficznego uśmiechu, którym się nauczył patrzeć na świat i jego zdarzenia i tych kilku plam na nosie i twarzy, któremi go obdarzyła jedyna pocieszycielka jego żywota: gorzałka; ta stała mu się wszechwładną czarodziejką wywołującą codzień świat inny, świat pełny uroku!... Jakoż dzieje jego życia łatwo odgadnąć z powierzchownej jego postaci: niema w jego myśli tajemnicy; dusza jego nie chowa pamięci zdarzeń szczególniejszych, a przecież są chwile przedgorzałkowe, w których niknie filozoficzny jego uśmiech, są chwile pogorzałkowe, w których o przeszłości swej gada jak o raju utraconym. Epizody jego żywota, nie ciekawe zapewne dla czytelników, przemilczę, jakkolwiek niemały dałby się może wyciągnąć sens moralny z tej prostej, ale hartownej natury, którą nędza i pijaństwo nie zepsuły; o brudy towarzyskie ocierając się przez lat czterdzieści, wyszedł nasz garbus z czystem sumieniem i wesołem zawsze usposo-

http://rcin.org.pl

bieniem. Fatalizm jego żywota był garb, a później gorzałka!... Napróbowawszy się różnych rzemiosł, z których wypędzał go śmiech, jaki wzbudzała jego postawa, dłużej zatrzymał się przy warstacie szlufirskim, bo wędrując z ulicy na ulicę, z miasteczka do miasteczka, przy furczącym z ślufirskiego koła odgłosie, łatwiej mógł puszczać mimo uszów żarty i przydomki, jakiemi go lamparty uliczne obsypywali; lecz nagle bez pozornej przyczyny, opuścił ten stan najwięcej zgodny z garbem jego. To była tajemnica jego żywota!... odtąd po raz pierwszy rzucił się w objęcia czarownej wódeczki i odtąd pozostał w nich na zawsze; zaczął sługiwać po dworkach i dworach; nielitościwy śmiech wyganiał go zewsząd. Stan lokaja w mieście uśmiechał mu się jako najwyższy szczebel szczęścia, lecz próżne były sny jego nocne, próżne marzenia dzienne; napróżno uczciwością chciał się utrzymać i wznosić w tym stanie; lokaj garbaty była to śmieszność, od której każdy uciekał: ledwie jako sługa dochodzący mógł czyścić buty studentów niezamożnych i niższych urzędników: a i tu, ileż razy odpędzało go głupstwo, wstydzące się garba Jankowego! Coraz głębiej zazierając do kieliszka sprzykrzył sobie nareszcie życie, znienawidził ludzką niewdzięczność, i puścił się na wędrówkę. Przechodząc przez tyle stanów, niemało pożytecznych nauczył się kunsztów, i tak: tam łatał, tu brzytwy i noże ostrzył, tam furmanił, tu siekierą rąbał, czasem komin wyczyścił, czasem hucznego zagrał mazura; zgoła od wioski do wioski, od gospody do gospody, od rannego kieliszka wódki do wieczornej piwa szklanki przeskakiwał wesoło życie, a słuchając zdarzeń cudzych i rozpowiadając własne, nabrał tego filozoficznego uśmiechu, z którym go widzimy stojącego na obrazie przed panem Wincentym i panem Antonim, dwoma braćmi, współdziedzicami czwartej części lichej wioski podolskiej...

Lecz uważam, iż nadto prostym sposobem rozpowiadam powieść moją... a zatem zróbmy skok!...

Było to w wieczór po bitwie pod Samosierra czyli Sierra-Morena... Jakkolwiek mógłbym tu piękny umieścić epizod o tej, nie tak stanowczej, jak raczej morderczej bitwie, wolę jednakże ciekawych czytelników odesłać do opisów historycznych, które prozaiczniej, ale wierniej zapewne odmalują tę bitwę. I o okolicy górzystej, w której się odbywać ma scena mojej powieści, wiele powiedzieć można, lecz niestety! nie byłem w Hiszpanji, i tylko z opisów wiem jak musi być czarowna ta okolica, przerznięta skalistemi wąwozami, które dziwacznemi piętrząc wyłomami, tam gołem sterczą urwiskiem, tu w zieloność drzew strojne, wznosić się zdają w błękit nieba... w błękit nieba hiszpańskiego! a rzuciwszy na to wszystko złociste promienie słońca zachodzącego, tego słońca południowego, słońca, które się odbija o złote arabeski ścian Alhambry, łamie się pomiędzy kolumny dawnych Maurów pałacu, chowa się w wonnych gajach Grenady, przegląda się pyszne i promieniste w złotem tkanych Tagu nurtach; a dodawszy do tego powietrze rozkołysane nutą dawnych pieśni o Cydzie; byłby to krajobraz godny pędzla, godny pióra poety!... Nie byłem w tym kraju poezji i słońca; nie mnie to mieszkańcowi lodów północnych zgadywać i opisywać cuda, które tylko w godzinie na-

tchnienia przyśnić się mogą!... Był wieczór pogodny, chociaż tu i owdzie z parowów oświeconych jeszcze ostatniemi słońca promieńmi wznosiła się mgła; nie mgła, która spada nazad na ziemię deszczem ożywczym, ale mgła z morderczej walki powstała, mgła prochu nieszczędzonego przez dzień cały. Milczenie nastało powszechne; czasem je tylko przerwał jęk urywany!... nie głos to puszczyka!... zawcześnie jeszcze na tego nocnego ptaka! o nie!... lecz mgłę prochu wnet rosa rozkradnie wieczorna, a jęk umilknąć także musi!...

Ścieżką wiodąca gęstym gajem, rozrzuconym po nad wąwozem, który był świadkiem morderczej bitwy, szły dwie kobiety: młodsza postawą i ruchem, osłonięta ciemną mantylką, szła naprzód; starsza zchromionym przez wiek wlekła się za nią krokiem.

— Panno! panno! wracajmy! jak się stryjaszek dowie o tej wyprawie, będzie się gniewał na biedną Donatę...

— Nie bój się poczciwa Donato! mój stryj był żołnierzem, dziś jest kapłanem; nie będzie się gniewał na bratankę, w której żyłach płynie krew dawnych Hiszpanji oswobodzicielów, jeżeli idzie z ratunkiem i modlitwą na pole bitwy... gdzie nie jeden może z ziomków moich...

Jęk przedłużony dał się słyszeć. Stara wzdrygnęła się!... — Panno! Juanito! uciekajmy!...

— To tam niżej odezwał się głos... Chodźmy!... — I przedzierając się pomiędzy krzaki pobiegła Juanita ku miejscu, zkąd głos się odezwał powtórzony, lecz coraz cichszy i słabszy. Stanęła nagle dziewica, nie bez wewnętrznego wzruszenia, i do nadbiegającej staruszki rzekłszy z wyrazem pogardy: To Francuz!... Chciała iść dalej; lecz mimowolnie gdy raz jeszcze rzuciła wzrokiem na leżącego przy krzaku trupa, coś jej zaświeciło z łona ciemności, które się już rozścielać zaczynały. Był to złoty krzyżyk zawieszony na piersi leżącego żołnierza; snać go dobył z zanadrza, przyciskając rękę o piersi zranione, lub wiedziony myślą jaką pobożną... To chrześcijanin! — rzekła głosem anioła, i odrzucając zasłonę na ramiona, schyliła się ku leżącemu. O! jeżeli była jeszcze iskierka w nim życia, musiało się ocucić na widok tch dwojgu oczu, które spojrzały na niego z wyrazem nadludzkiej litości. Jakoż ranny zrobił poruszenie: oczy Juanity z wyrazem wdzięczności wzniosły się ku niebu, a spadły radośnie na oblicze dorodne leżącego młodzieńca; i ratując go wszystkiemi przyniesionemi ku temu środkami, zapomniała Juanita na godzinę późną, zapomniała na ziomków, których szukać i ratować przyszła. A gdy pod puchowem śnieżnej ręki dotknięciem, ogorzała twarz żołnierza ożywiać się zaczęła, gdy jej ciemne oczy pierwszą iskrę życia i poznania w otwierającem się błękitnem jego oku dostrzegły, pamiętała już tylko jakby wyratować zupełnie biednego młodzieńca.

— Donato! jak my go zaniesiemy?...

Mniej litościwa staruszka trzęsła się ze strachu i zgrozy, widząc swoją pannę, córkę prawego szlachcica hiszpańskiego, bratankę przeora bliskiego klasztoru bosych karmelitów, schyloną nad bezbożnym Francuzem... — To poganin! — krzyknęła.

http://rcin.org.pl

— Donato patrz na oblicze pana Jezusa na tym krzyżyku!... to biedny zbłąkany chrześcijanin! jak go zanieść? poradź!... gdzie go schować? poradź moja kochana mamko!...

— Juanito! to będzie nieszczęście twoje! ostatnie słowa księdza przeora... Zbliżają się nieprzyjaciele; ale śmierć dla nich! śmierć każdemu Francuzowi!...

Ułan tymczasem otworzył pomału zdziwione oczy, i w pierwszej chwili mniemał się już być w niebie, widząc tak blisko nad sobą gwiazd dwoje promiennych, później zdawało mu się, że jest w objęciach anioła; a gdy powoli wrócił do przytomności, zrozumiał o co rzecz idzie, i zebrawszy całą umiejętność języka hiszpańskiego osłabionym wyrzekł głosem:

— Ja nie Francuz, ja Polak!...

— A widzisz Donato!...

— Po coś tu przyszedł Polaku z bronią w ręku do naszej pięknej i wolnej Hiszpanji? — surowo zagadła Donata.

Nie mógł się wdawać w polemikę biedny ułan, bo za każdem słowem krew mu się dobywała ze zranionych piersi; a gdyby i mógł, cóżby zdołał odpowiedzieć młody i niedoświadczony szeregowiec: należał bowiem nasz ułan do liczby tych, którzy idąc za popędem owoczesnych marzeń, jak dawniejsze pokolenie do ziemi świętej, szli stawić się pod orły francuskie, i płonne urojenia krwią płacąc własną, trupami swemi zasłali szeroką świata przestrzeń od piramid egipskich, do kolumn Herkulesa.

— W grobowcu księcia Maurów będzie leżał! — natchniona zawołała dziewica...

— Juanito! to przekleństwo jakieś na ciebie... Długo trwało nim wsparty na obydwoch niewiastach dostał się po skalistej i krętej ścieżce, która wiodła po nad urwiska, pomiędzy zarośle do spustoszałego budynku, który okoliczna wieść nazywała grobowcem księcia Maurów; był to budynek obszerny, sklepiony, złożony z kilku oddziałów napół zawalonych. Popękanemi schodami zeszli nareszcie w dół; i tam był obszerny pokój kilku okienkami z góry oświecony; większa jego część była zawalona gruzami kolumn, na których widoczne były jeszcze dawnych rzeźb ślady. Grobowiec ten był źle uważany i nawet za siedzibę złych duchów miany przez pospólstwo zabobonne; z tych właśnie powodów wydał się Juanicie najbezpieczniejszem schronieniem dla rannego, tem więcej że niedaleko ztamtąd było jej własne pomieszkanie w starym, na górze zawieszonym zameczku; a prócz tego ona to zwiedzając często złowrogie ruiny, wynalazła sama drzwiczki ukryte w ścianie i schody prowadzące do dolnej komnaty. Chętnieby była umieściła chorego w wygodniejszem pomieszkaniu własnem; ale obawiała się nienawiści jaką pałali wszyscy Hiszpanie ku najezdcom swoim; a chociaż bez ojca i matki, sama jedna z starą mamką i kilku wiernemi sługami mieszkała w zamczysku, bała się dla żołnierza częstych odwiedzin stryja, zagorzałego nieprzyjaciela Francuzów. Póty biegała z zamku do grobowca, póty błagała swej mamki ze łzami w oczach, póki nie przynieśli młodemu żołnierzowi wszystkiego, czego mógł dla swej potrzebować wygody.

http://rcin.org.pl

Przeskoczmy kilka tygodni słabości i wyzdrowienia naszego ułana, a ciągłej staranności i opieki ze strony pięknej Juanity!... A piękną była piętnastoletnia Juanita, piękną tą pięknością czarnookiej Hiszpanki, piękna ogniem, który strzelał z oczów, który się rumieńcem na poły wstydliwym, na poły namiętnym rozlewał po białej jak alabaster twarzy; piękna osobliwie tem usposobieniem na poły nieśmiałem, płaczliwem prawie, usposobieniem lękliwej kobiety, a na poły energicznem, wyczerpanem z krwi dawnych bohaterów: wychowanie samotne i pobożne w pięknej okolicy, pod niebem uroczem dodało do powabów tylu nowy urok niewinności, który zdawał się ją obwiewać anielskiemi skrzydły... Lekką Sylfidy stopą ziemi dotykała, marzeniem i modlitwą w niebo wzlatywała!..

Lecz jakże zmieniły ją dnie, które od owego zdybania tak szybko, tak niepowrotnie uleciały; w obszernej zamku starego komnacie siedzi smutna w szerokiem starego kształtu krześle; oczy jej nieruchomie utkwione w kamienną posadzkę pokrywa zasłona łez wstrzymywanych i długich ciemnych rzęsów, których cień przedłużony, odbity od świec na stole postawionych, miga się po wybladłych licach. Na tym stole stoi wysoki krucyfiks misternej roboty, smutny sprzęt w dziewiczem pomieszkaniu; a przed nią nieruchomy mężczyzna w mniszym stroju, z oczami surowo wlepionemi w jej smutną twarz. Rozmowa była długa i stanowcza; często i ciężko wznoszące się piersi dziewicze kończyły łkaniem przytłumionem walkę, którą odbyła po raz pierwszy i ostatni z nieugiętą wolą opiekuna swego.

— Nie daj mi żałować — rzekł mnich głosem, w którym nie było ani cienia czucia — żem się na wieki w murach zamknął klasztornych, aby szczupły dziadów naszych majątek zlać na głowę jedynej dzieweczki wielkiego imienia... Bartolomeo nosi to same nazwisko... i musi być mężem twoim; a przez Boga jest godny twojej ręki; nazwisko jego stało się postrachem tych zapyrenejskich rabusiów... i tyż Juanito! dzieliłaś dawniej rodową naszą nienawiść do dumnych najezdców!... miałażbyś się zmienić? gdybym to wiedział, na ten krzyż, który przodków naszych pobożne słuchał modlitwy, przysięgam... wolałbym, byś leżała w grobie! Juanito ty milczysz?...

— Nie! nie!... — wyjękła Juanita...

— Nie!... mamże to zaprzeczenie przyjąć za wyznanie dawnych twych myśli?... ty nienawidzisz Francuzów...

— Nienawidzę! — ledwie dosłyszanym odpowiedziała głosem.

— Nadto ci wolności zostawiałem!... odkąd porzuciwszy pobożne ćwiczenia zaczęłaś się błąkać po górach naszych, jak prosta pasterka, zaczęłaś się drapać po skałach... z tych przeklętych zwalisk buntowniczych Maurów, wyniosłaś ducha przeciwieństwa!...

— O nie ztamtąd!... — żywszym krzyknęła głosem.

— Tak mówisz! — szyderczo zagadł znowu; — lecz po cóż nam dłuższych rozmów; zas nagli!.. Bartolomeo niema do stracenia godzin życia swego, zapełnionych zemstą nad wrogami; napróżno staranie się o miłość romantycznej dziewczyny; na godzin kilka uwolniony od służby, przyleci tu przedniem z wojska, a... — tu spojrzał na zegarek

http://rcin.org.pl

staroświeckiego kształtu u stóp krzyża złożony.... — o godzinie piątej zrana będziesz jego żoną!...

— Już jedenasta! — krzyknęła Juanita — i porwała zegarek; ostatni więc upomiek matki mojej ma mi zwiastować godzinę mojego...

— Nie kończ płocha dziewczyno!.. ostatni upominek matki powinienby ci inne myśli przywieść na pamięć... Znam i ja ten zegarek!... O Juanito! — dodał, i głos jego stał się czulszy — matka twoja bardzo kochała brata mego, kochała go przed wszystkimi... i został jej mężem, a ja zkamieniałem w kamiennych klasztoru murach... Pamiętaj, o piątej zrana!...

— O piątej czekać cię tu będę mój stryju!...

A gdy odszedł stryj, Juanita skoczyła z miejsca. — Już jedenasta! — wykrzyknęła drżącym głosem — Donato! Donato — zawołała, a zegarek cisnęła o piersi swoje... I wnet pogasły świece w zamku, a pomiędzy krzaki w noc ciemną przemknęły dwa cienie ku grobowcowi maurytańskiego księcia.

Ułan uzdrowiony z ran spał głęboko; lampa skąpem światłem oświecała ciemne sklepienie; nad spokojnie uspionym młodzieńcem długo stała zadumana Juanita; chciała go budzić, a żałowała mięszać sny miłe, które igrały na jasnej młodzieńca twarzy. Donata opodal od nich na ułamku marmarowej kolumny ciche zmawiała pacierze. Po długiej godzinie pełnej boleśnych rozpamiętywań spojrzała Juanita na zegarek. — O! czas ubiega nielitościwie!... czemuż, czemuż nakręciłam go wczoraj tak rano... Antoni! — zaszeptała. —

Do obozowej czujności przyzwyczajony żołnierz zerwał się. — Juanito droga! to ty?... czy wiesz już drogę do obozu mojego?... ja zdrów, mnie do braci tęskno, mnie do walki już spieszyć!...

— I mnie porzucić na wieki!...

— Ciebie Juanito!... — zasępiły się oczy młodzieńca, bo miał lepsze serce niż głowę. — Bóg widzi jak mi żal za tobą, za tobą, któraś mnie wyratowała, nowem życiem obdarzyła... ja cię nigdy nie zapomnę!...

— I nic więcej! — rzekła głosem podzielonym między rospaczą i pogardą dla oziębłości człowieka, którego czuje, iż kocha nad życie.

— Cóż chcesz, żebym powiedział Juanito! ja żołnierz, ja nie mogę szeregów moich odstępować, nadziei, dla której porzuciłem i rodzinne progi i spokój domowy i kochaną nad grobem stojącą matkę! Bóg wie, czy już ją zobaczę!...

— A ja odstąpiłam przecie!... od dawnej wiary, dawnych myśli i nawyknień dla ciebie niewdzięczny!... Antoni czy w waszym obozie są kobiety?...

— Kobiety? kobiety! — zadziwiony i przestraszony zawołał młodzieniec... — niema! nie wolno!... Juanito ja ciebie kocham, o ile mogę i o ile umiem... Juanito pożegnać ciebie jak najprędzej jest powinnością moją!... ty dziedziczka wielkiego rodu, zapomnisz biednego żołnierza... ty, dumna Hiszpanko zapomnisz... i będziesz szczęśliwa!...

http://rcin.org.pl

— W grobie!... ale dobrze mówisz! ty nie możesz być Hiszpanem, ty nie dla mnie, o nie!... i ja nie dla ciebie; ty jesteś z zimnej północy, nie zdołasz mnie zrozumieć, mnie dziecka południa...

I prawda; z oczów ułana wyczytać można, że energja żołnierza, która mu wystarcza w obliczu śmierci codziennej, nie pojmuje energji kochającej dziewczyny: bo poświęcenie ciała nie sprosta poświęceniu duszy; milczy ułan i szuka w głowie swojej coby w tej chwili powiedzieć wypadło, a przecież serce go szczerze boli za piękną czarnooką Hiszpanką.

Przykro żegnać, po tylu dniach i nocach przemarzonych, żegnać to urocze dziecko dumań moich, to lube urojenie wypieszczone przezemnie!...

— I mnie Juanito boli serce; nie umiem ja układać pięknie brzmiących słów, ale kocham cię Juanito! kocham... i nie zapomnę tu w tej gorącej Hiszpanji i w mojej zimnej Polsce nie zapomnę!...

— Kochasz mnie Antoni! — łzami jak brylantami zaiskrzyły się oczy dziewicy — dzięki tobie za tę ostatnią pociechę... O jak te dnie minęły! jak cień; nie wrócą już dla biednej Juanity... czas leci! patrz, jak światło lampy blednieje! to zorza!... Antoni! — przeraźliwym dodała głosem — patrz już niedaleko!...

— Piąta! cóż to znaczy?...

— O! po cóż go wczoraj, odchodząc od ciebie, nakręciłam tak rano... a przecie możebym godzinę... jedną choć godzinę zarobiła... przeszły już godziny szczęścia mego!...

— Co to znaczy Juanito?...

— Co znaczy? o piątej pożegnamy się... Donata ma strój pasterza dla ciebie, a tam na dole czeka siostrzeniec Donaty, który cię zaprowadzi aż przed czaty naszych wrogów... twoich braci!... między niemi zapomnisz!...

— Nie zapomnę ciebie!...

— Darmobyś przysięgał; ty uczuć pamiętać nie potrafisz!... Weź ten zegarek! to upominek od matki mojej... nie nakręcaj go nigdy; oby ci ta skazówka nieruchoma wskazywała zawsze godzinę naszego rozstania!...

— Juanito! — zawołał poruszony aż do głębi, ja cię tak porzucić nie mogę; ja czuję tu w sercu czego jeszcze nigdy nie czułem; ja nie drżałem przed morderczemi kulami twoich Hiszpanów, a drżę przed tobą dziewczyno!... kocham cię! Juanito! to inaczej być musi!...

— Inaczej? — zawołała Hiszpanka, a oczy łyszczące rzuciła na niego.

— Ta wojna się skończy! orły nasze zwyciężyć muszą, a jak pokój nastanie!...

— Nie Antoni! są przeznaczenia, których ominąć nie podobna; weź ten zegarek, przebierz się i idź!...

— Nie!...

— Idź! ja tak chcę, ja cię o to błagam! Ty już idziesz? o ja

http://rcin.org.pl

biedna! — i załamała ręce, porwała z namiętnym ruchem młodzieńca za szyję, i gorące na ustach jego złożyła pocałowanie. — Tem pocałowaniem żegnam ciebie!

— Juanito! my się będziemy jeszcze widzieć!...

— Tam! — odpowiedziała, a oczy wzniosłszy ku niebu, złożyła ręce pobożnie do szczerej modlitwy.

Ułan przebrany za pasterza kóz stanął raz jeszcze przed nią. — Bądź zdrów! Antoni! bądź szczęśliwy!... zegarek zatrzymaj na piątej godzinie!..

— Zachowam go do grobu, a ciebie Juanito w sercu!...

— Boskie błogosławieństwo z tobą! — Znikł ułan między krzakami; Juanita jak posąg została oparta o grobowiec maurytańskiego książęcia, a Donata mruczała: „przeklęty poganin zaczarował moją biedną Juanitę!...“

Wrócił do swoich chorągwi, długo wojował, z pod słońca hiszpańskiego pognał w lody północne; Hiszpanki nie zapomniał wprawdzie, ale w życiu obozowem epizod ten stracił pomału tęczowe swe barwy, a umysł naszego ułana pozostał spokojny. Gdy się ów sen piętnastoletni obudzeniem zakończył, powrócił Antoni równie z drugimi do ojczystej zagrody; piechotą o głodzie i chłodzie powracał, złoty krzyżyk przedał, a zegarka jak swiętości jakiej bał się dotykać: w długiej, żmudnej wędrówce częściej wspominał o Hiszpanji, częściej spoglądał na nieruchomą skazówkę, bo choć piąta godzina została mu zagadką, wierny przyrzeczeniu nie nakręcał zegarka. Widok ziemi ojczystej na inne myśli skierował umysł Antoniego; jak się cieszył zbliżając się do wsi, w której zostawił matkę i brata: już zobaczył krzyż cerkiewny, dworek i sad ojczysty!... Matki nie zastał; brat ledwie go poznał, a przyjął obdartego przybysza ze skrzywieniem. Bo pan Wincenty, jak go widzimy na obrazie, był na ciele i na duszy wysuszony szlachcic; krótkiemi słowy złajał brata, że goło powraca i oświadczył w końcu, że mu wprawdzie pomieszkania i stołu u siebie nie broni, ale że po matce zostały długi, które gorzko zapracowanym groszem popłacić musiał... „wszystko więc jest moje!“ dodał w końcu perory...

Antoni podziękował mu jeszcze za to, iż pamięć matki od wstydu długów oczyścił i nudne zaczął życie w domu braterskim, przy skąpym barszczu, a nieszczędzonych naukach moralnych. Największem jego szczęściem było rozpowiadać o wojaczce swojej, o której miał jak największe wyobrażenie; uwolnienie od służby wraz z patentem na podporucznika oprawił w złociste ramy, za szkło wsadził i powiesił w swoim pokoju; a pod tym wisiał zegarek, który zbogacił pstrym łańcuszkiem, albowiem w dnie świąteczne wdziewał go na siebie, zapewne by powiększyć liczbę owych wstęg, z któremi widzieliśmy go na obrazie. Nie wiem czy to niezatarte wspomnienie wojskowych sznurów i orderów, czy może przypomnienie teatralnego stroju w jakim musiał nieraz widywać Murata, cobądź to było, została mu się z życia poprzedniego ta jedna słabość do tych różnobarwnych dekoracji, w których

http://rcin.org.pl

lubił występować. Nie wiele nawet umiał rozpowiadać o wyprawach, które przebył, bo jako żołnierz i do tego nie szczególnem od natury obdarzony usposobieniem, nie wiele więcej widział prócz miejsc, w których się bił, lub zimowe odbywał kwatery; twierdził jednak, że niema jak stan żołnierza: o Hiszpanii najwięcej rozmawiał, to jest mawiał przy zdarzonej sposobności: „To śliczny kraj!... tam było gorąco!... więcej jest tam pomarańcz, niżeli u nas jabłek kwaśnych!...“ O Juanicie czy pamiętał nie wiem, bo nigdy o niej nie wspomniał, ale zegarek miał w szczególniejszem poszanowaniu. I tak z dnia na dzień dożył zdrowo i czerwstwo aż do dnia, w którym zdarzyła się scena na obrazie odrysowana.

Od trzeciej już zrana pan Wincenty biegał, szastał się po domu jak mucha w ukropie, z dworku na puste jeszcze gumno, bo to było w czerwcu; ztamtąd do stodoły; po pustych chlewach i kurnikach tłukł się jak Marek po piekle; tu pędził dziewkę do dojenia krów, tam zrzędził na zaspanego gumiennego; łajał, krzyczał i szturkał: bo pan Wincenty zapobiegły jest szlachcic, jak go sąsiedzi nazywają — sknera! powtarzają głodne domowniki: gdy mu tu raptem nawinęli się wójt i przysiężni.

— Czego chcecie draby? — było zapytanie zwykłe: bo pan Wincenty twierdził, że chłop a bydle unum idemque; a gdy zastraszony wójt zaczął się w wygoloną drapać czuprynę, już jedna z wiszących nahajek miała być w robocie: gdyż pan Wincenty utrzymywał, że chamska skóra do batogów stworzona; jakoż skąpy we wszystkiem, rozrzutny był co się tycze batogów; bił poddanych swoich niemiłosiernie, pędził na robotę od niedzieli do niedzieli, a ssał ich jak prawdziwa pijawka: przyczem oczywiście rosła jego sakwa skórzana, choć brzuch schódł bez miary. Po długim rozhoworze dowiedział się nareszcie, że jakiś wędrowny czeladnik chce z nim pomówić.

— O czem chce ten urwisz ze mną gadać?...

— Ale jaśnie panie, wczoraj przy świętej niedzieli było pełno w karczmie, a ten garbaty grał na skrzypkach i potem przy kieliszku...

— Przeklęte pijaki!... już ja was gałgany oduczę tego pijaństwa!...

— Jakoś przyszło do tego, że jeden powiedział garbatemu, że jasny pan znalazł na spacerze przy figurze na trakcie...

— Co znalazł? co znalazł?... ja was tu nauczę — i jak zaczął wywijać numerem drugim, bo nahajki trzeba wiedzieć były na stopnie podzielone, wójt i przysiężni w nogi; milczenie nastało, tylko pan Antoni wpadł na krzyk i zastał braciszka zapyrzonego pod bronią... Ochłonąwszy nieco z gniewu kazał pan Wincenty przywołać garbatego Janka... Tu zaczyna się scena z obrazu...

— Kto jesteś? — burknął pan Wincenty na wchodzącego.

— Janek na usługi pańskie — była pokorna odpowiedź...

— Jakto? Janek! Janek! i nic więcej?...

http://rcin.org.pl

— No kiedy pan chce koniecznie wiedzieć, Jankiem garbatym mnie nazywają...

— To widzę!... ale czegoż chcesz?...

— Ja mój jegomość chcę zegarka mego.

— Patrz garbusa! zostawiłżeś zegarek swój u mnie?

— Nie zostawiłem, ale jegomość ma go u siebie.

— Powiedz nam tylko jak wyglądał twój zegarek? — zagadał pan Antoni...

— Srebrny! mój dobry jegomość, trochę już z wierzchu pogięty, z czarnym bawełnianym łańcuszkiem... o ja go zaraz poznam!...

— Przestań gamuło, mój panie Antoni nie mieszaj się do rzeczy, których nie rozumiesz... kodeksuś ani czytał zapewne...

— Mój Wincenty! lepszy mój kodeks w sercu wypisany, niż ten, którym ty kręcisz jak szewc skórą... a potem i my mieliśmy nasze prawa wojskowe...

— No! no! tylko z prawami wojennemi daj mi pokój... a więc mój panie Janku z przydomkiem garbaty, bez nazwiska, śmiesz utrzymywać, że u mnie jest twój zegarek?...

— A jużciż jegomość znalazł go pod figurą na wielkim trakcie... jakoś idąc pozawczoraj z pohulanki, tej karczmy przy mogile na górze, zdrzymało mi się koło figury i usnąłem pod drzewem sobie, a gdy na gospodzie pod miasteczkiem, co to ją zowią poprawką, stanąłem na popas, już mego zegarka w kieszonce nie było... dobrze mi mówiła gospodyni z pod złotego capka, u której pobielałem naczynia, że sznurek już niepewny...

— I dla tych ważnych powodów twierdzisz, że zegarek z pod figury u mnie się znajduje...

— Ależ mój jegomość, pastuszek z respektem powiedziawszy od świń, Samiłko jak go nazywają, powiadał, że sam pierwszy zobaczył i jegomości jadącemu w pole oddał...

— A to piękny dowód!...

— Wincenty! przecie zechcesz?...

— Panie Antoni! nie mieszaj się do tego... że mój pastuch, któremu dałem batogi za to, że nie zajął księżowskich świń, które mi w szkodę leść chciały, upiwszy się w karczmie z tobą, plótł duby smalone, ośmielasz się twierdzić...

— To już nadto... spodziewam się, że nie myślisz cudzego...

— Cudzego?... cudzego! — zasyczał jak gadzina pan Wincenty; takim bowiem głosem przemawiał w gniewie, do czego mu brak zębów pomagał niepomału — milczałbyś kiedy ci dobrze w cudzym kącie...

— O matko moja!... to twój syn powiedział!...

— Twoja matka umarła żebraczką przez twoją wojaczkę... i ty żebrak!... którego ja hodować muszę...

— Wincenty! Wincenty! niech ci tych słów Bóg nie pamięta! — krzyknął namiętnie pan Antoni, ale zamilkł, bo w domowego życia

http://rcin.org.pl

ciasnych obrębach potracił przy niejednej już walce z braciszkiem resztki niebardzo rzęsistej energji...

— Czego panowie się kłócą przezemnie.. przepraszam bardzo... proszę mi tylko oddać mój zegarek...

— Oddaj! proszę ciebie; wszak masz w kieszeni!...

Cętkami czerwonemi, jak plamami krwi pokryła się żółta twarz pana Wincentego; pełen wściekłej złości porwał za kieszonkę i wyciągnął z niej ściśniętą pięść, lecz trudnoby było odgadnąć, ażali w niej co trzyma, gdyby nie czarny sznureczek, który się zdradliwie z pod krogulczych wymknął palców...

— Oto! mój sznureczek! — wykrzyknął Janek klasnąwszy w ręce z radości...

— Twój sznureczek wagabundo!... — panie bracie! ty coś rozbijał, mordował, obdzierał trupy! chcesz sprawiedliwości!... dobrze! mój ty Janku garbaty!... zobaczymy! weźmiemy się najprzód do protokołu... bo taka rzecz nie może się inaczej odbyć... tu niema świadków!..

— Jegomość! ja daruję protokół! ja chcę tylko zegarka mego...

— O nie ptaszku! musi być protokół!... a masz ty czem zapłacić moją fatygę?...

— A żeby mnie matka boska chorobą pokarała, jeżeli mam grosz przy duszy! ostatnie dwa grajcary zostawiłem dziś rano w jegomościnej karczmie u Berka, który niegodziwie chrzci wódkę... ale może jegomość ma brzytwy do wecowania? może komin wytrzeć potrzeba?...

— Nie wywiniesz się pijaku! ja darmo nie będę gryzmolił; zafantujemy mantelzak... zrobimy protokół, a z niego się dopiero pokaże czyli jest jaki dla ciebie zagarek srebrny z łańcuszkiem czarnym, który to niby umiesz rozpoznawać...

Trzeba tu zrobić uwagę, że pan Wincenty, jakkolwiek zapaśny szlachcic i posiadacz wioski, wyrobił sobie dekret na mandatarjusza, w celu, aby mu łatwiej przyszło prowadzić krnąbrnych chłopów w takt owych trzech wiszących kamertonów; było to zaś w jednostajnem życiu wiejskiem jego jedyną rozrywką...

— Wincenty opamiętaj się!...

— Najprzód weźmiemy się ad generalia, a potem ad specialia.

— Wincenty oddaj proszę ciebie!...

— Ad generalia! kto jesteś? zkąd? czy masz paszport jaki włóczęgo!..

— Paszport?... ja chodzę po świecie tyle lat!...

— Wincenty! zaklinam cię nie rób mi tego wstydu!

— Gadaj sobie co chcesz panie kapralu!... Więc nie masz paszportu bratku?... a zegarka ci się zachciewa?... nie odchodzić ztąd!... idę po papier, wójt i przysiężni niech czekają... zaczniemy protokólik; a zamiast czarnego zdybiesz się z żelaznym łańcuszkiem...

— Jegomość! jegomość żartuje sobie; czyżby pan na wiosce chciał chudemu pachołkowi zatrzymywać lichy zegarek?...

http://rcin.org.pl

— Jakiś włóczęga!... to kryminałem pachnie!... co! więc utrzymujesz koniecznie, że jakiś tam zegarek jest tu!...

— A jest w pańskiem ręku!... ja go odstąpić nie mogę, choćby tu jegomość mnie posiekali!...

— Wincenty po raz ostatni pytam cię, czy oddasz?

— Nie! nie! nie! mój panie Hiszpańczyku!

Skoczył pan Antoni do swego pokoju, i lotem bomby wpadł nazad, trzymając w ręku swój złoty zegarek... tak jest zegarek Juanity!... „Dobry człowieku masz tu zegarek i idź swoją drogą!...“

Ciekawe rzucił wejrzenie Janek na podany sobie zegarek, lecz wnet kiwnął głową i rzekł: „To nie mój, ja go nie chcę!... proszę o mój srebrny...“ Obydwaj bracia spojrzeli na niego z zadziwieniem.

— Ależ ten jest złoty, kosztowny; wierz mi mój kochany, bardzo kosztowny...

— Wierzę; ale dziękuję i proszę o stary, srebrny, połamany zegarek...

— Bierz! bierz dobry człowieku! daję ci go z serca...

— Poczciwe pan ma serce!... ale niema takiego na całym świecie zegarka, za którybym mojego odstąpił; oddaj mi go jegomość, a Bóg ci błogosławić będzie na każdym kroku!...

To było za nadto na rozum pana Antoniego, za nadto na chciwą duszę pana Wincentego, który pomyślał w tej chwili, ażali się w środku srebrnej koperty nie znajduje banknot jaki; chciałby się zaraz o tem przekonać, aż mu palce zadrżały, ale wstyd nie pozwolił mu ściśniętej otworzyć pięści...

— Wszak za ten zegarek możesz mieć kilka srebrnych!...

— I za skarby całego świata nie dam; on pójdzie ze mną do grobu... oddaj mi go jegomość! — i oczy Janka zwilżyły się łzami..

Pan Antoni z oczami od zdziwienia na wierzch wysadzonemi przypomniał sobie w tej chwili zdarzenie własne w Hiszpanji i zawołał: „Może pamiątka?...“

— Pamiątka panie dobry! tobie opowiem — i obtarł oczy brudnym rękawem. — Byłem szlufirzem we Lwowie, stałem długo z moim warstatem na Zielonem przedmieściu, tam w rogu jednego ogrodu... bo ja byłem młodszy, a furtką tego ogrodu wybiegała codzień do miasta z kobiałką piękna Marysia... wiele w życiu widziałem, ale piękniejszej od Marysi ani w ojczyznie, ani za granicą, chociaż długo furmaniłem po Warszawie i Moskwie.... Marysia była dobra i grzeczna — jak się macie Janku; dzień dobry Janku; czy dobry dzień dzisiejszy dla was Janku — tak do mnie gadała idąc i wracając; a nie tylko nożyczki swoje, noże i brzytwy ojca, który był garbarzem przynosiła do mnie, ale i sąsiadów i sąsiadki prowadziła do Janka: Janek ostrzył, a ostrzył, a spoglądał na Marysię... Ale nigdy; widzi pan, ja jestem odważny, nieraz w gospodzie jak się zacznie bójka, ja się i dziesięciu nie przestraszę; przed Marysią nigdy nie śmiałem powiedzieć, co u mnie tłukło się

http://rcin.org.pl

w sercu: może gdybym powiedział... ale nie! nie! ten garb mój!... ha cóż robić, takie już było boskie przeznaczenie!... Wiosnę stałem całą; całe lato ostrzyłem i wecowałem; a w jesieni Marysia była coraz smutniejsza... panie dobry! jakem zobaczył pierwszą łzę w jej błyszczących jak stal oczach, straciłem apetyt, sen i ochotę do pracy; nie długo to trwało, ale mnie się dłużej wydało niż reszta mojego życia... Napiłem się na kuraż wódki jeden, drugi i trzeci kieliszek; to było raz pierwszy, żem miał dobrze w głowie i zagadałem do Marysi, spytałem jej o przyczynę smutku... ach panie! stanąłem trzeźwiuteńki, gdy po długich łzach powiedziała, że ojciec chce ją wydać za piwowara bogatego, a ona kocha się w studencie jednym z filozofji, który jej przysiągł raz w lasku Węglińskiego, że się z nią ożeni i zaprowadzi do swojej wioski gdzieś tam daleko, aż na Pokuciu!... Janku! Janku! ja sobie śmierć zrobię, jak nie pójdę za mego Stasia; Janku! ty jeden dobry mój przyjaciel; Janku ratuj mnie!... Cóż miałem robić ja biedny garbaty szlufirz?... miałem nieco grosza zarobionego, zebrałem wszystko, przedałem warstat, nająłem konie, bo oboje byli goli... i wyprawiłem ich w imię Boga na Pokucie: nie wiem co się z niemi stało, bom nigdy w tamte nie wędrował strony... Otóż na pożegnaniu, była to piąta zrana, dała mi Marysia na pamiątkę srebrny zegarek, który jej darowała chrzestna matka, żona rzeźnika z krakowskiego przedmieścia; zatrzymałem go na tej godzinie... i codzień o piątej zrana muszę wypić parę kieliszków wódki, bo mi się na płacz zbiera za moją śliczną Marysią!...

— To szczególne zdarzenie! — mruknął pan Antoni — jak on ją kocha! a jaż o mojej Juanicie czy myślę tak często: od długiego czasu Juanita po raz pierwszy stanęła z całym urokiem piękności, łez i rozpaczy przed pamięcią zimnego pana Antoniego. „Juanito!“ westchnął; a Janek sobie: „Gdzie ty moja Marysiu?“

— Wincenty! słyszałeś? czyż cię to nie rozczula? patrz on płacze!...

— Każdy pijak płacze!...

— Więc nie chcesz mu oddać?...

— Najprzód protokół, paszport, metryka, potem koszta kancelaryjne i zobaczymy.

— Powiedziałem ci raz podobno, jak mi jest drogi ten zegarek...

— Zapewne! bo ci codzień powinien przypominać, jaki dureń z ciebie; odrzucić bogatą Hiszpankę, z którąbyś mógł panować i mnie biednemu przysyłać nieraz hiszpańskie złoto!...

— Ty tego nie rozumiesz! honor, sława, ojczyzna, cnota!... Ale nie o tem mowa; weź mój zegarek, a oddaj srebrny Jankowi...

— A dasz cesję na pismie?...

— Dam, jakem ułan z gwardji napoleońskiej...

— Niech i tak będzie! masz ty włóczęgo swoją srebrną klepsydrę i idź precz!...

Porwał Janek za zegarek, pocałował go, a potem złożywszy ręce jak do modlitwy, wyrzekł z płaczem: „Boże błogosław tego dobrego pana!...“

http://rcin.org.pl

Pan Wincenty przypatrywał się z uwagą zegarkowi zdobytemu gładkim sposobem; gdy tymczasem pan Antoni po odejściu Janka wyrzekł głosem uroczystym: „Słuchaj bracie! lepszych od ciebie widziałem jak wieszali na wojnie!“ A potem odszedł do swojego pokoju; smutnem okiem popatrzył na osieroconą czarną podstawkę od zegarka; żal nawet niezwyczajny ścisnął mu serce... aż gdy spojrzał wyżej na ramki, z których patrzała na niego honorowa przeszłość jego, podporucznik Antoni przypomniał sobie czem był i czem jest — i pocieszył się!...

http://rcin.org.pl

REZYDENT.

(Pierw. wyd. 1843.)

Jaki pan taki kram! mówi przysłowie dziwnie stosujące się do przedmiotu, o którym pisać zamyślam. Niestało u nas panów prawdziwych, niestało też i rezydentów prawdziwych, którym tak lubo, tak swobodnie było błogie pędzić życie w owych starych zamczyskach jakiemi zewnątrz i wewnątrz, jakby sercem i piersią ze stali broniona ojczyzna nasza, zasłużyła na nazwę przedmurza chrześciańskiego. W owych obszernych budowlach, w które zlewały się dochody stu wiosek okolicznych, miło było a przestronie dla rezydenta; tam on mógł spędzić żywot szczęśliwy od kolebki, chrzestnym darem wojewody odznaczonej, aż do trumny, uświetnionej łzą wojewodzica, jakby klejnotem orderowym za wierność danym. Pies, powiadają, jest przyjacielem człowieka, a kot przyjacielem domu; dawny rezydent łączył oba te uczucia w sercu swojem, i wierny bywał w tej podwójnej przyjaźni; jedno bowiem i stałe pomieszkanie należy koniecznie do idei rezydenta. To też w owych tylko czasach, kiedy życie, jakkolwiek rozmaitsze może od naszego, było więcej odosobnione, odgraniczone i tyle różne od gmatwanin arabeskowych dzisiejszego życia, które z krzyżujących się drożyn ludzkich tworzą labirynt, Arjadny nicią niezbadany; w owych tylko czasach mógł żyć rezydent jakby w żywiole swoim. Nie trzeba przeto myśleć, że rezydent był wiecznie gnuśnym domu stróżem! O nie! alebo dawniej całym domem odbywały się podróże panów; a choć mury zostawały, całym domem bankietowano u krewniaka kasztelana, całym domem radzono na sejmiku, całym domem harcowano po stepie ukraińskim, po borach wołoskich i wszędzie jednakie były wystawy, jednakie wygódki, bez których rezydent obejść się nie może; a jeżeli gdzie na czatach zabrakło przypadkiem szafranu lub imbiru do skromnej strawy z pryncypałem wojewodzicem, umiał rezydent znieść i niedostatek. Złoty to był wiek dla rezydentów!...

Lecz czasu olbrzymy zgarbiały pomału w karłów! w środku ruin zamkowych za obszernych dla nowego pokolenia, ciaśniejsze już wznosiły się pałace, w których ustrojeniu tak zewnętrznem jak i wewnętrznem przodował coraz więcej gust francuzki; i tam jeszcze

http://rcin.org.pl

znalazła się skromna izdebka dla rezydenta, którą musiał się nieraz dzielić z kamerdynerem Francuzem. Choć mozolne mu było nauczenie się maniery francuzkiej, choć mu ciaśniej było w haftowanym statsklejdzie, a niżeli w szerokim żupanie, a nawet niżeli w zbroi stalowej, swobodne pędził jeszcze chwile; do kuchni francuzkiej przyzwyczaił się pomału, a żylastą dłonią, która mu z dawien dawna pozostała, nie mogąc dźwigać oręża, pieścił się tymczasem z kielichem. Lecz i pałace roznieśli pomału na dwory i dworki okolicznych wiosek; ciasne z gankiem i bez ganka, ciasne z wystawą kolumnadową i bez niej, ledwie starczyły na nowe do życia potrzebne sprzęty, które przerabiając się rozmaicie ze srebrnych niegdyś roztruchanów, z jakich niedzisiejszym haustem pijali dziadowie nasi, zasypali ciasne kąty domów naszych mnóstwem drobnych, dętych, krajanych, wyrzynanych świecidełek, o których słusznie powiedzieć można, że nie stanie skórka za wyprawę. W takim składzie rzeczy nikł powoli stary rezydent, jędrnego życia dawnego i korzennych potraw pozbawiony, prawdziwie jak kamfora bez pieprzu!.,. Jeszcze czas jakiś zdybywać można było po dworkach polskich rodzaj podobny do dawnych rezydentów, ale się ten nie umył do nich. byli to przybysze szukający dachu; obdarzyła nas nimi rewolucia francuzka i znaleźli schronienie; lecz prócz mogił tu i owdzie rozsypanych po ziemi naszej przeszli bez pamiątki!.,.

Złe dziś czasy dla rezydenta! gdzież bowiem pomieścić człowieka lubiącego szerokie a wygodne miejsce; ciasno w domu, ciaśniej w podróży, gdzie się ledwie znajdzie miejsce w nowożytnym powoziku dla kamerdynera, rzadko dla sekretarza; a przy table d'hote któżby płacił za dwóch? dosyć dla nas jeżeli mecenasujem małym kosztem na ulicy!... I nie łatwo być dzisiaj rezydentem! dawniej rezydent pełnił doskonale powinność dworską, jeżeli podpierał orężem sławę domu, językiem splendor rodu pańskiego, a żołądkiem doskonałość kuchni pańskiej; dziś niech kto będzie mądry i dogodzi zmieniającym się widzimisiom, które jak gdyby po deszczu wyrastają niespodzianie: rezydent dworak nie tylko potakiwać, ale zgadywać powinien; zgadnijże biedny pasiebrzuchu, że twój pryncypał, wczorajszy urzędnik spokojny, rozum biurowy przemienił dzisiaj na rozum autora; chwaliłeś referaty, chwalić będziesz uczone rozprawy! mniejsza o to!.., lecz czyż to strawności biednego rezydenta nie przeszkodzi, a psując żołądek nie zabije pomału; o prawdzie czego proszę się spytać każdego lekarza, jeżeli będzie musiał przepisywać długie a nudne ramoty!... Ba, raptem bądź gorzelnikiem; by pasterz jaki chodź za merynosami; goń za rymem, bo się pryncypał kocha; śmiej się, bo pryncypał zdowcipniał, choć wczoraj płakałaś nad czarną melancholią jego! Trudno więc ostać się na funkcji rezydenta!... W takiej ciągłej przemianie trudno schwytać rysy ogólne, po którychby poznać można było całą istotę rezydenta prawdziwego; są jeszcze zapewne tu i owdzie zabytki starych rezydentów, których rysy chwytać i opisać należy, jakby zarysy starego szyszaka, dla tej prostej przyczyny, że starzy rezydenci jak te stare zbroje są nasi, dla tego że rezydent u nas jest najsilniejszym dowodem chwalonej

http://rcin.org.pl

gościnności naszej: z wrotami na oścież otwartemi, ze stołem suto zastawionym; gościnności, która, gdy się wrota powaliły, stoły zabrakło czem zastawiać, uciekła jakby do świątyni do serc naszych a tam chowana oczywiście jak bóstwo dawne w świątyniach bałwochwalczych, czasem tylko przy wielkiej okazuje się uroczystości!...

Przed laty trzydziestu albo dwudziestu częściej jak dzisiaj zdybać można było po domach obywatelskich na Litwie i na Wołyniu rodzaj wojskiego, o którym nie wiele już po Mickiewiczu powiedzieć można. Był to zwykle jakiś wielmożny krewniaczek, jaśnie wielmożnego gospodarza domu; dawniej bowiem wiedziano o najdalszem pokrewieństwie i szanowano je; dziś pokrewieństwo bogactwa zabiło pokrewieństwo krwi, tak jak arystokracia pieniężna zabiła arystokracją rodową! któż dziś dalszych swych zna krewnych, a dopiero powinowatych? gołych się unika, bogatych tylko szanuje!... Owoż przypominam sobie, wszedłszy na pokoje pana prezesa sądu głównego zdybywałeś zawsze na wschodach pana skarbnika, który w zimie czy w lecie, w pogodę czy w ulewy witał cię w ganku prezesowskiego dworu; instynktem dworaka zgadywał on godność przybyłego; ledwie wzrokiem badawczym, z ogromnych na wierzchu osadzonych błękitnych oczów wychodzącym obejrzał konie, powóz i przyjezdnego, jużci zmiarkował jak nisko miał schylić łysinę: ujrzawszy ją każdy stanął mimowolnie i z większem niż zwykle ukłonił się uszanowaniem, bo na tej łysinie mnogich lat i mnogich zderzeń świadku, przez sam środek głęboka na ukos ciągnęła się kresa; z przodu oczywiście, bo skarbnik żył w czasach w których zazierało się nieprzyjacielowi w oczy, a taktyczna Ksenofonta rejterada nie wiele miała zwolenników. Gdzie i jak dostał niewiadomo było; on pamięta zapewne, a rowieśniki jego dawno w grobie.

— Propria laus sordet!... mawiał skarbnik do młodzieży rozprawiającej o pojedynkach do pierwszej krwi, jakby o wyprawie na smoka — ja waściom powiem, że byłem na pojedynku dawnym już, sekundowałem rotmistrzowi Cieńskiemu; miał karabelę szwedzkę; dwa razy ledwie się złożyli, Ave Maria nie trwało, a przeciwnika głowa z lewą ręką leżały o trzy kroki od reszty tułowu...

— Coup d'écharpe!... powiedział młody uczeń Marego,

— A tak mój mospanie trzepnął go tęgo!

— Więc ta kresa?...

— To dawniej jeszcze! mój mospanie, wojowało się za młodu; chodźmy do izby; pan prezes wyjdzie zaraz, siedzi jak zwykle w bibliotece i drabuje po woluminach..

— Cóż to za woluminy?

— A jużciż volumina legum!...

Nie wielce rozmowny był skarbnik, bo miał ważniejsze zatrudnienia około przyzwoitego usadowienia i przyjmowania gości; to też u prezesa wyznać potrzeba, że u stołu osobliwie doskonały był porządek, zastosowany do godności siedzących gości; nie było dzisiejszego nieporządku, który potrzebnego bankiera sadowi wyżej nad szlachcica, wywodzącego się prosto z gniazda Paprockiego: w tym

http://rcin.org.pl

względzie skarbnik był nieubłagany, a rodowody okolicznej szlachty znał przewybornie, istny herbarz chodzący! zasługi zaś tak w wojnie jak i w pokoju samych gości, ich ojców i dziadów wiedział na palcach: istna kronika chodząca! Przytem zrzędził na domowych, których lenistwo oburzało go, chociaż sam niewiele lubił pracować; lecz pańskie oko tuczy konia! mawiał skarbnik, a okiem przez które patrzył prezes na gospodarstwo swoje był skarbnik; przy tylu rozlicznych zajęciach, nie wiele miał czasu do próżnej pogadanki, a osobliwie ktożby gadał o sobie? Skarbnik jako prawdziwy rezydent jeżeli rozprawia, to tylko o prezesie; niema prezesa!-skarbnik opiewa prezesa; wszedł prezes!-skarbnik milcząc admiruje prezesa. Jadło się u prezesa wyśmienicie i często, bo skarbnik który głównie dyrygował kuchnią, piwnicą i spiżarnią, był tego zdania, że gościa trzeba nakarmić; sam zaś jadł, ale jadł potężnie! Trzeba było widzieć w święta, niedzielę; ledwie skończyło się nabożeństwo w kaplicy, jużci ciągnie z kapelanem pod ramię skarbnik ustrojony w żupan pąsowy, kontusz tabaczkowy z wigoniu, pas słucki lity, czapkę pąsową z białym barankiem i czerwone buty prosto do pokoju bilarowego; przetrącił na śniadanie półtora kółka kiełbasy, bigosu hultajskiego dwie farfury olbrzymie; pardonował kotletem, których się prezes nauczył jadać między francuzkiemi emigrantami w Dubnie; ale za to na dokończenie, na furę kaszy wpakował piramidę zrazów — aż strach patrzeć było! podlał to należycie starką żółtą jak wino, przed każdym półmiskiem i po nim; podniół się do góry, wyprostował, jakby mu ośm krzyżyków ubyło; pasa poprawił na sporym brzuchu, by zostało jeszcze miejsca nieco na obiad jadany codzień z równym apetytem i obtarł wąsy długie, zawiesiste, które się śniegiem rozsypywały po policzkach pełnych i rumianych. Nie byłoli gości u prezesa?-grał z nim skarbnik w marjasza; a jeśli się kto do ćwika znalazł gotów był skarbnik zagrać się aż do dziesiątej godziny, chociaż o dziewiątej zwykle zaczynał już całonocną muzykę chrapliwą, która trwała bez ustanku aż do piątej z rana. Nie wiele chodził po gospodarstwie, a przecie szło u prezesa wszystko jak z płatka wywinął, bo skarbnik mniej dbały o nowe systemata filantropijne wierzył w nahajkę jak żyd w przykazanie; z gospodarczych zatrudnień najwięcej lubił rybołostwo i pasiekę; przy łowieniu ryb a podcinaniu miodu, skarbnik znajdował się in persona, dyrygował rybkami i pasieczkami; a w końcu najpiękniejszego szczupaka i najlepsze plastry miodu zabierał do siebie, gdyż marynatą ze szczupaka pieczonego a miodem z orzechami lubił skarbnik bawić się w godziny wolne od innych zatrudnień. Umarł skarbnik we dwa miesiące po prezesie, po części, jak mówili, z żalu za pryncypałem, którego szczerze kochał, a po części że na pogrzebie siostrzeniec nieboszczyka, którego ojciej z koniuszego wyszedł na podpanka, a o którego nazwisku żaden herbarz nie wspomina, niósł na poduszce gwiazdę ś. Stanisława, którą prezes był obdarzony; wtenczas. kiedy był rodzony bratanek, niezawodny szlachcic i tylu innych godnych obywateli, kiedy nareszcie był sam skarbnik... Tak twierdzili ludzie, a nikt nie wspomniał nawet, że po śmierci jego znalazła się metryka

http://rcin.org.pl

okopertowana i opieczętowana, o której nie wspominał nigdy skarbnik a z niej dowiedziano się dopiero, że miał dziewięćdziesiąt i siedm lat.

W nowszych czasach różne zmiany zaszły w życiu rezydenta; najgłówniejsza, że stosując się do okoliczności zaczął życie koczownicze; dawniejszy rezydent, z rodziny już rezydentów jednego domu, pochodzący, jeżeli długo pożył pochował dziada i wnuka z rodu swoich pryncypałów; dziś z domu do domu przenosząc wędrowny tłómoczek, ledwie gdzie miejsce zagrzeje, a już go zawistny los pędzi dalej; to też ów dawny rezydent, ów skarbnik, zawsze otyły, zawsze rumiany i rubaszny schudł i zesmutniał niepomału; dzisiejszy rezydent jest ledwie cieniem dawnego, a ile tu trzeba głowy sobie nałamać, aby się choć na krótkie podhodowanie wświdrować do wymyślnego obywatela naszych czasów. Ile tu trzeba przybierać postaci! Jakoż przebiegłszy domy nasze znajdziesz tu i owdzie figury, które się nie zlewają naturalnie w całość domu, ale wydają się przyczepione jakby naroście jakie, których się każdy pozbyć pragnie. Są to potomki rezydentów dawnych, bez wąsów, z wąsami, z brodą, z faworytami, we fraku, czamarce, w surducie; tu grają w wiska, tam ślęczą nad Kasperowskim; tu smolą lulkę, tam tabaczkę zażywają; tu skrzypek, tam poeta; u koniarza dłubie zęby końskie, to znowu przez zadłużonego rozrzutnika na zastaw w miasteczku zostawiony, ledwie się wymknął, by u skąpca pościć jak Anachoreta; zgoła tyle różnych przybierać musi co kilka dni postaci, iż doskonałe rezydenta opisanie o wiele przechodzi obręby obrazku mojego. Zarysy dawne, szeroko zakrojone, starły się. Dawniej dosyć było dla rezydenta być duszą i ciałem Guelfem, a Gibelinów jakby własnych wrogów nienawidzieć; dziś i Gwelfy i Gibeliny roztrzaskali się na milionowe odcienia. Schwytajże je biedny, chudy rezydencie, z próżną kieszenią i głodnym żołądkiem; dawniej dosyć było być białym albo czarnym; dzisiaj namnożyło się więcej barw szarych, niżeli ich jest w przechodzie z dnia do nocy; ale za to rezydent dzisiejszy co stracił z ciała, to nabył w rozumie. Proteusz niezmordowany w wiecznej gonitwie za chlebem powszednim, czepia się łapą raka, pyskiem pijawki wpija się, czołgającym wciska się robakiem. Jak ziele pasożytne gdy straci piorunem zgruchotane lub wiekiem powalone drzewo wiekowe, które zielonemi otaczało wieńcami, czołga się pożółkłe i znędzniałe po ziemi szeroko i daleko, coraz cieńsze rozściela gałązki, do uginającej przyczepi się trawki, o karłowaty krzak owinięte wyskoczy ostatniem do góry, aż gdzieś daleko, od rodzinnej oddalone ziemi, zniknie, suchych liści przywalone ciężarem!...

Nigdy mi tak żywo smutny los rezydenta nie stanął przed oczy, jak kiedy po raz pierwszy przyjechawszy na szerokie Podola łany poznałem pana rotmistrza. Po okolicznych bywając dworach i dworkach, z ust niemal wszystkich w każdej rozmowie słyszałem o panu rotmistrzu: wczoraj był rotmistrz! przed godziną wyjechał rotmistrz! powiadał mi rotmistrz! u mnie był na obiedzie! córce naszej winszował urodzin itd. głosiły piękne usta wdów, mężatek i panien, powtarzali mężowie, kochankowie i przyjaciele; nasłuchawszy się dowoli o rotmistrzu, którego nigdzie schwytać nie mogłem, zaczynałem

http://rcin.org.pl

już wierzyć, że w tej okolicy grają w rotmistrza jak gdzieindziej w zielone; ale gdy mi pani Chrząszczowa, najprawdziwsza bajka w okolicy, powiedziała i zaręczyła — jakem żywa! a trzeba wiedzieć, że żywa już od lat przeszło pięćdziesiąt, chociaż zapewnia, że się rodziła w sam dzień bitwy pod Dreznem, gdzie jej ojciec miał zaszczyt zginąć; gdy mi tedy ta zacna pani zaręczyła, że rotmistrz żyje istotnie, różne zacząłem w myśli mej wyrabić o nim obrazki... Aż nareszcie był to dzień wielki dla mnie, bo byłem zaproszony na obiad do pana Dyzmy Płateckiego, największego w okolicy polityka, literata, a co najwięcej posiadacza czystej wioski. Przyjechałem pełen nadziei widzenia rotmistrza, który zwykle pilnował imienin; zastałem znajome już towarzystwo, wszystko było na miejscu, i nos nad nosy gospodarza, i garb nad garby pani Płateckiej, pani z pod Drezna. Pomiędzy frakami niema rotmistrza, bo jużciż w dzień tak uroczysty, wyznajcie łaskawi czytelnicy, że spodziewacie się widzieć dołman huzarski, kurtkę ułańską, a przynajmniej półfraczek lekkiej jazdy; stanąłem, trzeba bowiem w salonie gdzieś stanąć, między panią Parnicką wdową, pełną zaszanowanych wdzięków, a panną Pelagią Irzecką pełną wdzięków spodziewanych; żałowałem tylko, że gdy tamtych już nie widzę, tych dostrzedz jeszcze nie mogę: w tem ozwał się elegijny dyszkancik panny Peluni — rotmistrz jedzie! z całą układnością, godną zacnego towarzystwa w jakiem się znajdowałem, czekałem z oczami w drzwi wlepionemi, choć niecierpliwe nogi na ganek mnie pędziły.

Głuchy łoskot po podłodze wchodowego ozwał się pokoiku i wszedł... Na dwóch kulach oparty, starzec łysy, siwy, połamany, w białym żupanie i niebieskim kontuszu; a przez plecy zawieszona była czerwona wstęga orderu św. Stanisława; stuknął kulami, brzęknął karabelą w wytarty jaszczur oprawną i stanął; nie witał ukłonem, bo mu trudno już było niżej się pochylić, ale ręką pozdrowił towarzystwo, które na różne grona rozłomane, przywitało go nawzajem, uprzejmemi wyrazami po wierzchu, a chychotami wiejskiemi pokryjomu; posztychulał rotmistrz do kobiet prosto; nuż całować piękne rączki, a zwijając się pomiędzy panny i mężatki, jakby śniegiem, siwym włosem posypał po parterze kwiatów.

— Jak się masz rotmistrzu?... Zapomniałeś o nas!... Niestały z ciebie kochanek!... Mnie to, mnie sprzeniewierzyłeś się! — zagadały wiosna, lato, a nawet i jesień.

— Ha! co zaś? — odpowiedziała zima — co zaś powiadasz?...

A one mu w ucho krzyczą — kochany rotmistrz! zatęskniłyśmy za tobą — a po za ucho do siebie: — Jaki nudziarz stary!... Biedny rotmistrz jest głuchy!...

— Jaka ty piękna dziś! jak róża! wszystkieście świeże jak kwiatki! a postrojone zaś! — gadał do nich w dobrej wierze. — Peluniu pocałuj mnie!..

— Fi! rotmistrzu! fi! gadać takie rzeczy!...

— Co? figi! gdzie zaś figi?... — Śmieją się coraz głośniej i weselej.

http://rcin.org.pl

— Chyba rotmistrz Peluni zapisze, jak Karolci, za jeden całus dwa tysiące...

— Jakto zaś? zające w lecie!...

— Nudny głuchman! — rzekła basem wdowa.

— Comme une taupe! — zadowcipkowała Pelunia.

— Kto się zaś utopił?...

— Pan Misiurski z miłości! — krzyknęła głosem trąby ostatecznej garbata gospodyni.

— Co zaś? ten dziad starszy odemnie? i kiedy?...

— Pozawczoraj! — dodała wdowa, śmiejąc się z dowcipnej mistyfikacji.

— A któż był zaś powodem?...

— Oczywiście pani Ściżewska; znasz przecie rotmistrzu jej zalotność...

— No! no! jakże się zdziwi pani Łykowska; będę jutro u niej, bo mi mówił ksiądz gwardjan, że strasznie zaś chora na oczy: bo to zaś jej ojciec miał za sobą Witowskę, ją zaś rodzi Liczyńska, która była primo voto za stryjem nieboszczyka Misiurskiego; byliśmy zaś w kuzynostwie, bo matka jego była pierwej za ojcem mojej bratowej, marszałkowej Przeorelskiej; mam zaś od niej list z Owrucza, pisany wykwintnym stylem i z przeraźliwym afektem kuzynowskim.

Śmieją się do rozpuku!... Czego śmiejecie się?...

Żal mi się starca zrobiło i serce mi się ścisnęło patrząc na te siwe włosy w poniewierce; poszedłem do grona mężczyzn. — Biedny starzec! — odezwałem się do pana Czubickiego, który miewał zawsze łzawe oko, gdy rozpowiadano o tkliwem zdarzeniu jakiem.

— Głupi, nudny starzec! powiedz pan; jak można żyć tak długo: pan go nie zna. to plotka okoliczna; roznosi z domu do domu bajki; nie dosłyszy, a więc tworzy dziwolągi...

— A ciekawy! — dodał młody Dubiewski — ciekawszy od naszej Chrząszczowej...

— Przytem niebezpieczny gość — przerwał pan Czułkowski — sławny brudem skąpstwa, jak zwykle parwenjusz — mówią herbowni sąsiedzi — rozbójnik na otwarte cukierniczki, puzderka z herbatą, puszki z tytoniem, stambułki...

— Przeżył się! — zagadł gospodarz poważnie zażywając tabaki — czy godziło się żyć przeszło sto lat, mając obie nogi i jedną rękę połamane.

Rozgniewany porzuciłem mężczyzn i wpadłem na niezmordowaną Chrząszczowę. Cóż rotmistrz?...

— Ale dla czegoż żartujecie panie tak nielitościwie z biednego staruszka?...

— Cóż z nim robić? inaczej zanudziłby na śmierć; a wszędzie go pełno; w kalendarzu ma zapisane wszystkie urodziny i imieniny; jeździ za kurzącym kominem; objada, okrada, obmawia!... nie godzi się wypchać starca za drzwi, ale jakem żywa pożartować się godzi...

Po obiedzie, na którym rotmistrz przypomniał mi poczciwego skarbnika apetytem zazdrości godnym; po obiedzie, o którym jak

http://rcin.org.pl

o Ryczywole zamilczeć wolę, a który przecie rotmistrz co chwilę wynosił pod niebiosa: zaś wyborna! jaki zaś twój kucharz doskonały! to mi zaś artysta! — nastąpiła kawa, balsamiczna, podług rotmistrza; i zapewne miała gęstość i woń balsamu dobrego do smarowania, ale nie czystość bursztynu, a gęstość miodowego płynu; a po kawie zaprezentowałem się rotmistrzowi pełen uszanowania dla jego wieku i siwych włosów, pełen politowania nad stanem jego. Niestety, czemuż nie patrzałem nań zdala przez szkło własnych marzeń, wzbudzonych na widok tej starej, połamanej kolumny! myślą byłbym wynalazł brakujące jej rzeźby, ozdoby, kapitel, i ustawił w świątyni, gdzie leżą pamiątki nasze, ciche jak groby!... Znudził mnie, jakbym się najadł lukrecji, nawąchał asafetydę; znał mnie już doskonale, znał mnie lepiej, niż się sam znać mogłem, lepiej niż mnie wrogi moje znają; znał moją rodzinę, z ojcem gdzieś tam jadał, z matką tańcował, do ciotek się umizgał, kogoś tam z moich krewnych żenił, ochrzcił innego, a pochował tych wszystkich, którzy tylko byli już pochowani; przytem chwalił ród mój, urodę, rozum, dowcip, kadził jak gdybym już leżał na marach; czułem obrzydzenie jakbym się przepił: i nic w tej rozmowie, by jedna łyskawica, któraby złotą nitką odświeżyła jednostajność ciemnej chmury; by jedna anegdota, jedna z tylu lat, które przeżył, tylu chrztów, ślubów i pogrzebów. Dotknąłem sam tej struny, czekałem nadaremnie oddźwięku; czy niezgrabna ręka, czy instrument zfałszowany! zamiast nuty dawnej, tęsknej, nuty barskiej, usłyszałem pisk codziennej, ulicznej nuty przedającego precle: a ten człowiek przecie rotmistrzował z Puławskim jeszcze, z rąk ostatniego króla odebrał czerwoną wstęgę; pamięć młodzieńczą chował na plotki, które po okolicy przedawał za obiady, cukier, herbatę, krupki i mąkę zdobywane kwestą lub przemysłem. Schwycił mnie jak w kleszcze w pytania, któremi cisnął mnie nielitościwie; napróżno wywijałem się połapaną tu i owdzie znajomością świata; czy kocham i kogo kocham? czemu się nie żenię? że ma partję dla mnie! itd.; uciekłem, a ochłonąwszy przy wisku, którego na wsi grają tanio, szkaradnie i krzykliwie, wróciłem do sali bawialnej. W gronie kobiet siedział stary, jak lodowiec nieruchomy; zbliżając się, myślałem, że się patrzy na mnie, lecz jakież było zdziwienie moje, gdym dosłyszał jak wymieniwszy nazwisko moje przemówił do wdowy. — Znam go z reputacji, ma romans z mężatką!...

— Otóż nadchodzi! — szepnęła mu wdowa.

— Tak, tak nie godzi się zaś! — odpowiedział — i ślepy i głuchy!...

Poszliśmy na herbatę do innego pokoju, tam na ścianie wisiał portret pana Suliskiego, przyjaciela naszego amfitriona, w mundurze; była to pierwsza i nieśmiała próba córki, nie zła nawet: naadmirowaliśmy się do woli, nagadali ogólników aż strach. — Cóż to zaś za mundur? — zapytał rotmistrz Suliskiego.

— Polski! mundur który nosiłem — odpowiedział pan Suliski człowiek w sile wieku.

— Jakto zaś polski? a to chyba przedemną służyłeś!... —

http://rcin.org.pl

parsknęli wszyscy ze śmiechu, on sam pozostał nieruchomy i powtarzał ciągle — bo ze mną zaś nie byłeś!...

Rozjechaliśmy się; mimo niesmak jaki wzbudził rotmistrz we mnie, zapuszczałem się nieraz z nim w rozmowę, nie żałując trudu chciałem coś ciekawego wysylabizować z tej starej kroniki, lecz zadanie nie było łatwe, bo się lat swych jak grzechu wstydził, o przeszłości dalekiej nie wspominał nigdy; czasem tylko zgrabnemi zawikłany pytaniami przemówił datami, ale datami tak dawnemi, że aż zadrżałem, bo się zarówno drży przed zmrokiem przeszłości jak i przed zorzą przyszłości. Jam mniemał, że ta przeszłość o której wspomniał dawno już popiołem rozsypana, a ona wyszczerzyła mi się żywa jak widmo jakie z oczu zapadłych tego dziada; znowu mimowolnie szanować mi się go chciało. Później dopiero ochłonąwszy i z gorączki marzeń i dreszczu odczarowania, gdym zebrał wszystkie ułamki przez niego i drugich opowiadane, chociaż dawny jego żywot pozostał tajemnicą, poznałem w nim typ rezydenta. Rezydentem był on i dawniej, per fas et nefas zebrał mająteczek; szkoda, że rezydenci nie piszą pamiętników, wszak dotąd ulubione są pamiętniki, dzięki którym nie jedna uczona utrzymuje się rozmowa; byłoby to źródło dla powieściarzów dzisiejszych, którzy domowe obrabiają zdarzenia: nie jedną genealogję, czystą jak stary pargamin, przekrzyżował romans rezydenta zaczęty w cichej zamkowej komnacie, skończony może w tajniach podzamkowych, albo w jasyrze pogańskim. Rotmistrz musiał być przystojny mężczyzna, tak przynajmniej z uśmiechem wiele znaczącym sam mówił o sobie. Gdzie był rezydentem? zkąd kapitaliki, które posiadał? nie dowiedziałem się nigdy; przyzwyczajony do życia rezydenta, przechodził wszystkie stanu tego koleje; pił po sasku, bił się po polsku, szwargotał po francuzku, aż na końcu tracąc barwa po barwie, z barwy rodzinnej, nabierając odcień po odcieniu potrzebne mu zarysy, dzisiejszemu rezydentowi właściwe, stał się z rezydenta dawnym rezydentem koczowniczym, roznoszącym plotki, chwalącym to dzisiaj, co jutro o milę dalej ganić będzie. Nie potępiajmy go! nie on się zepsuł, ale w koło niego wszystko się popsuło; wierny nam towarzysz, dziś zbyteczny, wnet go wykurzym kwaśną miną, przytykiem, złym humorem; chwilowej plotce damy obiad, za uncję kadzidła, gdyby nawet kadzielnicą w nos dostać, kilka dni popasiem!...

Nigdy powtarzam nie uczułem tak mocno upadku rezydenta, jak gdym głębiej zajrzał w tajnie życia rotmistrzowskiego; i śmiało powiedzieć mogę, że to jeszcze ostatni rezydent na ziemi naszej! Może przed śmiercią zagada dawnym językiem. Będzie to pierwszy zgubiony tom żywota będącego przy tomie ostatnim. I gdzież dzisiejszy mieszka rezydent? wszędzie i nigdzie, na dyszlu jak powiadają. Stary rotmistrz rozposażywszy nie najlepiej kapitały swoje, ostatni fundusz oddał wnukowi swego przyjaciela à fonds perdu; ma za to chatę, ordynarję i procent w transakcji obserwowany, ale nigdy nie wypłacany, bo wnuk przyjaciela od marca do marca czeka na śmierć dożywotnika; lecz rotmistrz ani myśli umierać; jeździ ciągle, ledwie zajrzy do chaty, w której prócz ścian lepionych nie wiele znajdziesz

http://rcin.org.pl

sprzętów. Są godziny, w których siedzi samotny, trzyma nogę na szkatułce, w której leżą korespondencje dawne i sto rubli na pogrzeb schowanych, i duma, smutnemi oczy patrząc na wiszące po ścianach sylwetek parę i cyfer kilka, własnych i cudzych, jedwabiem i włosami haftowanych. Gdyby te marzenia po dymie lulki ulatujące stanęły raptem żywe i przemówiły, napisałbym państwu ciekawe pamiętniki ostatniego rezydenta...

— Kilka dni temu byłem u pana Płateckiego. A wiesz też pan — rzekł do mnie — że nasz rotmistrz żeni się...

— Czy podobna?...

— Oświadczył się uroczyście pani Parnickiej, którą kochał, jak twierdzi, nim jeszcze poszła za nieboszczyka męża, i pewien swego, prosił ją tylko, by to zostało w sekrecie, bo w takich rzeczach ludzie zwykle robią intrygi.

— Kiedyż wesele?...

— Jedzie wprzódy do Pryśnica, bo jak mówi: mnie zaś nic nie brakuje, tylko te nogi nie statkują...

Wyznam państwu na dokończenie, że ciekawa byłaby to rzecz widzieć, jak będzie wyglądał towarzysz starego Puławskiego, pocący się w kocach pryśnicowskich.

— Czy też powróci?...

— I czy się też ożeni?...

— I czy będzie miał dzieci? — naiwnie dodała piękna Pelunia...

---

http://rcin.org.pl

WIEŚNIAK PODOLSKI.

(Pierw. wyd. 1843)

Polski wieśniak nie najlepszej używa reputacji, co się tyczy wykształcenia umysłowego, a pomiędzy wieśniakami naszymi, podług wielu zdania, najniższe zajmuje miejsce wieśniak podolski. Zdanie to jest pozorne zapewne; jakoż w samej rzeczy czy go zdybiesz w dzień powszedni przy pańszczyźnie, czyli też w dzień świąteczny przy kieliszku, ledwie go zdołasz wprowadzić w rozmowę, a i w tej nie wiele dowiesz się od niego. Ciasne granice wiedzy jego ledwie dochodzą do rachunku tygodniowej pańszczyzny, lub do ważniejszego w karczmie o wypitą wódkę; a i w tych ileż razy oszukany przez ekonoma, jeszcze częściej przez arendarza kredkę podwójną, darmo skrobie się w głowę; czuje oszukaństwo, ale zrozumieć nie potrafi. Oświata powoli bardzo wciska się do lepianek wiejskich; nie mojem jest zadaniem wyszukiwać przyczyny tego, zdaje mi się tylko, co powiem w przelocie, że różnicę oświaty u wieśniaków robi po większej części przemysł i handel; różnicy zaś tej któż nie dostrzeże naprzykład między podolaninem a góralem? Podole ograniczone na handlu zbożowym, i to handlu zupełnie domowym, nie daje mu sposobności obeznania się ze światem, otarcia się o drugich oświeceńszych ludzi: wieśniak z przeznaczenia swego praktycznemu oddany życiu, nie prędko potrzebę teorji zrozumie. Małomowny w domu, bo też i czasu na rozmowę brakuje, tam gdzie tydzień cały podzielony na robotę dla pana, księdza, dla mandatarjusza, dla ekonoma; a tu szarwarek, i dla siebie trzeba pole obrobić i zasiać; a w niedzielę ledwie służby bożej wysłuchał, jużci się i upił, bo wódka jest kniecznym jego żywiołem: ona mu się sama wszędzie nastręcza, ona zapomnieniem tygodnia minionego rzuca cień pociechy na tydzień, który przyjdzie. Mowniejszym widzimy go na jarmarku, gdzie potrzeba soli i pieniędzy na podatek, uczy go ważniejszych spekulacyj handlowych; na jarmarku z prosiakiem w worku, albo byczkiem w ręku, jaśniej się już cieniuje charakter i umysł wieśniaka podolskiego, najjaśniej zaś i najdobitniej w drodze: czyli to rusza z pańskim transportem do odleglejszego miasteczka, czyli też mu się zdarzy ta miła dla niego gratyska, że się z kim najmie. W drodze mu najswobodniej; liczne po drodze przy karczmach przestanki, są to najpiękniejsze życia jego epizody: tam on rozmawia, tam

http://rcin.org.pl

żyje, tam go dopiero poznać można. Skryty zawsze, bo od dzieciństwa do tego przyzwyczajony, bo skrytość jest jego rozumem i bronią razem; mniej otwarty od górala, którego żywości przyczyn szukać może trzeba w czystem powietrzu, co mu piersi do wesołego krzyku rozpiera; zamknięty sam w sobie, bo sam sobie wystarczyć musi; smutny i milczący smutkiem a milczeniem stepów, które go od kolebki otaczają, zdaje się być powleczony nieprzebitą skorupą głupoty, lecz schwytany w chwili lepszej, w chwili nie wegetacji ale życia, wystrzeli nieraz iskrą rozumowania, które zwykle chowa się u niego, otulone jakby siedmioskórną Achilesa zbroją, tą posępną skrytością, która po większej części jest rzeczywiście rozumem, bo jest chytrością... Zapomniawszy się rozpisałem się, jakbym ku uczonej dążył rozprawie, gdy tymczasem chciałem tylko opowiedzieć zdarzenie; trzeba mi przebaczyć, bo rozumowanie było moje, zdarzenie zaś cudze; bo się stało istotnie, a któż częściej, dłużej i czulej pieści się własnem dzieckiem jeżeli nie piszący!...

Było to w październiku; wiatr północno-wschodni, ten kilko miesięczny gość Podola, ciągnął sobie swobodnie od Archangelu zapewne; żadnym gór pasmem niewstrzymany bujał wolny po grzbiecie Europy, którem to nazwiskiem jeden z uczonych Podole nasze ochrzcił łaskawie; bujał po nad gołe, czarne i smutne parowy podolskie, wszelką bowiem z nich wesołość zdarły i wciągnęły w siebio rozległe gumna okoliczne; a huczą jednostajnym i znudzonym głosem samotnego stepów dziedzica; nie zaszumiał nawet w borów i gajów klawisze, bo gołe wszędzie jakby na dłoni... Drogą wiodącą ze Zbaraża do Tarnopola ciągnął się leniwie wóz prosty nie wykwintnej podolskiej formy; gołe i suche ziobra dwóch drabin bocznych łączyło wiązanie słomiane, o które nienajwygodniej oparty jechał podróżnik jakiś na mierzwiastej, niczem nie zasłanej słomie usadowiony. Wyżej od niego, bo i worek plewy, tej postnej potrawki końskiej, i drugi najważniejszy w drodze worek, bo do prędkich a częstych popasów przeznaczony wpakował pod siebie, siedział woźnica; wóz zaś ciągnęły dwa konie podolskie. Gdyby konie pisać umiały, a zechciały stosując się do gustu teraźniejszego, jak Francuzi i Anglicy sami siebie opisywać, wówczas dopiero poznalibyśmy, co to za ciekawy jest typ konia podolskiego! bo trzeba być koniecznie koniem podolskim, tym konikiem chudym, małym i nędznym, pasierbem rodu końskiego, tem petit rouszaj, jak go jeden uczony Francuz wojażujący po naszej ojczyznie nazwał, by pojąć i należycie oddać tak fizyczne onego ułożenie, jako też moralne usposobienie, ten chód, który nie jest zapewne staniem na miejscu, bo jużciż się jedzie, ale jest ani kłusem ani stępem nawet... lecz nie obmawiajmy!... Trzebaby wejść w tajemnice pustych żłobów, przed któremi darmo stoją ze zwieszonemi łbami; wejrzeć w dnie pracy, a noce przepędzone przy świetle księżyca na chudem, kradzionem pastwisku; zaglądnąć w ilość soków żywotnych zawartych w zdradliwej plewie... Dosyć na tem, że najchudsze i najnędzniejsze może z koni podolskich były owe dwa: myszaty z parszywym bokiem i skarogniady z najeżonym włosem, po którym woźnica kapryśne biczem wypisywał arabeski, a krzycząc bez ustanku

http://rcin.org.pl

wio kary! wiśta myszaty! macha biczem jakby los nieubłagany na oślep; czy w myszatę czy w karą uderzył skórę, czy cienkim biczykiem powietrze przecinając, świstem wtórował hukowi wiatru, to mu zarówno ; dosyć że rzuca się zawzięcie po siedzeniu swojem, przegina, podnosi, postronkami, lejców rolę grającemi, trzepie i targa bez odetchnienia. O gdyby te ruchy wszystkie, niezbyt konieczne, zdołał wlać w nogi swoich koni, prędzejby stanął u celu podróży!...

Kto był podróżnikiem trudno odgadnąć; różnorodne łachmany sukienne, duchem, ba cieniem byłego niegdyś sieraczkowego płaszcza obwiane, nie noszą na sobie żadnej odrębnej cechy, prócz cechy ubóstwa i nieporządku, a nawet wątpić można, ażali źle załatanemi bokami wiele zasłaniać mogły od natarczywości wiatru. Woźnica był to oczywiście wieśniak podolski; drwił on z wiatru, który darmo walczył z baranim kożuchem, okrytym po wierzchu sukienną opończą; mścił się jak mógł na białych kudłach baranich u wystającego kołnierza i na kapturze z opończy, który mu się opierał całą wagą upakowanego weń bochenka olbrzymiego. Twarzy nie zajrzeć, głowa bowiem woźnicy utonęła w olbrzymiej barankowej czarnej czapce, której rodzaj widzialny tylko na jarmarkach podolskich: i twarz podróżnego zakryła zawistna chustka osłaniająca jakieś zranienie zapewne.

Jadą pogrążeni w milczeniu, choć czasu nie braknie im do rozmowy, albowiem wleką się nielitościwie; na domiar nieszczęścia deszczyk jesienny, ów deszczyk który . jakby elektrycznemi iskrami przenika aż do kości, deszczyk, który nie wiem dla czego w wielu miejscach kapuśniaczkiem nazywają, znalazł potrzebę wylać się z niebieskich stropów, a wiatrem pędzony śmigał jakby rózgami w oczy podróżujących. Wnet czarna ziemia podolska oślizła, a koniki niekute więcej się na szerż ślizgały, niżeli na wzdłuż postępowały.

Minęli wioskę, a za wioską stała karczemka, tak mile z wdziękiem ku drodze pochylona, jakby witać chciała przejeżdżających; ktożby zgadł, że ją wiek i liczne nieuleczone defekta ku ziemi skłoniły? Wieśniak nie zdawał się zważać na nią, machał biczem dalej, nawet myszatego, który widocznie folgował biczyskiem szturkał koło ogona, lecz (o władzo przyzwyczajenia! nie darmo cię drugą naturą nazywają) konie jakby czarem przykute stanęły przed karczmą. Uśmiech ledwie dostrzeżony przeleciał przez usta woźnicy, uśmiech wzbudzony zapewne rozumnym instynktem koni; ziewnął chłop, podniósł czapkę, czuprynę podrapał, biczem świsnął w górę, to znowu po śliskim klasnął błocie. Niewzruszony na te ruchy i nieruchomy pozostał podróżny, oko tylko jedno nieobwiązane z pod wiszącego u czapki daszka rzuciło spojrzenie długie, przeciągłe, naprzód wydane jakby w dali śledziło czego. Jaka sprzeczność; wieśniak tymczasem spoglądał w bok ku pochylonej karczmie, a konięta w dół w ziemię!... I wcisnął woźnica czapkę jeszcze niżej na oczy; bicz zaspiewał smutny dla koni hymn odjazdu; darmo im było oglądać się na wsze boki; musiały ruszać dalej, chociaż mniej jeszcze sporym krokiem.... Działo się to o poł mili od Zbaraża.

Jadą i jadą; wiatr wieje, deszczyk cieknie bez ustanku, a podróżni, ludzie i konie jak milczą tak milczą. Są już w połowie drogi

http://rcin.org.pl

do Tarnopola, a na czarnym stepie uśmiechają się, jakby trzy oczy, trzy karczmy; choć spojrzały w bok, minęły konie jedną karczmę i drugą, a przy trzeciej stanęły jak wryte. Powtórzył chłop wszystkie ruchy poprzednie, lecz więcej już w nich cieniowała cierpliwość; zlazł nareszcie z siedzenia swego, obejrzał konie, pogłaskał, przeszedł się koło woza, ukradkowych spojrzeń parę rzucił ku nieruchomemu podróżnikowi, z których uważny postrzegacz ujrzałby wyraz zadziwienia i pogardy razem: stanął znowu, a w chwili gdy mu się zdawało, że oko podróżnego w bok się zwróciło, strząsł się potężnie jakby nim febra rzucała; snać zimno dokucza. W wozie milczenie ponure!... zwrócił się więc woźnica ku karczemce, pozdrowił ją okiem napoły tęsknem, napoły przyjacielskiem. Aż tu o pokuso! wybiegł żydek z karczmy, a za nim brudna żydówka, a za nią żyd w podartym kaftanie. — Jak się macie Iwane! — zagadł głosem syreny; a za żydem woń kartoflanej wódki wybuchła z zadymionej izby.

Iwan mruknął jakąś odpowiedź, żywszym ruchem zgniótł czapkę nad głową i poczwałował biczem po powietrzu, bo koni zdawał się oszczędzać tą razą. Podróżny milczał uporczywie jakby mu język czarownice zaklęły.

I znowu wieś, a we wsi murowana błyszczy karczma, dumnie wznosi się na pagórku obok parafialnego kościoła; piękna to karczma, a ostatnia już przed Tarnopolem. Stanęły konie po raz trzeci, i po raz trzeci powtórzyły się daremne woźnicy ruchy, do których dodał tą razą huczne walenie rąk o ramiona dla ogrzania się zapewne; z pełną pogardą spojrzał na milczącego, gniewnym ruchem zerwał się ze swego siedzenia, plewy nasypał do worka, zarzucił koniom u dyszla. Już się nawet nie zwracał do pięknej murowanej karczmy, stał tylko nieruchomy a myślał zapewne nie mało, bo się kilkakrotnie poskrobał w ogoloną czuprynę. Chyba niemy jest podróżny, milczy bowiem, a patrzy jednem okiem przed siebie, tak uparcie, tak zawzięcie, jakby w szczęście patrzył.

Po długiej chwili siadł Iwan i podpasionemi nieco końmi ruszył leniwie. Już też z po za zasłony deszczowej okazały się wieże miasta, zabłysnął staw zdala: to Tarnopol! już przed nim, już mijają lepione przedmiejskie chaty.

Potężnym głosem prr! — zawołał Iwan — konie stanęły, a nasz woźnica zwróciwszy się do podróżnego przerwał po raz pierwszy długie to milczenie. — No! jesteśmy już teraz w Tarnopolu, zapłaćcie mi!

— Jakto? — naciągniętym głosem zabrzmiała odpowiedź.

— Zgodziliście się ze mną w Zbarażu za trzy cwancygiery, żebym was zawiózł do Tarnopola.

— Dobrze! dobrze! jedź do miasta.

— Zapłaćcie mi naprzód. — Tu spojrzeli po sobie; wzrok uporu zdybał się ze wzrokiem pomięszania.

— Ja chcę zapłacić, ale musisz mnie zawieść do miasta; tam ubiegę do pułkownika, bo u niego jest kucharzem mój kolega; od neigo wezmę i zapłacę.

http://rcin.org.pl

— A jak nie przyjdziecie? ja będę czekać i darmo czas tracę.
— To pójdziesz ze mną razem.

— Aha! a tymczasem chudobę mi ukradną. — To rzekłszy przesadził Iwan nogi przez wór plewy, i bez dalszej rozmowy usadowił się koło podróżnego; zwrócił lejcami, zaciął konie i lepszym od zwyczajnego kłusem pociągnął nazad ku Zbarażowi. Próżne były przedstawienia, prożby, gniewy, przeklinania podróżnego; głuchy na nie Iwan, bił biczem, i wiśta kary! hajta myszaty! pędził dalej, a dalej.

Tu podobno wspomnieć wypada, że do zagmatwania tej sprawy niepomału przykładało się i to także, że Iwan po większej części nie rozumiał przemowy podróżnego, złożonej z ułamków języka niemieckiego i polskiego, przeplatanej przekleństwami pięknie brzmiącemi języka Madżiarów. A ponieważ mimo niezwyczajnego pospiechu konięta podolskie dosyć leniwie postępują, nim się do Zbaraża dobije, nie od rzeczy będzie powiedzieć o koledze pułkownikowskiego kucharza z obwiązanym okiem. Jakkolwiek przed kuchnią węgierską każdy gastronom, jak szatan przed wodą święconą umyka, nie można przemilczeć, że nasz podróżny był Węgier i kucharz razem; z tem łączył trzecią jeszcze własność, że się napijać lubiał; papryka! i wódka! to cudowne połączenie! Coby nie było, sługiwał on tu i owdzie, warzył jak umiał, a pił, ile tylko mógł, aż wreszcie dostał się do panka jednego, który za złe kotlety; (a przez omyłkę miejsce octu zastępowała w nich gorzałka) tak zawzięcie kijem go potraktował, iż mu aż głowę nadwerężył: wypędził potem in statu quo, to jest w owym płaszczowym wizerunku, bez grosza, bo nasz kopcidym nie miał zwyczaju składać pieniędzy. Obwinąwszy zatem jak najstaranniej corpus delicti, szukał prostoduszny Węgier komitatu i sztulrichterów w najbliższem miasteczku. Odczarowany w tym względzie pobity kucharz, posłuchawszy rady cudzej, udał się pod opiekę naszego Iwana do Tarnopola, pełen różanej nadziei, że tam znajdzie wynagrodzenie za krzywdy swoje, a razem dostanie sukurs jaki od kolegi kucharza. Co się z nim działo w czasie przymusowego powrotu do Zbaraża łatwiej pojąć niżeli słowami oddać.

Darmo wiatr huczy z tyłu, kaptur na głowę zarzuca, kapuśniaczek leje a leje; darmo śmieją się karczmy ku niemu; syreni głos żyda dolatuje, woń gorzałki w nos mu wciska; goni Iwan aż para bucha z biednych koników: i nie zatrzymał się, aż stanęli w miasteczku Zbarażu, gdzie wypuściwszy z pod opieki podróżnego, zostawił zdziwionego i zgłupiałego Węgra na środku rynku, a sam pogonił ku domowi...

W kilka dni potem stanęły obydwie strony przed sądem magistratualnym; sędzia nie szczędził pracy i mozołu, by się prawdy dowiedzieć.

Oskarżyciel powtarzał bez końca. — Jak to być może, że ja jestem w Zbarażu? ja powinienem być w Tarnopolu i byłem już tam moi panowie! byłem już tam, a ten hultaj przeklęty odwiózł mnie nazad.

http://rcin.org.pl

Sędzia skarcił surowo oskarzyciela, za używanie słów nieprzyzwoitych.

Nie zważając na to zacięty Węgier wrzeszczał dalej: — Za karę niech mnie znowu zawiezie do Tarnopola; ja już tam był!... mnie tam potrzeba!...

Przyszła kolej na Iwana; ten indukował sprawę swoją w ten sposób, że nie będąc zapłaconym za drogę do Tarnopola, odwiózł go nazad na miejsce zkąd się był najął. — Wy mnie za mój czas stracony powinniście nagrodzić. — Zakończył zaś Iwan swoją obronę i skargę razem sylogizmem, że iść za nim do półkownika nie mógł, by nie stracić chudoby, a czekać na niepewny powrót nie był obowiązany.

— Ależ jabym był ci zapłacił!...

— Tak! zapłacilibyście — wykrzyknął Iwan — a przed pierwszą karczmą gdyśmy stanęli, siedzieliście sobie jak pan, ani człowiekowi wódki nie kupili jak to bywa zwyczajem, ani sami się nie napili; już ja wtenczas miarkował, że źle.

Nic nie odpowiedział Węgier, westchnął tylko czy za Tarnopolem, który mu się tak wyśliznął, czy za wódką, której sam byłby się dusznie napił przy każdej z owych karczemek.

— Ba stanąłem przed drugą karczmą, przed karczmą Zylbermana; jasny pan musi go znać, doskonałą ma wódkę! i zimno było człowiekowi, aż się trząsł, a oni sobie siedzieli i nie pomyśleli nawet, że człowiek nie pies, że mu się wódka należy na taką słotę. Podumałem sobie wtenczas, że niepewne moje pieniądze... No ale cóż robić! stanąłem koło murowanki; człowiek zmarzł aż ręce pogarbiały i konie trzeba było podpaść: choć za kopijkę wódki, to i żyd kupi, nawet nasz arędarz Szloma nie żałuje jak go wiozę do Tarnopola. I tak stracili u mnie wiarę, i jak mnie nie zapłacili przed miastem, powróciłem nazad; teraz niech go djabeł wiezie sobie do Tarnopola; ja nie głupi, ja ich nie powiozę.

Rozumowanie było nie złe jak na wieśniaka podolskiego; a jaki sąd wypadł, nie opowiem państwu, bo gdy się oskarżyciel i oskarżony zaczęli lżyć z ruska i z węgierska, obrażeni sędziowie przestali mozolić się nad trudnym wyrokiem i obydwóch kazali wypchać za drzwi.

http://rcin.org.pl

PRZEZ ULICĘ.

(Pierw. wyd. 1843.)

I.

O godzinie duchów cicho było a ciemno w mieście; ulice puste, skąpemi latarniami oświecone, wyglądały jakby chodniki pieczar podziemnych; w górze jak skaliste sklepienie ciemne wiszą chmury, a w nich niekażdemu oku widzialny przez całe miasto rozciągnięty kobierzec tkany arabeskami sennych marzeń ludności miejskiej — kłótnia barw i odcieni z jakich się składają sny tylu tysięcy namiętności i myśli, uspionych między wczoraj a jutrem!...

Odbił się raptem chód po bruku, echem rozbiegł się po pustych ulicach; ciemnym paletotem owinięty z ulicy w ulicę błędnym szedł krokiem młodzieniec; długie i jasne rozrzucił włosy na głowie, a okiem pełnem życia młodego, w górę wzniesionem zdaje się szukać; czy uczucia chce się pozbyć, czy za myślą goni? może cudzoziemie, stracony w nieznanem sobie mieście szuka drogi? Zajrzał światłoc które z daleka z ciemnej buchało ulicy; kroku przyspieszył i stanął, po jednej stronie ulicy dom, z którego okien pierwszopiętrowych przez pąsowe firanki płonie światło jakby pożaru, po drugiej stronie dom zaciemniony brakiem świateł i żaluziami zasuniętemi jedno tylko okno na pierwszem piętrze z otwartemi żaluziami, odbija jaskrawe drugiego domu światło. Zapewne dojrzał światło bo oko utkwił nieruchomie w ciemnego domu odsłonięte okno.

Nowe słychać stąpania; spokojnym krokiem zbliżyło się dwóch mężczyzn; z poźnej kawiarniowej snać wracają zabawki: w obojętnej bowiem rozmowie rozpamiętują ostatnie zjawienia ostatniej partii bilarowej. Światło o tak późnej godzinie i człowiek stojący z oczami do góry wzniesionemi, czyż nie dosyć dla dwóch ciekawych miasta mieszkańców, by się zatrzymać?

— Ile mi się razy zdarzy, — rzekł jeden — późno wracać do domu, zawsze światło w tym domu.

— I ja to nieraz zauważałem; ale jak cicho w oświeconym domu; to dziwna! — Mówią między sobą, a głosem donośniejszym chcie-

http://rcin.org.pl

liby zwrócić uwagę stojącego młodzieńca, którego postawa nieruchoma więcej ich obchodzi aniżeli ciche oświecenie; lecz ten nie ruszył się z miejsca, ani nawet spojrzał na nich.

— Za cicho na bal lub inną zabawę, a za jasno na nocny spoczynek; pan nie wie kto tu mieszka? — rzekł jeden z kawiarniowych gości do drugiego.

— I owszem wiem z przypadku, że tu mieszka pan O**.

— Pan O**! z przeszłego wieku człowiek; za stary na tak późne zabawy.

— On stary! — gdzie tam — przeciwnie, żywy i fertyczny brunet.

— Pan O**! — ozwał się młodzieniec, — tu mieszka naprzeciw tego ciemnego domu, naprzeciw tego okna?

— Tak! pan go zna?

— Ja? — tak! — to jest nie znam go osobiście, ale czy nie jest on niskiego wzrostu, brunet z żywemi czarnemi oczyma?

— Tak! to on będzie!

— Więc tu mieszka... — tu! — i zamilkł młodzieniec w paletocie.

— To pan! bogacz! — mówi jeden. — Gdzież tam! goły —! mówi drugi. — Zkądże codzień tak rzęsiste oświecenie? — Tego i ja nie rozumiem! — Może chory? że tak cicho. — Może literat i pracuje po nocach? — Wątpię! niepodobny on do tego.

Od chwili już rozlegał się z końca ulicy huczny głos choć nieco zachrypnięty; niepewnym, tańcującym prawie po bruku chodem zbliżał się nowy nocny wędrowiec, a śpiewał co mu tchu stawało:

Czy to dzień, czy to noc!
Zawsze wesół, zawsze pjan!

Zbliżył się do stojących i usłyszawszy z rozmowy, o co rzecz idzie, ozwał się: — Ale gdzie tam! ja go znam, to mi pan, tęgi pan! nie ma wioski, nie ma grosza intraty, a płaci jak graf; ja jemu buty robię, gdzie jemu chorować, gdzie jemu pisać, chyba do kochanek: bo on panie jak ja.., i dobywszy głosu potężnego walił dalej:

Gdzie dziewulę zobaczę,
Zaraz lecę do niej w skok!

— Oczywiście pije sobie; a trzeba wiedzieć moi panowie, że to najlepszy czas, i jabym pewnie dotąd nie był wyszedł z pod trzech zajączków, gdyby nie ta warta!

— To ona! — wykrzyknął młodzieniec patrząc w okno, w którem rzeczywiście przemknął w tej chwili cień jakiś kobiety w bieli.

— To ona! — powtórzył wesoły rzemieślnik — ale to miejska warta; znam tego kwartalnego; bardzo godny człowiek! codzień prawie odprowadza mnie do domu.

http://rcin.org.pl

Widząc zbliżającą się wartę nocną, rozeszli się goście kawiarniowi, poszedł spiewak nocny, i młodzieniec w paletocie raz jeszcze ogniste rzuciwszy spojrzenie ku oknu, z którego biały cień już znikł, odszedł do domu domarzyć koniec powieści, której początek zbudziły w młodej głowie duże czarnych oczów gwiazdy, postrzeżone na spacerze.... w teatrze. Pytanie o cichem oświeceniu pomieszkania, nieodgadnionego O** zostało nierozstrzygnione.

A zatem używając przywileju właściwego wszystkim powieściarzom, wejdźmy do tego pomieszkania, a może poznamy pana O**.

II.

A ponieważ niektórzy psychologowie twierdzą, że człowiek każdy najłatwiejszym do poznania w rannej jest porze, póki szaty udania, którą nocny zdarł spoczynek, nie wdzieje na nowo; tem więcej mieszkańca miasta, którzy chyba z łóżka wstawszy samym sobą być może, a później już tym, którym go położenie jego towarzyskie i jego zrobią potrzeby, w przedobiednich godzinach odwiedzić należy. Owoż ranek dla pana O** zaczyna się o dziesiątej; o tej porze już wyszedł z łóżka, już w ręku zgrabnego kamerdynera w ranne przyodziany szaty w wygodnym fotelu usadowiony, po wonnej mocе, wonniejszego jeszcze smoli turczyna z hebanowego cybucha o czerwonej koralowej głowie. Gdybyśmy mogli, a raczej śmieli odkryć tajemnice sypialni kamerdynerowi tylko znane, przekonalibyśmy się, że już od czasu obudzenia znacznie zmienił powierzchowność swoją: albowiem prócz szlafroka kaszemirowego w wielkie jaskrawe plamy, prócz pąsowej chustki fularowej na szyi, prócz mycki złotem tkanej lekko rzuconej na krucze włosy, wdział on na siebie i owe czarne włosów kunsztownych pierścienie, białość wąsów i brwi poczernił, a śniadość pomarszczonej twarzy pobielił i wygładził; sine porumienił usta, by lepiej odbijały od dwóch rzędów perłowych zębów, które przez noc swobodnie w pudełku spoczywały. Gabinecik buduarowy, w którym pan O** siedzi przed mahoniowem staroświeckiego kształtu biórem napełniony jest różnorodnemi przedmiotami, noszącemi cechę wykwintnego gustu pańskiego i zapewne pańskich dochodów: bo są srebra na toalecie, są i krzyształy; jest w kącie stolik ubrany w cybuchy różnej wielkości, same antypki z drogiemi bursztynami; w drugim kącie stoliczek ze świecidełkami, którychby się pierwsza stolicy dama nie powstydziła; pamiątki szyte, haftowane, malowane, a nad niemi jakby nad ołtarzem godnym siebie wisi kilka miniatur, z których same piękne kobiece uśmiechają się twarze. Na biórze w kształtnym bezładzie leżą książki i żurnale, obok tabakierek kilku, których najmniejszą ozdobą jest sztucznie rznięte złoto, ale są w nich mozajki, drogie kamienie i droższe malowidła. O** siedzi zamyślony, a przed nim rozwarty pulares cyframi zapisany, świadczy, że do porządnego przyzwyczajony życia, co ranka przegląda finansowy swój budżet; nie zdaje się być kontent z niego, jeżeli wierzyć smutnemu zmarsz-

http://rcin.org.pl

czeniu brwi, które na przekor sztuce daje wyraz starości odmłodzonej twarzy. Gwałtowny kłąb dymu wypuścił, przewrócił pulares, i z drugiej jego strony dobywszy kilka banknotów, rachował je po kilkakroć, jakby nie wierzył sam sobie; poruszył srebrnym dzwonkiem, wbiegł kamerdyner.

— Jest kto w przedpokoju?

— Jest chłopiec ze sklepu korzennego i Abramko...

— Dla czego razem? Chłopiec niech wnijdzie, a Abramka wysłać gdzie; za kwadrans niech przyjdzie: rozumiesz? a teraz nikogo nie puszczaj, chyba pana Z*.

Po chwili wszedł chłopiec z rumianą i głupią twarzą, a woń korzeni wbiegła z nim do pańskiego buduaru. O** zerwał się z siedzenia swego, pocisnął sprężynę w biórze i z wysuniętej kryjówki dobył jedną, drugą i trzecią paczkę. — Masz tu moje dziecię — słodziutkim ozwał się głosem — już są gotowe! — Chłopiec za każdem słowem nisko kłaniając się powtarzał: — dobrze jaśnie panie!...

— Kłaniaj się panu! czemu sam nie przyszedł?

— Strasznie zaaferowany jaśnie panie!

— No dobrze! bierz schowaj to! nie potrzebujesz tego nieść tak przez ulicę, aby wszyscy widzieli.

— Rozumiem, jaśnie panie! — odrzekł chłopiec, próbując dowcipnego uśmicchu, i paczki zawinął w wielką bawełnianą kratkowaną chustkę.

— A powiedz swemu panu, żeby uważał lepiej i drugi raz nie zrobił takiego głupstwa jak onegdaj: gdyśmy grali u prezesa, który przecie z mojej rady u niego kupuje, przyniesiono jakieś karty, zupełnie mi nieznane, których, uważasz! ja nie chcę: bo hofmańskiemi tylko kartami grać lubię, i dla tego każę je do siebie przynosić, aby się przekonać, rozumiesz mój maleńki? te tylko są zgrabne, tamtemi grać niepodobna. No idź mój chłopczyku! — i jedną ręką pogłaskał tłuste chłopca policzki, a drugą z kryjówki dobytego wściubił mu dukata. Uśmiechnął się chłopiec, ukłonił nisko, a odchodząc długo rzucał dukatem w ręku, jakby go ważyć chciał; snać nigdy jeszcze takiej nie widział cienkiej blaszki.

Po kwadransie wszedł Abramko, niski żydek z lisią bródką a krogulczem spojrzeniem. Ofuknął się pan O**, wyprostował krótką figurkę, której nie mało dodawał powagi, choć ukrócał jeszcze wyrastający brzuszek, dobrego bytu świadek. — Ja pieniędzy potrzebuję! a ty sobie kpisz, chodzisz, pleciesz, kłamiesz, szachrujesz, a pieniędzy jak niema tak niema.

Nie wiele zdawał się być żyd przestraszony; ciekawem tylko okiem rzucił na otwarty pulares i w odemkniętą kryjówkę, którą w tej chwili O** zatrzasnął. — Ja myślałem, że jasnemu panu poszczęściło się.

— I cóż z tego?

— No! to może pieniędzów nie potrzeba, a możeby i jasny pan oddał, co się mnie należy, bo dłużej już czekać nie mogę.

— Przestań już! — mniej grożącym ciągnął głosem jasny pan.

— Ale bo i mnie już czekać nie chą; ja ręczyłem za jasnego pana u G* za taka wielka suma.

— No! no! dajmy temu pokój dzisiaj, mój Abramku! — słodszym daleko głosem mówił udobruchany O** — jestem zmęczony, słaby!

— Jasny pan codzień z rana lepiej wygląda, jak róża z przeproszeniem.

— Mnie dziś gwałtem potrzebne pieniądze.

— A wiele? — odpowiedział Abramko i skrobnąwszy się w brodę, badawcze rzucał w koło pokoju spojrzenie, aż nim spoczął na świecącej srebrnej miednicy z pozłacanym kubkiem.

— Pięćset reńskich!

— Aj! aj! aż dwieście w srebrze.

— Nie udawaj durnia mój Abramku! pięćset reńskich w srebrze potrzebuję.

— To trudno! ja nie mam; już tę trochę kredytu co miałem, przez jasnego pana straciłem; już mi teraz nie dadzą i na sześć procentu miesięcznie.

— Słuchaj Abramko! — ty mnie znasz; ja dobry człowiek, ale trochę niecierpliwy; jak mnie znudzisz, to już ja cię z domu wyproszę, a pieniędzy znajdę bez ciebie: Moszko dawno się prosi do mnie.

— Ach Moszko! — ten łajdak! ten drab! won siedział w kryminale!

— Przestań gadać daremnie! słyszę, że ktoś idzie; w południe, abyś mi przyniósł koniecznie pięćset reńskich i basta!

— A jak jasnemu panu będzie znowu się nieszczęścić?

— Zrób co każę, i idź precz! — rozkazującym rzekł tonem.

— Dobrze! dobrze! jasny panie grafie! — odpowiedział uniżenie żyd.

— Dzień dobry kochanemu panu! — ozwał się głos z otwartych podwoi.

— Dzień dobry! dzień dobry panie Janie!

Po wyjściu żyda rzucił się na sofę trochę wyższy, ale znacznie grubszy od O**, nieco łysawy nowo przybyły jegomość w rajtroku i z grubą trzciną w ręku. — Zmęczyłem się! każ dać lulek, cygarów! — a zapaliwszy cygaro rozparł się pan Jan Z** na sofie, a szylkretowym grzebyczkiem, skąpe i siwiejące już włosy naciągnął na czoło, na którem jak i na twarzy i w oczach, było wiecej zmarszczków i wieku, niżeli wyrazu jakiego.

— I daremnie?

— Najdaremniej w świecie! goniłem za tym drągalem jakby z sikawką na pożar; i w cukierni i w kawiarni, wczoraj w teatrze, dziś w sklepie i na rogu przy afiszu, ale powiadam ci jak prawdziwy żołnierz i z frontu i z flanku atakowałem: pozostał nieporuszony jakby Anglik — tak! lub nie! krótko odpowiadał i nie tylko mnie to spotkało, namowiłem Z**, P* i M**; owoż przed godziną zeszliśmy się w rynku; daremne były ich zabiegi, żaden z nich nie zdołał

http://rcin.org.pl

w najmniejszą wprowadzić rozmowę tego drabanta. Ż** pognał za nim do łazienek, lecz wątpię by co wskórał.

— To źle, bardzo źle! bardzo źle! od niejakiego czasu idzie nam wszystko jakby z kamienia. I z tym twoim kuzynkiem...

— A to odrodny! odszczepieniec! nie wspominaj mi o nim! Nie gra, nie pije! lata jak szalony po górach, skałach i innych głupich ideałach! czyta jakby mnich! i pisze coś ciągle jak praktykant jaki! szkoda tego ogromnego majątku, którego sam użyć nie umie, a od rad moich stroni.

— Mniejsza o jego majątek! chętniebym go wam odstąpił bez najmniejszego udziału, ale...

— Przechodzi drogę panu!... kobiety!... to jego rzecz!... otoż i Ż*!...

— No i cóż? — zawołali do nowo przybyłego mężczyzny średniego wzrostu i wieku, na którego twarzy jesnej, pożółkłej od wieku i słabości, a rudemi plamami nakrapianej, rozlany jest wyraz równie prawie nijaki, jak u tamtych, gdyby czasem z oczów siwych nie strzelał wyraz chytrości, więcej złośliwej niżeli dowcipnej.

— Nic! zgoła nic! wyparzyłem się z nim w parnej kąpieli; omal nie udusiłem się; podawałem mu gąbkę, ręcznik: rozpowiadałem o Odesie, Kijowie, morskich kąpielach i krymskich dziewczętach — jak groch o ścianę! tak! nie! dziękuję! więcej nic! a do tego uśmiech, powiem wam uśmiech, niech mnie djabli wezmą, szatański!

— Prawda! prawda — spojrzenie jego i uśmiech jakby jadem tofany napuszczone... jak djabła Suliego!

— Ha! ha! — roześmiał się O** — całą powieść fantastyczną ułożycie z jednego spojrzenia. Więc niema sposobu? i nikogo tu nie zna?

— Ale! ale! — zapomniałem wam powiedzieć; widziałem go wczoraj chodzącego z D**.

— Z D**?

— Z D**? — powtórzył zadziwiony O** i zamyślił się; — to dobrze! bardzo dobrze! już on nasz!

— Ale D**! to romantyk: marzyciel niebiesko migdałowy!

— Śmiejcie się! D* jest mój; mam go w kieszeni!

— Nie zazdroszczę jej tak gołego ciężaru!

— Nie traćcie czasu, idźcie! M* i P* zaproście na obiad do mnie, i sami przyjdźcie; ale, ale, dla przyzwoitości zaprosić wypada grubego i piskliwego M**; nie przeszkodzi, tyle widzi co kret!

— Przytem nieszczęśliwy w grze, a płaci i ma czem płacić! a będzie nam parawanił tą razą.

— Jeszcze jedno! — dodał Ż* na wychodzie — ten graf S***, ile zmiarkowałem, gdym mówił o klubie angielskim w Odessie, nic mi nie odpowiadał, ale przysięgnę wam że kozak i to kozak pierwszej giełdy!

— Kozak! — mniejsza o to przyjaciele moi. Złapał kozak Tatarzyna, Tatarzyn go nie chce puścić! — Po odejściu gości, pan O**

http://rcin.org.pl

przeszedł się kilka razy przez pokój; głębokie zamyślenie, które zwykle najpowszedniejszą twarz rozpromienia szlachtniejszym wyrazem, zdawało się kurczyć twarz jego, gwałtem odmłodzoną wyrazem niskiej wiekiem wkorzenionej podłości; z oczów tylko ciemnych które niegdyś wyraziste, a nawet piękne być musiały, strzelał czasami wyraz migotny, który z pod gęstych brwi łyszczał prześlizgającym się gadem. Stanął przypadkiem koło okna, które pąsowa firanka do większej połowy zasłaniała, spojrzał, odchyliwszy nieco zasłony, przez ulicę ku oknu przeciwległego domu; rysy twarzy przeciągnęły się do uśmiechu, usta wydęły się w dół. O** podobny był w tej chwili do starego Satyra; uderzył się po czole jakby mu myśl nowa przybyła, lub starą odegnać żądał, szybkim przyskoczył krokiem do bióra, napisał kilka słów na welinowej cwiartce i jakby mu się pilnie działo, sam wyniósł napisany bilecik do przedpokoju.

Jeżeli dotąd nie poznaliśmy O**, już go po powrocie nie poznamy, widocznie bowiem wdziewał pomału a z namysłem ową szatę udania, którą się każdy przez dzień obleka, i poważnie, skromnie, a bez przesady, nie z fertycznością młodzika, ani też z ociążałością starca, jakby czterdzieście lat ledwie minął, usiadł na sofie, wybrawszy poprzednio książkę, którą otwarłszy na los szczęścia wziął w rękę i przed oczy postawił, a wyraz w czytaniu osiadał na twarzy, rozpromienionej miłym i słodziutkim uśmiechem. Po niedługim czasie oznajmił kamerdyner pana D*, i wszedł mężczyzna, którego cała postawa i wyraz twarzy w zupełnej były sprzeczności z postawą i twarzą O**.

Był to człowiek atletycznej budowy, jakby z olbrzymiej skały wykuty; jakoż miał coś posągowego, w zarysach szeroko zakrojonych tak postawy jak i twarzy. W postawie widać zdrowie i siły młode na wiek cały wyrachowane, i na twarzy widać młodość, lecz koło ust pełnych jeszcze, mimo rzęsistych jasnych wąsów, są ślady cierpień licznych i głębokich. I oczy znać że były niegdyś błękitne jak niebo, póki je chmury popołudniowe nie zaćmiły; na czole szerokiem i otwartem widać myśl, której darmobym szukał pod czarną O** peruką; nie myśl maska z jaką się nieraz zdybiesz w mieście, ani też myśl polip głęboko wkorzeniony w mózg, ale myśl łyskawica, która przemawia ciągle zmieniającym się hieroglifem zmarszczków czoła. Jak powiadam wygląda jak posąg, wykuty dla dawnych wieków, ożywiony duchem dzisiejszego wieku.

Z otwartemi rękami, z których wyleciała jakaś Kraszewskiego powiastka, poskoczył O** i uściskał zimno witającego pana D*. — Daruj drogi! — miodowym mówił głosem — że cię fatygowałem do siebie — a ściskał serdecznie za ręce — ale przyjacielskiej twojej a rozsądnej potrzebuję pociechy.

— Pan odemnie pociechy?

— Dziwisz się, bo mnie nie znasz dobrze jeszcze; ja żyję w świecie, jak już raz żyć muszę, ale są dla mnie ciężkie godziny, w których płocha miejska rozmowa, zimna nawet książka nie wystarczy, aby wypędzić czarne myśli.

http://rcin.org.pl

— Czarne myśli? — powtórzył z zadziwieniem... i w czem ja.

— Ty kochany Józefie! przebacz tej poufałości, możesz wiele dla mnie swoją rozmową, która może stać się arfą Dawida dla Saulowych myśli moich.

Zadziwiony spojrzał na O** pan Józef, wypatrzył oczy nierozumiejące, i to tylko zrozumiał, że głęboki musi być smutek który zdołał tak postarzeć; jakoż zgrzybiała wydaje się twarz O**, zeszpecona ciągłem krzywieniem się. — I zkąd takie myśli przy wesołem życiu?

— Zycie wesołe! i tyż, który tak pięknie i głęboko cudze opisujesz uczucia i myśli, nie możesz zrozumieć, że życie wesołe jest najczęściej maską a pod nią!...

— Cóż ci brakuje panie? powiedz! prawdziwie nie rozumiem; masz zdrowie, wesołe usposobienie, dostatki...

— Dostatki! czy znasz panie Józefie mój budżet, rzecz dziwna jak dziecinnie łatwowierni są ludzie głębszym nad codzienne myślom oddani. Mój drogi! — a przytem tragicznie sapnął zasępiony O** — bankierowie zwykle najdroższe i najwytworniejsze dają zabawy w wilię bankructwa.

Zbladł jak chusta pan Józef. — Miałożby być tak źle z panem — O* milczał, a oczy nieruchome utkwił w woskowaną posadzkę.

— Toby było okropnie! — i milczenie i nieruchomość ta sama. — A ja prawdziwie — ciągnął dalej jąkając się pan D* — właśnie teraz jestem w niepodobieństwie uiszczenia się z długu, ale będę się starał.

— Dajmy temu pokój, — odrzekł O** westchnąwszy jakby się obodził ze snu magnetycznego — znam twoje okoliczności i chociaż każda najmniejsza kwota wiele stanowi dla mnie, a nawet podobno przyrzekłeś mi w tym czasie oddać to, co ci tak chętnie pożyczyłem nawet bez żądania twego.

— I to właśnie co mnie zgubiło; pożyczyłeś mi pan na tę przeklętą grę, w którą tyle, tyle już przegrałem!...

— Rób jak ja, nie graj gier hazardownych, i ja grałem, ale nauczony doświadczeniem; bo też mam ginion niepraktykowany.

— To być może, ale ci panowie, jak się tam oni zowią, przyjaciele czy znajomi pańscy mają szczególne szczęście.

— I czy nie pamiętasz, kiedy termin owego wekslu, który ja za ciebie ręczyłem?

Jeszcze gorzej zbladł pan Józef. — Jutro podobno! i to poszło w karty! Panie! zapewnie doświadczyłem wiele przyjaźni od ciebie, ale tyś we mnie obudził tego szatana, który zadrzymał, jedna namiętność więcej! Panie! ty nie znasz całego położenia mego.

— Mówmy o czem innem, ten przedmiot i mnie i ciebie zasmuca; zresztą co się tycze mego długu i tego wekslu, nie troszcz się! znajdziemy może sposób załatwienia i t. d.

— Sposób! jaki?

— To na potem! od przyjaciela przyjm tylko jedną uwagę' narzekasz na grę, zapewne przegrałaś w tych czasach niemało, ale

http://rcin.org.pl

wierz doświadczyńskiemu; ty miewasz weny szczęścia niewidziane; ja ci nawet przepowiadam kiedyś ogromną wygranę, ale, ale, dla czegoż tracisz pieniądze dla dogodzenia? — Spojrzeli po sobie. O* oczy choć ciemne uciekły przed ognistym wyrazem oczów jasnych — Jak mówiłem, mówmy o czem innem; widziałem cię wczoraj z wysokim a chudym drągalem, który dziwnie zabawnie odbijał od ciebie.

— A to znajomość z Odessy.

— Nazywa się?

— Graf S***

— To ma być bogacz wielki?

— Podobno.

— I gra w karty jak słyszałem od M*; —ot! wiesz co! spróbuj raz jeszcze szczęścia! jak myślisz? — Uważnem i budzącem się okiem spojrzał pan Józef na O**. — Mnie się zdaje, że to myśl szczęśliwa! u ciebie nie można, ale zaproś go do mnie; dziś na obiad przyjdźcie, będzie u mnie M* i parę osób jeszcze; kilka dobrych przejść w djabełka, a i dług i weksel i tracenie ulubione!...

Spojrzał po raz wtóry pan Józef na O**; widać z jego oczów, że nie tak dziecinnie łatwowierny jak się zdało O**, a może, czysty marmur posągu pobratał się z łatwo przystającem błotem: po chwili spuścił oczy w dół i półgłosem rzekł: — Ja nie mam pieniędzy do gry.

— To najmniejsza! tyle jeszcze znajdę dla ciebie.

— Możeby to panu przyszło z trudnością?

— Mniejsza o to! już ja się postaram, a potem, jeżeli jak mam przeczucie, poszczęści się tobie, mogę być w spółce z tobą, to i mnie poratujesz. Nie myśl długo! idź! już dwunasta, o drugiej czekam z obiadem; po dobrem winie zagramy, a kto wie jak wesoły będzie wieczór dzisiejszy.

A gdy odszedł pan Józef D*, odetchnął O**, i mruknął sobie pod nosem. — Przeklęte oczy tego grubasa, nie śmiem zupełnie szczerze z nim pomówić; hołysz, a hardy! i niby cnotliwy, a za pieniędzmi aż się trzęsie!... Tfu! głupiec.

Pan D* zaś idąc po schodach mówił do siebie.

— Co ten szatan chce odemnie; pistolet, pistolet pcha mi do głowy!

Ledwie pan O** miał dosyć czasu przebrać się i zakończyć finansową pogadankę z starozakonnym, a już przybyli poufalsi; dwóch znamy już, a panowie P* i M** mało się od nich różnią, młodsi tylko, osobliwie M**, z twarzą, na której ledwie mech młodzieńca ustąpił przed wąsem męża, a już poorana przedwczesnemi zmarszczkami, a już oczy pomęczone jakby licznych nocy bezsennością: zresztą wyrazy wszystkie powszednie, ugrzecznione salonowem ukształceniem, które i ciało i duszę odziewa w szaty na modny zwyczajowy krój uszyte. Ledwie czasu mieli kilka słów pomówić.

— Graf S*** będzie! — Będzie? — Będzie? — A więc jak zawsze? — Oczywiście!... Spuszczam się na waszą uczciwość!...

— O! słowo honoru! jak najściślejsza wspólka!

http://rcin.org.pl

— Tylko mon cher! — dodał M* do P* — staraj się być zgrabniejszym niż u prezesa onegdaj, gdyby nie moja przytomność umysłu...

W tem nadszedł pan M**; poczciwe jakieś panisko wykarmione i wesolutkie; istna karytura D*; podobny wzrostem i otyłością, a nawet i twarzą równie szeroką i jasną, tylko barwą więcej śniadą a wyrazem powszednim przypomina różnicę gliny i marmuru; wkrótce nadeszli pan D* i graf S***.

III.

Po obiedzie wykwintnym, o którym wartoby wspomnieć choć słów kilka, po obiedzie prawdziwie kawalerskim, bo na nim jedzono dobrze, jeszcze lepiej pito, nastąpiła oczywiście kawa likworami towarzyszona, a po kawie lulki i cygara, przytem pogadanka jak zwyczajnie między mężczyznami: nieco o koniach, nieco o kobietach, trochę o teatrze, więcej o kulisach; aż nareszcie wniesiono zielony stolik. Nie jedno w towarzystwie zaśmiało się oko wyrazem czarodziejskiej nadziei. D* rzucił okiem niecierpliwości i żądzy na zielone sukno, a wzrok jego roziskrzony winem, którego nie szczędził gospodarz, łyskał wyrazem mniej może szlachetnym jak zwykle, ale więcej ognistym.

— Może wiska zrobimy? — zapytał gospodarz północnego grafa, który prawdziwie jak mruk siedział przez cały obiad: jadł dosyć, pił jeszcze więcej; ale ani poczerwieniał, ani się rozweselił.

— Nie gram wiska! to nudna gra!

— Może lombra?

— Nie gram lombra! to jeszcze nudniejsza!

— Pan hrabia zapewne amator gier hazardowych? ja wprawdzie nie grywam, ale panowie, pan hrabia M*, pan baron M* grywają, więc...

— Ja lubię hazard! ale gra mała nudzi mnie.

— Zapewne pan hrabia do gier rossyjskich przyzwyczajony i ci panowie dosyć wysoko grać zwykle — a do najbliższego sobie D* szeptał: — jeżeli będzie gra gruba, to darujesz, ale dziś... nie mógłbym!...

— Tak! tak! — przeciągłym odpowiedział głosem, a zgrzytnął zębami, aż przecięte upadło cygaro na ziemię.

— A zatem — ciągnął spokojnie O** — dalej! faraona? kwindecza? djabełka?...

— Djabła!

— Są karty! niech panowie chętni gry ciągną o miejsca.

— Ha! ha! — zaśmiał się graf S** — trzeba zaś wiedzieć, że często uśmiechał się, ale śmiech ten był szczególnie zimny i szyderski; był w nim rodzaj przykrego gwizdania. — Ja nie gram tylko we dwóch! tym sposobem lepiej grę uważać mogę.

— Największą grę robi baron M*!...

W czasie tej rozmowy prócz na pozór spokojnego gospodarza,

http://rcin.org.pl

ciekawe były spojrzenia drugich jakiemi połykali całego grafa; D* stał nieporuszony z oczami w O** utkwionemi; a hrabia M* spokojnie na sofie usadowiony nie wiem nawet czy uważał co mówią, tak był zaprzątnięty lulką i trawieniem swobodnem.

Na ostatnie zagadnienie spojrzał S* na barona przenikliwym wzrokiem, który spoczywał pod wielkiemi śnieżnemi brwiami i barwą oka niepewną, jak węgiel w ciemnej pieczarze popiołem zasypany, zaśmiał się, i głosem trąby albo organów olbrzymich wyrzekł z zaprzeczającem kiwnieniem głowy: — Niech panowie się bawią!...

— Ale dla czegoż? — grzecznie mówił dalej gospodarz, choć niecierpliwą nogą gniótł posadzkę z całej siły — może hrabia chce partnera na los wybrać?

— Los będzie w djable! gracza zaś ja zwykł sam wybierać! — i obejrzawszy się po stojących z wyrazem wzywającej niegrzeczności; jakby woły lub konie na targu oglądał — dodał — grać będę z tym panem — a palcem wskazał na pana Józefa.

— Ze mną? — radość i smutek łysnęły przez wyniosłe czoło jego.

— Niech panowie siadają! — zagadł gospodarz; a zanim przygotowano karty, porwał za rękę pana Józefa i szepnął mu do ucha: — Uważaj! zlituj się! nie zapalaj się! oto masz pieniądze, a czasami przecie spoglądaj na mnie!... A my panowie wiseczka... a może wolicie djabełka.

— Djabełka! — wyrzekł M*, między ziewnieniem a kłębem dymu. Urządzono stolik w drugim pokoju, i zasiedli wszyscy prócz gospodarza, który cichym krokiem przechadzał się z pokoju do pokoju; a mimochodem spoglądał czasem przez ulicę ku oknu z otwartą żaluzją.

Milczenie panuje głębokie; rzadko usłyszeć można skąpe graczów słowa; jedynym głosem jest dzwonienie pieniędzy i szelest poruszanych banknotów. Najciszej przy stoliku dwóch graczów! Nie mógł prawdziwie graf S* lepszego dobrać gracza, aby się sam dobitniej mógł wydać; bo nie dosyć, że pan Józef ładny mężczyzna, graf zaś szkaradnie brzydki, ale szczegółowo rozebrawszy obydwóch, panuje między nimi rażąca sprzeczność: jakkolwiek D* wysoki, graf S* przewyższa go o całą głowę, a chudemi, kościstemi, niestosownemi do siebie członkami żartować się zdaje z harmonijnie zaokrąglonej postawy pana Józefa. Na długiej, żyrafiej szyi stoi głowa o tyle długa, o ile partnera głowa jest szeroka; a kątów i zmarszczków ma tak wiele, że łysiną ogromną świecąc, świeżym puchem skąpych włosów, gęstych brwi i rzęsistych wąsów obsypana, sterczącą nosem olbrzymim, w bezzębną pieczarę szeroko rozwartych ust strojna, wydaje się prawdziwie jakby odłam skały raczej, niżeli twarz człowiecza: wyraz tylko oczu niekiedy strzelających i uśmiech złowrogi przykuty do ust dowodzą, że ta skała żyje, ale życiem zarażonem i zaraźliwem. Różne były gry przemiany, przy jednym jak i przy drugim stole; obojętniejsi z początku gracze w coraz większą wpadają zaciekłość i zapomnienie o wszystkiem, co nie jest grą... Szczęście gry, to kapryśne, niewidome, tylko modłami i przekleństwy czczone bóstwo, ulatywało po nad oba stoły i przesypywało złoto kolejnie z dłoni do

http://rcin.org.pl

dłoni; nagle zmieniła się postać rzeczy: przy jednym stole zaczął ciągle przegrywać hrabia M*, a przy drugim dwaj zapaśnicy walczą z ciągle niezwalczoną pulą, która za każdym rzutem kart rośnie bez miary. — Oczy O** uporczywie ścigają wszelkie ruchy złota i banknotów; chciałby wyrazem zaciekłej chciwości wczarować je w ręce D*, którego twarz, przy grze nawet, cechy szlachetności nie postradała: zdaje się nim powodować czystsza część tej namiętności, gdy tymczasem na drugich twarzach widoczne jej brudne fusy. Z twarzy grafa S* nic nie wyczytasz; jak automat do gry wyrobiony rzuca, tasuje, zbiera karty, sypie złotem, bez głosu i wyrazu; chyba czasem łyśnie wzrokiem, gwiźnie uśmiechem, tak przenikliwym, aż mimowolnie zadrży przeciwnik jego.

Po dniu gorącym sierpniowym chłodniejszy powiał wiatr południowy; przy zamkniętych firankach otworzono okna i wietrzyk świeży, porwawszy tu i owdzie w przelocie woń z ogrodów po oknach rozstawionych wleciał do pokoju: nadaremnie muskał twarze graczów, świeżością a wonią łagodził ciężki zapach cygarów i lulek; nie zrobił on na graczach wrażenia; nie zdołał nawet zwiać z twarzy tego potu natężenia, którym błyszczą.

I milczenie trwa ciągle; jedynym głosem krótkie graczów wykrzykniki, dzwonienie złota i szelest banknotów... Oczy graczów, jakby oczy owych wężów południa, urokiem żądnych spojrzeń chciałyby wszystkie przyciągnąć złoto! Od czasu do czasu odezwie się jednostajnie piskliwy głos hrabiego M**, jakby głos czajki po nad ciszę ulatujący stepową!...

I z łona cichości ozwał się głos muzyki powolny z początku, coraz potem głośniejszy, coraz donośniejszy; rozchodzi się w tysiącznych cieniowaniach harmonijnych. Kapryśny wiaterek to głośniejsze, to cichsze przynosi tony; darmo dźwiękiem przemawia do uszu, wonią i świeżością ożywia i czaruje! darmo!... gracze mają tylko uszy dla dźwięku złota; wszystkiemi zmysłami zdają się smakować złoto w puli skupione, do której jak do fortecy niedobytej strzelają krwią drgającą po żyłach, chciwością oczów, żądzą wytężonych palców, namiętnością duszy!...

I coraz cichszy gwar dochodzi z ulicy; nikną tony muzyczne; nową świeżością wieczorną, nową wonią po przedmiejskich ogrodach skradzioną przesiąkły wietrzyk coraz silniej porusza czerwonemi firankami, coraz żywszym podmuchuje powiewem po twarzach graczów; swawolny igra dymem, który wznosząc się z lulek i cygarów dziwacznemi falami sinych obłoczków przesuwa się po nad graczów głowę!... darmo!... łyszczą potem natężone twarze, strzelają oczy, drgają palce: a cichość coraz większa, oddechu prawie brakuje graczom, bo pula na obu stolikach rośnie coraz większa w złoto coraz czarowniejsze!...

Już zmrok zapada! nie dla graczów! widzialne dla nich karty i złoto!... to ich świat! to ich życie!... to ich przyszłość!... I w tej cichej, swobodnej, marzeń roje rodzącej zmroku chwili ozwał się głos niedaleki, głos dźwięczny niewieści; przez okno snać wybiegł otwarte, kołysze się na skrzydłach wietrzyka i wlatuje do pokoju harmonijny, jakby arfy eolskiej brzmienie, jakby śpiew aniołów z góry; dźwiękiem

http://rcin.org.pl

czystym, niewinnym i tęsknym razem; darmo chce oczyścić i pokój zapowietrzony brudną namiętnością, darmo ucieka nazad i znowu wraca!... coraz cichszy jakby śpiew słowika, jak strumyka mruczenie, szmer liścia!... to głośniejszy, jak dźwięk dzwonka samotnej kaplicy, echem gór wtórowany!... darmo!... nieporuszeni grają! w puli ucho, oko, dusza!... Głos niewieści śpiewa:

Wypłyń, wypłyń z za obłoku!...

Dla graczów płynie pieniądz żółtą falą po pieniącej się złotem puli!....

I tęskny głos śpiewającem zadzwonił wołaniem:

Ja, kochanka, wzywam ciebie!...

Wniesione w tej chwili światła mocniejsze zrobiły na graczach wrażenie nad śpiew i myśli tęsknej pieśni!...

Ja, kochanka, wzywam ciebie!...

Powtórzył głos tęsknej i smutnej... ból nocny, rozpacz nawet czuć w drżącym głosie. Zadrżał jeden pan Józef!... dostrzegł zapewne to drżenie graf S** i łysnął okiem szyderstwa!... gwiznął uśmiechem szyderstwa!... — To zawzięta śpiewaczka! — mruknął.

A pan Józef D* machinalnie tasując karty, odbiegł myślą daleko za zielony stolik i zamarzył... Ogród wonny, wieczór wiosenny w cichem wioski ustroniu, dziewicę czarnooką w gołębiej szacie i z gołębią duszą!... Dziewica śpiewa głosem natchnionym, w którym drży dźwięk pierwszego uczucia.

Ja, kochanka, wzywam ciebie!..

— Mnie? — zapytał młodzieniec, w którego łonie wrzały wszystkie rozbudzone namiętności!..

— Ciebie! — dźwięczniejszym od śpiewu głosem odrzekła dziewczyna... Młodzieniec w niebo spojrzał... raj uczuł w duszy!...

— Banko! — zawołał głuchym głosem graf S**. Wionęło pana Józefa marzenie przed strasznej rzeczywistości bojaźnią.

Darmo głosowi towarzyszą dźwięczne fortepianu klawisze czarującemi tony!... pula się podwoiła; pan Józef drży żądzą i drży bojaźnią, nadzieją i rozpaczą szarpany na przemiany. W czasie śpiewu znikł O**; firanką zasłonięty słuchał śpiewu; spojrzał przez ulicę ku odsłoniętemu oknu i podobny rannemu wystąpił wyraz na twarz jego; usta obrzydliwem obwisły skrzywieniem, czy całować, czy smoktać jaki przysmaczek żądne.

Uciekajmy z zatrutego pokoju; przez ulicę tylko, a odetchniemy choć na chwilę w cichem, zmrokiem, muzyką i poezją pięknej kobiety napełnionem ustroniu.

IV.

W pokoju ubranym skromnie raczej niżeli wytwornie, w którym miarkując po niektórych sprzętach, kłócących się z sobą różnorodnem

pochodzeniem, widać brak zbytku pochodzący z niemożności, siedzi przed fortepianem, powiedziećby można dziewica, tak czysto, tak harmonijnie zaokrąglone są bowiem rysy twarzy białej, ocienionej więcej jasnemi puklami włosów i w dół spuszczonemi rzęsami, niżeli zmrokiem, który jednakże coraz wieczorniejszych nabiera barw, gdyby nie rys jakiś głębiej koło ust wyryty, dający poznać w niej kobietę. Jest to rys pierwszem uczuciem dziewicy wyciśnięty, a pierwszem kobiety cierpieniem wryty na wieki; jest tam koniec marzeń i początek życia istotnego; nie smutek jeszcze, ale i nie uśmiech!... Jedną ręką przyciskała jeszcze klawisze, których ostatnie brzmienie drżało w pokoju, druga bezwładnie spoczywała na śnieżnej sukni; twarzą zaś i okiem poglądała ku znanemu już nam oknu. Oczy czarne błyszczące może łzą tajemną wpatrzyła, jakby się dziwiła, że na tak czarujące wezwanie kochanki oczekiwany dotąd nie przybył!... Kto wie jakich to uczuć w głębi serca chowanych był wpływem ten śpiew tęskny, który słyszeliśmy.

Długa była to chwila!... gdy w tem z lekka otworzyły się drzwi. Usłyszało ten łoskot, jakkolwiek cichy, ucho równie natężone; i wszedł pan O** wytwornie ufrakowany, odświeżony na nowo, a cały woniejący jak sklep galanteryjny, z uśmiechem, który pan O** całą siłą mocnej woli swojej wyczarował, z dawno upłynionych lat młodszych. Skoczyła kobieta z siedzenia swego, ale nadto była jeszcze młoda, nadto niedoświadczona, aby uśmiech, którym przywitała niespodziewanego gościa, wydał się zupełnie szczery. Stare O** doświadczenie zrozumiało to przywitanie, a chociaż rzucone przelotne spojrzenie na zwierciadło, dzięki zmrokowi, zadowolniło go niepomału, ze skromnością dziwną w tym wieku, rzekł głosem, któremu starał się dodawać wyrazistości uczuciowej:

— Nie mnie spodziewałaś się pani!... — po chwili milczenia mówił dalej: — Jeżeli śpiewnem wołaniem wezwany nie przybył, czyliż szczery przyjaciel mniej pożądany?

— Tak źle nie myśl pan o mnie; umiem ja cenić przyjaźń, której winnam tyle w coraz częstszej samotności mojej... i wdzięczność...

— Przyjaźń nie jest wymagającą, a wdzięczność to lichwa: tej przyjaźń prawdziwa nie żąda — dodał z wzrastającym zapałem, któremu jakby ulegając mimowolnie, przycisnął z uszanowaniem witającą rękę... — Na samotność zdajesz się skarzyć pani? w stolicy, wśród zabaw, w szczęśliwym wieku pani!... trzeba chcieć koniecznie samotności!...

— Czy mniemasz pan, że nie można być samotnemu wśród najliczniejszego towarzystwa? zabawa nie w koło nas zdaje się, ale w nas samych... we własnem usposobieniu...

— Wielka prawda! temu to usposobieniu, które mnie wypędziło z pośrodka towarzystwa zebranego u mnie, winien jestem tę przyjemną chwilę, którą mi pani z sobą spędzić pozwolisz...

— Pan nie czekasz na niego! — z półroztargnieniem rzekła.

— Więc lepiej nie mieć na kogo czekać, nie mieć istoty, którejby było miło przebaczyć i długie daremne oczekiwanie...

http://rcin.org.pl

— Pan ma towarzystwo u siebie jak zwykle... liczne zapewne?... — zatrzymała się spojrzawszy z uwagą na pana O**, jakby czekała odpowiedzi — i jak zwykle porzuca je, by samotną odwidzić przyjaciółkę. W pierwszych chwilach przybycia mego do stolicy, omamiona wieśniaczka, cieszyłam się jak dziecko nowem cackiem: byłam wesoła, śmiałam się, skakałam jak dawniej, lecz pomału...

— Cacko znudziło!

— Bom nie dziecko już. Panie! ty mnie rozumiesz!... gdzie mąż mój... dnie, nocy przepędza? darmo pytam, darmo błagam; milczy! spogląda na mnie czasem jak dawniej, ale milczenie to jego spada kamieniem na serce moje, cały dzień go nie widziałam... I pan!... i przyjaciel nie ma odpowiedzi dla mnie?...

— Odpowiedzieć łatwiej niżeli pocieszyć...

— Oh nie! on mnie kocha jak dawniej, ja znam go... rozumiem jego spojrzenia... dla czegoż mówisz pan o potrzebie pociechy!... on cierpi! ale co cierpi? co? jaż nie mam tego wiedzieć?...

— Miałażbyś pani być zazdrosną?

— Źle mnie pan znasz!... on mnie jedną kocha i żadną inną...

— Czy tylko miłość do kobiety jest namiętnością? Są inne, okropniejsze, które pomału zdołają wszelkie dawne najgłębiej wkorzenione zniszczyć uczucia...

— Panie zlituj się! mów wyraźniej!...

— Pani! M*! pozwól niech cię tak nazwie szczery i prawdziwy twój przyjaciel... smutny to przyjaciela obowiązek; ale świętą prawdę powiedzieć, oczy otworzyć póki czas... Tak jest piękna M*, przyjaciółko! jest namiętność straszna, która boję się, by jego nie pochłonęła... a osobliwie nie zniszczyła twoje tak drogie dla mnie szczęście... twój spokój, który życiembym okupił mojem... tą namiętnością jest gra!...

— Gra! tegom się zawsze obawiała... i dla tego rodzice moi tak przeciwni byli... on mi przysiągł, że nigdy grać nie będzie..

— A gra przecie!...

— O ja nieszczęśliwa! — i przycisnęła białe dłonie do oczu, z których gwałtem wstrzymywane dobywały się łzy.

— Gra jest grobem wszelkiego uczucia! gra zabija w duszy człowieka wszelką szlachetność!...

— On nie przestanie być szlachetnym!...

— Gracz każdy najprzód oszukany, w końcu sam...

— On nie przestanie mnie kochać!... wszak on wie, że jego miłość, to moje wszystko na ziemi... dom rodzinny, który dla niego porzuciłam, zamknięty dla mnie... i ja nikogo, nikogo nie potrzebuję, tylko jego... on mnie tak kochał... taki zapał nie tak łatwo...

— On jest namiętny!.. zapał jest mu właściwy... wczoraj ciebie... dzisiaj karty!..

— Przestań O**! błagam ciebie... cóż robić? jak go ratować od tej namiętności?... radź, zlituj się!...

— Rady moje, a szczere były Bóg widzi, odrzucił ze wzgardą; jeżeli mu ta miłość, którą ty go M* otaczasz nie stała się bóstwem opiekuńczem, cóż zimne rady przyjaciela pomogą?... Ciebie pani ratować potrzeba! Ciebie ratować, to jest zadanie moje!...

— Mnie bez niego, to daremnie!...

— Słuchaj pani! za grą postępuje krok w krok lichwa... ja wiem, że ma długi...

— A ja nieszczęśliwa przyjmuję od niego dary, któremi mnie obsypuje... powiadał, że odebrał dług jakiś dawny, i wczoraj jeszcze dał mi pierścień... i czułemi słowy...

— Dary miały zastępować uczucie!...

— Nie wierzę! nie chcę wierzyć! on mnie kocha!...

— Przysięgał a gra!...

— Prawda, okropna prawda!...

— Kredyt jego upaść musi, a jak lichwa przestanie mu dostarczać pieniędzy do gry?... co z tobą pani stanie się?... Ja przyszedłem dziś do pani i musiałem to powiedzieć, bo wiem, że się zgrał, wiem, że jutro wypłata długu lichwiarskiego...

— Przedam wszystko...

— To nie wystarczy...

— Błagać będę o poczekanie...

— Lichwiarza?... a gdyby i poczekał!... jak przegra wszystko co pani posiadasz?...

— To przestanie może wtenczas!... a ja chętnie porzucę miasto... służyć, pracować dla niego, to będzie rozkosz moja!...

— Gracz nie przestaje nigdy... w końcu przegra jeden ostatni najdroższy skarb swój... przegra ciebie pani!...

— O**! żartować w takim razie nie godzi się...

— Bodajby to był żart! ale znam cię pani! znam cię dobra M*!.. tybyś dla niego poświęciła się, gdyby zażądał tego, a dawnym do ciebie przemówił głosem!... Czy mniemasz pani, że w tak zepsutem miejscu jak każda jest stolica, mąż pani nie znajdzie takich, którzy mu tę myśl poddadzą: będzie z nią walczył zapewne, ale w końcu gnany namiętnością nową ulegnie!... Czy mniemasz pani, że ten młokos w ciemnym paletocie, który cię ściga od niejakiego czasu po spacerach, teatrach, sklepach!...

— Ten! — z lekkim rumieńcem wyrzekła — znasz go!...

— To kuzyn mojego przyjaciela, sławny z bogactw, ale sławniejszy z rozpusty; zdybał mię raz u swego krewnego, ale odkąd łażąc tędy postrzegł mnie wchodzącego do tego domu, zdybał na przechadzce z panią... mierzy mnie za każdem zdybaniem wściekłym wzrokiem zazdrości!...

— Zazdrości! — odrzekła z wyrazem podziwienia, nie bardzo pochlebnego dla O**...

— Tacy ludzie nie wierzą w przyjaźni czyste uczucie... nic dla nich świętego... wiem, że się już poznał z mężem twoim pani!...

— Nie bój się pan o mnie! grób pierwej!...

— Grób tobie M*? nie!... a cóżby twój stary przyjaciel zrobił bez ciebie, która jesteś jego jedyną pociechą na świecie, jedynem zajęciem!... Prędzej on!... znam go, pełen nieposkromionych namiętności; w chwili rozpaczy!...

— Boże mój! Boże, cóż ja zawiniłam... ja bez niego żyć nie

http://rcin.org.pl

będę... O**! pamiętaj słowa moje... ja jego nie przeżyję... jeżeli to prawda, że ci droga jestem, ratuj go!...

— Nie rozpaczaj pani!... i pozwól niech skończę; przyszedłem, by cię ratować; znasz moją przyjaźń i bezinteresowność... oto są pieniądze; ale na Boga, na przyjaźń moją zaklinam cię pani, nie mów mu ani słowa o tem, bo inaczej nie mógłbym być ci przydatnym; fałszywą dumą wiedziony, mógłby pomoc moją odrzucić: jutro zapłać sama weksel, ale pieniędzy nie oddawaj w ręce; najważniejsza rzecz, by się pozbyć długu lichwiarskiego... potem... może... kto wie! ja mam myśl jedną... może go oddalimy na czas jaki, dając zatrudnienie... jednem słowem, miej pani zupełną ufność we mnie; ale jemu ani słowa!... o pieniądzach powiedz pani, żeś co przedała, lub że dostałaś od familji... wszakże przecie ta familia jakkolwiek zagniewana, odda kiedyś zatrzymany dotąd posag pani... ja nie jestem bogaty, ale co mam wszystko ci oddam... i mniejsza o pieniądze... życie moje nawet na twe usługi...

— Słów mi brakuje!... O**! przyjacielu!... nigdy ten dzień nie wyjdzie z pamięci mojej; ale powiedz jaki masz środek, by go wyratować...

Czy nie chciał wyraźniej wytłumaczyć, to co mu samemu jasnem jeszcze nie było, i co miało być dopiero wynikłością przyszłych zdarzeń, czy może głos jakiś i stuknienie, które w ciszy wieczornej usłyszeć się dało, a zdawało się z przeciwległego pochodzić domu, przynaglały go do pospiechu, dosyć, że spieszniej niż może myślał, wyrzekłszy na prędce „później pani opowiem, bądź spokojna!“ pożegnał piękną M**.

— Pamiętaj O** słowa moje! — zawołała za odchodzącym. — Ja go nie przeżyję!...

O** idąc po schodach, mruczał sam do siebie: — to mnie djable kosztuje; ale ona moją być musi! taki szalony zapaleniec!... utopi się albo zastrzeli!... a ona, młoda i kobieta przeżyje go oczywiście... i będzie moją! Czegoż mi teraz życzyć sobie wypada... czyby wygrał, czyby przegrał?... Złoto!... piękne, rossyjskiego tego hrabiego złoto... i kobieta jak łania, pełna życia i temperamentu!...

V.

Dylemma to zdawał się tymczasem los sam rozstrzygać w niebytności O**, albowiem pan Józef zgrywał się ciągle; jego to ręki niecierpliwe uderzenie usłyszał O** u M*. Graf S* siedział ciągle nieruchomy; szczęście nie zdawało się robić na nim wrażenia; przeciwnie na twarzy pana Józefa nieustannym ruchem zmieniały się wszystkie widoczne namiętności jakie wrzały w nim w czasie gry. to bledniał, to czerwieniał. O** pożyczał nowych pieniędzy raz i drugi, lecz i te szczęście nieubłagane przeniosło do grafa S*; przyszła nareszcie chwila stanowcza, w której straszna rzeczywistość stanęła przed oczyma pana Józefa, nie rzeczywistości wielkiej przegranej, o tej nie

myślał w tej chwili, ale niemożności wygrania; bo O** czy nie miał, czy nie chciał dać więcej i rzekł mu z cicha: — Nie należę już do wspólki; dosyć już przegrałem z własnego głupstwa.

— Nową pulę stawiamy! — szyderczo zagadł graf S*.

— Nie mam pieniędzy przy sobie! — drżącym głosem odparł pan Józef.

— Nic to nie szkodzi! gramy na kredkę!... może się odegrasz!... wygrać tak mało nie warto! lepiej przegrać!...

Była chwila, w której resztki szlachetności pana Józefa poruszyły się i wystąpiły na twarz jego rumieńcem, który go odmłodził o lat dziesięć... grać na kredkę: to uczciwość stawiać na los karty, to oszukaństwo, nie mając czem przegranej zapłacić!... Ale to mnóstwo złota i banknotów, które skupione widział przed grafem, wywierały na nim czarodziejskie wrażenie; jakby naumyślnie szydzący Rossjanin przerzucał dukatami; dźwięk złota stał się głosem syreny.

— Przegrasz! — szeptał mu złośliwie O**.

— Co panu do tego!...

— Czem zapłacisz?...

— Ma to być przymówka?...

— Rada mój przyjacielu!...

— Rada! rada! — zazgrzytał pan Józef — dla tego właśnie grać będę. — I wszczęła się gra nanowo. Odszedł O**, a z ukosa spojrzawszy ku oknom, wyraz podłej radości zaczerwienił mu twarz zjadliwym grzybem: zbliżył się do drugiej gry; tam oczywiście szczęście przykute gwałtem sprzyjało przeciwnikom hrabiego M*, który na cygarach, lulkach, winie ciągle podawanem i własnem czole, niemiłosiernie tłuczonem szeroką pięścią, odgrywał się jak mógł. Okiem znawcy rzucił O** po rozrzuconych koło graczów pieniądzach, a hrabiego od niechcenia zapytał: — Hrabia znowu w nieszczęściu?...

— Głupi! głupi jestem! — zapiszczał — że gram; już tysiąc ryńskich przegrałem gotówką, a pięćset na kredkę.

— Wątpię, by tak wiele — odrzekł Ź*, który ciągle składał i przekładał banknoty przed sobą...

— Porachuj pan to, coś schował do kieszeni!...

— Ja? ja nigdy nie chowam! — wyjąknął zaczepiony.

— Pan hrabia zawsze porządnie rachunek gry utrzymuje — łagodzącym głosem przerwał O**.

— Od dwóch godzin żadnego nie mam przejścia; wszystkie plije sprzyjają panu Ź*... to przeklęta gra!...

— Ja też ją nigdy nie gram. — Postawszy chwilę przy tym stoliku, zwrócił się O** bez myśli ku drugiemu stolikowi; patrzy, natęża oczy! wierzyć oczom nie chce!... Jakby czarem jakim przenoszą się pieniądze wszystkie do pana D*. Stanął na progu, spogląda bliżej, to nie żarty: pan Józef wpadł w szalone szczęście. Ukąsił się O** w usta i zbliżył do szczęśliwego gracza; graf spojrzał nań szyderczym wzrokiem. — Widzi pan! szczęście się zmieniło, nie trzeba było od spółki odstępować!...

— Czy jesteśmy dalej w spółce? — zaszeptał O**.

— Nie chciałeś pan; teraz gram za siebie.

— To pięknie! szczególnie pięknie.

— Racz pan nie przeszkadzać nam — zagadł graf — ja lubię ciche!... Skoczył O**; rad był odpowiedzieć, ale, by prawdę wyznać mimo tytułu wojskowego, podstarzały O** tchórzem był podszyty. Wrzawa w drugim pokoju. — Nie gram! nie gram! — piszczał hrabia — dwa tysiące ryńskich to nadto, i same plije, to obrzydliwie! — Powstali gracze; wniesiono poncz; wziął się do niego hrabia pałający zemstą; wzięli się i drudzy.

— I cóż? zgrał się grubas?...

— Wygrywa teraz ciągle i nie chce więcej spółki!...

— Patrz! patrz! nową kupę banknotów pociągnął...

— Trzeba przerwać grę koniecznie!

— Złoto jak szalone sypie się do niego...

— Zapoić go!... nie wiele też mu brakuje... a potem!... potem! — popatrzyli po sobie wzrokiem prawdy.., Okropna, obrzydliwa ta ich prawda!... Zaniesiono poncz do nich.!...

— Ha! czaj! — zaśmiał się graf S*; — lubię czaj! pij pan na wiwat szczęściu swemu! — Jakoż piją wszyscy, jedni z rozpaczy, drudzy ze smaku, panowie koledzy z radości, która się im wyszczerza z dobrze porumienionych twarzy. Niknie szklanka po szklance; trunek dodaje zapału wzburzonym namiętnościom, jeden graf S* ciągle nieruchomy zdaje się blednieć jeszcze; gdy tymczasem pan Józef nabiera coraz ciemniejszych barw na twarzy: szczęście służy mu bez ustanku.

— On go zgra!... a nam!...

— To niegodziwie! co tu robić?...

— To łotr! nam to, nam się należało!...

— Wydarł nam z gardła!.. Pan Józef za każdem szczęśliwem pociągnieniem traci rys po rysie, wszystkie rysy szlachetne, które go odróżniały od reszty towarzystwa; zbrzydł spodlał w tem szalonem szczęściu; łakomą ręką przysuwa złoto, składa piramidy dukatów, warstwy banknotów składa; ale mu jeszcze nie dosyć, gwałtem chciałby przyciągnąć pieniądze, których przeciwnik dobywa bez końca:..

— Więc bez współki! — szepta mu O**... — to jest postępek niegodziwy. — Nic nie odpowiada; bo czucie honoru w nim zamilkło; czucie do złota zagłusza wszelkie inne.

— Pan nieszczęśliwy! — szepnął baron do grafa — lepiej przestać, lub gracza odmienić!...

— Bez uwag i rad! bardzo proszę: ja lubię przegrywać! — i zaśmiał się po swojemu.

— Ale bo hrabia daruje, że prawdę powiem: dużo się piło, a zatem nie wiele zwraca się uwagi na grę. — szepnął pan Jan Z*. — — Powiem panu nasze ruskie przysłowie: — Pijanica prospit sia; durak nikagda!...

- Jednakże radziłbym hrabiemu uważać na grę przeciwnika — dodał swoje pan P*, — nienaturalnem jest jego szczęście.

Odwrócił się graf S* do brzęczących mu jak muchy nad uchem, zmierzył ich wzrokiem szyderczym i wzgardliwym, zaśmiał się po-

http://rcin.org.pl

tężnie i rzekł. — Moi panowie !... z tym tylko może panem grać mogę zupełnie bezpiecznie... znam i rozumiem grę, a gram nie od dzisiaj... Niech panowie idę do swego gracza. — Wściekają się koledzy, ledwie nie pękną ze złości; szczęśliwego gracza chcieliby w łyżce wody utopić; odstąpili się wprawdzie, ale nieruchomi, o kilka kroków oddaliwszy się, patrzą na ten stolik.

Pan Józef D* słyszał może i rozumiał wszystko, ale co jemu świat cały; tu sunie się do niego ślepego szczęścia dłonią sypane złoto, a z nim świat tylekroć wymarzony, świat pełen użycia, dotąd zamknięty dla niego, a ciekawy i czarujący jak zasłoniony posąg w Sais!... Za każdą kupą złota śmieje się doń nowe, urocze marzenie. I rzecz dziwna graf S* jakkolwiek zimny i nieruchomy zdaje się rozumieć, co się dzieje w duszy jego przeciwnika.

— Przegrałem!... pierwsza aktorka z opery byłaby za tę jedną stawkę... pierwsza tancerka za tę pakę banknotów... nieprawdaż panie?...

Pan Józef omamiony szczęściem, to zgrzany winem, rozpalony namiętnościami siłą lepszej chęci dotąd usypianemi, bez myśli rzuca karty, które ciągle na jego padają stronę... chciwości okiem gra tylko, a duszą zamarzył.. podróż, która dawno mu się uśmiechała urokiem scen najrozmaitszych; ta kupa imperjałów: to Paryż z całem życiem wykwintnem, życiem opery, kulis, śpiewów włoskich, bajaderek lekkonogich i lekkostrojnych rozmów, książek; wszystkie powieści z swemi barwami najkapryśniejszemi tańcują mu w migotnym złota blasku, jak elfy przy księżyca świetle!... Ta plija! to góry szwajcarskie z dzwonkiem trzód pasących się, śpiewem góralskim, i echem skał siwogłowych!... Banko! — wygrał; to niebo włoskie! słońce południa! posągi i obrazy, arcydzieła natury!...

I gracze równie omamieni pomilkli; widok szczęścia jakiego nie widzieli dotąd zagłuszył nawet kipiącą w nich zazdrość; siebie samych zapomnieli oczarowani widokiem tego złota, za którem gonić ich rzemiosłem całem, a którego na ich zielonostolikowym świecie nigdy tyle nie widzieli; to dla nich widok cudowniejszy nad wszystkie widoki natury i sztuki; Nawet hrabia M*, który dotąd ponczem wciągał zapomnienie przegranej, a kłębami dymu wypuszczać się zdawał jej pamięć, stanął w rzędzie drugich; zadziwionym od trunku zgłupiałym wzrokiem patrzą na tych dwóch graczów, których zarysy w coraz fantastyczniejszych okazują się im przemianach. Jakoż w rzeczy samej coraz ciekawszy widok tych dwóch twarzy tyle różnych od siebie; za każdą wygraną pan Józef D* wydaje się czerwieńszy; pan graf bledszy! Za prawdę zdaje się, że grubieje jeden od szczęścia, gdy drugi chudnie od nieszczęścia; chwytając złoto i papiery, pan Józef już granatowy na twarzy zdaje się ciągnąć w siebie to prawdziwe dzisiejsze życie — życie złota!... a graf S* niknie prawie jakby mu ubywało cząstek życia za każdem dobyciem nowych pieniędzy, których tyle już na stole, iż ledwie oczom swoim chcą wierzyć nieodstępni widzowie. Życie don Juana wymarzone i spodziewane drga na twarzy i w całej postawie pana Józefa; w grafa zaś postawie całej nieruchomość posągu komandora! I całą tę scenę

http://rcin.org.pl

ubiera dym lulek i cygarów w fantastyczne półświatła półcienie, a otacza milczenie prawie grobowe!...

I grają przecie dalej, bo gra jest pragnienie nienasycone; złoto trunek niegaszący pragnienia!... pan Józef ledwie wydoła pochować wygranę; a prócz tego rosną na stole stosy złota, góry banknotów, wznoszą się i piętra z szybkości cudu; już prawie miejsca na karty brakuje... — Sen li czy mara? — myślą widzowie, a z coraz większem uszanowaniem patrzą na ten skarb, jakby z tysiąca nocy wyczarowany.

I brakło miejsca na stole; runęła góra złota, dukat po dukacie, imperiale, leje się ze stoła rzeka złota, toczy się sklniącemi falami, pieni się banknotami, które złożone na wierzchu, towarzyszą szeleszczącym głosem dźwiękowi złota. Patrzą na to zjawisko odurzeni widocznie; oczami jak łyskawicami ścigają ten potok, który pomału, poważnie, czarująco, dźwięcznie postępuje ku nim!... Już pod ich nogami!... kroplą dukata dotknął się nogi barona; pianę banknota rzucił na stopę O**... Zadrzeli oba dotknięci ruchem iskry elektrycznej; krew zawrzała szalonym wirem i bije w oczy, które ledwie nie wyskoczą, w palce które mimowolnie krzywią się i wytężają, gadzin ruchem. Jeszcze stoją nieruchomi, choć ich ciągnie ku ziemi — głowa zapewne pijana!... Lecz coraz grubszemi bałwanami pędzi złoty potok od stolika; coraz czystsze, coraz większe uderzają w ich stopy krople!...

To już nadto! to nad siły człowiecze, nad siły światowego poloru, który niknie przed wezbraną naturą!... pierwszy baron uległ jako najmłodszy, a zatym najżywszy; i padł na posadzkę jak długi!... Na ten widok jeden po drugim rzucili się wszyscy na ziemię; ostatni po długiej walce z lepszem usposobieniem, mniejszemi złota potrzebami i z zawielkim do tej ekspedycji brzuchem rzucił się hrabia!... I nuż nurzać ręce w złoty potok!... kto prędzej! kto więcej!... na tem sztuka!... Potok się leje, pieni, ale i ręce nie próżnują; czerpią nadludzkiem natężeniem, ile tylko w dłonie pomieścić zdołają!... A gdy potoku braknąć zaczęło, zdziczeli chucią złota, pijani, zapamiętali zaczęli zaglądać jeden drugiemu w przepełnione garście; jednemu drugiego garść wydaje się większa — nuż wydzierać!...

Zaczęła się scena okropna i śmieszna razem... Na posadce woskowanej bójka salonowców o złoto; jakby tych z grubiaństwa wyśmianych chłopów w karczmie! Na nic wychowanie, stosunki przyjacielskie, uwaga na świat, nawet na przyzwoitość!... Złota! złota więcej!... oddaj bo wydrę!... I wydzierają sobie! taka walka jest okropna!... A śmieszną stronę tej bójki ktoż nie pojmie, gdy sobie wyobrazi, włosy, kawałki sukień, rękawiczki woniejące, łańcuszki, pierścienie, padające trupem na pobojowisku, a nad tem wszystkiem peruka O** arcydzieło weneckiego włosomistrza, rozczochrana okropnie jak głowa Nemezys, godne godło tej wojny.

Rzucamy zasłonę na tę scenę! Nastało milczenie głuche! okropne! nieprzerwane ani głosem człowieka, ani dźwiękiem złota,

http://rcin.org.pl

ani szelestem kart i papierów bankowych!... milczenie długie! kilkagodzinne!...

IV.

Pierwszy brzask dnia przebijał się dalekiem łunem przez pąsowe firanki, walczył z blaskiem dogorywających świec, które długiemi knotami stercząc więcej dawały cienia niżeli światła. Łysnęło wzdłuż posadzki; to O** się podniósł z ziemi pozbawiony peruki; głowa bezwłosa, pościerane smugami po twarzy, rozbiegłe malowidła, wypadłe zębów rzędy, zmarszczki występujące z za malowidła, a nadewszystko wyraz przepicia i uczuć gwałtownych, z któremi zasnął, okazały go raz pierwszy może w całej prawdzie starości zgrzybiałej podłego usposobienia.

A gdy pamięć pomału powróciła, ciekawem i chciwem rzucił okiem na stolik zielony — pusty! cyframi kredą pisanemi zamazany! Niema grafa! niema złota! znikło jak senne widziadło! pan Józef D* z głową zwieszoną rozwalony leży na fotelu przy stoliku; cichym złodzieja lub kochanka krokiem zbliżył się O**, wyciągnął szyję, patrzy: znikła czerwoność z twarzy pana Józefa; blady bladością niemą i zimną; drżąc bierze go za rękę, zimna! porusza go z lekka, nieruchomy jak posąg, skamieniały, umarły!... Zadrżał stary grzesznik!.. ku oknu spojrzał!... ale wnet oglądnąwszy się na leżących kolegów, wpuścił ukradkiem długie swe palce w kieszenie nieboszczyka; snać szuka wygranej od grafa; jeszcze mu spółka w głowie!... Kieszenie jedna po drugiej okazały się puste; potrącił ciałem; padło na ziemię!... własne przeszukał kieszenie z ruchem niespokojnym i niecierpliwym — puste!... Na ziemi, na miejscu wczorajszej walki — pusto!... karty pomięte leżą tu i owdzie na posadzce, drugie podarte wciśnięte w pokurczone spiących pięście; u drugich kawałki cygarów, fidibusy!... a złoto! złoto!... pusto i próżno!...

— Klasnął w dłonie z rospaczy! — Gdzie pieniądze tego niedźwiedzia? gdzie jego ogromna wygrana?... — Umarł!... klasnął w dłonie z radości!... — M* moja!...

— Zbudziło się zacne towarzystwo. — Co to było?... Sen, długi sen!...

— Mnie się śniło, żem wygrał sto tysięcy!...

— A mnie skarb! ogromny skarb!... ale szatan nad nim, podobniuteńki do tego S*!..,

— Pfe! pfe! upoiłeś nas O**! to niełądnie!... zgrałem się! i głowa mnie boli!...

— To wino z nowego sklepu korzennego może ipsymowane!...

— Ależ ten grubas spi! kontent, że wygrał, leży jak nieżywy!...

— Bo nieżywy!...

— Co mówisz O**?...

— Patrzcie sami! umarł!...

http://rcin.org.pl

— Umarł?... tam do djabła!... — Chwilą krótką pomieszania uczcili pamiąć zmarłego!...

A pieniądze wygrane?... I wszyscy spojrzeli nagle na kolegę O*, a baron z gorzkim uśmiechem rzekł: — Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje!...

— Słowo honoru!... musiał się zgrać potem!... ja nie mam!...

— Pfe to głupstwo!... cóż to! apopleksja!... to fatalnie!... jeszcze jakaś komissja będzie! świadectwo!... bodajże cię O** z twoim obiadem, winem, tym głupim djabełkiem i apopleksją!... Taki zdrów! proszę kogo!...

— Krótka szyja zwyczajnie!.. — szyderczo zagadł Ż* do hrabiego.

— Moja dłuższa! — zapiszczał, i wyciągał biedak krótką szyję jak mógł...

W kilka chwil niesiono trupa przez ulicę. W oknie otwartem siedziała M*; wzrok jej bezsennością i oczekiwaniem zmęczony dostrzegł zarazem ciało męża i młodzieńca w paletocie, na którego młodej, szczerej otwartej, a dorodnej twarzy czyste współczucie w czystej skliniło się łzie!... Krzyk przeraźliwy doszedł do uszów O**, siedzącego przy tualecie... — Moja M*, moja! — mruknął, — ale też mnie kosztuje! ten S* i jego pieniądze nie mogą mi wyjść z głowy... Ubierajże mnie prędzej!... nie mam czasu!...

Do dnia graf S* wyjechał do Londynu czy do Paryża... i przepadł bez wieści!... M*ę O* przed pogrzebem męża nie odwidził, czekał bowiem na wezwanie tej biednej opuszczonej, w nieznajomem mieście kobiety; czekał sądząc po sobie, aż mu sama w ręce wpadnie, jak mucha w dawno rozstawione sidła obrzydliwego pająka; a po pogrzebie M* wyjechała! gdzie? nie wiadomo... i przepadła bez wieści!...

W kilka dni siedział O** samotny i smutny, chociaż peruka odnowiona i strój odświeżony, spoglądał przez ulicę ku oknu przeciwległego domu — pusto w nim? nie koniecznie!... Same stare kobiece twarze jak na złość wyszczerzają się ztamtąd.... Zamarzył pan O**; po raz pierwszy od dawna pomyślał szczerze nad sobą... Długi wszędzie; poszły miednica, kubek i cybuchy i tabakiery!... trudno ostać na posadzie dotychczasowej, a wygrana coraz cięższa, bo świat codzień mądrzejszy... Graf S* czmychnął jak majak jaki; z grubym D* poszły pieniądze do djabła... a M*, ta piękna M*, co to miała umrzeć po mężu?... a kto wie tam może i umarła? lecz gdzie i jak?... Pojechałby O** na zwiady, ale ta przeklęta podagra, niepomna na to, że serce nie starzeje, usadowiła mu się w nogę, a do tego codzienny budżet wymaga jego bytności!... Biedny O** pomyślał sobie: inaczej to szło za młodu!...

We dwa lata!... O** zawsze młody po wierzchu, płynie jak może z wodą i przeciw wodzie, niezmordowany i niezbadany; siedzi znowu ze wzrokiem wlepionym w owe okno, którem tyle obojętnych tyle brzydkich odtąd wyglądało twarzy, gdy nagle Abramko zamiast gorąco oczekiwanych pieniędzy wniósł list...

— Jakieś państwo! grafowie!... pojechali do Karlsbadu i zostawili list do jaśnie pana. — O** otworzył... kilka banknotów wyle-

ciało... czyta... — Dług winny z ściśle wyrachowanym procentem odsyłam z wdzięcznością jaka się należy za jego dla mnie chęci, o których objaśnił mnie należycie kuzyn pańskiego przyjaciela, rozwiązły młodzieniec w ciemnym paletocie — mąż M*!... — Długo myślał!... — Dobrze i to! — wyrzekł w końcu, starszy i zimniejszy o dwa lata O** chowając banknoty...

Więc nie umarła po pierwszym mężu?... dla czego?... jak?... którędy?... Nie wiem, bo niezbadane bywają czasem tajemnice w życiu ludzkiem...

http://rcin.org.pl

Spis rzeczy tomu IV.

		Strona
1.	Dla posagu	5
2.	Uśmiech szyderczy	155
3.	Bale na wsi	175
4.	Leśniczy	199
5.	Stary komornik	207
6.	Wielkie nadzieje	237
7.	Z życia polskiego aktora	251
8.	Bałaguły	271
9.	Suknia balowa	277
10.	Nowy rok	291
11.	Hogartowskie obrazy	303
12.	Rezydent	321
13.	Wieśniak podolski	331
14.	Przez ulicę	337

http://rcin.org.pl

Fundacji im. J. I. Michalskich
Ze zbiorów

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
709